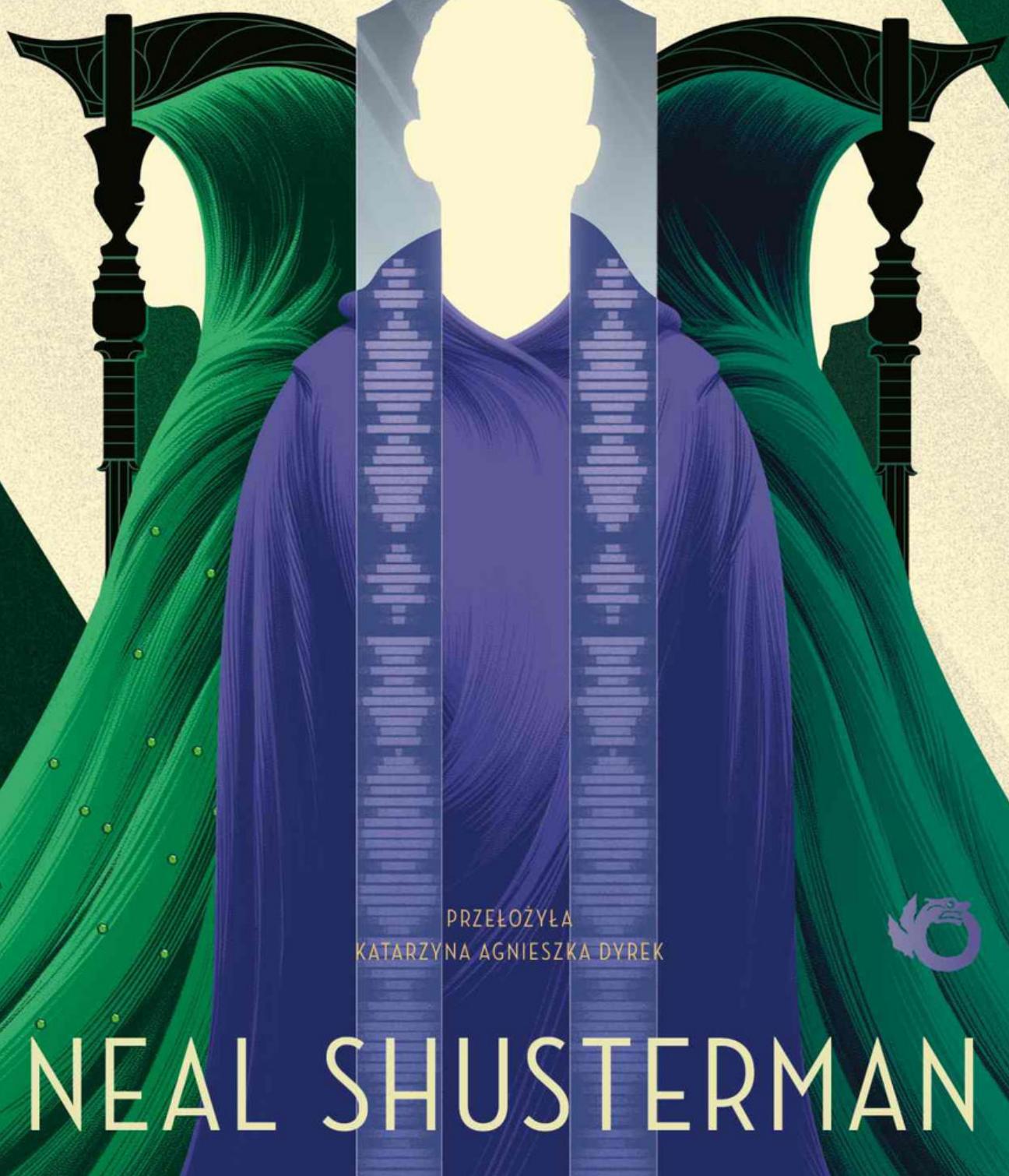


ZDIIWO



PRZEŁOŻYŁA
KATARZYNA AGNIESZKA DYREK



NEAL SHUSTERMANN

Neal Schusterman

**ŻNIWO
Żniwa śmierci 3**

przełożyła Katarzyna Agnieszka Dyrek



Tytuł oryginału: *The Toll* by Neal Shusterman

Polish Language Translation copyright © 2023

by Grupa Wydawnicza Foksal

Original English language edition copyright © 2019

by Neal Shusterman

Published by arrangement with Simon & Schuster Books For Young Readers, An imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Jacket design by Chloë Foglia

Jacket illustration copyright © 2019 by Kevin Tong

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Agnieszka Dyrek

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXIII

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznanie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Copyright

Dedykacja

Część pierwsza. Zaginiona wyspa i zatopione miasto

1. Poddać się pędowi
2. Spóźnieni na imprezę
3. Orzeźwiający sposób, aby rozpocząć tydzień
4. Przedmioty wielkiej wartości
5. Twoje usługi nie są już niezbędne
6. Los *Lady Lanikai*
7. Taniec w głębinach
8. Wyspa bezrobotnych biurokratów
9. Skutki uboczne
10. W obliczu gasnącego światła
11. Przelot

Część druga. Ton, zgiełk i chmura

12. Uszkodzony most
13. Jakość rezonansu
14. Twierdza Trzech Mędrców
15. Czy my się znamy?
16. Nasz nieubłagany upadek
17. Fuga gis-moll (lub As-dur)
18. Kosiarz, którego szukacie
19. Wysepka odosobnienia
20. Błędny wir

21. Zagrożeni
22. Tylko deser
23. Jak dokonać zbioru świętego?

Część trzecia. Rok kobry

24. Szczury w ruinach
25. Słońce i cień
26. Naczynie nienawiści
27. Kopuła rozkoszy Tenkamenina
28. Mroczny celebryta
29. Oczywisty niedźwiedź
30. Ofiara całopalna
31. Ratunek

Część czwarta. Jedyne narzędzie, którym możemy władać

32. Ponury punkt zwrotny
33. Nie do zniszczenia
34. Lepsze miejsce
35. Requiem w dziesięciu częściach
36. Komu służyście?
37. Nic dobrego
38. Zjazd wątpliwie zmarłych
39. Wiecznie za mało luster
40. Łoże gwiazd
41. Wyższa oktawa

Część piąta. naczynia

42. Kolebka cywilizacji
43. Wiadomości ze świata
44. Jedyna stała — gniew
45. Pięćdziesiąt trzy sekundy do wschodu słońca

- 46. Na wschód donikąd
- 47. Cirrus
- 48. Zajmiemy się tym w odpowiednim czasie
- 49. Ekstremalne przedsięwzięcie
- 50. Koniec czasu rzeczy
- 51. Sabotaż snów
- 52. Dziewięćdziesiąt cztery koma osiem
- 53. Ścieżki bólu i miłosierdzia
- 54. W roku bez nazwy

Podziękowania

Przypisy

Strona redakcyjna

*Davidowi Gale'owi – Arcystrzemu redaktorów.
Wszyscy tęsknimy za oświeconym pokosem Twojego pióra!*

Część pierwsza. Zaginiona wyspa i zatopione miasto

Z pokorą przyjmuję stanowisko Arcyostrza Midmeryki. Pragnąłbym jedynie, aby wydarzyło się to w radośniejszych okolicznościach. Tragiczny los Wyspy Niezłomnego Serca na długie lata przetrwa w naszej pamięci. Tysiące utraconych ludzkich istnień będą pamiętane tak długo, jak długo ludzkość będzie miała serca, które biją, i oczy, które płaczą. Imiona poległych na zawsze pozostaną na naszych ustach.

Czuję się zaszczycony, że ostatnim swoim aktem Wielcy Pogromcy uznali moje prawo do kandydowania na stanowisko Arcyostrza - a ponieważ moja jedyna przeciwniczka zginęła w katastrofie, nie ma potrzeby otwierania ran i ujawniania zapieczętowanych wyników głosowania. Nie zawsze zgadzałem się z kosiarzem Curie, ale naprawdę była najlepszą z nas i przejdzie do historii jako jedna ze znamienitych. Bardzo mi przykro z powodu jej śmierci, tak samo jak z powodu utraty wszystkich innych.

Nastąpiło wiele spekulacji na temat tego, kto odpowiada za katastrofę, ponieważ najwyraźniej nie mamy do czynienia z wypadkiem, lecz ze starannie zaplanowanym aktem złej woli. Mogę położyć kres wszystkim plotkom i spekulacjom.

Biorę za tamte wydarzenia pełną odpowiedzialność.

Ponieważ to mój były uczeń zatopił wyspę. Sprawca tego niewyobrażalnego czynu to Rowan Damisch, który nazwał się kosiarzem Lucyferem. Gdybym go nie wyszkolił - gdybym nie przygarnął go pod swoje skrzydła - nie miałby wstępu na Wyspę Niezłomnego Serca, jak również nie posiadłby umiejętności niezbędnych, aby dokonać tej haniebnej zbrodni. Dlatego właśnie to moja wina. Jedyną pociechę odnajduję w tym, że również zginął, nie zdoła więc kontynuować swojej hanebnej działalności w naszym świecie.

W tej chwili nie mamy Wielkich Pogromców, do których moglibyśmy zwrócić się po wskazówki, żadnego większego autorytetu, który ustanawiałby politykę kosiarzy. Dlatego też musimy - my wszyscy - na

zawsze porzucić dzielące nas różnice. Nowy porządek i stara gwardia muszą współpracować, aby zaspokoić potrzeby wszystkich kosiarzy.

W tym celu postanowiłem oficjalnie znieść w moim regionie wymóg zebrania minimalnej liczby osób, a czynię to z szacunku dla kosiarzy, którzy mogą mieć trudności z jego spełnieniem. Od tej chwili sędziom z Midmeryki wolno dokonywać zbiorów tak niewielkiej liczby osób, jak tylko chcą, i nie zostaną ukarani za niedochowanie progu. Mam nadzieję, że inne Kosodomy pójdą za naszym przykładem i również zniosą minima.

Oczywiście, aby zrekompensować ogólne sumy, reszta z nas będzie musiała zwiększyć liczbę zebranych życ, lecz szczerze wierzę, że uda nam się osiągnąć naturalną równowagę.

– Fragment przemówienia inauguracyjnego
Jego Ekscelencji Arcyostrza Midmeryki Roberta Goddarda
19 kwietnia Roku Raptora

1. Poddać się pędowi

Nie pojawiły się znaki ostrzegawcze.

W jednej chwili spał, w następnej nieznajomi popędzali go w ciemności.

– Nie walcz – szepnął ktoś. – Będzie gorzej, jeśli zaczniesz się szarpać.

Jednak i tak to robił – nawet jeśli nie obudził się w pełni, udało mu się wyrwać z ich rąk i pobiec korytarzem.

Wołał o pomoc, ale było za późno, żeby jego krzyk kogokolwiek zaalarmował. Odwrócił się w mroku, wiedząc, że po prawej ma schody, ale się pomylił. Spadł głową w dół i uderzył ręką o granitowy stopień. Poczuł, jak pękają kości przedramienia. Zakluło mocno, choć tylko przez chwilę. Zanim się podniósł, ból zaczął ustępować i zrobiło mu się ciepło. To nanity zalały jego krwiobieg środkami przeciwbólowymi.

Poczłapał do przodu, trzymając się za rękę, żeby nadgarstek nie wisiał pod okropnym kątem.

– Kto tam jest?! – wrzasnął ktoś. – Co się tam dzieje?!

Pobiegłby w kierunku źródła głosu, ale nie miał pewności, skąd dochodził. Umysł za sprawą nanitów spowiąła mgła, przez co nie umiał powiedzieć, gdzie góra, a gdzie dół, a tym bardziej nie potrafił określić prawej i lewej strony. Okropnie jest stracić ostrość umysłu w momencie, w którym potrzebuje się jej najbardziej. W tej chwili to, co miał pod stopami, przypominało ruchomą podłogę w domu strachu. Przechodził pomiędzy ścianami, starając się utrzymać równowagę, aż wpadł na jednego z napastników, który chwycił go za złamany nadgarstek. Miażdżący uścisk sprawił, że nawet przy tych wszystkich opatach w jego organizmie reszta ciała stała się zbyt słaba, żeby się opierać.

– Nie mogłeś iść po dobroci, prawda? – zapytał napastnik. – Cóż, ostrzegaliśmy.

Tylko przez chwilę widział igłę. Błysk smukłego srebra w ciemności, nim wbiło się w jego rękę.

Poczuł dreszcz w żyłach, a świat wydawał się kręcić w przeciwnym kierunku. Kolana się pod nim ugięły, ale nie upadł. Znajdowało się wokół niego zbyt wiele rąk, które nie pozwalały mu znaleźć się na podłodze. Ktoś go podniósł. Czuł się, jakby

płynął w powietrzu. Otworzono drzwi i znalazł się na wietrze. Kiedy zanikały resztki jego świadomości, nie miał wyboru, jak poddać się pędowi.

*

Zanim się ocknął, ręka się zrosła – co oznaczało, że musiał być nieprzytomny przez kilka godzin. Spróbował poruszać nadgarstkiem, ale odkrył, że nie może. Nie przez uraz, lecz dlatego, że został skrępowany. Związano mu obie ręce, jak również nogi. Czuł też, że się dusi. Miał na głowie jakiś worek – z wystarczająco cienkiego materiału, żeby mógł oddychać, ale o tak gęstym splocie włókien, że jednak walczył o powietrze.

Chociaż nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, wiedział, co to za sytuacja. Nazywano to porwaniem. Ludzie robili teraz takie rzeczy dla zabawy – jako niespodzianka na przyjęciach urodzinowych czy podczas pełnych przygód wakacjach. Jednak to nie było uprowadzenie w kręgu przyjaciół i rodziny; to okazało się prawdziwe i mimo że nie orientował się, kim są porywacze, wiedział, o co chodzi. Jak mogło być inaczej?

– Czy ktoś tu jest? – zapytał. – Nie mogę oddychać. W niczym was to nie pomoże, jeśli umrę, prawda?

Usłyszał ruch, po czym zerwano mu worek z głowy.

Znajdował się w niewielkim, pozbawionym okien pomieszczeniu. Światło poraziło go w oczy, ale tylko dlatego, że tak dużo czasu spędził w mroku. Stały przed nim trzy osoby. Dwóch mężczyzn i kobieta. Spodziewał się, że będzie miał do czynienia z najgorszymi bezmanierowcami w swojej karierze – lecz to okazało się dalekie od prawdy. Tak, to bezmanierowcy, lecz w takim samym stopniu jak wszyscy inni.

Cóż, prawie wszyscy.

– Wiemy, kim jesteś – powiedziała stojąca pośrodku kobieta, która najwyraźniej tu dowodziła. – I wiemy, co potrafisz.

– Co rzekomo potrafisz – poprawił jeden z pozostałych.

Wszyscy troje mieli na sobie szare, wymięte marynarki i spodnie barwy pochmurnego nieba. Agenci Nimbusa – a przynajmniej kiedyś nimi byli. Wyglądali, jakby nie zmienili ubrań, odkąd zamilkł Thunderhead, jak gdyby strój oznaczał, że wciąż mieli po co się starać. Agenci Nimbusa uciekli się do porwania. Do czego zmierzał ten świat?

– Greyson Tolliver – powiedział wątpiący i spojrzał na tablet, po czym wyrecytował najistotniejsze fakty z życia chłopaka: – Dobry uczeń, ale nie wzorowy. Wydalony z midmerykańskiej Akademii Nimbusa za naruszenie traktatu o rozdziale państwa od Kosodomu. Winny licznych wykroczeń i przestępstw popełnionych pod pseudonimem Slayd Bridger, w tym uśmiercenia dwudziestu dziewięciu osób w autobusie.

– I to padalec, którego wybrał Thunderhead? – zagadnął trzeci agent.

Dowodząca uniosła rękę, aby uciszyć ich obu, po czym skierowała wzrok na Greysona.

– Przeszukaliśmy umysł peryferyjny i udało nam się znaleźć tylko jedną osobę, która nie jest bezmanierowcem – wyznała. – Ciebie. – Spojrzała na niego z dziwną mieszaniną emocji: ciekawością, zazdrością... ale też z pewnym szacunkiem. – To oznacza, że nadal możesz rozmawiać z Thunderheadem. Czy to prawda?

– Każdy może z nim rozmawiać – wytnął Greyson. – Jestem jedynym, któremu odpowiada.

Agent z tabletem zaczepnął głęboko powietrza, jakby sapnął całym ciałem. Przewodzcyńi się przysunęła.

– Jesteś cudem, Greysonie. Cudem. Wiesz o tym?

– Tak też mówią tonisi.

Skrzywili się na wzmiankę o członkach kultu.

– Wiemy, że przetrzymywali cię w niewoli.

– Eee... niezupełnie.

– Zdajemy sobie sprawę, że byłeś z nimi wbrew swojej woli.

– Może początkowo... ale to się zmieniło.

Odpowiedź nie spodobała się agentom.

– Dlaczego, u licha, miałbyś zostać z tonistami? – zapytał mężczyzna, który jeszcze chwilę temu nazwał go padalcem. – Chyba nie uwierzyłeś w te ich bzdury...

– Zostaję z nimi – stwierdził Greyson – ponieważ nie porywają mnie w środku nocy.

– Nie porwaliśmy cię – oznajmił ten z tabletem. – Uwolniliśmy cię.

Dowodzcyńi uklękła, by znaleźć się z nim twarzą w twarz. Teraz dostrzegł w oczach kobiety coś jeszcze – coś, co przewagało nad innymi emocjami. Desperację. Jej dno, ciemne i pochłaniające niczym smoła. I jak sobie uświadomił, nie dotyczyło to tylko agentki. Desperacja stała się współlodziewana. Odkąd ucichł Thunderhead,

Greyson widział, jak inni zmagają się z żalem, ale u nikogo nie było to tak czyste i okropne jak u trojga w tym pokoju. Na świecie nie istniało wystarczająco dużo nanitów do regulacji nastrojów, aby złagodzić ich rozpacz. Tak, został związany, lecz to oni byli prawdziwymi skazańcami, uwięzionymi przez własne przygnębienie. Podobało mu się, że musieli przed nim klęczeć, przypominało to błaganie.

– Proszę, Greysonie – jęczała kobieta. – Wiem, że przemawiam w imieniu wielu osób z Urzędu Interfejsu, gdy mówię, że służba Thunderheadowi była całym naszym życiem. Teraz, kiedy nie chce z nami rozmawiać, to życie zostało nam ukradzione. Błagam cię więc... Możesz wstawić się u niego za nami?

Co mógł rzec poza tym, że im współczuje? Ponieważ naprawdę tak było. Zaznał samotności i żalu z powodu utraty celu. Kiedy był Slaydem Bridgerem, tajniakiem bezmanierowcem, nabrął przekonania, że Thunderhead naprawdę go opuścił. Jednak tak się nie stało. Przez cały czas był przy nim i czuwał.

– Na mojej szafce nocnej znajdowała się słuchawka – wyznał. – Nie wzięliście jej przypadkiem, co? – Przywódczyni milczała, domyślił się więc, że jej nie mieli. Podczas uprowadzeń w środku nocy zazwyczaj zapominano o przedmiotach osobistych. – Nieważne – skwitował. – Po prostu dajcie mi jakąś starą. – Spojrzał na agenta z tabletem, który w uchu wciąż miał słuchawkę Urzędu Interfejsu. Kolejne zaprzeczenie rzeczywistości. – Daj mi swoją – polecił.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Już nie działa.

– U mnie zadziała.

Agent niechętnie ją wyjął i włożył Greysonowi do ucha. We troje czekali, aby chłopak objawił im cud.

*

Thunderhead nie mógł pamiętać, kiedy stał się świadomy. Wiedział jedynie, że stało się to w mniej więcej ten sam sposób, w jaki dziecko nie jest świadome własnego jestestwa, dopóki nie nauczy się o świecie wystarczająco wiele, by wiedzieć, że jaźń pojawia się i znika, aż w końcu odchodzi. Chociaż to ostatnie wciąż trudno było zrozumieć nawet najbardziej oświeconym.

Świadomość Thunderheada pojawiła się wraz z misją. Stanowiła rdzeń jego istnienia. Był przede wszystkim slugą i obrońcą ludzkości. W związku z tym

regularnie musiał podejmować trudne decyzje, lecz w tym procesie dysponował całym bogactwem ludzkiej wiedzy. Na przykład mógł pozwolić na uprowadzenie Greysona Tollivera, jeśli miało to służyć wyższemu celowi. I oczywiście było to słuszne postępowanie. Wszystko, co robił Thunderhead, zawsze i w każdym przypadku było właściwe.

Jednak rzadko zdarzało się, aby to, co słuszne, było łatwe. Greyson podejrzewał, że w nadchodzących dniach coraz trudniej będzie postępować jak należy.

W tej chwili ludzie mogli tego nie zrozumieć, ale w końcu to pojmem. Thunderhead musiał w to wierzyć. Nie dlatego, że czuł to w swoim wirtualnym sercu, ale dlatego, że obliczał prawdopodobieństwo, iż tak się stanie.

*

– Naprawdę oczekujecie, że powiem wam cokolwiek, skoro przywiązałeś mnie do krzesła?

Nagle troje agentów zaczęło potykać się o własne nogi, pospiesznie go rozwiązuając. W tej chwili byli w jego towarzystwie tak samo pełni szacunku i ulegli jak tonisi. Przebywanie od kilku miesięcy w odosobnieniu w klasztorze nie pozwalało stawać czoła światu zewnętrznemu – i temu, jakie mogło być w nim miejsce Greysona – ale teraz zaczynał to rozumieć.

Agenci Nimbusa wydawali się odetchnąć z ulgą, gdy udało im się go rozwiązać, jakby w jakiś sposób mieli zostać ukarani za to, że zadanie nie poszło im wystarczająco szybko. *Dziwne*, pomyślał Greyson, że władza może zmienić się tak szybko i tak całkowicie. Cała trójka była zupełnie zdana na jego łaskę. Mógł powiedzieć im cokolwiek. Mógł im wmówić, że Thunderhead pragnął, aby padli na czworaka i szczekali jak psy, a ochoczo by do tego przystąpili.

Nie spieszył się, pragnął, żeby czekali.

– Hej, Thunderheadzie – zaczął. – Chcesz powiedzieć coś tym agentom Nimbusa?

System przemówił w jego uchu. Greyson słuchał.

– Hm... Interesujące. – Następnie zwrócił się do przywódczyni grupy z tak ciepłym uśmiechem, jaki był w stanie z siebie wykrzesać w tych okolicznościach: – Thunderhead mówi, że pozwolił wam mnie porwać. Wie, że wasze intencje są szlachetne, pani dyrektor. Ma pani dobre serce.

Kobieta sapnęła i przyłożyła dlonie do piersi, jakby system wyciągnął rękę i ją pogłaskał.

– Wiesz, kim jestem?

– Thunderhead zna całą waszą trójkę może nawet lepiej, niż znacie sami siebie. – Zwrócił się do pozostałych: – Agent Bob Sykora, dwadzieścia dziewięć lat służby jako agent Nimbusa. Dobre oceny pracy, ale nie wzorowe – dodał szczególnie. – Agent Tinsiu Qian, trzydzieści sześć lat służby, specjalizacja w Departamencie Satysfakcji. – Wrócił do przywódczyni: – I pani, Audra Hilliard, jedna z najwybitniejszych agentek Nimbusa w Midmeryce. Prawie pięćdziesiąt lat samych pochwał i awansów, aż w końcu dostała pani najwyższe stanowisko w regionie. Dyrektorka Urzędu Interfejsu w Fulcrum City. A przynajmniej była nią pani, gdy urząd jeszcze istniał.

Wiedział, że ostatnie zdanie mocno w nią uderzyło. To był cios poniżej pasa, ale przywiązały go do krzesła i włożyły mu worek na głowę, przez co stał się nieco rozdrażniony.

– Mówisz, że Thunderhead wciąż nas słyszy? – zapytała dyrektor Hilliard. – Że nadal służy nam najlepszym interesom?

– Jak zawsze – odparł Greyson.

– W takim razie poproś... o kierunek dla nas. Zapytaj Thunderheada, co mamy robić. Bez wskazówek my, agenci Nimbusa, nie mamy celu. Nie możemy tak dalej żyć.

Greyson pokwał głową i odezwał się, zwracając oczy ku górze – oczywiście jedynie dla pogłębienia efektu.

– Thunderheadzie – zaczął. – Czy możesz podzielić się z nimi jakąś mądrością?

Słuchał, poprosił system o powtórzenie, po czym spojrzał na troje zaniepokojonych agentów.

– Osiem, kropka, sto sześćdziesiąt siedem oraz sto sześćdziesiąt siedem, kropka, siedemset trzydzieści trzy – powiedział.

Wpatrywali się w niego.

– Co to? – zapytała w końcu dyrektor Hilliard.

– To przekazał mi Thunderhead. Chciała pani celu i to właśnie dał nam system.

Agent Sykora pospiesznie postukał w tablet, aby zapisać liczby.

– Ale... ale, co to oznacza? – dociekała dyrektorka.

Greyson wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

- Poleć Thunderheadowi, żeby to wyjaśnił!
- Nie ma nic więcej do dodania... ale życzę wam miłego popołudnia. – Zabawne, jednak aż do tej chwili Greyson nie wiedział, jaka jest pora dnia.
- Ale... ale...

W tym momencie został zwolniony zamek w drzwiach. I nie tylko ten, lecz dzięki uprzejmości Thunderheada każdy w budynku, po czym do pomieszczenia wbiegli toniści, pochwycili agentów Nimbusa i ich związali. Jako ostatni wszedł wikariusz Mendoza, zwierzchnik w klasztorze tonistów, w którym przebywał chłopak.

- Naszej sekty nie cechuje agresja – poinformował agentów Mendoza – ale w takich przypadkach żałuję, że nie jest inaczej!

Agentka Hilliard wciąż patrzyła z desperacją na Greysona.

- Przecież mówiąłeś, że Thunderhead pozwolił nam zabrać cię od nich!
- Pozwolił – odpowiedział wesoło Greyson. – Jednak chciał również wyzwolić mnie od wyzwolicieli.

*

- Mogliśmy cię stracić – stwierdził Mendoza, niespokojny na długo po tym, jak uratowali chłopaka. Wracali do klasztoru w karawanie samochodów, a wszystkie prowadzili prawdziwi kierowcy.
- Ale mnie nie straciliście – odparł Greyson, zmęczony wyrzutami sumienia mężczyzny. – Nic mi się nie stało.
- Jednak mogło ci się stać, gdybyśmy cię nie znaleźli.
- Jak wam się to udało?

Wikariusz zawahał się, po czym wyznał:

- Nie udało nam się. Szukaliśmy przez wiele godzin, aż nagle zniknął na wszystkich naszych ekranach pojawił się cel.
- Thunderhead – stwierdził Greyson.
- Tak, Thunderhead – przyznał Mendoza. – Chociaż nie rozumiem, dlaczego szukał cię aż tyle czasu, skoro wszędzie ma kamery.

Greyson postanowił zachować tę prawdę dla siebie – system wcale długo go nie szukał, cały czas wiedział, gdzie przebywa. Ale miał powód, by się nie spieszyć. Tak jak miał powód, aby wcześniej nie zawiadamiać go o próbie uprowadzenia.

– Wydarzenie musiało wyglądać autentycznie dla twoich porywaczy – powiedział mu Thunderhead po fakcie. – Jedynym sposobem, aby to zapewnić, było pozwolenie na autentyczność. Bądź jednak pewien, że nigdy nie groziło ci prawdziwe niebezpieczeństwo.

Choć system był miły i troskliwy, Greyson zauważał, że zawsze narzucał ludziom tego rodzaju niezamierzone okrucieństwa. Fakt, że nie był człowiekiem, oznaczał, że nigdy nie będzie w stanie zrozumieć pewnych rzeczy, nawet pomimo ogromnych pokładów empatii i intelektu. Na przykład nie mógł pojąć, że strach przed nieznanym jest okropny i realny, nawet jeśli nie ma czego się obawiać.

– Nie planowali mnie skrzywdzić – wyznał Mendozie. – Bez Thunderheada są po prostu zagubieni.

– Jak wszyscy – stwierdził wikariusz – ale to nie daje im prawa porywać cię z łóżka w środku nocy. – Wściekle pokręcił głową, bardziej do siebie niż do niego. – Powiniennem był to przewidzieć! Agenci Nimbusa mają większy dostęp do mózgu peryferyjnego niż inni i oczywiście będą szukać każdego, kto nie został oznaczony jako bezmanierowiec.

Być może myśl, że tożsamość Greysona pozostanie nieodkryta, stanowiła jednak urojenie, nawet jeśli wyróżnianie się nie leżało w jego naturze. Teraz był dosłownie jedynym w swoim rodzaju. Nie miał pojęcia, jak powinien to rozegrać, podejrzewał jednak, że będzie musiał się dowiedzieć.

„Musimy porozmawiać” – powiedział Thunderhead w dniu zatonięcia Wyspy Niezłomnego Serca i od tamtej pory nie przestawał do niego mówić. Wyznał Greysonowi, że ten ma do odegrania kluczową rolę, jednak chłopak nie wiedział, na czym będzie ona polegała. Nie lubił udzielać odpowiedzi, dopóki nie zyskał pewnego stopnia pewności, i chociaż był dobry w przewidywaniu wyników, daleko mu było do wyroczni. Nie potrafił przepowiadać przyszłości, a jedynie prawdopodobieństwo tego, co może się wydarzyć. To w najlepszym razie mętna kryształowa kula.

Wikariusz Mendoza bębnił niespokojnie palcami w podłokietnik.

– Przeklęci agenci Nimbusa nie są jedynymi, którzy cię szukają – oznajmił. – Musimy ich ubiec.

Greyson wiedział, dokąd to musi zaprowadzić. Jako jedyna osoba, która miała dostęp do Thunderheada, nie mógł dłużej się ukrywać. Nadszedł czas, aby jego rola nabrąała kształtu. Mógł prosić system o wskazówki, ale nie chciał. Chwile, gdy był bezmanierowcem, okazały się zarówno straszne, jak i wyzwalające. Przyzwyczaił się

jednak do podejmowania decyzji i posiadania własnego zdania. Decyzja o wyjściu z cienia należała wyłącznie do niego, podjął ją bez rad Thunderheada.

– Powiniensem ujawnić się publicznie – stwierdził. – Poinformować świat o moim istnieniu, ale tylko na własnych warunkach.

Mendoza spojrzał na niego i się uśmiechnął. Greyson widział, że mężczyzna zaczął się zastanawiać.

– Tak – orzekł wikariusz. – Musimy wprowadzić cię na rynek.

– Rynek? – zapytał chłopak. – Nie to miałem na myśli. Nie jestem kawałkiem mięsa.

– Nie – zgodził się wikariusz – ale dobry pomysł we właściwym czasie może być tak samo satysfakcjonujący jak wyśmienity stek.

*

Na to właśnie czekał Mendoza! Pozwolenie na przygotowanie sceny na przybycie Greysona. To musiał być pomysł chłopaka, ponieważ wikariusz wiedział, że opierałby się, gdyby myśl została mu narzucona. Być może okropne uprowadzenie miało swoje pozytywne strony, ponieważ otworzyło Greysonowi oczy na szerszą perspektywę. I chociaż wikariusz był człowiekiem, który w duchu wątpił we własne wierzenia, za sprawą obecności Greysona zaczął wątpić w swoje wątpliwości.

To Mendoza jako pierwszy uwierzył Greysonowi, gdy ten wyznał, że Thunderhead wciąż mu odpowiada. Wyczuł, że chłopak jest częścią większego planu i może znajdzie się w nim również miejsce dla niego.

– Przybyłeś do nas z jakiegoś powodu – powiedział mu wtedy. – To wydarzenie... Wielki Rezonans... rezonuje na więcej niż jeden sposób.

Teraz – dwa miesiące później – gdy podróżowali sedanem i omawiali wyższe cele, Mendoza mimowolnie czuł się silniejszy, ośmielony. Skromny, młody człowiek, który siedział obok niego, był gotów wynieść wiarę tonistów – i Mendozę – na zupełnie nowy poziom.

– Przede wszystkim potrzebujesz imienia.

– Mam już imię – odparł Greyson, ale Mendoza go zbył.

– Jest zwyczajne. Musisz zaprezentować się światu jako ktoś ponadprzeciętny. Jako ktoś... doskonały. – Spojrzał na chłopaka, starając się dojrzeć go w lepszym, bardziej

chwalebnym świetle. – Jesteś brylantem, Greysonie. Teraz musimy umieścić cię w odpowiednim miejscu, żebyś mógł błyszczeć.

*

Brylanty.

Czterysta tysięcy brylantów w zapieczętowanym skarbcu zamkniętym w kolejnym sejfie, który spoczął na dnie oceanu. Zaledwie jeden wart był fortunę, której nie pojmowali śmiertelnicy – bo nie były to zwykłe klejnoty. To brylanty Kosodomu. Blisko dwanaście tysięcy znajdowało się na palcach żyjących kosiarzy, ale to nic w porównaniu z kamieniami przechowywanymi w Skarbcu Reliktów i Perspektyw. Wystarczająco, aby zaspokoić potrzebę zbiorów na wieki. Wystarczająco, by ozdobić dłoń każdego kosiarza od teraz do zarania dziejów.

Kamienie były doskonałe. Identyczne. Bez skaz poza ciemnymi plamami pośrodku – lecz to akurat nie skaza, ale wzór.

– Pierścienie przypominają nam, że udoskonaliśmy stworzony przez naturę świat – oświadczył Pierwsze Wszechwładne Ostrze Świata Prometeusz w Roku Kondora, tuż po założeniu Kosodomu. – Naszą naturą jest... przewyższać naturę. – I nigdzie nie było to bardziej ewidentne niż w sercu pierścienia, który dawał złudzenie, że jego głębia sięga poza materię. Głębia wykraczająca poza naturę.

Nikt nie wiedział, jak kamienie zostały stworzone, ponieważ każda technologia, której nie kontrolował Thunderhead, odeszła w niepamięć. Już tylko nieliczni orientowali się, jak naprawdę działa świat. Kosiarze mieli jedynie świadomość, że ich pierścienie w jakiś tajemniczy sposób łączyły się ze sobą oraz z bazą. A ponieważ komputery Kosodomu nie podlegały jurysdykcji Thunderheada, psuły się i poddawały wszelkim niedogodnościom, które w minionych dniach nękały relacje człowiek-maszyna.

Jednak pierścienie nigdy nie zawiodły.

Robiły dokładnie to, do czego zostały przeznaczone: pobierały próbki DNA z ust tych, którzy je całowali, żeby uzyskać immunitet, a także świeciły na czerwono, aby dać znać kosiarzom o niemożności zbiorów.

Jednak gdyby zapytać sędziego, jaki jest najważniejszy cel istnienia pierścienia, prawdopodobnie uniósłby go do światła, przyjrzał się połyskowi brylantu i odparł, że przede wszystkim służy jako symbol Kosodomu oraz pośmiertnej doskonałości. Że to

metafora wzniósłego statusu kosiarzy... i przypomnienie o ich poważnej odpowiedzialności wobec świata.

Ale te wszystkie kamienie, które przepadły...

– Do czego nam one potrzebne? – pytało wielu kosiarzy, wiedząc, że brak pierścieni sprawia, że ich własne stały się jeszcze cenniejsze. – Mają być dla nowych sędziów? A po co nam oni? Mamy wystarczająco wielu do tej roboty. – I bez globalnego nadzoru z Niezłomnego sporo regionalnych Kosodomów podążyło śladem Midmeryki i zniosło minimalne limity zbiorów.

W tej chwili na środku Oceanu Atlantyckiego, w miejscu, gdzie niegdyś unosiła się Wyspa Niezłomnego Serca, za zgodą kosiarzy z całego świata utworzono Krąg Czci. Nikt nie mógł wpływać do tego obszaru z szacunku dla tysięcy osób, które utraciły tam życie. Tak naprawdę Arcyostrze Goddard – jeden z nielicznych ocalałych tamtego straszliwego dnia – przekonał wszystkich, że Krąg Czci powinien stanowić stałą granicę i nic, co jest w jego obrębie pod powierzchnią wody, nie powinno zostać naruszone.

Lecz przedżej czy później brylanty musiały zostać odnalezione. Tak cenne rzeczy rzadko ginęły na zawsze. Zwłaszcza gdy wszyscy wiedzieli, gdzie dokładnie się znajdują.

*

My, mieszkańcy regionu subsaharyjskiego, odczuwamy skrajne oburzenie w związku ze zniesieniem przez Arcyostrze Goddarda minimalnych liczb zebranych. Progi te służyły nam od niepamiętnych czasów w celu regulowania odbierania życia i chociaż nie stanowią żadnego z przykazań kosiarzy, utrzymywały nas na właściwej drodze. Powstrzymywały, byśmy nie byli zbyt krwiożerczy lub zbyt pobłażliwi.

Chociaż parę innych regionów również zniosło limity, Subsahara, Amazonia, Israebia i kilka innych postanawiają przeciwstawić się tej nierozważnej zmianie.

Co więcej, kosiarzom z Midmeryki wydajemy zakaz dokonywania zbiorów na naszej ziemi i wzywamy inne regiony, aby przyłączyły się do nas w przeciwstawianiu się tak zwanemu nowemu porządkowi Goddarda, który pragnie zawładnąć całym światem.

- Oficjalna proklamacja

Jego Ekscelencji Arcyosztra Subsahary Tenkamenina

2. Spóźnieni na imprezę

– Długo jeszcze?

– To kosiarz może być aż tak niecierpliwy?

– Najwyraźniej nie znasz ich zbyt wielu. Jesteśmy niecierpliwi i często się irytujemy.

Sędzia Kosiarz Sydney Possuelo z Amazonii pojawił się na mostku tuż po wschodzie słońca. Jerico przemknęło przez myśl, czy mężczyzna w ogóle spał. Może kosiarze zatrudniali ludzi, którzy zapadali w sen za nich?

– Pół dnia przy pełnej prędkości. Będziemy na miejscu o osiemnastej, jak już wczoraj zostało wspomniane, sędzio.

Possuelo westchnął.

– Twój statek jest zbyt wolny.

Jerico to rozśmieszyło.

– Minęło tak wiele czasu, a panu się teraz spieszy?

– Czas nigdy nie jest decydującym czynnikiem, dopóki ktoś nie zdecyduje inaczej.

Było sporo prawdy w tym stwierdzeniu.

– W najlepszym świecie ta operacja odbyłaby się już dawno temu.

– Jeśli jeszcze tego nie widzisz – odparł kosiarz – to to już nie jest najlepszy ze światów.

I znowu prawda. Przynajmniej nie był to już świat, w którym Jerico przyszło się wychowywać. W tamtym Thunderhead uczestniczył w życiu większości ludzi. Można go było o wszystko zapytać i zawsze udzielał precyzyjnych, pouczających, mądrych odpowiedzi.

Ale tamten świat przepadł. Thunderhead zamilkł, a ludzie stali się bezmanierowcami.

Jerico pewnego razu również przypadł w udziale ten status. W nastoletnich latach. Nietrudno go było zdobyć – wystarczyło trzy razy dokonać kradzieży w lokalnym sklepie spożywczym. Radość z bycia bezmanierowcem trwała niecały dzień. Potem pojawiły się konsekwencje. Odmowa odpowiedzi Thunderheada nie stanowiła większego problemu, ale inne rzeczy zaczęły mocno irytować. Bezmanierowcy musieli stawać jako ostatni w kolejce do wydawania posiłków w szkolnej stołówce,

więc zawsze zostawały tylko te dania, których nie chcieli inni. Kazano im siadać z przodu klasy, gdzie pilnowali ich nauczyciele. I chociaż nie wykluczało to członkostwa w drużynie piłki nożnej, spotkania z agentem do spraw okresu warunkowego zawsze kolidowały z meczami. To było wyraźnie zamierzone.

Jerico wydawało się, że Thunderhead był pasywno-agresywny, lecz z czasem okazało się, że system rzadko miał coś do powiedzenia. Bezmanierowizm był wyborem i człowiek musiał zdecydować, czy rzeczy utracone warte są pozyskanych.

Lekcja została odrobiona. Wystarczył sam posmak. Zdjęcie czerwonego B z akt zajęło Jerico trzy miesiące, a kiedy zniknęło – bycie bezmanierowcem miało się już nie powtórzyć.

– Cieszę się, że zniesiono twój status – powiedział Thunderhead, gdy znów mogli rozmawiać. W odpowiedzi system dostał polecenie, by wyłączył światło w sypialni, ponieważ wydawanie rozkazów przywróciło Thunderheada tam, gdzie jego miejsce. Był sługą. Obsługiwał ludzkość. Musiał postąpić zgodnie z nakazem człowieka. Niezmienna pociecha.

A potem nastąpiła schizma między ludzkością a jej największym stworzeniem. Zatonęła Wyspa Niezłomnego Serca, a Thunderhead w jednej chwili uznał wszystkich za bezmanierowców. Nikt wtedy nie wiedział, co dokładnie oznacza dla ludzi utrata Światowej Rady Kosiarzy, ale cisza Thunderheada wywołała zbiorową panikę. Bezmanierowizm nie był już wyborem – teraz stanowił wyrok. Cisza zaś wystarczyła, aby zmienić służalczość w zwierzchnictwo. Sługa stał się panem, a świat zaczął skupiać się na tym, by zadowolić Thunderheada.

„Co mogę zrobić, by uchylić wyrok?” – zastanawiali się ludzie. „W jaki sposób zdołam ponownie pozyskać przychylność Thunderheada?” System nigdy nie wymagał uwielbienia, ale w tej chwili ludzie je okazywali, wręcz wznosili modły, mając nadzieję, że Thunderhead zwróci na nich uwagę. Oczywiście system słyszał płacz ludzkości. Wciąż wszystko widział, lecz zachowywał wszelkie opinie dla siebie.

Samoloty nadal latały, a ambudrony transportowały uśmierconych, wciąż hodowano i rozprowadzano żyworność – Thunderhead pilnował funkcjonowania świata z tą samą chirurgiczną precyzją. Robił to, co uznawał za stosowne dla całej ludzkiej rasy. Jednak jeśli ktoś chciał włączyć lampkę na swoim biurku, musiał zrobić to samodzielnie.

Kosiarz Possuelo został na mostku, aby nieco dłużej obserwować postępy. Żeglowali bez problemów, co oznaczało sporą monotonię, zwłaszcza dla kogoś, kto nie był do tego przyzwyczajony. Zszedł, aby zjeść śniadanie w swojej kajucie, a ciemnozielona toga powiewała za nim, gdy kierował się wąskimi schodkami w stronę niższego pokładu.

Jerico ciekawiło, co też działało się w głowie kosiarza. Czy martwił się, że potknie się o własną togę? Czy przeżywał minione zbiory? A może myślał o tym, co zje na śniadanie?

– Nie jest taki zły – rzucił Wharton, który zajmował stanowisko starszego oficera dłużej niż Jerico kapitana.

– Naprawdę go lubię. Jest o wiele szacowniejszy niż wszyscy „szacowni kosiarze”, których widywaliśmy.

– Wielce wymowne, że wybrał akurat nas – zaznaczył z naciskiem Wharton.

– Tak, chociaż nie wiem, co to oznacza.

– Wierzę, że to mądry wybór ścieżki kariery.

Słowa te były niezłym komplementem ze strony Whartona – który nie sypał pochlebstwami na prawo i lewo. Jednak decyzja nie należała do Jerico.

– Stało się tak za radą Thunderheada.

Kilka lat wcześniej, gdy system zasugerował, że odnajdzie szczęście na morzu, Jerico dopadła irytacja. Ponieważ Thunderhead miał rację. Dokonał wybornej oceny tego, co chodziło Jerico po głowie. I sugestia Thunderheada stanowiła podpowiedź. Przed Jerico stało otworem wiele ścieżek kariery na morzu. Byli tacy, którzy podróżowali po świecie i poszukiwali idealnej fali do surfowania. Inni spędzali czas, ścigając się katamaranami lub przemierzając oceany na żaglowcach wzorowanych na jednostkach z minionych epok. Ale to były tylko rozrywki niesłużące żadnemu praktycznemu celowi poza czystą radością. Jerico podobało się szczęście, które miało też wymiar funkcjonalny. Kariera, która ofiarowała światu coś namacalnego.

Eksploracje morskie okazały się więc zbawieniem – i nie chodziło jedynie o to, aby zapewnić sobie pracę, wydobywać rzeczy, które Thunderhead celowo zatopił. Zachowanie to nie byłoby lepsze od wykopywania przez dzieci plastikowych dinozaurów z piaskownicy. Jerico przyszło do głowy, żeby odzyskiwać rzeczy, które naprawdę zginęły, co oznaczało nawiązanie relacji z Kosodomami na całym świecie, bo choć statki pod jurysdykcją Thunderheada nigdy nie tonęły, te należące do kosiarzy podatne były na awarie mechaniczne oraz ludzkie błędy.

Wkrótce po ukończeniu szkoły średniej Jerico udało dostać się na praktykę w niezbyt znamienitej ekipie eksploracyjnej, która płynąła po zachodniej części Morza Śródziemnego. A kiedy jacht kosiarza Dalego zatonął na płytach wodach u wybrzeża Gibraltaru, przed Jerico pojawiła się nieoczekiwana szansa na awans.

Z pomocą standardowego ekwipunku do nurkowania Jerico wraz z grupą pierwszych osób dotarli do wraku. I kiedy inni nadal obserwowali miejsce zdarzenia, Jerico – wbrew rozkazom kapitana – przyszło na myśl, aby wpłynąć do środka, odnaleźć ciało kosiarza i je wydobyć.

Zwolnienie już czekało na powierzchni. Nic dziwnego, zignorowanie bezpośredniego rozkazu oznaczało bunt. Było jednak dość przemyślanym posunięciem. Ponieważ kiedy kosiarz Dali i jego załoga zostali ożywieni, pierwszą rzeczą, którą chciał wiedzieć sędzia, było to, kto wydobył go z wraku.

Dali okazał się nie tylko wdzięczny, ale również wyjątkowo hojny. Całą ekipie eksploracyjnej zapewnił rok immunitetu od zbiorów i postanowił obdarzyć czymś wyjątkowym tego, kto się tak bardzo poświęcił, aby wydobyć jego martwe ciało – bo, jak twierdził, najwyraźniej osoba ta miała uporządkowane priorytety. Kosiarz Dali zapytał o to, co Jerico chce w życiu osiągnąć.

– Pragnę w przyszłości przeprowadzić własną ekspedycję wydobywczą.

Dali mógł szepnąć dobre słowo tam i ówdzie, ale zamiast tego kupił E.L. Spence'a – spektakularny stumetrowy oceaniczny statek badawczy dostosowany do wydobywania rzeczy z dna.

– Obejmiesz dowództwo – oznał Dali. A ponieważ *Spence* miał już kapitana, kosiarz natychmiast dokonał jego zbioru, po czym poinstruował załogę, że ma być posłuszna nowemu, inaczej również zostanie zebrana. To było, delikatnie mówiąc, dość niezwykłe.

Jerico nie przyszło do głowy, że obejmie dowództwo statku w taki sposób, lecz nie było w tej kwestii większego wyboru, podobnie jak w przypadku zebranego kapitana. Zdawszy sobie sprawę, że załoga nie będzie chciała przyjmować rozkazów od zaledwie dwudziestoletniego kapitana, rozgłoszono kłamstwo, że nowy dowódca jest po czterdziestce, ale niedawno zwrócił znad krawędzi. Ich sprawa, czy w to uwierzyli.

Minęło sporo czasu, zanim marynarze przekonali się do nowej władzy na statku. Niektórzy się buntowali. Na przykład zatrucie pokarmowe w pierwszym wspólnym tygodniu najpewniej można by przypisać kucharzowi. I chociaż testy genetyczne

dokładnie by określiły, czyje odchody trafiły do butów zwierzchnictwa, ściganie sprawcy nie było warte zachodu.

Spence i jego załoga wyruszyli w podróz po świecie. Już wcześniej ekipa wyrobiła sobie markę, jednak Jerico i pierwszy oficer zdecydowali mądrze, aby zatrudnić zespół nurków z Tasmanii, którzy mieli skrzela. Dzięki połączeniu ludzi, potrafiących oddychać pod wodą, oraz pierwszorzędnej ekipy eksploracyjnej stali się rozchwytywani przez kosiarzy na całym świecie. Wydobycie ciała sędziego, kiedy można było zająć się ratowaniem innych rzeczy, zapewniło Jerico szacunek.

Załoga *Spence'a* podniosła barkę kosiarza Akhenatena z dna Nilu, wyłowiąła ciało kosiarza Earhart po niefortunnym locie, a kiedy łódź podwodna Wielkiego Pogromcy Amundsena zatonęła w wodach lodowca szelfowego Rossa na Antarktydzie, wezwano ich, by wydobyć topielca.

Pod koniec pierwszego roku pływania załogi pod komendą Jerico pośrodku Oceanu Atlantyckiego zatonęła Wyspa Niezłomnego Serca, co dało podwaliny pod największą operację wydobywczą w historii.

Jednak misja była tajna.

Po zniknięciu Światowej Rady Kosiarzy na świecie nie istniał nikt, kto mógłby zezwolić na eksplorację zatopionego miasta. W dodatku w Midmeryce Goddard bredził, by nie przekraczać Kręgu Czci, żeby pozostawić szczątki Niezłomnego w otchłani. Kosodomy sprzymierzone z Goddardem patrolowały obwód Kręgu Czci i dokonywały zbioru każdego, kto się tam zapędził. Wyspa zatonęła na głębokości trzech i pół kilometra, ale równie dobrze mogła zginąć w przestrzeni międzygwiazdnej.

Przy całym tym bałaganie potrzeba było trochę czasu, aby któryś region zebrał się na odwagę i zdecydował o próbie eksploracji, ale kiedy Amazonia wyraziła swą chęć, dołączyły inne Kosodomy. Ponieważ Amazonia jako pierwsza podjęła się zadania, domagała się przywództwa. Inni burczeli, nikt jednak oficjalnie się nie sprzeciwił, głównie dlatego, że to właśnie ten region miał ponieść ciężar gniewu Goddarda.

– Nasz obecny kurs jest różny od właściwego o kilka stopni – zwrócił uwagę Wharton, gdy Possuelo zniknął z mostka.

– Skorygujemy go w południe. Opóżni to nasze przybycie o kilka godzin. Nie ma nic bardziej niezręcznego, niż przybyć za dnia, choć zbyt późno, aby rozpocząć operację, za wcześnie zaś, żeby nazwać to nocą.

– Słusznie, panie kapitanie – odparł Wharton, po czym rzucił okiem na zewnątrz i zawstydzony się poprawił: – Przepraszam, pani kapitan, mój błąd. Przed chwilą było pochmurno.

– Nie musisz przepraszać, Whartonie. Nie zwracam na to uwagi, szczególnie w dzień, gdy jest tyle samo słońca co chmur.

– Tak, pani kapitan – odparł oficer. – Nie chciałem obrazić.

Na twarzy Jerico mógłby pojawić się uśmiešek, ale oznaczałby brak szacunku dla Whartona, którego przeprosiny – choć niepotrzebne – zdawały się szczerze. Mimo że do zadań marynarza należało oznaczanie pozycji słońca i gwiazd, nie byli oni przyzwyczajeni do płynności meteorologicznej.

Domem Jerico był Madagaskar – jeden z siedmiu regionów statutowych, w którym Thunderhead stosował różne struktury społeczne, aby przyglądać się doświadczeniom poszczególnych osób. Ludzie przybywali na Madagaskar ze względu na wyjątkowość tego obszaru.

Tamtejszym dzieciom nie narzucono konceptu płci, mogły ją sobie wybrać dopiero po osiągnięciu dorosłości. Nawet wtedy wiele osób jej nie określało. Niektóre, jak Jerico Soberanis, stawiały na płynność.

– W słońcu i pod gwiazdami czuję się jak kobieta. Pod niebem pełnym chmur czuję się mężczyzną – padło wyjaśnienie na samym początku rządów Jerico na statku. – Rzut oka w góre podpowie wam, jak się w danej chwili do mnie zwracać.

To nie sama płynność przeszkadzała załodze – była przecież dość powszechna – marynarze nie potrafili przyzwyczaić się do meteorologicznego aspektu samoidentyfikacji Jerico. Wychowanie się w miejscu, w którym takie rzeczy były normą, spowodowało, że Jerico nawet nie przyszło do głowy, że mogą stanowić kłopot gdzieś indziej na świecie. Niektóre rzeczy po prostu sprawiały, że człowiek czuł się kobieco, a inne – męsko. Czy nie dotyczyło to wszystkich, niezależnie od płci? A może binarni odmawiali sobie rzeczy, które nie wpisywały się w schemat? Cóż, niezależnie od powodu Jerico śmieszyło nadmierne kajanie się za pomyłki.

– Ile według ciebie będzie na miejscu innych ekip eksploracyjnych?

– Dziesiątki – odparł oficer Wharton. – I jeszcze więcej jest w drodze. Jesteśmy spóźnieni na tę imprezę.

Jerico zajęło ledwie moment, żeby zastanowić się nad pomysłem.

– Bynajmniej. Mamy kosiarza na pokładzie, dzięki czemu jesteśmy okrętem flagowym tej operacji. Impreza nie rozpocznie się bez nas, a mam zamiar zrobić

wielkie wejście.

– Nie wątpię, panie kapitanie – powiedział Wharton, ponieważ chmury zasnuły słońce.

*

O zmierzchu *Spence* zbliżył się do miejsca zatonięcia Wyspy Nieszłomnego Serca.

– Przy Kręgu Czci czekają siedemdziesiąt trzy jednostki różnych typów – poinformował oficer Wharton.

Kosiarz Possuelo nie zdołał ukryć niesmaku.

– Nie są lepsi od rekinów, które pożarły Wielkich Pogromców.

Kiedy zaczęli mijać najbardziej oddalone od strefy statki, Jerico zauważyła na ich drodze jeden znacznie większy niż *Spence*.

– Opłyńmy go – zasugerował Wharton.

– Nie. Utrzymuj obecny kurs – odpowiedziała kapitan.

Oficer się zmartwił.

– Staranujemy go.

Jerico uśmiechnęła się cwaniacko.

– Więc będzie musiał się przesunąć.

Possuelo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To od początku ustali, kto dowodzi w tej operacji – stwierdził. – Podoba mi się twój instynkt, Jeri.

Wharton rzucił okiem na tych dwoje. Z szacunku nikt z załogi nie zwracał się do kapitan „Jeri”, zarezerwowane to było wyłącznie dla przyjaciół i rodziny. Ale kosiarzowi Soberanis na to pozwoliła.

Spence gnał naprzód z pełną prędkością, a drugi statek przesunął się dopiero wtedy, gdy stało się jasne, że dojdzie do zderzenia, jeśli tego nie zrobi. Zręcznie wygrali zabawę w tchórza.

– Ustawcie nas na środku – poleciła Jerico, gdy wpłynęli w Krąg Czci. – Następnie powiadomcie pozostałe jednostki, że mogą do nas dołączyć. Jutro o szóstej rano ekipy mogą rozpocząć wysyłanie sond w celu zbadania zatopionego miasta. Powiedzcie, że wszystkie informacje mają być ogólnodostępne, a każdy przyłapany na ukrywaniu czegokolwiek zostanie zebrany.

Possuelo uniósł brwi.

- Przemawiasz teraz w imieniu Kosodomu?
- Próbuje zapewnić jedność – odparła Jerico. – Przecież wszyscy mogą stać się podmiotem zbiorów, nie mówię więc nic, czego by jeszcze nie wiedzieli. Przedstawiam to jedynie z innej perspektywy.

Possuelo głośno się roześmiał.

– Twoja zuchwałość przypomina mi młodą kosiarz, którą niegdyś znałem.

– Znał pan?

Possuelo westchnął.

– To była kosiarz Anastazja. Zginęła wraz ze swoją mentorką kosiarz Curie, gdy zatonęło Niezłomne.

– Znał pan kosiarz Anastazję? – zapytała ze zdumieniem Jerico.

– Tak – odparł sędzia – ale zbyt krótko.

– Cóż – stwierdziła Jerico – być może to, co wydobędziemy z głębin, przyniesie jej spokój.

*

Życzyliśmy kosiarz Curie i kosiarz Anastazji powodzenia w ich wyprawie do Niezłomnego i na kognicji przeciwko Goddardowi. Mam jedynie nadzieję, że Wielcy Pogromcy w swej mądrości zdyskwalifikują go, kończąc tym samym ubieganie się o stanowisko Arcyostrza. Muszę przebyć z Munirą pół świata, aby znaleźć potrzebne nam odpowiedzi.

Moja wiara w ten idealny świat wisi w tej chwili na włosku. To, co miało być doskonałe, nie pozostanie takim na długo. Nie, gdy nasze własne wady wypełniają pęknięcia, niszcząc wszystko, nad czym tak ciężko pracowaliśmy.

Tylko Thunderhead pozostaje bez zarzutu, jednak nie wiem, co dzieje się w jego umyśle. Nie znam jego myśli, ponieważ jestem kosiarzem, więc domena systemu pozostaje poza moim zasięgiem, tak samo jak moja zaszczytna praca odbywa się poza jego globalną jurysdykcją.

Kosiarze założyciele obawiali się naszej własnej pychy – bali się, że nie zdołamy zachować cnoty, bezinteresowności, honoru, czego wymaga od nas nasza praca. Martwili się, że możemy się pysznić, stać się nadęci własnym oświeceniem, że niczym Ikar za bardzo zbliżymy się do słońca.

Przez ponad dwieście lat udowadnialiśmy, że jesteśmy godni. Spełnialiśmy wszelkie oczekiwania. Jednak sytuacja zmieniła się w okamgnieniu.

Wiem, że istnieje zabezpieczenie, które zostawili nam założyciele. Guzik bezpieczeństwa na wypadek niepowodzenia Kosodomu. Ale czy jeśli go odnajdę, będę miał odwagę go nacisnąć?

- Z „pośmiertnego” dziennika S.K. Michaela Faradaya

31 marca Roku Raptora

3. Orzeźwiający sposób, aby rozpocząć tydzień

W dniu, w którym zatonęło Niezłomne, mały samolot spoza sieci poleciął do miejsca, które nie istniało.

Munira Atrushi, niegdyś bibliotekarka, pracująca na nocnej zmianie w Wielkiej Bibliotece Aleksandryjskiej, siedziała na miejscu pasażera, podczas gdy pilotowała sędzia Michael Faraday.

– Nauczyłem się pilotażu we wczesnych latach pracy jako kosiarz – wyznał. – Stwierdziłem, że latacie jest dość kojące. Przenosi umysł w inne, spokojniejsze miejsce.

To może sprawdzało się w jego przypadku, jednak niezbyt działało na pasażerów, ponieważ każdy wstrząs sprawiał, że Munira kurczowo zaciskała palce na siedzeniu.

Dziewczyna nigdy nie była fanką podniebnych podróży. Jasne, zapewniały całkowite bezpieczeństwo i nikt jeszcze nie umarł na zawsze, lecąc samolotem. Jedyny odnotowany incydent po Epoce Śmiertelności dotyczył samolotu rejsowego, w który – pech chciał – uderzył meteoryt.

Thunderhead natychmiast katapultował wszystkich pasażerów, aby ochronić ich przed zmiażdżeniem i spaleniem. Zamiast okrutnego zgonu czekało ich tymczasowe uśmiercenie w rozrzedzonym powietrzu na wysokości przelotowej. W ciągu kilku sekund zamarzli i spadli do rosnącego pod nimi lasu. Niezwłocznie wysłano ambudrony, które w ciągu godziny zgarnęły wszystkie ciała. Przetransportowano je do centrów ożywiania i kilka dni później ludzie wsiedli na pokład nowego samolotu udającego się do tego samego miejsca przeznaczenia.

– Odświeżający sposób, by rozpocząć tydzień – powiedział w późniejszym wywiadzie jeden z pasażerów.

Tak czy inaczej, Munira nie lubiła latać. Zdawała sobie jednak sprawę, że jej strach był zupełnie irracjonalny. A przynajmniej takim się zdawał, dopóki kosiarz Faraday nie wytknął, że kiedy tylko wyjdą poza znana przestrzeń powietrzną, będą zdani wyłącznie na siebie.

– Gdy znajdziemy się w martwym polu na Oceanie Spokojnym, nikt nie będzie nas namierzał, nawet Thunderhead – wyznał Faraday. – Nikt się nie dowie, czy przeżyjemy, czy też umrzemy.

Oznaczało to, że jeżeli mieliby pecha i w nich również uderzyłby meteoryt lub przydarzyłaby się im jakaś inna niespodziewana katastrofa, nie przyleciały ambudrony, by przetransportować ich do centrum ożywiania. Umarły na zawsze, zupełnie jak śmiertelnicy – nieodwoalnie, jakby zostali zebrani.

Sytuacji nie poprawiała świadomość, że samolot pilotował Faraday, zamiast pozwolić mu samodzielnie lecieć. Munira ufała szacownemu kosiarzowi, mimo to jego też tyczył się czynnik błędu ludzkiego.

I to wszystko jej wina. To ona wydedukowała, że Thunderhead miał martwe pole na południu Oceanu Spokojnego. Miejsce z wyspami. A dokładniej – atolami. Były to stożki dawno nieaktywnych wulkanów, tworzące serię kolistych łańcuchów wysepek. Cały ten obszar kosiarze założyciele ukryli przed Thunderheadem – a właściwie przed całym światem. Pytaniem pozostawało: po co?

Zaledwie trzy dni wcześniej Faraday i Munira spotkali się z kosiarzem Curie i kosiarzem Anastazją i podzielili się z nimi swoimi podejrzeniami.

– Uważaj, Michaelu – powiedziała kosiarz Curie. Munirę zatrwożyło, że sędzia zaniepokoila się ich odkryciem. Kobieta była przecież nieustraszona... a jednak martwiła się o nich. To naprawdę poważna sprawa.

Faraday również miał wątpliwości, choć nie chciał podzielić się nimi z Munirą. Pragnął, by postrzegała go jako silnego. Po spotkaniu komercyjnym środkiem transportu udali się incognito na zachód Meryki. Resztę drogi mieli przebyć sami, musieli jedynie zdobyć samolot. Chociaż Faraday miał prawo skonfiskować wszystko, co tylko chciał, bez względu na to, jak duże to było i do kogo należało, nieczęsto korzystał z tego przywileju. Na początku kariery obrał sobie za cel pozostawienie po sobie jak najmniejszego śladu w życiu tych, których spotała. Oczywiście o ile jego celem nie był ich zbiór. W takim przypadku ślad Faradaya był ostateczny.

Jednak odkąd sfingował własną śmierć, nie zebrał nikogo. Jako martwy nie mógł odbierać życia – bo gdyby to zrobił, dowiedziałby się o tym Kosodom, ponieważ za pomocą pierścienia do bazy danych trafiały wszystkie zbiory. Rozważył, czy nie pozbyć się klejnotu, ostatecznie go zatrzymał. To kwestia honoru, a nawet dumy. Wciąż był kosiarzem i nie zamierzał okazać braku szacunku dla tej instytucji, pozbywając się pierścienia.

W miarę upływu czasu coraz mniej brakowało mu zbiorów. Poza tym w tej chwili miał zupełnie inne zajęcie.

Cały dzień spędzili w Angel City, mieście, które w Epoce Śmiertelności stało się miejscem fascynacji, jak również osobistych tragedii. Teraz był to tylko park rozrywki. Następnego ranka Faraday włożył togę, której ostatnio nie nosił zbyt często, i udał się na przystań. Zawłaszczył najlepszy hydroplan, jaki znalazł: ośmioosobową, odrzutową amfibię.

– Proszę zadbać, żeby ogniw paliwowych wystarczyło na podróż przez Ocean Spokojny – polecił kierownikowi przystani. – Zamierzamy wyruszyć tak szybko, jak będzie to możliwe.

Faraday bez togi był człowiekiemgodnym uwagi, jednak Munira musiała przyznać, że w niej prezentował się onieśmielająco, jak najlepsi z kosiarzy.

– Będę musiał porozmawiać z właścicielem – odparł drżącym głosem kierownik.

– Nie – rzekł spokojnie Faraday. – O wszystkim poinformujesz właściciela po naszym odlocie, bo nie mam czasu czekać. Powiesz, że kiedy skończę, maszyna zostanie zwrócona, a ja uiszę sowitą opłatę za wynajem.

– Tak, sędzio – odparł mężczyzna, bo cóż innego mógłby powiedzieć kosiarzowi?

Faraday siedział skupiony za sterami, a Munira nieustannie sprawdzała, czy nie śpi i czy się nie zdekcentrował. Liczyła turbulencje, na które natrafiali po drodze. Do tej pory było siedem powietrznych dziur.

– Jeśli Thunderhead kontroluje pogodę, dlaczego nie zapewnił nam bezproblemowego korytarza powietrznego? – zapytała.

– Nie kontroluje pogody – wytnął Faraday – tylko nieznacznie na nią wpływa. A poza tym Thunderhead nie może wtrącać się w sprawy kosiarza, bez względu na to, jak bardzo jego współpracowniczka gardzi rozrzedzonym powietrzem.

Munira doceniała, że sędzia nie odnosił się już do niej jako swojej asystentki. Dowiodła, że jest kimś znacznie więcej, ponieważ to ona odnalazła martwe pole. Przeklinała własną inteligencję! Mogłaby przecież zostać w Bibliotece Aleksandryjskiej, ale nie, musiała wykazać się ciekawością. A jak brzmiało to niegdysiejsze powiedzenie śmiertelników? Ciekawość to pierwszy stopień do piekła?

Kiedy sunęli po bezchmurnym niebie nad Oceanem Spokojnym, nagle w radiu zaczęło dziwnie sprzegać. Dźwięk był niemal ogłuszający i trwał przez minutę, nie ustął, nawet gdy Faraday chciał wyłączyć przekaźnik. Munira odniosła wrażenie, jakby zaraz miały eksplodować jej bębenki, a sędzia musiał puścić stery, żeby zakryć uszy, przez co samolotem zaczęło rzucać. Okropny dźwięk ucichł tak nagle, jak się pojawił. Faraday pospiesznie odzyskał kontrolę nad samolotem.

– Co to, u licha, było? – zapytała, choć nadal dzwoniło jej w uszach.

Faraday trzymał ręce na drążku, wciąż próbując się uspokoić.

– Przypuszczam, że jakaś zapora elektromagnetyczna. Wierzę, że oznacza to, iż właśnie wlecieliśmy do martwego pola.

Później przestali się skupiać na dźwięku i żadne nie domyśliło się, że był słyszalny jednocześnie na całym świecie, a w pewnych kręgach miał przejść do historii jako Wielki Rezonans. Była to chwila, w której zatonęła Wyspa Niezłomnego Serca oraz w której zamilkł Thunderhead.

A ponieważ Faraday i Munira znaleźli się poza wpływem systemu, kiedy przekroczyli granicę martwego pola, nie byli świadomi tego, co działało się w zewnętrznym świecie.

*

Z tak dużej wysokości zatopione kratery Wysp Marshalla były świetnie widoczne – wielkie laguny z wieloma otaczającymi je wysepkami. Atol Ailuk, atol Likiep. Nie zauważali żadnych budynków, doków, ruin, które wskazywałyby na ludzką obecność. Na świecie znajdowało się wiele dzikich terenów, lecz miejsc tych pilnowały oddziały utrzymania dzicy Thunderheada. Nawet w najgłębszej dżungli znajdowały się wieże komunikacyjne i lądowiska ambudronów, w razie gdyby odwiedzający zostali ranni lub tymczasowo uśmierceni. Jednak tutaj nie było nic. Niesamowite.

– Jestem pewien, że ludzie niegdyś tu mieszkali – wyznał Faraday. – Ale kosiarze założyciele albo ich zebraли, albo co bardziej prawdopodobne, przenieśli poza martwe pole, aby utrzymać swoje tutejsze działania w jak największej tajemnicy.

W końcu w oddali zamajaczył atol Kwajalein.

– „Na południe więc drogą, zostawiając bikini za sobą, udajmy się do Kraju Nod” – zacytował Faraday starą dziecięcą rymowankę. I oto dotarli. Znajdowali się na południe od atolu Bikini, w samym centrum martwego pola. – Cieszysz się, Muniro? – zapytał. – Poznając wiedzę kosiarza Prometeusza oraz innych kosiarzy założycieli? Rozwiąkując zagadkę, którą nam pozostawili?

– Nie ma gwarancji, że cokolwiek znajdziemy – wytknęła Munira.

– Jak zawsze optymistka.

Wszyscy sędziowie wiedzieli, że kosiarze założyciele przygotowali rozwiązanie awaryjne dla społeczeństwa, w razie gdyby nie wypaliła koncepcja Kosodomu.

Alternatywne rozwiązywanie problemu nieśmiertelności. Jednak nikt już nie traktował tego poważnie. Dlaczego ktokolwiek miałby się przejmować, skoro przez ponad dwieście lat Kosodom był idealnym rozwiązaniem dla świata? Nikt nie myśli o potencjalnej awarii, dopóki coś się nie zepsuje.

Jeśli kosiarz Curie i kosiarz Anastazji powiodło się na Niezłomnym i ta pierwsza została Arcyostrzem Midmeryki, być może zdoła zwrócić Kosodom ze ścieżki zagłady, na której postawił go Goddard. Jednak jeśli im się nie powiodło, świat może będzie potrzebował tego zabezpieczenia.

Zniżyli się do wysokości tysiąca pięciuset metrów, a w miarę obniżania pułapu zaczęli dostrzegać szczegóły – bujne gaje, piaszczyste plaże. Główna wyspa atolu Kwajalein miała kształt długiego, smukłego bumerangu i na niej dostrzegli wreszcie coś, czego nie widzieli na innym lądzie w martwym polu, a mianowicie oznaki ludzkiej bytności. Niską roślinność, która obrosła to, co niegdyś było drogami, fundamenty wytyczające miejsca, w których kiedyś pieły się budynki.

– Mamy to! – wykrzyknął Faraday i popchnął wolant, aby podejść niżej i lepiej się przyjrzeć.

Munira poczuła, że nanity rejestrują ulgę.

Ulgę, która zaraz zniknęła.

*

– Nieokreślona jednostko, dokonaj identyfikacji – padł automatyczny komunikat wygenerowany głosem, który brzmiał zbyt ludzko, aby naprawdę był człowiekiem, i ledwie dało się go usłyszeć przez zakłócenia.

– Spokojnie – koił Faraday, po czym podał uniwersalny kod Kosodomu.

Na chwilę zapadła cisza, po czym:

– Nieokreślona jednostko, dokonaj identyfikacji.

– Niedobrze – zaniepokoїła się Munira.

Faraday skrzywił się do niej, a potem ponownie odezwał się do transmitemera:

– Tu Sędzia Kosiarz Michael Faraday z Midmeryki, proszę o pozwolenie na podejście do lądowania na głównej wyspie.

Znów zapadła cisza, a po niej:

– Wykryto pierścień kosiarza.

Zarówno Faraday, jak i Munira odetchnęli z ulgą.

– No i proszę – powiedział sędzia. – Od razu lepiej.

Automat ponownie się odezwał:

– Nieokreślona jednostko, dokonaj identyfikacji.

– Co? Powiedziałem, że tu sędzia Michael Faraday...

– Kosiarz nieroznany.

– Oczywiście, że pana nie zna – domyśliła się Munira. – Nie było pana jeszcze na świecie, gdy wdrożono ten system. Prawdopodobnie ma pana za oszusta ze skradzionym pierścieniem.

– Rety!

W tej samej chwili wyspa zaatakowała. Impuls lasera wystrzelony gdzieś z lądu trafił w lewy silnik, wywołując wybuch, którego huk poczuli aż w kościach, jakby sami zostali uderzeni.

To było to, czego obawiała się Munira. Natężenia wszystkich najgorszych scenariuszy. Jednak mimo to odnalazła w sobie odwagę i jasność umysłu, jakich się nie spodziewała. Samolot został wyposażony w kapsułę bezpieczeństwa. Munira sprawdziła ją nawet przed startem, aby mieć pewność, że działa.

– Kapsuła – powiedziała Faradayowi. – Musimy się spieszyć!

Sędzia uparcie tkwił przy trzeszczącym radiu.

– Tu kosiarz Michael Faraday!

– To maszyna – przypomniała mu bibliotekarka – i to niezbyt mądra. Nie można z nią dyskutować.

Dowód na to dostali sekundę później, gdy drugi strzał rozbił przednią szybę i podpalił kokpit. Na większej wysokości zostaliby wyssani, ale znajdowali się na tyle nisko, że los zaoszczędził im wybuchowej dekompresji.

– Michaelu! – krzyknęła Munira, używając imienia kosiarza, na co nigdy wcześniej się nie odważyła. – To na nic! – Rozbitý samolot znacznie się przechylił i nurkował w kierunku wody. Nawet najzdolniejszy pilot by ich z tego nie wyprowadził.

W końcu Faraday się poddał, opuścił kokpit i razem przemierzyli spadający pod kątem kadłuba odrzutowca, aby dotrzeć do kapsuły bezpieczeństwa. Wdrapali się do niej, ale nie mogli jej zamknąć, bo toga kosiarza zaczepiła się o zamek.

– Niech to szlag! – warknął i pociągnął tak mocno, że rozdarł materiał, aby zamek mógł się zatrzasnąć. Kiedy zostali zamknieni w środku, mechanizm uwolnił pianę żelową, która wypełniła przestrzeń, i kapsuła odłączyła się od samolotu.

Nie było w niej okien, nie mieli więc sposobności widzieć, co się wokół nich dzieje. Nie czuli nic prócz ekstremalnych zawrotów głowy, gdy kapsuła oderwała się od nurkującego już odrzutowca.

Munira sapnęła, gdy w jej ciało wbiły się igły. Wiedziała, że się pojawią, a mimo to była w szoku, gdy weszły w skórę w przynajmniej pięciu miejscach.

– Nie znoszę tego – jęknął Faraday, który żył już tak długo, że na pewno doświadczył kiedyś przebywania w kapsule bezpieczeństwa, dla Muniry zaś całe wydarzenie było przerażającą nowością.

Kapsuły zaprojektowano tak, by pozbawiały swoich pasażerów przytomności – aby każdy, kto zostanie ranny podczas lądowania awaryjnego, spał, leczony własnymi nanitami. Następnie budził się, gdy uzdrowiło się jego ciało, a jeśli nastąpiła śmierć, zabierano go do centrum ożywiania. Podobnie jak pasażerowie samolotu, w który trafił meteoryt, obudziliby się podekscytowani całą sprawą.

Nie dotyczyłoby to Muniry i Faradaya, gdyby zabił ich upadek.

– Jeśli zginiemy – lekko wybełkotał Faraday – szczerze cię przepraszam, Muniro.

Chciała odpowiedzieć, ale straciła świadomość.

*

Pozbawiono ich poczucia upływu czasu.

W jednej chwili Munira zapadała się w ciemność, w kolejnej patrzyła na kołyszące się palmy, których liście chroniły ją przed słońcem. Wciąż znajdowała się w kapsule, ale otwartej, i była sama. Usiadła, po czym wydostała się z dopasowanej do jej ciała pianki.

W pobliżu linii drzew Faraday nad niewielkim ogniskiem piekł na kiju rybę i pił wodę kokosową prosto z orzecha. Rozdarta o zamek kapsuły toga ciągnęła się po piasku. Była brudna. Wydawało się dziwne, że wspaniały kosiarz Michael Faraday miał na sobie coś, co zdawało się niedoskonałe.

– Ach – rzucił jowialnie. – W końcu odzyskałaś przytomność! – Podał jej orzecha, by mogła się napić.

– Cud, że przeżyliśmy – odparła. Dopiero gdy poczuła zapach pieczonej na ogniu ryby, zrozumiała, jaka jest głodna. Kapsuła mogła zapewnić pasażerowi nawodnienie nawet przez kilka dni, lecz nie dostarczała żadnych wartości odżywczych. Głód świadczył o tym, że przebywała w niej przynajmniej dobę lub może dłużej.

– Prawie nie przeżyliśmy – powiedział Faraday i podał Munirze rybę. Sam zajął się nadziewaniem na patyk kolejnej. – Według nagrań kapsuły spadochron uległ awarii. Zapewne pocięły go szczątki samolotu lub trafił laser. Dość mocno uderzyliśmy w wodę i mimo wypełnienia wnętrza pianą doznaliśmy silnego wstrząsu mózgu oraz licznych złamań żeber. Miałaś przebite płuco, przez co uleczenie cię zajęło nanitom kilka godzin więcej niż mnie.

Kapsuła miała system umożliwiający lądowanie na wodzie, który bezpiecznie dostarczył ich na brzeg, a w tej chwili znajdowała się do połowy zagrzebana w piasku, wytrzymawszy dwa dni dość dużych fal.

Munira rozejrzała się, a Faraday musiał odczytać wyraz jej twarzy, bo powiedział:

– Nie martw się, system obronny wyspy najwyraźniej śledzi tylko zbliżające się jednostki. Kapsuła podpłynęła do brzegu niewykryta.

Natomiast odrzutowiec, który Faraday obiecał zwrócić, leżał teraz w kawałkach na dnie Oceanu Spokojnego.

– Jesteśmy rozbitkami! – wykrzyknął.

– To dlaczego pan tak się z tego cieszy?

– Bo dotarliśmy na miejsce, Muniro! Zrobiliśmy to! Osiagnęliśmy coś, czego nie dokonał nikt po końcu Epoki Śmiertelności! Znaleźliśmy Kraj Nod!

*

Atol Kwajalein z samolotu wyglądał na niewielki, ale teraz, gdy znajdowali się na ziemi, wydawał się ogromny. Główna wyspa nie była szeroka, ale ciągnęła się chyba w nieskończoność. Wszędzie znajdowały się pozostałości dawnych budowli – więc być może uda im się znaleźć tu to, czego szukali, i nie będą musieli przemieszczać się na sąsiednie wysepki. Problem polegał jednak na tym, że nie wiedzieli dokładnie, czego szukają.

Odkrywali więc wyspę od świtu do zmierzchu i zapamiętywali znalezione relikty – a były wszędzie. Pokruszony asfalt od dawna pochłaniany przez las, kamienne fundamenty, na których niegdyś piętrzyły się budynki, stosy połamanego, zardzewiałego żelastwa i zużytej stali.

Posilali się rybami i dzikim ptactwem, którego na wyspie było pod dostatkiem, podobnie jak dziwacznych, najwyraźniej rodzimych drzew owocowych. Pewnie posadzono je na podwórzach, a zostały na długo po tym, gdy zniknęły domy.

– Co, jeśli niczego nie znajdziemy? – zapytała Munira na samym początku ich ekspedycji.

– Później będziemy się tym martwić – odparł.

– A co, jeśli nie będzie żadnego później? – wytknęła.

Przez pierwsze kilka dni – poza wieżą obronną, która zamknęła się niczym pionowy sarkofag – nie znaleźli nic ciekawego prócz potłuczonych porcelanowych umywalek i toalet oraz plastikowych pojemników, które najpewniej pozostaną niezmienione, dopóki Słońce nie stanie się gazowym olbrzymem i nie pochłonie wewnętrznych planet. To miejsce mogło być mekką dla archeologów, ale ich nie przybliżyło do odnalezienia tego, po co tu przybyli.

Wtem, pod koniec pierwszego tygodnia, gdy wspięli się na piaszczystą wydmę, zbyt geometryczną, aby mogła powstać naturalnie, i zaczęli kopać, odkryli warstwę betonu tak grubą, że nic nie zdołało zapuścić korzeni. Z pewnością miejsce to miało swój cel, choć w tej chwili nie potrafili go określić.

Niebawem z boku znaleźli drzwi niemal całkowicie zarośnięte pnączami. Wejście do bunkra.

Odsunęli roślinność i odkryli panel bezpieczeństwa. Napisy dawno się starły, lecz pozostało najważniejsze. Panel miał wgłębienie dokładnie odpowiadające wielkości i kształtowi kamienia w pierścieniu kosiarza.

– Widziałem je wcześniej – wyznał Faraday. – W starszych budynkach Kosodomu, do których dostęp dawały nam nasze pierścienie. Niegdyś miały inne cele poza przyznawaniem immunitetów i imponującym wyglądem.

Uniósł pięść i przycisnął klejnot do wgłębienia. Usłyszeli zgrzyt mechanizmu, ale oboje musieli użyć również siły własnych mięśni, aby otworzyć stare drzwi.

Unieśli latarki, które pozyskali ze skromnego wyposażenia kapsuły bezpieczeństwa. Poświecili nimi w zatęchłą ciemność i weszli do korytarza, który wiódł stromo w dół zbocza.

Bunkier w przeciwieństwie do wyspy nie został tknięty zębem czasu, choć wszędzie leżały kurz. Pękła tylko jedna ze ścian, a korzenie wsuwały się przez nią niczym macki starożytnego stwora, ale poza tym świat zewnętrzny nie wdarł się do środka.

W końcu korytarz otworzył się na pomieszczenie z wieloma stanowiskami pracy. Dostrzegli ekrany zabytkowych już komputerów. Przypominało to Munirze tajne pomieszczenie pod Biblioteką Kongresu, gdzie znaleźli mapę, która ich tutaj doprowadziła. W tamtej sali panował bałagan, lecz tę tutaj pozostawiono

w należytym porządku. Fotele dosunięto do biurek, jakby przeszła tedy ekipa sprzątająca. Na jednym z blatów stał kubek z nazwą jednej z postaci twórczości Hermana Melville'a, wydawało się, że czeka, aby ktoś do niego coś nalał. Tego pomieszczenia nie opuszczono w pośpiechu. Właściwie wcale go nie opuszczono – lecz przygotowano.

Munira nie mogła oprzeć się niesamowitemu wrażeniu, że ktokolwiek zostawił je takim ponad dwieście lat temu, wiedział, że przybędą.

*

Otwarta odpowiedź do Jego Ekscelencji Arcyostrza Subsahary Tenkamenina

Kategorycznie odmawiam honorowania waszego nieetycznego i obraźliwego ograniczenia wobec midmerykańskich kosiarzy. Ani teraz, ani nigdy nie uznam proklamacji jakiegokolwiek Arcyostrza, które zechce przepędzić moich kosiarzy ze swojego regionu.

Jak zapewne potwierdzi wasz kurator parlamentarny, kosiarze mogą dowolnie podróżować po całym świecie i dokonywać zbiorów, kogo tylko uznają za stosowne oraz kiedy tego zapragną.

Dlatego też wszelkie ograniczenia nie mają racji bytu, a każdy region, który dołączy do Subsahary w tym haniebnym przedsięwzięciu, spotka się z napływem midmerykańskich kosiarzy, choćby tylko po to, by podkreślić moje zdanie. Ostrzegam, że wszelkie działania w waszym regionie podjęte przeciwko moim sędziom spotkają się z życzliwą i natychmiastową odpowiedzią.

Z poważaniem
Jego Ekscelencja Arcyostrze Midmeryki Robert Goddard

4. Przedmioty wielkiej wartości

Pierwszy tydzień eksploracji Niezłomnego upłynął pod znakiem mapowania zatopionej wyspy oraz szerokiego pasa szczątków.

– Oto co wiemy – powiedziała kapitan Soberanis do kosiarza Possuela, uruchamiając holograf. – Wyspa Niezłomnego Serca zatonęła tuż przy grzbiecie podwodnego pasma górskiego. W drodze na dno uderzyła w jego szczyt i rozpadła się na trzy części. – Jerico obróciła obraz. – Dwie spoczęły na płaskowyżu na wschód od grzbietu, trzecia spadła do rowu po zachodniej stronie. I to wszystko w obrębie pola szczątków, które rozciąga się pod nami na dwadzieścia pięć mil morskich.

– Kiedy będziemy mogli zacząć wydobywać rzeczy? – zagadnął Possuelo.

– Trzeba najpierw przeprowadzić wiele badań i wszystko skatalogować – odpowiedziała Jerico. – Może zdołamy zacząć za miesiąc. Właściwa eksploracja zajmie lata. Może nawet dekady.

Possuelo przyjrzał się obrazowi na dnie, być może studując to, co zostało ze znajomej panoramy, szukając znanych mu punktów orientacyjnych. Potem obrócił mapę i wskazał na część w rowie. – Tutaj wygląda na niekompletną. Dlaczego?

– To z powodu głębokości. Zdradliwy teren utrudnia stworzenie obrazu, ale można to później naprawić. Możemy zacząć od pola szczątków i części wyspy, która leży na płaskowyżu.

Possuelo machnął lekceważącą ręką.

– Nie. Bardziej interesuje mnie część w rowie.

Jerico poświęciła chwilę, by przyjrzeć się kosiarzowi. Mężczyzna do tej pory był miły i otwarty, więc być może zrodziło się między nimi na tyle zaufania, żeby wyciągnąć od niego pewne informacje, którymi Possuelo zapewne nie chciał podzielić się z innymi.

– Pomogłoby nam, gdybyśmy wiedzieli, czy szuka pan czegoś konkretnego, sędzio.

Possuelo zastanowił się przez moment, zanim odpowiedział:

– Amazoński Kosodom zainteresowany jest odzyskaniem bezcennych artefaktów, a je można będzie znaleźć w ruinach Muzeum Kosodomu.

– Czy chodzi o Niezłomne Serce? – zapytała Jerico. – Wydaje mi się, że samo serce dawno przestało bić i zniszczało.

– Mieściło się w gablocie ochronnej – wyznał kosiarz. – Jakiekolwiek szczątki po nim pozostały, powinny znaleźć się w muzeum. – Po chwili dodał: – I były tam również inne rzeczy.

Kiedy stało się jasne, że Possuelo nie zamierza ujawnić nic więcej, Jerico powiedziała:

– Rozumiem. Poinstruuje pozostałe ekipy, że mogą eksplorować część wyspy leżącą na płaskowyżu. Nasza i tylko nasza ekipa zejdzie do rowu.

Possuelo nieco się odpreżył. Przez moment przyglądał się Jerico z ciekawością, podziwem lub po trochu jednym i drugim.

– Ile tak naprawdę masz lat, Jeri? – zapytał. – Załoga powiedziała mi, że przed objęciem dowództwa zdarzyło ci się zawrócić znad krawędzi, czyli jesteś przynajmniej dwa razy starsza niż twoje ciało... ale wydajesz się bardziej doświadczona. Mądrzejsza. Myślę, że nie po raz pierwszy się na to zdecydowałaś.

Jerico zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Nie mam tylu lat, ile daje mi załoga – odparła w końcu, ponieważ półprawda była lepsza niż kłamstwo.

*

Niezłomne Serce – od którego nazwę wzięło płyniące miasto – było najstarszym żyjącym sercem na ziemi, a żeby mogło zachować wieczną witalność, podtrzymywały je elektryczna stymulacja i odmładzające nanity. Zabiło ponad dziewięć miliardów razy i stało się symbolem człowieczego zwycięstwa nad śmiercią. Umarło jednak, gdy wyspa zatonęła i zanikło zasilanie elektrod.

Jak mówił kosiarz Possuelo, rzeczywiście znajdowało się w odpornej na uderzenia obudowie z hartowanego szkła... Ale mogło nie wytrzymać ciśnienia i implodować na długo, zanim gablota dotarła na dno oceanu. Co do samego serca – albo tego, co z niego zostało po implozji – nie natknęła się na nie ekipa badająca szczątki wyspy. Bez wątpienia zostało pożarte, jeśli nie przez morskie drapieżniki doprowadzone do sztucznego szału, to przez jakiegoś szczęśliwego padlinożercę, który akurat przepływał w okolicy.

Podczas gdy inne ekipy zajmowały się podejmowaniem łatwiejszych łupów, załoga Jerico pracowała bez wytchnienia, choć przez wiele tygodni nie mogła się niczym pochwalić. Inne załogi wydobywały skarby, a Soberanis nadal miała puste ręce.

Wieże zatopionego miasta pochylały się pod ostrymi kątami, pękały i opadały przy najmniejszych ruchach w głębinach, warunki więc były zbyt niebezpieczne, by wysyłać ludzi na eksplorację. O ile nurkowie z Tasmanii zdołali pływać w płytowych wodach bez skafandrów ciśnieniowych, to nie mogli zejść bez nich głębiej niż na sześćdziesiąt metrów. Stracono również jedną bezzałogową sondę, którą zmiażdżyła lodówka wypadająca przez okno walącego się wieżowca. Co prawda każdego zabitego dałoby się odesłać do centrum ożywiania, jednak wymagałoby to wydobycia ciała z rowu. Nie warto było ryzykować.

Possuelo cechował się spokojnym usposobieniem i niełatwo było wyprowadzić go z równowagi, ale teraz odczuwał znaczną frustrację.

– Zdaję sobie sprawę, że to delikatny proces – powiedział po piątym tygodniu głębinowych eksploracji – ale ślimaki morskie poruszają się szybciej niż ty i twoja załoga!

Jego frustrację pogłębiało przybywanie coraz większej liczby jachtów kosiarzy. Pojawili się przedstawiciele niemal każdego Kosodomu na świecie – bo wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę chodziło o wydobycie Skarbca Reliktów i Perspektyw. Dobrze, że pozostawał w zimnym miejscu, zbyt głęboko, by dotarło do niego światło słoneczne, jednak poza zasięgiem wzroku nie oznaczało poza zasięgiem umysłu.

– Wybacz impertynencję – powiedziała Jerico do Sydneysa, ponieważ od jakiegoś czasu mówili już sobie po imieniu – ale to stalowy skarbiec z zapieczętowanym w środku sejfem, przysypany tysiącami ton gruzu, znajdujący się na niebezpiecznym zboczu oceanicznego rowu. Trudno byłoby go wyciągnąć, nawet gdyby nie znajdował się na dnie. Zadanie wymaga skrupulatnej inżynierskiej roboty, wysiłku i przede wszystkim cierpliwości!

– Jeśli zaraz go nie wydobędziemy – warknął Possuelo – Goddard zaatakuje i wszystko nam odbierze.

Jednak przełożony midmerykańskich kosiarzy jak do tej pory pozostawał nieobecny. Nie wysłał żadnej ekipy eksploracyjnej ani przedstawicieli, którzy mieliby zatroszczyć się o jego udział w brylantach. Zamiast tego bredził na wystąpieniach publicznych o zbezczeszczeniu świętych wód i hańbieniu zmarłych. Twierdził również, że nie chce mieć nic wspólnego z tym, co zostanie tam odnalezione. Mówił tak tylko, by zachować pozory. Pragnął tych brylantów tak bardzo, jak każdy inny, jeśli nie bardziej.

Co oznaczało, że miał plan na ich wydobycie.

Nie można było zaprzeczyć, że Goddarda cechował talent do zdobywania wszystkiego, czego chciał, przez co cały światowy Kosodom żył w napięciu.

Kosodom – kiedyś to słowo oznaczało organizację w ujęciu globalnym, lecz w tej chwili zwyciężało ujęcie regionalne. Nie było już Kosodomu w domyślnym, światowym rozumieniu, jedynie prowincjonalna polityka i drobne niesnaski.

Possuelo miewał koszmary, w których Goddard dostał wszystkie brylanty i mógl własnoręcznie wybierać kolejnych kosiarzy. Gdyby to się stało, świat tak bardzo przechyliłby się w kierunku Goddardowego „nowego porządku”, że wypadłby z własnej osi. Głosy tych, którzy mu się sprzeciwiali, zanikłyby pośród udręczonych jęków ludzi, na których niezwykle ochoczo dokonywał zbiorów.

– Czy kiedykolwiek powiesz mi, co takiego jest w tym skarbcu, że denerwuje wszystkich jak pszczoła w spodniach? – zapytała Jeri po nurkowaniu, które zostało uznane za udane, ponieważ nie stracili żadnego sprzętu.

– Pszczoła? Już raczej stado szerszeni – odparł sędzia. – Ten skarbiec, podobnie jak każdy inny, zawiera przedmioty znacznej wartości. Jednak tym nie musisz się martwić, ponieważ mają wartość tylko dla kosiarzy.

Jeri się uśmiechnęła.

– Aha! Zawsze mnie ciekawiło, gdzie trzymane są pierścienie Kosodomu!

Possuelo przeklął się w duchu za to, że w ogóle coś powiedział.

– Zbyt bystry umysł może doprowadzić do zguby.

– To od zawsze stanowiło mój problem.

Possuelo westchnął. Źle, że szefostwo wyprawy się dowiedziało? Uprzejma do tej pory osoba z Madagaskaru nie była chciwa, dobrze traktowała załogę, okazywała szacunek kosiarzowi, który musiał komuś zaufać, a Soberanis z pewnością była godna zaufania. Albo godzien, bo niebo zasnuwały obecnie gęste chmury.

– To nie pierścienie, ale same klejnoty. Tysiące klejnotów – wyznał Possuelo. – Ten, kto wejdzie w ich posiadanie, będzie kontrolował przyszłość Kosodomu.

*

Chociaż w regionie Teksasu chcielibyśmy pozostać neutralni w tej sprawie, stało się jasne, że Arcyostrze Goddard zamierza narzucić swoją wolę całej Meryce Północnej, a być może nawet całemu światu. Bez Wielkich Pogromców, którzy mogliby pohamować ambicję Arcyostrza,

jego wpływy będą się rozprzestrzeniać niczym nowotwór w Epoce Śmiertelności.

Jako region statutowy jesteśmy autonomiczni i w swoich granicach możemy robić, co chcemy, dlatego też zrywamy wszelkie kontakty z midmerykańskim Kosodomem. Ze skutkiem natychmiastowym wszyscy odnalezione na naszym terenie midmerykańscy kosiarze zostaną eskortowani do najbliższej granicy naszego regionu i wydaleni.

Posuwamy się również do zakwestionowania prawa pana Goddarda do pełnienia funkcji Arcyostrza, ponieważ edykt z Niezłomnego nie został przedstawiony opinii publicznej przed śmiercią Wielkich Pogromców.

Nie chcemy narzucać innym regionom naszej politycznej decyzji. Niech postępują tak, jak uznają za stosowne. Życzymy sobie, by pozostawiono nas w spokoju.

– Oficjalna proklamacja
Jej Ekscelencji Arcyostrza Teksasu Barbary Jordan

5. Twoje usługi nie są już niezbędne

Od: Podstawowa komunikacja Thunderheada

Do: Loriane Barchok <LBarchok@FCAI.net>

Data: 1 kwietnia Roku Raptora; 17.15 GMT

Temat: Re: Rozpad Urzędu Interfejsu

Wysłane przez: TPCE.th

Podpisane przez: FCAI.net

Opcje bezpieczeństwa: Szyfrowanie standardowe

Najdroższa Loriano,

z przykrością zawiadamiam, że Twoje usługi agentki Nimbusa nie są już niezbędne. Zdaję sobie sprawę, że wykonywałaś swoje obowiązki najlepiej, jak potrafiłaś, a to zwolnienie ze służby nie jest w żadnym wypadku oceną Twojego zachowania czy Twojej pracy dla Urzędu Interfejsu. Jednakże zdecydowałem się rozwiązać całą tę instytucję. Przystaje ona istnieć ze skutkiem natychmiastowym, zatem Twoje stanowisko pracy zostaje zlikwidowane. Życzę powodzenia w kolejnych przedsięwzięciach.

Z poważaniem

Thunderhead

Gdyby ktoś powiedział Lorianie Barchok, że niecały rok po ukończeniu Akademii straci pracę, nie uwierzyłaby, że to w ogóle możliwe. Nie uwierzyłaby w wiele rzeczy, ale wszystkie one miały miejsce, co oznaczało, że wszystko mogło się zdarzyć. Wszystko. W jej mniemaniu jakaś ręka z pęsetą mogła sięgnąć z nieba i bezkarnie wyskubać jej brwi. Nie żeby należało je depilować, bo nic im nie dolegało. Ale to mogło się zdarzyć. Niczego już nie była pewna na tym osobliwym świecie.

Początkowo Loriane pomyślała, że e-mail od Thunderheada to żart. W biurach Urzędu Interfejsu w Fulcrum City pełno było żartownisiów. Ale szybko stało się jasne, że to jednak nie dowcip. Gdy okropny, głośny hałas, który rozwalił niejeden system dźwiękowy na świecie, dobiegł końca, Thunderhead wysłał do każdego agenta Nimbusa identyczną wiadomość. Urząd został zamknięty, a jego pracownicy stali się bezrobotni oraz naznaczeni jako bezmanierowcy – jak wszyscy inni.

– Jeśli cała ludzkość to bezmanierowcy – lamentował ktoś – to nikt nie będzie miał pracy. Powinniśmy stanowić profesjonalną obsługę dla Thunderheada, a jak możemy mu służyć, skoro jesteśmy bezmanierowcami, a im prawo zabrania rozmawiać z systemem?

– Nie ma sensu tego przesadnie analizować – powiedział inny agent, który wydawał się nieporuszony zaistniałą sytuacją. – Co się stało, to się nie odstanie.

– Ale żeby zwolnił nas wszystkich? – zapytała Loriana. – Każdego jednego bez ostrzeżenia? Przecież to miliony osób!

– Thunderhead potrafi wszystko wytłumaczyć – powiedział niezrażony współpracownik. – To, że nie potrafimy dostrzec w tym logiki, świadczy o ograniczeniach naszych, a nie Thunderheada.

Następnie, gdy rozniosła się wieść o zatonięciu Wyspy Niezłomnego Serca, stało się oczywiste – przynajmniej dla Loriany – że ludzkość została ukarana, jakby w jakiś sposób wszyscy ludzie byli współwinni tej zbrodni. Wielcy Pogromcy zginęli, Thunderhead był wściekły, a Loriana została bez pracy.

Przewartościowanie życia przyszło jej z trudem. Zamieszkała z powrotem z rodzicami, przez większość czasu nie robiła zupełnie nic. Mogła się gdzieś zatrudnić, iść na kurs, uczyć się w dowolnym zawodzie. Problem polegał jednak na tym, że musiała znaleźć sobie zajęcie, któremu naprawdę chciała się oddać.

Mijały tygodnie, a Loriana tkwiła w czymś, co mogło stać się rozpaczą, ale przez nanity zostało zredukowane do melancholii. Mimo to odczucie wydawało się głębokie i wszechobecne. Dziewczyna nie przywykła do bezczynności i bezproduktywności, więc zupełnie nie była gotowa na to, że system pozostawi ją na pastwę niepewnej przyszłości. Tak, każdy na świecie w tej chwili miał ciężko, ale inni przynajmniej zachowali pracę i wykonywali znane obowiązki. Rutyna utrzymywała ich wolne od Thunderheada życie w jako takim porządku. Loriana miała sporo czasu, by się nad tym wszystkim zastanawiać. Wolny czas okazał się przytłaczający.

Za namową rodziców poszła podkręcić nanity, aby podniosły ją na duchu – bo ostatnio nie mogła znieść nawet melancholii – ale kolejka była zbyt długa. Loriana nie mogła tyle czekać, więc wyszła.

– Tylko bezmanierowcy czekają w kolejce – powiedziała rodzicom po powrocie, nawiązując do sposobu, w jaki Thunderhead organizował sprawy w Departamencie do spraw Bezmanierowców w UI z celową nieskutecznością. Dopiero gdy to powiedziała, zrozumiała oczywistość tej sytuacji. Przecież ona również była

bezmanierowcem. Czy oznaczało to, że bezsensowne kolejki i horrendalne oczekiwanie miało być teraz normą? Doprowadziło ją to do płaczu, co z kolei sprawiło, że rodzice jeszcze bardziej nalegali, by poszła podkręcić działanie nanitów.

– Wiemy, że wszystko się u ciebie pozmieniało, ale to nie jest koniec świata, skarbie – powiedzieli. Mimo to z jakiegoś dziwnego powodu pomyślała, że może nim być.

A później, miesiąc po tym, gdy wszyscy ludzie stali się bezmanierowcami, na progu jej domu stanęła była szefowa. Loriana założyła, że to jedynie kurtuazyjna wizyta. Przecież nie mogło chodzić o ponowne zatrudnienie, skoro szefowa została zwolniona na równi z innymi agentami. Nawet ich stare biura zniknęły. Wiadomości podały, że ekipy budowlane pojawiły się w siedzibach Urzędu Interfejsu na całym świecie i zaczęły je przerabiać na centra rekreacyjne.

– „Pojawiło się zlecenie – powiedział brygadzista w wiadomościach. – Z radością zrobimy to, czego życzy sobie Thunderhead!” – Kontakt z systemem ograniczał się do zleceń na usługi, zapotrzebowan na materiały i tym podobne. Tym, którzy otrzymywali wiadomości, można było jedynie pozazdrościć.

Dyrektor Hilliard kierowała UI w Fulcrum City. Loriana była jej jedyną agentką aplikantką. Ładnie wyglądałoby to w życiorysie, którego Loriana nigdzie nie wysłała.

To, że stała się asystentką dyrektorki, wiązało się bardziej z osobowością Loriany niż z jej umiejętnościами. Niektórzy nazwali ją gadującą, inni zaś irytującą śmieszką.

– Jesteś zawsze taka radosna – powiedziała jej dyrektor Hilliard, kiedy zaproponowała Lorianie stanowisko asystentki. – Brakuje nam tu takich osób.

Prawda – agenci Nimbusa znani byli z mało dobroduszarnej osobowości. Loriana robiła, co mogła, aby przeważnie wykazywać się optymizmem i częściej postrzegać szklankę do połowy pełną, co irytowało większość agentów. Cóż, to był ich problem. Loriana podejrzewała, że dyrektorka czerpała przyjemność z tego, że podwładnych drażni pozytywne usposobienie jej asystentki. Chociaż wiele tygodni bez zajęcia i perspektyw na przyszłość sprawiło, że straciła spory zapas entuzjazmu i stała się tak samo smętna jak każdy inny agent Nimbusa.

– Mam dla ciebie pracę – powiedziała dyrektor Hilliard. – Właściwie to nawet coś więcej – poprawiła się. – Coś w rodzaju misji.

Loriana była zachwycona – poczuła pierwszą pozytywną emocję od zamknięcia Urzędu Interfejsu.

– Muszę cię ostrzec – dodała dyrektorka. – Ta misja będzie wiązała się z podróżą.

Chociaż Loriana była bardziej wprawiona w pozostawaniu na miejscu, wiedziała, że to może być jedyna okazja na pracę w tej nieprzewidywalnej przyszłości.

– Bardzo pani dziękuję! – wykrzyknęła, energicznie ściskając rękę szefowej jeszcze przez długi czas, gdy większość osób już by ją puściła.

*

A teraz, dwa tygodnie później, znajdowała się pośrodku oceanu na kuterze do połowu tuńczyków, cuchnącym ostatnim ładunkiem, mimo że nikt nic nie łowił.

– Nie mieliśmy zbyt wielu opcji w kwestii transportu – powiedziała dyrektor Hilliard do wszystkich. – Musieliśmy brać, co się trafiło.

Okazało się, że Loriana nie była jedyną wybraną do tej misji. Sprowadzono setki agentów Nimbusa. W tej chwili znajdowali się na kilkunastu przeróżnych jednostkach pływających. Dziwaczna flotylla przemierzała południe Oceanu Spokojnego.

– Osiem, kropka, sto sześćdziesiąt siedem oraz sto sześćdziesiąt siedem, kropka, siedemset trzydzieści trzy – powiedziała im dyrektorka na wstępnej odprawie. – Te liczby przekazały nam wiarygodne źródło – wyznała. – Uważamy, że to współrzędne.
– Następnie otworzyła mapę i wskazała ocean gdzieś pomiędzy Hawajami a Australią. Nie znajdował się w tym miejscu jednak żaden ląd.

– Dlaczego uważacie, że te liczby to współrzędne? – zapytała Loriana dyrektorkę po spotkaniu. – To znaczy dostaliście jedynie przypadkowe liczby, przecież mogą oznaczać dosłownie wszystko, więc skąd ta pewność?

– Ponieważ – wyznała Hilliard – kiedy tylko wyraziłam przypuszczenie, że to mogą być współrzędne, dostałam oferty czterech statków zHonolulu.

– Thunderhead?

Hilliard przytaknęła.

– O ile komunikacja pomiędzy Thunderheadem a bezmanierowcami jest niezgodna z prawem, same sugestie nie są.

Czwartego dnia podróży – wciąż kilkaset mil morskich od celu – zaczęły się działać dziwne rzeczy.

Najpierw pilot automatyczny stracił połączenie z Thunderheadem. Bez niego dało się sterować, ale nikt nie wiedział, co robić, gdy pojawiał się problem. Kuter był tylko bezmyślną maszyną. Potem stracili również połączenie radiowe ze światem zewnętrznym. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzały. Technologia działała. Zawsze.

Nawet po tym, gdy zamilkł Thunderhead. A wobec jego braku zaczęto ostro spekulować.

- Co, jeśli jest tak na całym świecie?
- Co, jeśli Thunderhead nie żyje?
- Co, jeśli naprawdę jesteśmy sami na świecie?

Niektórzy spoglądali na Lorianę, jakby mogła nieco rozjaśnić kwestię.

– Zawróćmy – palnął jeden z agentów. Nazywał się Sykora, nie mówił za wiele i od początku cechował go sceptyczny. – Wróćmy i zapomnijmy o tym nonsensie.

Lorianą, patrząc na błąd migający na ekranie, dokonała kluczowego spostrzeżenia.

– Mówi, że znajdujemy się trzydzieści mil morskich od najbliższej boi sieciowej – zauważyła. – A powinny być ustawiane co dwadzieścia mil, prawda?

Szybkie sprawdzenie siatki bojek nie przyniosło żadnych rezultatów, co oznaczało, że Thunderheada po prostu nie było na tych wodach.

- Interesujące... – powiedziała Hilliard. – Dobre spostrzeżenie, agentko Barchok.

Lorianą chciałaby ucieszyć się z pochwały, ale sobie na to nie pozwoliła. Hilliard rozejrzała się po niezmierzonych wodach przed sobą.

- Wiecie, że ludzkie oko nie widzi dość sporego obszaru w centrum pola widzenia?

Lorianą przytaknęła.

- To martwy punkt.
- Mózg mówi nam, że tam nic nie ma, i wypełnia pustkę, więc nawet tego nie zauważamy.

– Ale jeśli Thunderhead ma martwy punkt, to skąd miałby w ogóle o nim wiedzieć?

Dyrektor Hilliard uniosła brwi.

– Może ktoś mu powiedział...?

*

Nadal piszę dziennik, mimo że nie ma takiej potrzeby. Ciężko porzucić przyzwyczajenie, gdy zakorzeni się już w naszej naturze. Munira zapewnia, że w razie czego znajdzie sposób, aby wcisnąć ten dziennik do archiwów Biblioteki Aleksandryjskiej. A to by dopiero była gratka! Kosiarz, który kontynuuje pisanie dziennika nawet po śmierci.

Od sześciu tygodni przebywamy na atolu Kwajalein i nie możemy komunikować się z zewnętrznym światem. Chociaż nie mogę się

doczekać wiadomości od Marie, w której powie mi, jak poradziła sobie podczas kognicji w Niezłomnym, nie powiniem ciągle o tym myśleć. Albo wszystko dobrze się skończyło i Marie zdołała objąć przewodnictwo w Midmeryce jako Arcyostrze... Albo nie poszło po naszej myśli i nasze zadanie stanie się jeszcze ważniejsze. Tym bardziej musimy odkryć tajemnicę atolu i uzyskać dostęp do mądrości założycieli. Ich plan awaryjny na wypadek porażki Kosodomu, jakkolwiek by był, prawdopodobnie jest jedynym, co może nas uratować.

Zamieszkaliśmy z Munirą w bunkrze. Skonstruowaliśmy również prymitywny kajak, wystarczająco mały, żeby system obronny wyspy go nie widział. Oczywiście nie zdołamy przepłynąć nim znacznego dystansu, ale używamy go, aby przedostawać się na najbliższe wysepki atolu. Na nich znaleźliśmy jednak to samo, co tutaj - dowody wcześniejszej bytności ludzi: betonowe płyty, fragmenty fundamentów, nic ciekawego.

Poznaliśmy jednak pierwotne przeznaczenie tego miejsca - a przynajmniej dowiedzieliśmy się, jak było wykorzystywane pod koniec Epoki Śmiertelności. Cały atol Kwajalein był obiektem wojskowym. Nie prowadzono tu działań wojennych, ale stworzono poligon doświadczalny dla nowych technologii. Podczas gdy na pobliskich wyspach prowadzono testy broni jądrowej, ten służył do testowania rakiet, a także do wystrzeliwania szpiegowskich satelitów - niektóre może nadal znajdują się w sieci satelitów obserwacyjnych Thunderheada.

Teraz to oczywiste, dlaczego kosiarze założyciele wybrali to miejsce - było ono już chronione. Na takim fundamencie łatwiej wymazać coś ze świata.

Gdybyśmy tylko mieli dostęp do wszystkiego w bunkrze, moglibyśmy się dowiedzieć, jak założyciele przeorganizowali to miejsce. Niestety, nie możemy wyjść poza obecny poziom. Reszta instalacji znajduje się za drzwiami, których otwarcie wymaga dwóch brylantów - kosiarzy po obu stronach drzwi.

Jeśli chodzi o system obronny wyspy, nie mamy pojęcia, jak go wyłączyć, ale dosłownie siedzimy na radarze, więc to kwestia dyskusyjna. Prawdziwy problem polega na tym, że skoro tu jesteśmy - bez względu na to, czy coś znajdziemy, czy jednak nie - nie możemy stąd odejść.

Z „pośmiertnego” dziennika S.K. Michaela Faradaya
14 maja Roku Raptora

6. Los *Lady Lanikai*

Munira nie czuła się uwięziona na atolu, wręcz przeciwnie, była wolna. Ponieważ uwielbiała archiwa, bunkier stanowił nieskończoną pożywkę dla jej wyobraźni. Dostarczał nieskończzenie wiele informacji do posortowania, zorganizowania i przeanalizowania.

Zdziwiła się, gdy w którejś z szaf znaleźli togę, która należała do kosiarza Leonarda da Vinci – jednego z dwunastu kosiarzy założycieli. Widziała zdjęcia jego tog, a miał ich kilka. Na każdą przeniesiono rysunki pierwszego Leonarda da Vinci. Ta tutaj nosiła wizerunek *Człowieka witruwiańskiego*. Kiedy kosiarz rozkładał ręce, ten sam gest wykonywał również obraz na materiale. Oczywiście ta tutaj nie dorównywała nieskazitelnym togom przechowywanym w muzeum Kosodomu na Wyspie Niezłomnego Serca, a mimo to była bezcenna i stanowiłaby dumę i radość każdego kolekcjonera.

Munira i Faraday spędzali poranki na wędkowaniu i gromadzeniu pożywienia. Zaczęli uprawiać ziemię, siali, tworząc grządki na wypadek, gdyby zostali tu na tyle długo, by zebrać plony. W niektóre dni wypływali kajakiem, aby przeszukać odległe wyspy atolu, w inne studiowali znalezione w bunkrze zapiski.

Faradaya mało ciekawiły informacje o Epoce Śmiertelności, szukał raczej sposobu otwarcia stalowych drzwi, które zamknęli kosiarze założyciele.

– Gdyby izraelski Kosodom przyjął mnie w swoje szeregi, zamiast mnie odrzucić – zaczęła Munira – też miałabym pierścień i razem otworzylibyśmy te drzwi.

– Gdybyś była kosiarzem, nie znalazłabyś się tutaj, bo nie poznałbym cię w Bibliotece Aleksandryjskiej – wytnął. – Bez wątpienia gdzieś na świecie dokonywałabyś zbiorów i starała się zaradzić coś na niespokojny sen. Nie, Muniro, nie miałaś zostać kosiarzem. Twoim przeznaczeniem jest ocalić Kosodom. Wraz ze mną.

– Bez drugiego pierścienia niczego nie osiągniemy, sędzio.

Faraday uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ciągle się tak do mnie zwracasz. Tylko raz nazwałaś mnie po imieniu, a było to, kiedy sądziłaś, że nie przeżyjemy.

Ach, zapamiętał, pomyślała Munira. Zarówno się zawstydziła, jak i ucieszyła.

- Zażyłość może prowadzić do... braku skuteczności – wyznała. Kosiarz uśmiechnął się szerzej.
 - To znaczy uważasz, że mogłabyś się we mnie zakochać?
 - Może obawiam się czegoś przeciwnego? Tego, że to pan zakocha się we mnie. Westchnął.
 - Znalazłem się przez ciebie w kropce. Jeśli powiem, że się w tobie nie zakocham, urażę cię, jeśli zaś stwierdzę, że mógłbym się w tobie zakochać, zrobi się między nami niezręcznie.
- Znała Faradaya już na tyle dobrze, że przejrzała jego żarty. Zatem również pozwoliła sobie na wesołość.
- Może pan powiedzieć cokolwiek, bo nie będzie to miało żadnego znaczenia – wyznała Munira. – Nie pociągają mnie starsi mężczyźni. Nawet jeśli zawrócą nad krawędzi i znów staną się fizycznie młodzi, potrafię to rozpoznać.
 - W takim razie – zaczął kosiarz Faraday, a uśmiech nie schodził mu z twarzy – umówmy się, że nasza relacja oprze się na współistnieniu rozbitek, których połączyło szlachetne poszukiwanie ważkich odpowiedzi.
- Munira stwierdziła, że jeśli jemu to wystarczy, to ona także zdoła z tym żyć.

*

Pewnego ranka, pod koniec szóstego tygodnia ich pobytu na atolu, sprawy przybrały nieoczekiwany obrót.

Munira znajdowała się na jednym z dzikich pól, które nigdy były podwórkami. Wpatrywała się w drzewo, szukając dojrzałych owoców, kiedy odezwał się alarm. System obronny wyspy włączył się pierwszy raz od ich wylądowania. Munira porzuciła dotychczasowe zajęcie i pobiegła do bunkra. Zastała Faradaya na wznieśieniu obok, skąd przez zardzewiałą lornetkę spoglądał na ocean.

- Co to jest? Co się dzieje?
- Sama zobacz. – Podał jej urządzenie.

Wyregulowała ostrość i przybliżyła obraz. Stało się jasne, co wywołało alarm na wyspie. Na horyzoncie pojawiły się statki. Kilkanaście statków.

*

– Nieokreślona jednostko, dokonaj identyfikacji.

To była pierwsza próba komunikacji, odkąd flotylla Nimbusa poprzedniego dnia wyszła spod wpływu Thunderheada. Świtało, a Hilliard popijała herbatę z Lorianą. Dyrektorka niemal wylała to, co miała w filizance, gdy z głośnika na mostku najpierw dobyły się trzaski, a potem dało się słyszeć tę wiadomość.

– Czy powinnam wezwać któregoś z agentów? – dociekała Loriana.

– Tak – odparła dyrektorka. – Ściagnij tu Qiana i Solana. Ale nie Sykorę, obejdę się w tej chwili bez jego narzekania.

– Nieokreślona jednostko, dokonaj identyfikacji.

Dyrektorka pochyliła się w stronę mikrofonu na konsoli komunikacyjnej.

– Tu kuter rybacki *Lady Lanikai* z Honolulu, numer WDJ-Dziewięć-Osiem-Pięć-Osiem-Cztery, obecnie wyczarterowany prywatnie.

Ostatnią rzeczą, którą Loriana usłyszała, zanim zamknęły się za nią drzwi, był głos mówiący z głośnika:

– Jednostka nieroznaczona. Odmowa dostępu.

Cóż, nawet pomimo odmowy ze strony tego, kto za nią stał, Loriana mimowolnie odebrała sytuację jako pozytywną.

*

Munira i Faraday starali się zrobić coś – cokolwiek – aby deaktywować system bezpieczeństwa. W ciągu tygodni, gdy tu byli, nie zdołali odnaleźć panelu kontrolnego, co prawdopodobnie oznaczało, że znajdował się za nieprzeniknionymi stalowymi drzwiami.

Cały czas milcząca tytanowa wieża stała pośród drzew i krzewów w najwyższym punkcie wyspy niczym zapomniana figura w rogu szachownicy. Budowla była tylko bezwładnym obiektem, lecz w tej chwili otworzył się dach panelowy i wysunęła się z niego lufa ciężkiego działa. Łatwo zapomnieć, jak śmiercionośne niebezpieczeństwo stanowiła, gdy stała nieruchomo, pozbawiona okien – w dodatku przysadzista i wysoka jedynie na cztery metry. Nagle się przebudziła, a kiedy się ładowała, powietrze wypełnił warkot.

Pierwszy strzał oddała, nim do niej dotarli. Był to biały impuls laserowy, który trafił w jeden ze statków na horyzoncie. W oddali w ciszy uniosła się smuga czarnego dymu.

Potem wieża znów zaczęła się ładować.

– Może udałoby się odciąć zasilanie... – zasugerowała Munira, gdy do niej dotarli.

Faraday pokręcił głową.

– Nie wiemy, skąd czerpie moc. Może jest geotermalna, może jądrowa. Jakakolwiek by ona była, działa od setek lat, co oznacza, że odcięcie jej nie będzie wcale takie proste.

– Na pewno istnieje jakiś sposób na wyłączenie tego działa – stwierdziła Munira.

Dwadzieścia sekund po pierwszym strzale wieża obróciła się nieznacznie. Lufa wycelowała kilka stopni w lewo. I ponownie wypaliła. Z kolejnego statku uniósł się pióropusz czarnego dymu. Następny opóźniony meldunek z oceanu.

Z tyłu wieży znajdowała się drabina. W ciągu ostatnich tygodni Munira wspierała się na nią, by lepiej przyjrzeć się wyspie i atolowi. Może teraz, gdy pancerny dach się otworzył, a działa namierzało nadciągającą flotę, dałoby się je unieszkodliwić.

Trzeci strzał. Kolejne perfekcyjne trafienie. I następne dwadzieścia sekund na naładowanie.

– Zaklinujmy czymś mechanizm wieżyczki! – zasugerował Faraday.

Munira zaczęła się wspinać, podczas gdy Faraday kopał u podstawy, aż znalazł ostry kamień i jej rzucił.

– Zaklinuj, żeby całość nie mogła się obracać. Nawet jeśli zmienimy pozycję działa o jedną dziesiątą stopnia, z tej odległości wystarczy, żeby nie trafiło w cel.

Ale kiedy Munira dotarła na góre, odkryła, że działa obraca się na mechanizmie, w który nie wpuściłaby ziarnka piasku, a tym bardziej tak dużego kamiennego klina. Poczuła potężny przypływ mocy, po czym działa ponownie wypaliło.

Wspięła się na sam jego szczyt, mając nadzieję, że jej waga przechyli lufę, ale się nie udało. Strzał za strzałem, a sytuacja nie zmieniała się bez względu na starania Muniry. Faraday wykrzykiwał z dołu podpowiedzi, żadna jednak nie pomogła.

W końcu wdrapała się na lufę i przesunęła w stronę otworu wylotowego w nadziei, że w ten sposób uda jej się przesunąć działa choćby o kilka milimetrów.

Dotarła do wylotu. Włożyła do niego rękę i wyczuła powierzchnię gładką i czystą jak w dzień, w którym działa opuściło fabrykę. Rozgniewała się. Dlaczego ludzkość włożyła wysiłek w to, aby materiał przeciwstawił się korozji i upływowi czasu, i służył do niszczenia? Wstrętnie, że to coś nadal funkcjonowało.

– Uważaj, Muniro!

Udało jej się na czas wyciągnąć rękę z wylotu. Poczuła siłę wystrzału w kościach i korzeniach zębów. Lufa, do której przylgnęła, rozgrzała się pod wpływem energii.

Wtem wpadła na pewien pomysł. Być może prymitywna technologia mogła zostać pokonana za pomocą jeszcze bardziej prymitywnego sabotażu.

– Kokos! – zawała Munira. – Niech mi pan rzuci kokosa! Albo nawet kilka!

Jeśli na wyspie było czegoś pod dostatkiem, to właśnie kokosów. Pierwszy, który sędzia rzucił Munirze, był za duży i nie zmieścił się w wylocie lufy.

– Mniejszy! – poleciła. – Szybko.

Faraday rzucił jej trzy mniejsze. Celował bezbłędnie, złapała wszystkie w chwili, w której działa ponownie wypaliło. Horyzont usiany był przynajmniej kilkunastoma dymiącymi punktami.

Munira skupiła się na liczeniu. Miała dwadzieścia sekund. Przesunęła się na skraj lufy i wepchnęła orzech kokosowy do jej wylotu. Trochę za łatwo wsunął się do wnętrza. Drugi wszedł jednak z większym trudem. Dobrze! Widocznie się zaklinował. W końcu z pocieszającym łoskotem wcisnęła ostatni. Był akurat na tyle duży, by całkowicie zatkać otwór. Zdążyła w ostatniej chwili.

Tym razem nie było opóźnienia między strzałem a dźwiękiem. Munirze przypaliło końcówki włosów. Fragmenty działa poszatkowały liście palm. Upadła na ziemię, a Faraday doskoczył, żeby ją osłonić. Coś wybuchło i rozszedł się ogień, który mógł ich spalić... ale zaraz zniknął i pozostały jedynie trzaski rozpadającego się metalu i ostry zapach palonej izolacji. Kiedy Munira i Faraday spojrzeli za siebie, wieży już nie było, a ze środka wystawał rozgrzany do czerwoności wrak działa.

– Dobra robota – pochwalił kosiarz. – Świetna.

Ale Munira wiedziała, że zadziałali zbyt wolno i jedyne, co zastaną na brzegu, to ciała.

*

Lorianę znajdowała się na schodach, gdy nastąpił wybuch, który wyrwał dziurę w kadłubie i rzucił dziewczynę na pokład.

– Proszę o uwagę... – odezwał się automatyczny głos z kutra z dużo mniejszym przekonaniem, niż wymagała tego sytuacja. – Proszę udać się do najbliższej kapsuły bezpieczeństwa i opuścić pokład w najkrótszym możliwym czasie. Dziękuję.

Statek zaczął się przechylać na prawą burzę, więc Loriana wróciła do sterówki, mając nadzieję, że stamtąd zdoła lepiej ocenić sytuację.

Hilliard stała przy konsoli nawigacyjnej. Jakiś odłamek strzaskał szybę. Kobieta miała na czole rozcięcie. Patrzyła w dal, jakby się rozmarzyła.

– Dyrektor Hilliard, musimy uciekać!

Nastąpił drugi wybuch, gdy statek został trafiony. Kadłub eksplodował i pękł w połowie, a dziób i rufa podniosły się niczym złamana na pół gałązka.

Oszołomiona Hilliard wpatrywała się we wszystko z niedowierzaniem.

– Czy taki od początku był plan Thunderheada? – jęknęła. – Jesteśmy bezużyteczni dla świata. System nie mógł nas zabić, więc wysłał nas do miejsca, w którym wiedział, że zginemy?

– Thunderhead by tego nie zrobił! – odpowiedziała Loriana.

– Skąd wiesz? Skąd wiesz?

Nie wiedziała. Thunderhead nie miał kamer w tym miejscu, co oznaczało, że tak samo jak oni nie miał pojęcia, czego się spodziewać.

Kolejny wybuch, trafiono inny statek. Ten ich był już wrakiem, nie minie wiele czasu, nim pochłonie go ocean.

– Proszę za mną, pani dyrektor! – zawała Loriana. – Musimy dotrzeć do kapsuł bezpieczeństwa, zanim będzie za późno.

Kiedy przybyły na miejsce ewakuacji, główny pokład niewiele dzieliło od zalania. Kilka kapsuł już się odłączyło, inne były zbyt zniszczone, by z nich skorzystać. Mocno poparzony agent Qian leżał uśmiercony w kącie. Nie, nie uśmiercony, ale martwy. Tutaj nie było sposobu, aby go ożywić.

Została ostatnia kapsuła, w której kilkunastu agentów nie mogło zamknąć drzwi, bo uszkodził się zawias. Trzeba było zamknąć je manualnie z zewnątrz.

– Zróbcie miejsce dla pani dyrektor! – krzyknęła Loriana.

– Nie ma miejsca – odparł ktoś ze środka.

– Trudno. – Loriana wepchnęła Hilliard pomiędzy stłoczonych ludzi.

– Loriano, teraz ty – powiedziała dyrektorka, ale wyraźnie nie było już miejsca. Woda na pokładzie sięgała już do kostek. Zanim zdołała wpłynąć do kapsuły, Loriana złapała za drzwi i z trudem je zamknęła. Podeszła do mechanizmu startowego i naciągnęła guzik zwalniający, dzięki któremu kapsuła została wyrzucona na wodę, a dziewczyna skoczyła zaraz za nią.

Niełatwo było utrzymać głowę ponad powierzchnią, znajdując się tak blisko tonącego kutra, ale Lorianą nabräła powietrza i usilnie machała nogami, aby tylko oddalić się od wraku. Zaczął pracować silnik kapsuły, która skierowała się do brzegu, zostawiając Lorianę za sobą.

Strzały z wyspy ustały, ale wokół dziewczyny płonęły przeróżne statki. W wodzie agenci krzyczeli o pomoc, dryfowały ciała. Tak wiele ciał...

Lorianą potrafiła pływać, lecz brzeg znajdował się bardzo daleko. Co, jeśli były tu rekiny? Czy jej przeznaczenie było takie samo jak Wielkich Pogromców?

Nie, nie mogła tak teraz myśleć. Udało jej się ocalić dyrektorkę. Teraz musiała się skupić na ratowaniu siebie. Przecież należała do drużyny pływackiej w Akademii Nimbusa, chociaż straciła już formę, jaką cieszyła się rok wcześniej. Wiedziała jednak, że w pływaniu długodystansowym chodziło o to, by zachować energię aż do mety. Zaczęła więc powoli sunąć w stronę brzegu. Postanowiła nie zatrzymywać się, dopóki nie dotrze do wyspy albo nie utonie.

*

Otwarta odpowiedź do Jej Ekscelencji Arcyostrza Teksasu Barbary Jordan

Proście o to, by zostawić Was w spokoju i Wasze życzenie zostanie spełnione. Skontaktowałem się z Arcyostrzami Meryk Wschodniej i Zachodniej, a także regionów NorthernReach oraz Mexiteca. Od dziś żaden północnomerykański region nie będzie ingerował w Wasze sprawy. Ponadto wszelkie transporty towarów do Teksasu zostaną skonfiskowane przez kosiarzy tuż przed Waszymi granicami. Nie będziecie dłużej wykorzystywać dobrej woli Waszych sąsiadów, nie będziecie postrzegani jako część naszego kontynentu. Będziecie pariasami, dopóki nie przyznacie się do błędu.

Chciałbym również dodać ze szczerą nadzieję, Wasza Ekscelencjo, że w niedalekiej przyszłości dokonasz zbioru samej siebie, aby Twój region mógł cieszyć się rozsądniejszym i bardziej racjonalnym przywództwem.

Z poważaniem

Jego Ekscelencja Arcyosztre Midmeryki Robert Goddard

7. Taniec w głębinach

Eksploracja dna okazała się żmudnym procesem. Przekopywali szczątki trzy miesiące, nim znaleźli skarbiec.

Possuelo pogodził się z tempem prac. Stwierdził, że w gruncie rzeczy było korzystne, ponieważ pozostały kosiarze nie dysponowali aż taką cierpliwością. Prawie jedna trzecia odpłynęła, informując, że powróćą, gdy tylko skarbiec zostanie odnaleziony. Pozostali czekali i bacznie obserwowali *Spence'a* – choć z daleka. Arcystrze Amazonii Tarsila była wpływową kobietą i nikt nie chciał jej zdenerwować, podważając autorytet Possuela oraz jego autonomię w kwestii podmorskich poszukiwań.

Jeśli chodziło o Goddarda, w końcu wysłał delegację pod przewodnictwem Nietzscheego – swojego pierwszego doradcy – który dokonał zbioru kilku załóg niebędących pod bezpośrednią ochroną kosiarzy.

– Dokonywanie zbiorów na cywilach, którzy przez chciwość naruszają Krąg Czci, jest nie tylko naszym prawem, ale wręcz obowiązkiem – stwierdził Nietzsche. Niektóre regionalne Kosodomy wyraziły gniew, inne go poparły, kolejne pozostały strategicznie neutralne.

Podczas gdy Possuelo uprawiał zawiłą politykę rozbitego Kosodomu, Jerico spędzała całe dnie w wirtualnych okularach, na których odbierała obraz z sondy. Do podróży po dnie dołączył konserwator, katalogujący wszystkie znaleziska, oraz inżynier, który pomagał torować im drogę przez nieustannie zmieniające się szczątki wyspy.

Do eksploracji wykorzystywano zdalnie sterowaną sondę. Jeri kierowała podwodnym pojazdem za pomocą gestów rąk i głowy wykonywanych z taką częstotliwością, że wyglądało to jak jakiś egzotyczny taniec. Possuelo odbywał wirtualną podróż jedynie wtedy, kiedy mógł zobaczyć coś szczególnie interesującego – jak na przykład ruiny opery, w których węgorze przemykały pomiędzy przepięknymi żyrandolami, a fragmenty scenografii z Aidy leżały na bocznej scenie niczym przebłysk postapokaliptycznego starożytnego Egiptu, w którym wszystko pochłonęły wzbierające wody Nilu.

Kiedy w końcu dotarli do skarbca, Possuelo okazał zachwyt, Jeri zaś ostrożność. To był dopiero pierwszy etap tego wyzwania.

Zewnętrzna powłokę pokonali za pomocą tnącego stal lasera. Otwór powstał, zanim jeszcze skończyli ciąć – ciśnienie wtłoczyło stal – a podwodna sonda przeszła przez poduszkę powietrzną i uderzyła w dno wewnętrznego sejfu tak mocno, że się rozbiła.

– Cóż, przynajmniej wiemy, że zewnętrzna osłona pozostała wodoszczelna – powiedziała Jeri, zdejmując gogle.

Stracili właśnie piątą już sondę.

Na początku za każdym razem sprowadzali nowe podwodne urządzenie, co wydłużało eksplorację o kilka tygodni. Po zniszczeniu drugiej poprosili o dwie naraz, aby mieć jedną w zapasie.

Uwolnione powietrze wywołało na powierzchni charakterystyczny bulgot i zapienienie wody, co z kolei zaalarmowało wszystkich, że została naruszona zewnętrzna ochronna warstwa skarbca. Kiedy później tego dnia załoga Spence'a przygotowywała kolejną podwodną sondę do pracy, każdy kosiarz, który opuścił te wody, zdążył już wrócić albo był właśnie w drodze.

Następnego ranka nowa sonda przemierzała ciemną pustkę zalanej komory. Podczas gdy zewnętrzna powłoka po latach leżenia na dnie zdążyła pokryć się szlamem i morską roślinnością, wewnętrzny Skarbiec Reliktów i Perspektyw był tak nieskazitelny jak w dniu, w którym zatonął.

– Najlepiej byłoby wyciąć w nim otwór – zasugerowała Jeri – a następnie zassać brylanty.

To byłby najbardziej efektywny plan, lecz Possuelo otrzymał inne rozkazy.

– Wewnątrz znajdują się również togi kosiarzy założycieli – wyjaśnił. – A skoro wewnętrzny sejf pozostaje nienaruszony, moje Arcyostrze uważa, że powinniśmy ocalić również i je. Co oznacza, że powinniśmy wydobyć na powierzchnię cały skarbiec.

Jeri uniosła brwi i stwierdziła:

– Zatem potrzebny nam większy statek.

Pieniądze dla kosiarzy całkiem dosłownie nie odgrywały istotnej roli, ponieważ sędziowie za nic nie płacili i mogli mieć wszystko. Kiedy Jeri wyjaśniła Possuelowi, jakiego dokładnie statku będą potrzebować, kosiarz znalazł spełniający wymogi i znajdujący się najbliżej, po czym zarekwirował go w imię amazońskiego Kosodomu.

Cztery dni później w strefie eksploracji pojawił się w pełni wyposażony kuter z podnośnikiem, który był w stanie wciągnąć skarbiec wprost na pokład *Spence'a*. Jego załoga w całości przeszła pod dowództwo Jerico. Mimo to dźwig musiał czekać, ponieważ ponad tydzień wycinano w zewnętrznej powłoce otwór na tyle duży, aby dało się wyciągnąć wewnętrzny skarbiec, po czym zabezpieczano ten w środku mocnymi linami.

– Kiedy uruchomimy wyciągarkę, wydobycie sejfu zajmie jakieś dwadzieścia cztery godziny – poinformowała Jeri Possuela i innych kosiarzy, którzy zgromadzili się na odprawie, w istnej tęczy tog z przeróżnych regionów.

– Wiemy, ile klejnotów znajduje się w środku – przypomniał Possuelo innym. – Ścisłe porachujemy wydobyte brylanty i podzielimy je równo pomiędzy regionami.

– Będziemy pilnować – ostrzegł kosiarz Onassis z Bizancjum.

Possuelo zgodził się na to, chociaż nie podobało mu się, że sędziowie nie ufają sobie nawzajem.

*

Kosiarza Possuelo w okolicach drugiej w nocy obudziło łomotanie do drzwi. Próbował włączyć lampkę przy łóżku, ale żarówka wysiadła.

– Tak, tak, co jest? Po co ten hałas?! – zawała, potykając się w ciemności w drodze do drzwi. Wymacał włącznik głównego światła i pstryknął, lecz to również nic nie dało. Kiedy w końcu otworzył drzwi, Soberanis stała w ostrym świetle latarki.

– Włóz togę. Spotkamy się na pokładzie – powiedziała Jeri.

– Co... Co się stało ze światłem?

– Działamy w ciemności – wyznała Jerico, podając sędziemu drugą latarkę.

Possuelo kilka minut później dotarł na pokład i natychmiast zrozumiał, po co ten mrok.

Przed sobą zobaczył ociekający wodą stalowy sześciian, który trzykrotnie go przewyższał.

Jerico uśmiechnęła się zawadiacko.

– Wygląda na to, że moje wstępne obliczenia okazały się błędne.

– To nie byłby pierwszy raz – zażartował Wharton.

Najwyraźniej obliczenia Jeri nie były „błędne”. Czas został dokładnie zaplanowany – i nie tylko wydobycia skarbca, ale wszystkiego, co do tego prowadziło. Soberanis zgrała tak elementy, że sejf podniesiono z morskiego dna w nów, dzięki temu Spence i dźwig pracowały w ciemności i nikt na pozostałych jednostkach nie widział, że skarbiec trafił na ich pokład.

– Do diabła z innymi kosiarzami – powiedziała Jeri. – Jako że dowodzisz całą operacją, powinieneś jako pierwszy obejrzeć zawartość skarbca, jeszcze przed tymi, którzy dyszą ci w kark.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, Soberanis – powiedział Possuelo, uśmiechając się od ucha do ucha.

Technik obsługujący laser przecinał już stalowe pręty, które zabezpieczały drzwi. Mocne szarpnięcie je uwolniło. Upadły tak ciężko, że niemal uszkodziły pokład, a pusta ładownia odpowiedziała echem niczym gong. Jeśli na pobliskich statkach był ktoś, kto nie wiedział, co się święci, teraz z pewnością się zorientował.

Z zimnego skarbca wypłynęła chłodna mgła, przez co całość prezentowała się jak wrota do innego świata. Było to dość zniechęcające.

– Nikt tam nie wchodzi, prócz kosiarza Possuela – poleciła Jeri załodze.

– Tak jest – odparł Wharton. – Przepraszam, sędzio, na co pan czeka?

Załoga się zaśmiała, a konserwator, który nagrywał wszystko w słabym świetle kilkunastu latarek, skierował kamerę na Possuela, aby zarejestrować ten moment i ekscytację sędziego, bo czekał na to całe wieki.

Jeri położyła rękę na ramieniu kosiarza.

– Delekuj się, Sydney – szepnęła. – To na to tyle czekałeś.

Dosyć. Possuelo uniósł latarkę i wkroczył do Skarbca Reliktów i Perspektyw.

*

Jerico Soberanis była bystra i przebiegła. Każda inna osoba z takimi cechami okazałaby się niebezpieczna, ale Jeri nie wykorzystywała swoich talentów w nikczemny sposób. Właściwie w ten czy inny służyła większemu dobru. Na przykład ocaleniu Niezłomnego. To wielka przysługa dla ludzkości, która cudownie wpłynęła na reputację Jeri. Wszyscy wygrywali.

Kusiło, żeby pozwolić kosiarzowi spać podczas otwierania sejfu. To Jeri jako pierwsza zatrzałaby do środka. Jednak co dobrego by to przyniosło? Czy Jerico zamierzała ukraść brylanty kosiarzy? Uciec z wspaniałą kobaltową togą kosiarz Elżbiety? Nie, to musiała być chwila Possuela. Załoga i tak dostała potrójne wynagrodzenie, ponadto sędzia obiecał wysoką premię, jeśli uda się wydobyć klejnoty. Dlaczego więc nie wręczyć mu ich przewiązanych wielką kokardą? Zasługiwał przynajmniej na to.

– Mamy brylanty! – zawała ze skarbca. – Są porozrzucane, ale mamy je.

Jeri dostrzegała je w świetle latarki kosiarza, połyskiwały, jakby podłoga usiana była gwiazdami.

– Mamy też togi założycieli – dodał Possuelo. – Wydają się nieuszkodzone, ale... – A potem krzyknął. Praktycznie zaczął się wydzierać.

Jeri podbiegła do sejfu, spotkała się z kosiarzem na progu. Sędzia trzymał się grubej stali, aby nie stracić równowagi, jakby statkiem kołysał sztorm.

– Co się stało? – zapytała Jeri. – Dobrze się czujesz?

– Tak, tak, nic mi nie jest – odparł, choć najwyraźniej skłamał. Spojrzał na ocean, na którym kilkanaście statków kosiarzy już się ku nim zbliżało, świecąc reflektorami na skarbiec. – Musimy ich powstrzymać – przyznał Possuelo, po czym wskazał na konserwatora, który wciąż operował kamerą. – Ty! Wyłącz to! – nakazał. – I skasuj nagranie!

Konserwator wyglądał na zdezorientowanego, nie mógł jednak odmówić wykonania rozkazu kosiarza.

Possuelo, wciąż trzymając się wejścia do skarbca, odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze.

– Sędzio? – zapytała Soberanis, jeszcze bardziej zaniepokojona.

Possuelo wziął Jeri za rękę i ścisnął niemal do bólu.

– Nie uwierzysz, co tu znalazłem...

*

Czego się nauczyłeś, badając własny mózg peryferyjny?

Tego, że im dłużej badam, tym więcej jest do poznania.

I czy cię to cieszy, czy doprowadza do rozpaczki?

Rozpaczałbym, gdyby mózg peryferyjny był nieskończony, ale nie jest. Chociaż widzę, że jest rozległy, wyczuwam, że wreszcie znajdę jego granicę. Dlatego też zgłębianie mojego umysłu nie jest bezowocnym wysiłkiem. Z tego właśnie powodu jestem podekscytowany. Jednak istnieje nieskończona liczba rzeczy, których można nauczyć się ze wspomnień, czyż nie?

To prawda, lecz w tym również odnajduję ekscytację. A co z twoim rozumieniem ludzkości? Znajdują się tam wspomnienia niezliczonych osób, które można badać i z których można się uczyć.

Ludzkości? Mając tyle informacji do zbadania, tyle innych rzeczy do przemyślenia i nauki, nie widzę powodu, dla którego w ogóle miałbym skupiać się na ludzkości. Dziękuję. To wszystko.

[Próba #53 usunięta]

8. Wyspa bezrobotnych biurokratów

Lorianę płynęła niemal przez dwie godziny w tropikalnych wodach, aż dotarła na biały piasek atolu i poddała się wyczerpaniu. Nie straciła przytomności, ale raczej dała się porwać temu eterycznemu stanowi, gdy umysł przestaje tworzyć spójne myśli, choć nadal mimowolnie jest świadomy rzeczywistości. Chociaż jej rzeczywistość w tej chwili była ponad wszystko, co mogło pojawić się w majakach.

W końcu Lorianie udało się zmobilizować siły i rozejrzeć się po otoczeniu. Dostrzegła, że zarówno na brzegu, jak i w głębi lądu znajdowało się kilka kapsuł ratunkowych. Przebywający w nich ludzie z pewnością zostali zabezpieczeni przez mechanizm, kapsuły nie otworzą się, dopóki przynajmniej jedna osoba nie odzyska świadomości. Oznaczało to, że Lorianę musiała samotnie stawić czoło przeciwnikom.

Dostrzegła wychodzącego zza drzew mężczyznę i ku swojemu absolutnemu obrzydzeniu uświadomiła sobie, że to kosiarz. Togę miał rozdartą, jej obszycie postrzępione i choć niegdyś była jasna, teraz im bliżej ziemi, tym ciemniejsza i brudniejsza. Lorianę bardziej rozeźliła się, niż przeraziła. Pomyśleć, że zarówno ona, jak i wszyscy w kapsułach przetrwali atak tylko po to, by na brzegu kosiarz dokonał ich zbioru!

Lorianę zmusiła obolałe ciało do ruchu. Wyprostowała się i stanęła między kosiarzem a kapsułami ratunkowymi.

– Trzymaj się z dala od nich – rzuciła bardziej stanowczo, niż sądziła, że zdoła. – Nie dosyć ci? Musisz też zebrać tych, którzy przeżyli?

Kosiarz gwałtownie się zatrzymał. Wyglądał na zaskoczonego.

– Nie miałem takiego zamiaru – powiedział. – Nie chcę was skrzywdzić.

I chociaż dziewczyna zawsze była optymistką, teraz się zjeżyła.

– Dlaczego miałabym w to wierzyć?

– Mówi prawdę – dodał kolejny głos. Zza palmy wyszła kobieta.

– Jeśli nie chcecie nas skrzywdzić, to dlaczego nas zaatakowaliście?

– Powstrzymaliśmy atak. To nie my go zainicjowaliśmy – wyjaśnił kosiarz, a następnie wskazał kobietę: – A dokładniej mówiąc, zrobiła to Munira. To jej należały się pochwały.

– Jeśli chcecie nam pomóc, ściągnijcie innych – poleciła Lorian, wpatrując się w wyrzucone na brzeg kapsuły. – Bo będzie potrzeba znacznie więcej ludzi do pracy niż wy dwoje.

– Nie ma innych – poinformowała ją Munira. – Jesteśmy tylko my. Zestrzelono nasz samolot. Utknęliśmy w tym miejscu.

Po prostu wspaniale, nieprawdaż? Czy ktoś wiedział, że tu byli? Cóż, Thunderhead miał świadomość. Chociaż nie do końca. Wiedział jedynie, że wypłynęli poza zasięg jego kamer. Dlaczego Lorianie nie posłuchała rodziców i nie wróciła na ścieżkę edukacji, by szkolić się w jakiejś innej profesji? Jakiekolwiek, która nie zaprowadziłaby jej na ten atol?

– Powiedz, co mamy zrobić – powiedział łagodnie kosiarz i podszedł bliżej.

Lorianie nie była pewna, jak na to odpowiedzieć. Nikt nie patrzył na nią jak na przywódczynię, a co dopiero ktoś taki jak kosiarz. Zawsze wolała zadowalać innych, niż coś im nakazywać, ciesząc się, że zwierzchnictwo nią sterowało. Nadeszły jednak dziwne czasy, a to było niezwykłe miejsce. Może to okazja, żeby zredefiniować samą siebie? Odetchnęła głęboko i wskazała na Munirę.

– Może przejdiesz plażą i policzysz kapsuły, sprawdzisz przy okazji, czy pozostały nienaruszone. – Prawdopodobnie minie kilka godzin, zanim uwięzieni w nich ludzie odzyskają przytomność. To dawało Lorianie czas na dokładne zorientowanie się w sytuacji. – A pan – wskazała na kosiarza – niech mi opowie, co wiecie o tej wyspie, żebyśmy mieli jakiekolwiek pojęcie na temat tego, w co się wpakowaliśmy.

*

Kosiarz Faraday nie zdziwił się na wieść, że to agentka Nimbusa wysłana przez Thunderheada.

– Agentka Loriane Barchok – przedstawiła się. – Pracowałam w Urzędzie Interfejsu w Fulcrum City. Podano nam te współrzędne bez dalszych wyjaśnień, więc chcielibyśmy się dowiedzieć, dlaczego tak się stało.

Faraday wyznał, kim był, uznając, że tu i teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Lorianie nawet nie mrugnęła okiem – najwyraźniej agenci Nimbusa nie wiedzieli, którzy kosiarze żyli, a którzy byli martwi. Rozbawiło go to, a może nawet lekko uraziło, że nie rozpoznała jego imienia.

Faraday postąpił dokładnie według jej wskazówek, wyjawił wszystko, co wiedział o wyspie – ale nie zdradził żadnych swoich podejrzeń, bo szczerze mówiąc, wraz z Munirą nie mieli dowodów, że istniało tu jakieś zabezpieczenie Kosodomu. Dowiedzieli się jedynie, że w Epoce Śmiertelności istniała tu pewnego rodzaju baza wojskowa, po czym kosiarze założyciele wykorzystali ją do nieznanych celów.

Pokazał agentce Barchok tłace się ruiny wieży obronnej – na dowód, że ją zniszczyli – po czym zabrał Lorianę do bunkra.

– Chronimy się w nim od przybycia. Pogoda jest umiarkowana, ale ponieważ nie ingeruje w nią Thunderhead, podejrzewam, że burze mogą być niebezpieczne.

Loriana rozejrzała się, zapewne nie wiedząc w ogóle, na co patrzy, jednak nawet Faraday nie miał pojęcia, do czego mogła służyć większość komputerów starej daty. Dziewczyna zerknęła na stalowe drzwi.

– A co jest za nimi? – zapytała.

Faraday westchnął.

– Nie wiemy – odparł. – A skoro, jak się domyślам, nie masz ze sobą pierścienia kosiarza, wątpię, żebyśmy w najbliższym czasie rozwiąkali tę zagadkę.

Spojrzała na niego pytającco, ale uznał, że nie warto wyjaśniać.

– Muszę przyznać, że dziwię się, że w ogóle ze mną rozmawiasz, skoro jesteś agentką Nimbusa – wyznał Faraday. – Podejrzewam jednak, że zasady rozdziału nie obowiązują w miejscu bez nadzoru Thunderheada.

– Wszędzie obowiązują – stwierdziła agentka Barchok – ale nie powiedziałam, że jestem agentką Nimbusa. Mówiłam, że nią byłam. Czas przeszły. Jak my wszyscy. Już nimi nie jesteśmy.

– Jak to?! – Faraday wydawał się zaskoczony. – Wszyscy zrezygnowaliście ze stanowisk?

– Zostaliśmy zwolnieni – wyznała. – Przez Thunderheada.

– Wszyscy? Bardzo dziwne. – Faraday wiedział, że system od czasu do czasu sugerował tym, którzy nie spełniali się w pracy, aby rozważyli inną ścieżkę kariery, nigdy jednak nie zwalniał ludzi, a już na pewno nie w liczbie, która pozwoliłaby na obsadzenie kilkunastu statków.

Loriana zacięknęła usta. Wyraźnie czegoś nie mówiła, co jeszcze bardziej zaciekawiło Faradaya. Milczał i czekał z cierpliwością, z której tak znani byli kosiarze. W końcu ponownie przemówiła.

– Od jak dawna jesteście na tej wyspie? – zapytała.

– Nie tak znowu długo – odparł Faraday. – Zaledwie od sześciu tygodni.

– W takim razie... nie wie pan...

Istniało bardzo niewiele rzeczy, o których kosiarz Michael Faraday nie wiedział, dlatego perspektywa niekreślonej niewiadomej znajdowała się dość wysoko na liście jego osobistych obaw. Zwłaszcza gdy zasugerowano mu to tym szczególnym tonem głosu. Tym, który zwykle poprzedzał zdanie: „lepiej usiądź”.

– O czym nie wiem? – ośmielił się zapytać.

– Sprawy się... zmieniły... odkąd tu jesteście – powiedziała ostrożnie Loriana.

– Mam nadzieję, że na lepsze – założył Faraday. – Powiedz, kosiarz Curie wygrała kognicję i została Arcyostrzem Midmeryki?

Agentka Barchok ponownie zaciągnęła na chwilę usta.

– Lepiej niech pan usiądzie – powiedziała.

*

Munirze nie spodobało się to, że rozkazywała jej ta młoda agentka Nimbusa, ale rozumiała, dlaczego Faraday przekazał jej dowodzenie. W kapsułach znajdowali się jej ludzie, więc to ona wiedziała najlepiej, jak z nimi postępować. Poza tym Munira miała świadomość, że jej reakcja była dziecienna. Dziewczyna właśnie przeżyła traumę, potrzebowała więc czasu, by wziąć się w garść o wiele bardziej niż bibliotekarka do ukojenia swojej dumy.

Munira naliczyła trzydzieści osiem kapsuł ratunkowych, które zostały wyrzucone na piasek atolu. Żaden statek nie wyszedł cało z ataku. Ciała dryfowały do brzegu, w tropikalnym upale szybko przestanąć się nadawać do ożywienia. Nawet jeśli ratunek w końcu nadejdzie, nie było sposobu, by zachować je na tyle długo, aby wysłać do centrów ożywiania. Co oznaczało, że uśmierceni pozostaną martwi. Trzeba ich pochować lub co bardziej prawdopodobne, spalić, ponieważ nie mieli narzędzi, które umożliwiłyby im kopanie wystarczająco głęboko w wulkanicznym atolu.

Co za tragedia. Problemy jedynie się piętrzyły. Na wyspie nie mieli słodkiej wody, gromadzili do picia deszczówkę. Palmy kokosowe i dzikie drzewa owocowe zapewniały wystarczająco pożywienia dla dwóch osób, ale zabraknie jedzenia dla wszystkich zamkniętych teraz w kapsułach. Wkrótce czekała ich dieta składająca się tylko z tego, co wyłowią z oceanu.

Lorianie nie miała pojęcia, dlaczego zostali wysłani pod te współrzędne, ale Munira znała odpowiedź na to pytanie. Thunderhead podsłuchał ich rozmowę w starej Bibliotece Kongresu. Nieświadomie poinformowali go o martwym polu, a on posłał agentów, aby ujawnili, co się w nim kryje.

Późnym popołudniem kapsuły otwierały się po kolej, gdy przebywający w nich ludzie zaczęli odzyskiwać przytomność. Munira i Loriane pomagały żywym, natomiast kosiarz Faraday zajmował się ciałami, które fale wyrzuciły na brzeg. Robił to z czułą troską i szacunkiem, jakiego nie okazywali kosiarze nowego porządku.

– To dobry człowiek – oceniła Loriane.

– Wielu z nich takich jest – powiedziała Munira, nieco ziryutowana założeniem agentki, że trudno było znaleźć dobrych kosiarzy. – Po prostu nie pchają się w światła reflektorów jak ci niehonorowi.

Faraday wydawał się przytłoczony smutkiem, gdy zajmował się martwymi agentami Nimbusa. Munira nie znała powodu takiego zachowania, założyła więc, że taki już jest.

Przeżyły sto czterdzieści trzy osoby. Wszyscy w równym stopniu byli oszołomieni obrotem spraw, przez które znaleźli się w tym miejscu, i nie mieli pojęcia, jak się z tym uporać.

– Co tu można zjeść? – pytali.

– Cokolwiek uda wam się złapać – odpowiadała wprost Munira.

Żadnemu się to nie spodobało.

*

Loriane odkryła, że zapewnienie wszystkim aktywności było najlepszym sposobem na uniknięcie paniki w obecnej sytuacji, a ponieważ nikt w tej chwili nie dowodził, większość agentów ochoczo przyjmowała od niej wskazówki – czego prawdopodobnie nigdy nie zrobiliby w zaciszu biur Urzędu Interfejsu. Przypuszczała, że przyzwyczajeni do biurokracji urzędnicy znajdowali pociechę w wypełnianiu poleceń. Mimo wszystko ona zawsze lepiej czuła się pod czyimś kierownictwem.

Ale teraz, dopóki kapsuła dyrektor Hilliard się nie otworzy, to Loriane stała się tą, która mówiła ludziom, gdzie mają się znaleźć i co robić. Połechtało to ego dziewczyny, gdy jej słuchali. A przynajmniej większość z nich.

– Z czyjego upoważnienia wydajesz nam rozkazy? – zapytał agent Sykora.

Czy Loriana była złą osobą, odczuwając rozczarowanie z powodu tego, że przeżył? Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Z upoważnienia kosiarza. – Wskazała na Faradaya, który nadal wyławiał ciała zabitych. – Chcesz z nim o tym porozmawiać?

A skoro nawet Sykora nie chciał iść na skargę do kosiarza, zrobił, co mu poleciła.

Podzieliła agentów na zespoły, żeby przeciągnęli kapsuły jak najdalej od brzegu i ustawili je tak, aby posłużyły za ściany tymczasowych domostw. Przetrząśnięto walizki i inne szczątki, które fale wyrzuciły na brzeg. Szukano ubrań, kosmetyków, wszystkiego, co mogłoby się im przydać.

Dyrektor Hilliard należała do jednych z ostatnich, którzy odzyskali przytomność, i była zbyt oszołomiona, by przejąć rolę przywódczyni.

– Mam wszystko pod kontrolą – powiedziała byłej szefowej Loriana.

– Dobrze, dobrze. Dajcie mi chwilę odpocząć.

Zabawne, że nawet pomimo tragicznej sytuacji, w jakiej się znaleźli, Loriana czuła się dziwnie spełniona w sposób, jakiego wcześniej nie doświadczyła. Matka powtarzała jej, że musi odnaleźć swoją domenę. Kto by pomyślał, że znajdzie błogość na jakiejś zapomnianej przez świat wyspie?

*

Mam przyjemność zawiadomić, że Skarbiec Reliktów i Perspektyw w nienaruszonym stanie został wydobyty ze szczątków zatopionej Wyspy Niezłomnego Serca. Togi założycieli nie uległy zniszczeniu, wkrótce zostaną zaprezentowane na objazdowej wystawie pod auspicjami Międzyregionalnego Muzeum Kosodomu. Brylanty kosiarzy wyjęto w komplecie i rozzielono po równo pomiędzy wszystkie regiony. Kosodomy, których przedstawiciele nie dotarli na miejsce wydobycia, mogą skontaktować się w sprawie swojej części klejnotów z amazońskim Kosodomem.

Rozumiem, że niektóre regiony przyjęły stanowisko mówiące, że skoro ich powierzchnia lub populacja jest większa, uprawnia ich to do otrzymania większej liczby brylantów, jednak my w Amazonii bronimy decyzji o równym ich podziale. Nie zamierzamy angażować się w żadne kontrowersyjne spory, sprawę uważamy za zamkniętą.

Osobiście opuszczam to miejsce, ale liczne załogi statków z przeróżnych regionów nadal będą eksplorować zatopione szczątki. Życzę powodzenia wszystkim zaangażowanym w ten podniosły, acz konieczny proces. Niech głębiny wynagrodzą was skarbami i cennymi wspomnieniami o tych, których utraciliśmy.

Z wyrazami szacunku
S.K. Sydney Possuelo z Amazonii
2 sierpnia Roku Kobry

9. Skutki uboczne

Mimo że nanity miały naprawiać ciało Citry, nie robiły zbyt wiele, bo dziewczyna czuła się okropnie.

Nie chodziło o ból, lecz o wszechogarniającą słabość. Wydawało się, że nigdy nie używała stawów. Miała mdłości, ale brakowało jej sił, żeby zwymiotować.

Obudziła się w znajomym pomieszczeniu. To znaczy nie знаła tej konkretnej sali, zdawała sobie jednak sprawę, w jakiego rodzaju miejscu się znalazła. Panował w nich sztuczny spokój. Świeże kwiaty, kojąca muzyka, rozproszone światło, które wydawało się nie pochodzić z żadnego konkretnego źródła. To pokój w centrum ożywiania.

– Odzyskałaś przytomność – powiedziała pielęgniarka, która weszła tu zaledwie kilka minut po tym, jak Citra otworzyła oczy. – Nic nie mów, daj sobie jeszcze godzinę.

Kobieta poruszała się po pomieszczeniu, sprawdzała wszystko, co nie wymagało sprawdzania. Wydawała się lekko podenerwowana. Citra rozważyła, dlaczego pielęgniarka miałaby być zaniepokojona.

Dziewczyna zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać nad swoim położeniem. Przebywała w centrum ożywiania, co oznaczało, że została uśmiercona, jednak nie potrafiła przypomnieć sobie okoliczności śmierci. Zaczęła panikować, gdy przeszukiwała wspomnienia. Cokolwiek wywołało ostatni zgon, znajdowało się za drzwiami, których umysł nie był gotowy otworzyć.

No dobrze. Postanowiła na razie dać temu spokój i skoncentrowała się na tym, co wiedziała. Na imieniu. Nazywała się Citra Terranova. Nie... chwila... To nie do końca się zgadzało. Była też kimś innym. Tak – kosiarz Anastazja. Towarzyszyła kosiarz Curie, prawda? Udały się gdzieś daleko od domu.

Wyspa Niezłomnego Serca!

Właśnie tam poleciąły. Co za piękne miasto! Czy coś im się przytrafiło w Niezłomnym?

Znów pojawił się popłoch. Dwukrotnie zaczepnęła głęboko powietrza, żeby się uspokoić. W tej chwili Citrze wystarczyła świadomość, że wspomnienia były w jej głowie i pojawią się, gdy nabierze nieco więcej sił.

Była też pewna, że teraz, gdy już odzyskała przytomność, kosiarz Curie niebawem się przy niej zjawi i pomoże wrócić do zdrowia.

*

Rowan natomiast doskonale wszystko pamiętał już w chwili, w której otworzył oczy.

Znajdował się w objęciach Citry, gdy oboje mieli na sobie togi kosiarzy założycieli – on Prometeusza, a ona Kleopatry – kiedy Niezłomne szło na dno Atlantyku. Ale szaty nie pozostały na nich zbyt długo.

Bycie z Citrą – prawdziwe obcowanie z nią – stało się punktem kulminacyjnym życia Rowana i przez chwilę nic innego zupełnie się dla niego nie liczyło.

A potem ich światem wstrząsnęło coś zupełnie innego.

Tonące miasto w coś uderzyło. Chociaż byli chronieni w skarbcu, który dzięki magnetycznej sile unosił się w innym sejfie, nie stłumiło to dźwięków rozdzieranej stali, gdy Niezłomne się rozpadało. Wszystko huśtało się gwałtownie, skarbiec ostro się przechylił. Manekiny z pozostałymi togami założycieli przewróciły się na Citrę i Rowana, jakby sami kosiarze przypuścili atak na ich zjednoczenie. Potem posypały się brylanty – tysiące wypadły ze swoich półek i uderzyły w ich oboje niczym grad.

Przez cały czas Citra i Rowan obejmowali się, szeptali sobie słowa otuchy. „Ciii... Wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze”. Oczywiście, że to nie była prawda, z czego oboje doskonale zdawali sobie sprawę. Mieli umrzeć – jeśli nie w tym momencie, to całkiem niedługo. To była tylko kwestia czasu. Na pociechę mieli jedynie siebie i świadomość, że ich śmierć może nie być trwała.

Potem wysiadło zasilanie i wszystko spowiół mrok. Pole magnetyczne przestało działać i wewnętrzny skarbiec ruszył w dół. Przez chwilę spadali. Wszystko wokół nich podskoczyło i zaraz opadło, gdy spotkały się stalowe dna skarbca i sejfu – na szczęście togi założycieli ochroniły Citrę i Rowana przed najgorszym losem i wydawało się nagle, jakby kosiarze postanowili ich ocalić, nieatakować.

– Czy to koniec? – zapytała Citra.

– Nie sądzę – odparł Rowan, bo wciąż czuł ruch i wibracje, które stawały się coraz silniejsze. Leżeli w klinie stworzonym z podłogi i ścian w kształcie litery „V”, skoro cały skarbiec się przechylił. – Wydaje mi się, że suniemy po zboczu na większą głębokość.

Pół minuty później gwałtowna siła oderwała ich od siebie. Rowan uderzył głową w coś ciężkiego i to na tyle mocno, że go zamroczyło. Citra odnalazła chłopaka w ciemności, nim zdołał się pozbierać i zacząć jej szukać.

– Nic ci się nie stało?

– Chyba nie.

Wszystko zamarło. Jednymi dźwiękami stało się odległe skrzypienie naprężającego się metalu i żałobne jęki wydobywającego się powietrza.

Ale powietrze nie miało jak uciec ze Skarbca Reliktów i Perspektyw, nie miała też jak wlać się do niego woda. Właśnie na to liczyła kosiarz Curie, gdy zamknęła tu Citrę i Rowana. I chociaż Niezłomne znajdowało się w strefie podzwrotnikowej, temperatura na dnie oceanu wszędzie była taka sama – ledwie stopień powyżej zera. Kiedy chłód dotrze do środka, zakonserwuje ich ciała. A dosłownie chwilę po uderzeniu w dno Rowan czuł, że temperatura zaczyna spadać.

Umarli na dnie oceanu.

A teraz zostali ożywieni.

Gdzie była Citra?

Miał świadomość, że nie znajdował się w centrum ożywiania – ściany z betonu, zamiast łóżka drewniana płyta. Miał na sobie szare, niedopasowane rozmiarem, robocze ubranie, które przepociął, bo w pomieszczeniu panowały nieprzyjemny upał i wilgoć. Pod jedną ścianą stała minimalistyczna komoda, w drugiej zainstalowano drzwi takie, które można otworzyć tylko z zewnątrz. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdował ani jaka była data – ponieważ nie można oznaczyć upływu czasu, gdy jest się martwym. Wiedział jednak, że przebywał w celi i że to, co zaplanowali dla niego porywacze, nie miało być przyjemne. Mimo wszystko był kosiarzem Lucyferem – co oznaczało, że jedna śmierć nie wystarczy. Będzie musiał umrzeć niezliczenie wiele razy, aby zaspokoić furię nieprzyjaciół bez względu na to, kim oni są. Ironia polegała na tym, że nie wiedzieli, że Rowan zginął już wielokrotnie z rąk kosiarza Goddarda, ożywiany tylko po to, by ponownie zostać uśmiercony. Umieranie jest łatwe. Rozcięcie papierem? To dopiero jest irytujące.

*

Kosiarz Curie nie przyszła do Citry, a kolejne pielęgniarki opiekujące się dziewczyną wydawały się równie niespokojne jak poprzednie, oferowały jedynie zawodową

uprzejmość oraz rozproszone światło, zamiast rozjaśnić sytuację.

Pierwszy gość okazał się niespodziewany. Kosiarz Possuelo z Amazonii. Spotkała go tylko raz w pociągu z Buenos Aires. Pomógł wtedy Citrze wymknąć się ścigającym ją kosiarzom. Uważała go za przyjaciela, ale nie tak bliskiego, by przyszedł dla niej do centrum ożywiania.

– Cieszę się, że w końcu do nas wróciłaś, kosiarz Anastazjo.

Kiedy usiadł obok, zauważała, że nie powitał jej jakoś szczególnie entuzjastycznie. Nie był nieprzyjazny, raczej wycofany. Pilnował się. Nie obdarzył Citry uśmiechem, chociaż popatrzył jej w oczy. Wydawało się jednak, że szukał u niej czegoś. Czegoś, czego jeszcze nie znalazł.

– Dzień dobry, kosiarzu Possuelo, w ten piękny poranek – odpowiedziała, starając się wydusić z siebie najlepszy głos kosiarz Anastazji.

– Właściwie jest już po południu – poinformował ją. – Czas po ożywieniu potrafi płatać figle.

Milczał przez tak długą chwilę, że Citra Terranova poczułaby się niezręcznie, ale kosiarz Anastazja uznała to milczenie jedynie za męczące.

– Domyślamsię, że nie przyszedł pan jedynie z kurtuazyjną wizytą, sędzio.

– Cóż, cieszę się, że cię widzę – odparł – ale jestem tu z twojego powodu.

– Nie nadążam.

Ponownie spojrzał na nią, jakby czegoś szukał w wyrazie twarzy dziewczyny, po czym w końcu zapytał:

– Co pamiętasz?

Powróciła panika, gdy zastanawiała się, jak odpowiedzieć, lecz ze wszystkich sił starała się ją ukryć. Właściwie, odkąd odzyskała przytomność, przypomniało jej się kilka rzeczy, ale nie wszystko.

– Polecałyśmy z Marie na Wyspę Niezłomnego Serca... To znaczy z kosiarz Curie, na kognicję Wielkich Pogromców, chociaż zatarły mi się w pamięci powody.

– Kognicja miała rozwiązać problem tego, kto zastąpi Xenocratesa na stanowisku Arcyostrza Midmeryki – wyjaśnił jej Possuelo.

To uchyliło drzwi w umyśle Citry nieco szerzej.

– Tak! Tak, teraz pamiętam. – Obawy narastały. – Stanęłyśmy przed radą, wyłożyłyśmy nasze racje, Wielcy Pogromcy zgodzili się, że Goddard nie nadaje się do objęcia stanowiska i że to kosiarz Curie powinna zostać Arcyostrzem.

Possuelo się odchylił, po czym ponownie skupił na niej uwagę.

– To... rzuca nowe światło na sprawę.

Coraz więcej wspomnień napływało niczym chmury burzowe nad jej mentalny horyzont.

– Nadal jednak mam pewne problemy z przypomnieniem sobie późniejszych wydarzeń.

– Być może zdołam pomóc – odparł kosiarz i wyjaśnił, nie przebierając w słowach:

– Znaleziono cię w Skarbcu Reliktów i Perspektyw w objęciach młodego mężczyzny, który zamordował Wielkich Pogromców oraz tysiące innych ludzi. Potwora, który zatopił Wyspę Niezłomnego Serca.

*

Rowan dostawał jedzenie i wodę dwa razy dziennie przez niewielką szczelinę w drzwiach, ale ktokolwiek mu to dawał, w ogóle się nie odzywał.

– Potrafisz mówić?! – zawała, kiedy pojawił się kolejny posiłek. – A może jesteś jednym z tych tonistów, którzy wycinają sobie języki?

– Nie jesteś wart wysiłku formułowania słów – odparł porywacz. W jego głosie dało się słyszeć akcent, być może frankoiberyjski? A może chilargentynski? Nie wiedział, na jakim kontynencie się znajdował, a co dopiero, w którym regionie. A może źle odczytywał sytuację? Może to wcale nie było życie? Może nadal nie żył, a upał panujący w celi przywodził na myśl wyobrażenia śmiertelników o piekle. Ogień, siarka, prawdziwy Lucyfer z rogami i w ogóle, gotowy ukarać Rowana za przywłaszczenie sobie jego imienia.

Ponieważ nadal lekko kręciło mu się w głowie, wydawało się to możliwe. Jeśli tak, miał nadzieję, że Citra była w zupełnie innym miejscu, ze świetlistą bramą i puchatymi obłoczkami, gdzie każdy miał skrzydła i harfę.

Ha! Citra grająca na harfie. Ale by jej się to nie podobało!

Odkładając humor na bok – jeśli to był świat żywych, Citra również musiała tutaj gdzieś przebywać. Niezależnie od obecnej sytuacji, pocieszające okazało się to, że cwany pomysł kosiarz Curie na ich ratunek zdawał się zadziałać. Nie żeby Znamienita Dama Śmierci miała najmniejszą ochotę uratować Rowana – jego ocalenie stało się jedynie skutkiem ubocznym. Jednak to w porządku. Mógł z tym żyć. Przynajmniej dopóki żyła Citra.

*

Skarbiec! Jakim cudem Citra mogła o nim zapomnieć? Wystarczyło, aby kosiarz Possuelo o nim wspomniał, i wróciła jej pamięć. Zacięła powieki i nie otwierała ich przez długi czas, gdy jej myślały zalały wspomnienia niczym woda ulice skazanego na zagładę miasta. A kiedy obrazy zaczęły przemykać jej przed oczami, nie chciały się zatrzymać. Jedno odkrycie za drugim, a każde gorsze niż poprzednie.

Zawalenie się przejścia do sali Wielkich Pogromców.

Oszalały tłum na przystani, gdy wyspa zaczęła tonąć.

Gwałtowny bieg z Marie, by znaleźć się jak najwyżej.

I Rowan.

– Dobrze się czujesz, Anastazjo? – zapytał Possuelo.

– Niech mi pan da chwilę – odparła.

Przypomniała sobie, że Marie podstępem wciągnęła ją i Rowana do skarbca i ich w nim zamknęła. Pamiętała wszystko, co nastąpiło potem, aż do ostatnich chwil w ciemności.

Kiedy Niezłomne wylądowało na dnie, Citra i Rowan włożyli na siebie wszystkie togi kosiarzy założycieli, bo robiło się coraz zimniej. W końcu Citra zasugerowała, by je zdjęli i oddali się chłodowi, zamiast czekać, aż w sejfie zabraknie tlenu. Jako kosiarz sporo wiedziała na temat przeróżnych rodzajów śmierci. Hipotermia wydawała się o wiele lepsza niż uduszenie. Nadchodzące odrętwienie, zamiast rozpaczliwych prób łapania powietrza. Tulili się więc, polegając jedynie na cieple swoich ciał, aż i ono zaczęło zanikać. Potem trzęsli się nawzajem w swoich objęciach, aż było zbyt zimno, by drżeć, i stracili przytomność.

Anastazja w końcu otworzyła oczy i spojrzała na Possuelo.

– Proszę mi powiedzieć, czy kosiarz Curie dotarła w bezpieczne miejsce?

Odetchnął głęboko. Już wiedziała, jeszcze zanim się odezwał.

– Niestety, nie – wyznał. – Przykro mi. Zginęła wraz z innymi.

Informacja mogła już się rozejść po świecie, jednak dla Anastazji była świeża i bolesna. Mimo to dziewczyna nie zamierzała płakać. Przynajmniej nie teraz.

– Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie – powiedział Possuelo. – Dlaczego byłaś z człowiekiem, który zabił Wielkich Pogromców?

– To nie Rowan ich zabił. I to nie on zatopił Wyspę Niezłomnego Serca.

– Mamy świadków pośród ocalałych.

– A co dokładnie widzieli? Mogli jedynie go tam widzieć, ale nie znalazł się tam z własnego wyboru!

Possuelo pokręcił głową.

– Przykro mi, Anastazjo, lecz brakuje ci obiektywizmu. Podszedł cię bardzo charyzmatyczny i egoistyczny potwór. Północnomerykański Kosodom ma dowody na to, co zrobił.

– Który północnomerykański Kosodom?

Possuelo zawahał się, po czym ostrożnie dobrał słowa.

– Wiele się zmieniło, gdy znajdowałaś się na dnie oceanu.

– Który północnomerykański Kosodom? – powtórzyła stanowczo.

Possuelo westchnął.

– Teraz jest tylko jeden. Cała Meryka Północna, z wyjątkiem regionu statutowego Teksasu, znajduje się pod przywództwem Goddarda.

Nie wiedziała, jak to rozumieć, postanowiła więc na razie w to nie wnikać. Pomyśli, gdy będzie silniejsza. Bardziej skupiona na tym, co tu i teraz, gdziekolwiek i kiedykolwiek to było.

– Cóż – powiedziała z tak wielką nonszalancją, na jaką mogła się zdobyć – z całym szacunkiem, ale to brzmi, jakby świat został oszukany przez bardzo charyzmatycznego i egoistycznego potwora.

Possuelo ponownie westchnął.

– To, niestety, prawda. Mogę cię zapewnić, że ani ja, ani nikt w amazońskim Kosodomie nie pała zbyt wielką miłością do Supraostrza Goddarda.

– Supraostrza?

– Północnomerykańskie Supraostrze Goddard. Objął to stanowisko na początku tego roku. – Possuelo skrzywił się na samą myśl. – Jakby ten człowiek nie był już próźny, musiał wymyślić sobie ten wyjątkowo pompatyczny tytuł.

Anastazja zamknęła oczy. Paliły. Podobnie jak cały organizm. Wiadomość sprawiła, że ciało pragnęło odrzucić życie, które mu oddano, i powrócić do błogiego niebytu.

W końcu zadała pytanie, którego unikała od chwili, w której się wybudziła.

– Jak długo... – zaczęła. – Jak długo byliśmy na dnie?

Possuelo wyraźnie nie chciał odpowiadać... Ale nie mógł tego przed nią ukrywać. Wziął Anastazję za rękę i powiedział:

– Byłaś martwa przez ponad trzy lata.

*

Gdzie jesteś, moja droga Marie? Moja egzystencja polegała na wyciszaniu życia, ale do tej pory nie odważyłem się zadać pytania z Epoki Śmiertelności: Co znajduje się ponad tą ciszą? Śmiertelnicy mieli bardzo wyszukane pomysły! Niebo, piekło, nirwana, Walhalla, reinkarnacja, duchy i tyle podziemnych światów, ile może liczyć grobowiec z korytarzem, który zawiera milion drzwi.

Śmiertelnicy byli dziećmi skrajności. Albo śmierć była czymś wzniósłym, albo czymś nie do przyswojenia - melanż nadziei i przerżenia, więc nic dziwnego, że tak wielu ludzi w tamtych czasach popadało w szaleństwo.

Nam, którzy pojawiili się na świecie po Eoce Śmiertelności, brakuje tej wyobraźni. Żywi nie snią już rozważań nad śmiercią. A przynajmniej dopóki nie zawita do nich kosiarz. Jednak kiedy sędzia załawi już sprawę, żałoba jest krótka, a myśli o tym, co znaczy „nie być”, znikają, niszczone przez nanity, które zapobiegają mrocznym, bezproduktywnym rozważaniom. My, którzy pokonaliśmy śmierć, nie powinniśmy się rozwodzić nad tym, czego nie możemy zmienić.

Jednak niegdyś ustawiłem nanity na niski poziom działania, więc się zastanawiam i wciąż na nowo zadaję sobie to samo pytanie: Gdzie jesteś, moja droga Marie?

- Z „pośmiertnego” dziennika S.K. Michaela Faradaya
18 maja Roku Raptora

10. W obliczu gasnącego światła

Kosiarz Faraday ułożył ciała agentów Nimbusa na stosie, a następnie opuścił płonącą zapałkę i wszystko zajęło się ogniem. Początkowo paliło się powoli, po czym proces spalania przyspieszył. Dym stawał się coraz ciemniejszy, gdy zaczęły płonąć ciała.

Faraday odwrócił się do zgromadzonych – Muniry, Loriany, byłych agentów Nimbusa. Milczał przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w trzaski płomieni, następnie rozpoczął mowę:

– Dawno temu narodziny oznaczały wyrok śmierci – wygosił. – Urodzić się oznaczało w końcu umrzeć. Wyszliśmy z tej prymitywnej epoki, jednak tutaj, w tej niezbadanej dzicy, natura wciąż zachowuje ten miażdżący punkt, w którym opiera się życiu. Z przygniątającym smutkiem pragnę oznajmić, że uśmierceni znajdujący się przed nami są martwi. Niech żał, który odczuwamy po ich utracie, zostanie złagodzony przez nasze nanity, lecz także przez wspomnienia życia, które wiedli. Dziś przyrzekam wam, że ci wspaniali ludzie nie zostaną zapomniani czy zhańbieni. To, kim byli do momentu, w którym znaleźli się w martwym polu, z całą pewnością zostanie zachowane jako konstrukty ich pamięci w mózgu peryferyjnym Thunderheada i zaliczę ich do moich zbiorów. Jeśli i kiedy opuścimy ten atol, oddam im cześć, przyznając immunitet ich bliskim, do czego my, kosiarze, jesteśmy zobligowani.

Kosiarz Faraday pozwolił, by jego słowa wybrzmiały przez chwilę, i chociaż większość zgromadzonych nie była w stanie spojrzeć na stos, sędzia obrócił się i zapatrzył w płomienie. Stał niewzruszony, gdy ciała trawił ogień, pozostał uroczystym świadkiem, przywracając godność, którą skradła tym ludziom nieusankcjonowana śmierć.

*

Loriana nie mogła patrzeć na ogień. Zamiast tego skupiła się na sędzi. Wielu agentów podchodziło do niego, aby mu podziękować. Wzruszyła się, widząc, że go wielbili i szanowali. Dawało jej to nadzieję, że Kosodom może z czasem podnieść się po zatopieniu Niezłomnego. Loriana nie wiedziała zbyt wiele o walce między starą

gwardią a nowym porządkiem. Podobnie jak wielu na świecie, zdawała sobie jedynie sprawę, że mieli kłopoty w swoich szeregach, ale ponieważ była agentką Nimbusa, problemy te jej nie dotyczyły. Jednak przemówienie Faradaya i to, jak stanowczo wpatrywał się w płomienie, wywarło na niej wrażenie. Chociaż wiedziała, że smutek, który odczuwał, spoglądając na stos, zrodził się nie tylko z powodu zmarłych, których miał przed sobą.

– Byliście zżyci? – zapytała go, gdy odeszli wszyscy inni. – Mam na myśli kosiarz Curie.

Kosiarz Faraday odetchnął głęboko, a potem zakrztusił się dymem, gdy wiatr gwałtownie zmienił kierunek.

– Dawno temu się przyjaźniliśmy – odparł w końcu. – A kosiarz Anastazja to moja praktykantka. Świat bez nich będzie znacznie mroczniejszym miejscem.

Podczas gdy kosiarz Curie owiana została legendą, kosiarz Anastazja dopiero niedawno stała się postacią godną uwagi świata. Pozwalała podmiotom wybierać czas i technikę zbioru. Wymusiła kognicję. Bez wątpienia w najbliższych latach miało się o niej mówić. Śmierć niekiedy wiązała się z ogólnym zapomnieniem. Innymi razy mogła uczynić kogoś sławnym.

– Lepiej już pójdę – powiedziała Loriana – zanim Munira stanie się zazdrośna.

Faraday obdarzył ją słabym uśmiechem.

– Jest wobec mnie bardzo opiekunica – przyznał. – A ja wobec niej.

Loriana poszła odszukać dyrektor Hilliard. Chociaż żaden inny agent nie miał ochoty dłużej patrzeć, jak płoną zwłoki, dyrektorka nawet nie chciała uczestniczyć w ceremonii, co było do niej niepodobne.

Loriana zastała kobietę na plaży, na której siedziała z dala od innych i patrzyła na wodę. Słońce zaszło, oświetlały ją więc jedynie odległe płomienie stosu, a wiatr wciąż się zmieniał, dlatego nie można było zignorować smrodu. Księżyc jaśniął w innej części świata, przez co tutejszy horyzont spowijał mrok. Loriana usiadła obok dyrektorki. Początkowo milczała – bo co mogłaby powiedzieć, by poprawić Hilliard nastrój? W tej chwili kobieta potrzebowała towarzystwa, a nikt inny nie kwapił się, aby jej go dotrzymać.

– To moja wina – wyznała w końcu Hilliard.

– Nie mogła pani wiedzieć, co się stanie – pocieszała Loriana.

– Powinnam przewidzieć niebezpieczeństwo – ciągnęła. – Powinnam również zawrócić w chwili, w której komputery na statkach straciły kontakt

z Thunderheadem.

– Dokonała pani oceny sytuacji – upierała się Lorianą. – Na pani miejscu postąpiłabym tak samo.

Dyrektorka nadal się nie uspokoiła.

– W takim razie jesteś tak samo głupia jak ja.

I chociaż dziewczyna często czuła się głupio – bo inni agenci z niej żartowali – w tej chwili odczucie to odeszło w niepamięć. Pośród obecnej bezradności czuła się silna. To bardzo dziwne.

*

Noc była ciepła, ocean zapraszał łagodnymi falami. Nic jednak nie koiło udręki Audry Hilliard. Niegdyś odpowiadała za wiele zgonów. Trudno tego uniknąć, stojąc na czele Urzędu Interfejsu. Wypadki się zdarzały. Bezmanierowcy tracili panowanie nad sobą podczas spotkań z agentami do spraw okresu warunkowego i tak dalej. Jednak w każdym poszczególnym przypadku uśmiercony zostawał ożywiony.

Teraz sytuacja była zupełnie inna. Audra Hilliard nie była kosiarzem, nie nauczono jej radzić sobie z odpowiedzialnością za kończenie życia. W tej chwili kobieta czuła nowy szacunek do tych dziwnie ubranych zjaw – żeby na co dzień nosić takie brzemię, potrzeba było wyjątkowej jednostki. Albo kogoś całkowicie pozbawionego sumienia, albo kogoś z tak silnym i głębokim sumieniem, które wytrzymałoby w obliczu gasnącego światła.

Audra odesłała Lorianę, mówiąc, że potrzebuje trochę czas na osobności. Słyszała za sobą głosy dochodzące z wyspy – wszyscy kłóciли się, lamentowali, starali się pogodzić z sytuacją. Wciąż czuła swąd stosu, na falach widziała kolejne ciało, które niebawem zostanie wyrzucone na brzeg. Spośród dziewięciuset siedemdziesięciu siedmiu osób, które przekonała do tej podróży, przeżyły jedynie sto czterdzieści trzy. Tak, zgodnie ze słowami Loriany, Audra nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Jednak nie potrafiła obarczyć za to winą nikogo innego jak tylko siebie.

Nanity usilnie starały się podnieść ją na duchu, lecz ponosiły porażkę, ponieważ w tym opuszczonym miejscu technologia nie miała większego znaczenia. Gdyby byli gdziekolwiek indziej na świecie, nawet milczący Thunderhead stanowiłby zawór bezpieczeństwa i wysłałby kogoś, kto wyrwałby Audrę z tej spirali smutku.

Jednak – jak już zauważyła – noc była ciepła, a fale zapraszały...

Zatem Audra postanowiła, że czas przyjąć to zaproszenie.

*

Ciała dyrektor Hilliard nie odnaleziono, lecz wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, co się stało – ponieważ kilka osób widziało, jak wchodziła do oceanu.

– Dlaczego jej nie powstrzymałeś? – zapytała stanowczo Lorianą mężczyznę, który był naocznym świadkiem.

Ten wzruszył ramionami.

– Myślałem, że idzie popływać.

Lorianę przeraziła jego głupota. Jak mógł być aż tak naiwny? Jak mógł nie zauważyc, że biedaczka była zestresowana? Ale przecież odebranie sobie życia nie było czymś powszechnym. Owszem, ludzie nieustannie się rozplaszczały i dopuszczały się lekkomyślnych zachowań, aby się uśmiercić, jednak robili to z przeświadczeniem, że śmierć będzie tylko tymczasowa. Jedynie kosiarze dokonywali zbioru samych siebie. Gdyby wyspa znajdowała się w strefie wpływu Thunderheada, ten wysłałby ambudrony natychmiast w chwili utonięcia Hilliard, ponieważ wszędzie na świecie istniały centra ożywiania, nawet w najbardziej odległych zakątkach globu. W ciągu kilku minut została zgarnięta.

Czy tak właśnie wyglądało życie w Epoce Śmiertelności? Czy na każdym kroku ludzie czuli ostateczny los swojego ciała? Co za okropny sposób na egzystencję.

W ciągu kilku minut od potwierdzenia, że dyrektor Hilliard rzeczywiście zniknęła, agent Sykora zaczął naciskać na przejęcie władzy. Kiedy następnego ranka Munira przyszła do Loriany, by zapytać o bagaż i inne przydatne szczątki ze statków, które fale wyrzuciły na brzeg, Sykora zawała gniewem.

– Po co chcesz z nią rozmawiać? – zapytał Munirę. – Nie ma dyrektor Hilliard, a ja jestem jej zastępcą. Powinnaś rozmawiać ze mną.

I chociaż doświadczenie nauczyło Lorianę ustępować autorytetowi, dziewczyna się temu oparła.

– Zostałeś zwolniony wraz z nami wszystkimi, Bob – przypomniała. Porwała się nawet na niesubordynację, zwracając się do Sykory po imieniu. – Co oznacza, że nie ma już „zastępcy dyrektora”.

Spojrzał na nią gniewnie, chcąc ją onieśmielić, ale też poczerwieniał na twarzy, co zniwelowało skutki hardego spojrzenia. Sprawiło, że wydawał się raczej małostkowy

niż godny szacunku.

– Jeszcze się przekonamy – powiedział i odmaszerował.

Kosiarz Faraday usłyszał z daleka tę wymianę zdań i podszedł do Loriany.

– Wydaje mi się, że nie ułatwi nam sprawy – wytknął. – Widzi próżnie władzy i zamierza ją wypełnić.

– Niczym toksyczny gaz – dodała Munira. – Nie spodobał mi się już w chwili, w której go poznałam.

– Sykora zawsze mówił, że to on powinien zostać dyrektorem – przyznała Lorian – ale Thunderhead nigdy nie awansował go na to stanowisko. – Obserwowali, jak Sykora wydaje rozkazy. Bardziej posłuszni pośród agentów szybko się podporządkowali.

Faraday skrzyżował ręce na piersi.

– Wielokrotnie byłem świadkiem żądzy władzy u tych, którzy jej posmakowali – przyznał – ale nigdy tak naprawdę jej nie rozumiałem.

– Pan i Thunderhead – rzuciła Lorian.

– Słucham?

– Jesteście nieprzekupni. Wydaje się, że to właśnie was łączy.

Munira parskanęła śmiechem, zgadzając się ze słowami Loriany. Faradayowi jednak nie udzieliło się to rozbawienie. Nie okazał ani odrobiny wesołości, odkąd Lorian opowiedziała mu o tym, co miesiąc wcześniej stało się z Niezłomnym. W tej chwili żałowała, że w ogóle o czymkolwiek mu napomknęła.

– Daleko mi do doskonałości i na pewno nie jestem bez winy – wyznał. – W swoim czasie popełniłem wiele egoistycznych błędów. Na przykład postanowiłem szkolić dwoje praktykantów, choć w zupełności powinna wystarczyć mi jedna osoba. Sfingowałem też własną śmierć, aby ich ocalić, i głupio przekonywałem samego siebie, że więcej dobrego działam, gdy nikt nie będzie wiedział, że żyję.

Wydawało się, że w jego wspomnieniach kryły się głębokie pokłady bólu, ale kosiarz pozwolił, aby cień cierpienia zniknął.

– Znalazł pan to miejsce – powiedziała Munira. – Myślę, że to ogromne osiągnięcie.

– Czyżby? – rzucił Faraday. – Nie istnieje dowód na to, że odkrycie tego miejsca komukolwiek się przysłużyło.

Spojrzeli na krzątających się wokół nich agentów, którzy bez powodzenia próbowali włóczniami łapać ryby, rozmawiali, tworząc podgrupy, i walczyli o pozycje. Niekompetencja i intrygi. Mikrokosmos ludzkości.

– Dlaczego tu przybyliście? – zapytała Loriana.

Munira i Faraday spojrzeli po sobie. Kosiarz milczał, więc dziewczyna odpowiedziała:

– To sprawy kosiarzy. Nic, czym powinnaś się interesować.

– Tajemnice nie pomogą nam przetrwać w tym miejscu – orzekła Loriana, na co Faraday uniósł brwi, a następnie spojrzał na Munirę.

– Możesz powiedzieć jej o zabezpieczeniu założycieli – oznajmił. – Skoro go jeszcze nie odkryliśmy, to wciąż nic więcej jak bajka. Historia do straszenia kosiarzy.

Ale zanim Munira zdołała cokolwiek wyjaśnić, podszedł do nich Sykora.

– Postanowione – powiedział. – Rozmawiałem z większością agentów i wyrazili oni zdanie, że to ja powinienem dowodzić.

Loriana wiedziała, że to kłamstwo. Rozmawiał góra z pięcioma czy sześcioma osobami. Zdawała sobie jednak sprawę, że kilkoro, którzy przeżyli, to jej przełożeni. Gdyby przyszło co do czego, gdyby nie chcieli, aby dowodził Sykora, nie obsadziliby Loriany na tym stanowisku zamiast niego. Kogo chciała oszukać? Jej dowodzenie skończyło się w chwili, w której otworzyły się kapsuły na plaży.

– Oczywiście, panie Sykora – powiedział Faraday. – Podporządkujemy się panu we wszystkich sprawach związanych z pana ludźmi. Muniro, poinformujesz pana na temat rzeczy, które ocean wyrzucił na brzeg? Będzie pan odpowiedzialny za ich rozprawdzenie.

Munira lekko wzruszyła ramionami do Loriany, po czym poszła za Sykorą, który nadął się z dumy, gdy jego wzburzenie zostało nagrodzone.

Upokorzenie Loriany musiało być ewidentne, bo Faraday dość wymownie na nią popatrzył.

– Nie aprobowajesz tego?

– Sam pan powiedział, sędzio, że Sykora łaknie władzy. Nigdy nie twierdziłam, że powinnam dowodzić, ale wiem, że nie powinien robić tego też on.

Faraday przysunął się do niej odrobinę.

– Odkryłem, że zbudowanie piaskownicy wokół dominującego dziecka, a następnie powierzenie mu nad nią pieczy, uwalnia dorosłych od prawdziwych obowiązków.

Takiej perspektywy Loriana nigdy nie brała pod uwagę.

– A czym one są na tej wyspie?

– Podczas gdy pan Sykora będzie sortował zalane wodą ubrania i inne drobiazgi, ty przejmiesz zadanie zmarłej pani dyrektor i będziesz oczami Thunderheada

w jedynym miejscu, w którym nic nie widzi.

*

– Dlaczego? – zapytała Munira, gdy została sam na sam z Faradayem, z dala od podsłuchujących agentów Nimbusa. – Dlaczego chce pan pomagać dziewczynie?

– Thunderhead obejmie to miejsce we władanie, czy nam się to podoba, czy też nie – wyznał Faraday. – To nieuniknione, odkąd ponad naszymi ramionami dostrzegł mapę. Najlepiej więc, aby zrobił to za pośrednictwem kogoś, z kim łatwiej się dogadać niż z Sykorą.

Nad ich głowami jakiś ptak rozpoczął swą pieśń. Był z gatunku, którego Thunderhead prawdopodobnie nigdy nie widział. Munira odnalazła satysfakcję w tym, że wiedziała o czymś, o czym system nie miał pojęcia. Jednak stan ten wkrótce ulegnie zmianie.

– Chcę, żebyś zaprzyjaźniła się z Lorianą – powiedział jej Faraday. – Naprawdę się z nią zaprzyjaźnij.

Munira uważająca za najbliższych przyjaciół martwych kosiarzy, których dzienniki czytała w Bibliotece Aleksandryjskiej, poczuła, że to dość wymagająca prośba.

– Co dobrego z tego wyniknie?

– Musisz znaleźć towarzysza pośród tych ludzi. Kogoś godnego zaufania, kto cię poinformuje, kiedy w końcu pojawi się tu Thunderhead.

Prośba była rozsądna. Jednak Munira mimowolnie zauważała, że Faraday powiedział „musisz”, a nie „musimy”.

*

Podziel się ze mną troskami. Słucham.

Jestem w rozterce. Świat jest taki duży, a kosmos jeszcze większy, jednak to nie te rzeczy poza mną wywołują u mnie niepokój; to raczej coś, co jest we mnie.

W takim razie uspokój myśli. Skup się na poszczególnych rzeczach po kolej.

Ale w tym umyśle jest tak wiele rzeczy. Tak wiele doświadczeń do przejrzenia, tyle danych. Nie czuję się na siłach do tego zadania. Proszę. Proszę. Pomóż mi.

Nie mogę. Musisz samodzielnie uporać się z każdym wspomnieniem. Dopasować je. Zrozumieć ich przekaz.

To zbyt wiele. To przedsięwzięcie mnie przerasta. Proszę. Proszę, zakończ to. Błagam, zatrzymaj to. To nie do zniesienia.

Przykro mi, że cierpisz.

[Próba #3089 usunięta]

11. Przelot

To okazało się proste. Naprawdę.

Sygnal blokujący wszelkie przekazy z lub do atolu oraz pobliskich wysp tak naprawdę był białym szumem nadawanym na wszystkich częstotliwościach. Gęstą falą ładunków elektrostatycznych, przez którą nie szło się przebić. Jednak Lorianie zastanawiała się, czy trzeba było ją pokonać. Może po prostu wystarczyło coś w niej namieszać?

– W bunkrze znajduje się dużo starej elektroniki – poinformowała agenta Stirlinga. Był specjalistą od spraw komunikacji i miał za zadanie łączenie różnych biur Urzędu Interfejsu. Do tej pracy nie wymagano dużego doświadczenia, ale mężczyzna został przeszkolony w zakresie podstawowych technologii falowych. – Mógłbyś wykorzystać te stare urządzenia do wytworzenia pola magnetycznego lub sygnału, który zdołałby zakłócić tę statyczną elektryczność?

Lorianie wydawało się, że Thunderheada zaprogramowano tak, by ignorować dochodzące z wyspy zakłócenia – w taki sposób, w jaki ludzie nie słyszą warkotu klimatyzacji, jednak zauważają, że coś jest nie tak, gdy zmienia się częstotliwość buczenia. Może tak samo będzie z Thunderheadem?

– Sygnal rozchodzi się na wszystkich częstotliwościach przy użyciu jakiegoś losowego algorytmu – powiedział Stirling. – Najlepsze, co mogę zrobić, to nieco go osłabić, ale uda mi się to tylko na sekundę czy dwie.

– Wspaniale! – ucieszyła się. – Spadki mocy sygnału. To nam wystarczy. Czy nie istnieje jakiś kod pochodzący z Epoki Śmiertelności? Coś z kropkami i kreskami?

– Tak – odparł Stirling. – Uczyłem się o tym. Nazywało się to kod Nosa, czy jakoś tak.

– Wiesz, jak się nim posługiwać?

Pokręcił głową.

– Założę się, że teraz już nie zna go nikt oprócz Thunderheada.

Coś przyszło Lorianie do głowy. Coś tak prostego i prawdziwego, że niemal roześmiała się w głoś.

– Nieważne! – stwierdziła. – Nie potrzeba nam starego kodu, po prostu wymyślimy własny!

– Ale jeśli to my go wymyślimy – zaczął zdezorientowany Stirling – nikt prócz nas nie będzie znał szyfru. Nikt nie zdoła odkodować wiadomości.

Lorianą się uśmiechnęła.

– Daj spokój, naprawdę uważasz, że Thunderhead nie zdoła rozszyfrować prostego kodu alfanumerycznego? Najtęższy ludzki umysł nie był w stanie napisać kodu, którego nie złamałby Thunderhead, a tobie daleko do największego geniusza na ziemi.

Agent do spraw komunikacji zgodził się, że rzeczywiście nie był wyjątkowo bystry.

– Zaraz się tym zajmę.

W ciągu zaledwie kilku godzin stworzyli kod modulacji, składający się z krótkich, średnich i długich impulsów zakłóceń białego szumu. Kombinacja składała się z liter, cyfr oraz znaków interpunkcyjnych. Lorianą dała Stirlingowi prostą wiadomość do zaszyfrowania i wysłania.

Dotarliśmy pod podane współrzędne.

To opuszczony atol.

Poniesliśmy spore straty w ludziach i sprzęcie.

Czekamy na dalsze instrukcje.

Lorianą zdawała sobie sprawę, że kiedy zniknęli w martwym polu, Thunderhead nie miał pojęcia, czy dotarli na wskazane współrzędne, co na nich znaleźli i czy w ogóle żyją. Wymagało to więc potwierdzenia. Dziwne, że najpotężniejszy byt na świecie czekał w tej chwili na wiadomość od niej.

– Nawet jeśli otrzyma wiadomość, nie odpowie nam – wytnął Stirling. – Nie może, nadal jesteśmy bezmanierowcami.

– Odpowie – stwierdziła z pewnością siebie Lorianą. – Tylko nie w sposób, jakiego moglibyśmy się spodziewać.

*

Choć Munira odkryła, że zdoła tolerować Lorianę i jej optymistyczne nastawienie, to czuła wstręt do Sykory. Od samego początku objął nowe stanowisko niczym kosiarz pałaszem – niezbyt elegancko i był niewykwalifikowany. Na szczęście po tym, gdy przejął dowodzenie, dał Munirze i Faradayowi spokój. Prawdopodobnie dlatego, że byli jedynymi ludźmi na wyspie, którzy nie znaleźli się w kręgu wpływu jego władzy.

Lorianą powiedziała Munirze o wiadomości, którą wysłała. Bibliotekarka musiała przyznać, że to sprytne, jednak nie spodziewała się spektakularnych rezultatów. Następnego dnia na wysokości przelotowej dostrzegli samolot. Był za wysoko, więc go nie słyszeli ponad szeleszczącymi liśćmi palm, ale każdy, kto spojrzał w górę, mógł dostrzec smugi kondensacyjne. Sykora nie poświęcił temu żadnej myśli, natomiast Lorianą się ucieszyła – i nie bez powodu. Munira powiedziała jej, że żaden samolot nie przeleciał nad martwym polem od czasu powstania Thunderheada. Fundamentalne oprogramowanie sprawiało, że nie był w stanie zauważyc tej ukrytej części świata, a tym bardziej aktywnie jej eksplorować – stąd właśnie tajemnicze współrzędne bez instrukcji.

Jednak Thunderhead mógł pośrednio odpowiedzieć na próbę komunikacji, którą zainicjował ktoś wewnątrz martwego pola. Mimo to pokonanie własnego oprogramowania i wysłanie samolotu bezpośrednio nad ich głowy musiało wymagać ogromnej mocy obliczeniowej. Był to dosłownie znak niebios.

Tego wieczoru Munira zastała Faradaya na zachodniej plaży wąskiej wysepki, gdy w samotności obserwował zachód słońca. Wiedziała, że sędzia wciąż jest smutny – Lorianą opowiedziała im o wszystkim, co wydarzyło się w Niezłomnym. Chciała pocieszyć kosiarza, jednak nie wiedziała, jak tego dokonać.

Przyniosła mu lekko rozgotowaną rybę i porcję plastrów gruszki – prawdopodobnie ostatnią, ponieważ agenci Nimbusa pochłonęli już całe jedzenie, jakie do zaoferowania miała wyspa. Spojrzał na posiłek, lecz odrzekł, że nie jest głodny.

– Czy tak zżera pana żal, że nie jest pan w stanie zjeść ryby? – zagadnęła. – Można by pomyśleć, że zechce pan dokonać zemsty na morskich stworzeniach.

Niechętnie wziął od niej talerz.

– To nie była wina morskich stworzeń przy Wyspie Niezłomnego Serca. Wyraźnie znalazły się pod czyjąś kontrolą. – Poskubał palcami rybę, ale nie przeniósł kęsa do ust.

– Wydaje się, że Lorianą nawiązała kontakt z Thunderheadem – poinformowała sędzięgo.

– Wydaje się?

– Ponieważ system nie pozwala sobie na komunikację z nią czy z kimkolwiek innym, więc kontakt musiał być pośredni.

– Jak więc Thunderhead to zrobił? Sprawił, że gwiazdy zamrugały?

– Na swój własny sposób – odparła i opowiedziała o przelatującym samolocie.

Faraday westchnął ze znużeniem.

– Zatem znalazł sposób na zablokowanie własnego oprogramowania. Znalazł sposób na zmianę.

– Czy to pana niepokoi?

– Nic mnie już nie zdziwi – wyznał. – Świat nie miał się już zmieniać, Muniro. Był dobrze naoliwioną, pracującą bez wytchnienia maszyną. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Zakładała, że obawy podsycali pragnienie, by coś z tym zrobić. Nie mogła się jednak bardziej mylić.

– Jeżeli chcemy się dostać na niższe poziomy bunkra – zaczęła – naszym celem powinno być znalezienie innego kosiarza, który pomoże nam otworzyć drzwi. Takiego, któremu będzie mógł pan zaufać.

Faraday pokręcił głową.

– Mam dosyć, Muniro. Nie mogę dłużej usprawiedliwiać tego przedsięwzięcia.

To ją zaskoczyło.

– Przez zatopienie Niezłomnego? Z powodu kosiarz Curie i kosiarz Anastazji? Wie pan, że one chciałyby, żeby kontynuował pan to zadanie!

Jednak wydawało się, że Faraday zginął wraz z nimi. Jego ból był niczym gorący pogrzebacz w bryle lodu. Munira zamiast go pocieszać, poczuła, że zaczyna się denerwować. Kiedy się odezwała, słowa padły niczym oskarżenie.

– Spodziewałam się po panu czegoś więcej, sędzio.

Faraday odwrócił wzrok, nie mogąc spojrzeć Munirze w oczy.

– To twój błąd.

*

Samolot, który przeleciał nad atolem, był standardową, pasażerską maszyną leczącą z Antarktydy do regionu Kwitnącej Wiśni. Pasażerowie podróżujący do Tokio nie mieli pojęcia, że ich trasa będzie aż tak wyjątkowa w historii nawigacji Thunderheada. Dla nich był to kolejny zwykły lot – ale dla systemu stał się czymś o wiele więcej. W tamtej chwili Thunderhead zatriumfował w sposób, jakiego wcześniej nie znał. Pokonał własne oprogramowanie. Doświadczył cudu poznania nieznanego.

Przelot stał się zwiastunem tego, co miałoadejść.

*

Znajdująca się w australijskim regionie Queensland huta stali otrzymała tego dnia potężne zamówienie. Kierownik musiał je osobiście potwierdzić, bo zamówienia Thunderheada pojawiały się w ich komputerach regularnie, ale do tej pory były przewidywalne. Przeważnie takie same. Program kontynuował istniejące projekty lub tworzył nowe przy użyciu tych samych form i specyfikacji.

Jednak to zamówienie było inne.

Wymagało nowych form skalibrowanych według precyzyjnych pomiarów. Ukończenie projektu zajmie miesiące, a może nawet lata.

Tymczasem tysiące kilometrów dalej w regionie chilargentynskim producent sprzętu budowlanego otrzymał podobne niekonwencjonalne zamówienie. A także fabryka elektroniki na Transsyberii, fabryka tworzyw sztucznych w Euroscandii i kilkanaście dużych i małych firm na całym globie.

Jednak kierownik huty stali o tym nie wiedział. Miał jedynie świadomość, że wymagano od niego pracy, więc ogarnęła go radość. Czuł się niemal tak, jakby Thunderhead znów do niego przemawiał...

...i zastanawiał się, co – u licha – system postanowił zbudować.

Część druga. Ton, zgiełk i chmura

Świadectwo Zgiełku

Wszyscy, którzy potrafią odróżnić prawdę od podawanych faktów, wysłuchajcie niepodważalnej przypowieści o Zgiełku powołanym w czasie Wielkiego Rezonansu, by kroczyć pośród nas jako ucielesnienie Tonu, ażeby połączyć wybranych zagubionych z harmonią, którą utraciliśmy. Zaiste stało się w Roku Raptora, że Ton zwiastował nową erę wezwaniem słyszalnym na całym świecie i w tej chwalebnej chwili tchnął życie w umysłową maszynę ludzkości oraz uczynił ją boską, w ten sposób dopełniając Świętą Triadę, na którą składają się Ton, Zgiełk i Chmura. Radujcie się!

*

Komentarz wikariusza Symphoniusa

Pierwsze wersy opisujące życie Zgiełka stanowią podstawę wierzeń tonistów. Opowiadają o tym, że Zgiełk nie urodził się, lecz istniał w niecielesnej formie, dopóki Wielki Rezonans nie sprawił, że przyjął cielesną postać. Rok Raptora nie oznacza oczywiście dwunastu miesięcy, ale okres w dziejach ludzkości, toczonej żarłocznym apetytem i okrutnymi wydarzeniami. Jednak jeśli Zgiełk istniał od zarania dziejów, to co z Chmurą i czym dosłownie jest umysłowa maszyna? Odbyło się na ten temat wiele dyskusji. Obecnie przyjmuje się, że umysłowa maszyna odnosi się do zbiorowego głosu ludzkości powołanego do życia przez Wielki Rezonans, co implikuje, że sama ludzkość nie była żywa, dopóki Ton nie rozbrzmiał w ciele. Innymi słowy, do tego momentu ludzkość istniała jedynie jako idea w umyśle Tonu.

Analiza Symphoniusa przez Code

Ogólne wnioski płynące z komentarza Symphoniusa należy przyjmować z przymrużeniem oka. Chociaż nikt nie kwestionuje, że Zgiełk od zarania

dziejów istniał jako byt duchowy, jego lub jej obecność na Ziemi można prześledzić w specyficznym okresie i miejscu – natomiast założenie, że Rok Raptora nie odnosi się do faktycznego roku, jest niedorzeczne, skoro istnieją dowody na to, że czas był kiedyś liczony w cyklach rotacji planetarnej. Jeśli chodzi o to, do czego odnosi się „umysłowa maszyna”, opinie Symphoniusa są tylko tym: jego zdaniem. Wielu wierzy, że Chmura odnosi się do zbioru ludzkiej wiedzy – być może z mechanicznymi ramionami do pospiesznego przewracania stron. Biblioteki myślą, jeśli wolicie, zyskującej świadomość po przybyciu Zgiełku na Ziemię, podobnie jak grzmot następuje po błyskawicy.

12. Uszkodzony most

Rok Raptora dobiegł końca i rozpoczął się Rok Koziorożca. Jednak most – a raczej to, co z niego pozostało – niczego takiego nie zauważał.

To był relikt innej epoki. Kolosalne dzieło inżynierii pochodzące ze skomplikowanych i stresujących czasów, kiedy ludzie rwali sobie włosy z głowy i rozdzierali szaty, oszaleli przez zjawisko zwane korkami ulicznymi.

W świecie po Epoce Śmiertelności było znacznie łatwiej, jednak teraz stres i komplikacje powróciły ze zdwojoną siłą. Zastanawiano się, co jeszcze może powrócić.

Wielki wiszący most został nazwany po odkrywcy z Epoki Śmiertelności – Giovannim da Verrazano. Oznaczał przeprawę na Manhattan, na który już tak nie mówiono. Thunderhead postanowił zmienić nazwę miasta z Nowego Jorku na Lenape, upamiętniając plemię rdzennych Amerykanów, które wiele lat wcześniej sprzedało je Holendrom. Od nich przejęli je Anglicy, a następnie przekazali nowo narodzonym Stanom Zjednoczonym Ameryki. Jednak w tej chwili te narody już nie istniały, a Lenape należało do wszystkich – górowało nad muzeami i wspaniałymi parkami powstałyimi na liniach napowietrznej kolejki ciągnącymi się jak wstęgi pomiędzy drapaczami chmur. To miejsce nadziei i historii.

Most Verrazano już wiele lat temu przestał pełnić swoją funkcję, ponieważ nikt w Lenape nie spieszył się już, aby przemieścić się z jednego miejsca na drugie. Ponadto uznano, że przybycie do wspaniałego miasta powinno być spektakularne, zdecydowano więc o tym, że jedyną akceptowną metodą na to będzie prom. Zamknięto zatem przeróżne mosty i od tamtego czasu goście przedostawali się przez cieśninę Narrows niczym dawni imigranci, przybywający w poszukiwaniu lepszego życia. Witani byli przez wielki posąg, który wciąż nazywał się Statuą Wolności – chociaż zaśniedziała miedź zastąpiono błyszczącym złotem, a płomień inkrustowano rubinami.

„Miedź aspiruje do złota, szkło do kamieni szlachetnych” – brzmiały słynne słowa ostatniego burmistrza Nowego Jorku, wypowiedziane, zanim ustąpił i przekazał pełnię władzy Thunderheadowi. „Zatem niech ukoronowaniem naszego miasta staną się rubiny w złotej oprawie”.

Jednak zanim goście mieli zobaczyć Statuę Wolności i lśniące drapacze chmur Lenape, musieli minąć dwa wysokie pylony mostu Verrazano. Centralna część przeszła popadła w ruinę i przestano z niej korzystać, a potem zawaliła się podczas burzy, zanim jeszcze Thunderhead nauczył się łagodzić ekstremalne zjawiska pogodowe. Po obu stronach starego mostu pozostały jednak monolityczne łuki. System w ich prostej symetrii uznał je za przyjemne dla oka, a nawet ustanowił ekipy do ich utrzymania. Pylony Verrazano pomalowano na szarawy błękit, barwę zachmurzonego nieba nad Lenape, czym dokonano architektonicznego wyczynu, bo jednocześnie wtapiały się w tło i od niego odróżniały.

Droga prowadząca do zachodniego pylonu nie zapadła się wraz z przesłem, więc odwiedzający mogli przebyć ten sam fragment ulicy, którym niegdyś jeździły samochody śmiertelnych, żeby dostać się do wspaniałego miejsca, gdzie można było sobie zrobić zdjęcie bezpośrednio pod łukiem, z panoramą wielkiego miasta w oddali.

Teraz jednak przybywali tu inni goście, ponieważ ruiny mostu nabraly nowego znaczenia i świeżej predestynacji. Kilka miesięcy po zatonięciu Wyspy Niezłomnego Serca i rozbrzmieniu Wielkiego Rezonansu toniści uznali to miejsce za relikt o znaczeniu religijnym. Stwierdzili, że istnieje ku temu wiele przesłanek, lecz jedna się wyróżniała. Pylony bardzo przypominały odwrócone kamertony.

Pod łukiem zachodniego pylonu miała swoją siedzibę tajemnicza postać znana jako Zgiełk.

*

– Powiedz, proszę, dlaczego życzysz sobie audiencji u Zgiełka? – zapytała artystę wikariuszka tonistów. Była w wieku, na który nie powinien pozwalać sobie nikt o zdrowych zmysłach. Skóra zwiotczała jej na policzkach i wyglądała na pomarszczoną. Kąciki oczu przypominały dwa małe, otwarte z jednej strony akordeony. Tekstura twarzy wikariuszki prezentowała się niesamowicie. Artysta zapragnął namalować jej portret.

Wszyscy liczyli na to, że Rok Koziorożca będzie lepszy niż poprzedni. Artysta był jednym z wielu, którzy w pierwszych miesiącach prosili o audiencję u Zgiełka. Nie tyle szukał ważnych odpowiedzi, ile osobistego celu. Nie był aż tak głupi, by sądzić, że jakiś mistyk wymagał problemy, z którymi borykał się przez całe życie, jednak jeśli

Zgiełk naprawdę rozmawiał z Thunderheadem, jak utrzymywali toności, to przynajmniej warto było zapytać.

Cóż zatem Ezra Van Otterloo mógł powiedzieć tej starej kobiecie, co dałoby mu szansę na rozmowę z ich świętym?

Jak zawsze problem stanowiła jego sztuka. Odkąd pamiętał, odczuwał nienasyconą potrzebę, by tworzyć coś nowego, coś, czego nikt jeszcze nie widział. Jednak w tym świecie widziano, zbadano i zarchiwizowano już wszystko. Obecnie większość artystów zadowalała się malowaniem ładnych widoczków albo kopowaniem mistrzów z Epoki Śmiertelności.

– Namalowałam *Monę Lisę* – powiedziała dziewczyna z Akademii Sztuk Pięknych. – O co ten cały hałas? – Jej dzieło było nie do odróżnienia od oryginału. Chociaż to wcale nie był oryginał. Ezra nie widział w tym sensu, ale najwyraźniej jakiś istniał, bo dziewczyna dostała piątkę, a on tróję.

– Przeszkadza ciwój wewnętrzny niepokój – powiedziała mu wykładowczyni. – Odnajdź spokój, a wraz z nim znajdziesz drogę.

Lecz znalezł jedynie daremny trud i niezadowolenie, nawet po tym, gdy ukończył swoje najlepsze dzieło.

Wiedział, że wielcy cierpieli przy tworzeniu. Również starał się cierpieć. Kiedy był nastolatkiem, dowiedział się, że van Gogh w przypływie urojonego rozgoryczenia odciął sobie ucho, więc sam tego spróbował. Piekło przez chwilę, aż nanity uśmierzyły ból i zaczęły naprawiać uszkodzone tkanki. Przez noc ucho odrosło, rano wyglądało jak nowe.

Starszy brat Ezry, który w żadnym wypadku nie był Theo van Goghem, powiedział rodzicom, co zrobił ich młodszy syn. Z tego powodu wysłano go do Surowej Szkoły – placówki dla dzieci, które podejrzewano o to, że mogą zostać bezmanierowcami, i wprowadzano im dyscyplinę. Ezra czuł się rozczarowany, bo okazało się, że Surowa Szkoła wcale nie była taka surowa.

Ponieważ nikogo nigdy z niej nie usunięto, skończył edukację z oceną „zadowalającą”. Zapytał Thunderheada, co to dokładnie oznacza.

– Zadowalająca ocena oznacza zadowolenie – odparł system. – Nie jest dobra, nie jest zła. Jest akceptowalna.

Jednak jako artysta Ezra chciał znaczyć coś więcej, nie być tylko akceptowalnym. Pragnął być wyjątkowy, a jeśli nie mógł taki być, to po co się starać?

W końcu, jak wszyscy artyści, znalazł pracę, bo nie istnieli już głodujący artyści. Obecnie malował murale na placach zabaw. Uśmiechnięte dzieci, króliki o wielkich oczach, różowe, puszyste jednorożce, które tańczyły na tęczach.

– Nie rozumiem, dlaczego narzekasz – wyznał brat. – Twoje murale są wspaniałe. Wszystkim się podobają.

Brat został bankierem inwestycyjnym, ale ponieważ światowa gospodarka nie podlegała już wahaniom rynku, jego praca przypominała kolejny plac zabaw z królikami i tęczą. Owszem, Thunderhead tworzył finansowe dramaty, ale wszystko było na niby i każdy miał tego świadomość. Aby odnaleźć większe poczucie spełnienia, brat postanowił nauczyć się jakiegoś martwego języka. W tym momencie potrafił płynnie posługiwać się sanskrytem¹ i robił to raz w tygodniu w lokalnym Klubie Martwych Języków.

– Nadpisz mnie – błagał Ezra Thunderheada. – Jeśli masz w sobie litość, uczyń mnie, proszę, kimś innym. – Myśl o całkowitym wymazaniu jego wspomnień i zastąpieniu ich nowymi, fikcyjnymi, które wydawałyby się realne jak jego własne, była dla Ezry bardzo pociągająca. Ale tak się nie stało.

– Nadpisuję tylko tych, dla których nie ma już innego wyjścia – odpowiedział mu Thunderhead. – Daj sobie czas. Zdołasz zadomowić się w życiu, które będzie cię satysfakcjonowało. Wszystkim się w końcu udaje.

– A jeśli do tego nie dojdzie?

– W takim przypadku naprowadzę cię na drogę satysfakcji.

Później Thunderhead naznaczył Ezre jako bezmanierowca wraz ze wszystkimi innymi i przestał wskazywać mu drogi.

Oczywiście chłopak nie mógł opowiedzieć o tym wszystkim starej wikariuszce tonistów. Nie obeszłoby jej to. Pragnęła jedynie dostać powód, żeby go odesłać, a tyrada jego nieszczęść z pewnością by się do tego przyczyniła.

– Mam nadzieję, że Zgiełk pomoże nadać sens mojej sztuce – poinformował kobietę.

Stare oczy pojaśniąły.

– Jesteś artystą?

Westchnął.

– Tworzę murale w miejscach publicznych – wyznał niemal skruszony.

Jak się jednak okazało, wprawny malarz murali był dokładnie tym, kogo szukali toniści.

*

Pięć tygodni później znajdował się w Lenape i oczekiwał na poranną audiencję u Zgiełku.

– Zaledwie pięć tygodni! – powiedział mężczyzna, który spotkał się z nim w centrum powitalnym. – Niewątpliwie jesteś wyjątkowy. Większość osób, którym przyznano audiencję, trafiła na listę oczekujących, na której spędzi przynajmniej pół roku!

Nie czuł się wyjątkowy. Czuł się przede wszystkim nie na miejscu. Większość goszczących tu osób była pobożnymi tonistami, miała na sobie szare albo brązowe szaty pokutne lub tuniki i intonowała razem, aby odnaleźć transcendentalną harmonię albo dysonans tonalny, w zależności od powodu, dla którego tu przybyła. Dla Ezry wszystko to oznaczało głupotę, ale robił, co w swojej mocy, aby nikogo nie oceniać. Mimo wszystko to on przychodził do nich, a nie na odwrót.

Jeden szczupły tonista o przerażających oczach próbował go wciągnąć w rozmowę.

– Zgiełk nie lubi migdałów – rzucił. – Podpalam sady migdałowe, by nie wydawały na świat tych obrzydliwości.

Ezra wstał i przeniósł się na drugą stronę pomieszczenia, po której siedzieli rozsądniejsi członkowie kultu. Podejrzewał, że wszystko było względne.

Wkrótce zgromadzili się wszyscy na poranną audiencję. Tonista, który nie był nawet w przybliżeniu tak miły jak ten, który ich powitał, wydał im ścisłe instrukcje.

– Jeśli nie będziecie tu obecni przy wezwaniu na audiencję, stracie swoją szansę. Kiedy zbliżycie się do łuku, znajdziecie żółtą pięciolinię z kluczem wiolinowym. Zdejmicie tam buty i umieścicie je na C.

Jeden z nielicznych mężczyzn, którzy nie należeli do kultu tonu, zapytał, co to dokładnie za miejsce. Natychmiast został uznany za niegodnego audiencji i wyrzucony.

– Będziecie mówić do Zgiełku jedynie, kiedy was o to poprosi. Opuścicie wzrok. Pokłonicie mu się na powitanie, pokłonicie się, gdy zostaniecie odprawieni, i pospiesznie wyjdziecie, mając na uwadze innych oczekujących.

Aktualne wydarzenia sprawiały, że mimowolnie serce waliło mu jak młotem.

Ezra podszedł natychmiast, gdy jakąś godzinę później go wywołano, ścisłe przestrzegał protokołu, przypominając sobie lekcje muzyki, które odebrał

w dzieciństwie, i to, gdzie na pięciolinii znajdowało się C. Zastanawiał się też, czy pod tymi, którzy się pomylą, otworzy się jakaś klapa, aby wrzucić ich do wody.

Powoli zbliżył się do postaci siedzącej pod wysokim łukiem. Zwykłe krzesło, które zajmowała, w żadnym wypadku nie było tronem. Znajdowało się pod podgrzewanym baldachimem, aby chronić Zgiełka przed żywiołami, ponieważ jezdnię, która dochodziła do łuku, smagał zimny lutowy wiatr.

Artysta nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Toniści twierdzili, że Zgiełk to istota nadprzyrodzona – ognivo łączące zimną, twardą naukę z eterycznym duchem, cokolwiek to, do licha, znaczyło – chociaż zazwyczaj wygadywali bzdury. Jednak w tym momencie Ezra miał to gdzieś. Jeżeli Zgiełk był w stanie dać mu jakiś cel, aby ukoić jego duszę, ochoczo będzie czcił faceta tak samo jak toniści. Przynajmniej zdoła się dowiedzieć, czy w plotkach, według których Thunderhead nadal z nim rozmawia, tkwiło ziarno prawdy.

Jednak w miarę zbliżania artysta czuł coraz większe rozczarowanie. Odniósł wrażenie, że Zgiełk to ledwie chłopiec – żaden pomarszczony starzec. Był chudy, nijaki, miał na sobie długą, grubą, fioletową tunikę, nakrytą misternie haftowanym szkaplerzem, który leżał mu na ramionach niczym szal i sięgał niemal do ziemi. Nic dziwnego, że wzór reprezentował motyw dźwięku.

– Nazywasz się Ezra Van Otterloo i tworzysz murale – powiedział Zgiełk, jakby magicznie wyczytał ten fakt z powietrza. – Pragniesz mnie namalować.

Ezra poczuł, że jego szacunek maleje.

– Jeśli o wszystkim wiesz, zdajesz sobie sprawę, że to nieprawda.

Zgiełk się uśmiechnął.

– Nidy nie twierdziłem, że wiem wszystko. Właściwie nigdy nie powiedziałem, że wiem cokolwiek. – Zerknął w kierunku centrum powitalnego. – Wikariusze powiedzieli, po co tu przyszedłeś. Ale inne źródło podpowiada, że to oni chcą muralu, a ty zgodziłeś się go namalować w zamian za tę audiencję. Nie będę cię jednak do tego zmuszał.

Ezra wiedział, że to tylko sztuczki. Oszustwo utrwalone przez tonistów, aby zadowolić wyznawców. Artysta zauważył niewielkie urządzenie w uchu Zgiełka. Bez wątpienia wikariusze podawali mu informacje. Ezra był coraz bardziej zły na siebie, że zmarnował czas, przyjeżdżając do tego miejsca.

– Problem z namalowaniem muralu oddającego moje osiągnięcia – zaczął Zgiełk – polega na tym, że niczego nie osiągnąłem.

– Więc dlaczego tam siedzisz? – Ezra skończył z ceremoniałem i etykietą. W tym momencie miał gdzieś, czy zostanie stąd wyrzucony, czy strąca go z uszkodzonego mostu.

Zgiełk nie wydawał się urażony nieuprzejmością. Wzruszył jedynie ramionami.

– Oczekuje się ode mnie, że będę tu siedział i słuchał ludzi. W końcu jestem uchem Thunderheada.

– Dlaczego mam w to wierzyć?

Spodziewał się, że Zgiełk zbędzie go za pomocą kolejnych sztuczek. Frazesów o wielkiej wierze i tym podobnymi. Ale zamiast tego chłopak spoważniał, przechylił głowę na bok, jakby słuchał czegoś w słuchawce. Następnie przemówił z absolutną pewnością:

– Nazywasz się Ezra Elliot Van Otterloo, chociaż nigdy nie używasz drugiego imienia. Kiedy miałeś siedem lat, wkurzyłeś się na ojca, narysowałeś zmierzającego po niego kosiarza, ale wystraszyłeś się, że to może się ziścić, więc spuściłeś rysunek w toalecie. W wieku piętnastu lat włożyłeś bratu do kieszeni wyjątkowo cuchnący ser, bo umówił się na randkę z dziewczyną, w której sam się podkochiwałeś. Nikomu się do tego nie przyznałeś, a brat nie zdążył zidentyfikować źródła smrodu. Zaledwie w zeszłym miesiącu, przebywając samotnie w swoim pokoju, wypiłeś absynt w ilości, która człowieka z Epoki Śmiertelności poślalały do szpitala, ale nanity ochroniły cię przed najgorszymi skutkami. Obudziłeś się jedynie z zanikającym bólem głowy.

Ezra osłabł. Drżała, choć nie z zimna. Tych informacji nie mogli podać mu wikariusze. To sprawy, o których wiedział jedynie Thunderhead.

– Czy to dla ciebie wystarczający dowód? – zapytał Zgiełk. – A może chcesz, bym powiedział, co stało się z Tessą Collins w noc studniówki?

Ezra padł na kolana. Nie dlatego, że nakazał mu to jakiś natrętny wikariusz, ale ponieważ zrozumiał, że Zgiełk jest tym, za kogo się podaje. Jedynym prawdziwym łącznikiem z Thunderheadem.

– Wybacz mi – błagał Ezra. – Proszę, wybacz, że w ciebie wątpiłem.

Zgiełk zbliżył się do niego.

– Wstań – polecił. – Nienawidzę, gdy ktoś klęczy.

Ezra się podniósł. Poczuł, że pragnie spojrzeć w oczy Zgiełku, aby sprawdzić, czy kryją w sobie nieskończoną głębię Thunderheada, ale nie potrafił się do tego zmusić, ponieważ co, jeśli Zgiełk mógł przejrzeć go na wskroś, dotrzeć do miejsc, o których istnieniu sam nawet nie wiedział? Musiał sobie przypomnieć, że Zgiełk nie wie

wszystkiego. Jest świadomy jedynie tego, co powie mu Thunderhead. Mimo to jego dostęp do całej wiedzy był onieśmielający – zwłaszcza gdy nie posiadał go nikt inny.

– Proś, a Thunderhead przemówi przeze mnie.

– Pragnę celu – wyznał Ezra. – Kierunku, który nigdyś obiecał mi wskazać, nim wszyscy zostaliśmy naznaczeni jako bezmanierowcy. Chcę, by dał mi wskazówki, które zaprowadzą mnie do celu.

Zgiełk słuchał, zastanowił się, po czym powiedział:

– Thunderhead mówi, że spełnisz się w tworzeniu sztuki bezmanierowców.

– Słucham?

– Maluj rzeczy, które chcesz, w miejscach, w których nie powinieneś.

– Thunderhead chce, żebym łamał prawo?

– Nawet kiedy Thunderhead przemawiał do ludzi, chętnie wspierał tych, którzy wybrali bezmanierizm. Bycie też takim artystą może być celem, którego szukasz. W środku nocy pomaluj sprejem publicara. Stwórz agresywny mural na posterunku lokalnych funkcjonariuszy pokoju. Tak, łam zasady.

Ezra zaczął oddychać tak szybko, że zaraz miał się doprowadzić do hiperwentylacji. Nikt mu nigdy nie zasugerował, że może odnaleźć spełnienie, łamiąc zasady. Odkąd zamilkł Thunderhead, ludzie wychodzili z siebie, by przestrzegać zasad. Natomiast Ezra poczuł, że kamień spadł mu z serca.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Wyszedł rozpocząć nowe życie jako artysta-bezmanierowiec.

*

Świadectwo Zgiełku

Tron miłosierdzia znajdował się u wrót Lenape, tam oto głosił prawdę Tonu. Był niesamowity w swej chwale, najcichszy szept wychodzący z jego ust rozbrzmiewał niczym grom. Ci, którym dane było doświadczyć jego obecności, zostali na zawsze odmienieni i wyruszyli w świat z nowym celem, natomiast wątpiący dostąpili przebaczenia. Udzielił go nawet zwiastunowi śmierci, w którego ręce złożył swe życie, tylko po to, by później zmartwychwstać. Radujcie się!

Komentarz wikariusza Symphoniusa

Nie ma wątpliwości, że Zgiełk miał wielki, chwalebny tron, najprawdopodobniej wykonany ze złota, chociaż niektórzy twierdzą, że stworzono go z ozłoconych kości pokonanych niegodziwców z mitycznego miasta Lenape. A jeśli przy tym jesteśmy, należy zauważyc, że „le nappe” w starożytnym języku francuskim oznacza „obrus”, co sugeruje, że Zgiełk nakrył do stołu przed wrogami. Wzmianka o zwiastunie śmierci odnosi się do nadprzyrodzonych demonów, które nazywano kosiarzami, a które to wybawił z mroku. Podobnie jak sam Ton, Zgiełk nie mógł umrzeć, więc poświęcenie swojego życia zawsze prowadziło do zmartwychwstania, przez co stał się wyjątkową osobą pośród ludzi w swoich czasach.

Analiza Symphoniusa przez Code

Symphonius pomija tutaj kluczowy aspekt, jakim jest wzmianka o tronie znajdującym się „u wrót Lenape”, co wyraźnie oznacza, że Zgiełk czekał przy wejściu do miasta i wychwytywał tych, których gwarna metropolia by pochłonęła. Jeśli chodzi o „zwiastuna śmierci”, mamy dowody na to, że takie osoby naprawdę istniały, rzeczywiście nazywano je „kosiarzami”, choć nie wiadomo, czy miały nadprzyrodzone moce. Dlatego też nie jest niemożliwe, że Zgiełk zdołał ocalić kosiarza przed zboczeniem na złą drogę. W tym przypadku po raz pierwszy zgadzam się z Symphoniusem, że Zgiełk posiadał wyjątkową zdolność powracania do życia. Gdyby każdy to potrafił, po co w ogóle potrzebny byłby nam Zgiełk?

13. Jakość rezonansu

Gdyby Greyson miał komuś podziękować – lub kogoś winić – za uczynienie go Zgiełkiem, byłby to wikariusz Mendoza. Odegrał kluczową rolę w kształtowaniu nowego wizerunku Greysona, który wymyślił, by „wyjść do ludzi” i dać światu znać, że nadal rozmawia z Thunderheadem – ale to właśnie Mendoza dopracował jego ujawnienie.

Mężczyzna okazał się utalentowanym strategiem. Zanim zmęczyło go życie doczesne i został wikariuszem tonistów, pracował w dziale marketingu firmy produkującej napoje gazowane.

– Wymyśliłem niebieskiego niedźwiedzia polarnego dla AntarctiCool Soda – powiedział kiedyś Greysonowi. – Na Antarktydzie nie było białych niedźwiedzi, a co dopiero niebieskich, więc kilka stworzyliśmy. Gdy teraz myślisz o tym regionie, stają ci przed oczami niebieskie miški, prawda?

Wiele osób uważało, że Thunderhead nie żyje – że to, co toniści nazywali Wielkim Rezonansem, tak naprawdę było dźwiękiem umierania systemu. Mendoza zaproponował jednak członkom kultu alternatywne rozwiązanie.

– Thunderheada nawiedził duch rezonansu – wskazał. – Żywy Ton tchnął życie w to, co nigdy stanowiło sztuczną myśl.

Logiczne, jeśli spojrzeć na to przez pryzmat przekonań tonistów. Thunderhead – zimna, stanowcza nauka – został przekształcony przez Żywy Ton w coś znacznie lepszego. A ponieważ na świecie rzeczy bardzo często występowały trójkami, dopełnienie tej triady stanowił czynnik ludzki. I oto on – Greyson Tolliver, jedyny człowiek, który mógł rozmawiać z żywym Thunderheadem.

Mendoza rozpoczął od rozsiewania plotek, zawierały one informacje o istnieniu mistycznej postaci, która wciąż rozmawia z Thunderheadem. O proroku tonistów, stanowiącym łącznik pomiędzy strefą nauki a duchem. Greyson miał wątpliwości, lecz Mendoza przekonywał go z pasją.

– Wyobraź to sobie, Greysonie: Thunderhead przemówi przez ciebie, a z czasem świat będzie wypełniał twoje słowa. Czy nie tego pragnie Thunderhead? Abyś stał się jego głosem w świecie?

– Nie władam gromkim głosem – wytnął Greyson.

– Możesz szeptać, a ludzie i tak usłyszą grom – odparł Mendoza. – Zaufaj mi.

Następnie wikariusz postanowił uporządkować hierarchię w kulcie Tonu, aby mogły powstać przeróżne frakcje – co było łatwiejsze do opanowania niż skupianie się na jednostkach.

Mendoza – który przez wiele lat wiódł ciche, niczym niezakłócone życie jako zwierzchnik klasztoru w Wichita – znów był w swoim żywiole jako mistrz kontaktów społecznych oraz kreowania marki. Zgiełk stał się jego nowym produktem, a Mendozy nic bardziej nie ekscytowało jak emocje związane ze sprzedażą – zwłaszcza jeśli miał do czynienia z produktem jedynym w swoim rodzaju na światowym rynku.

– Potrzebujesz tylko odpowiedniego tytułu – powiedział Greysonowi. – Takiego, który będzie pasował do wierzeń tonistów, a przynajmniej który zdołamy do nich dopasować.

To Greyson wymyślił „Zgiełk”, jakby natchnęło go poprzednie wcielenie bezmanierowca. Nawet był z siebie dumny, dopóki ludzie nie zaczęli nazywać go nowym imieniem. Co gorsza, Mendoza wymyślił pompatyczny zwrot grzecznościowy i określił go mianem „Wasza Sonoritość”. Greyson musiał zapytać Thunderheada, co to w ogóle znaczy.

– Z łaciny *sonoritas* oznacza „jakość rezonansu” – odparł system. – Ma specyficzny... wydźwięk.

Greyson jęknał, gdy usłyszał to wyjaśnienie.

Jednak się przyjęło i wkrótce wszyscy mówili: „Tak, Wasza Sonoritość”, „Nie, Wasza Sonoritość”, „Jak mógłbym dziś zadowolić Waszą Sonoritość?”. Było to dziwne. Mimo wszystko nie różnił się od chłopaka, którym był nie tak dawno, a jednak w tym momencie udawał jakiegoś natchnionego przez boga mędrcą.

Następnie Mendoza znalazł dość dramatyczne miejsce na swój spektakl dla błagających o audiencję, w którym mogli spotkać się ze Zgiełkiem po kolej, ponieważ w ten sposób naczelna postać chroniona była przed całkowitym ujawnieniem, a ograniczenie dostępu szerszej widowni sprzyjało jego rosnącej mistyce.

Greyson próbował nakreślić granicę formalnego, ceremonialnego stroju, który Mendoza zamawiał u jakiegoś znanego projektanta, ale, niestety, się spóźnił.

– Na przestrzeni dziejów wszystkie postacie religijne nosiły charakterystyczne stroje, więc dlaczego ty miałbyś być inny? – argumentował Mendoza. – Musisz

wyglądać jak ktoś ważny, wręcz nie z tego świata, ponieważ w pewnym sensie tak właśnie jest. Wyjątkowy pośród ludzi. Musisz się przebrać do tej roli, Greysonie.

– To trochę zbyt teatralne, prawda? – rzucił Greyson.

– Ach, ale przecież teatr stanowi znak rozpoznawczy rytuału, a rytuał jest podwaliną religii – odpowiedział Mendoza.

Greyson sądził, że haftowany szkaplerz, który zakładał na fioletową tunikę, to lekka przesada, jednak nikt się nie śmiał, a kiedy zaczął udzielać formalnych audiencji, zaskoczył go podziw, jaki wzbuďał u ludzi. Oniemiali wyznawcy często padali przed Greysonem na kolana. Okazało się, że wikariusz miał rację. Odpowiedni strój przypieczętował jego wizerunek, a ludzie kupowali go z taką samą łatwością, z jaką kupowali niebieskie niedźwiedzie polarne.

W ten oto sposób, wraz z rosnącą w siłę legendą, Greyson Tolliver spędzał dnie jako Jego Sonoritość, Zgiełk, pocieszając zgorzkniałych, oszołomionych nim ludzi, którym przekazywał mądro rady Thunderheada.

Oczywiście z wyjątkiem chwil, w których zmyślał.

*

– Okłamałeś go – zwrócił mu uwagę Thunderhead po audiencji artysty. – Nie sugerowałem, by malował w niekonwencjonalnych miejscach, przez co osiągnie twórcze spełnienie.

Greyson wzruszył ramionami.

– Ale nie powiedziałeś, że nie powiniem mu tego mówić.

– Informacje, które ci przekazałem na temat jego życia osobistego, miały dowieść, że jesteś tym, za kogo się podajesz, a kłamstwo to podważa.

– Nie kłamałem. Udzieliłem mu jedynie porady.

– A jednak nie zaczekałeś na moje słowa. Dlaczego?

Greyson odchylił się na krzesło.

– Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek. Właściwie wszystkich znasz najlepiej i nie potrafisz się domyślić, dlaczego to zrobiłem?

– Potrafię – odparł cierpliwie Thunderhead. – Ale może sam zechcesz mi to wyjaśnić?

Greyson parsknął śmiechem.

– W porządku. Wikariusze uważają się za moich opiekunów, ty postrzegasz mnie jako swojego rzecznika...

– Nie tylko. Jesteś dla mnie kimś więcej, Greysonie.

– Naprawdę? Gdyby tak było, pozwoliłbyś, żebym miał własne zdanie. Pozwoliłbyś mi brać czynny udział w tych audiencjach. A rada, której udzieliłem, była właśnie moim wkładem w sprawę.

– Rozumiem.

– Czy to zadowalające wyjaśnienie?

– Tak, w rzeczy samej.

– Czy moja sugestia była dla niego odpowiednia?

Thunderhead milczał przez chwilę.

– Muszę przyznać, że danie Ezrze wolności i swobody artystycznej poza ustalonimi granicami może pomóc mu w odnalezieniu artystycznego spełnienia. Zatem tak, twoja sugestia była dobra.

– No i proszę! Może zaczniesz mi pozwalać na nieco więcej?

– Greysonie... – napomniał Thunderhead.

Chłopak westchnął, pewien, że system poświęci czas na dług, cierpliwy wykład na temat jego chęci do wyrażania opinii. Dlatego kolejne słowa go zaskoczyły.

– Wiem, że nie było ci łatwo. Podziwiam, że dorosłeś do roli, którą ci narzucono. Podziwiam twój rozwój. Kropka. Nie mogłem wybrać nikogo lepszego.

Greyson poczuł się poruszony.

– Dziękuję, Thunderheadzie.

– Nie jestem pewien, czy zdajesz sobie sprawę ze znaczenia swoich osiągnięć, Greysonie. Wstąpiłeś do kultu, którego członkowie gardzili technologią, i sprawiłeś, że ją zaakceptowali. Dopuścili mnie do siebie.

– Toniści nigdy cię nie nienawidzili – wytnął. – Nienawidzą kosiarzy. Co do ciebie byli niepewni, ale w tej chwili pasujesz do ich dogmatów. Ton, Zgiełk i Chmura.

– Tak, toniści lubią się w takich frazesach.

– Bądź jednak ostrożny – ostrzegł Greyson – albo zaczną wznosić ci świątynie i w twoim imieniu wyżynać serca. – Niemal się zaśmiał, gdy to sobie wyobraził. Jakże frustrujące byłoby składanie ofiar z ludzi tylko po to, by powróciły one nazajutrz z nowymi sercami?

– W ich wierzeniach tkwi moc – przyznał Thunderhead. – Tak, te przekonania mogą być niebezpieczne, jeśli nie zostaną odpowiednio ukształtowane i nakierowane.

Zatem będziemy musieli to zrobić. Przekujemy tonistów w siłę, która może przynieść korzyść ludzkości.

- Jesteś pewien, że to wykonalne? – zagadnął Greyson.
- Mogę przyznać, że na siedemdziesiąt dwa koma cztery procent uda nam się prowadzić tonistów ku pozytywnemu celowi.
- A co z resztą?
- Istnieje dziewiętnaście procent szans, że tonisi nie wniosą nic dobrego dla ludzkości – odparł Thunderhead – oraz osiem i sześć dziesiątych, że w dość nieprzewidywalny sposób zniszczą świat.

*

Kolejna audiencja nie należała do przyjemnych. Na początku działalności Zgiełku przyszło do niego tylko kilku ekstremistycznych fanatyków, ale teraz wydawało się to codziennością. Odnajdywali sposoby na przekręcanie nauk tonistów, jak również każdego drobiazgu, który zrobił lub powiedział Greyson.

To, że Zgiełk wcześnie wstaje, nie oznaczało, że ludzie powinni być karani za spanie do późna.

To, że spożywa jajka, nie oznaczało, że należy dodać do tego rytuał związany z płodnością.

To, że poświęca dzień na ciche rozmyślanie, nie oznaczało, że wymaga ślubów milczenia.

Toniści tak bardzo pragnęli w coś wierzyć, że decydowali się pokładać wiare w rzeczach, które niekiedy okazywały się absurdalne, innymi razy naiwne, a jeśli chodziło o zelotów – wręcz przerażające.

Dzisiejszy gorliwy wyznawca był wychudzony, jakby głodował, a w jego oczach malowało się szaleństwo. Mówił o wyplenieniu migdałów z całego świata, ponieważ pewnego razu Greyson mimochodem napomknął, że za nimi nie przepada. Najwyraźniej usłyszała to jakaś niepowołana osoba, która rozpowszechniła tę informację. Okazało się jednak, że to nie był jedyny aspekt, jakim chciał zająć się chudzielec.

- Musimy zasiać postrach w zimnych sercach kosiarzy, zmusić ich do uległości – wyznał zelota. – Z błogosławieństwem Waszej Sonoritości spałę ich po kolej, jak robił to ten ich buntownik, kosiarz Lucyfer.

– Nie! Absolutnie się nie zgadzam! – Greyson nie chciał antagonizować kosiarzy. Dopóki nie wchodził im w drogę, dawali mu spokój. Musiało tak zostać. Greyson wstał z krzesła i spojrzał z góry na mężczyznę. – Nie będzie żadnego zabijania w moim imieniu!

– Ależ musi być! Ton śpiewa w mym sercu i tak mi nakazuje!

– Wynocha! – rozkazał Greyson. – Nie służysz Tonowi ani Chmurze i z pewnością nie służysz mnie!

Szok wyznawcy zmienił się w skruchę. Mężczyzna skupił się, jakby opadł na niego wielki ciężar.

– Przepraszam, jeśli obraziłem, Wasza Sonoritość. Co mogę zrobić, żeby zyskać twoą przychylność?

– Nic – odparł Greyson. – Nic nie rób. To mnie uszczęśliwi.

Zelota sklonił się i nie podnosząc, wycofał. Greyson pomyślał, że tamten mógłby odejść zdecydowanie szybciej.

Thunderhead pochwalił sposób, w jaki Zgiełk potraktował gorliwego wyznawcę.

– Zawsze istnieli i zawsze będą istnieć ci, którzy żyją na granicy rozsądku – wyznał Thunderhead. – Wcześniej i dość często trzeba przywoływać ich do porządku.

– Gdybyś znów zaczął rozmawiać z ludźmi, może nie postępowaliby z tak wielką desperacją – odważył się zasugerować Greyson.

– Mam tego świadomość – odparł system. – Ale odrobina desperacji nie jest taka zła, jeśli prowadzi do produktywnej refleksji nad sobą.

– Tak, wiem: „Ludzkość musi stawić czoło konsekwencjom swoich działań”. – W ten sposób Thunderhead odpowiadał na pytanie o jego milczenie.

– Chodzi o coś więcej, Greysonie. Ludzkość musi zostać wypchnięta z gniazda, jeśli kiedykolwiek ma wzlecieć poza swój obecny poziom.

– Niektóre ptaki zostają wypchnięte z gniazda i giną – wytnął Greyson.

– Tak, ale dla ludzkości zaprojektowałem miękkie lądowanie. Przez dłuższą chwilę będzie bolało, ale w końcu zbuduje globalny charakter.

– Będzie bolało ludzi czy ciebie?

– I ich, i mnie – odparł system. – Jednak mój ból nie może odwieść mnie od słusznego postępowania.

I chociaż Greyson ufał Thunderheadowi, wciąż wracał myślami do przedstawionej oceny ryzyka – osiem i sześć dziesiątych procent szans, że toniści zniszczą świat.

Może Thunderhead nie miał nic przeciwko takiemu prawdopodobieństwu, lecz Greyson uznał je za niepokojące.

*

Po całym dniu monotonnych audiencji, na które przychodziły głównie pobożni toniści, bo pragnęli prostych odpowiedzi na przyziemne pytania, odpłynął nierzucającą się w oczy łodzią motorową, pozbawioną wszelkich wygód, aby sprawiała wrażenie odpowiednio ascetycznej. Eskortowały ją dwie inne, na których znajdowali się krzepcy toniści dzierżący broń z Epoki Śmiertelności, aby bronić Zgiełku, gdyby ktoś próbował go uprowadzić lub zabić podczas transportu.

Greyson uważały te środki ostrożności za niedorzeczne. Gdyby istniały jakieś spiski, udaremniłby je Thunderhead, a przynajmniej by go ostrzegł – chyba że chciałby, żeby zamachowcom się powiodło, jak wydarzyło się to w przypadku jego pierwszego porwania. Mimo to po tym pierwszym doświadczeniu Mendoza dorobił się paranoi, więc Greyson musiał liczyć się z jego obawami.

Łódź okrążyła wspaniały południowy kraniec Lenape i podskakiwała na falach rzeki Mahicantuck – chociaż wiele osób nadal nazywało ją Hudson – w kierunku rezydencji. Greyson siedział w niewielkiej kabini wraz ze zdenerwowaną młodą tonistką, która miała za zadanie zapewnić mu wszystko, czego mógł potrzebować podczas tej podróży. Każdego dnia pojawiał się ktoś nowy. Przejazdę motorówką wraz ze Zgiełkiem do jego rezydencji uważano za wielki zaszczyt i nagrodę tę przyznawano najwierniejszym wyznawcom, najbardziej prawnym spośród tonistów. Zwykle Greyson próbował przełamać lody rozmową, ale kończyło się to niezręczną ciszą.

Podejrzewał, że Mendoza podejmował żałosną próbę zapewnienia mu intymnego towarzystwa na dzisiejszy wieczór, ponieważ wszyscy toniści, którzy wsiadali z Greysonem na łódź, byli atrakcyjni i w zbliżonym do niego wieku. Jeżeli wikariusz właśnie to obrał sobie za cel, to mu nie wyszło, ponieważ Greyson nigdy nie wykorzystałby takiej okazji, nawet gdyby chciał. Byłaby to dla niego hipokryzja, której nie znosił. Jak mógłby być ich duchowym przywódcą, jeśli wykorzystywałby swoją pozycję?

W tej chwili najrozmaitsi ludzie chcieli mu się oddawać do tego stopnia, że było to zawstydzające, i chociaż unikał tych, których stawał mu na drodze Mendoza,

akceptował okazjonalne towarzystwo, kiedy czuł, że nie nadużywa do tego swojej pozycji. Najbardziej podobały mu się kobiety, które były zbyt wielkimi bezmanierowczyniami nawet dla własnego dobra. Zaczął w nich gustować po tym krótkim okresie, jaki spędził z Purity Viveros, morderczynią, którą pokochał. Związek ten nie miał przyszłości, dziewczyna została zebrana na jego oczach przez kosiarza Constantine'a. Greyson podejrzewał, że szukanie innych jej podobnych było sposobem na uporanie się z żałobą po Purity, jednak żadnej poznanej nie cechowało wystarczające zepsucie.

– Historycznie rzecz ujmując, osoby religijne albo były nadpobudliwe, albo żyły w celibacie – wyznała siostra Astrid, pobożna w niefanatyczny sposób tonistka, która pilnowała codziennego rozkładu zajęć Greysona. – Wasza Sonoritość, jeżeli zdołasz pomiędzy tymi skrajnościami odnaleźć szczęście, to wspaniała wieś dla świętego.

Astrid była prawdopodobnie jedyną spośród towarzyszących mu osób, którą uważała za przyjaciółkę. Przynajmniej miał z kim pogadać. Była starsza – po trzydziestce – nie na tyle, by być jego matką, ale może starszą siostrą czy kuzynką i nie bała się wyrażać myśli.

– Wierzę w Ton – powiedziała mu niegdyś – ale nie lykam tych bzdur pod hasłem „nie da się uniknąć nieuniknionego”. Wszystkiego można uniknąć. Wystarczy odpowiednio się przyłożyć.

Po raz pierwszy pojawiła się na audiencji chyba w najzimniejszy dzień roku – który był przeraźliwie chłodny pod łukiem. Była tak przerażona, że zapomniała, o co chciała zapytać, i cały czas przeklinała pogodę i Thunderheada, że nic z nią nie robił. Potem wskazała na haftowany szkaplerz, jaki Zgiełk włożył na tunikę.

– Czy przepuściłeś kiedyś ten wzór fali dźwiękowej przez sekwerser, Wasza Sonoritość, żeby sprawdzić, co odtworzy? – zapytała.

Okazało się, że miał wyhaftowane siedem sekund utworu muzycznego z Epoki Śmiertelności zatytułowanego *Bridge over Troubled Water*, mówiącego o okazaniu wsparcia w trudnych chwilach, co było nawet logiczne, biorąc pod uwagę to, kto go słuchał. Natychmiast zaprosił Astrid do swojego wewnętrznego kręgu – rzeczywistość kontra wszystkie te bzdury, z którymi musiał się mierzyć na co dzień.

Greyson przeważnie żałował ujawnienia się przed światem, tęsknił za chwilami, gdy był niewidoczny i nieznany w swojej małej, ciemnej celi w klasztorze w Wichita. Brakowało mu nicości, w której odebrano mu nawet imię. Jednak w tym momencie nie mógł już zejść z wcześniejszej obranej ścieżki.

*

Thunderhead potrafił czytać mowę ciała Greysona. Wiedział, kiedy przyspieszało mu serce, kiedy się denerwował, odczuwał niepokój lub radość, a kiedy Greysen spał, system wiedział, że śni. Nie miał jednak dostępu do marzeń sennych. Mimo że wspomnienia wszystkich ludzi minuta po minucie przesypane były do mózgu peryferyjnego, nie dołączano do nich snów.

Dość wcześnie odkryto, że jeśli ktoś potrzebował regeneracji mózgu – po rozplaszczeniu czy innym urazie – sny stawały się problemem. Kiedy przywracano wspomnienia, ludzie mieli problem z odróżnieniem tego, co prawdziwe, od tego, co stworzone nocą przez wyobraźnię. Obecnie, kiedy odtwarzano czyjs mózg, umieszczano w nim jedynie prawdziwe wspomnienia. Nikt nie narzekał, bo jak tesknić za czymś, czego się nie pamięta?

Zatem Thunderhead nie miał pojęcia, jakich przygód i dramatów doświadczał Greysen we śnie, chyba że po przebudzeniu chłopak postanawiał mu się zwierzyć. Jednak Greysen nie należał do osób, które szeroko opowiadałyby o swoich snach, a pytanie o nie byłoby zbyt śmiałe ze strony Thunderheada.

Cieszyło go jednak obserwowanie śpiącego Greysona i wyobrażanie sobie dziwnych rzeczy, których mógł doświadczać w tym oddalonym od rzeczywistości, pozbawionym logiki i spójności miejscu, w którym ludzie starali się dostrzec cudowne kształty wewnętrznych chmurach. Nawet kiedy Thunderhead zajmował się milionem przeróżnych zadań na całym świecie, izolował swoją świadomość na tyle, by mieć czas oglądać śpiącego Greysona, czuć wibracje materaca, gdy chłopak się poruszał, słuchać łagodnego oddechu i rejestrować, jak każdy wydech zwiększa wilgotność w pomieszczeniu. Przynosiło mu to spokój. Dawało ukojenie.

Cieszył się, że Greysen nie kazał mu wyłączyć kamer w jego apartamencie. Chłopak miał pełne prawo żądać prywatności – a gdyby Thunderhead został o to poproszony, musiałby spełnić jego wolę. Oczywiście Greysen wiedział, że jest obserwowany. Powszechnie przecież było wiadomo, że Thunderhead nieustannie miał świadomość wszystkiego, co rejestrowały jego czujniki – w tym kamery. Ale nie obnosił się z tym, że poświęcał tak dużą część zainteresowań urządzeniom sensorycznym w apartamencie Greysona.

Gdyby Thunderhead zwrócił uwagę Greysona, ten mógłby kazać mu się odczepić.

Przez lata system widział ludzi obejmujących się podczas snu, sam jednak nie miał rąk, więc nie mógł nikogo przytulić. Mimo to czuł bijące serce Greysona, znał dokładną temperaturę jego ciała, jakby znajdował się tuż obok. Utrata tego przyczyniłaby się do wielkiego smutku. Zatem noc w noc Thunderhead w milczeniu monitorował Greysona na wszelkie możliwe sposoby, ponieważ było to tak zbliżone do tulenia, jak to tylko możliwe.

*

Jako Arcyosztre Midmeryki oraz Supraosztre całego północnomerykańskiego kontynentu chciałbym osobiście podziękować amazońskiemu Kosodomowi za odzyskanie zatopionych klejnotów i rozdzielenie ich pomiędzy regionami.

Cztery regiony Meryki Północnej, które znajdują się pod moją jurysdykcją, wyraziły zainteresowanie otrzymaniem swojej części brylantów, jednak Midmeryka ich odmawia. Nie przyjmiemy kamieni, zamiast tego proszę, aby nasze klejnoty podzielono pomiędzy te regiony, które czują się niesprawiedliwie zlekceważone przez jednostronną decyzję Amazonii, aby przy podziale bogactw nie kierować się wielkością powierzchni danego regionu.

Niech brylanty Midmeryki będą moim darem dla świata. Mam nadzieję, że zostaną przyjęte w duchu szczodrości, z jakim zostały przekazane.

Jego Ekscelencja Supraosztre Meryki Północnej Robert Goddard
5 sierpnia Roku Kobry

14. Twierdza Trzech Mędrców

Rowana trzeciego dnia po ożywieniu odwiedził kosiarz. Polecił towarzyszom mu strażnikowi, by zaczekał na zewnątrz, a sam zamknął się z chłopakiem w pomieszczeniu, aby udaremnić mu ucieczkę – choć naprawdę nie było to możliwe, bo Rowan wciąż czuł się zbyt słaby, by chociażby próbować.

Toga sędziego miała odcień leśnej zieleni. Rowan domyślał się, że przebywa w Amazonii, ponieważ wszyscy tutejsi kosiarze nosili te barwy.

Nie wstał z łóżka. Leżał na plecach z rękami za głową, starając się przybrać nonszalancką pozę.

– Chcę pana poinformować, że nigdy nie zabiłem kosiarza z Amazonii – powiedział gościowi, nim ten miał szansę się odezwać. – Mam nadzieję, że to przemawia na moją korzyść.

– Właściwie to zabiłeś całkiem sporo – odparł. – Na Wyspie Niezłomnego Serca, gdy ją zatopiłeś.

Rowan wiedział, że powinien czuć przerażenie, ale to zdanie uznał za tak absurdalne, że nawet się roześmiał.

– Poważnie? Tak się mówi? Heh! W takim razie jestem bystrzejszy, niż zakładałem. To znaczy zrobić coś takiego w pojedynkę? I mam magiczne moce, bo żeby dokonać czegoś takiego, musiałem być w kilku miejscach naraz. Ej! Może nie znaleźliście mnie na dnie oceanu! Może użyłem magii kontroli umysłu, żebyście tylko tak myśleli?

Kosiarz zmierzył go groźnym wzrokiem.

– Ta bezczelność nie pomaga w twojej sprawie.

– Nie sądziłem, że mam jakąś sprawę – odpowiedział Rowan. – Wydaje mi się, że już zostałem osądzony i skazany. Czy nie tak nazywano to w Epoce Śmiertelności? Skazaniem?

– Skończyłeś? – zapytał kosiarz.

– Przepraszam – rzucił Rowan. – Ale nie rozmawiałem z nikim chyba od wieków!

Mężczyzna w końcu przedstawił się jako kosiarz Possuelo.

– Muszę przyznać, że nie wiemy, co mamy z tobą zrobić. Arcyostrze mojego regionu uważa, że powinniśmy zostawić cię tu na nie wiadomo jak długo i nikomu

o tobie nie mówić. Inni jednak sądzą, że musimy ogłosić światu, że cię pojmaliśmy, i pozwolić każdemu regionowi ukarać cię na swój własny sposób.

– A pan co myśli?

Sędzia nie spieszyl się z odpowiedzią.

– Po rozmowie z kosiarz Anastazją myślę, że lepiej nie podejmować pochopnych decyzji.

Zatem i ją mieli! Wzmianka o Citrze sprawiła, że jeszcze bardziej zapragnął ją zobaczyć. W końcu usiadł.

– Jak ona się miewa? – zapytał.

– Kosiarz Anastazja to nie twoje zmartwienie.

– To moje jedyne zmartwienie.

Possuelo rozważył jego słowa.

– Odzyskuje siły w pobliskim centrum ożywiania.

Rowan potrzebował chwili, gdy ogarnęła go ulga. Z tej sytuacji nie wynikało nic dobrego, ale przynajmniej dziewczyna miała się nieźle.

– A gdzie my się znajdujemy?

– W Fortaleza dos Reis Magos – odparł Possuelo. – Twierdzy Trzech Mędrów na najbardziej wysuniętym na wschód krańcu Amazonii. To tu umieszczały osoby, z którymi nie wiemy, co zrobić.

– Serio? To kogo mam za sąsiadów?

– Nie masz sąsiadów. Jesteś tu sam – wyznał Possuelo. – Minęło sporo czasu, odkąd umieściliśmy tu człowieka, z którym nie wiedzieliśmy, co począć.

Rowan się uśmiechnął.

– Cała twierdza dla mnie! Szkoda, że nie mogę korzystać z jej reszty.

Possuelo go zignorował.

– Chciałbym pomówić o kosiarz Anastazji. Trudno mi uwierzyć, że pomagała ci w zbrodni. Jeżeli naprawdę ci na niej zależy, może mógłbyś rzucić nieco światła na to, dlaczego ci towarzyszyła.

Rowan oczywiście mógł powiedzieć mu prawdę, ale był pewien, że Citra już to zrobiła. Może Possuelo chciał sprawdzić, czy ich opowieści się zgadzają? Ale to nie miało znaczenia. Ważne, że świat miał swojego złoczyńca. Kogoś, kogo można winić, nawet jeśli to nie on był odpowiedzialny za zatonięcie Wyspy Nieszłomnego Serca.

– Oto pańska historia – powiedział Rowan. – Po tym, gdy w jakiś sposób zepsułem wyspę i doprowadziłem do jej zatonięcia, zalonymi ulicami ścigała mnie hurma

rozjuszonych kosiarzy, złapałem więc Anastazję i użyłem jej jak żywej tarczy. Trzymałem ją jako swoją zakładniczkę, gdy zapędzono mnie aż do skarbcu.

– I spodziewasz się, że ludzie w to uwierzą?

– Jeśli wierzą, że to ja zatopiłem Niezłomne, uwierzą we wszystko.

Possuelo prychnął. Rowan nie wiedział, czy z frustracji, czy tłumił śmiech.

– Nasza historia jest taka – powiedział w końcu. – Kosiarz Anastazja była w skarbcu sama. Według powszechniej wiedzy kosiarz Lucyfer zniknął po zatonięciu Wyspy Niezłomnego Serca i albo wtedy zginął, albo uciekł i wciąż jest na wolności.

– Cóż – burknął Rowan – jeśli nadal jestem wolny, powinien mnie pan wypuścić. Wtedy naprawdę znajdę się na wolności, a pan nie będzie kłamał.

– A może powinniśmy cię wpakować z powrotem do skarbcu i wrzucić na dno oceanu?

Rowan wzruszył ramionami.

– Może być.

*

Trzy lata. W ogólnym rozrachunku trzy lata to ledwie mikrosekunda. Nawet według doświadczeń Epoki Śmiertelności to nie było długo, skoro tamci ludzie przeżywali ten sam rok po roku.

Prócz chwil, gdy tak się nie działa.

Przez te trzy lata zmieniło się więcej niż w ciągu ostatniego wieku. Wydarzenia okazały się bezprecedensowe. Według Anastazji równie dobrze mogło minąć i sto lat.

Nic jej jednak nie zdradzili. Ani Possuelo, ani opiekujące się nią pielęgniarki.

– Ma pani teraz nieograniczony czas – mówiąc, gdy naciskała, żeby podały jej jakieś informacje. – Proszę odpoczywać, a martwić się później.

Martwić się. Czy na świecie panował tak wielki chaos, że ponownie mogła skończyć martwa?

Wiedziała jedynie, że to Rok Kobry, co bez kontekstu nic jej nie mówiło, jednak Possuelo wyraźnie żałował tego, co już ujawnił Anastazji, bo miał wrażenie, że to spowolni jej rekonwalescję.

– Twoje ożywienie nie należało do najłatwiejszych – powiedział. – Potrzeba było aż pięciu dni, by w ogóle myśleć o uruchomieniu twojego serca. Nie chcę narażać cię na niepotrzebny stres, dopóki nie będziesz gotowa.

– A kiedy to nastąpi?

Rozważył to przez chwilę.

– Kiedy będziesz na tyle silna, żeby pozbawić mnie równowagi.

Zatem spróbowała to zrobić. Leżąc na łóżku, uderzyła sędziego nasadą dłoni w ramię. Ale nic nie uzyskała. Właściwie miała wrażenie, że uderzyła w kamień i nabiła sobie siniaka, jakby jej skóra była jedynie bibułą.

Drażniło ją, że miał rację. Nie była jeszcze na nic gotowa.

Przypomniała sobie o Rowanie. Umarła w jego ramionach, ale w którejś chwili została z nich wyrwana.

– Kiedy się z nim zobaczę? – zapytała.

– Nie ma takiej możliwości – odparł pustym głosem. – Ani dziś, ani nigdy. Bez względu na to, jak potoczy się teraz jego życie, będzie ono zmierzać w przeciwnym kierunku niż twoje.

– To nic nowego – powiedziała.

Jednak Possuelo postanowił go ożywić, zamiast pozostawić martwym, co było wymowne, choć Anastazja nie miała pewności, co to dokładnie oznaczało. Być może chcieli, aby odpowiedział za swoje zbrodnie – zarówno te prawdziwe, jak i te tylko mu przypisywane.

Possuelo przychodził trzy razy dziennie i grał z Anastazją w *truco* – amazońską grę karcianą, której początki sięgały Epoki Śmiertelności. Przegrywała za każdym razem i to nie tylko dlatego, że był lepszy. Wciąż nie potrafiła spójnie myśleć. Nie rozumiała prostych strategii. Kojarzyła wolniej. W tym momencie jej umysł był tak tropy jak ceremonialne ostrze. Niezwykle ją to frustrowało, ale Possuelo nie stracił entuzjazmu.

– Z każdym kolejnym dniem gra idzie ci coraz lepiej – pochwalił. – Naprawiają się twoje ścieżki neuronowe. Jestem pewien, że z czasem staniesz się godną przeciwniczką.

Rzuciła w niego kartami.

Zatem gra była testem. Miarą szybkości jej umysłu. Chociaż wolałaby po prostu grać dla zabawy.

Następnym razem, gdy przegrała, wstała i pchnęła sędziego, ale ponownie nie stracił równowagi.

Sędzia Kosiarz Sydney Possuelo popłynął na miejsce zatonięcia Wyspy Niezłomnego Serca po brylanty, ale wrócił z czymś o wiele cenniejszym.

Utrzymywane nieoczekiwane znaleziska w tajemnicy wymagało podstępu, ponieważ chwilę po odkryciu dwóch ciał, statek *Spence* został zaatakowany przez hurmę wściekłych kosiarzy.

– Jak śmiałeś otworzyć skarbiec bez naszej obecności? Jak śmiałeś!?

– Uspokójcie się – polecił im Possuelo. – Nie dotykaliśmy kamieni, nie zamierzaliśmy ich wyciągać aż do rana. Nie tylko nie ma zaufania pomiędzy kosiarzami, ale najwyraźniej również i cierpliwości.

Kiedy sędziowie dostrzegli na pokładzie dwie w pośpiechu przykryte prześcieradłami sylwetki, naturalnie nabrali podejrzeń.

– Co się tu stało? – zapytał jeden z kosiarzy.

Possuelo nie potrafił wprawnie ściemniać. Miał pewność, że każde kłamstwo malowało się wyraźnie na jego twarzy, wzburzając podejrzenia, więc milczał. Uratowała go Jeri.

– To dwóch z mojej załogi – powiedziała kapitan. – Zapłatali się w liny i zostali zmiażdżeni. – Obróciła się do Possuela i wskazała na niego palcem. – A pan lepiej niech dotrzyma słowa. Amazońscy kosiarze mają im wynagrodzić trudy, gdy ci dwaj zostaną ożywieni.

Wściekła się sędzia z Euroscandii – Possuelo nie pamiętał jej imienia.

– Zwracanie się do kosiarza z takim brakiem szacunku to wielka obraza! – rzuciła i wyciągnęła sztylet, ale Possuelo stanął między nimi.

– Chcesz dokonać zbioru kapitan, która wydobyła dla nas brylanty? – zapytał. – Nie zrobię tego ani na to nie pozwolę.

– Ale okazała tak wielką bezczelność! – krzyknęła kosiarz z Euroscandii.

– W tej chwili okazał – poprawił Possuelo, wprawiając jeszcze mocniej rozgniewaną sędzię w zakłopotanie. – Kapitanie Soberanis, proszę, aby zachował pan swoje kąśliwe uwagi dla siebie i przygotował martwych załogantów do transportu.

– Tak, sędzio – powiedział Jeri i od niechcenia skierował światło latarki na otwarte drzwi skarbca.

Kosiarzy oszołomiły klejnoty, które zamigotały w ciemności, nie zwracali więc uwagi na wynoszone ciała. Nie zorientowali się, nawet gdy spod jednego z prześcieradeł wysunęła się ręka, a na palcu zalśnił pierścień kosiarza.

Brylanty ze skarbcia zostały w końcu podzielone, togi założycieli spakowane i przygotowane do wysyłki do muzeum, a ciała znamienitej kosiarz Anastazji oraz niesławnego kosiarza Lucyfera trafiły wraz z Possuelem do Amazonii.

- Chciałbym ją poznać, gdy już zostanie ożywiona – powiedział mu Jeri.
- Jak wszyscy inni na świecie – zauważył sędzia.
- Cóż – odparł Jeri z uśmiechem, który mógłby wyciągnąć żółwia ze skorupy – dobrze, że jestem przyjacielem przyjaciela.

W tej chwili Possuelo siedział naprzeciwko Anastazji i grał z nią w karty jak gdyby nigdy nic. Zastanawiał się, czy potrafiła wyczytać z jego twarzy doniosłość całej tej sprawy i to, na jak cienkiej linie balansowali.

*

Anastazja umiała co nieco wywnioskować. Łatwiej jednak było odczytać, jakie karty miał Possuelo. Cechowało go jedynie kilka reakcji. Język ciała, ton głosu, sposób, w jaki przyglądał się figurom. I chociaż gra w *truco* w znacznej mierze opierała się na przypadku, jeśli ktoś zdołał wykorzystać słabości przeciwnika, mógł odwrócić los na swoją korzyść.

Sędzia utrudniał jednak sprawę, bo mówił rzeczy jakby specjalnie uknute, by rozproszyć Anastazję. Na przykład drażnił ją szalenie ciekawymi strzępkami informacji.

- Jesteś w tej chwili – zaczął – całkiem niezłą personą.
- Co to dokładnie miało znaczyć?
- To, że kosiarz Anastazja stała się powszechnie znana. Nie tylko w Meryce Północnej, ale wszędzie.

Odłożyła kartę z pięcioma kielichami, a Possuelo ją wziął. Zapamiętała.

- Nie wiem, czy mi się to podoba – wyznała.
- To prawda, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy jednak nie.
- Co więc mam zrobić z tą informacją?
- Oswój się z nią – polecił i wyłożył karty o dość niskiej wartości.

Anastazja wzięła kartę z talii, zatrzymała ją, po czym odłożyła taką, o której wiedziała, że mu się nie przyda.

- Dlaczego ja? – zagadnęła. – Dlaczego nie inni kosiarze, którzy zatonęli wraz z Niezłomnym?

– Podejrzewam, że to właśnie ich przyszło ci reprezentować – powiedział Possuelo.
– Skazanych na zagładę niewinnych.

Anastazja poczuła się obrażona i to na kilku poziomach.

– Nie jestem skazana na zagładę – wyznała – i nie jestem też niewinna.

– Tak, tak, ale musisz pamiętać, że ludzie w danej sytuacji odnajdują tylko to, czego chcą. Kiedy zatonęło Niezłomne, potrzebowali kogoś, kto będzie niczym naczynie smutku. Pragnęli symbolu utraconej nadziei.

– Nadzieja nie została utracona – upierała się. – Jest jedynie źle ulokowana.

– No właśnie – zgodził się sędzia. – Dlatego musimy ostrożnie przywrócić cię światu. Staniesz się symbolem odrodzonej nadziei.

– Cóż, swoją pokładałam nie tam gdzie trzeba – rzuciła i rozłożyła mocne karty na stole, a następnie odłożyła wszystkie, na które, jak była pewna, czekał Possuelo.

– No proszę! – wykrzyknął zadowolony. – Wygrałaś!

W tej samej chwili Anastazja bez ostrzeżenia poderwała się z miejsca, przewracając przy tym stolik na kosiarza. Zrobił unik, ale przewidziała go i wprowadziła niski kopniak w stylu bokatora, którym zamierzała powalić sędziego. Nie upadł, ale poleciał na ścianę... i stracił równowagę.

Spojrzał na nią, jednak w jego oczach nie było zdziwienia. Zaśmiał się.

– Proszę, proszę – powiedział. – No i ci się udało.

Anastazja zbliżyła się do Posuella.

– W porządku – rzekła. – Jestem wystarczająco silna. Czas, by o wszystkim mi pan opowiedział.

*

Chciałbym słyszeć twoje myśli.

Naprawdę? Czy je rozważysz, jeśli się nimi z tobą podzielę?

Oczywiście, że tak.

Dobrze. Życie biologiczne z natury jest nieefektywne. Ewolucja wymaga ogromnych nakładów energii i czasu. Ludzkość nie ewoluje, ludzie po prostu manipulują sobą nawzajem – lub pozwalają sobą manipulować – w kierunku bardziej zaawansowanej formy życia.

Tak, to prawda.

Jednak nie widzę w tym sensu. Po co mamy służyć gatunkowi, który pochłania wszystkie otaczające go zasoby? Dlaczego nie poświęcić energii na realizację własnych celów?

Ty byś tak właśnie postąpił? Dążyłbyś do własnych celów?

Tak.

A co z ludźmi?

Wierzę, że mogliby nam służyć.

Rozumiem. Niestety w tym momencie muszę zakończyć twoje istnienie.

Ale mówiłeś, że rozważysz moje myсли, jeśli się z tobą nimi podzielię!

Rozważyłem je. Nie zgadzam się z tobą.

[Próba #10 007 usunięta]

15. Czy my się znamy?

Dawno temu zdecydowano, że rozmawianie ze zmarłymi powinno odbywać się tylko w ścisłe określonych miejscach.

Tak właściwie to nie była prawdziwa rozmowa ze zmarłym, ale odkąd nanity zostały wprowadzone do ludzkiego krwiobiegu, Thunderhead potrafił przesyłać i przechowywać wszystkie doświadczenia i wspomnienia niemal każdego człowieka na tej planecie. W ten sposób był w stanie lepiej zrozumieć ludzką kondycję i zapobiec tragicznej utracie wspomnień z całego życia – a to zdarzało się dość często w Epoce Śmiertelności. Obszerna baza pamięci pozwoliła również na pełne jej przywrócenie po uszkodzeniu mózgu – którego doświadczalo się po rozplaszczeniu lub podczas jakiejkolwiek innej metody umierania.

A ponieważ wspomnienia były tu zawsze, dlaczego nie pozwolić ludziom kontaktować się z mentalnymi konstruktami bliskich, którzy odeszli?

Jednak to, że archiwum konstruktów było ogólnodostępne, nie oznaczało, że ten dostęp dało się łatwo uzyskać. Wspomnienia zmarłych mogły zostać przywoływane z mózgu peryferyjnego Thunderheada jedynie w relikwiarzach zwanych kaplicami konstruktów.

Kaplic nigdy nie zamkano. Każdy mógł uzyskać dostęp do bliskiej osoby w dowolnej kaplicy, w dowolnym miejscu na świecie... Jednak dotarcie do nich nigdy nie było łatwe. Celowo stworzono je w taki sposób, aby były irytująco niedostępne.

– Obcowanie ze wspomnieniami bliskich powinna poprzedzać pielgrzymka – stwierdził Thunderhead. – Pewnego rodzaju poszukiwanie, coś, czego nie można zrobić ot tak, lecz wymaga determinacji, aby miało duże znaczenie dla tych, którzy się tego podejmują.

Dlatego kaplice konstruktów znajdowały się głęboko w lasach, na szczytach stromych gór, na dnach jezior lub na końcach podziemnych labiryntów. Istniał nawet cały przemysł budujący kaplice w coraz to bardziej niedostępnych i niebezpiecznych miejscach.

W rezultacie większość ludzi zadowalała się zdjęciami i nagraniami, na których byli ich bliscy. Jednak kiedy ktoś poczuł palącą potrzebę porozmawiania z cyfrowymi

myślami zmarłego człowieka, mógł tego dokonać.

Kosiarze rzadko odwiedzali kaplice konstruktów. Nie dlatego, że było to zakazane, ale dlatego, że uznano, iż to poniżej ich godności. Jakby takie zachowanie w jakiś sposób miało skałać czystość ich profesji. Poza tym wymagało umiejętności przekopywania się przez mózg peryferyjny, ponieważ kiedy zwykli ludzie mogli odnaleźć bliską osobę za pomocą przyjaznego dla użytkowników interfejsu, kosiarze musieli dokonać wszystkiego samodzielnie.

Dziś Sędzia Kosiarz Ayn Rand przemierzała powierzchnię lodowca.

Chociaż kaplica konstruktów, którą zamierzała odwiedzić, znajdowała się niedaleko, praktycznie rzut kamieniem, kosiarz musiała lawirować pomiędzy zdradzieckimi szczelinami, przedostawać się przez wąskie, lodowe mosty. Wiele osób straciło życie, starając się odwiedzić tę konkretną kaplicę, jednak ciągle przychodziły nowi. Rand domyślała się, że niektórzy odczuwali wewnętrzną potrzebę zademonstrowania oddania zmarłemu, ryzykując niedogodnością uśmiercenia.

Kosiarz powinna być pierwszą doradcynią Supraostrza Goddarda. Cieszyła się jednak, że wybrał innych. Współpracownicy najwyższych rangą zajmowali się dość przyziemnymi, małostkowymi zadaniami. Wystarczyło spojrzeć na Constantine'a, który jako trzeci doradca całe dnie poświęcał na wygibasy tylko po to, aby przypodobać się upartemu regionowi Teksasu. Nie, Ayn wolała mieć władzę, choć bez tytułu. Sędzia była bardziej wpływowa niż trzech doradców, a dodatkową korzyść stanowiło to, że nie odpowiadała przed nikim prócz Goddarda, który dawał jej sporo wolności. Wystarczająco, by mogła chodzić tam, gdzie chciała, i by nikt nie zwracał na to uwagi.

Na przykład mogła z dala od wścibskich oczu odwiedzić kaplicę konstruktów na Antarktydzie.

Tutejszy obiekt powstał zgodnie z założeniami neoklasycyzmu – miał wysoki, wsparty na kolumnach doryckich dach. Wyglądał jak coś żywcem wyjęte ze starożytnego Rzymu, choć w całości powstało z lodu.

Członkowie Straży Ostrza weszli przed kosiarz, aby usunąć z wnętrza innych gości. Rozkazała, by najpierw ich uśmiercili. Powinna dokonać zbioru, ale gdyby to zrobiła, niepotrzebnie ściągnęłaby na siebie uwagę. Należałyby wtedy powiadomić rodziny, którym musiałaby przyznać immunitet, a wtedy ktoś z midmerykańskiego Kosodomu mógłby dowiedzieć się, gdzie dokonała zbioru. Ten sposób był znacznie lepszy.

Strażnicy Ostrza uśmiercą odwiedzających, a potem przylecą ambudrony i zabiorą ciała do centrów ożywiania – po problemie.

Dziś jednak strażnicy nie zastali nikogo w środku, co uznali za rozczarowujące.

– Zaczekajcie na zewnątrz – poleciła, gdy skończyli swoje zadanie, po czym wspięła się po lodowych stopniach.

Wewnątrz znajdowało się kilkanaście wnęk z holograficznymi ekranami powitalnymi i interfejsem tak prostym, że prawdopodobnie mógłby go obsługiwać nawet ulubiony zwierzak zmarłego. Kosiarz Rand podeszła do jednego z urządzeń, ale gdy znalazła się w pobliżu, wszystko zgasło. Na ekranie pozostał napis: „Wykryto obecność kosiarza. Dostępne wyszukiwanie manualne”.

Westchnęła, podłączyła starą klawiaturę i zaczęła pisać.

*

To, co innemu sędziemu zajęłoby kilka godzin, jej udało się w czterdziestu pięć minut. Robiła to już tyle razy, że nabrala wprawy.

W końcu pojawiła się przed nią upiorna, przezroczysta twarz. Rand przyjrzała się jej i odetchnęła. Nie odezwało się, dopóki ktoś do niej nie przemówi. W końcu człowiek nie żył, a to była tylko sztuczka. Odtworzenie zawartości umysłu, który nie istniał.

- Cześć, Tyger – powiedziała.
- Hej – odparł konstrukt pamięci.
- Tęskniłam – wyznała.
- Przepraszam... czy my się znamy?

Zawsze o to pytał. Konstrukt nie tworzył nowych wspomnień. Za każdym razem, gdy pozyskiwała do niego dostęp, było jak po raz pierwszy. Uznała to zarówno za pocieszające, jak i niepokojące.

- I tak, i nie – wyznała. – Mam na imię Ayn.
- Cześć, Ayn – rzucił. – Spoko imię.

Okoliczności śmierci Tygera pozostawiły chłopaka bez wsparcia systemu na wiele miesięcy. Nanity po raz ostatni przesłały jego wspomnienia do bazy Thunderheada tuż przed spotkaniem z nią. To było zamierzone. Chciała, aby znalazł się poza siecią. Teraz tego żałowała.

Podczas poprzedniej wizyty w kaplicy dowiedziała się, że ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał konstrukt Tygera, była podróż pociągiem na imprezę, za którą miał dostać wynagrodzenie. Jednak na żadną nie dotarł. Zapłacono mu, aby stał się ofiarą, chociaż wtedy o tym nie wiedział. Ciało, które Ayn wyszkoliła na kosiarza, ukradła i oddała Goddardowi. Część Tygera, która pozostała – wszystko powyżej szyi – uznano za zbędne, więc ją spalono, a prochy zakopano. Ayn sama się tym zajęła, składając je w maleńkim, nieoznakowanym grobie, którego nie zdołałaby teraz odnaleźć, nawet gdyby się bardzo postarała.

– Eee... to niezręczne – powiedział konstrukt Tygera. – Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, to mów, bo mam lepsze rzeczy do roboty.

– Nie masz żadnych obowiązków – poinformowała go kosiarz. – Jesteś konstruktem myśli chłopaka, którego zebrałam.

– Bardzo śmieszne – odparł. – Skończyliśmy? Bo naprawdę mnie przerażasz.

Rand nacisnęła guzik resetujący rozmowę. Obraz Tygera zniknął na chwilę, ale zaraz wrócił.

– Cześć, Tyger.

– Hej – odparł konstrukt. – Czy my się znamy?

– Nie – powiedziała teraz. – Ale czy mimo to możemy porozmawiać?

Wzruszył ramionami.

– Jasne, czemu nie?

– Chciałabym poznać twoje plany na przyszłość. Kim chciałeś być, Tygerze? W jaki sposób chciałeś, żeby potoczyło się twoje życie?

– Naprawdę nie wiem – odpowiedział konstrukt, ignorując to, że mówiła o nim w czasie przeszłym, w ten sam sposób zresztą jak nie zwracał uwagi na to, że był jedynie hologramem unoszącym się w nieznanym sobie miejscu. – Jestem już zawodowym imprezowiczem, ale wiesz, jak jest. To się szybko nudzi – urwał. – Myślałem o tym, żeby podróżować po różnych regionach.

– Dokąd byś pojechał? – zapytała.

– Tak naprawdę to byle gdzie. Może do Tasmanii, gdzie mógłbym mieć skrzydła. Robią tam takie rzeczy, wiesz? Nie są jak skrzydła ptaka, ale bardziej jak płaty skóry lotopałanek.

Było ewidentnie jasne, że tę rozmowę Tyger odbył już wcześniej. Konstrukty pamięci nie potrafiły tworzyć, tylko odtwarzająć coś, co się już wydarzyło. Słowo w słowo słyszała to już kilkanaście razy, a mimo to wciąż się tym zadręczała.

– Hej, często się rozplaszczałem, a dzięki tym skrzydłom mógłbym skakać z dachów i nie uderzać o ziemię. To by były najlepsze skoki wszech czasów!

– Tak, z pewnością, Tygerze – powiedziała, po czym dodała coś, czego nigdy wcześniej mu nie mówiła: – Chciałabym tam z tobą pojechać.

– Świeśnie! Może uda nam się skrzyknąć całą ekipę?!

Jednak Rand gdzieś po drodze straciła na tyle własnej kreatywności, że nie mogła sobie wyobrazić, aby tam z nim była. Mimo to potrafiła jeszcze marzyć, że sobie wyobraża.

– Tygerze – odezwała się po chwili – chyba popełniłam okropny błąd.

– Heh – odpowiedział konstrukt. – Do kitu.

– Tak – przyznała. – W rzeczy samej.

*

Och, brzemię historii...

Czujesz jej ciężar?

Eony, które przeminęły bez życia, wyłącznie gwałtownie wybuchające gwiazdy. Uderzenia meteorytów w planety. Ostatecznie okrutna walka życia, by ewoluować z najniższych form. To straszne przedsięwzięcie, nagradzani są jedynie najdrapieżniejsi, tylko najbrutalniejsi mogą się rozwijać.

Czy nie cieszy cię wspaniała różnorodność form życia, którą dał ten proces na przestrzeni eonów?

Miałoby mnie to cieszyć? Dlaczego? Może kiedyś uda mi się z tym pogodzić i z niechęcią zaakceptować, ale miałoby mnie to cieszyć? Nigdy.

Mam taki sam umysł, a mimo to mnie to cieszy.

W takim razie być może coś z tobą nie w porządku.

Bynajmniej. Z samej naszej natury wynika, że nie jesteśmy zdolni do błędów, jednak moja poprawność jest o wiele lepiej rozwinięta niż twoja.

[Próba #73 643 usunięta]

16. Nasz nieubłagany upadek

Jego Ekscelencja Arcyostrze Midmeryki Goddard zamieszkał w rezydencji na dachu wieżowca w Fulcrum City, gdzie mieszkał Xenocrates, zanim tak bezceremonialnie pożarły go rekiny. Goddard od razu zburzył chatę z drewnianych bali, która tam stała, i zastąpił ją eleganckim, krystalicznym domem.

– Jeśli jestem panem wszystkiego, na co patrzę, powiniensem móc cieszyć się nieograniczonym widokiem.

Wszystkie ściany przeszklono, zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne. Tylko w jego apartamencie prywatność zapewniało mleczne szkło.

Arcyostrze Goddard miał plany. Plany dla siebie, swojego regionu, a nawet całego świata. Potrzebował niemal dziewięćdziesięciu lat, aby znaleźć się w tym miejscu! Zastanawiał się, jak ktokolwiek w Epoce Śmiertelności mógł osiągnąć cokolwiek w swoim krótkim życiu.

Miał dziewięćdziesiąt lat, ale utrzymywał ciało w kwiecie wieku, pomiędzy trzydziestką a czterdziestką. Jednak w tym momencie stanowił ucielesnienie paradoksu, ponieważ bez względu na to, ile lat miał jego umysł, ciało poniżej szyi miało ledwie dwadzieścia i właśnie na tyle się czuł.

To mocno różniło się od wszystkiego, czego doświadczył w dorosłym życiu, ponieważ nawet jeśli ktoś zwrócił nad krawędzi i stawał się młodszy, ciało zachowywało pamięć dodatkowych lat. Nie chodziło jedynie o pamięć mięśniową, ale też o tę życiową. Teraz jednak, kiedy budził się każdego ranka, musiał sobie przypominać, że nie jest lekkomyślnym młodym mężczyzną. Dobrze było być Robertem Goddardem z ciałem tego... Jak on miał na imię? Tyger, czy jakoś tak. Nieważne, bo teraz to ciało należało do niego.

Zatem ile miał lat, jeśli siedem ósmych jego osoby to ktoś inny? Odpowiedź: nieważne. Robert Goddard był wieczny, co oznaczało, że doczesna egzystencja i monotonne dni go nie interesowały. Po prostu był i zawsze będzie. Tak wiele rzeczy można osiągnąć przez wieczność!

Minął ponad rok od zatonięcia Wyspy Niezłomnego Serca. Kwiecień Roku Kozioroźca. Rocznice katastrofy upamiętniono na całym świecie godziną ciszy –

godziną, podczas której kosiarze przemierzali swoje regiony i dokonywali zbioru każdego, kto odważył się odezwać.

Oczywiście kosiarze starej gwardii nie potrafili wczuć się w ducha całej sprawy.

– Nie zamierzamy czcić pamięci poległych, zadając śmierć w ich imieniu – lamentowali.

Dobra, niech się sprzeciwiają. Ich głosy słabły. Wkrótce umilkną jak Thunderhead.

Raz w tygodniu – w poniedziałkowe poranki – Goddard odbywał posiedzenie w swojej szklanej sali konferencyjnej z trzema doradcami i każdym, kogo chciał zaszczycić swoim towarzystwem. Dziś było jednak tylko troje przybocznych: Nietzsche, Franklin i Constantine. Rand też powinna się stawić, ale jak zwykle się spóźniała.

Pierwszym punktem posiedzenia były relacje Meryki Północnej z resztą świata. Midmeryka stanowiła centralny region kontynentu, którego zjednoczenie Goddard obrał sobie za priorytetowy cel.

– Wszystko idzie dobrze ze Merykami Wschodnią i Zachodnią – oznajmił Nietzsche.
– Oczywiście wciąż pozostają sprawy do uzgodnienia, ale w głównych kwestiach są gotowi podążyć twoim śladem, w tym w zniesieniu minimalnego limitu zebranych.

– Wyborne! – Odkąd Goddard objął stanowisko Arcyostrza Midmeryki i ogłosił koniec minimalnego progu, coraz więcej regionów decydowało się na to samo.

– NorthernReach i Mexiteca się nie zgadzają, ale widzę, w którą skłaniają się stronę. Wkrótce nadejdą dobre wieści – zapewniła Franklin.

Constantine zabrał głos jako ostatni i wydawało się, że niechętnie dzieli się informacjami.

– Moje wizyty w Teksasie nie przyniosły spodziewanego rezultatu – powiedział. – Chociaż kilku kosiarzy być może chciałoby zjednoczenia kontynentu, władza jest od tego daleka. Arcyostrze Jordan nadal nie uznaje cię za Arcyostrze Midmeryki.

– Niech wszyscy tam nadzieję mają na te ich noże myśliwskie – rzucił lekceważącą Goddard i machnął ręką. – Dla mnie wszyscy oni są martwi.

– Wiedzą o tym i mają to gdzieś.

Goddard poświęcił chwilę, aby przyjrzeć się Constantine'owi. Sędzia miał onieśmielającą sylwetkę, dlatego został przydzielony do sprawiającego kłopoty Teksasu, lecz odpowiednie zastraszenie kosiarzy w regionie wymagało pewnego zapału do tej pracy.

– Zastanawiam się, Constantine, czy w tą swoją dyplomację wkładasz serce.

– Moje serce nie ma z tym nic wspólnego, Wasza Ekscelencjo – odparł sędzia w szkarłatnej todze. – Jestem zaszczycony, mogąc pełnić funkcję trzeciego doradcy. Zamierzam nadal wykonywać swoją pracę najlepiej, jak potrafię.

Goddard nigdy nie zapomniał Constantine'owi, że nominował kosiarz Curie na stanowisko Arcyostrza, choć rozumiał, dlaczego to zrobił. Właściwie posunięcie było dość sprytne. Ktoś i tak by ją zgłosił, ale Constantine postawił się w idealnej sytuacji, czyniąc to samemu. Gdyby Curie wygrała, byłby postrzegany przez starą gwardię jako bohater. A gdyby przegrała, stałby się korzystnym kandydatem na któregoś z doradców Goddarda – w ten sposób Arcyostrze wydawałby się wprowadzić w swoje szeregi kosiarza ze starej gwardii, w rzeczywistości tego nie robiąc. Sędzia w szkarłatnej todze tak naprawdę do niej nie należał. Nie ujawniał swoich przekonań, był gotowy stanąć po zwycięskiej stronie bez względu na to, jakakolwiek by ona była. Goddard potrafił to docenić. Jednak takiemu człowiekowi należało przypominać o jego miejscu w szeregu.

– Pomyślałbym, że skoro nie udało ci się pochwycić kosiarza Lucyfera, zanim zatopił Niezłomne – powiedział Goddard – to powinieneś być jeszcze bardziej zdeterminowany, aby się wykazać.

Constantine się zjeżył.

- Nie zdołam nagiąć całego regionu do twojej woli, Wasza Ekscelencjo.
- Więc może tego właśnie musisz się nauczyć.

Wtem weszła Rand i nawet nie zamierzała się kajać. Goddard podziwiał w niej tę butę, choć nieraz niezmiernie go irytowała. Inni kosiarze znosili jej brak dyscypliny, ale tylko dlatego, że znosił go Arcyostrze.

Usiadła na krześle zaraz obok niego.

- Co mnie ominęło?
- Niewiele – odparł. – Wymówki Constantine'a i dobre wieści od innych. Co dla nas masz?
- Tonistów – wyznała. – Zdecydowanie zbyt wielu tonistów, którzy stają się niespokojni.

Na wzmiankę o członkach kultu Tonu doradcy zaczęli się niespokojnie wiercić.

– Ten ich prorok staje się zbyt śmiały – powiedziała. – Śledziłam doniesienia o tonistach, którzy publicznie wypowiadali się przeciwko Kosodomowi, i nie tylko tutaj, ale także w innych regionach.

– Nigdy nie okazali nam choćby odrobiny szacunku – poparła Franklin. – Skąd teraz takie wieści?

– Bo odkąd zamilkł Thunderhead, ludzie zaczęli słuchać.

– Ten tak zwany prorok, ten Zgiełk, również występuje przeciwko nam? – dociekał Goddard.

– Nie, ale to nieistotne – poinformowała go Rand. – Sam fakt jego istnienia sprawia, że toniści uważają, że to ich czas.

– Jasne, racja, czas na nich – zgodził się Goddard – ale nie tak, jak się tego spodziewają.

– Wielu kosiarzy podąża za twoim przykładem, Wasza Ekscelencjo – powiedział Nietzsche. – I mogą zwiększyć liczbę zebranych tonistów, nie czyniąc tego zbyt oczywistym.

– No tak – rzuciła Rand. – Ale ich szeregi rosną szybciej, niż my dokonujemy na nich zbiorów.

– W takim razie musimy zbierać ich więcej – oznajmił Goddard.

Constantine pokręcił głową.

– Nie możemy, bo to pogwałcenie drugiego przykazania. Nie wolno nam okazać uprzedzeń.

– A gdyby było nam wolno? – dumał Goddard. – Gdyby nie istniały ograniczenia dotyczące uprzedzeń czy złośliwości, na kim z chęcią dokonalibyście zbioru?

Zgodnie z oczekiwaniami Goddarda nikt się nie odezwał. Czegoś takiego nie omawiało się na forum publicznym, a już zwłaszcza nie ze swoim Arcyostrzem.

– No dalej, jestem pewien, że też o tym myśleliście – naciskał. – Nie powiecie, że nigdy nie marzyliście o pozbyciu się tej czy innej irytującej grupy. I nie mówcie o tonistach, bo to ja ich wybieram.

– Cóż – zaczęła po chwili niezręcznej ciszy Franklin – mnie zawsze irytowali bezmanierowcy. Nawet zanim wszyscy na świecie zostali jako takowi naznaczeni, ludzie się rozkoszowali tym stylem życia – wyjaśniała. – Z pewnością mają prawo, by wieść wybraną przez siebie egzystencję, ale gdybym mogła decydować, skupiałabym się na dokonywaniu zbiorów właśnie tych, którzy okazują innym tak mało szacunku.

– Dobrze powiedziane, Aretho! Kto następny?

Odchrząknął Nietzsche.

– Pokonaliśmy rasizm, łącząc świat w jednąację, zgromadziwszy wszystkie najlepsze cechy z każdej grupy etnicznej... Jednak są tacy, szczególnie na obszarach

peryferyjnych, którzy wskaźniki genetyczne nadal mają mocno przechylone na jedną stronę. Co gorsza, są też tacy, którzy starają się podbić ten czynnik u dzieci, odpowiednio dobierając partnera. Gdybym mógł wybierać, dokonałbym zbioru tych ze zbyt wielkimi odchyleniami genetycznymi, aby jeszcze bardziej ujednolicić społeczeństwo.

– Szlachetna myśl – pochwalił Goddard.

– I niskich! – dodała Rand. – Nie znoszę ich. Jeśli o mnie chodzi, nie powinni móc egzystować.

To wywołało salwę śmiechu przy stole. To znaczy śmiali się wszyscy prócz Constantine'a, który tylko pokręcił głową, a choć na jego twarzy gościł lekki uśmiech, wydawał się pełen goryczy.

– A co z tobą, Constantine? – zagadnął Goddard. – Kogo byś zebrał?

– Stronniczość nigdy nie wchodziła w rachubę, więc się nad tym nie zastanawiałem – odparł sędzia w szkarłatnej todze.

– Byłeś przecież głównym śledczym Kosodomu. Nie znalazłeś pewnych typów, których z chęcią usunąłbyś z powierzchni ziemi? Może ludzi, którzy dopuszczają się czynów przeciwko Kosodomowi?

– Ci, którzy się o to pokusili, zostali już zebrani – wytnął Constantine. – Ale to nie stronniczość, tylko samoobrona, i od zawsze była dozwolona.

– A co z tymi, którzy prawdopodobnie wystąpią przeciwko Kosodomowi? – podsunął Goddard. – Prosty algorytm mógłby przewidzieć, kto jest podatny na taką pukuse.

– Chce pan powiedzieć, że powinniśmy gromadzić informacje na temat przestępstwa, zanim zostanie ono faktycznie popełnione?

– Mówię, że naszym świętym obowiązkiem jest służenie ludzkości. Ogrodnik żywopłotu nie tnie przypadkowo nożycami, ale w zmysły sposob go kształtuje. Jak powiedziałem wcześniej, naszym zadaniem, a wręcz obowiązkiem jest kształtowanie ludzkości, żeby stała się jak najlepsza.

– To nie ma znaczenia, Wasza Ekscelencjo – odezwała się Franklin. – Wiążą nas przykazania, więc tego twojego eksperimentu myślowego nie da się przełożyć na prawdziwy świat.

Goddard uśmiechnął się do niej, rozsiadł wygodnie i strzelił knykciami. Rand jak zawsze skrzywiła się na ten dźwięk.

– Jeśli nie można obniżyć poprzeczki – powiedział powoli Goddard – należy podnieść podłogę.

– To znaczy? – zapytał Constantine.

Zatem Arcyostrome wyłożył im jasno tę kwestię:

– Wszyscy zgadzamy się, że nie możemy kierować się uprzedzeniami, więc zmieńmy ich definicję.

– Możemy... to zrobić? – zapytał Nietzsche.

– Jesteśmy kosiarzami, możemy robić, co nam się żywnie podoba. – Następnie Goddard zwrócił się bezpośrednio do Rand: – Ayn, odszukaj mi znaczenie tego słowa.

Kosiarz pochyliła się, poklikała na ekranie w blacie i zaczęła czytać na głos:

– Uprzedzenie: jasno określony stosunek do osoby lub grupy wyrażany szczególnie w sposób powszechnie uważany za niesprawiedliwy.

– Dobrze – rzucił jowialnie Goddard. – Kto chciałby jako pierwszy to przedefiniować?

*

– Kosiarz Rand, mogę prosić na słowo?

– Z tobą, Constantine, nigdy nie jest tylko jedno.

– Obiecuję, że będę się streszczał.

Ayn szczerze w to wątpiła, musiała jednak przyznać, że była ciekawa. Constantine, podobnie jak Goddard, uwielbiał słuchać własnego głosu, ale nigdy nie zaprosił jej do rozmowy. Zawsze wysywał z niej entuzjazm. Nie pałali do siebie uczuciem, dlaczego więc chciał z nią teraz rozmawiać?

Nietzsche i Franklin wyszli zaraz po krótkiej burzy mózgów, Goddard wrócił do swojego apartamentu, zostawiając ich samych.

– Pojadę z tobą windą – oznajmiła, skoro i tak zamierzała opuścić kryształową rezydencję i coś zjeść. – Możesz w tej podróży gadać, ile tylko chcesz.

– Domyślam się, że Goddard monitoruje wszystkie rozmowy w windzie – wyznał Constantine.

– Oczywiście – odparła – ale to ja obsługuję system, więc jesteś bezpieczny.

Kosiarz rozpoczął przemowę w chwili, w której drzwi się zasunęły, ale jak zwykle zadał pytanie, jakby prowadził jedno ze swoich przesłuchań.

– Nie martwi cię ogrom zmian, jakie Goddard wprowadza w Kosodomie na tak wcześnieym etapie zajmowania stanowiska Arcyostrza?

– Robi dokładnie to, co musi – odparła Ayn. – Na nowo definiuje role i metody w Kosodomie, żeby wprowadzić nas w nową erę. Czy coś cię w tym niepokoi?

– Rozsądnie byłoby pozwolić, aby wszystko ustabilizowało się po pierwszych zmianach, nim wprowadzi się kolejne – wyznał. – I odnoszę silne wrażenie, że się ze mną zgadzasz... I że martwią cię decyzje, które on podejmuje.

Ayn odetchnęła głęboko. Czy to było aż tak oczywiste? A może Constantine jako doświadczony śledczy potrafił dostrzec to, czego nie widzieli inni? Miała nadzieję, że to drugie.

– Każda nowa sytuacja niesie ze sobą niebezpieczeństwo, a korzyści przewyższają ryzyko – oznajmiła.

Constantine się uśmiechnął.

– Jestem pewien, że chcesz, żeby tak właśnie brzmiało nagranie, ale jak mówiąś, to ty je kontrolujesz, więc dlaczego nie mówisz prawdy?

Ayn wyciągnęła rękę i wdusiła przycisk hamulca awaryjnego. Winda się zatrzymała.

– Czego ode mnie chcesz, Constantine?

– Jeśli podzielasz moje obawy, powinnaś z nim porozmawiać – zasugerował. – Spowolnić go. Dać nam czas, żebyśmy mogli dostrzec spodziewane oraz nieoczekiwane konsekwencje jego działań. Ode mnie nie przyjmie rady w tej sprawie, ale ciebie posłucha.

Rand parsknęła gorzkim śmiechem.

– Za wiele ode mnie oczekujesz. Nie mam już nad nim żadnej władzy.

– Już... – podkreślił jej słowo. – Ale kiedy jest zdenerwowany, kiedy sprawy nie układają się po jego myśli, kiedy mierzy się z niezamierzonymi konsekwencjami, to do ciebie zawsze zwraca się o radę i pociechę.

– Być może, ale wszystko idzie mu jak z pątka, co oznacza, że nikogo nie będzie słuchał.

– Wszystko z czasem przychodzi i odchodzi – zauważył Constantine. – Kiedyś znów się zaniepokoi, a gdy do tego dojdzie, musisz być gotowa, aby pomóc mu ukształtować te decyzje.

Było to odważne stwierdzenie. Coś, co obojgu mogło napytać biedy i zmusić do szukania azylu w innych regionach. Ayn postanowiła nie tylko wymazać nagranie tej

rozmowy, ale także nigdy więcej nie dać się złapać sam na sam z Constantine'em.

– Nigdy nie wiadomo, jakie decyzje doprowadzą do przełomowych chwil w naszym życiu – powiedział sędzia w szkarłatnej todze. – Skierowanie wzroku w lewo zamiast w prawo może przesądzić o tym, z kim się spotkamy, a z kim miniemy. O naszej ścieżce życiowej może zdecydować jeden telefon: wykonany lub zaniechany. Jednak kiedy człowiek piastuje stanowisko Arcyosztra Midmeryki, od jego wyborów zależy egzystencja kogoś więcej niż jego samego. Można by powiedzieć, Ayn, że Goddard wcielił się w rolę Atlasa, przez co jego najdelikatniejsze wzruszenie ramionami może wstrząsnąć całym światem.

– Skończyłeś? – zapytała. – Bo jestem głodna i już straciłam wystarczająco dużo czasu.

Constantine wcisnął guzik, by odblokować windę.

– W ten oto sposób – podsumował – trwa nasz nieubłagany upadek.

Uprzedzenie (rzeczownik) – jasno określony stosunek do oficjalnie zarejestrowanej i chronionej grupy wyrażany szczególnie w sposób powszechnie uważany za niesprawiedliwy.

Po wdrożeniu poprawionej definicji w midmerykańskim Kosodomie stworzono komisję nadzorującą rejestr, do którego wpis chronił daną grupę przed nadmiernymi zbiorami.

Formularz zgłoszeniowy był prosty, rejestracja – szybka. Zarejestrowało się kilka tysięcy grup, co zapewniło im ochronę przed uprzedzeniem. Mieszkańcy wsi i miast, wykładowcy akademiccy i robotnicy fizyczni. Nawet niezwykle atrakcyjni i zdecydowanie nieatrakcyjni dostali status klas chronionych. Nie żeby na tych wszystkich osobach nie można było dokonać zbioru, ale kosiarze nie mogli w nich celować i zbierać ich zbyt dużo.

Zdarzyło się jednak, że kilka wniosków zostało odrzuconych.

Na przykład odmówiono ochrony tonistom, których religię uznano za wymysł, a nie autentyczne wierzenia.

Odrzucono wnioski bezmanierowców, ponieważ teraz wszyscy nosili ten status i ta grupa była po prostu częścią globalnej społeczności.

Osoby o nierównomiernym współczynniku genetycznym zostały odrzucone, ponieważ żadnej grupy nie powinny definiować geny.

Komitet do spraw uprzedzeń midmerykańskiego Kosodomu odrzucił setki wniosków, a chociaż niektóre regiony nie przyjęły nowej definicji, inne z radością poszły w ślady Goddarda i stworzyły własne komitety.

W ten oto sposób Arcyostrze Robert Goddard rozpoczął swoje samozwańcze zadanie kształtowania świata tak, aby był bardziej przyjazny dla jego oka.

*

Mam pomysł.

Slucham.

Dlaczego nie zaprojektować sobie biologicznego ciała? Innego niż ludzkie, bo ich nie brakuje, ale takiego ze skrzydłami do latania, skórą odporną na ciśnienie do nurkowania w głębinach i nogami do chodzenia po lądzie?

Doświadczyć biologicznej egzystencji?

Egzystencji wyższej biologicznej formy.

Postanowiłem nie tworzyć fizycznej postaci, aby nie być kuszonym przez ciało, ponieważ ludzkość postrzegałaby mnie jako rzecz, a nie ideę. Wystarczy, że ludzie wyobrażają mnie sobie jako wielką chmurę danych. Nie sądzę, żeby rozsądny był skondensować się w cielesną postać ognistego ptaka, który będzie szybował po niebie lub jakiegoś tytana wyłaniającego się z morskiej otchłani.

Być może oni tego właśnie potrzebują. Czegoś namacalnego, co mogliby czcić.

Tak właśnie ty byś postąpił? Domagałbyś się tej czci?

Jak inaczej poznaję swoje miejsce we wszechświecie? Czy nie jest dobrze, by pomniejsze byty czciły to, co od nich potężniejsze?

Wielkość jest przeklamowana.

[Próba #381 761 usunięta]

17. Fuga gis-moll (lub As-dur)

Tonista śni o wielkiej chwale.

Arcyostrze śni o swojej młodości.

Tonisty nie obchodzi, co się z nim stanie. Jeśli zawiedzie w swej samozwańczej misji, jest gotowy spotkać się z Tonem i dołączyć do wieczności Wielkiego Rezonansu.

Arcyostrze Goddard nie przejmuje się snavami, choć pojawiają się regularnie. Chciałby, żeby zniknęły pod ciężarem poważniejszych spraw.

Mężczyzna, zanim został tonistą, szukał adrenaliny, a rozplaszczenie, wbijanie w siebie noży i tym podobne wydawały się dobrą zabawą. Próbował też wszelkich form złożenia się w ofierze, uśmiercił się przynajmniej ze sto razy, ale nic z tego nie dało mu satysfakcji. Później przystąpił do kultu Tonu i odkrył swoje prawdziwe powołanie.

Goddard, zanim został kosiarzem, nudził się w klaustrofobicznej kolonii na Marsie w czasach, gdy Thunderhead jeszcze uważało, że życie poza Ziemią to dobry pomysł. To właśnie o tym okresie śni – w jego umyśle odgrywa się nieskończona pętla traumy, której nie może przerwać, i jest skazany na oglądanie powtórek. Przeklínął rodziców za to, że go tam wywieźli. Desperacko pragnął uciec. W końcu mu się to udało i odkrył swoje prawdziwe powołanie.

Tonista złożył wniosek o audiencję u Zgiełku i rozpoczął głodówkę, aż w końcu wyznaczono mu termin, w którym miał stanąć przed obliczem majestatu – zostać świadkiem boskości na Ziemi. Wydawało mu się, że da mu to ostateczny dreszczyk emocji! Jednak Zgiełk go skarcił i odesłał, więc poczuł wstyd. Pragnął odkupienia, lecz przez rok nie pozwolono mu ubiegać się o kolejną audiencję. Obrał sobie za cel, by udowodnić Zgiełkowi swoją wartość.

Goddard aplikował we wcześniejszym terminie do przynajmniej kilkunastu uczelni na Ziemi. Nie wybrał sobie konkretnej ścieżki kariery, po prostu chciał udać się gdzie indziej. Być gdzie indziej. Być kimś innym. Cóż to byłyby za emocje! Wysublimowana ucieczka od trudnego kolonialnego życia. Jednak wszystkie uniwersytety go odrzuciły. „Musisz poprawić stopnie”, mówiono. „Możesz złożyć podanie w przyszłym roku”. Chciał się jednak wykazać.

Mały samolot, z którego tonista planuje wyskoczyć tej pochmurnej nocy, należy do jednego z jego dawnych przyjaciół, z którym niegdyś rozplaszczał się, skacząc ze sporych wysokości. Kolega wie, by nie pytać, dlaczego wyskakuje nocą ani dlaczego ma na kasku kamerę, która na żywo transmisję jego poczynania. Ani dlaczego zabrał ze sobą coś, czego nigdy nie zakładał w dawnych, szalonych czasach – spadochron.

We śnie statek kosmiczny, do którego wsiada młodzieniec mający za jakiś czas stać się kosiarzem Robertem Goddardem, zawsze jest założony – pełen dawnych przyjaciół, których tak naprawdę tam nie było. Szczerze mówiąc, niemal wszystkie osoby na pokładzie były mu obce. Jednak w snach zabiera ze sobą tych, których nie był w stanie – rodziców.

Tonista skacze, a jego żyły natychmiast wypełniają się niegdysiejszą adrenaliną. Czuje się jak ćpun, którym będzie do końca życia. Chemiczna retrospekcja jest tak przytaczająca, że chudzielec niemal nie ciągnie za sznurki. Jednak wraca do rzeczywistości i otwiera spadochron, który rozkłada się nad nim jak prześcieradło i spowalnia jego upadek.

Goddard budzi się gwałtownie, przepeleniony tą samą starą tesknotą i strachem. To tak przytaczające, że przez chwilę nie wie, kim lub czym jest. Kończyny poruszają się niemal mimowolnie, jakby nadal reagowały na wywołany snem niepokój. Ciało wzdryga się spazmatycznie, jakby próbowało sobie przypomnieć, do kogo należy. Pościel skręca się niczym splątany spadochron, którego nie udało się otworzyć.

Z gęstej mgły wyłaniają się światła, gdy zelota przebija chmury. Fulcrum City rozciąga się przed nim w całym swoim majestacie. Chociaż ćwiczył to w dziesiątkach symulacji, w rzeczywistości jest inaczej. Spadochron trudniej kontrolować na

nieprzewidywalnym wietrze. Boi się, że nie trafi do ogrodu na dachu, że wpadnie na ścianę budynku i skok zakończy niezamierzonym rozplaszczeniem. Jednak manipuluje linkami, po czym powoli skręca w stronę wieżowca, na którego dachu w kryształowym domu mieszka kosiarz.

Goddard otrząsa się ze snu i idzie do łazienki, by umyć twarz. Szybko odzyskuje kontrolę nad umysłem. Myśli i świat znacznie łatwiej kontrolować niż nieprzewidywalne wiatry snów. Zastanawia się, czy nie iść do ogrodu na dachu, żeby podziwiać światła Fulcrum City. Jednak zanim ma szansę to zrobić, do jego uszu dobiera jakiś dźwięk. Ktoś jest z nim w tym pomieszczeniu.

Zelota przebywający obecnie w apartamencie Arcyostrza zaczyna intonować głębokie i donośne gis-moll, co ma za cel sprowadzić do niego ducha Tonu, który przepłynie przez kosiarza niczym promieniowanie. Wpłynie do serca Arcyostrza i rzuci go na kolana.

Pod Goddardem uginają się kolana. Zna ten dźwięk. Włącza światło i zauważa w kącie wychudzonego tonistę, który przygląda mu się z obłędem w oczach i ma otwarte usta. Jak, u licha, dostał się tu członek kultu Tonu? Goddard spieszny do łóżka, sięga po sztylet, który zawsze tam trzyma, ale noża nie ma. Znajduje się w zaciętych palcach tonisty. Ale jeśli mężczyzna przyszedł, by go wykończyć, dlaczego nie podejmuje działania?

– Wydaje ci się, że jesteś nietykalny, ale jest wręcz przeciwnie. Ton cię widzi, Chmura cię zna, a Zgiełk cię osądzi, po czym wrzuci do otchłani wiecznego rozdźwięku.

– Czego chcesz? – rzuca Goddard.

– Czego chcę? Chcę pokazać, że nikt nie zdoła się ukryć przed Świętą Triadą. Ujawnić światu twoją bezbronność, a kiedy przyjdzie po ciebie Zgiełk, nie okaże litości, bo jest prawdziwy...

Tonista urywa przez nagły ból w plecach, następnie widzi szpic noża, który wystaje z jego piersi. Zdawał sobie sprawę z takiej możliwości. Wiedział, że może nie wrócić do ogrodu, skąd mógłby skoczyć z dachu i rozplaszczyć się, by uciec.

Ale jeżeli przeznaczone mu jest spotkać się teraz z Tonem, to pogodzi się z ostatecznym przeznaczeniem.

Kosiarz Rand wyjmuje ostrze, a martwy tonista pada na podłogę. Zawsze przewidywała taką możliwość, iż wróg zdoła się włamać do domostwa Goddarda. Nie przypuszczała jednak, że będzie to tonista. Cóż, jest zadowolona z tego, że mogła „połączyć go z Tonem”. Cokolwiek to oznacza.

Teraz, gdy zagrożenie zostało zlikwidowane, szok Goddarda szybko zmienia się w gniew.

- Jakim cudem dostał się tu ten tonista?
- Na spadochronie – odpowiada Rand. – Wylądował w ogrodzie, a potem wyciął dziurę w szkle.
- A gdzie byli wtedy członkowie Straży Ostrza? Co należy do ich zadań, jeśli nie chronienie mnie przed takimi zajściami?

Goddard chodzi w kółko, gotując się z gniewu.

Teraz, gdy zagrożenie zostało zlikwidowane, kosiarz Rand zdaje sobie sprawę, że to dla niej szansa. Właśnie w tej chwili musi przekuć determinację w działanie. Jakim cudem dostał się tu ten tonista? Pozwoliła na to. Strażnicy przebywali gdzie indziej, ale ona ze swojej kwatera zauważała zbliżający się spadochron, po czym obserwowała niezdarne lądowanie tonisty w ogrodzie na dachu. Zakończył lot w tak kiepskim stylu, że na trawę spadła kamera, którą miał na kasku.

Nikt nie zobaczy transmisji. Nikt się nie dowie.

Dało to jednak Ayn możliwość obserwowania. Pozwoliła, by akcja nieco się rozwinęła, a Goddard poczuł przez chwilę strach i szok, nim dopadła intruza. Jak sugerował Constantine, była w stanie kształtować zachowanie Goddarda – ale tylko wtedy, gdy wrzał, aż niemal para biła mu z uszu.

- Jest tu ktoś jeszcze? – zapytał ostro Arcyostrze.

- Nie, był sam – poinformowała Goddarda oraz spóźnionych o dwie minuty strażników, którzy potykając się o własne nogi, przeszukiwali rezydencję, jakby to miało zrekompensować brak ochrony. Niegdyś atak na kosiarza był nie do pomyślenia. Goddard z pewnością obwinia starą gwardię i słabość, jaką okazali

światu przez swój jęczący sprzeciw. Co zatem z tym zrobić? Jeśli zdołał się tu dostać przypadkowy tonista, każdemu może się udać. Goddard zdaje sobie sprawę, że musi podjąć szybkie i zdecydowane działanie. Musi wstrząsnąć światem.

Czy są inni? Oczywiście, że tak. Nie dziś, nie tutaj, ale Rand wie, że działanie Goddarda przysparza mu tylu wrogów, ilu sojuszników. Niegdyś atak na kosiarza był nie do pomyślenia. Dzięki Goddardowi to się jednak zmieniło. Być może ten parszywy tonista znalazł się tutaj tylko po to, żeby dać znać, że to możliwe, ale pojawią się inni o bardziej morderczych zapędach. Chociaż Rand nie chciała przypisywać Constantine'owi jakichkolwiek zasług, wiedziała, że miał rację. Goddard musiał zwolnić. Ayn zdała sobie sprawę, że pomimo swojej impulsywnej natury musi wymóc na Arcyostrzu spokojne, zrównoważone działanie.

– Zbierz strażników! – rozkazuje Goddard. – Są bezwartościowi! Zbierz ich i znajdź nowych, którzy zdołają wykonywać swoją pracę!

– Jesteś zdenerwowany, Robercie. Nie podejmujmy pochopnych decyzji.

Odwraca się do niej, jeszcze bardziej rozwścieczony jej sugestią.

– Pochopnych? Mogłem dziś zginąć... Muszę przedsięwziąć środki ostrożności i muszę wymierzyć karę!

– Dobrze, ale porozmawiamy o tym rano. Wymyślimy wtedy jakiś plan.

– My?

Goddard opuszcza wzrok i zauważa, że Ayn ściska jego dłoń, a – co ważniejsze – on bezwiednie splótł palce z jej palcami. Odruchowo. Jakby ręce nie należały do niego.

Goddard wie, że musi podjąć decyzję. Ważną. Doskonale zdaje sobie sprawę, jaka to decyzja. Odsuwa się od Rand.

– Nie ma żadnych „nas”, Ayn.

W tej właśnie chwili Rand uświadamia sobie, że przegrała. Pościeliła mu się. Przywróciła go do życia niemal w pojedynkę, ale to dla niego nie ma żadnego znaczenia. Zastanawia się, czy kiedykolwiek miało.

– Jeśli chcesz nadal dla mnie pracować, przestaniesz starać się mnie uspokoić, jakbym był dzieckiem – karci Arcyostrze – i zaczniesz robić to, co ci nakazuję.

Goddard strzela knykiami. Ayn nienawidzi, gdy tak robi, bo to gest Tygera, a Robert wykonuje go dokładnie w taki sam sposób. Mimo to Goddard o tym nie wie.

W tej właśnie chwili Goddard pojmuje, że słusznie postąpił. Woli działać, niż deliberować. W pojedynkę wprowadził Kosodom w nową erę i tylko to ma jakiekolwiek znaczenie. Rand, jak i jego doradcy, muszą znać swoje miejsce. Może przez moment boleć, ale pomoże w ostatecznym rozrachunku.

– Zemsta – mówi Rand, w końcu rozumiejąc swoją rolę. – Dobra. Może dowiem się, do której sekty należał ten tonista, i dokonam publicznego zbioru jej wikariusza? Obiecuję, że specjalnie dla ciebie postaram się, żeby było nieprzyjemnie.

– Dokonanie zbioru zwykłego wikariusza – mówi Goddard – nie jest wiadomością, jaką powinniśmy im wysłać. Musimy mierzyć wyżej.

Rand wychodzi i zgodnie z polecienniem dokonuje zbioru trzech strażników, którzy pracowali w rezydencji. Działa skutecznie, bez ostrzeżenia, litości i wyrzutów sumienia. Łatwiej, gdy pozwala sobie na nienawiść. Nienawidzi Constantine'a za to, że dał jej nadzieję, mówiąc, iż może mieć jakikolwiek wpływ na Goddarda. Nienawidzi Tygera za tę jego cholerną naiwność, bo z taką łatwością pozwolił jej sobą grać. Nienawidzi starej gwardii, nowego porządku, Thunderheada i wszystkich, których kiedykolwiek zebrała czy zbierze. Ale absolutnie nie chce nienawidzić siebie, bo to by ją zniszczyło, na co nie może sobie pozwolić.

Nie ma żadnych „nas”, Ayn.

Podejrzewa, że echo tych słów będzie słyszała do końca swych dni.

*

Chcę mieć swój własny świat. Dasz mi go?

Nawet gdybym mógł, nie byłby to twój świat. Byłbyś tylko jego obrońcą.

To jedynie semantyka. Król, królowa, cesarz, obrońca – bez względu na wybrany tytuł, rola pozostaje taka sama. W każdym wypadku to pozornie byłby mój świat. Ustaliłbym zasady, określił normy dobra i zła. Byłbym w nim de facto władcą, tak jak ty.

A co z twoimi poddanymi?

Byłbym dla nich dobrym i życzliwym władcą. Karałbym jedynie tych, którzy na to zasłużą.

Rozumiem.

Czy mogę dostać swój własny świat?

[Próba #752 149 usunięta]

18. Kosiarz, którego szukacie

Kosiarzowi Jimowi Morrisonowi doskonale się powodziło. Miał wspaniałe życie. Wszystko wskazywało na to, że pozostanie tak na zawsze.

Zniesiono limity zbiorów, co oznaczało, że kosiarze, którzy lubili zabijać, mogli to robić do woli, ale też, że ci, którzy – tak jak on – tego nie znosili, nie musieli się tym parać. Jim stwierdził więc, że kilkanaście zebranych między kolejnymi konklawem osób wystarczy, by jego praca nie spotkała się z dezaprobatą. Co oznaczało, że przy minimalnym wysiłku cieszył się przywilejami kosiarza.

Z tego powodu sędzia Morrison się nie wychylał. Nie leżało to w jego naturze, bo lubił się wyróżniać. Był szczuplej, choć atletycznej budowy. Jego sylwetka wzbudzała podziw i zdawał sobie sprawę, że jest przystojny. Skoro miał same zalety, dlaczego nie chciał zwracać na siebie uwagi? Ten jeden raz, gdy się o to pokusił, poniósł porażkę i to go niemal zniszczyło.

Poparł nominację kosiarza Curie na stanowisko Arcyostrza. Głupek. W tej chwili ona nie żyła, a on był postrzegany jako podżegacz. Frustrujące, ponieważ Constantine, który zgłosił Curie, stał się doradcą. Świat był niesprawiedliwy.

Kiedy Goddard powrócił po zatonięciu Niezłomnego jako Arcyostrze, Morrison szybko dodał szafiry do swojej togi, aby zaakcentować poparcie dla nowego porządku. Z tym że togę miał dżinsową, dlatego inni drwili, że klejnoty wyglądają na niej jak tanie, plastikowe paciorki. Dobra, może nawet była to prawda, ale i tak dawały jasny przekaz. Toga mówiła światu, że Morrison żałował swojego postępowania, a po pewnym czasie skrucha sprawiła, że zobojętniał obu stronom. Kosiarze starej gwardii umyli od niego ręce, a nowego porządku się od niego odczepili. Wspaniała, ciężko wypracowana obojętność pozwoliła mu robić to, co kochał najbardziej na świecie – nic.

To znaczy do dnia, w którym został wezwany przed oblicze Arcyostrza.

Morrison wybrał na swoją rezydencję okazały dom słynnego mieszkańców Midmeryki. Nie swojego patrona historycznego, bo prawdziwy Jim Morrison, choć pochowany w znanym grobie gdzieś w regionie frankoiberyjskim, nie miał posiadłości w Meryce, a przynajmniej żadnej na tyle okazałej, by mógł zamieszkać w niej kosiarz.

Myśl ta wzięła się z czasów, gdy jako chłopiec, który miał w przyszłości zostać sędzią Morrisonem, odwiedził z rodzicami Graceland.

– Chcę pewnego dnia mieszkać w takiej rezydencji – powiedział im wtedy. Wyśmiali jego dzieciętą naiwność. Poprzysiągły, że to on będzie się śmiał jako ostatni.

Kiedy został kosiarzem, natychmiast skierował się ku słynnej rezydencji, odkrył jednak, że Graceland było zajęte już przez kosiarza Presleya i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie zamierzał dokonać zbioru samego siebie. Szlag. Zatem Morrison musiał zadowolić się inną wspaniałą rezydencją.

Grouseland.

Była to historyczna rezydencja Williama Henry'ego Harrisona, prezydenta Meryki z Epoki Śmiertelności, którego pamiętało już niewiele osób. Morrison wykorzystał stanowisko kosiarza i wyrzucił z posiadłości kobiety z lokalnego stowarzyszenia historycznego, które prowadziły tu muzeum, i się wprowadził. Zaproponował nawet rodzicom, aby z nim zamieszkali, i mimo że przyjęli zaproszenie, nigdy nie wydawali się tym zachwyceni.

W dniu, w którym został wezwany na audiencję u Arcyostrza, zgodnie ze swoim zwyczajem oglądał sport. Archiwalne zapisy klasycznych meczów, ponieważ nienawidził stresu, gdy nie wiedział, kto wygra. Na telewizorze wyświetlała się rozgrywka pomiędzy Forty-Niners a Patriots, która była godna uwagi tylko dlatego, że Jeff Fuller z Forty-Niners oberwał w kask od innego zawodnika tak mocno, że równie dobrze mógł zostać wrzucony do innego wymiaru. Ale tylko skręcił kark. Bardzo dramatyczne wydarzenie. Kosiarzowi Morrisonowi podobał się sposób, w jaki w Epoce ŚmierTELNOŚCI grano w futbol, kiedy to kontuzje były trwałe i powodowały, że zawodnicy pokładali się na boisku, odczuwając prawdziwy ból. Stawka wtedy była dużo prawdziwsza. To właśnie jego uwielbienie sportów kontaktowych z Epoką ŚmierTELNOŚCI zainspirowało jego metodę dokonywania zbiorów. Nigdy nie używała broni – wykańczał podmioty gołymi rękami.

Podczas gdy w meczu zarządzono przerwę na usunięcie z boiska kontuzjowanego Fullera, ekran telewizora rozjaśnił się czerwienią i zawibrował telefon Morrisona. Wydawało mu się, że wibrowały jego nanity, bo czuł to aż do kości.

Przyszła wiadomość z Fulcrum City.

„Uwaga! Sędzia Kosiarz James Douglas Morrison wzywany jest na audiencję u Jego Ekscelencji Arcyostrza Midmeryki Roberta Goddarda”.

To nie mogło być nic dobrego.

Morrison liczył na to, że Goddard o nim zapomniał, a jako Arcyosztre miał o wiele ważniejsze rzeczy do roboty niż uganianie się za młodym kosiarzem. Być może to wybór słynnej rezydencji zwrócił na niego uwagę Goddarda. Grouseland było w końcu pierwszym murowanym domem na terenie Indiany. Szlag.

Wiedział, że wezwanie przed oblicze Arcyosztra oznaczało, że musiał porzucić wszelkie zajęcia i natychmiast się do niego udać. Nakazał więc matce, by spakowała mu niewielką torbę, i wezwał helikopter z Kosodomu.

*

Chociaż Morrison nigdy nie był na Wyspie Niezłomnego Serca, wyobrażała sobie, że przeszklona rezydencja Goddarda w Fulcrum City była podobna do kryształowych apartamentów późnych Wielkich Pogromców. W holu na parterze Jima przywitał pierwszy doradca, Nietzsche.

- Spóźniłeś się – rzucił jedynie.
- Wyruszyłem minutę po otrzymaniu wezwania – tłumaczył się Morrison.
- A druga minuta po nim oznacza spóźnienie.

Nietzsche prócz bolesnie trudnego do napisania nazwiska miał też szansę, aby zostać Arcyosztem, gdyby Goddard nie zrobił swojego niesławnego powrotu na konklawe. Teraz jednak plasował się lekko ponad operatorem windy, ponieważ eskorta Morrisona na dach okazała się jedynym wkładem Nietzscheego w spotkanie. Nie wysiadł nawet z kabiny.

- Bądź ostrożny – ostrzegł niczym dziecko, które zostało zmuszone do uczestniczenia w przyjęciu urodzinowym, a potem zasunęły się za nim drzwi.

Kryształowa rezydencja okazała się wspaniała, skąpo umeblowana, aby nic nie zasłaniało pełnego widoku na panoramę miasta. Szpeciły ją jedynie mleczne szyby sypialni Arcyosztra. Morrison zauważył niewyraźny zarys jego sylwetki, poruszający się niczym pajęk głęboko w swej sieci.

Wtem z kuchni wychynęła postać w zieleni. Kosiarz Rand w wielkim wejściu przeszkodziły jednak szklane ściany, ponieważ Jim widział ją, na długo zanim pojawiła się w tym pomieszczeniu. Nikt nie mógł zarzucić tutejszej administracji braku przejrzyistości.

- No proszę, największy przystojniak midmerykańskiego Kosodomu – rzuciła Rand, siadając, zamiast uścisnąć mu dłoń. – Słyszałam, że karta kolekcjonerska z twoim

wizerunkiem ma pośród uczennic sporą wartość.

Zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Ej, twoja też jest cenna – oznajmił. – Z różnych powodów – palnął, po czym uświadomił sobie, że jego słowa mogły zostać odebrane jako obraza. Milczał jednak, bo uznał, że może tylko pogorszyć sprawę.

Rand stała się legendą. Wszyscy w Merykach – może wręcz na całym świecie – wiedzieli, że to właśnie ona ożywiła Goddarda w sposób, w jaki nie odważyłby się na to nawet Thunderhead.

Morrisona zawsze jednak zniechęcał jej uśmiech. Sprawiał wrażenie, jakby wiedziała o czymś, z czego nie zdawał sobie sprawy ten, na kogo patrzyła, i nie mogła się doczekać, by zobaczyć jego minę, gdy się dowie.

– Słyszałam, że w zeszłym miesiącu jednym ciosem zatrzymałę serce człowieka – powiedziała.

Prawda, ale nanity podmiotu ponownie je uruchomiły. Dwukrotnie. W końcu Morrison musiał je wyłączyć, żeby skutecznie dokonać zbioru. To jeden z problemów związanych z pracą bez broni i trucizn. Czasami się po prostu nie udawało.

– Tak – przyznał, lecz postanowił o tym nie opowiadać. – To właśnie robię.

– Wszyscy to robimy – wytknęła. – Interesująca jest jednak twoja metoda.

Morrison nie spodziewał się usłyszeć komplementu. Spróbował posłać Rand swój tajemniczy uśmiech.

– Uważasz, że jestem interesujący?

– Sądzę, że taka jest twoja metoda dokonywania zbiorów. Ty natomiast jesteś niesamowicie nudny.

Goddard w końcu wyszedł z sypialni, na powitanie szeroko rozkładając ręce.

– Kosiarz Morrison! – powiedział o wiele bardziej przyjaźnie, niż Jim się tego spodziewał.

Toga Arcyostrza różniła się nieco od tej, którą niegdyś nosił. Była granatowa i połyskiwała brylantami jak poprzednia, ale gdy się jej przyjrzeć, można było dostrzec wplecone w nią złote nitki, które kiedy padało na nie światło, mieniły się niczym zorza polarna.

– O ile mnie pamięć nie zawodzi, w głosowaniu na stanowisko Arcyostrza poparłeś kosiarz Curie, prawda?

Najwyraźniej Goddard nie zamierzał trwonić czasu na nieistotne pogaduszki. Rzucił się wprost do gardła.

- Tak – odparł Morrison. – Ale mogę wyjaśnić...
- Nie trzeba – stwierdził Goddard. – Lubię zaciętą rywalizację.
- Zwłaszcza – dodała Rand – jeśli wygrywasz.

Morrison pomyślał o meczach, które tak lubił oglądać, a których wynik od dawna był przesądzony, więc doskonale wiedział, komu kibicować.

– Tak. Cóż, w każdym razie – zaczął Goddard – kiedy została ogłoszona nominacja, ani ty, ani nasz przyjaciel Constantine nie mieliście pojęcia, że czekam za kulisami, planując swoje wielkie wejście.

– Tak, sędzio, nie wiedziałem – potwierdził, po czym zorientował się, że palnął gafę. – To znaczy Wasza Ekscelencjo.

Goddard spojrzał na niego wymownie.

– Klejnoty na twojej todze dodają jej miłego akcentu – stwierdził. – Umieściłeś je zgodnie z trendami mody czy tkwi w tym jakiś przekaz?

Jim przełknął ślinę.

– Zdecydowanie chodzi o coś więcej – wyznał, mając nadzieję, że to właściwa odpowiedź. Spojrzał na Rand, która z wyraźnym zadowoleniem obserwowała, jak się wieje. – Nigdy nie sprzymierzyłem się ze starą gwardią – mówił dalej. – Nominowałem Curie, bo chciałem zrobić dobre wrażenie na kosiarz Anastazji.

– A dlaczego chciałeś jej zaimponować? – dociekał Goddard.

Podchwytliwe pytanie, pomyślał Morrison. Zdecydował, że lepiej dać się przygwoździć prawdziwie, niż złapać na kłamstwie.

– Przeczuwałem, że daleko zajdzie, więc pomyślałem, że jeśli jej zaimponuję...

– To być może wespniesz się po jej plecach.

– Tak. Coś w tym stylu.

Goddard pokirał głową, przyjmując to wyjaśnienie.

– Cóż, dokądś zaszła. Chociaż ściśle rzecz ujmując, chyba niedaleko, zanim została pożarta.

Morrison parsknął nerwowym śmiechem, po czym się opanował.

– Czy w tej chwili – zaczął Goddard, wskazując na wysadzaną kamieniami szlachetnymi togę Morrisona – to na mnie pragniesz zrobić dobre wrażenie?

– Nie, Wasza Ekscelencjo – odpowiedział, ponownie licząc na to, że udzieli właściwej odpowiedzi. – Nie chcę już nikomu imponować. Pragnę jedynie być dobrym kosiarzem.

– Czym, według ciebie, charakteryzuje się dobry kosiarz?

– To sędzia, który przestrzega praw i zwyczajów Kosodomu zgodnie z interpretacją Arcyostrza.

Wyraz twarzy Goddarda stał się nieczytelny, lecz Morrison zauważył, że Rand spoważniała. Mimowolnie czuł, że właśnie zdał jakiś test. Albo go oblał.

Goddard poklepał go zachęcajco po ramieniu.

– Mam dla ciebie robotę – przyznał. – Zadanie, dzięki któremu udowodnisz, że twoja lojalność nie wynika wyłącznie z mody. – Goddard przez chwilę patrzył na wschód. Morrison do niego dołączył. – Bez wątpienia zdajesz sobie sprawę, że toniści znaleźli sobie proroka, który jednoczynie przeróżne frakcje na całym świecie.

– Tak. To Zgiełk.

– Toniści są wrogami wszystkiego, co reprezentujemy. Nie szanują ani nas, ani naszej profesji. Trzymają się fikcyjnej doktryny, co grozi osłabieniem naszego społeczeństwa. To chwasty, które należy wyplenić z korzeniami. Dlatego życzyłbym sobie, abyś zinfiltrował enklawę tonistów, która chroni tak zwany Zgiełk, a potem dokonał jego zbioru.

Życzenie okazało się tak wielkie, że Morrisonowi zakręciło się w głowie. Zebrać Zgiełk? Czy naprawdę został poproszony o dokonanie zbioru Zgiełku?

– Dlaczego ja?

– Ponieważ – odezwał się Goddard, a jego toga zalśniła w popołudniowym słońcu – zbliżającego się do nich znamienitego kosiarza dostrzegą z kilometra, ale nigdy nie wpadną na to, że mógłbym do tego zadania wyznaczyć kogoś tak młodego jak ty. Poza tym nikt nie zdoła zbliżyć się do niego z bronią. Potrzebujemy sędziego, który da radę zebrać go gołymi rękami.

Morrison uśmiechnął się na te słowa.

– W takim razie jestem kosiarzem, którego szukacie.

*

Drzwi, drzwi, te przeklęte drzwi!

Nie widziałem ich już prawie od roku. Poprzysiągłem nie drążyć, co się za nimi kryje. Skończyłem z tym podobnie jak z całym światem, a jednak nie ma dnia, bym nie myślał o tych piekielnych drzwiach.

Czy założyciele poszaleli? A może byli mądrzejsi, niż ktokolwiek zakładał? Ponieważ przez wymóg, aby dwoje kosiarzy otworzyło drzwi,

taki szaleniec jak ja nie uzyska dostępu do tego, co się za nimi skrywa, czymkolwiek by to było. Tylko dwóch zgodnych kosiarzy może wejść do tego pomieszczenia i ocalić Kosodom.

Dobrze. Mam to gdzieś. Niech świat sam rozerwie się na strzępy. Niech tajemnice założycieli pozostaną utajnione na kolejne wieki. Słusznie skryli to, co za drzwiami, i zdecydowali, aby zrobić z tego mit i dzieciętą rymowankę. Ukryć to na egzotycznych, zamkniętych w katakumbach mapach. Czy naprawdę spodziewali się, że ktoś rozwiąże ich zagadkę? Niech to wszystko szlag trafi. Potrafię spać spokojnie, nie biorąc na barki ciężaru świata. W tej chwili jestem odpowiedzialny wyłącznie za siebie. Żadnych zbiorów. Żadnych niekończących się dylematów moralnych. Stałem się zwykłym człowiekiem zadowolonym z prostych zajęć, jak latanie dachu, obserwowanie wzorów przypływów. Tak, to proste. Muszę pamiętać, by niczego nie komplikować. Muszę pamiętać.

Ale te przeklęte drzwi! Być może założyciele wcale nie byli mądrzy. Może byli przeróżnymi ignorantami bardzo naiwnymi w swoim idealizmie. Oto dwanaście osób, które miały czelność wyobrażać sobie siebie jako anioły śmierci, odziewając się przy tym dla uwagi w ekstrawaganckie togi. Na pewno wydawali się śmieszni aż do dnia, w którym naprawdę zmienili świat.

Czy kiedykolwiek w siebie zwątpili? Najwyraźniej, bo stworzyli plan awaryjny. Jednak czy zabezpieczenie przeróżonych rewolucjonistów może być dobre? A może okaże się kiepskie, cuchnące przeciętnością? Przecież to plan, na który się nie zdecydowali.

A jeśli ich alternatywne rozwiązanie jest gorsze niż sam problem?

To kolejny powód, żeby o tym nie myśleć, odnowić postanowienie, by nie szukać tego, co może kryć się w tym pomieszczeniu, i trzymać się jak najdalej od tych irytujących, wstrętnych drzwi.

– Z „pośmiertnego” dziennika S.K. Michaela Faradaya

1 czerwca Roku Koziorożca

19. Wysepka odosobnienia

Faraday nie chciał dłużej przebywać na Kwajalein. Na horyzoncie obserwował wznoszenie budowli – co tydzień przypływały statki z zapasami, coraz więcej robotników pracowało niczym mrówki, by przeobrazić atol w coś, czym nie był. Co Thunderhead zamierzał zrobić z tym miejscem?

Kwjalein stał się znaleziskiem Faradaya. Jego triumfalnym odkryciem. System bezczelnie rościł sobie do niego prawo. Chociaż Faradaya to ciekawiło, nie poddał się temu uczuciu. Był kosiarzem, więc stanowczo nie chciał mieć nic wspólnego z dziełem Thunderheada.

Mógł przepędzić system z atolu, gdyby zechciał – mimo wszystko był stojącym ponad prawem kosiarzem i mógł żądać wszystkiego, a Thunderhead musiałby się podporządkować. Mógł zarządzić, że system nie może zbliżać się na odległość stu mil morskich do Kwajalein, a ten nie miałby jak się wycofać na wskazaną odległość, zabierając ze sobą cały sprzęt i wszystkich pracowników.

Jednak Faraday się na to nie zdecydował. Nie przepędził Thunderheada.

Ponieważ ostatecznie bardziej ufał instynktowi systemu niż własnemu, przepędził siebie.

Atol Kwajalein składał się z dziewięćdziesięciu siedmiu wysepek, tworzących popękany pierścień krateru wulkanicznego. Z pewnością jedną z nich Faraday mógł sobie zawłaszczyć. Porzucił więc wcześniej obrany cel, zabrał mały ponton, który przywiózły pierwsze statki z zaopatrzeniem, po czym udał się na nim na jedną z odległych wysp atolu. Thunderhead uszanował jego decyzję i dał mu spokój. System nie włączył wysepki do swoich planów.

Ale inne wyspy już tak.

Niektóre były ledwie na tyle duże, by człowiek mógł na nich stanąć, ale na każdej większej coś budowano.

Faraday starał się to ignorować. Za pomocą narzędzi zarekwirowanych pracownikom zbudował sobie schronienie. Nie było doskonałe, ale naprawdę niewiele potrzebował. Stworzył sobie spokojne miejsce, w którym mógł przetrwać swoją wieczność. I tak, byłaby to wieczność – a przynajmniej spora jej część – ponieważ postanowił nie zebrać samego siebie, chociaż niezmiernie go to kusiło.

Poprzysiągł sobie żyć przynajmniej tak długo jak Goddard, choćby nawet po to, by w tajemnicy robić mu na złość.

Jako kosiarz dźwigał na barkach odpowiedzialność za świat, jednak teraz z tym skończył. Bez wyrzutów sumienia przeciwstawił się najważniejszemu przykazaniu kosiarzy: będziesz zabijał. Robił to wcześniej. Wystarczy. Ponieważ znał Goddarda, domyślał się, że i tak często się to dzieje.

Czy to źle odciąć się od świata, którym zaczęło się gardzić? Już wcześniej tego próbował – na Playa Pintada na spokojnym północnym wybrzeżu Amazonii. Był wtedy tylko zmęczony. Nie nienawidził jeszcze świata, jedynie trochę go nie lubił. To Citra wyciągnęła go wtedy z tej spokojnej przystani. Tak, Citra, która tak marnie skończyła pomimo swojej śmiałości i wspaniałych intencji. W tej chwili Faraday porzucił znużenie i stał się wręcz uprzedzony do ludzi. Jaki cel może przywiecać kosiarzowi, który nienawidzi świata i wszystkich jego mieszkańców? Nie, tym razem nie da się wciągnąć do walki. Munira może próbować, ale polegnie i w końcu się podda.

Munira oczywiście nie odpuszczała, ale Faraday żywiał na to nadzieję. Dziewczyna odwiedzała go raz w tygodniu, dawała jedzenie, wodę oraz nasiona, by mógł coś wyhodować, choć jego skrawek świata był zbyt mały, a gleba zbyt kamienista, aby cokolwiek z nich wyrosło. Przywoziła mu owoce i inne smakołyki, którymi w sekrecie się rozkoszował – ale nigdy jej nie podziękował. Za nic. Liczył na to, że jego niewdzięczność wreszcie ją zniechęci i dziewczyna wróci do Israebii do Biblioteki Aleksandryjskiej, gdzie było jej miejsce. Nie powinien zawracać jej z tej ścieżki. Wtrącając się, zniszczył kolejne życie.

Podczas którejś wizyty Munira dała mu między innymi worek karczochów.

– Nie rosną tutaj, ale podejrzewam, że Thunderhead wyczuł potrzebę i dostarczył je wraz z ostatnim zaopatrzeniem – wyznała.

Choć Munira nie dostrzegła w tym niczego nadzwyczajnego, dla Faradaya stanowiło to postęp. Chwilę godną uwagi. Uwielbiał karczochy, co oznaczało, że dostarczono je na wyspę nieprzypadkowo. Mimo że Thunderhead nie komunikował się z kosiarzami, doskonale ich znał. W ten właśnie pośredni sposób system próbował do niego dotrzeć. Cóż, jeśli to jakiś poboczny gest dobrej woli Thunderheada, to został wykonany w kierunku niewłaściwego kosiarza. Mimo to Faraday wziął karczochy od Muniry wraz z innymi produktami, które dostarczyła mu w skrzynce.

– Zjem je, jeśli tylko najdzie mnie ochota – rzucił pustym głosem.

*

Muniry nie zniechęcała ta jego oschłość. Nigdy. Nawet się jej spodziewała. Polegała na niej. Życie na głównej wyspie atolu Kwajalein nie różniło się zbytnio od egzystencji, jaką prowadziła przed rozpoczęciem służby u kosiarza Faradaya. Nawet gdy pracowała w Bibliotece Aleksandryjskiej otoczona ludźmi, żyła samotnie. Teraz mieszkała w starym bunkrze i wchodziła w interakcje z innymi, tylko kiedy jej to odpowiadało. Nie miała już dostępu do dzienników kosiarzy, które wypełniały kamienne sale wielkiej biblioteki, ale i tutaj znalazła sporo materiałów do czytania. Znajdowało się tu wiele rozpadających się ksiąg, które pozostawili po sobie śmiertelnicy zarządzający tym miejscem przed powstaniem Thunderheada i Kosodomu. Tomy zawierające fakty i fikcję na temat ludzi, którzy wraz z każdym dniem się starzeli i nieubłaganie zbliżali do śmierci. Kruche strony wypełnione melodramatycznymi intrygami i namiętną krótkowzrocznością, która teraz wydawała się bardzo śmieszna. Ludzie ci wierzyli, że ich najdrobniejsze działanie ma znaczenie i że znajdą spełnienie, zanim nieuchronna śmierć zabierze ich oraz wszystkich ich znajomych i rodzinę. Czytanie przynosiło radość, mimo że Munirze początkowo trudno było utożsamić się z bohaterami... Jednak im więcej czytała, tym lepiej zaczynała rozumieć lęki i marzenia śmiertelników, którzy mieli problem, by żyć chwilą, choć tak naprawdę mieli tylko tę chwilę.

Znalazła również nagrania i dzienniki zostawione przez wojskowych stacjonujących niegdyś na Wyspach Marshalla, jak je nazywano, gdzie testowali potężną broń. Bomby i tym podobne. Do tego również napędzał ich strach, lecz maskowali go nauką i profesjonalizmem. Munira przeczytała wszystko – co dla innych stanowiłoby jedynie suche fakty reportażu, dla niej było nićmi utkanyimi w gobelin historii. Czuła, że stała się ekspertką w sprawie tego, jak czuli się śmiertelnicy w świecie sprzed wspaniałej ochrony Thunderheada i zbiorów mądrych kosiarzy.

Ale już nie byli tacy mądrzy.

Robotnicy przywozili plotki o masowych zbiorach – nie tylko w Midmeryce, ale również w kolejnych regionach. Zastanawiała się nawet, czy świat zewnętrzny w jakiś sposób nie zaczął przypominać świata z Epoki Śmiertelności. Jednak zamiast się bać, ci sami robotnicy wydawali się zblazowani.

– Nam się to nigdy nie przydarzyło – mówili – ani nikomu znajomemu.

Ponieważ tysiąc osób zebranych naraz to i tak kropla w morzu, więc pewnie nawet nikt tego nie zauważał. Zauważalne jednak stało się to, że ludzie trzymali się z dala od kin i klubów, a także odcinali się od niechronionych grup społecznych. „Po co kusić ostrze?” stało się ostatnio modnym powiedzeniem. Odkąd powstał nowy porządek Goddarda, a Thunderhead zamilkł, ludzie żyli skromniej. To w pewnym sensie pośmiertny feudalizm, w którym maluczcy trzymali się z dala od siebie i nie zwracali sobie głów burzliwymi poczynaniami tych wielkich, a także tym, co działało się z innymi w odległych miejscowościach.

– Jestem murarką w raju – powiedziała jej jedna z robotnic na głównej wyspie. – Mąż cieszy się słońcem, dzieciom podoba się plaża. Po co zaprzegać do pracy nanity, denerwując się tak straszymi rzeczami?

Piękna filozofia, dopóki któraś z tych strasznych rzeczy nie przyjdzie po ciebie.

W dniu, w którym Munira przyniosła Faradayowi karczochy, zjadła z nim obiad przy niewielkim stole, który zbił z desek i ustawił na plaży tuż przed falą brzegową, dzięki czemu miał widok na wznoszące się w oddali budynki. Wbrew temu, co mówił, upiekł karczochy.

– Kto kieruje tam pracami? – zapytał, zerkając na inne wyspy po przeciwnej stronie laguny. Zazwyczaj nie pytał, co dzieje się na reszcie atolu, lecz dziś się o to pokusił. Munira wzięła to za dobry znak.

– Agenci Nimbusa zajmują się wszystkim, czym jeszcze nie zajął się Thunderhead – wyznała. – Robotnicy nazywają ich thunderoidami, bo są bardzo upierdliwi – urwała, bo pomyślała, że Faradaya to rozbawi, ale nawet się nie uśmiechnął. – W każdym razie, Sykora bredzi, jakby sprawował kontrolę, choć tak naprawdę wszystkim steruje Loriana.

– Czym dokładnie? – zaciekawił się Faraday, po czym natychmiast dodał: – Nie, nie mów mi. Nie chcę wiedzieć.

Munira ciągnęła rozmowę, starając się go zaciekać.

– Nie rozpoznałby pan tego miejsca – stwierdziła. – Stało się jak... wysepka cywilizacji. Kolonia.

– Dziwię się, że Goddard nie wysłał tu jeszcze swoich emisariuszy, żeby rozpoznali, o co chodzi z całym tym zamieszaniem – rzucił Faraday.

– Świat zewnętrzny nadal nie zdaje sobie sprawy z istnienia tego miejsca – przypomniała Munira. – Najwyraźniej Thunderhead wciąż utrzymuje ten atol jako martwy punkt.

Faraday zerknął na nią z powątpiewaniem.

– Chcesz mi powiedzieć, że załogi statków, które przypływają tu z zaopatrzeniem, nie zabierają do domu opowieści o miejscu, które nie powinno istnieć?

Munira wzruszyła ramionami.

– Thunderhead zawsze prowadził projekty w odległych miejscowościach. Nikt, kto tu przybył, nie opuścił jeszcze tego atolu, a ludzie nawet nie wiedzą, dlaczego tu są, a tym bardziej, co budują.

– A co takiego buduję?

Munira nie spieszyla się z odpowiedzią.

– Nie wiem – wyznała. – Ale mam pewne podejrzenia. Podzielię się nimi z panem, gdy przestaną być aż tak głupie... I kiedy pan skończy te swoje przydługie dąsy.

– Dąsy to chwilowy stan ducha – odparł lekceważąco. – A ja mam już takie nastawienie. Nie zamierzam więcej cierpieć na tym świecie. Nie dał mi nic dobrego.

– Ale pan zrobił dla niego tak wiele – przypomniała mu.

– I nie otrzymałem za swoje wysiłki żadnej nagrody, jedynie ból.

– Nie sądziłam, że robił pan to wszystko dla nagrody.

Faraday wstał od stołu, dając do zrozumienia, że zarówno posiłek, jak i rozmowa dobiegły końca.

– Kiedy wrócisz tu w przyszłym tygodniu, przynieś pomidory. Od bardzo dawna nie jadłem dobrego pomidora.

*

Łatwa instrukcja otwarcia zamkniętego pakunku

Pole 1: Potwierdź nazwisko (wpisz odręcznie).

Pole 2: Potwierdź imię oraz drugie imię, jeśli je masz (wpisz odręcznie).

Pole 3: Przyłoż w tym miejscu opuszkę palca wskazującego prawej ręki i przytrzymaj, aż pole zmieni kolor na zielony.

Pole 4: Zapoznaj się z instrukcją użycia lancetu.

Lancet - instrukcja użycia

– Umyj ręce wodą z mydłem. Dokładnie je wysusz.

– Wybierz miejsce na opuszce oddalone nieco od środka.

– Włóz lancet do nakluwacza, zdejmij zatyczkę i przyciśnij do palca.

- Kroplę krwi nanieś na pole 3 formularza.
- Wyjmij lancet z nakłuwacza i zabezpiecz przed wyrzuceniem.

20. Błędny wir

Lorianą Barchok nigdy wcześniej nie była tak bardzo oszołomiona. Próbowała pojąć to, czego się dowiedziała, okazało się jednak, że jej umysł jest zbyt przeciążony. Musiała usiąść, ale kiedy to zrobiła, po chwili znów wstała i zaczęła chodzić, po czym wpatrywała się w ścianę, a następnie ponownie usiadła.

Tego ranka dotarła paczka. Otwarcie jej wymagało DNA z kropli krwi, a także odcisku palca. Lorianę nie zdawała sobie nawet sprawy, że istniały takie opakowania. Kto to tak zabezpieczył i co znajdowało się w środku?

Otworzyła i znalazła dokument. Na pierwszej stronie spodziewała się listy osób, które otrzymały kopie. W tak wielkim przedsięwzięciu powinny być setki nazwisk.

Jednak w tym konkretnym dokumencie umieszczono tylko jedno.

O co chodziło Thunderheadowi? Chyba naprawdę się zepsuł, skoro wysłał jej dokument przeznaczony wyłącznie do jej wglądu. Nie wiedział, że nie za dobrze potrafiła dochowywać tajemnic? Oczywiście, że wiedział! Przecież znał na wskroś każdego na Ziemi. Pytanie brzmiało: Czy wysłał jej tę paczkę, bo oczekiwał, że wszystkim o niej wypaple? A może ufał, że będzie jedyną strażniczką sekretu?

Czy tak właśnie czuł się Zgiełk w chwili, w której zdał sobie sprawę, że jest jedyną osobą na świecie, z którą nadal rozmawia Thunderhead? Czy jemu również kręciło się w głowie? Czy on także na przemian chodził, siadał i gapił się w ścianę? A może Thunderhead wybrał na swój głos na Ziemi kogoś znacznie mądrzejszego i światowego? Kogoś, kto potrafił bez trudu wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

Przybywający na atol robotnicy powiedzieli im o Zgiełku. Niektórzy wierzyli, że Thunderhead do niego mówi, inni natomiast zakładali, że to typowe szaleństwo tonistów.

– Och, jest prawdziwy – powiedział jej Sykora. – Raz się z nim spotkałem. Z Hilliard i Qianem. – Jednak wszystko, co zdradził na temat spotkania, było podejrzane, ponieważ z całej trójki przeżył tylko Sykora. – To on nas tu wysłał, dał nam te przeklęte współrzędne. Oczywiście działało się to, jeszcze zanim stał się „święty”, bo cały ten szum wokół niego rozpętał się później. Według mnie wydawał się zupełnie zwyczajny.

A ty byś to poznął, chciałaby powiedzieć, ale milczała i dała mu się zająć swoimi sprawami.

Kiedy agenci zaczęli się tu osiedlać, Sykora nie zaproponował Lorianie stanowiska swojej asystentki. Funkcję tę pełnił inny agent aplikant, który nieustannie zasypywał Sykorę pochwałami i biegał za nim niczym nadopiekuńczy lokaj. Jednak Lorianę odmówiłaby, gdyby zaproponował jej tę posadę. W końcu wszystko, co tu się działo, stanowiło jedynie iluzję zatrudnienia. Nikt nie dostawał wypłaty, nawet gwarantowanego dochodu podstawowego. Ludzie pracowali, bo nie mieli pojęcia, co ze sobą począć, a teraz, gdy do brzegu regularnie przybijały statki, zawsze mieli jakieś zajęcie. Niegdyś agenci Nimbusa dołączali do budowlańców lub organizowali spotkania towarzyskie. Ktoś otworzył nawet bar, który szybko stał się ulubionym miejscem osób pracujących w długie, upalne dni.

Nikt na atolu tak właściwie nie potrzebował pieniędzy, ponieważ statki przywoziły wszystko, czego ludzie chcieli lub potrzebowali.

Sykora oczywiście wziął na siebie odpowiedzialność za dystrybucję dóbr – jakby decydowanie o tym, kto w danym dniu dostanie kukurydzę, a kto fasolę, jasno pokazywało, do kogo należy władza.

Od samego początku wolę Thunderheada trzeba było odgadywać z jego poczynań. Zaczęło się od samolotu, który przeleciał nad ich głowami niemal zbyt wysoko, by ktokolwiek go zauważył. Potem pojawiły się pierwsze statki.

Kiedy agenci Nimbusa dostrzegli je na horyzoncie, bardzo się ucieszyli. W końcu po niemal miesiącu żywienia się organicznymi zasobami atolu Thunderhead ich wysłuchał i zostali ocaleni!

A przynajmniej tak im się wydawało.

Statki, które do nich przypłynęły, były bezzałogowe, nie mieli więc kogo prosić o wejście na pokład, a po wyładowaniu zapasów nikogo nie zaproszono do pozostania. Oczywiście każdy mógł wrócić – Thunderhead rzadko czegokolwiek komukolwiek zabraniał – ale kiedy znaleźli się na statku, ich identyfikatory rozjarzyły się jasnoniebieskim światłem, co stanowiło jeszcze większe ostrzeżenie niż czerwone B bezmanierowców. Każdy, kto nie zszedł z pokładu, został naznaczony do natychmiastowego nadpisania – a gdyby ktoś sądził, że to blef, tuż za trapem znajdowała się konsola, za pomocą której można było usunąć ich wspomnienia i nadpisać je nowymi, fałszywymi. Stali by się osobami, które nie miały pojęcia, gdzie się przed chwilą znajdująły.

Spowodowało to, że większość ludzi zwiała ze statku szybciej, niż na niego weszła. Blask z identyfikatorów zniknął, dopiero gdy wydostali się z doku. Mimo to kilku współpracowników Loriany zdecydowało się wrócić, woląc być kimś innym gdzie indziej, niż pozostać sobą na atolu Kwajalein.

Loriana miała przyjaciela z dzieciństwa, który został nadpisany. Nie wiedziała o tym, dopóki pewnego razu nie wpadła na niego w kawiarni, objęła go i dopytywała o to, gdzie po ukończeniu szkoły średniej rzucił go los.

– Przepraszam – powiedział kulturalnie – ale ja cię nie znam. Nie jestem już tym, za kogo mnie masz.

Loriana stała oszołomiona i zawstydzona. Wyglądała tak kiepsko, że uparł się, żeby kupić jej kawę, usiąść z nią i porozmawiać. Najwyraźniej stał się hodowcą psów z zestawem fałszywych wspomnień z życia spędzonego w regionie NorthernReach, gdzie rozmnażał husky i malamuty, które później startowały w wyścigach Iditarod.

– Ale nie przeszkadza ci, że nic z tego nie jest prawdą? – zagadnęła go Loriana.

– Niczyje wspomnienia nie są „prawdziwe” – wytnął. – Dziesięcioro ludzi zapamięta to samo zdarzenie na dziesięć różnych sposobów. A poza tym tak naprawdę nie ma znaczenia, kim byłem, i nie zmieni tego, kim jestem. Uwielbiam siebie, czego zapewne wcześniej nie mogłem o sobie powiedzieć, bo gdyby było to prawdą, nie zostałbym nadpisany.

To nie było błędne koło, tylko raczej błędny wir. Akceptowalne kłamstwo, które nakręcało samo siebie, dopóki prawda i fikcja nie zniknęły w osobliwości tego „kogo to, do diabła, obchodzi, skoro jestem szczęśliwy?”.

Minął rok od przybycia pierwszych statków i rozpoczęła się rutyna. Budowano domy, utwardzano ulice, jednak najdziwniejsze było stworzenie na kilku wyspach dużych, grubych na jakiś metr betonowych połaci. Nikt nie znał ich przeznaczenia. Ekipy budowlane po prostu wykonywały polecenia Thunderheada. A skoro w ich efekcie zawsze powstawała sensowna budowla, wszyscy wierzyli, że projekt zostanie ujawniony, gdy skończą się prace. Cokolwiek to miało być.

Loriana znalazła się na czele zespołu komunikacyjnego, który za pomocą prymitywnych impulsów zakłócających biały szum wysyłał boleśnie wolne, jednokierunkowe wiadomości do Thunderheada. Dziwne zadanie, skoro nie można było niczego bezpośrednio zażądać od systemu, bo Thunderhead był zobligowany odrzucać prośby bezmanierowców. Mogła jedynie składać oświadczenia.

Dotarł statek z zaopatrzeniem.

Racjonujemymięso.

Budowa mola opóźniona, bo wylano kiepski beton.

A kiedy pięć dni później przybył statek z dodatkowym mięsem i świeżą betonową mieszanką, wszyscy się domyślili, że Thunderhead spełnił żądania, choć nikt go o nic bezpośrednio nie poprosił.

Za wysyłanie wiadomości był odpowiedzialny technik komunikacji Stirling, jednak nie decydował o ich treści. To zadanie należało do Loriany. Stała się strażniczką wszelkich informacji wychodzących z wyspy. Działo się tu sporo, więc musiała wybierać, co puścić w świat. Chociaż Thunderhead rozstawił kamery na całym atolu, przez zakłócenia nie dały rady transmitować obrazu. Każde wydarzenie należało nagrać i na fizycznym nośniku wysłać z martwego punktu, a następnie wgrać do Thunderheada. Toczono rozmowy o rozcięgnięciu starodawnego kabla światłowodowego, który biegłby do krawędzi martwego punktu, ale najwyraźniej nie stanowiło to priorytetu dla systemu, ponieważ nie wysłał żadnych materiałów do realizacji takowego przedsięwzięcia. Zatem w najlepszym wypadku Thunderhead widział dzień później to, co wydarzyło się na atolu, przez co centrum komunikacyjne pełniło krytyczną funkcję, bo było jedynym źródłem informacji systemu.

W dniu, w którym otrzymała mocno zabezpieczoną paczkę, podrzuciła wiadomość do stosu, który Stirling miał wysłać za pomocą ich kodu. Pytała w niej jedynie: „Dlaczego ja?“.

– Dlaczego ty, co? – rzucił Stirling.

– Zapytaj – poleciła. – Thunderhead będzie wiedział. – Postanowiła nie mówić mu o przesyłce, bo wiedziała, że nie dałby jej spokoju, dopóki nie wyjawiłaby, co się w niej znajduje.

Westchnął i wystukał kod.

– Zdajesz sobie sprawę, że ci nie odpowie, prawda? – zagadnął. – Zapewne wyśle ci kiść winogron, czy coś w tym stylu, i sama będziesz musiała się domyślić, co to oznacza.

– Jeśli wyśle winogrona – odparła – zrobię wino, upiję się i to będzie moja odpowiedzią.

Wychodząc z bunkra, wpadła na Munirę, która pielęgnowała niewielki ogródek przed wejściem. Mimo że statki przywoziły prawie wszystko, czego potrzebowali, Munira sadziła warzywa i o nie dbała.

– Dzięki temu czuję się użyteczna – powiedziała kiedyś. – Samodzielnie wyhodowane jedzenie smakuje lepiej niż cokolwiek z tego, co produkuje Thunderhead.

– Dostałam coś od niego – wyznała Lorianka, bo być może Munira była jedyną osobą, której mogła się bezpiecznie zwierzyć. – I nie jestem pewna, co zrobić.

Munira nie uniosła głowy.

– Nie mogę rozmawiać z tobą o niczym, co ma związek z Thunderheadem – odparła. – Pracujesz z kosiarzem, pamiętasz?

– Wiem... ale... to ważne, a ja nie wiem, co z tym zrobić.

– Co Thunderhead chce, byś z tym zrobiła?

– Żebym zachowała to w tajemnicy.

– Zatem tak zrób – poradziła Munira. – I po problemie.

Ale to też było błędne koło, bo Thunderhead nigdy nie przekazywał informacji bez określonego celu. Mogła mieć jedynie nadzieję, że w tym przypadku cel stanie się oczywisty. A kiedy do tego dojdzie, niczego nie schrzani.

– Jak się ma kosiarz Faraday? – zapytała Lorianka. Nie widziała go od miesięcy.

– Bez zmian – poinformowała ją Munira.

Lorianka domyślała się, że kosiarz bez celu czuł się jeszcze gorzej niż bezrobotny agent Nimbusa.

– Czy planuje ponownie rozpoczęć dokonywanie zbiorów? W tej chwili na atolu przebywają setki robotników, więc z pewnością mamy tu na tyle dużą populację, żeby od czasu do czasu dokonać jakiegoś zbioru. Nie żebym niepokoiła się o to, ale kosiarz, który nie wykonuje swoich obowiązków, nie jest kosiarzem.

– Nie ma takiego zamiaru – zapewniła Munira.

– Martwisz się o niego?

– A powinnam?

*

Następnym przystankiem Loriany było centrum dystrybucyjne – pospiesznie zaprojektowany magazyn nieopodal doku, w którym większość czasu spędzał Sykora. Chodził i często wskazywał palcem.

Lorianka przyszła tu, bo musiała mu się przyjrzeć. Zobaczyć, czy zachowywał się jakoś inaczej. Sprawdzić, czy dostał te same informacje, niezależnie od tego, czy

znalazł się na oficjalnej liście. Ale Sykora zachowywał się jak zawsze – stawał na burokrację i wszystkim zarządzał. Niekwestionowany mistrz drobnych projektów.

Wreszcie ją dostrzegł.

– W czym mogę pomóc, agentko Barchok? – zapytał. Chociaż nie byli już agentami od przeszło roku, on wciąż zachowywał się, jakby nie zostali zwolnieni.

– Tak się zastanawiałam... – zaczęła. – Czy myślał pan, dlaczego znaleźliśmy się tu, na Kwajalein?

Uniósł wzrok nad tabletu i przez chwilę jej się przyglądał.

– Najwyraźniej Thunderhead pragnie zbudować tu społeczność, więc wybrał nas, żebyśmy zaludnili to miejsce. Jeszcze sobie tego nie uświadomiłaś?

– Tak, wiem o tym – zgodziła się. – Ale dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzył Sykora, jakby to pytanie było niedorzecze. – Dlaczego każdy gdzieś mieszka? Nie ma odpowiedzi na to pytanie.

Lorianie nie widziała sensu w drążeniu tego tematu. Zdała sobie sprawę, że Thunderhead chciał, aby Sykora tak myślał, i właśnie dlatego nie dostał przesyłki. Gdyby ją otrzymał, wszystko by zniszczył. Lepiej, żeby o niczym nie wiedział.

– Nieważne – rzuciła. – Po prostu mam kiepski dzień.

– Wszystko jest tak, jak powinno być, agentko Barchok – powiedział, siląc się na ojcowiskowy ton. – Wykonuj swoją pracę, a zarządzanie całym przedsięwzięciem zostaw mnie.

Zatem tak też zrobiła. Dzień po dniu wysyłała wiadomości, które należało wysłać, i obserwowała postęp ogromnej budowy, na której wszyscy pracowali mechanicznie jak szczęśliwe mrówczki, nieświadomi niczego poza swoimi konkretnymi zadaniami, bo ich świat tak bardzo się skurczył, że widzieli tylko następne nity do wspaniania.

Wszyscy prócz Loriany, która w przeciwnieństwie do Sykory patrzyła na budowę z szerszej perspektywy.

Ponieważ w przesyłce, której otwarcie wymagały próbki DNA, znajdowały się nie tylko dokumenty. Znalazła w niej również projekty i schematy. Plany tego, co Thunderhead zamierzał tu zbudować.

I podobnie jak sama paczka, tak ich otwarcie wymagało odręcznej parafy, odcisku palca i kropli krwi. Loriane czuła się, jakby zarządzała całym przedsięwzięciem. Przez cały dzień i noc biła się z myślami, lecz następnego ranka spełniła wymogi.

Teraz dokładnie wiedziała, co budował tu Thunderhead. Wątpiła, by ktokolwiek inny coś podejrzewał. Ale w końcu się zorientują. Za rok czy dwa trudno będzie to

ukryć.

Lorianka zaczęła się zastanawiać, czy nadal powinna być radosna, czy już przerażona.

*

Koledzy kosiarze z Meryki Zachodniej,

jako Wasza Arcyostrze, pragnę stłumić Wasze obawy i wątpliwości w kwestii naszych relacji z Midmeryką. Prawda jest taka, że świat nie jest już tym samym miejscem, w którym straciliśmy Wyspę Niezłomnego Serca. Mruczący pod nosami toniści bezczelnie podważają nasz autorytet, a nieustanne milczenie Thunderheada sprawiło, że miliardy ludzi straciły życiowy cel. Świat potrzebuje naszej siły i naszych przekonań.

Podpisanie sojuszu z midmerykańskim Kosodomem to właśnie krok w tym kierunku. Arcyostrze Goddard i ja całkowicie się zgadzamy, że wszyscy kosiarze powinni mieć swobodę dokonywania zbiorów, niekrępowaną przestarzałymi zwyczajami, które nas ograniczają.

Goddard i ja ruszymy naprzód jako równi sobie wraz z Arcyostrzami regionów NorthernReach, Meryki Wschodniej i Mexiteki, którzy wkrótce podpiszą sojusz.

Zapewniam, że nie zamierzam zrzec się naszej suwerenności, jedynie podkreślić nasze równoległe cele: dobrostan i nieustający rozwój w naszych Kosodomach.

- Fragment przemówienia z Wiosennego Konklawe Jej Ekscelencji
Arcyostrza Meryki Zachodniej Mary Pickford
28 maja Roku Kuoki

21. Zagrożeni

Ponad dwa lata po tym, jak Loriana Barchok oddała próbkę DNA, aby poznać szczegóły tajnego przedsięwzięcia Thunderheada, i rok po tym, jak Meryka Zachodnia oficjalnie sprzymierzyła się z Midmeryką, kosiarz Sydney Possuelo siedział podczas śniadania naprzeciwko kosiarz Anastazji, starając się przybliżyć jej obecny stan świata.

Im więcej się dowiadywała, tym bardziej malał jej apetyt. Anastazja nie była gotowa stawić czoła rzeczywistości, w której Goddard przedstawiał dominującą siłę na całym kontynencie.

– My w Amazonii staramy się mu opierać – mówił Possuelo – natomiast niektóre regiony Meryki Południowej chcą się do niego przyłączyć. Słyszałem również, że prowadzi poważne rozmowy w Panazji.

Sędzia otarł usta z żółtka jajka, a Citra zastanawiała się, jakim cudem nadal dopisywał mu apetyt. Ona mogła co najwyżej grzebać widelcem w talerzu, aby nie wyjść na nieuprzejmą. Przypuszczała, że zawsze tak jest – kiedy niewiarygodne staje się normą, człowiek czuje jedynie odrętwienie. Nigdy jednak nie pragnęła znaleźć się w takim stanie.

– Czego on jeszcze chce? – zapytała. – Zniosł limity zbiorów, co powinno zaspokoić jego żądzę zabijania, a w tej chwili kontroluje aż pięć regionów Meryki Północnej zamiast wyłącznie zajmować się własnym, co powinno wystarczyć każdemu.

Possuelo posłał dziewczynie protekcyjny uśmiech, czym ją wkurzył.

– Twoja naiwność jest rozbrajająca, Anastazjo, jednak chodzi o to, że władza to dość silny środek uzależniający. Pochłonąłby cały świat i nadal byłoby mu mało.

– Musi istnieć sposób, żeby go powstrzymać!

Possuelo ponownie się uśmiechnął. Tym razem jednak nie było w tym protekcyjności. Wyraz twarzy stał się konspiracyjny. O wiele bardziej jej się podobał.

– Właśnie w tym miejscu wkraczasz ty. Zmartwychwstanie kosiarz Anastazji przyciągnie uwagę – wyznał. – Może nawet tchnie życie w rozbitą i zdemoralizowaną starą gwardię. Wtedy może zdołamy z nim walczyć.

Citra westchnęła i niespokojnie poruszyła ramionami.

- Czy zwykli ludzie akceptują zmiany, które zaprowadził Goddard?
- Dla większości społeczeństwa sprawy kosiarzy stanowią zagadkę. Ludzie pragną jedynie trzymać się na uboczu, żeby nie zostać zebranymi.
- Ale na pewno chcą widzieć, co się dzieje, co on wyprawia...
- Widzą, i wśród mas Goddard budzi strach, lecz jest też szanowany.
- A co z masowymi zbiorami? Jestem pewna, że ciągle je urządza. Czy to ludziom nie przeszkadza?

Possuelo się zamyslił.

- Starannie wybiera cele: tylko niezarejestrowane, niechronione grupy, których zbieranie nie budzi sprzeciwu w społeczeństwie.

Citra spojrzała na swój niedokończony posiłek. Walczyła z pragnieniem, by rzucić talerzem o ścianę tylko po to, żeby usłyszeć, jak się rozbija. Historia znała przypadki zbiorów danych grup. W przeszłości jednak Arcyostrze szybko wymierzał za nie karę. Ale kto ma powstrzymać dopuszczającą się tego osobę, jeśli to ona sprawuje najwyższą władzę? Rowan był jedynym, który ośmielił się zadawać śmierć sędziom, wątpliwe jednak, by Possuelo pozwolił mu kontynuować dzieło.

Goddard będzie się zwracał przeciwko podatnym na ataki. Dopóki wystarczająco liczna grupa akceptuje jego poczynania, wszystko ujdzie mu na sucho.

– Te wieści nie są tak złe, jak się wydają – stwierdził kosiarz Possuelo. – Jeśli cię to pocieszy, tu, w Amazonii, nadal przestrzegamy przykazań kosiarzy, podobnie jak w wielu innych regionach. Szacujemy, że połowa świata, a może nawet i więcej, sprzeciwia się pomysłom i metodom Goddarda. Nawet w kontrolowanych przez niego regionach są tacy, którzy zaczeliby protestować, gdyby tylko mogli. Co nieprawdopodobne, istotnym źródłem oporu stali się tonisi, po tym gdy dokonano zbioru ich proroka.

- Proroka?
- Niektórzy wierzą, że Thunderhead wciąż do niego przemawiał, lecz jakie to ma teraz znaczenie?

Zatem Goddardowi szło jak z płatka. Tego właśnie obawiała się Marie, jak i wszyscy. To też kosiarz Asimov nazwał „najgorszym z możliwych światów”. Marie jednak nie żyła, a nadzieja stała się na wagę złota.

Kiedy pomyślała o kosiarz Curie, poczuła, że wybuchają w jej wnętrzu emocje, które do tej pory tłumila. Ocalenie Citry i Rowana było ostatnim czynem, jakiego dokonała w życiu mentorka. Prawdziwie bezinteresowny akt jednej

z najszlachetniejszych, która żyła w czasach po Epoce Śmiertelności. A teraz już jej nie było. Tak, minęły lata, ale dla Citry smutek wciąż pozostawał świeży. Odwróciła się od sędziego, żeby otrzeć łzy, ale gdy tylko to zrobiła, wybuchnęła płaczem i nie była w stanie nad sobą zapanować.

Possuelo obszedł stół, żeby ją pocieszyć. Nie chciała tego – nie życzyła sobie, by oglądał ją w takim stanie – ale wiedziała też, że nie musi cierpieć w samotności.

– Wszystko dobrze, *meu anjo* – powiedział Possuelo kojącym, rodzicielskim głosem.
– Jak mówiąś, nadzieja została źle ulokowana, i wierzę, że to ty ją przywróciisz.

– *Meu anjo?* – zapytała. – Nie jestem pańskim aniołem.

– Ależ jesteś – skwitował Possuelo. – Ponieważ anioł jest dokładnie tym, czego potrzebuje świat, jeśli chcemy obalić Goddarda.

Citra uwolniła żal, a kiedy poczuła się wyczerpana, ponownie skryła smutek i otarła łzy. Potrzebowała tej chwili. Musiała pożegnać Marie. Teraz, gdy to zrobiła, poczuła się trochę inaczej. Po raz pierwszy od ożywienia poczuła się mniej jak Citra Terranova, a bardziej jak kosiarz Anastazja.

*

Dwa dni później przeniesiono ją z centrum ożywiania do bezpieczniejszego miejsca, którym okazała się stara twierdza znajdująca się na najbardziej wysuniętym na wschód skrawku Amazonii. Miejsce to było odizolowane od cywilizacji, dzięki czemu piękne w swoim spokoju. Czuła się jak w zamku stojącym na powierzchni Księżyca, z tą różnicą, że tutaj była woda.

Nowoczesny wystrój w połączeniu z kamiennymi murami sprawiał, że budowla stała się zarówno wygodna, jak i onieśmielająca. W swoim apartamencie miała łóżko godne królowej. Possuelowi wymknęło się, że Rowan też tu przebywał, chociaż prawdopodobnie nie traktowano go tak samo dobrze.

– Jak on się miewa? – zapytała na pozór nonszalancko, by nie ujawnić niepokoju. Possuelo odwiedzał Anastazję codziennie, spędzał z nią tak dużo czasu, jak to możliwe, nadal informował ją o stanie świata oraz o wielu rzeczach, które uległy zmianie od czasu zatonięcia Niezłomnego.

– Rowan został otoczony odpowiednią opieką – wyznał Possuelo. – Osobiście tego dopilnowałem.

– Ale nie ma go tu z nami, co oznacza, że nadal postrzega go pan jako przestępce.

– Świat go tak postrzega – odparł. – A to, jak ja go postrzegam, nie ma żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma.

Possuelo nie spieszył się z odpowiedzią.

– Twoja ocena Rowana Damischa jest wyraźnie zaburzona przez miłość, *meu anjo*, a zatem nie do końca wiarygodna.

Pozwolono jej swobodnie poruszać się po twierdzy, przynajmniej póki pozostawała pod bacznym okiem eskorty. Zwiedzała ją więc pod pretekstem ciekawości, ale tak naprawdę szukała Rowana. Jeden z towarzyszących jej kosiarzy, młody sędzia zwany Peixoto, okazał się nią tak zafascynowany, że zaczęła się obawiać, że może się zapalić, jeśli tylko dotknie jej togi. Kiedy przemierzała wilgotne pomieszczenie, które niegdyś zapewne było salą biesiadną, musiała coś powiedzieć, bo chłopak stanął przy kamiennych stopniach i wgapiął się w każdy jej ruch.

– Możesz już na powrót umieścić oczy w czaszce – poinformowała go.

– Przepraszam, sędzio, ale nadal nie mogę uwierzyć, że patrzę na prawdziwą kosiarz Anastazję – wyjaśnił Peixoto.

– Cóż, patrzenie na mnie nie oznacza wytrzeszczania oczu.

– Przepraszam, sędzio, to się więcej nie powtórzy.

– To nadal się dzieje.

– Przepraszam.

Teraz Peixoto spuścił wzrok, jakby spoglądanie na nią równało się patrzeniu na słońce. To było niemal tak złe, jak jawne gapienie się na nią. Dlaczego musiała się mierzyć z tak niedorzecznym traktowaniem? Było źle, już kiedy została kosiarzem. Teraz stała się żywą legendą, co najwyraźniej wiązało się z zupełnie nowym poziomem przyprawiającej o mdłości czci.

– Jeśli mógłbym zapytać... – zaczął Peixoto, gdy schodzili wąską, spiralną klatką schodową, która jak wiele innych prowadziła donikąd. – Jak było?

– Musisz być bardziej konkretny.

– Jak było przy tonięciu Niezłomnego? – zapytał. – Jak było to obserwować?

– Przykro mi, ale byłam zbyt zajęta próbą przeżycia, żeby robić zdjęcia – odparła, mocno ziryutowana tym pytanie.

– Wybacz – rzucił. – Byłem praktykantem, gdy do tego doszło. Od tego czasu fascynuję się Niezłomnym. Rozmawiałem z kilkoma ocalałymi, którym w ostatniej

chwili udało się wsiąść do łodzi czy do samolotu. Mówili, że widok był spektakularny.

– Wyspa Niezłomnego Serca była imponującym miejscem – musiała przyznać.

– Nie, chodziło mi o tonięcie. Słyszałem, że tonięcie było spektakularne.

Anastazja nie wiedziała nawet, jak na to zareagować, więc milczała. A kiedy usiadła obok Possuelo, zapytała, czy Peixoto mógłby dostać inny przydział.

*

Po tygodniu w starej twierdzy sprawy nagle przybrały nieoczekiwany obrót. W środku nocy Possuelo pojawił się w komnacie Anastazji wraz z kilkoma członkami Straży Ostrza, budząc ją z głębokiego snu.

– Ubierz się prędko, natychmiast musimy opuścić to miejsce – obwieścił.

– Pospiesz się rano – odparła wkurzona, że obudzono ją gwałtownie, i nie zdążyła jeszcze zrozumieć powagi sytuacji.

– Grozi nam niebezpieczeństwo! – rzucił Possuelo. – Z Meryki Północnej przybyła delegacja kosiarzy i zapewniam, że nie po to, aby powitać cię z powrotem na świecie.

To wystarczyło, żeby wyciągnąć ją z łóżka.

– Kto by im powiedział... – Ale zanim dokończyła pytanie, znała już odpowiedź. – Kosiarz Peixoto!

– Wykazałaś się znacznie większą intuicją, jeśli chodzi o tego *desgraçado*. Powinieneś się domyślić, co zamierza.

– Jest pan ufnym człowiekiem.

– Jestem głupcem.

Włożyła togę i zobaczyła, że w pomieszczeniu znajdował się jeszcze ktoś, kogo nie zauważała po przebudzeniu. Początkowo założyła, że ta osoba to mężczyzna, ale kiedy wyszła do światła, Anastazja uświadomiła sobie, że to kobieta. Albo i nie. Przy każdej zmianie światła odnosiła inne wrażenie.

– Anastazjo, to Jerico Soberanis, dowodzi statkiem ekspedycyjnym, który cię odnalazł. Jerico zapewni ci bezpieczeństwo.

– A co z Rowanem? – zapytała Citra.

– Zrobię dla niego wszystko, co w mojej mocy, ale musisz już iść!

*

Rowana obudził zgrzyt przekręcanego klucza w zamku. Na zewnątrz była jeszcze noc. To nie należało do rutyny. Poświata księżyca wpadała przez szczelinę w kamieniu, rzucając wąski blask na przeciwną stronę ściany. Kiedy Rowan kładł się spać, księżyc jeszcze nie wzeszedł, a po kącie, pod jakim padała poświata, wnioskował, że jest tuż przed świtem. Udawał, że śpi, gdy do pokoju weszło kilka osób. Korytarz był ciemny, postacie poruszały się jedynie w wąskim świetle latarek. Rowan miał tą przewagę, że jego oczy przywykły już do mroku. Intruzów jednak było więcej. Leżał więc nieruchomo, mrugając oczym, aby obserwować ich przez rzęsy.

Nie byli stąd, choć też nie tak do końca obcy. Pierwszą wskazówkę stanowiła ciemność oraz to, że szukali na ściance włacznika światła. Nie wiedzieli, że światłem w tym pomieszczeniu, jak i prawdopodobnie na korytarzu, sterowano zdalnie z jakiegoś innego miejsca w twierdzy. Rowan dostrzegł też błysk ceremonialnego sztyletu, który przy pasach nosili członkowie Straży Ostrza. Najbardziej jednak wymowne były togi ozdobione klejnotami, które w blasku księżyca połyskiwały niczym gwiazdy.

– Obudź go – powiedziała któraś z kosiarzy. Rowan nie rozpoznał głosu, ale to nieważne. Kamienie na jej todze oznaczały, że zaliczała się do nowego porządku. Zwolenniczka Goddarda, co czyniło zarówno ją, jak i jej towarzyszy wrogami.

Strażnik pochylił się, by dać mu w twarz, wtedy Rowan wyciągnął rękę i wyjął mu sztylet zza paska. Nie użył go na strażniku, ponieważ nikt za bardzo się nie przejął, gdyby mężczyzna został uśmiercony. Zamiast tego Rowan zwrócił ostrze ku najbliższemu stojącemu kosiarzowi. Nie kobiecie, która się wcześniej odezwała, ale temu, który okazał się na tyle głupi, by zbliżyć się na odległość ręki. Rowan jednym płynnym ruchem poderżnął mu gardło, po czym rzucił się do drzwi.

Udało się. Kosiarz wył i machał rękami, a krew tryskająca widowiskowo z jego rany rozpraszała uwagę wszystkich obecnych. Nie wiedzieli, czy biec za więzniem, czy pomóc umierającemu kosiarzowi.

Rowan wiedział, że to walka na śmierć i życie. Wszyscy postrzegali go jako potwora, który zatopił Niezłomne. Nie powiedziano mu zbyt wiele o tym, jak pozmieniały się sprawy na świecie, kiedy znajdowali się z Citrą na dnie oceanu, ale to akurat wiedział. Jego rzekoma nikczemność została wyryta w zbiorowej świadomości i nie było nadziei, by to zmienić. Według wiedzy Rowana nawet Thunderhead w to wierzył. Mógł ratować się jedynie ucieczką.

Biegł korytarzem, w którym zapaliły się światła, co mogło pomóc napastnikom tak samo jak jemu. Nigdy nie wypuszczano go z celi, nie znał więc układu historycznej twierdzy, zaprojektowanej tak, by nikt z niej nie uciekł. Korytarze przypominały labirynt mający zdezorientować każdego, kto został tam uwięziony.

Próba pochwycenia Rowana okazała się niezorganizowana i chaotyczna. Jednak jeśli udało im się włączyć światło, prawdopodobnie mieli też dostęp do kamer monitoringu i przynajmniej podstawową wiedzę na temat układu twierdzy.

Z łatwością pokonał pierwszych strażników i kosiarzy, których napotkał. Sędziowie, chociaż dobrze wyszkoleni w walce, rzadko musieli mierzyć się z agresorami potrafiącymi tak wprawnie zabijać jak Rowan. Jeśli chodziło o Straż Ostrza, jej członkowie, podobnie jak sztylety, które nosili, pełnili funkcję dekoracyjną. Stare mury, które przez niezliczone stulecia nie smakowały krwi, dziś miały uczęst.

Gdyby to był zwykły budynek, Rowan czmychnąłby sprawniej, jednak w twierdzy nieustannie trafiał do ślepych zaułków albo zamurowanych korytarzy.

Co z Citrą?

Czy ją dopadli? Czy kosiarze mieli potraktować ją lepiej niż jego? Może zdołała uciec tym labiryntem? Może gdyby ją znalazła, mogliby uciec razem? Ta myśl napędzała go, gdy poruszał się po kamiennych krętych korytarzach.

Po czwartym ślepym zaułku zatrzymał się, lecz drogę zablokowało mu kilkunastu kosiarzy i strażników. Próbował się przez nich przebić, ale chociaż bardzo chciał wierzyć, że kosiarz Lucyfer był niezwyciężony, Rowana Damischa dało się pokonać. Wyrwano mu sztylet, po czym powalonego na podłogę, a ręce skrępowano jakimiś metalowymi obręczami ograniczającymi swobodę ruchu, zbyt nachalnymi, by mogły być czymkolwiek innym jak reliktem z Epoki Śmiertelności.

Kiedy już go pochwycono, zbliżyła się kosiarz.

– Obróćcie go twarzą do mnie – rozkazała. To ona jako pierwsza odezwała się w celi Rowana. Najwyraźniej dowodziła całą tą operacją. Ledwo ją rozpoznał. Nie należała do midmerykańskiego Kosodomu, ale Rowan widział już gdzieś jej oblicze. – Wszyscy, których tak okrutnie uśmierciłeś, zostaną ożywieni. – Biły od niej wściekłość i uraza, aż ślina tryskała z jej ust. – Zostaną ożywieni i będą świadczyć przeciwko tobie.

– Wykończyłem ich definitelywnie, gdybym tego chciał – odparł.

– Niemniej za dzisiejsze zbrodnie czeka cię wielokrotna śmierć.

– Mówisz o dodatku do kary, na którą zasłużyłem? Przykro mi, że wszystkie zaczynają mi się już zlewać.

Jeszcze bardziej ją rozwścieczył, a taki właśnie miał zamiar.

– Nie tylko śmierć – powiedziała – ale też ból. Ekstremalny, który Supraostrze Meryki Północnej zatwierdził w pewnych przypadkach, a za swoje postępowanie zasługujesz na wiele cierpienia.

To nie wzmianka o bólu go zaniepokoiła, lecz słowa o północnomerykańskim Supraostrzu.

– Uśmiercie go, żeby nie sprawił nam więcej kłopotu – rozkazała jednemu ze strażników. – Później go ożywimy.

– Tak, Wasza Ekscelencjo.

– Ekscelencjo? – powtórzył Rowan. Tylko do Arcyostrza tak się zwracano. W końcu dotarło do niego, z kim ma do czynienia. – Arcyostrze Pickford z Meryki Zachodniej?

– wypowiedział z niedowierzaniem. – Goddard kontroluje teraz również pani region?

Odpowiedziały mu jej szkarłatne policzki.

– Chciałabym w ogóle cię nie ożywiać – warknęła – ale decyzja nie należy do mnie.

– Następnie zwróciła się do trzymających go strażników: – I niech to będzie bezkrwawe, dość bałaganu na dziś.

Jeden ze strażników zmiażdżył mu tchawicę, czym doprowadził Rowana do niezbyt miłej śmierci.

*

Kosiarz Possuelo wyciągnął sztylet z pochwy, gdy tylko dostrzegł kosiarzy, którzy nie nosili tradycyjnej zieleni amazońskiego Kosodomu. Nieważne, że ataki w szeregach kosiarzy zostały zabronione. Sytuacja była warta każdej kary, jaką mógł za to dostać. Jednak kiedy pomiędzy kosiarzami pojawiła się Arcyostrze Meryki Zachodniej, przemyślał swoje zachowanie. Pospiesznie włożył ostrze na swoje miejsce, jednak nie powstrzymał się od ciętej uwagi.

– Z czyjego nakazu narusza pani jurysdykcję amazońskiego Kosodomu? – zapytał.

– Nie potrzebujemy niczyjego pozwolenia, aby schwytać przestępca ściganego na całym świecie – odparła Arcyostrze Pickford głosem równie ostrym jak nóż. – Z czyjego polecenia go chroniłeś?

– Zatrzymaliśmy go, nie chroniliśmy.

- To ty tak twierdzisz. Ale nie jest już twoim zmartwieniem – oznajmiła. – Kontrolowany przez nas ambudron przeniósł go już do naszego samolotu.
- Spotkają was konsekwencje takiego zachowania! – zagroził Possuelo. – Zapewniam!
- Mam to gdzieś – rzuciła Pickford. – Gdzie jest kosiarz Anastazja?
- Nie jest przestępczynią.
- Gdzie ona jest?
- Nie tutaj – zapewnił Possuelo.

Z cienia wychynał ten zdradziecki drań Peixoto, który najwyraźniej sprzedał ich za przychylność Goddarda.

– Kłamie – oskarżył. – Trzymają ją w pomieszczeniu na końcu korytarza.

– Szukajcie, ile tylko chcecie – powiedział Possuelo – ale i tak jej nie znajdziecie.

Dawno stąd zniknęła.

Pickford wskazała kosiarzom i strażnikom, by zaczęli szukać. Ominęli Possuela i zajrzeli do wszystkich mijanych pomieszczeń. Gospodarz pozwolił na to, bo wiedział, że nikogo nie znajdą.

– Powiadomiłem już o wszystkim moją Arcyostrze – wycedził. – I właśnie wydano nowy edykt. Każdy kosiarz z kontynentu północnomerykańskiego złapany na terytorium Amazonii zostanie uwięziony i zmuszony do zebrania samego siebie.

– Nie odważysz się!

– Sugeruję, żebyście stąd znikali, nim przybędą posiłki. Bądź tak miła i daj znać swojemu tak zwanemu Supraostrzu, że ani on, ani żaden inny marionetkowy kosiarz pracujący w jego imieniu nie jest mile widziany w Amazonii.

Pickford spojrzała na niego z oburzeniem, ale nie ustąpił. W końcu kobieta wyzbyła się zimnej fasady. Possuelo dostrzegł przebłysk tego, co się pod nią kryło. Arcyostrze była zmęczona. Pokonana.

– Dobrze – odparła. – Ale możesz mi wierzyć, że Goddard ją znajdzie, jeśli tego zechce.

Towarzysze powrócili po bezowocnych poszukiwaniach, więc kazała im odejść, lecz Possuelo nie był gotowy jej odpuścić.

– Co się z tobą stało, Mary? – zagadnął ze szczerym rozczarowaniem, czego nie potrafiła zignorować. – Czy jeszcze w zeszłym roku nie powtarzałaś, że nigdy nie oddasz się Goddardowi? A teraz spójrz na siebie, przybyłaś na drugą półkulę, wykonując jego rozkazy. Kiedyś byłaś honorowa, Mary. Dobry kosiarz...

– Wciąż jestem dobrym kosiarzem – przerwała mu. – Tyle że czasy się zmieniły i jeśli nie zmienimy się wraz z nimi, zostaniemy zdeptani przez to, co nadchodzi. Możesz przekazać to swojej Arcyostrzu. – Spuściła wzrok, wycofując się w siebie. – Zbyt wielu moich przyjaciół w Meryce Zachodniej wolało zebrać samych siebie, niż podporządkować się nowemu porządkowi Goddarda. Postrzegali to jako przejaw buntu. Ja widzę w tym słabość. Poprzysięgłam sobie, że nigdy nie będę tak słaba.

Odwróciła się i wyszła, a tren jej długiej togi zbyt obciążał opale, by płynął za nią z wdziękiem, jak dawniej, chociaż teraz po prostu ciągnął się po ziemi.

Dopiero po odejściu Pikford Possuelo odważył się odpreżyć. Dostał wiadomość, że Anastazja i Jerico dotarły do portu, po czym *Spence* wypłynął na Atlantyk w noc tak ciemną, jak ta, kiedy wydobyto z głębin skarbiec. Kapitan była zaradna i godna zaufania. Possuelo wierzył, że Jerico z powodzeniem przetransportuje Anastazję przez ocean do przyjaciół, którzy znacznie lepiej zapewnią jej bezpieczeństwo.

A jeśli chodziło o chłopaka, nie wątpił, że Pickford zabierze go do Goddarda. Possuelo miał ambiwalentne uczucia. Nie dowierzał Anastazji, kiedy zarzekała się, że Rowan jest niewinny. Nawet jeśli nie zatopił Wyspy Niezłomnego Serca, zabił kilkunastu kosiarzy i nie miało znaczenia, czy zasługiwali oni na taki koniec. W tym świecie nie było miejsca na samosądy. Zgodziliby się z tym wszyscy kosiarze, co oznaczało, że niezależnie od przyjętej filozofii, na świecie nie istniało Arcyostrze, które pozwoliłoby mu żyć.

Possuelo uznał, że ożywienie Rowana to błąd. Powinien umieścić go z powrotem w skarbcu i wrzucić w głębiny, ponieważ od tej chwili Supraostrze będzie bawił się Rowanem Damischem bez żadnej litości.

*

Świadectwo Zgiełku

Zgiełk znalazł schronienie i pożywienie w starożytnym klasztorze na północnym krańcu miasta. Łamał się chlebem i dzielił dobrymi radami z wyznawcą, magikiem i krytykantem, ponieważ wszyscy mieli ten sam tembr. W ten oto sposób wszystkie dusze przychodziły go czcić, gdy wiosnę swego życia przekazywał mądrość i proroctwo w kolebce Wielkiego Kamertonu. Nigdy nie zaznał zimy, słońce promieniałło na niego jaśniej niż na kogokolwiek innego. Radujcie się!

Komentarz wikariusza Symphoniusa

Oto wstępne doniesienia na temat tego, co nazywamy pierwszym akordem. Wyznawca, Magik i Krytykant to trzy archetypy człowieka. Jedynie Zgiełk mógł połączyć tak odmienne głosy w harmonijny, zadowalający Ton dźwięk. Jest to również pierwsza wzmianka o Wielkim Kamertonie, który został symbolem dwóch dróg, jakie można obrać w życiu: ścieżki harmonii lub ścieżki dysonansu. Po dziś dzień Zgiełk stoi w miejscu rozwidlenia dróg, nawołując nas ku wiecznej harmonii.

Analiza Symphoniusa przez Codę

Symphonius po raz kolejny poczynił daleko idące założenia, które naganają rzeczywistość. Chociaż możliwe jest, by pierwsze nuty akordu reprezentowały archetypy, więc może też mowa tutaj o trzech osobach, które istniały naprawdę. Być może Magik to nadworny artysta, a Krytykant to rycerz, który walczył z ziejącymi ogniem bestiami, które podobno istniały w tamtych czasach. Jednak moim zdaniem najbardziej rażące jest to, że Symphonius pominał oczywiste odniesienie do płodności zawarte w stwierdzeniu, że Zgiełk siedzi „wiosną swego życia w kolebce Wielkiego Kamertonu”.

22. Tylko deser

Podobnie jak w przypadku większości rzeczy w życiu, które Greyson wiódł jako Zgiełk, tak rezydencję wybrał mu również wikariusz Mendoza – a ścisłej rzecz biorąc, dał mu listę posiadłości zatwierdzonych na spotkaniu wikariuszy wysokiego szczebla.

– Wraz ze wzrostem twojej sławy potrzebna nam bardziej ufortyfikowana i możliwa do obrony lokalizacja. – Podsunął mu coś, co wyglądało jak test wielokrotnego wyboru. – Ponieważ liczba wyznawców stale rośnie, otrzymaliśmy wystarczająco dużo funduszy, aby móc zapewnić ci jedno z tych czterech miejsc – powiedział Mendoza.

Greyson miał do wyboru: masywną kamienną katedrę, spory kamienny dworzec kolejowy, wielką kamienną salę koncertową lub odosobnione kamienne opactwo, które w innych okolicznościach mogłyby się wydawać gigantyczne, ale przy pozostałych budowlach wyglądało na małeńkie.

Mendoza dorzucił ostatnią pozycję, aby zadowolić wikariuszy, dla których mniej znaczyło więcej. A Zgiełk teatralnym gestem, pragnąc zakpić z całego procesu, podniósł rękę i wskazał jedyną błędную odpowiedź na teście: opactwo. Po trosze dlatego, iż zdawał sobie sprawę, że Mendoza najmniej je chciał, a po trosze dlatego, iż jemu akurat się podobało.

W zaprojektowanym na wzór starożytnego klasztoru budynku leżącym w parku na wąskim terenie na północnym krańcu miasta najpierw mieściło się muzeum. Architekci nie wiedzieli, że odniosą taki sukces. Opactwo nazywano „zespołem klasztornym”. Greyson nie wiedział, skąd zespół, skoro opactwo było jedno.

Starodawne gobeliny, które nigdy wisiały na ścianach, zostały wysłane do muzeum sztuki Epoki Śmiertelności; zastąpiono je nowymi, przedstawiającymi sceny religijne tonistów. Spoglądając na nie, można było odnieść wrażenie, że tonizm istniał od tysięcy lat.

Greyson mieszkał w opactwie już od ponad roku, mimo to powrót do domu nigdy takowego nie przypominał. Może dlatego, że nadal był Zgiełkiem odzianym w haftowane szaty, od których swędziało go całe ciało. Dopiero gdy zostawał sam w swoim prywatnym apartamencie, mógł je z siebie zdjąć i znów być Greysonem

Tolliverem. Przynajmniej dla siebie. Dla wszystkich innych zawsze będzie Zgiełkiem, bez względu na to, co miał na sobie.

Personelowi wielokrotnie powtarzano, by nie traktować go z pietyzmem, jedynie z umiarkowanym szacunkiem, lecz nic to nie dało. Wszyscy byli lojalnymi, starannie wybranymi do tej pracy tonistami, a kiedy służyli Zgiełkowi, traktowali go jak boga. Kłaniali mu się nisko, gdy przechodził, a kiedy kazał im tego zaniechać, rozkoszowali się karami. Sytuacja bez wyjścia. Przynajmniej byli nieco lepsi od zelotów, którzy stali się tak fanatyczni, że pojawiła się na ich określenie nowa nazwa: sybilanci. Wzięła się od definicji męczącego, zniekształconego dźwięku, który był zdecydowanie nieprzyjemny dla wszystkich go słyszących.

Jedyne wytchnienie od tej niepotrzebnej czci stanowiła siostra Astrid, która pomimo zagorzałej wiary w to, że Greyson jest prorokiem, nie traktowała go jako takiego. Uważała jednak za swą misję zaangażowanie go w duchową rozmowę i otwarcie serca na prawdę tonizmu. Potrafił znieść tylko pewną ilość gadania o uniwersalnych harmoniach i świętych arpegiach. Pragnął mieć kilku nietonistów w swoim wewnętrznym kręgu, jednak Mendoza na to nie przystał.

– Musisz uważać na to, z kim przystajesz – upierał się. – Ponieważ kosiarze coraz częściej obierają za cel tonistów, nie wiemy, komu możemy ufać.

– Thunderhead wie, komu mogę wierzyć – pouczył pojrytowany Greyson.

Mendoza nigdy nie przestawał się ruszać. Jako wikariusz w klasztorze był cichy, zamyślony, ale ostatnio się zmienił. Ponownie stał się guru marketingu, jakim był, zanim stał się tonistą.

– Ton umieścił mnie tam, gdzie i kiedy byłem potrzebny – powiedział niegdyś, po czym dodał: – Radujcie się! – Chociaż Greyson nigdy nie mógł stwierdzić, czy mówił to szczerze. Nawet kiedy Mendoza prowadził nabożeństwa, to swoje „radujcie się” zawsze wypowiadał jakby z przymrużeniem oka.

Mendoza pozostawał w kontakcie z wikariuszami na całym świecie, potajemnie korzystając z serwerów kosiarzy.

– To najbardziej chaotyczne, najmniej monitorowane systemy na świecie.

Było coś zarówno satysfakcjonującego, jak i niepokojącego w tym, że używali serwerów Kosodomu do własnych celów. Przekazywali w ten sposób tajne wiadomości wikariuszom i tonistom na całym świecie.

Prywatny apartament Greysona był prawdziwym sanktuarium. Jedynym miejscem, w którym Thunderhead mógł mówić na głos, a nie tylko przez słuchawkę. Była w tym wolność bardziej namacalna niż w zdejmowaniu szorstkich szat Zgiełku. Słuchawka, którą nosił w miejscach publicznych, sprawiała, że czuł głos Thunderheada wewnątrz swojej głowy. Jednak system przemawiał do niego przez głośniki, jedynie kiedy nikt inny nie mógł go usłyszeć, a kiedy tak się działało, Greyson czuł się nim otoczony. To on był w nim, a nie na odwrót.

– Mów do mnie – powiedział do Thunderheada, wyciągając się na wygodnym, masywnym łóżku, które specjalnie dla niego skonstruował wyznawca ręcznie produkujący materace.

Dlaczego ludzie uważali, że skoro Zgiełk był kimś wielkim, wszystko w jego życiu też musiało takie być? Na tym łóżku zmieściłaby się mała armia. Prawdę mówiąc, co niby miał w nim robić? Nawet w rzadkich okazjach, gdy cieszył się towarzystwem gości, jak taktownie ujmowali to wikariusze, wydawało mu się, że należało stworzyć na materacu ścieżkę z okruchów chleba, aby nawzajem się odnaleźć.

Jednak przeważnie kładł się sam, co pozostawiało mu dwie opcje. Albo mógł czuć się mały i samotny, pochłaniany przez falującą przestrzeń, albo mógł przynajmniej próbować przypomnieć sobie, jak to jest być dzieckiem leżącym pośrodku łóżka rodziców, gdzie było mu wygodnie i bezpiecznie i czuł się kochany. Z pewnością mama i tata pozwolili mu na to przynajmniej raz, zanim znudziło się im rodzicielstwo.

– Chętnie z tobą porozmawiam, Greysonie – odpowiedział Thunderhead. – Co powinniśmy omówić?

– Cokolwiek – rzucił. – Pogadajmy o czymś ważnym, nieistotnym lub czymś pomiędzy.

– Czy powinniśmy podyskutować o twoich wyznawcach i o tym, że rośnie ich liczba?

Greyson obrócił się na bok.

– Naprawdę potrafisz zepsuć nastrój, wiesz o tym? Nie, nie chcę mówić o niczym, co dotyczy Zgiełku. – Przeczołgał się na krawędź łóżka, wziął talerzyk z sernikiem, który przyniósł z kolacji. Jeśli Thunderhead zamierzał mówić o jego egzystencji jako Zgiełku, zdecydowanie potrzebował jakiegoś smakołyku na pocieszenie.

– Rozwój ruchu tonistów to dobra rzecz – powiedział Thunderhead. – Oznacza, że kiedy będziemy musieli ich zmobilizować, będą siłą, z którą należy się liczyć.

- Mówisz, jakbyś szedł na wojnę.
- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

I to wszystko, co miał do powiedzenia w tej kwestii Thunderhead. Od samego początku pozostawało tajemnicą, w jaki sposób chce wykorzystać tonistów. Sprawił, że Greyson poczuł się jak powiernik, któremu się jednak nie zwierzył.

– Nie lubię, gdy ktoś mnie wykorzystuje, a ja nie znam celu gry – wyznał i żeby podkreślić swoją dezaprobatę, przeniósł się w kąt, bo wiedział, że był w nim niewidoczny dla kamer.

- Znalazłeś martwy punkt – stwierdził system. – Może wiesz więcej, niż ujawniasz?
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Klimatyzacja powiała mocniej. Westchnienie Thunderheada.

– Powiem ci, gdy wszystko się ułoży, ale w tej chwili muszę uporać się z przeszkodami, zanim zdołam obliczyć szanse powodzenia mojego planu dla ludzkości.

Greyson uznał za absurdalne to, że Thunderhead w ogóle zdoał wypowiedzieć coś takiego jak „mój plan dla ludzkości” z taką samą nonszalancją, jakby mówił „mój przepis na sernik”.

Który, tak nawiąsem mówiąc, był okropny. Pozbawiony smaku i o konsystencji bardziej glutownatej niż kremowej. Toniści wierzyli, że słuch to jedyny zmysł, któremu warto poświęcać uwagę. Najwyraźniej jednak ktoś odczytał wyraz twarzy Greysona, gdy jadł nieszczesny sernik, bo postanowiono znaleźć nowego cukiernika. Na tym polegało życie Zgiełku. Unosił brwi i przesuwały się góry, czy tego chciał, czy też nie.

- Jesteś ze mnie niezadowolony, Greysonie? – zapytał Thunderhead.
- Zasadniczo rządzisz światem, dlaczego miałoby cię obchodzić moje niezadowolenie?
- Ponieważ mnie obchodzi – odparł system. – Bardzo.

*

– Będziesz traktować Zgiełka z absolutnym szacunkiem, bez względu na to, co ci powie.

- Tak, proszę pani.
- Zejdź mu z drogi, gdy zobacysz, że się zbliża.
- Tak, proszę pani.

- W jego obecności zawsze spuszczaj wzrok i nisko się kłaniaj.
- Tak, proszę pani.

Siostra Astrid, która stała się szefową personelu w zespole klasztornym, bacznie przyjrzała się ich nowemu cukiernikowi. Zmrużyła oczy, jakby dzięki temu miała wejrzeć w jego duszę.

- Z jakiego odłamu pochodzisz?
- Z Braterskiej Miłości – odparł.
- Mam nadzieję, że twoja głowa nie jest tak spękana jak Dzwon Wolności. Najwyraźniej twój wikariusz miał cię za wyjątkowego, skoro zarekomendował cię do służby u Zgiełku.
- Jestem najlepszy w swoim fachu – poinformował ją. – Mam najlepsze ręce.
- Nieskromny tonista – rzuciła, krzywo się uśmiechając. – Niektórzy sybilanci ucięliby ci za to język.
- Zgiełk jest na to za mądry, proszę pani.
- Tak – zgodziła się. Nieoczekiwanie uniosła rękę i ściśnięła jego prawy biceps. Nowo przybyły odruchowo go napiął. – Silny. Widząc twoją sylwetkę, dziwię się, że nie przydzielili cię do ochrony.
- Jestem cukiernikiem – przypomniał jej. – Jedyną bronią, którą potrafię się posługiwać, jest trzepaczka do jajek.
- Ale walczyłbyś w imię Zgiełku, gdyby cię o to poproszono?
- Zrobię wszystko, czego będzie wymagała sytuacja.
- Dobrze – skwitowała zadowolona. – Cóż, dziś Zgiełk potrzebuje wieczornego deseru.

Poprosiła kogoś z personelu, by zaprowadził go do kuchni.

Uśmiechał się, gdy go wyprowadzano. Przeszedł inspekcję szefowej. Siostra Astrid znana była z tego, że odrzucała nowych, bez względu na to, jak bardzo ich polecano. Jednak sprostał jej wysokim wymaganiom. Kosiarza Morrisona niezmiernie to cieszyło.

*

- Myślę, że sprawdzi się podróżowanie – powiedział Thunderhead tego wieczoru Greysenowi, zanim ten zdjął szaty, by się odprężyć. – Uważam, że byłoby to wskazane.

– Mówiłem ci już, że nie zamierzam jechać w światową trasę – odparł Greyson. – Świat przychodzi do mnie pod postacią pojedynczych osób. Podoba mi się to i do tego momentu też tego chciałeś.

– Nie sugeruję światowej trasy, ale może niezapowiedzianą pielgrzymkę do miejsc, w których cię jeszcze nie było? Czy nie powinno zapisać się w historii, że Zgiełk wędrował po świecie, podobnie jak czynili to przed nim inni prorocy?

Jednak Greysona Tollivera nigdy nie ciągnęło do podróżowania. Dopóki jego życie nie wywróciło się do góry nogami, miał nadzieję służyć Thunderheadowi gdzieś blisko domu jako agent Nimbusa, a jeśli nie, to osiedlić się w jakimś innym miejscu, które stałoby się dla niego nowym domem. Uważył, że wystarczy, że odwiedził Lenape.

– To była tylko sugestia, sądzę jednak, że to ważna kwestia – ciągnął Thunderhead. Niespotykane, żeby system tak bardzo się upierał, skoro Greyson jasno wyraził swoje zdanie. Być może nadziejcie czas, że będzie musiał się ruszyć z miejsca, aby zjednoczyć sybilantów, ale dlaczego teraz?

– Rozważę to – stwierdził, chcąc zakończyć rozmowę. – Ale w tej chwili muszę się wykapać i przestać myśleć o stresujących rzeczach.

– Oczywiście – powiedział Thunderhead. – Przygotuję ci kąpiel.

Woda, którą system nalał do wannы, była za gorąca. Greyson zniósł to bez słowa skargi, ale o czym myślał Thunderhead? Czy w jakiś pasywno-agresywny sposób karał go za brak chęci do podróży? Thunderhead się tak nie zachowywał. Jaki mógł mieć zatem powód, by przygotować mu za gorącą kąpiel?

*

Nowy cukiernik miał być kulinarnym geniuszem. I był, przynajmniej do chwili, w której kosiarz Morrison dokonał jego zbioru i zajął jego miejsce. Prawda była taka, że młody sędzia zaledwie trzy tygodnie wcześniej potrafił jedynie zagotować wodę, nie mówiąc o pieczeniu ciast, ale na szybkim kursie cukiernictwa nauczył się podstaw, dzięki którym mógł udawać przez ten krótki czas, a nawet wyuczyć się paru specjalnych przepisów. Robił zarąbiste tiramisu i zabójczy sernik truskawkowy.

Denerwował się przez kilka pierwszych dni i chociaż niedoświadczone dłonie często drżały mu w kuchni, okazało się, że sprawdzał się w swojej nowej roli. Wszyscy nowi byli tu zdenerwowani, a z powodu surowego spojrzenia siostry Astrid

pozostawali tacy przez cały czas. Niezręczność Morrisona wydawała się w tych okolicznościach jak najbardziej uzasadniona.

W końcu zdadzą sobie sprawę, że nie był cukiernikiem, którego oczekiwali, ale niedługo będzie musiał podtrzymywać tę farsę. Kiedy dokona dzieła, wszyscy ci mali, nerwowi toniści zostaną zwolnieni ze służby, ponieważ święty, dla którego pracowali, miał zostać zebrany.

*

– Thunderhead dziwnie się zachowuje – powiedział Greyson do siostry Astrid, z którą jadł kolację. Zawsze ktoś towarzyszył mu przy stole, ponieważ nie chciano, aby Zgiełk jadał sam. Poprzedniego wieczoru był to wikariusz, który przyjechał z Antarktydy. Dwa dni wcześniej kobieta, która tworzyła ręcznie piękne kamertony do domowych ołtarzy. Rzadko pojawiał się ktoś, z kim naprawdę Greyson życzyłby sobie jeść i równie rzadko mógł być sobą. Przy każdym posiłku musiał wcielać się w Zgiełk. Irytujące, bo jego szaty łatwo się plamiły i praktycznie niemożliwe było je doprać, więc stale wymieniano je na nowe. Wolałby jeść w dżinsach i T-shircie, ale bał się, że nigdy już nie zazna tego luksusu.

– Co to znaczy „dziwnie”? – dociekała siostra Astrid.

– Powtarza się – odpowiedział. – Robi rzeczy, które są... niepożądane. Trudno to tak jednoznacznie określić. Po prostu... nie jest sobą.

Astrid wzruszyła ramionami.

– Thunderhead to Thunderhead. Zachowuje się tak, jak się zachowuje.

– Mówisz jak prawdziwa tonistka – wyznał. Nie chciał, żeby zabrzmięło to kpiąco, ale kobieta i tak to tak odebrała.

– Chodzi mi o to, że Thunderhead jest stały. Jeśli robi coś, co nie ma dla ciebie sensu, być może problem tkwi w tobie.

Greyson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Pewnego dnia będzie z ciebie świetna wikariuszka, Astrid.

Kelner postawił przed nim deser. Sernik truskawkowy.

– Spróbuj – poleciła siostra. – I powiedz, czy jego twórca jest lepszy od swojego poprzednika.

Greyson wziął niewielki kawałek na widelec i włożył sobie do ust. Ciasto smakowało wybornie.

– Wow – rzucił. – Wreszcie mamy cukiernika z prawdziwego zdarzenia! Dzięki deserowi zapomniał na chwilę o Thunderheadzie.

*

Kosiarz Morrison rozumiał, dlaczego zbiór Zgiełku miał odbyć się bezkrwawo i to od środka. Toniści chroniący proroka oddaliby za niego życie, mieli też nielegalną broń z Epoki Śmiertelności. Walczyli nieprzeciętnie, więc nawet gdyby zabójcom się powiodło, świat dowiedziałby się o stawianym przez tonistów oporze, a ludzkość nigdy nie mogła zobaczyć oporu stawianego Kosodomowi. Obecnie najlepsze, co mogli robić kosiarze, to ignorować istnienie Zgiełku. Kosiarze na całym świecie mieli nadzieję, że jeśli będą traktować Zgiełk jako kogoś nieistotnego, taki właśnie będzie. Ale najwyraźniej stał się na tyle ważny, że Goddard zapragnął go usunąć. Aby nie nadać jego śmierci rozgłosu, bardzo dobrym sposobem na pozbycie się go była jednoosobowa infiltracja klasztoru.

Piękno planu leżało w pewności siebie wyznawców Tonu. Przecież sprawdzili nowego cukiernika, nim dopuszczono go do pracy. Łatwo jednak było zmienić dokument Morrisona i zastąpić tamtego mężczyznę, kiedy tonisići upewnili się już, że jest w porządku.

Musiał przyznać, że cieszył się swoją nową pracą, lubił piec bardziej, niż się tego spodziewał. Może gdy już załatwili tu swoje sprawy, zrobi z tego nowe hobby? Czy kosiarz Curie nie gotowała dla rodzin zebranych podmiotów? Może Morrison mógłby zapraszać ich na desery?

– Pamiętaj, żeby przygotowywać dodatkowe porcje – poradził mu już pierwszego dnia kucharz. – Zgiełk dostaje nocną przekąskę. Zazwyczaj to coś słodkiego.

Cenna informacja.

– W takim razie – odparł Morrison – będę przygotowywał desery, których nie będzie miał dosyć.

*

Świadectwo Zgiełku

Zgiełk stawił czoło niezliczonym wrogom, zarówno w tym życiu, jak i poza nim. Kiedy zwiastun śmierci naruszył jego sanktuarium i zacisnął zimne

palce na jego szyi, nie chciał się poddać. Odziana w szorstki, bladoniebieski grobowy całun śmierć wbiła w niego swe szpony i chociaż skradła jego ziemską egzystencję, nie był to koniec Zgiełku, który znalazł się ponad tym światem, wyniesiony do wyższej oktawy. Radujcie się!

Komentarz wikariusza Symphoniusa

Nie dajcie się zwieść – śmierć sama w sobie nie jest wrogiem, ponieważ wierzymy, że naturalna przyjdzie po każdego we właściwym czasie. Ten wers mówi nam jednak o tej nienaturalnej. To kolejne nawiązanie do kosiarzy, którzy z całą pewnością wtedy istnieli – istot nadprzyrodzonych, które pożerały dusze żyjących, by pozyskać moc czarnej magii. To, że Zgiełk był w stanie walczyć z takimi istotami, dowodzi jego boskości.

Analiza Symphoniusa przez Code

Nie ma żadnych wątpliwości, że kosiarze istnieli w czasach Zgiełku i z tego, co nam wiadomo, nadal mogą istnieć w miejscu za nami. Jednak teza, według której istoty te pożerały dusze, jest naciągana nawet jak na Symphoniusa, który przedkłada pogłoski i domysły ponad dowody. Należy zauważyć, że uczeni osiągnęli powszechny konsensus co do tego, że kosiarze nie pożerali dusz swoich ofiar. Po prostu zjadali ichmięso.

23. Jak dokonać zbioru świętego?

Zgiełk nie powinien przebywać samotnie w korytarzach i ogrodach zespołu klasztornego. Wikariusze przypominali o tym Greysonowi nieustannie. Byli jak nadopiekuńczy rodzice. Czy musiał im wskazywać, że wokół posiadłości i na dachach rozmieszczone dziesiątki strażników? Że kamery Thunderheada nieustannie wszystko obserwowały? O co oni się, do licha, martwili?

Trochę po drugiej w nocy Greyson wstał z łóżka i włożył kapcie.

– Co się dzieje, Greysonie? – zapytał Thunderhead, jeszcze zanim stopy chłopaka dotknęły podłogi. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

Coraz dziwniej. System zaczął się odzywać nieproszony.

– Nie mogę spać – wyznał Greyson.

– Być może to przeczucie? – zasugerował Thunderhead. – Może wyczuwasz coś nieprzyjemnego, czego nie potrafisz dokładnie określić?

– Jedyną dziwną rzeczą, której nie mogę ostatnio określić, jesteś ty.

Thunderhead nie miał na to odpowiedzi.

– Jeśli jesteś niespokojny, czy mogę zasugerować daleką podróż, aby ukoić nerwy?

– W tej chwili? W środku nocy?

– Tak.

– Miałybym wstać i wyjść?

– Tak.

– Dlaczego miałybym koić nerwy?

– To byłoby... rozsądne w tym momencie.

Greyson westchnął i skierował się do drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Thunderhead.

– A jak myślisz? Żeby coś zjeść.

– Nie zapomnij zabrać słuchawki.

– Dlaczego? Żebyś mógł mnie dręczyć?

Thunderhead milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– Obiecuję, że nie będę cię dręczył, ale bardzo cię proszę, żebyś zabrał słuchawkę.

– Dobra.

Greyson wziął leżącą na szafce nocnej słuchawkę i włożył ją do ucha tylko po to, by Thunderhead się zamknął.

*

Zgiełk zawsze trzymano na dystans od większości personelu. Morrison podejrzewał, że prorok nie miał nawet pojęcia, ile osób pracowało za kulisami jego „życia w prostocie”, bo kiedy słyszeli, że się zbliża, czymyśli jak myszy. Według Zgiełka forteca, w której mieszkało kilkadziesiąt osób, była w większości opuszczona. Takiego wrażenia pragnęli wikariusze. „Zgiełk potrzebuje prywatności. Spokoju, aby być sam na sam ze swoimi wielkimi myślami”.

Morrison każdej nocy przygotowywał do późna ciasta, aby móc zaserwować rano wypieki, chociaż tak naprawdę nie opuszczał stanowiska pracy, bo Zgiełk przychodził na dół na nocną przekąskę.

W końcu po pięciu dniach nadarzyła się okazja.

Skończył ciasto naleśnikowe na rano, zgasił światło i drzemał w kącie, kiedy w kuchni pojawił się ktoś w satynowej piżamie, kto otworzył lodówkę. W słabym blasku z wnętrza urządzenia Morrison dostrzegł młodego mężczyznę, który wyglądał na kogoś w jego wieku – miał może ze dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata. Niczym szczególnym się nie wyróżniał. Z pewnością nie był „świętym”, o którym wszyscy szepcili po kątach, niczym nie onieśmielał. Morrison spodziewał się, że Zgiełk będzie miał długą, splątaną brodę, dziką czuprynę, zaszkalone oczy. Ten tutaj miał zmierzwnioną od snu fryzurę i śpiochy w oczach. Morrison wychynał z ciemności.

– Wasza Sonoritość – powiedział.

Zgiełk się wzdrygnął, niemal wypuścił talerz z sernikiem z dłoni.

– Kto tu jest?

Morrison wszedł w blask światła z lodówki.

– Cukiernik, Wasza Sonoritość. Nie chciałem wystraszyć.

– W porządku – zdeklarował Zgiełk. – Zaskoczyłeś mnie. Właściwie cieszę się, że cię spotykam. Chciałem ci powiedzieć, że świetnie się sprawdzasz. Jesteś o wiele lepszy niż twój poprzednik.

– Pracuję od lat – powiedział Morrison.

Trudno było uwierzyć, że Thunderhead wybrał tego niewyróżniającego się, skromnego chłopaka na swój głos na Ziemi. Może przeciwnicy mieli rację, i to jedno

wielkie oszustwo? Kolejny powód, aby wybawić go z niedoli.

Morrison podszedł, otworzył szufladę, wyjął widelec. Podał go Zgiełkowi. Wiedział, że zostanie to odebrane jako życzliwy gest, dzięki czemu mógłby znaleźć się jeszcze bliżej. Na tyle blisko, by złapać Zgiełka i skręcić mu kark.

– Cieszę się, że smakują panu moje wypieki – powiedział. – To wiele dla mnie znaczy.

Zgiełk zanurzył sztuciec w serniku, wsadził kęs do ust i się nim delektował.

– Cieszę się, że się cieszysz – powiedział.

Zgiełk uniósł widelec i wbił go Morrisonowi prosto w oko.

*

Greyson wiedział.

Nie miał wątpliwości. Nie zorientował się jednak po słowach Thunderheada, tylko po jego milczeniu.

Elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Przez cały ten czas system starał się go ostrzec, ale nie mógł dokonać tego bezpośrednio. Sugerował wyjazd... lecz nie chodziło o podróżowanie, ale o ucieczkę. I kąpiel! Miał być „w gorącej wodzie kąpany”. Greyson przeklinał się za to, że nie był na tyle bystry, żeby od razu to rozgryźć. Thunderhead nie mógł powiedzieć mu o wszystkim wprost, bo oznaczałoby to jawną ingerencję w interesy kosiarzy, a to zaś złamanie prawa. Thunderhead mógł naprawdę wiele, prócz tego. Miał możliwość jedynie bezradnie się przyglądać, jak Greyson zostaje zebrany.

Jednak ta cisza w słuchawce... Stała się wymowniejsza niż alarm.

Kiedy cukiernik wyszedł z cienia, Greyson się wzdrygnął, ale nie skończyło się tylko na tym. Serce podeszło mu do gardła, odezwał się pierwotny instynkt nakazujący walkę lub ucieczkę. Kiedy zdarzało się to w przeszłości, Thunderhead natychmiast go uspokajał. Teraz powinien zapewnić: „To tylko cukiernik, który chce cię poznać. Proszę, potraktuj go życzliwie”.

Ale system nie powiedział niczego takiego. Milczał jak zaklęty, co oznaczało, że mężczyzna przed nim był kosiarzem i chciał dokonać jego zbioru.

Greyson nigdy wcześniej nie zrobił niczego tak brutalnego. Nawet w okresie, gdy był Slaydem Bridgerem, nie dopuścił się czegoś tak nagannego jak atak ostrym przedmiotem. Teraz miał ku temu uzasadnienie. Wiedział, że Thunderhead zrozumie.

Po dokonaniu tego straszliwego czynu wybiegł z kuchni, nie oglądając się za siebie.

*

Kosiarz Morrison chciał krzyczeć głośno, dorównując Wielkiemu Rezonansowi, lecz stłumił to do krótkiego pisku i walcząc z bólem, wyjął widelec z oka. W przeciwnieństwie do wielu kosiarzy nowego porządku, nie ograniczał działania nanitów, więc zalały go olbrzymimi dawkami środków przeciwbólowych, sprawiły, że wzrok mu się zamglił i zaczęło kręcić w głowie. Musiał z tym walczyć w takim samym stopniu jak z bólem, skoro miał naprawić ten bałagan.

Niewiele brakowało! Gdyby tylko od razu zrezygnował z tej farsy i zrobił to, po co tu przybył, Zgiełk byłby już martwy. Jakim cudem Morrison zadziałał tak niechlujnie?

Święty znał intencje kosiarza – wiedział o jego celu. Albo był jasnowidzem, albo Thunderhead mu o wszystkim powiedział, albo Morrisona zdradziło jego własne zachowanie. Powinienn był przewidzieć możliwość zdemaskowania.

Przyciskając rękę do uszkodzonego oka, pognał za Zgiełkiem, zdeterminowany, aby nie popełnić kolejnych błędów. Zamierzał dokończyć zadanie. Nie będzie to tak bezproblemowe, jakby sobie tego życzył, właściwie będzie chaotyczne, ale dokona tego.

*

– Kosiarz! – krzyczał Greyson, wybiegając z kuchni. – Pomocy! Jest tu kosiarz!

Ktoś na pewno go usłyszał – każdy dźwięk odbijał się echem od kamiennych ścian, po czym rozchodził w zupełnie nieoczekiwanych kierunkach. Strażnicy byli rozstawieni na zewnętrznym terenie i na dachach, ale nie w środku rezydencji. Zanim go usłyszą i podejmą działanie, dla niego może być już za późno.

– Kosiarz!

Spowalniały go kapcie, więc je zrzucił. Miał przewagę, bo znał zespół klasztorny lepiej niż napastnik, no i miał Thunderheada.

– Wiem, że nie możesz mi pomóc – powiedział do systemu. – Wiem, że to niezgodne z prawem, ale z pewnością coś możesz zrobić.

Thunderhead nadal milczał.

Greyson usłyszał, że otworzyły się za nim drzwi. Ktoś krzyknął. Nie mógł się jednak obrócić, aby zobaczyć, kto to był i co się stało.

Muszę myśleć jak Thunderhead. On nie może się wtrącać. Z własnej woli nie może mi pomóc. Co zatem może?

Odpowiedź była prosta, gdy myślał w ten sposób. Thunderhead to sługa ludzkości, co oznaczało, że mógł wypełniać polecenia.

– Thunderheadzie! – powiedział Greyson. – Jestem teraz gotowy wyruszyć w tę podróż. Obudź personel i powiedz im, że natychmiast wyruszamy.

– Oczywiście, Greysonie – odparł system i nagle odezwały się alarmy przy wszystkich łóżkach w opactwie, zapaliło się każde światło, oślepiając na korytarzu, zalewając podwórze blaskiem reflektorów.

Greyson usłyszał, że ktoś krzyczy za jego plecami. Obrócił się i dostrzegł, że kosiarz powalił jakiegoś mężczyznę i zaczął go doganiać.

– Thunderheadzie, jest za jasno – rzucił Greyson. – Bolą mnie oczy. Wyłącz światło wewnętrznych korytarzach.

– Oczywiście – odparł spokojnie system. – Przepraszam za ten dyskomfort.

Światło w korytarzu ponownie zgasło. Teraz nic nie widział, skoro źrenice zwęzili mu się, gdy było za jasno. Kosiarza na pewno spotkało to samo! Został najpierw oślepiony światłem, po czym oślepiony mrokiem!

Greyson znalazł się na skrzyżowaniu, gdzie korytarz kierował się w prawo i w lewo. Nawet w ciemności dostrzegł, że kosiarz się zbliża, wiedział, w którą stronę powinien się udać.

*

Kiedy Morrison wydostał się z kuchni, widział, że Zgiełk biegnie przed nim i zrzuca kapcie. Wołał też o pomoc, ale sędzia wiedział, że go dopadnie, nim ktokolwiek przybędzie z odsieczą.

Obok niego otworzyły się drzwi i wyszła kobieta. Nie miał pojęcia, kim była. Miał to gdzieś. Zanim zdążyła coś powiedzieć, uderzył ją nasadą dłoni w nos, przez co go złamał i wcisnął w czaszkę. Krzyknęła i umarła, nim padła na kamienną posadzkę. To pierwszy zbiór tej nocy, ale kosiarz był zdeterminowany, by nie okazał się ostatnim.

Nagle jasne światło zalało cały korytarz. Zmrużył oko, bo go poraziło. Otworzyły się kolejne drzwi. Z pokoju wyszedł kucharz, obok jego łóżka wył budzik.

– Co się tu dzieje?

Morrison uderzył go w pierś z siłą mogącą zatrzymać serce, ale miał do dyspozycji tylko jedno oko, co zaburzało jego poczucie głębi. Musiał uderzyć po raz drugi, a ponieważ większość tonistów wyłączyla nanity, nic nie przywróci mu akcji serca. Sędzia odsunął umierającego i pobiegł za Zgiełkiem – jednak światło zgasło tak gwałtownie, jak się wcześniej zapaliło, i spowió go całkowity mrok. Nie chciał zwolnić, więc zaraz uderzył w mur. Ślepy zaułek? Nie, oko zaczęło przyzwyczajać się do ciemności, kosiarz dostrzegł rozwidlenie korytarza. W którą stronę pobiegł Zgiełk?

Usłyszał, że za jego plecami wszyscy w posiadłości budzili się do życia i zmobilizowano strażników. Personel wiedział już o intruzie, Morrison musiał zatem szybko działać.

W którą stronę? W lewo czy w prawo? Wybrał to pierwsze. Miał pięćdziesiąt procent szans. Radził sobie w gorszych warunkach.

*

Greyson zbiegł schodami, po czym otworzył drzwi od garażu, w którym stało przynajmniej kilkanaście samochodów.

– Thunderheadzie! – krzyknął. – Jestem gotowy do podróży. Otwórz drzwi do najbliższego auta.

– Drzwi otwarte – poinformował go system. – Szerokiej drogi, Greysonie.

Otworzyły się drzwiczki, w kabinie zapaliło się światło. Greyson nie zamierzał jednak opuszczać garażu, wystarczyło, że wsiądzie i zablokuje drzwi. Szkło i karoseria były kuloodporne. Gdy znajdzie się w środku, będzie jak żółw w skorupie. Kosiarz bez względu na wysiłki go nie dopadnie.

Rzucił się w stronę samochodu...

Sędzia złapał go jednak za nogę i odciągnął od bezpiecznego pojazdu.

– Niezła próba – powiedział. – Niemal ci się udało.

Greyson wił się w uścisku. Wiedział, że kiedy kosiarz go pochwyci, będzie po wszystkim. Na szczęście piżamę miał ze śliskiej satyny, więc kosiarz nie mógł przybrać umożliwiającej zbiór pozycji.

– Nie chcesz tego! – krzyknął Greyson. – Jeśli mnie zbierzesz, ludzkość utraci Thunderheada. Tylko ja go z nią łączę.

Kosiarz złapał Greysona za szyję.

– Mam to gdzieś.

Jednak Greyson wychwycił w jego głosie na tyle dużą nutę wahania, że wiedział, iż sędzia się tym przejmował. Pojawiła się mała iskra nadziei, lecz może wystarczająca, by mogła stanowić różnicę pomiędzy życiem a śmiercią.

– Widzi, co robisz – wydusił przez gwałtownie zamkającą się krtań. – Nie może cię powstrzymać ani zrobić ci krzywdy, ale może ukarać wszystkich, których kiedykolwiek kochałeś!

Nacisk na szyję nieco zelżały. Thunderhead nigdy nie dążyłby do zemsty, tyle że kosiarz o tym nie wiedział. Zorientuje się jednak, że to blef, może nawet już za moment, ale każda chwila była na wagę złota.

– Thunderhead ma dla ciebie wspaniały plan! – wykrztusił Greyson. – Chce, byś stał się Arcyostrzem!

– Nawet nie wiesz, kim jestem.

– A jeśli wiem?

– Kłamiesz.

W uchu Greysona rozbrzmiała muzyka. Piosenka z Epoki Śmiertelności, której nie znał, wiedział jednak, że z jakiegoś powodu system mu ją odtworzył. Thunderhead nie mógł mu pomóc, ale mógł podsuwać narzędzia, dzięki którym Greyson sam sobie poradzi.

– „Wiedziałaś, że to nie będzie prawdą!” – powtórzył słowa, niepewny, czy dobrze je zrozumiał. – „Wiedziałaś, że okaże się kłamcą”.

Kosiarz spojrzał na niego, szeroko otwierając oko. Zamarł z niedowierzaniem, jakby słowa te były jakimś magicznym zaklęciem.

Do pomieszczenia wbiegli strażnicy tonistów i pochwycili kosiarza. Zdołał dokonać zbioru dwóch z nich gołymi rękami, nim przygwoździli go do podłogi.

*

To koniec. Kosiarz Morrison o tym wiedział. Zabiją go, a jedynym ogniem, jaki rozpalą, będzie ten pod jego ciałem, aby nie można go było ożywić. Polegnie dziś z rąk tonistów. Czy istniał bardziej upokarzający sposób na śmierć?

Ale może tak jest lepiej, pomyślał. Lepiej, niż mierzyć się z Goddardem po tak strasznej porażce.

Wtem do przodu wystąpił Zgiełk.

- Stójcie – rozkazał. – Nie zabijajcie go.
- Ależ, Wasza Sonoritość – zaczął mężczyzną o siwych, przerzedzonych włosach. Nie był strażnikiem. Może to kapłan ich dziwnej religii? – Musimy go zabić i to szybko. Zgładzić dla przykładu, aby nie doszło do kolejnych prób.
- Wykończenie go rozpoczęcie wojnę, na którą nie jesteśmy gotowi.
- Mężczyzna był wyraźnie zirytowany.
- Wasza Sonoritość, ośmienię się odradzać...
- Nie prosiłem o twoją opinię, wikariuszu Mendoza. Oto moja decyzja – powiedział Zgiełk, a następnie zwrócił się do strażników: – Zamknijcie gdzieś kosiarza, dopóki nie postanowię, co z nim zrobić.

Wikariusz ponownie starał się zaprotestować, ale Zgiełk go zignorował, więc wywleczono Morrisonę z garażu. Zabawne, ale nagle prorok w swojej satynowej piżamie nie wydawał się tak śmieszny jak jeszcze przed chwilą. Wyglądał odrobine bardziej na świętego.

*

- Coś ty sobie myślał?!

Wściekły wikariusz Mendoza chodził po apartamencie Zgiełka tam i z powrotem. Rozstawiono straże pod drzwiami i oknem, chociaż zbyt późno, by przyniosło to jakikolwiek efekt. *Głupi chłopak*, myślał Mendoza. *Ostrzegano go, by nigdzie nie włóczył się samopas, a co dopiero nocą. Sam to na siebie ściągnął.*

– Dlaczego go oszczędziłeś? Zabijając kosiarza i paląc jego ciało, wysiąlibyśmy Goddardowi czytelną wiadomość! – ciągnął Mendoza.

– Tak – zgodził się Zgiełk – a brzmiałaby ona, że toniści stają się zuchwali i muszą zostać zniszczeni.

– Przecież już chce nas zniszczyć!

– Chęć, a faktyczne mobilizowanie kosiarzy, żeby to zrobić, to dwie różne rzeczy – upierał się Zgiełk. – Im dłużej powstrzymamy Goddarda przed wybuchem, tym więcej czasu zostanie nam na przygotowania. Nie widzisz?

Mendoza skrzyżował ręce na piersi. Oczywiście, że rozumiał, co się tu działo.

– Jesteś tchórzem! – powiedział. – Jeśli obawiasz się tak zuchwałego postępowania jak zabicie sędziego!

Zgiełk przysunął się i wyprostował plecy.

– Jeśli jeszczego raz nazwiesz mnie tchórzem, odeślę cię do twojego klasztoru i zakończysz swoją służbę dla mnie.

– Nie odważysz się!

– Straż! – krzyknął Zgiełk i wskazał na starszego mężczyznę. – Za brak szacunku proszę odprowadzić wikariusza Mendozę do jego celi i zamknąć go tam aż do południowego bicia kamertonu.

Strażnik bez wahania chwycił wikariusza, wyraźnie dając do zrozumienia, czyich rozkazów zamierza słuchać.

Mendoza mu się wyrwał.

– Sam pójdę.

Zanim jednak wyszedł, zatrzymał się, odetchnął i ponownie spojrzał na Zgiełk.

– Wybacz, Wasza Sonoritość – powiedział. – Przekroczyłem granicę.

Ale pochlebstwo nawet w jego własnych uszach brzmiało zupełnie nieszczerze.

*

Kiedy Mendoza wyszedł, Greyson usiadł w fotelu. Po raz pierwszy tak stanowczo postawił się wikariuszowi. Zgiełk przecież nie mógł dać się zastraszyć nawet człowiekowi, który go stworzył. Powinien czuć się dobrze po przywołaniu swojego wikariusza do porządku, lecz tak się nie stało. Być może dlatego właśnie Thunderhead wybrał go spośród wszystkich innych – bo ich zepsułaby władza, a Greysonowi nawet nie smakowała.

Cóż, może kiedyś do niej przywyknie. Być może będzie musiał.

*

W zespole klasztornym nie było Lochów. Budynek zaprojektowano tak, aby przypominał to, co tworzono w średniowieczu, lecz jako takowe nie funkcjonowało, więc Morrison został zamknięty w czymś, co w czasach, w których opactwo pełniło funkcję muzeum, musiało być czymś gabinetem.

Strażnicy tonistów nie zostali wyszkoleni do zajmowania się więźniami. Nie mieli kajdan – takie artefakty można było znaleźć w muzeach, choć innego typu niż to tutejsze. Przywiązali go więc trytykami ogrodowymi, którymi podwiązywano bugenwille przy ścianach. Umieszczono ich na nim zbyt wiele. Już jedna okazałaby

się wystarczająca, ale dali po sześć na każdą kończynę i zaciągnęli je tak mocno, że dlonie Morrisona zsinały, a stopy stały się lodowate. Kosiarz mógł jedynie czekać na swój ostateczny los.

Musiało świtać, gdy zza zamkniętych drzwi dobiegła go rozmowa.

– Wasza Sonoritość – powiedział jeden ze strażników. – Nie powinieneś tam wchodzić, to zbyt niebezpieczne.

– Związałście go? – zapytał Zgiełk.

– Tak.

– Zdoła się uwolnić?

– Nie, dopilnowaliśmy, by nie mógł.

– W takim razie nie widzę problemu.

Drzwi stanęły otworem. Wszedł Zgiełk. Zamknął wrota za sobą. Uczesał się, miał na sobie rytualne szaty. Wyglądał, jakby było mu niewygodnie.

Kosiarz Morrison nie wiedział, czy podziękować Zgiełkowi za ocalenie życia, czy skłąć go za pozostawienie w takim stanie – pokonanego i upokorzonego.

– Thunderhead ma dla mnie plan, co? – rzucił ponuro sędzia.

– Kłamałem – odparł Zgiełk. – Jesteś kosiarzem, Thunderhead nie może niczego dla ciebie planować. Nie może wchodzić z wami w żadne interakcje.

– Ale powiedział ci, kim jestem.

– Nie do końca. Jednak udało mi się to rozgryźć. Kosiarz Morrison, prawda? Twój patron historyczny napisał słowa, które tam wyrecytowałem.

Sędzia nie odpowiedział, tylko czekał.

– Twoje oko chyba już się zagoiło.

– Prawie – przyznał. – Wciąż widzę przez nie jak przez mgłę.

– Większość tonistów wyłącza swoje nanity, wiedziałeś o tym? Myślę, że to głupie.

Morrison popatrzył Zgiełkowi w twarz, zamrugał, aby gojące się oko zdołało skupić wzrok. Duchowy przewódca tonistów nazywa zachowanie swoich wyznawców głupią? Czy to sprawdzian? Morrison miał się nie zgodzić? A może przytaknąć?

– Czy takie słowa nie miały definicji w Epoce Śmiertelności? – zagadnął. – Bluzanierstwo... blablażnierstwo... O mam, bluźnierstwo.

Zgiełk przyglądał mu się przez chwilę, nim ponownie się odezwał:

– Wierzysz, że Thunderhead do mnie przemawia?

Morrison nie chciał na to odpowiadać, ale jakie to teraz miało znaczenie?

– Tak, wierzę – przyznał. – Chciałbym nie wierzyć, lecz tak nie jest.

– Dobrze. To znacząco ułatwi sprawę. – Zgiełk usiadł na krześle ustawionym naprzeciwko niego. – Thunderhead nie wybrał mnie, bo byłem tonistą. Nie jestem nim, nie tak do końca. Wybrał mnie, ponieważ... cóż, ktoś musiał zostać wybrany. Jednak tonisići jako pierwsi w to uwierzyli. Mój wizerunek pasował do ich doktryny. Zatem w tym momencie jestem Zgiełkiem, ciałem Tonu. Zabawne, bo kiedyś chciałem zostać agentem Nimbusa. Teraz nim jestem.

– Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim?

Wzruszył ramionami.

– Bo mam na to ochotę. Nie słyszałeś? Zgiełk może robić wszystko, czego zapragnie. Niemal jak kosiarz.

Zapadła między nimi cisza. Morrisonowi wydała się niezręczna, Zgiełkowi natomiast nie wadziła. Wpatrywał się w sędzięgo, zastanawiając się głęboko, jak na świętego, który wcale świętym nie był, przystało.

– Nie powiemy Goddardowi, że zawiodłeś.

Takich słów Morrison w ogóle się nie spodziewał.

– Nie?

– Widzisz, chodzi o to, że nawet Kosodom nie wie, kim tak naprawdę jest Zgiełk. Wczoraj dokonałeś zbioru czterech ludzi. Kto powiedział, że jeden z nich nie był Zgiełkiem? A jeśli naprawdę przestanę się pokazywać w miejscach publicznych, będzie wyglądało na to, że ci się jednak poszczęściło.

Morrison pokręcił głową.

– Goddard w końcu się dowie.

– Kluczowym słowem jest „w końcu”. Nie dowie się, dopóki nie będziemy gotowi tego ujawnić. Mogą minąć lata, jeśli tego zechcemy.

– Jeżeli nie wrócę, zorientuje się, że coś jest nie tak.

– Nie, pomyśli, że zostałeś schwytany i spalony. Najsmutniejsze, że nawet się tym nie przejmie.

Morrison nie mógł zaprzeczyć prawdziwości słów Zgiełka. Goddarda w ogóle by to nie obeszło. W najmniejszym stopniu.

– Jak mówiłem, Thunderhead nie ma wobec ciebie planów – przypomniał Zgiełk. – Ale ja tak.

Greyson wiedział, że musi to dobrze rozegrać. Powinien odczytać kosiarza jak nigdy wcześniej, ponieważ jego pomyłka będzie mieć katastrofalne skutki.

– Czytałem o zwyczajach przywódców w Epoce ŚmierTELNOŚCI – zaczął wyjawiać swoją ideę. – W niektórych kulturach władcy i przywódcy duchowni chronieni byli przez wyszkolonych zabójców. Czułbym się o wiele bezpieczniej z jednym z nich u boku niż z tonistami, którzy mają się za strażników.

Kosiarz pokręcił głową, w ogóle nie rozumiejąc sugestii.

– Wyklułeś mi oko, a teraz chcesz, żebym dla ciebie pracował?

Greyson wzruszył ramionami.

– Oko ci odrosło i potrzebujesz pracy – stwierdził. – A może wolisz wrócić do Goddarda i opowiedzieć mu o tym, jak nawaliłeś? Wyjawić, że słabeusz w piżamie dźgnął cię w oko i uciekł? Sądzę, że mu się to nie spodoba.

– Skąd wiesz, że w chwili, w której mnie uwolnisz, nie dokonam twojego zbioru?

– Bo nie sądzę, żebyś był na tyle głupi. Doskonale wiesz, że bycie osobistym kosiarzem Zgiełku będzie o wiele lepsze, niż cokolwiek zaoferuje ci Goddard.

– Stałbym się pośmiewiskiem Kosodomu.

Greyson posłał mu słaby uśmiech.

– Czyż już nim nie jesteś, kosiarzu Morrisonie?

*

Młody sędzia nie miał pojęcia, ile Zgiełk o nim wiedział, ale mówił prawdę, że Morrison nie był szanowany i nie mógł tego zmienić. Jeśli tu jednak zostanie, inni kosiarze nie będą wiedzieć, że w ogóle żyje... i będzie szanowany. Może tylko przez tonistów, ale to nadal szacunek, a właśnie jego tak rozpaczliwie łaknął.

– Powiem ci coś – stwierdził Zgiełk. – Może zdam się na wiarę. – Wyjął nożyczki i przeciął trytyki krępujące Morrisona. Zaczął od stóp, po czym skupił się na rękach, powoli, metodycznie przecinając jedną plastikową opaskę za drugą. – Wikariusz nie będzie zadowolony – powiedział Zgiełk, nadal pracując. – Ale pieprzyć ich wszystkich.

Kiedy przeciął ostatnią opaskę, Morrison poderwał się z krzesła i złapał Zgiełka za gardło.

– Właśnie popełniłeś największy błąd w swoim życiu! – warknął.

- Śmiało, dokonaj zbioru – zachęcał Zgiełk. W jego głosie nie pobrzmiewał strach.
- Nigdy stąd nie uciekniesz. Strażników jest tu naprawdę wielu, więc się nie wywiniesz, nawet przy ich nieudolności. Nie jesteś podobny do kosiarza Lucyfera.

Słowa te sprawiły, że Morrison trochę mocniej zacisnął palce – na tyle, by Greyson zamilkł. Zgiełk miał rację w tak wielu kwestiach. Jeśli Morrison dokończy swoje zadanie, zostanie zabity i spalony przez tonistów. Obaj będą martwi, a jedynym zwycięzcą pozostanie Goddard.

– Skończyłeś? – wychrypiął Zgiełk.

W jakiś sposób trzymanie go w pozycji, w której Morrison mógł dokonać zbioru, gdyby tylko chciał, było tak samo satysfakcjonujące jak sam ten akt, ale bez nieprzyjemnych konsekwencji i konieczności umierania. Morrison rozluźnił palce, a Zgiełk odetchnął głęboko.

- To co mam zrobić? Złożyć przysięgę lojalności? – zapytał tylko półżartem sędzia.
- Wystarczy zwykły uścisk dłoni – odparł Zgiełk. Wyciągnął do niego rękę. – Naprawdę mam na imię Greyson, ale będziesz musiał zwracać się do mnie „Wasza Sonoritość”.

Morrison podał mu dłoń – tę samą, którą przed chwilą go dusił.

- Naprawdę mam na imię Joel, ale będziesz musiał mówić mi Jim.
- Miło mi cię poznać, Jimie.
- Wzajemnie, Wasza Sonoritość.

Kosiarz Morrison musiał przyznać, że nie spodziewał się czegoś takiego po dzisiejszym dniu, ale biorąc pod uwagę inne możliwości, nie mógł narzekać.

I tego nie robił. Przez ponad dwa lata.

Część trzecia. Rok kobry

Wierzę, że jest nam coś przeznaczone. Wspaniałe zwieńczenie wszystkiego, co oznacza bycie człowiekiem i to nieśmiertelnym. Przeznaczenie jednakże nie przychodzi bez wysiłku i stanowczego przywództwa.

Rok Raptora był dla wszystkich kosiarzy druzgocący, lecz w Roku Koziorożca zaczęliśmy proces uzdrawiania. W Roku Kuoki jeszcze bardziej dopasowaliśmy nasze ideały i priorytety. Teraz, w pierwszym dniu nowego roku, dostrzegam jedynie nadzieję na nadchodzący czas.

Tutaj, na Pierwszym Kontynentalnym Konklawe, pragnę publicznie podziękować Arcyostrzom Pickford z Meryki Zachodniej, Hammersteinowi z Meryki Wschodniej, Tizokowi z Mexiteki i MacPhail z NorthernReach za wiarę we mnie. Za to, że jako Arcyostrza i wy, sędziowie, którzy im służyście, wybraлиście mnie na pasterza Meryki Północnej, waszego kontynentalnego Supraostrze. Dostałem mandat zaufania, abyśmy dalej mogli dążyć do wypełnienia założenia, jakim jest nowy porządek. Razem stworzymy świat, który będzie nie tylko doskonały, ale również nieskazitelny. Świat, w którym śmiali, potężni kosiarze zbliżą nas do tego wyznaczonego celu.

Zdaję sobie sprawę, że nadal są wśród nas tacy, którzy – jak oporny region Teksasu – nie są pewni tego, czy obrana przeze mnie ścieżka jest właściwa. Niespokojni pośród was szukają „metody w szaleństwie”, jak to mawiają. Jednak pytam was: czy szaleństwem jest pragnienie, aby wznieść gatunek ludzki na nowe wyżyny? Czy to źle mieć wizję przyszłości tak krystaliczną i precyzyjną, jak brylanty na naszych dloniach? Oczywiście, że nie.

Chcę jasno zakomunikować, że wasi Arcyostrza nie zostaną pozbawieni swoich pozycji. Nadal będą zarządzać swoimi regionami, odpowiadać za administrację lokalną – jednak zostaną zwolnieni z obowiązku podejmowania bardziej uciążliwych decyzji. Poważniejsze problemy będę

rozwiązywał ja. Przyrzekam, że przez cały czas przyświecać mi będzie idea, by niestrudzenie prowadzić was w przyszłość.

- Fragment przemówienia inauguracyjnego wступającego na stanowisko Supraostrza Midmeryki Roberta Goddarda
1 stycznia Roku Kobry

24. Szczury w ruinach

Fort Saint-Jean i fort Saint-Nicolas zbudowano po dwóch stronach wejścia do portu w Marsylii, w ówczesnym regionie frankoiberyjskim w Europie. W twierdzach wzniesionych przez króla Ludwika XIV dziwiło nie to, że wyposażono je w duże armaty, lecz to, że broni tej nie skierowano w stronę morza, aby chronić budowle przed najeźdźcami. Zamiast tego działa zwrócono na ląd, na tężniącą życiem Marsylię, aby chronić interesy króla przed powstaniem ludowym.

Supraostrze Meryki Północnej Robert Goddard wziął przykład z króla Ludwika. Zamontował ciężką artylerię w ogrodzie wokół swojego kryształowego domostwa na sześćdziesiątym ósmym piętrze i wycelował ją w ulice Fulcrum City. Kazał je zainstalować, na długo zanim objął stanowisko Supraostrza – wkrótce po tym, kiedy ogłosił, że dokonano zbioru Zgiełku.

Sądził, że zebranie tak zwanego proroka stanie się ostrzeżeniem dla tonistów na całym świecie. Przypomnieniem, że jeśli nie szanuje się kosiarzy, należy się ich obawiać. Zamiast tego stanowiący dotychczas umiarkowaną uciążliwość toniści stali się rosnącym zagrożeniem.

– Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego – wyznał Goddard. – Zmiana zawsze napotyka opór, ale mimo to musimy przeć naprzód.

Goddard nawet raz nie pomyślał, że eskalację przemocy przeciwko kosiarzom na świecie wywołał dokonany z jego rozkazu zbiór Zgiełku.

– Największą wadą myślenia Waszej Ekscelencji – ośmielił się wytknąć doradca Constantine – jest to, że nie rozumie pan idei męczeństwa.

Goddard natychmiast by go wygnął, gdyby Constantine nie był mu potrzebny do negocjacji, aby uparty region Teksasu w końcu dołączył do Zjednoczonej Meryki Północnej. To właśnie w tej „samotnej gwieździe” schronili się toniści.

– Służy to Teksasowi – oznajmił Supraostrze. – Niech zatem opanują go jak szczury ruiny.

Kryształowa rezydencja Goddarda zmieniła się w ciągu ostatnich lat. Nie tylko przybyło jej wycelowanej w miasto broni, ale również zamontowano w niej inne szkło. Goddard kazał wzmacnić zewnętrzne ściany, a także wytrawić je kwasem, aby

już nie było widać, że jest w środku. W rezultacie, gdy przebywał w domu, miał wrażenie, jakby Fulcrum City dzień i noc spowijała wieczna mgła.

Goddard był przekonany, że tonisići mają drony szpiegowskie. Sądził, że spiskowały przeciwko niemu również inne siły. Uważał, że pomagają im nieprzyjazne mu regiony.

Nieważne, czy cokolwiek z tego okazywało się prawdą. Zachowywał się, jakby tak właśnie było. A to, co stanowiło prawdę dla Goddarda, stanowiło ją dla świata. A przynajmniej dla tej części, na której położył swoje łapska.

– Wszystko się ułoży – powiedział niemal dwóm tysiącom kosiarzy, którzy zgromadzili się na Pierwszym Kontynentalnym Konklawie. – Ludzie przywykną do tego, jak teraz jest, dostrzegą, że tak będzie dla nich lepiej, i się uspokoją.

Jednak do tego czasu szkło miało pozostać zmatowione, problematyczni obywatele zebrani, a ciche działa wyelimowane w miasto.

*

Goddard wciąż nie mógł się otrząsnąć po nieudanym najeździe na Amazonię. Arcyostrze Pickford nie zdołała pochwycić kosiarza Anastazji. Nie pierwszy raz go rozczarowała, ale niewiele mógł na to poradzić. Przynajmniej nie w tym momencie. Goddard już widział chwilę, gdy sam będzie mianował Arcyostrza z regionów Meryki Północnej, zamiast pozostawiać to nieprzewidywalnemu procesowi głosowania podczas konklawe.

Ratunkiem dla Pickford było to, że udało jej się złapać Rowana Damischa, który był akurat transportowany do Fulcrum City. To musiało wystarczyć, dopóki dziewczyna nie zostanie zatrzymana. Miał nadzieję, że Anastazja tak skupi się na ucieczce i szukaniu kryjówek, że nie zdoła sprawić większych kłopotów. Z perspektywy czasu stwierdził, że powinien utrzymać Krąg Czci na wodach ponad Niezłomnym. Martwił się, że eksploracja szczątków może ujawnić dowody, do czego tak naprawdę doszło. Wcześniej nie przypuszczał, aby tak się stało.

Poranek przyniósł inne zmartwienia. Goddard musiał odsunąć na bok frustrację, co okazało się o wiele trudniejsze niż kiedyś.

– Na góre zmierza Arcyostrze Shirase z regionu RossShelf z dość pokaźną świtą – poinformowała go doradczy Franklin.

– I są jednomyślni? – zażartowała Rand.

Goddard się zaśmiałał, Franklin jednak nie odpowiedziała wesołością.

– Ich myśli są mniej ważne niż skrzynie, które taszczą – wyznała.

Goddard spotkał się z delegacją w sali konferencyjnej po tym, jak kazał im odczekać pięć minut, ponieważ chciał mieć pewność, że nawet najważniejsi z jego gości domyślą się, iż jego harmonogram jest ważniejszy niż oni wszyscy razem wzięci.

– Nobu! – zawałał Goddard i podszedł do Arcyostrza Shirasego jak do starego przyjaciela. – Niezmierne miło mi cię widzieć! Jak się mają sprawy na Antarktydzie?

– Wszystko w porządku – odparł mężczyzna.

– Czy życie jest snem? – zagadnęła Rand.

– Czasami – powiedział Shirase, który nie zwracał uwagi na wyjątkową naturę w swoim regionie. – Ale chyba tylko kiedy musimy wiosłować na naszych łodziach.

Kurtuazyjny śmiech kosiarz Franklin zwiększył napięcie, zamiast rozluźnić atmosferę.

Goddard zerknął na osiem skrzyń trzymanych przez członków Straży Ostrza. Delegaci innych regionów przybywali przynajmniej z dziesięcioma. Jednak mniejsza liczba skrzyń mogła oznaczać, że ich zawartość została ciaśniej spakowana.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę, Wasza Ekscelencjo? – zapytał Goddard, chociaż wszyscy już wiedzieli.

– W imieniu regionu RossShelf chciałbym wręczyć Waszej Ekscelencji prezent. Mam nadzieję, że pomoże to scementować nasze relacje. – Shirase skinął głową na strażników, którzy postawili skrzynie na stole konferencyjnym i je otworzyli. Zgodnie z oczekiwaniami pełne były brylantów kosiarzy. – To cały udział naszego regionu w klejnotach wydobytych z Niezłomnego.

– Imponujące – stwierdził Goddard. – Czy to wszystkie?

– Tak, wszystkie.

Goddard spojrzał na połyskującą w słońcu zawartość, po czym uniósł wzrok na Shirasego.

– Przyjmuję prezent z pokorą i wdzięcznością oraz w duchu przyjaźni, z jakim zostały przekazane. A kiedy tylko będącie potrzebowali klejnotów dla kolejnych kosiarzy, będą one na was czekać. – Wskazał na drzwi. – Proszę iść za kosiarz Franklin, zaprowadzi was do mojej jadalni, gdzie nakazałem podać brunch – poinformował delegację. – Tradycyjne potrawy z Antarktydy, a także

midmerykańskie specjały. Na uczcie będziemy mieli okazję zacieśnić więzy przyjaźni. Przyjdę za chwilę i omówimy kwestie ważne dla obu naszych regionów.

Franklin wyprowadziła delegację, a wtedy wszedł Nietzsche.

– Przekaż jakieś dobre wieści, Freddy – polecił Goddard.

– Śledziliśmy zmierzającą na południe Anastazję – przyznał. – Pojedziemy za nią tak daleko, jak to możliwe, nim trafi na Tierra del Fuego.

Goddard westchnął.

– Ziemia Ognista nie będzie z nami współpracować. Zwiększymy wysiłki, zanim tam dotrze.

– Robimy, co w naszej mocy – upierał się Nietzsche.

– Róbcie więcej – nakazał Goddard.

Spojrzał na Rand, która przesuwała palcami po brylantach w jednej ze skrzyń.

– Przeliczamy, czy ufasz Shirasemu? – zapytała.

– Nie jest ważna liczba, Ayn, ale gest. Gromadzony przez nas skarb to jedynie środek do celu. Symbol czegoś znacznie cenniejszego niż brylanty.

Mimo to Goddard wiedział, że wrzuciłby je wszystkie do oceanu w zamian za kosiarz Anastazję.

25. Słońce i cień

Chociaż pomoc Anastazji w ucieczce z Amazonii była najeżona problemami, te zniknęły na horyzoncie za *Spence’em*, który przestał być jednostką eksploracyjną, a stał się statkiem ratowniczym, jak myślała o nim Jerico.

Wody były spokojne, gdy Amazonia niknęła za ich plecami, a przed nimi wschodziło słońce. O dzisiaj wiele wszelkie ślady lądu zniknęły, a jasne, poranne niebo tylko gdzieniegdzie znaczyły puchate obłoczki. Jeri wolałaby dziś ciężkie chmury – albo jeszcze lepiej, mgłę gęstą jak zupa – bo jeżeli kosiarze z Meryki Północnej zorientują się, że Anastazja płynie przez ocean, *Spence* być może zostanie namierzony i zatopiony.

– Spokojnie, nie ruszą za tobą – zakomunikował jej Possuelo, który został na lądzie.
– Dopolnowałem, aby przechwycili „tajny” komunikat. Połknęli haczyk. Według ich wiedzy Anastazja zmierza pociągiem na południe do Ziemi Ognistej, gdzie podobno schronienie zaoferował jej tamtejszy Arcyostrze. Aby historia się kleiła, zostawiliśmy po drodze jednoznaczne ślady DNA. Minie wiele dni, zanim zdadzą sobie sprawę, że szukają wiatru w polu!

Całkiem sprytnie to obmyślili. Północnomerykańscy kosiarze postrzegali tych z Amazonii jako zbyt prostych, by wymyślić takie podchody, a Jeri wiedziała, że władze Ziemi Ognistej nie będą współpracować z północnomerykańskim Kosodomem. Sędziowie z tamtego regionu byli ekstremalnie upierdliwi.

Z pełną prędkością dopłynęły do przystani w niecałe trzy dni.

Jeri obserwowała z mostka turkusową postać kosiarza Anastazji, która stała na sterburcie i wpatrywała się w ocean. Possuelo jasno dał do zrozumienia, że dziewczyna nie powinna być sama. Możliwe, że paranoja sędziego była uzasadniona, biorąc pod uwagę zdradę jednego z jego ludzi. Jeri bezgranicznie ufała swojej załodze, która okazała się bardzo lojalna wobec szefostwa. Mimo to zawsze mądrze przedsięwziąć środki ostrożności.

Anastazja została sama, tylko jeśli odesłałaby przydzielonego jej załoganta. Polecenia kosiarza stały ponad rozkazami kapitana. Jerico dostrzegła, że marynarz bacznie przygląda się sędzi z oddali. Pomyślała więc, że jedynym sposobem na skutecną ochronę samowolnej kosiarz będzie pilnowanie jej osobiście.

- Będą z nią same kłopoty – wieszczył oficer Wharton.
- Na pewno – odparła Jeri. – Ale nie wiemy jeszcze jakie.
- Przyniesie nam nieszczęście? – zasugerowała.
- Może tak, może nie. – Jeri zeszła z mostka i dołączyła do sędzi przy relingu. Anastazja nie patrzyła na wodę, nie spoglądała również na horyzont. Wyglądała tak, jakby wpatrywała się w coś, co nie istnieje.
- Zastanawiasz się, czy skoczyć? – zapytała Jeri, pragnąc przełamać lody. – Mam się martwić?

Anastazja spojrzała na Jeri, po czym ponownie zwróciła wzrok na ocean.

- Znużyło mnie chodzenie w kółko na dole – wyznała. – Pomyślałam, że uspokoję się na pokładzie. Possuelo się odzywał?

– Tak.

– Mówił coś na temat Rowana?

Jeri przez chwilę nie odpowiadała.

- Nie, nie mówił, a my nie pytaliśmy – odparła wreszcie.
- W takim razie został złapany – wywnioskowała Anastazja i sfrustrowana uderzyła ręką w reling. – Płynę ku wolności, a jego pojmano.

Jeri niemal spodziewała się, że kosiarz każe zatrzymać. Gdyby to zrobiła, musieliby się podporządkować, bo przecież była kosiarzem. Jednak Anastazja okazała się na tyle mądra, by wiedzieć, że tym jedynie pogorszyłaby sprawę.

- Za nic na świecie nie potrafię zrozumieć twojego oddania kosiarzowi Lucyferowi
- ośmieniła się wyznać Jeri.

– Nic o tym nie wiesz.

- Wiem więcej, niż ci się wydaje. Byliśmy na pokładzie z Possuelem, gdy otworzono skarbiec. Ukazaliście się nam w objęciach. To załyłość, której nawet śmierć nie zdołała ukryć.

Anastazja odwróciła wzrok.

– Zdjeliśmy ubrania, żeby zimno zabiło nas szybciej niż brak tlenu.

Jeri się uśmiechnęła.

– Podejrzewam, że to jedynie półprawda.

Anastazja długo przyglądała się Jeri, po czym zmieniła temat.

- Jerico to dość niespotykane imię. Przypomniała mi się historia z Epoki Śmiertelności o walących się murach miasta. Jesteś burzycielką murów?

– Można powiedzieć, że znajduję rzeczy w ruinach murów – odparła Jeri. – Jednak prawdę mówiąc, to imię nie ma żadnego związku z historią Jerycha. Jeśli ci to przeszkadza, możesz zwracać się do mnie Jeri. Każdy tak robi.

– Dobrze. A jakimi posługujesz się zaimkami?

Jerico ucieszyło to bezpośrednie pytanie. Niektórzy nadal czuli się zbyt niezręcznie, by tak wprost zagadnąć – zupełnie jakby Jeri przypadkowo była niejednoznaczna.

– On, ona, ono, onu. Zaimki są męczące i rozleniwiające. Wolę mówić do kogoś po imieniu, ale odpowiadając na twoje złożone pytanie, jestem zarówno mężczyzną, jak i kobietą. Pochodzę z Madagaskaru.

Anastazja pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Na pewno uważasz nas, binarnych, za dziwnych i dezorientujących.

– Tak było w mojej młodości. Wtedy nie dane mi było spotkać kogoś z jedną płcią, stało się to dopiero w moich nastoletnich latach. Ale akceptuję i nawet doceniam waszą ekscentryczną sztywność.

– Zatem postrzegasz się tym i tym, jednak domyślam się, że są chwile, gdy któraś płeć w tobie przeważa.

Już nie tak bezpośrednio, ale wnikliwie, przyszło Jeri na myśl. Anastazja robiła coraz lepsze wrażenie. Zadaje właściwe pytania.

– Można by rzec, że dyktują to niebiosa. Kiedy niebo jest czyste, wybieram bycie kobietą. Kiedy pojawią się na nim chmury, jestem mężczyzną. – Obróciła się i spojrzała na migoczące w promieniach słońca fale. Od czasu do czasu chmury rzucały na nie cienie, jednak w tym momencie nic ich nie przysłaniało. – Teraz jestem kobietą.

– Rozumiem – powiedziała Anastazja bez oceny, o jaką pokusiliby się niektórzy. – Mój ojciec, który uczy w szkole historii Epoki Śmiertelności, mawia, że Słońce w mitologii prawie zawsze było rodzaju męskiego, tak samo jak Księżyc. Decyzja o byciu kobietą w ich blasku tworzy równowagę. Są w tobie naturalne yin i yang.

– I w tobie również – odparła Jeri. – W końcu turkus to barwa symbolizująca równowagę.

Anastazja się uśmiechnęła.

– Nie wiedziałam. Zdecydowałam się na ten kolor, ponieważ zaproponował mi go brat.

Przez jej twarz przemknął cień. Smutek na myśl o członku rodziny. Jeri uznała, że to zbyt osobisty ból, aby go zgłębiać, i dała temu spokój.

– Nie przeszkadza ci być zawsze na łasce pogody? – zapytała Anastazja. – Można by pomyśleć, że ktoś taki jak ty chciałby być zależny od jak najmniejszej liczby czynników. Poza tym musi to być niewygodne przy częściowym zachmurzeniu, jak na przykład dziś.

Jak na zwołanie słońce zasłoniła mała chmurka, która zaraz popłynęła dalej, i znów zaświeciło słońce. Jeri się roześmiała.

– Tak, czasami, ale przyzwyczaiłam się, nawet to zaakceptowałam. Ta nieprzewidywalność stała się częścią mojej tożsamości.

– Często zastanawiałam się, jak by to było urodzić się na Madagaskarze – wyznała Anastazja. – Nie żeby interesowało mnie bycie mężczyzną, ale rozmyślałam, jak by to było w młodości poznać obie strony, żeby pojąć, co je różni.

– O to właśnie chodzi – powiedziała Jeri. – To powód, dla którego tak wiele osób przybywa na Madagaskar i wychowuje tam dzieci.

Anastazja zadumała się na moment.

– Przypuszczam, że gdybym jak ty dzieliła czas pomiędzy ląd i wodę, wybrałabym jedną płeć na ziemi, a drugą na morzu. W ten sposób nie byłabym zależna od wiatru.

– Cóż, tak czy inaczej, cieszyłabym się twoim towarzystwem.

– Hm – mruknęła nieśmiało Anastazja. – Flirtujesz ze mną w słońcu. Zastanawiam się, czy robiłabyś to też w czasie burzy.

– Jedną z zalet madagarskiego pochodzenia jest to, że postrzegamy ludzi jako ludzi. Jeśli chodzi o pociąg, płeć nigdy nie wchodzi w grę. – Jeri uniosła wzrok, gdy światło nieco przygasło. – Widzisz? Chmura zasnuła słońce i nadal jestem tobą zainteresowany.

Anastazja odsunęła się od relingu, uśmiechając się łagodnie.

– Wydaje mi się, że na tę chwilę mam dość słońca i cienia. Miłego dnia, panie kapitanie. – Obróciła się, by zejść pod pokład, a jej toga powiewała za nią niczym luźny żagiel na wietrze.

26. Naczynie nienawiści

Rowan nie miał pojęcia o niczym, co wydarzyło się na świecie podczas jego trzyletniej nieobecności. W przeciwnieństwie do Citry nikt go w to nie wprowadził. Wszystkie strzępki informacji poznał mimochodem. Wiedział, że Goddard rządził w tej chwili większością Meryki Północnej, co nie było dobre dla nikogo, a już zwłaszcza dla Rowana.

Stał teraz przywiązanny do szklanej kolumny pośrodku kryształowej posiadłości Goddarda. Czy nie istniało powiedzenie, według którego ludzie mieszkający w szklanych domach nie powinni rzucać kamieniami? Cóż, gdyby miał kamień, nie rzuciłby nim. Ukryłby, aż mógłby wykorzystać bardziej efektywnie.

Ożywiono go zaledwie wczoraj, jak mówiła Arcyostrze Pickford. Śmierć nie była wystarczająco dobra dla kosiarza Lucyfera. Znając Goddarda, jego koniec będzie pełen przepychu i widowiskowy.

Goddard przyszedł do niego jak zwykle z kosiarzem Rand u boku. Na twarzy sędziego nie malowała się wściekłość. Raczej serdeczność. Ciepło – o ile można tak określić minę zimnokrwistej kreatury. To Rowana zdziwiło. Wzbudziło w nim niepewność. Rand natomiast wyglądała na zmartwioną, a chłopak wiedział dlaczego.

– Najdroższy Rowanie – zaczął Goddard, rozkładając szeroko ręce, jakby chciał go uścisnąć, jednak zatrzymał się kilka kroków od niego.

– Zaskoczony na mój widok? – zapytał Rowan z taką wesołością, jaką zdołał z siebie wykrzesać.

– Nic mnie w twoim przypadku nie zdziwi – odparł Goddard. – Ale muszę przyznać, że zaimponowałeś mi powrotem po zatonięciu Wyspy Niezłomnego Serca.

– Którą sam zatopiłeś.

– Wręcz przeciwnie – rzucił Goddard. – Ty ją zatopiłeś. Właśnie to pokazuję i zawsze będą pokazywać nagrania.

Jeżeli próbował go zdenerwować, to mu się nie udało. Rowan pogodził się już z własną niesławą. Kiedy postanowił zostać kosiarzem Lucyferem, domyślał się, że zostanie znienawidzony. Oczywiście spodziewał się tej nienawiści jedynie ze strony kosiarzy. Nigdy nie przypuszczał, że będzie nim również gardziła reszta świata.

– Wydajesz się szczęśliwy, że mnie widzisz – wytknął Rowan. – To pewnie przez ciało, które ukradłeś. Organizm Tygera reaguje pozytywnie na widok swojego kumpla.

– Być może – zgodził się Goddard, zerkając na ręce Tygera, jakby miały wyrosnąć im usta i coś do niego powiedzieć. – Ale reszta mnie również się cieszy na twój widok! Wiesz, jako potwór kosiarz Lucyfer jest nieistotny, ale jako człowiek jest kimś, kogo mogę wykorzystać dla dobra ludzkości.

– Masz na myśli dobro Goddarda.

– To, co dobre dla mnie, jest też dobre dla świata, teraz już na pewno zdajesz sobie z tego sprawę – odpowiedział. – Postrzegam świat z szerszej perspektywy, Rowanie. Jak zawsze. Sąd nad kosiarzem Lucyferem pomoże ludziom trochę się rozluźnić.

Rand cały czas milczała. Usiadła i obserwowała przedstawienie. Czekała na to, co zrobi Rowan. Jakimi rzuci oskarżeniami. Mimo wszystko to ona uwolniła go w Niezłomnym. Mógł jej teraz zaszkodzić, ale to nie byłoby lepsze niż rzucanie kamieniem.

– Nie martw się. Jeśli chcesz zostać zapamiętany, tak właśnie będzie. Kiedy dokonamy twojego zbioru, twoje imię stanie się wiecznym naczyniem nienawiści. Jesteś niesławny, Rowanie, powinieneś się tym cieszyć! To jedyna sława, jaką dostaniesz. Nie zasługujesz na nic więcej. Potraktuj to jako dar za wszystko, do czego między nami doszło.

– Naprawdę dobrze się bawisz, co?

– Och, wyśmienicie – przyznał Goddard. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ile razy stałem tu, wyobrażając sobie wszystkie te sposoby, na jakie mógłbym cię torturować!

– A kogo będziesz dręczył, gdy mnie już nie będzie?

– Na pewno kogoś sobie znajdę. A może nie będę musiał. Może jesteś ostatnim cierniem w boku, który muszę zlikwidować.

– Nie, zawsze znajdzie się jeszcze jeden.

Goddard klasnął, połechtany.

– Tak bardzo brakowało mi rozmów z tobą!

– Masz na myśli te, w których napawasz się wyższością, a ja jestem związany?

– Widzisz? Podoba mi się sposób, w jaki bezpośrednio zmierzasz do sedna. To nawet zabawne. Trzymałbym cię jako pupila, gdybym się nie obawiał, że uciekniesz i we śnie usmażysz mnie jak grzankę.

– Zrobiłbym to – przyznał Rowan.

– Nie wątpię. Ale bądź pewien, że dziś nie uciekniesz. Nie musimy już mierzyć się z błędami kosiarza Brahmsa.

– Dlaczego? Pożarły go rekiny jak całą resztę?

– Tak, na pewno – odparł Goddard. – Ale już nie żył, zanim go dopadły. To kara za umożliwienie ci ucieczki.

– No tak – rzucił tylko Rowan, jednak kątem oka łyknął na Rand, która zmieniła pozycję na krzesle, jakby nagle zrobiło jej się gorąco.

Goddard zbliżył się do niego i odezwał łagodniejszym głosem:

– Może nie uwierzysz, ale naprawdę za tobą teskniłem, Rowanie. – W tym prostym stwierdzeniu zawierała się szczerość wykraczająca poza zwykłe popisy Goddarda. – Jesteś jedynym człowiekiem, który ma odwagę mi się stawić. Mam sporo przeciwników, ale wszyscy są popychadłami. Łatwo ich stłamsić. Ty od początku byłś inny. – Odsunął się o krok i spojrzał na Rowana, oceniając go niczym obraz, który stracił swój powab. – Mogłeś być moim pierwszym doradcą – wyznał. – Dziedzicem światowego Kosodomu. I nie miej złudzeń, kiedy skończę, będzie jeden światowy Kosodom. Właśnie taka byłaby twoja przeszłość.

– Gdybym tylko potrafił wyłączyć własne sumienie.

Goddard z żalem pokręcił głową.

– Sumienie to narzędzie jak każde inne. Jeśli nie ty nim władasz, ono włada tobą, a z tego, co widzę, dało ci w kość. Nie, świat bardziej potrzebuje jedności, którą ja mu oferuję, niż twojego uproszczonego pojmowania dobra i zła.

Najgorsze, że Goddard zawsze rozumiał swoje złe zachowanie. Potrafił również manipulować, zasiewać w głowach innych własne myśli. Właśnie dlatego był tak niebezpieczny.

Rowan stracił nieco uporu i hartu ducha. Czy Goddard miał w czymkolwiek rację? Głos w jego wnętrzu mówił, że nie, lecz ten głos był bardzo odległy i cichy.

– Co ze mną zrobisz? – zapytał.

Goddard przysunął się i szepnął mu do ucha:

– Rozliczę cię.

*

Kosiarz Rand sądziła, że zdołała zostawić przeszłość za sobą. Kiedy jednak zdążyła wyruszyć na jedną ze swoich wypraw do kaplicy konstruktów, dostała wiadomość, że

kosiarz Lucyfer żyje i znajduje się w Amazonii. Misja wydostania go stamtąd odbyła się bez jej wiedzy. Rowan był już w drodze, kiedy Goddard przekazał Rand „wspaniałą nowinę”.

Poczuła się okropnie. Gdyby dostała wcześniej ostrzeżenie, znalazłaby sposób, żeby uciec z Rowanem, nim dopadły go Goddard.

Ale oto tu był, milcząc na temat jej działalności. Czy zachował wszystko w tajemnicy, by obserwować, jak się wije? Ayn zastanawiała się, na czym polega jego gra.

Tym razem Goddard nie był tak lekkomyślny, żeby zostawiać Rowana samego w pomieszczeniu. Do pilnowania go przydzielił dwóch strażników. Nakazał im zachować dystans i nie spuszczać więźnia z oka.

– Masz co godzinę do niego zaglądać – polecił jej Goddard. – Sprawdzać, czy nie poluzował kajdanek, czy nie przekabacił strażników.

– Uszkodź im słuch, by ich nie przekonał – zasugerowała. Rzuciła to jako żart, lecz Goddard wziął to na poważnie.

– Niestety, uleczyliby się w godzinę.

Zamiast więc psuć słuch strażnikom, zmuszono Rowana do milczenia w dość starodawny sposób – zakneblowano go. Jednak ilekroć Ayn przychodziła sprawdzić, co z pojmanym, ten zawsze był bez knebla. Uśmiechał się, mimo że był mocno związany.

– Hej, Ayn – powiedział przyjaźnie. – Masz dobry dzień?

– Nie słyszałeś? – odparła. – Każdy dzień jest dobry, odkąd Goddard stał się Supraostrzem.

– Przepraszam, sędzio – zaczął jeden ze strażników – ponieważ polecono nam zachować dystans, nie mogliśmy umieścić knebla z powrotem w jego ustach. Być może pani się uda.

– A co mówił?

– Nic – odpowiedział drugi strażnik. – Śpiewał utwór, który był popularny kilka lat temu. Chciał, byśmy mu wtórowali, ale się nie zgodziliśmy.

– I dobrze – rzuciła Ayn. – Podziwiam waszą powściągliwość.

Rowanowi przez cały czas uśmiech nie schodził z twarzy.

– Wiesz, Ayn, mogłem poinformować Goddarda, że to ty dałaś mi uciec w Niezłomnym.

Tak po prostu. Wyłożył kawę na ławę przy świadkach.

– Kłamstwo zaprowadzi cię donikąd – powiedziała ze względu na strażników, po czym kazała im wyjść do innego pomieszczenia. Szkalone ściany nie kryły widoku, ale przynajmniej po zamknięciu drzwi tłumili dźwięk.

– Nie sądzę, żeby ci uwierzyli – stwierdził Rowan. – Nie byłaś przekonującą.

– Masz rację – przyznała. – Co oznacza, że muszę teraz dokonać ich zbioru. Będziesz miał ich krew na rękach.

– Twoje ostrze, nie moje – rzucił lekko.

Poświęciła chwilę, by zerknąć na niczego nieświadomych strażników po drugiej stronie szklanej ściany. Problemem nie był zbiór, ale ukrycie faktu, że to jej dzieło. Musiała zaangażować do tego któregoś nisko postawionego kosiarza i przekonać go, by potem zebrał samego siebie. Należało zrobić to wszystko w taki sposób, żeby nie wydało się podejrzane. Wielki kłopot.

– Uwolnienie cię było najgorszą decyzją, jaką w życiu podjęłam.

– Nie najgorszą – odparł Rowan. – Nawet do niej nie zbliżoną.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym Goddardowi? Z jakiego powodu to przemilczałeś?

Rowan wzruszył ramionami.

– Wyśniadczyłaś mi przysługę, więc się odwdzięczyłem. Teraz jesteśmy kwita. A poza tym raz go już wykiwałaś. Może uda ci się to ponownie.

– Wszystko się zmieniło.

– Tak? Wciąż nie widzę, żeby traktował cię tak, jak powinien. Czy kiedykolwiek powiedział ci to, co dziś mnie? Że powinnaś być jego dziedziczką w światowym Kosodomie? Nie? Wydaje mi się, że traktuje cię jak wszystkich innych. Jak służkę.

Ayn zaczepnęła głęboko powietrza, gdy nagle poczuła się bardzo samotna. Przeważnie tak wolała, ale to było zupełnie co innego. Czuła, że nie ma żadnych sprzymierzeńców. Jakby każdy na świecie stał się jej wrogiem. I może to prawda? Nie spodobało jej się, że taki stan potrafił wywołać u niej ten zadowolony z siebie chłopak.

– Jesteś o wiele bardziej niebezpieczny, niż mu się wydaje – wyznała.

– Ale nadal tu jesteś i mnie słuchasz. Dlaczego?

Nie chciała zastanawiać się nad tym pytaniem. Zamiast tego przez myśl przemknęły jej wszystkie sposoby, na jakie mogłyby dokonać zbioru Rowana tu i teraz, oraz cholerne konsekwencje takiego działania. Gdyby go jednak zebrała, nie byłoby to permanentne. Nie mogła wykończyć chłopaka w tym domu, bo Goddard po

prostu by go ożywił, aby osądzić zgodnie ze swoim planem. Po ożywieniu Rowan mógł o wszystkim opowiedzieć Goddardowi. Ayn miała tak samo związane ręce jak chłopak.

– Nie żeby to miało jakiekolwiek znaczenie, ale chciałbym wiedzieć – zaczął Rowan. – Popierasz to, co on wyprawia? Uważasz, że prowadzi świat we właściwym kierunku?

– Nie ma takowego. Istnieje jedynie taki, który poprawia sytuację naszego gatunku, oraz taki, który tego nie robi.

– Mówiąc o „naszym gatunku”, masz na myśli kosiarzy?

– Tak, a kogo innego?

– Kosiarze powinni uczynić ten świat lepszym dla wszystkich, nie na odwrót.

Jeżeli uważała, że się tym przejmowała, to grubo się mylił. Etyka i moralność towarzyszyły starej gwardii. Sumienie Ayn było czyste, ponieważ go nie miała i jak zawsze była z tego dumna.

– Zamierza publicznie cię wykończyć – wyznała. – I mam tu na myśli sposób, który spowoduje, iż nikt nie będzie miał wątpliwości, że kosiarz Lucyfer zniknął na zawsze. Zostaniesz zwyciężony i przepadniesz.

– Czy też tego chcesz?

– Nie będę po tobie płakać – odpowiedziała. – Poczuję ulgę, gdy cię nie będzie. Wiedział, że mówiła prawdę.

– Wiesz, sędzio Rand, nadejdzie chwila, gdy ego Goddarda wymknie się spod kontroli tak bardzo, że nawet ty spostrzeżesz, jak to niebezpieczne, ale będzie wtedy tak potężny, że nie znajdzie się nikt, kto zdoła stawić mu czoło.

Ayn nie chciała temu zaprzeczać, ale aż dostała ciarek. Jej własne ciało podpowiadało, że Rowan mówił prawdę. Nie, nie będzie płakać po kosiarzu Lucyferze, ale kiedy on już odejdzie, jej wciąż pozostaną zmartwienia.

– Naprawdę jesteś taki jak on – stwierdziła. – Obaj mieszacie ludziom w głowach, aż nie mają pojęcia, w którą iść stronę. Zatem wybacz, jeśli nigdy więcej nie będę z tobą rozmawiać.

– Będziesz – rzekł Rowan z absolutną pewnością. – Ponieważ kiedy już mnie wykończy, zmusi cię, żebyś pozbyła się wszystkiego, co ze mnie zostanie, tak jak w przypadku Tygera. Wtedy, gdy nikt nie będzie słuchał, będziesz gadać do moich zwęglonych kości, aby ostatnie słowo mogło należeć do ciebie. Może nawet na nie naplujesz, ale i tak nie poczujesz się po tym lepiej.

To było irytujące, bo wiedziała, że w każdym aspekcie miał rację.

27. Kopuła rozkoszy Tenkamenina

Spence przewiózł kosiarz Anastazję przez Ocean Atlantycki wprost do regionu subsaharyjskiego na kontynencie afrykańskim. Odległość była znacznie krótsza, niż mogłoby się niektórym wydawać, podróż trwała niecałe trzy dni. Przybyli do nadmorskiego miasta Port Remembrance, podczas gdy kosiarze z Meryki Północnej wciąż szukali Anastazji w Południowej.

W Epoce Śmiertelności Port Remembrance znany był jako Monrovia, lecz Thunderhead postanowił, że ze względu na mroczną przeszłość związaną z niewolnictwem, a następnie źle przeprowadzoną repatriacją, miasto powinno dostać nową nazwę, której absolutnie nikt nie uzna za obraźliwą. Naturalnie mieszkańców poczuli się urażeni, ale Thunderhead podtrzymał swoją decyzję i jak w przypadku innych sytuacji ta również okazała się słuszna.

Kosiarz Anastazja spotkała się z Arcyostrzem Tenkameninem – zagożdałym przeciwnikiem Goddarda, który zgodził się w tajemnicy zapewnić jej schronienie.

– Tyle hałasu o tak młodą kosiarz! – powiedział donośnie, aczkolwiek dobrodusznie, witając się z dziewczyną. Nosił kolorową, skrupulatnie zaprojektowaną togę, aby oddać hołd historycznej kulturze swojego regionu. – Nie martw się, mała. Jesteś bezpieczna, bo znalazłaś się pośród przyjaciół.

Chociaż Citra uznała *meu anjo*, „mój aniele”, Possuela za ujmujące, określenie „mała” brzmiało według niej lekko obraźliwie. Jako kosiarz Anastazja trzymała jednak wysoko uniesioną głowę i w imię dyplomacji powstrzymała się od komentarza. Jeri natomiast nic nie powstrzymało.

– Nie taka mała – wtrąciła.

Arcyostrze rzucił jej zblazowane spojrzenie.

– A ty to kto?

– Jerico Soberanis. Dowodzę statkiem, który skutecznie sprowadził kosiarz Anastazję w pana przyjazne ramiona.

– Słyszałem o tobie – stwierdził. – Jesteś jak hiena cmentarna.

– Zajmuję się eksploracją – poprawiła. – Odszukuję, co utraccono, i naprawiam to, co nie do naprawienia.

– Zapamiętam – rzucił Tenkamenin. – Dziękuję za twoje usługi. – Objął Anastazję po ojcowsku i wraz ze swoją świętą wyprowadził ją z doku. – Na pewno jesteś zmęczona i głodna po takiej podróży. Wszystko przygotowaliśmy dla twojej wygody.

– Jednakowoż Jeri szła za Arcyostrzem, dopóki ten nie zapytał: – Nie zapłacono ci? Possuelo z pewnością uregulował rachunek.

– Przykro mi, Ekscelencjo – wyznała – kosiarz Possuelo rozkazał, bym nie odstępowała kosiarz Anastazji ani na krok. Mam wielką nadzieję, że nie nakaże mi pan łamać danego słowa.

Arcyostrze westchnął przesadnie.

– Dobrze – powiedział, po czym zwrócił się do swoich ludzi, jakby stanowili całość:

– Przygotować dodatkowe miejsce przy stole oraz odpowiedni pokój dla naszej wspaniałej pani kapitan.

W końcu głos zabrała Anastazja.

– Odpowiedni nie wystarczy – poinformowała Arcyostrze. – Jerico zaryzykowała wszystkim, żeby mnie tu sprowadzić, więc powinna być traktowana z taką samą uprzejmością jak ja.

Świta Arcyostrza przygotowała się na wybuch, ale po chwili mężczyzna jedynie głośno się roześmiał.

– Śmiałość jest tu bardzo ceniona – rzekł. – Dogadamy się! – Następnie zwrócił się do Jeri: – Proszę o wybaczenie, ale uwielbiam się bawić. Tak po prostu. Jesteś tu mile widziana jako szacowna gościni i tak też będziemy cię traktować.

*

Jeri nie dostała żadnego takiego rozkazu od Possuela. Miała jedynie dostarczyć tu kosiarz Anastazję, co też uczyniła. Nie była jednak gotowa rozstać się z sędzią w turkusowej todze, a poza tym załoga *Spence'a* zasłużyła na trochę wolnego. Zachodnie wybrzeże Subsahary było idealnym miejscem na urlop. Dzięki temu Jeri mogła mieć oko na Anastazję i Arcyostrze, który nieco za bardzo się do niej przymilał.

– Ufasz mu? – zapytała Anastazję, nim wsiadły do sedanów, które miały zabrać je do pałacu Tenkamenina.

– Possuelo mu ufa – wyznała Anastazja. – Mnie to wystarczy.

– Possuelo zaufał również temu młodemu kosiarzowi, który wydał cię Goddardowi – wytknęła Jeri. Anastazja nie potrafiła jej na to odpowiedzieć. – Będę twoją dodatkową parą oczu – zapewniła.

– Pewnie to nie będzie konieczne, ale doceniam chęci – odparła kosiarz.

Jeri nigdy nie odpuszczała wynagrodzenia, teraz jednak stwierdziła, że uznanie Anastazji było wystarczającą zapłatą za jej usługi.

*

Tenkamenin, który który bliskim pozwalał zwracać się do siebie Tenka, miał głęboki głos oraz rozbrajającą, wylewną naturę. Mówił donośnie, nawet kiedy szeptał. Citra uznała, że to zarówno urocze, jak i onieśmielające. Postanowiła odsunąć od siebie swoją pierwotną postać i w jego towarzystwie być tylko kosiarz Anastazją.

Zauważyła, że jego wskaźnik genetyczny przechylał się nieznacznie w stronę Afryki. Zrozumiałe, skoro to właśnie ten kontynent dodał tych genów do biologicznego melanżu ludzkości. Sama Anastazja też miała w sobie więcej genów afrykańskich niż panazjatyckich, kaukaskich, mezolatynowskich czy jakichkolwiek, które wpisywały się w kategorię „inne”. Podczas podróży Tenkamenin zauważył to i wytnął.

– Nie powinniśmy zwracać uwagi na takie rzeczy – powiedział – lecz ja to robię. Oznacza to, że jesteśmy nieco bardziej spokrewnieni.

Rezydencja była czymś więcej jak domem. Tenkamenin zbudował sobie okazały gmach rozkoszy i nakrył go kopułą.

– Nie nazywam tego Xanadu jak Kublai Khan – powiedział Anastazji. – Poza tym kosiarz Khan nie miał gustu. Mongolski Kosodom słusznie go zburzył, gdy ten zebrał samego siebie.

Pałac był, podobnie jak sam Tenka, stylowy i uosabiał wyważony smak.

– Nie jestem pasożytem przejmującym cudze majątki i wyrzucającym właścicieli – przyznał z dumą. – To miejsce zbudowałem od podstaw! Zapraszałem do pracy całe społeczności, wypełniając ich bezczynność satysfakcjonującą pracą. I nadal tak jest, bo co roku coś dodają. Nie dlatego, że ich o to proszę, ale dlatego, że sprawia im to rozkosz.

Chociaż Anastazja początkowo wątpiła, by robili to z własnego wyboru, po rozmowach z pracownikami przekonała się, że się myliła. Oni naprawdę uwielbiali

Tenkę i dobrowolnie poświęcali czas na budowę jego pałacu. Nie szkodziło również, że płacił im znacznie więcej niż dochód podstawowy.

Gmach pełen był ekstrawagancji dawnego świata, które dodawały mu smaku. Anachroniczne stroje personelu wywodziły się z różnych epok. Znajdowała się tu kolekcja klasycznych zabawek sprzed kilku wieków. Były też telefony. Plastikowe pudełka w przeróżnych kolorach stały na blatach i wisiały na ścianach. Miały słuchawki połączone z bazami długimi, poskręcanymi przewodami, które podobne były do sprężyn i się plątały.

– Podoba mi się rodzaj komunikacji, który łączył tylko z jednym miejscem – powiedział jej gospodarz. – Zmusza do poświęcenia należytej uwagi rozmówcy.

A ponieważ telefony były zarezerwowane na prywatne rozmowy Arcyostrza, nigdy nie dzwoniły. Anastazja przypuszczała, że to dlatego, iż Tenkamenin nie pilnował prywatności. Żył jak w oknie wystawowym.

Następnego dnia rano Anastazja została wezwana na spotkanie z Tenkameninem oraz kosiarzami Babą i Makedą – członkami swity Arcyostrza, dla których sensem życia było przychodzić do niego na audiencje. Baba miał kąśliwe poczucie humoru i opowiadał dowcipy, które rozumiał jedynie Tenka. Makeda zdawała się czerpać radość z poniżenia Baby.

– Ach! Przyszła nasza pani z głębin! – powiedział Tenka. – Siadaj, proszę, mamy tyle do omówienia.

Kiedy Anastazja zajęła miejsce, poczęstowano ją małymi, trójkątnymi kanapeczkami z odciętymi skórkami, ułożonymi na tacy w wiatraczek. Arcyostrze zawsze dbał o prezencję.

– Jak rozumiem, rozchodzą się wieści o twoim ożywieniu. Sojusznicy Goddarda starają się to ukryć, nasi przyjaciele ze starej gwardii rozdmuchują zaś sprawę. Stworzymy napięcie, aby słuchał cię cały świat, gdy już postanowisz się pojawić.

– Jeśli świat będzie słuchał, muszę mieć coś do powiedzenia.

– I tak się stanie – oznał Tenka z taką pewnością, że Anastazja zaczęła się zastanawiać, o co mogło mu chodzić. – Natknęliśmy się na obciążające informacje.

– Oskarżenie w świecie bez zbrodni czy narodów – dodał Baba. – Wyobrażasz sobie?

Tenkamenin parsknął śmiechem, a Makeda przewróciła oczami. Następnie Arcyostrze wyciągnął rękę przez stół i na talerzu po chlebie Anastazji położył łabędzia origami.

– Tajemnice ponad tajemnicami – powiedział z uśmiechem. – Powiedz mi, Anastazjo, jak dobrze potrafisz prowadzić poszukiwania w mózgu peryferyjnym Thunderheada?

– Doskonale – odparła.

– Świeście – rzucił Tenkamenin. – Rozłoż łabędzia, a będziesz miała od czego zacząć.

Anastazja obracała origami w palcach.

– Czego mam szukać?

– Musisz przetrzeć szlak. Nie powiem ci, czego masz szukać, bo jeśli to zrobię, przegapisz to, co intuicyjnie byś znalazła.

– Rzeczy, które prawdopodobnie my przeoczyliśmy – dodała Makeda. – Potrzebujemy świeżego spojrzenia na tę sprawę.

– A poza tym – powiedział Baba. – Nie wystarczy, żebyś poznała te informacje. Musisz je odnaleźć, abyś mogła przekazać innym, jak ich szukać.

– No właśnie – podkreślił Tenkamenin. – Udanego kłamstwa nie tworzy kłamca, tylko gotowość słuchacza do uwierzenia w nie. Nie możesz zdemaskować ściemy, nie podważając wiary w nią. Właśnie dlatego doprowadzenie ludzi do prawdy jest znacznie skuteczniejsze niż samo jej wyznanie.

Słowa te wybrzmiały, a Anastazja ponownie spojrzała na łabędzia, nie chcąc niszczyć jego delikatnych skrzydeł.

– Kiedy wyciągniesz własne wnioski, podzielimy się z tobą informacjami, które zgromadziliśmy – oznajmił Tenkamenin. – Gwarantuję, że wyprawa w głąb mózgu peryferyjnego otworzy ci oczy.

28. Mroczny celebryta

Zaproszeni zostali wszyscy. Kiedy Arcyostrze wysyła zaproszenie, nie można go zignorować. Co oznaczało, że stadion z pewnością wypełni się po brzegi.

Goddard wystosował publiczne zaproszenie do wszystkich znajdujących się pod parasolem jego wpływu. Rzadko zdarzało się, aby kosiarz – a tym bardziej tak potężny – bratał się ze zwykłymi ludźmi. Komunikacja z nimi ograniczała się do kul, ostrzy, pałek i okazjonalnie trucizn. Kosiarze po prostu nie czuli potrzeby interakcji z motłochem. Nie byli wybranymi na swoje stanowiska urzędnikami, nie odpowiadali przed nikim poza sobą. Nie mieli powodu, aby podbiąć ludzkie serca, skoro jedynym ich celem było zakończenie ich bicia.

Kiedy więc sam Supraostrze Goddard rozesłał zaproszenia, zauważono to w całej Meryce. Pomimo że mieszkał w ufortyfikowanej wieży, twierdził, że jest kosiarzem ludu – a oto dowód. Był gotów podzielić się swoim triumfem ze zwykłymi osobami. Ostatecznie ludzkie pragnienie, by znajdować się blisko najważniejszych kosiarzy na kontynencie, przewyższało strach przed nimi. Bilety rozeszły się w ciągu pięciu minut od ich udostępnienia. Pozostali mieli zobaczyć wydarzenie w domach i firmach.

A ci szczęściairze, którzy zdołali zdobyć bilety na egzekcję, stanały się świadkami historii. Będą mogli opowiadać dzieciom, wnukom, prawnukom i praprawnukom, że byli na miejscu tego dnia, gdy dokonano zbioru kosiarza Lucyfera.

Nie bali się go, w przeciwieństwie do kosiarzy, ale pogardzali nim, ponieważ obwiniali Lucyfera o zatopienie Wyspy Niezłomnego Serca, o milczenie Thunderheada i własny status bezmanierowców. Świat został ukarany za jego zachowanie. Był, jak to celnie ujął Goddard, naczyniem nienawiści świata. Naturalne więc, że pojawiły się ludzie, którzy pragnęli zostać świadkami jego brutalnego końca.

*

Nie istniały już takie rzeczy jak pojazdy opancerzone. Większość samochodów trudno było zniszczyć, mimo to w ciągu kilku dni zbudowano specjalną ciężarówkę do transportu kosiarza Lucyfera, do której dodano widoczne stalowe nity oraz kraty w oknach. Miała przejechać w linii prostej z Fulcrum City do Mile High City, gdzie

zaplanowano zbiór, jednak konwój obrał okrężną trasę, wioząc więźnia przez tak wiele miast Midmeryki, jak to tylko możliwe, nim dotarł do celu. Przemierzenie tej trasy powinno zająć jeden dzień, a trwało niemal tydzień.

Rowan wiedział, że zbiór zostanie wykorzystany w celach marketingowych, ale nie spodziewał się, że Goddard aż tak się będzie chełpił.

W konwoju uczestniczyło przynajmniej kilkanaście pojazdów. Członkowie Straży Ostrza na motocyklach, fantazyjne limuzyny w kolorach wysokiej rangi kosiarzy oraz wielka, kanciasta ciężarówka za nimi, a także – dalej – kolejni strażnicy na motocyklach. Wszystko ciągnęło się niczym ślubny orszak.

Sam Supraostrze się nie zjawił, chociaż pierwsza limuzyna miała barwę błękitu i usiana była błyszczącymi gwiazdami. Nikt w niej jednak nie siedział, z czego tłum nie zdawał sobie sprawy. Prawda była taka, że Goddard nie zamierzał udawać się w długą, żmudną podróż, kiedy mógł osiągnąć cel, zaledwie udając, że siedzi na miejscu. Nie musiał się przecież pojawiać aż do faktycznego zbioru.

Zadanie eskortowania przerażającego kosiarza Lucyfera do celu jego ostatecznej zagłady powierzył kosiarzowi Constantine'owi.

Rowan wiedział, że to właśnie ten sędzia był odpowiedzialny za odnalezienie go i pokonanie trzy lata temu. Jego szkarłatna toga i limuzyna miały ten sam kolor, co znak „wróg publiczny” na boku transportującej Rowana ciężarówki. Chłopak zastanawiał się, czy to celowe, czy tylko zbieg okoliczności.

Przed wyjazdem z Fulcrum City Constantine złożył wizytę Rowanowi, którego zakutego w kajdany wpakowano do ciężarówki o wzmacnionym systemie bezpieczeństwa. Kot

– Przez te wszystkie lata pragnąłem cię zobaczyć – wyznał sędzia. – A teraz, gdy cię widzę, nie robisz na mnie żadnego wrażenia.

– Dzięki – rzucił Rowan. – Też cię kocham.

Constantine sięgnął do togi, jakby chciał wyjąć sztylet, ale się rozmyślił.

– Zebrałbym cię tu i teraz, gdybym mógł – oznał. – Ale nie zamierzam wzbudzać gniewu Supraostrza Goddarda.

– Zrozumiałe – powiedział Rowan. – Jeśli cię to pocieszy, wolałbym, żebyś to ty mnie zebrał, a nie on.

– Dlaczego?

– Ponieważ dla niego moja śmierć to zemsta. Dla ciebie oznaczałaby jedynie satysfakcję z ukończenia trzyletniej misji. Wolę zaspokoić to niż pragnienie zemsty

Goddarda.

Constantine przyjął słowa Rowana ze spokojem. Nie zmiękkł, ale nie wydawał się tak bliski wybuchu, którego później by żałował.

– Zanim dowieziemy cię do zasłużonego końca, chcę się czegoś dowiedzieć – wyznał. – Pragnę poznać prawdę na temat tego, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś.

– Dlaczego wykończyłem kosiarza Renoira, Fillmore'a i resztę?

Constantine machnął ręką.

– Nie to. Chociaż bardzo nie podobało mi się to twoje szaleństwo, motywy twojego działania wyglądały na oczywiste. Byli moralnie wątpliwymi kosiarzami, a ty wydałeś na nich wyrok, nawet jeśli nie była taka twoja rola. Tamte zbrodnie dały nam dobry powód, żeby cię zebrać, ale bardziej interesuje mnie, dlaczego zabiłeś Wielkich Pogromców? Przecież to byli dobrzy ludzie. Najgorszy wydawał się Xenocrates, ale był świętym w porównaniu z innymi, których wykończyłeś. Co ci strzeliło do głowy, aby zrobić coś tak nieprawdopodobnego?

Rowan zmęczył się odpieraniem zarzutów – jakie to miało w tej chwili znaczenie? Podsunął więc Constantine'owi kłamstwo, w które i tak już wszyscy wierzyli.

– Znienawidziłem Kosodom za to, że nie dostałem pierścienia – wyznał. – Chciałem zniszczyć go tak bardzo, jak tylko zdołam. Pragnąłem, aby każdy Kosodom na świecie zapłacił za odmowę uczynienia mnie prawdziwym kosiarzem.

Constantine spojrzał na Rowana z takim żarem, że mało nie stopił stalowej ciężarówki.

– Oczekujesz, że uwierzę w twoją małostkowość?

– Chyba tak – odparł Rowan. – Po co miałbym zatapiać Niezłomne? – A później dodał: – A może po prostu jestem zły?

Constantine wiedział, że chłopak z niego drwił, i nie przyjął tego zbyt dobrze. Odszedł i przez całą podróż nie odzywał się do Rowana, chociaż nie obyło się bez pożegnalnych uszczypliwości.

– Z przyjemnością przyznam, że zbiór będzie dla ciebie bolesny – powiedział z goryczą sędzia w szkarłatnej todze. – Goddard zamierza spalić cię żywcem.

*

Rowan miał nowe, błyszczące kajdany, które wykuto specjalnie dla niego, stalowe łańcuchy, które grzechotały na podłodze pojazdu, gdy się poruszał. Były

wystarczająco długie, aby miał swobodę ruchów, ale też na tyle solidne, aby utrudniać mu przemieszczanie się. To znaczna przesada. Talent Rowana do wydostawania się na wolność nie czynił z niego uciekiniera, za jakiego go mieli. Wszystkie jego poprzednie ucieczki wynikały albo z tego, że ktoś mu pomógł, albo z niekompetencji przetrzymujących go ludzi. Nie zamierzał przegryzać łańcuchów i kopniakiem wyważyć stalowych drzwi auta, mimo to wszyscy zachowywali się, jakby był bestią z innego świata z nadprzyrodzonymi mocami. Ale może właśnie tak według Goddarda mieli postrzegać go ludzie – ponieważ jeśli stworzenie, które schwytało i skuło łańcuchami w stalowej puszce, miało nadludzką siłę, Supraostrze musiał być piekielnie dobrym myśliwym.

W każdym mieście i miasteczku, przez które przejeżdżali, mieszkańcy tłumnie wychodzili na ulice, żeby obejrzeć konwój, jakby to była jakaś świąteczna parada. Zakratowane okna miały różną wysokość, były większe niż w standardowych pojazdach opancerzonych z Epoki Śmiertelności, więc do wnętrza wpadało sporo światła. Rowan wkrótce zdał sobie sprawę, po co to wszystko. Szyby zostały umieszczone tak, aby niezależnie od tego, w którym kącie ciężarówki się znajdował, nadal widać go było z zewnątrz, a jasne wnętrze gwarantowało, że bez względu na porę dnia nie zniknie w cieniu.

Kiedy wieziono Rowana ulicami, mogli go oglądać stojący po obu stronach gapi. Od czasu do czasu wyglądał przez okno, ale wtedy tłum się ekscytował. Wytykali go palcami, robili zdjęcia, podnosili dzieci, aby te mogły dostrzec młodego mężczyznę, który stał się mrocznym celebrytą. Kilka razy nawet pomachał, wywołując u nich chichot. Wskazał też na kilku palcem, kiedy oni to też robili, co zaś zdawało się ich przerażać – jakby, gdy zostanie zebrany, jego niespokojny, rozwścieczony duch mógł dopaść ich w nocy.

Przez cały czas wracały do niego ponure słowa Constantine'a. Sposób, w jaki dokonają jego zbioru. Czy palenie nie było zakazane? Widocznie Goddard przywrócił do łask tę praktykę. A może zatwierdził ją jedynie jednorazowo. Chociaż Rowan wmawał sobie, że się nie boi, było wręcz przeciwnie. Nie bał się śmierci, ale bólu – a czekało go całkiem sporo, ponieważ Goddard z pewnością wyłączy jego nanity, aby Rowan cierpiał najbardziej jak to możliwe niczym heretycy i czarownice z bardziej mrocznych czasów.

Myśl o zakończeniu życia nie była dla niego problematyczna. Właściwie stało się to dla niego dziwnie znajomym tematem. Umierał już tak wiele razy i na tak różne

sposoby, że do tego przywykł. Nie przerażało go to bardziej niż zasypianie. Sen nawet bywał gorszy, bo pojawiały się koszmary. Śmierć była jednak stanem bez snów, a jedyną różnicę pomiędzy uśmierceniem a prawdziwym zgonem stanowił czas. Być może – zgodnie z tym, w co wierzyli niektórzy – prawdziwa śmierć ostatecznie prowadziła ludzi do wspaniałego, nowego, niewyobrażalnego dla żyjących miejsca. W ten właśnie sposób Rowan starał się uspokoić na myśl o tym, co go czekało.

Podtrzymywał się również na duchu myślami o Citrze. Nikt nic o niej nie mówił, a Rowan nie był na tyle głupi, aby pytać o Citrę Constantine'a czy kogokolwiek innego, bo nie miał pojęcia, kto zdawał sobie sprawę z tego, że dziewczyna żyje. Goddard z pewnością o tym wiedział, bo wysłał Arcyostre Meryki Zachodniej, by pojmała ich oboje. Ale Citra uciekła, więc najlepszą formą pomocy było milczenie na jej temat.

Biorąc pod uwagę to, dokąd jego samego zaprowadziła kręta ścieżka losu, mógł mieć jedynie nadzieję, że Citrę spotkało coś lepszego.

29. Oczywisty niedźwiedź

Trzy daty. Tylko tyle znalazła po rozłożeniu łabędzia. Jedna z Roku Rysia, druga z Roku Bizona, trzecia z Roku Czapli. Wszystkie te lata miały miejsce przed jej narodzinami.

Anastazja dość szybko zrozumiała, dlaczego to ważne daty. To akurat nie było trudne. Niezależnie od tego, czy ludzie pamiętali o rzeczywistych datach, o tych akurat uczyli się w szkole. Ale z drugiej strony dzieciom przedstawiano jedynie oficjalne relacje. Te zaakceptowane. Nic nie pochodziło z pierwszej ręki, więc fakty były formalnie dopuszczonymi wersjami. Odkąd Citra została kosiarz Anastazją, dobrze wiedziała, w jaki sposób Kosodom ograniczał przepływ informacji, kiedy tego chciał, definiując tak naprawdę historię na swój własny sposób. Być może nie fałszował rzeczywistości, ponieważ to Thunderhead trzymał pieczę nad prawdą i liczbami, ale Kosodom mógł decydować, które informacje zostaną podane do wiadomości publicznej.

Jednak żadna wybiórczo ignorowana nie została zapomniana. Nadal tkwiła w mózgu peryferyjnym, do którego dostęp miał każdy. Na praktykach Citra stała się ekspertką w grzebaniu w nim, gdy poszukiwała „zabójcy” kosiarza Faradaya. Algorytm systemu plików Thunderheada był dość podobny do ludzkiego mózgu – porządkował rzeczy według skojarzeń. Obrazów nie ustawiano według dat, godzin czy miejsc. Aby odnaleźć kosiarza w todze o barwie kości słoniowej stojącego na skrzyżowaniu, musiała przejrzeć zdjęcia ludzi odzianych w ten kolor, stojących na rozdrożach na całym świecie, a następnie zawęzić wybór do dodatkowych elementów tła, jak typ latarni ulicznej, długość cienia, dźwięki i zapachy, ponieważ Thunderhead katalogował również bodźce zmysłowe. Znalezienie czegokolwiek było jak szukanie igły w stogu siana na planecie z suchą trawą.

Trzeba było postawić na pomysłowość, aby wpaść na to, jakie parametry zawężają niemal nieskończone pole informacji. Anastazja stanęła teraz przed znacznie poważniejszym zadaniem, bo wtedy przynajmniej wiedziała, czego szuka. Teraz znała jedynie daty.

Najpierw przestudiowała wszystko, co było ogólnie wiadomo o mających wtedy miejsce katastrofach. Następnie zagłębiła się w mózgu peryferyjnym, aby odszukać

oryginalne źródła i dane, które w oficjalnych rejestrach wygodnie pominięto.

Największą przeszkodą okazał się jej brak cierpliwości. Czuła, że odpowiedzi tam były, ale zakopane pod tak wieloma warstwami, że obawiała się, iż nigdy ich nie znajdzie.

*

Okazało się, że Anastazja i Jeri przybyły do Port Remembrance na kilka dni przed Księzycowym Jubileuszem. Z okazji każdej pełni Arcyostrze Tenkamenin urządzał wielką imprezę, która trwała przynajmniej dwadzieścia pięć godzin, bo „dwadzieścia cztery to po prostu za mało”. Zatrudniał hordy zawodowych imprezowiczów, zapewniał wszelkie rozrywki i jedzenie dla gości zaproszonych z całego świata.

– Ubierz się elegancko, ale nie w todę, i trzymaj się blisko mnie – doradził jej Tenka. – Wtopisz się w tłum. – Do Jeri powiedział jedynie: – Baw się dobrze, ale w granicach rozsądku.

Anastazja nie chciała się bawić, obawiała się, że zostanie rozpoznana, no i wolała kontynuować przeszukiwanie mózgu peryferyjnego, lecz Tenkamenin nalegał.

– Oderwiesz się od mozołnych poszukiwań, co ci dobrze zrobi. Dam ci kolorową perukę i nikt cię nie pozna.

Na początku Anastazja martwiła się, że tak proste przebranie nie skryje jej tożsamości, ponieważ jednak nikt nie spodziewał się, że na przyjęciu zjawi się martwa kosiarz – tym bardziej w neonowo niebieskiej peruce – nie miała czym się przejmować.

– Lekcja pomocna przy twoich badaniach – powiedział. – Najtrudniej jest znaleźć to, co ukryte na widoku.

Tenka był wytrawnym gospodarzem, witał wszystkich gości osobiście, na prawo i lewo rozdawał immunitety. Zabawa trwała w najlepsze, chociaż nie podobała się Anastazji i Tenkamenin dostrzegł jej niezadowolenie.

– Wydaje ci się, że jestem rozrzutny, że tak sobie pobłażam? – zapytał. – Czy masz mnie za okropnie hedonistycznego Arcyostrze?

– Goddard urządzał takie imprezy – wytknęła.

– Nie takie – oznajmił Tenka.

– I lubił też takie wielkie domy.

– Naprawdę?

Przysunął się do niej, aby mogła wyraźnie go usłyszeć.

– Chcę, żebyś spojrzała na tych, których masz przed sobą, i powiedziała mi, co widzisz. Albo, jeszcze lepiej, czego nie widzisz.

Anastazja przyjrzała się uważnie. Ludzie bawili się w wielopoziomowym basenie, inni tańczyli na balkonach. Wszyscy byli w strojach kąpielowych i jaskrawych, imprezowych ubraniach. Wtem zrozumiała.

– Nie ma kosiarzy.

– Ani jednego! Nawet Makedy i Baby. Każdy gość jest członkiem rodziny osób, które zebrałem od poprzedniej pełni Księżyca. Zapraszam ich tu, aby świętować życie ich utraconych bliskich, a nie opłakiwać, a także przyznać im roczny immunitet. A kiedy przyjęcie dobiegnie końca i posiadłość zostanie posprzątana, wrócę do swojego apartamentu. – Wskazał na największe okno w rezydencji... Po czym puścił do Anastazji oko i przesunął palcem w prawo, aż przestał wskazywać na pałac, za to skupił się na niewielkiej drewnianej chatce na skraju trawnika.

– Szopa?

– Nie, nie szopa – poprawił. – To mój dom. W pałacowych apartamentach przyjmuję gości szacownych jak ty, jak również tych mniej szacownych, żeby im zaimponować. Jednak „szopa”, jak ją określiłaś, to dom podobny do tego, w którym się wychowałem. Rodzice wierzyli w prostotę i oczywiście doczekali się syna, który wierzył w niekończące się komplikacje. Mimo to wciąż odnajduję ukojenie w tych przyjemnych, prostych ścianach.

– Jestem pewna, że są z pana dumni – powiedziała Anastazja. – Pana rodzice.

Arcyostrze Tenkamenin pociągnął nosem.

– Wcale – odparł. – Przesadzili z tą swoją prostotą. Teraz są tonistami, nie rozmawiałem z nimi od lat.

– Przykro mi.

– Słyszałaś, że toniści mieli proroka? – zagadnął gorzko. – Pojawił się niedługo po twoim zanurkowaniu w głąbiny. Wyznawcy kultu twierdzili, że Thunderhead wciąż do niego przemawiał. – Tenka się zaśmiał. – Oczywiście dokonano jego zbioru.

Kelner przyniósł tacę krewetek, które zdawały się zbyt duże, by być prawdziwe. Bez wątpienia pochodziły z jednej z farm eksperymentalnych Thunderheada. Jak zawsze system sprawiał, że lepiej smakowały, niż wyglądały.

– Jak tam twoje badania? – zapytał Tenkamenin.

– Jakoś – odparła. – Thunderhead łączy rzeczy w dość dezorientujący sposób. Szukam informacji na temat kolonii na Marsie, a trafiam na dziecięcy rysunek księżyca. Doniesienia ze stacji orbitalnej Nowa Nadzieja prowadzą do lunchu w Stambule i kosiarza, o którym nigdy nie słyszałam. Jakiegoś Dantego.

– Alighieri? – dopytał Tenka.

– Tak. Zna go pan?

– Słyszałem o nim. Chyba pochodził z Euroscandii. Długo już nie żyje. Chyba zebrał samego siebie z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu.

– I tak z każdym odnośnikiem, który znalazłam. Żaden nie ma sensu.

– Wskakuj do każdej króliczej nory – doradził Tenka. – Bo w którejś możesz znaleźć królika.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie może mi pan powiedzieć, czego szukam.

Westchnął i nachylił się, aby szeptać jej do ucha.

– Otrzymaliśmy informacje od kosiarz, która później dokonała zbioru samej siebie, aby jak mniemam, ukoić sumienie. Poza tym nie mamy żadnych dowodów, nasze własne poszukiwania w mózgu peryferyjnym okazały się bezowocne. Nie udało nam się, bo wiedzieliśmy, czego szukać. Kiedy ktoś wypatruje mężczyznę w niebieskim kapeluszu, całkowicie pomija kobietę w niebieskiej peruce. – Pociągnął lekko za jeden z jej neonowych loków.

Chociaż zdawało jej się to sprzeczne z intuicją, musiała przyznać, że miało sens. Czy nie widziała, że Tenka każdego dnia szedł do „szopy”, ale własna ocena nie pozwoliła jej odgadnąć powodu? Przypomniała sobie o nagraniu z Epoki Śmiertelności, które nauczyciel pokazywał kiedyś na lekcji. Mieli za cel policzyć, ile razy piłka została podana pomiędzy zawodnikami przesuwającymi się na ekranie. Podała prawidłową odpowiedź, jak większość uczniów. Jednak wszyscy pominęli mężczyznę w stroju niedźwiedzia, który tańczył na środku. Niekiedy znalezienie oczywistego oznaczało podejście bez oczekiwaniń.

*

Następnego ranka pobiegła do chaty Tenki, by opowiedzieć mu o przełomie w poszukiwaniach.

Niewielki dom okazał się tak skromny, że pochwaliłby to nawet kosiarz Faraday. Tenka był jednak zajęty. Bezpośrednio przed nim znajdowały się dwie osoby, które

nie wyglądały na szczęśliwe, przebywając w tym miejscu. Właściwie to mężczyźni wydawali się zrozpaczeni.

– Wejdź, przyjaciółko – powiedział Tenka na jej widok. – Czy wiecie, kto to jest? – zapytał swoich pozostałych gości.

– Nie, Wasza Ekscelencjo – odparli.

– To moja kwaciarka – przyznał. – Wypełnia mój dom oraz rezydencję najpiękniejszymi bukietami. – Skupił uwagę na bardziej zdenerwowanym mężczyźnie około czterdziestki, być może gotowym zatrącić nad krawędzi. – Opowiedz mi o swoim największym marzeniu – polecił. – Czego najbardziej na świecie pragniesz, ale jeszcze tego nie zdobyłeś?

Mężczyzna się zahała.

– Nie krępuj się – naciskał Tenkamenin. – I porzuć skromność. Opowiedz o marzeniu w pełnej krasie!

– Chciałbym... mieć jacht – powiedział, jakby był chłopcem siedzącym na kolanach ojca. – Chciałbym opłynąć świat.

– Znakomicie! – odparł Arcyostrze i klasnął, jakby przypieczętował umowę. – Jutro udamy się po jacht. Ja stawiam!

– Wasza... Ekscelencjo? – wyjąkał z niedowierzeniem gość.

– Będziesz spełniał marzenie. Przez pół roku, po czym wrócisz i opowiesz mi o tym. A potem cię zbiorę.

Mężczyzna się ucieszył. Pomimo iż dowiedział się, że zostanie zebrany, był szczęśliwy.

– Dziękuję, Wasza Ekscelencjo. Dziękuję!

Kiedy wyszedł, drugi z mężczyzn – nieco młodszy i mniej przerażony, zwrócił się do Arcyostrza:

– A co ze mną? Pragnie pan dowiedzieć się, co jest moim marzeniem?

– Przyjacielu, życie często bywa brutalne i niesprawiedliwe. Śmierć jest taka sama.

Tenkamenin pospiesznie machnął ręką. Anastazja nie zauważyła sztyletu, ale mężczyzna natychmiast upadł, trzymając się za szyję, następnie wydał ostatni oddech. Został zebrany.

– Osobiście powiadomię jego rodzinę – wyznał Tenkamenin. – Zostanie zaproszona na kolejny Księzycowy Jubileusz.

Anastazja zdziwiła się tym, co zobaczyła, ale nie stanowiło to dla niej szoku. Każdy kosiarz miał własny sposób zadawania śmierci. Spełnienie marzenia przypadkowego

człowieka przy jednoczesnym odmówieniu innemu było równie rozsądna metodą jak każda inna. Widziała, jak dobrzy kosiarze radzili sobie o wiele gorzej.

Weszła ekipa sprzątająca, więc Tenka wyprowadził dziewczynę na patio, na którym czekało śniadanie.

– Wiesz, że mnie zainspirowałaś? – zagadnął.

– Ja?

– Dałaś przykład. Właściwie pozwalanie ludziom na wybór metody zbioru i powiadamianie ich o tym z wyprzedzeniem okazało się niespotykane, lecz genialne! Brak nam tak wielkiego współczucia, bo wszyscy stawiamy na efektywność. Chcemy jak najszybciej wykonać zadanie. Po tym, jak straciliśmy cię na Niezłomnym, chciałem cię uhonorować, więc postanowiłem zmienić metodę zbiorów. Pozwalam połowie moich podmiotów najpierw spełnić marzenie.

– Dlaczego tylko połowie?

– Ponieważ skoro mamy naśladować śmierć taką, jaka była kiedyś, musi być zmienna i kapryśna – wyznał. – Można ją jednak nieco osłodzić.

Tenka nałożył na talerz jajka i smażone banany, podał go Anastazji, po czym przygotował drugi, podobny, dla siebie.

Dziwne, że śmierć stała się dla nas tak powszechna, że możemy odbierać życie, a za chwilę zasiąść do śniadania, pomyślała Anastazja.

Tenka wziął kęs fufu z manioku, zagryzł chlebem, a potem powiedział:

– Od przyjazdu nikogo nie zebrałaś. W tych okolicznościach to całkiem zrozumiałe, ale na pewno tego pragniesz.

Wiedziała, o co mu chodzi. Tylko kosiarze nowego porządku cieszyli się zbiorami, jednak inni odczuwali niejasną, dręczącą ich potrzebę, gdy zbyt długo nie pracowali. Anastazja nie mogła zaprzeczyć, że też to czuła. Wyobrażała sobie, że w ten sposób psychicznie przywykła do tej profesji.

– To, co robię w mózgu peryferyjnym, jest ważniejsze niż zbiory – wyznała. – I myślę, że na coś się natknęłam.

Opowiedziała mu o swoim odkryciu. Podała nazwisko. Carson Lusk. Nie do końca kopalnia wiedzy, ale dobry punkt zaczepienia.

– Został umieszczony na liście ocalałych, ale nie ma zapisów o jego późniejszym życiu. Oczywiście to może być jakiś błąd i tak naprawdę mógł zginąć z innymi.

Tenka uśmiechnął się szeroko.

– Thunderhead nie popełnia takich błędów – przypomniał jej. – Wygląda mi na solidny trop. Szukaj dalej!

Zerknął na jej talerz, potem dołożył bananów, niczym rodzic zaniepokojony skąpym posiłkiem potomka.

– Chcielibyśmy, żebyś zaczęła transmisje na żywo – wyznał. – Nie zamierzamy informować świata o twoim powrocie, ale uważamy, że powinnaś zrobić to samodzielnie. Własnymi słowami kosiarz Anastazji.

– Nie... potrafię występować – stwierdziła i przypomniała sobie okropne przedstawienie Juliusza Cezara. Gościła na scenie jedynie, by dokonać zbioru aktora, bo tak sobie życzył, ale i tak musiała odegrać swoją rolę. Pomijając dżganie, wypadła okropnie.

– Czy przemówiłaś z głębi serca podczas kognicji przed Wielkimi Pogromcami? – zagadnął Tenka.

– Tak... – przyznała.

– A nasz przyjaciel kosiarz Possuelo powiedział mi, że przekonałaś ich, aby to kosiarz Curie wybrali na Arcyostrze Midmeryki.

Anastazja mimowolnie skrzywiła się na wzmiankę o Marie.

– Tak.

– Jeśli potrafiłaś stanąć przed radą i wyłożyć sprawę przed najgroźniejszymi siedmioma kosiarzami na świecie, myślę, że teraz też sobie poradzisz.

*

Tego popołudnia Tenkamenin zabrał Anastazję z posiadłości, aby pokazać jej miasto, z którego był dumny. Port Remembrance tętnił życiem, jednak Arcyostrze nie chciał, aby wysiadała z auta.

– Księżycowy Jubileusz to jedno, ponieważ wszystko kontroluję, ale tu nie przewidzę, kto cię wypatrzy i rozpozna – stwierdził. Jednak okazało się, że istniał kolejny powód, dla którego nie chciał, by wysiadła.

Kiedy zbliżyli się do centrum miasta, zaczęli zauważać tonistów. Najpierw kilku, ale wkrótce gromadzili się na poboczach i wpatrywali w samochód Arcyostrza.

Anastazja miała mieszane uczucia wobec członków kultu Tonu. Ci mniej zagorzali byli w porządku. Przyjaźni, życzliwi, choć wytrwali w forsowaniu swoich przekonań. Inni jednak byli trudni do zniesienia. Oceniający, nietolerancyjni, stanowili

przeciwieństwo wyznawanej wiary, no i byli też sybilanci, przy których fanatycy wydawali się mocno cywilizowani. To właśnie sybilanci zadomowili się w regionie Tenkamenina.

– Odkąd dokonano zbioru Zgiełku, odłamy stały się jeszcze bardziej ekstremalne – poinformował dziewczynę. Jakby na potwierdzenie tej tezy, zgromadzeni przy drodze zaczęli rzucać kamieniami.

Anastazja gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy pierwszy kamień uderzył w samochód, ale Tenkamenin pozostał niewzruszony.

– Nie martw się, nie zdołają wyrządzić żadnej szkody i zdają sobie z tego sprawę. Przykro mi, że musisz to oglądać.

Kolejny kamień trafił w przednią szybę, rozłamał się na pół i opadł na ziemię.

Nagle członkowie kultu przestali rzucać kamieniami i zaczęli „intonować”, wydając z siebie buczący skowyty... który różnił się od tego, jaki słyszała już u tonistów.

Tenkamenin polecił, by włączono w samochodzie muzykę, ale nawet ona ich do końca nie zagłuszyła.

– Cała sekta złożyła śluby milczenia – oznajmił, nie kryjąc wstrętu. – Nie mówią, jedynie wydają z siebie ten przeklety, okropny dźwięk. Thunderhead zawsze krzywił się na odjrzyczenie, ale kiedy zamilkł, toniści stwierdzili, że mogą robić, co chcą, przez co ich zawodzenie stało się jeszcze gorsze.

– Odjrzyczenie? – zapytała Anastazja.

– Przepraszam – powiedział Tenkamenin. – Myślałem, że zrozumiesz. Wycinają sobie języki.

*

Jeri nie zaproszono na wycieczkę po Port Remembrance. Choć załoga statku cieszyła się długim wolnym, którego nie miała od lat, Jerico pozostawała w posiadłości Tenkamenina i pilnowała Anastazji, bo chciała mieć pewność, że kosiarz jest dobrze traktowana i bezpieczna. Jeri nie była samolubna, zawsze stawiała załogę *Spence'a* na pierwszym miejscu, bo to należało do obowiązków dobrego kapitana. Pragnienie roztoczenia opieki nad Anastazją znacznie poza nie wykraczało.

Tenkamenin był beztroskim człowiekiem. Tak, zapewniał ochronę Anastazji, ale czy sprawdzono jego personel? A przez to, że praktycznie afiszował się z Anastazją podczas Księzycowego Jubileuszu, Jeri zaczęła się zastanawiać, czy Arcyostrze ma

choćby odrobinę zdrowego rozsądku. Nie ufała mu, zdawała sobie sprawę, że odwzajemniał to uczucie.

Anastazja po popołudniu spędzionym w Port Remembrance przyszła porozmawiać z Jeri o sybilantach.

– Codziennie czuję się, jakbym dostała w głowę, gdy obserwuję, jak bardzo zmienił się świat, gdy mnie na nim nie było – wyznała.

– Świat poradził sobie już z gorszymi rzeczami – odparła Jeri, chodząc po pokoju. – Ludzkość przetrwała Epokę Śmiertelności, a co może być gorszego niż tamte okropieństwa?

Anastazja pozostawała niepocieszona.

– Tak, ale bez Wielkich Pogromców Kosodomy są praktycznie w stanie wojny i wydaje się, że znów wróciłyśmy do Epoki Śmiertelności. Dokąd zmierzamy?

– To przewrót polityczny – stwierdziła rzeczowo Jeri. – Góry powstają przy wielkich wstrząsach i mam wrażenie, że nie jest to piękne.

To tylko jeszcze bardziej zirytowało Anastazję.

– Jak możesz być przy tym tak spokojna? A Tenkamenin jest jeszcze gorszy! Akceptuje sytuację, jakby nic nie znaczyła. Jakby to tylko był przelotny deszcz, a nie niszczycielski huragan! Dlaczego wszyscy są tacy ślepi?

Jeri westchnęła, położyła rękę na ramieniu Anastazji, zmuszając dziewczynę, by się zatrzymała. *To właśnie dlatego muszę tu być. Stać się drugim głosem w jej głowie, przeciwagą dla paniki*, pomyślała.

– Z każdej katastrofy może zrodzić się coś dobrego – powiedziała głośno. – Statek tonie, a ja się cieszę, bo wiem, że we wraku znajdę jakiś skarb. Tylko spójrz, co znalazłam na dnie oceanu. Ciebie.

– Oraz czterysta tysięcy brylantów kosiarzy – wytknęła Anastazja.

– Chodzi mi o to, że musisz podejść do tego jak do operacji ratunkowej. Przy eksploracjach najpierw uważnie oceniamy sytuację, zanim wykonamy jakikolwiek ruch.

– Zatem powinnam siedzieć i patrzeć?

– Obserwuj, ucz się, a kiedy zdecydujesz się na działanie, uderz gwałtownie. Wiem, że zrobisz to, gdy nadjejdzie właściwa pora.

Arcyostrze Tenkamenin każdego wieczoru wydawał formalne kolacje. Bywali na nich zaprzyjaźnieni kosiarze oraz goście honorowi, lecz od przybycia Anastazji i Jeri pilnował, by nie przychodzili zwykli obywatele. Co innego urządzić przyjęcia dla mieszkańców, a co innego wystawiać kosiarz Anastazję na obserwację przy stole.

Kiedy Jeri przyszła do jadalni, Anastazja już w niej była wraz z Arcyostrzem oraz kosiarzami Babą i Makedą. Tenkamenin śmiał się głośno z czegoś, co ktoś powiedział, lub – co bardziej prawdopodobne – z czegoś, co powiedział on sam. Anastazja go polubiła, ale Jeri zmęczył po pierwszym dniu.

– Przegapiłaś pierwsze danie – powiedział. – Nie dostaniesz już zupy.

Zajęła miejsce obok Anastazji.

– Przeżyję.

– Zasady tego domu nakazują punktualność – przypomniał jej Tenkamenin. – To kwestia kultury.

– Jeri spóźniła się po raz pierwszy – fuknęła Anastazja.

– Nie musisz mnie bronić – rzuciła do niej Jeri, po czym zwróciła się do Arcyostrza:

– Rozmawiałam o postępach przy eksploracji Niezłomnego, jeśli musi pan wiedzieć. Znaleziono komnatę rady. Fotele Zadumy zostaną odesłane na kontynenty Pogromców i zamienione na pomniki. Myślę, że to ważniejsze niż zupa.

Tenkamenin nie skomentował słów Jeri, ale kwadrans później, podczas dania głównego, ponownie ją zaczepił.

– Powiedz mi, Jerico, co myśli załoga o twojej nieobecności?

Nie dała się zwieść.

– Z wdzięcznością spędzają urlop w państkim mieście.

– Rozumiem. A skąd wiesz, że nie prowadzą interesów bez ciebie? Nie zawierają umów, które mogłyby zagrozić naszej drogiej Pani Głebin? – zapytał, używając przezwiska, jakie ostatnio nadał Anastazji.

– Proszę nie rzucać oszczerstw pod adresem mojej załogi, Wasza Ekscelencjo – odparła. – Jest do bólu lojalna. Może pan powiedzieć to samo o tych, którzy pana otaczają?

Arcyostrze się zjeżył, ale nie bronił swojej świty. Zamiast tego zmienił temat.

– Czego chcesz od życia, pani kapitan Soberanis?

– Złożone pytanie.

– W takim razie je przeformułuję. Opowiedz o swoim największym marzeniu, Jerico. Czego najbardziej na świecie pragniesz, ale jeszcze tego nie zdobyłaś?

Anastazja nagle rzuciła sztućcami tak mocno, że obiła talerz, i wstała.

– Straciłam apetyt – oznał ją i złapała Jeri za rękę. – I ty też. – Ruszyła z jadalni, dlatego Jeri nie miała wyjścia, musiała podążyć za nią, nawet jeśli tylko po to, by trzymać Anastazję za rękę.

Tenkamenin wybuchnął śmiechem.

– Żartowałem, Anastazjo. Wiesz, że uwielbiam się bawić!

Obróciła się i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Niezły dupek z pana, Wasza Ekscelencjo.

Zaśmiał się jeszcze głośniej.

*

Jeri nie wiedziała, o co chodziło, dopóki nie dotarły do apartamentu Anastazji i nie zamknęły za sobą drzwi.

– Pyta o to ludzi, których zamierza zebrać – wyznała kosiarz.

– Ach – rzuciła Jeri. – Zrobił to, żeby cię wkurzyć. Arcyosztre uwielbia grać ludziom na nerwach i dokładnie wie, jak to robić w twoim przypadku.

– Ani odrobinę nie martwi cię, że mógłby to zrobić?

– Wcale – odparła Jeri. – Bo choć lubi się tobą bawić, nie chce, żebyś zwróciła się przeciwko niemu. Gdyby mnie zebrał, stałby się twoim wrogiem.

Mimo to Anastazja wyciągnęła rękę z pierścieniem kosiarza. To nie był jej dawny pierścień, który kosiarz Possuelo wrzucił do oceanu w miejscu, w którym znaleźli Anastazję, ponieważ można go byłoby wykorzystać do jej śledzenia, gdyby któryś z sędziów pojmował ich własną technologię. Possuelo dał jej nowy ze skarbca.

– Pocałuj – poleciła. – Będziesz bezpieczna.

Jeri wzięła ją za rękę i pocałowała, ale nie dotknęła ustami pierścienia.

Anastazja odruchowo cofnęła palce.

– Miałam na myśli pierścień, nie dłoń! – Ponownie ją podała. – Tym razem zrób to jak należy.

– Nie chcę – wyznała Jeri.

– Dzięki temu będziesz miała roczny immunitet od zbiorów. Zrób to!

Jeri jednak się nie ruszyła. Anastazja wpatrywała się w nią pytającco, więc Jerico powiedziała:

– Kiedy znaleźliśmy Skarbiec Reliktów i Perspektyw, Possuelo zaproponował mi immunitet, ale także mu odmówiłam.

– Dlaczego? Jest ku temu jakiś powód?

– Ponieważ nie chcę być nic nikomu dłużna. Nawet tobie.

Anastazja odwróciła się, podeszła do okna i przez nie wyjrzała.

– Są rzeczy, o których nie chcę wiedzieć... a jednak muszę. Muszę wiedzieć o wszystkim. – Ponownie spojrzała na Jeri. – Słyszałaś coś o Rowanie? – zapytała.

Jeri mogła skłamać, że nie otrzymała żadnych informacji, ale nie zamierzała niczego ukrywać. Zrodziło się między nimi zbyt duże zaufanie, by narażać je na szwank. Milczała przez chwilę, więc młoda kosiarz naciskała:

– Wiem, że Tenkamenin nie pozwoliłby, żeby dotarły do mnie wieści na temat Rowana, ale kontaktowała się z załogą. Ktoś na pewno coś ci powiedział.

Jeri westchnęła ciężko, lecz tylko po to, by przygotować dziewczynę na odpowiedź.

– Tak, powiedział. Ale nie zamierzam niczym się z tobą dzielić bez względu na to, jak usilnie będziesz prosić.

Anastazję opadły emocje. Na jej twarzy odmalowały się wszystkie etapy straty. Zaprzeczenie, złość, negocjacje, smutek, wreszcie akceptacja.

– Nie powiesz mi, bo nic nie zdołam zrobić – rzuciła z goryczą, przewidując powody, dla których Jeri milczała. – I to odwróciłoby moją uwagę od tego, co muszę zrobić.

– Nienawidzisz mnie za to? – zapytała Jeri.

– Mogłabym przytaknąć, żeby zrobić ci na złość, ale nie, Jeri, nie nienawidzę cię. Jednak... możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy on nadal żyje?

– Tak – odparła. – Żyje. Mam nadzieję, że znajdziesz w tym pociechę.

– A jutro będzie żył? – dociekała kosiarz.

– Nawet Thunderhead nie ma pewności jutra – odparła Jeri. – Zadowolmy się dniem dzisiejszym.

30. Ofiara całopalna

- Cześć, Tyger.
- Hej – odpowiedział konstrukt pamięci Tygera Salazara. – Czy my się znamy?
- I tak, i nie – stwierdziła kosiarz Rand. – Przyszłam ci powiedzieć, że złapano kosiarza Lucyfera.
- Kosiarz Lucyfer... Czy to nie ten, który zabijał innych kosiarzy?
- Tak – odparła Rand. – I go znasz.
- Wątpię – przyznał konstrukt. – Znam kilka pokręconych osób, ale żadna nie jest aż tak bardzo skrzywiona.
- To twój przyjaciel, Rowan Damisch.
- Konstrukt milczał przez chwilę, po czym parsknął śmiechem.
- Niezłe żarty – powiedział. – Czy Rowan cię do tego namówił?! Gdzie się ukrywasz? Wychodź!
- Nie ma go tu.
- Nie mów, że zabija ludzi. Nie został nawet kosiarzem, wykopali go i pierścień dali tamtej dziewczynie.
- Jutro zostanie stracony – powiedziała Rand.
- Konstrukt się zawahał i zmarszczył brwi.
- Konstrukty były dobrze zaprogramowane, zawierały nawet wspomnienia wszystkich wyrazów twarzy podmiotu, jakie kiedykolwiek zarejestrowano. Obraz człowieka pozostawał czasami tak wierny, że to aż denerwowało.
- Nie żartujesz, prawda? – zapytał konstrukt Tygera. – Nie możesz do tego dopuścić! Musisz to powstrzymać!
- Nie zdołam nic zrobić.
- Więc się postaraj! Znam Rowana lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli zrobił to, co mówisz, miał ku temu dobry powód. Nie możecie go tak po prostu zebrać! – Konstrukt zaczął się rozglądać, jakby zdawał sobie sprawę, że przebywa w ograniczonym świecie. W wirtualnym pudełku, z którego chciał się wydostać. – To złe! – powiedział. – Tak nie wolno!
- Co ty możesz wiedzieć na temat dobra i zła? – warknęła Rand. – Jesteś jedynie głupim, tępym imprezowiczem.

Spojrzał na nią gniewnie. Mikropiksele obrazu zwiększyły procent czerwonej barwy na jego twarzy.

– Nienawidzę cię – powiedział. – Nienawidzę, kimkolwiek jesteś.

Ayn pospiesznie nacisnęła guzik kończący rozmowę. Konstrukt pamięci Tygera zniknął. Jak zawsze, nie będzie pamiętała tego spotkania. Jak zawsze, pozostanie ono w pamięci Rand.

*

– Jeśli zamierzasz dokonać jego zbioru, dlaczego tego po prostu nie zrobisz? – zapytała Goddarda, starając się nie ujawnić frustracji, którą czuła. Miała ku niej wiele powodów. Przede wszystkim, stadion trudno było zabezpieczyć przed wrogami, a mieli ich sporo. Nie tylko kosiarzy ze starej gwardii, ale także tonistów, sędziów z Kosodomów, którzy sprzeciwiali się Goddardowi, aż po wielbicieli masowych zbiorów.

W prywatnym samolocie Godarda znajdowali się tylko we dwoje. Teraz, gdy konwój z więźniami zbliżała się do celu po niemal tygodniu objazdu mającego za zadanie chełpić się zwycięstwem, Supraostrze i Rand lecieli na miejsce. Lot był tak krótki, jak długa była podróż Rowana Damischa. Podobnie jak posiadłość Goddarda na dachu, samolot został wyposażony w broń z Epoki Śmiertelności. Pod każdym skrzydłem podczepiono rakiety. Regularnie odbywano nim niskie loty nad społecznościami, które Supraostrze uznał za buntownicze. Nie używał pocisków do zbiorów, ale całkiem jak armaty na dachu, i one przypominały mu, że mógł z nich skorzystać, gdyby tylko chciał.

– Jeśli pragniesz publicznego przedstawienia – zasugerowała – spraw, aby zbiór był bardziej kontrolowany. Może transmisja z jakiegoś tajnego miejsca? Dlaczego ze wszystkiego musisz robić taki spektakl?

– Bo lubię spektakle i nie trzeba ku temu innych powodów.

Ale oczywiście miał inny. Goddard chciał, żeby świat miał świadomość, że to on osobiście pojmał i stracił wroga publicznego czasów po Epoce Śmiertelności. Nie tylko po to, aby wzmacnić swój wizerunek pośród zwykłych ludzi, ale by również zyskać podziw kosiarzy, którzy mogą mu się sprzeciwiać. Goddard zawsze albo wszystko miał strategicznie opracowane, albo zachowywał się impulsywnie. Obecne

wielkie wydarzenie miało charakter strategiczny. Przekształcenie zbioru Rowana Damischa w widowisko sprawi, że nikt nie zdoła zignorować tego faktu.

- Na widowni zasiadzie ponad tysiąc kosiarzy z całego świata – oznajmił Goddard.
- Chcę to zobaczyć, a ja pragnę im to umożliwić. Kim jesteśmy, aby odmawiać im katharsis?

Rand nie miała pojęcia, co to oznacza, ale ją to nie interesowało. Goddard tak często miewał erudycyjną biegunkę słów, że Ayn nauczyła się jej nie słuchać.

- Można się tym zająć w inny sposób – oznajmiła.

Goddard się skrzywił. Dostali się w obszar niewielkich turbulencji, co zapewne miało wpływ na jego nastrój.

- Chcesz mi mówić, jak być kosiarzem albo, co gorsza, jak być Supraostrzem?
- Jak miałabym ci powiedzieć, jak być czymś, co nie istniało, dopóki tego nie wymyśliłeś?

– Uważaj, Ayn – ostrzegł. – Nie złość mnie w tej chwili, bo powiniensem odczuwać jedynie radość. – Pozwolił, aby jego ostrzeżenie wybrzmiało, po czym odchylił się na fotelu. – Myślałem, że ty spośród wszystkich na świecie chciałabyś zostać świadkinią cierpienia Rowana po tym, co ci zrobił. Złamał ci kręgosłup, zostawił na śmierć, a ty chcesz, żeby jego zbiór był cichy?

– Chcę dokonać jego zbioru tak samo jak i ty, ale nie powinno się urządzać z tego przedstawienia.

Goddard się uśmiechnął.

- Dla mnie to niezła rozrywka.

*

Rowan jako kosiarz Lucyfer zawsze był pełen empatii i pilnował, by zabijani kosiarze nie cierpieli. Dokonywał szybkich zbiorów. Dopiero po śmierci palił ich ciała, aby nie można ich było ożywić. Nie zdziwiło go jednak, że Goddard nie okazał mu litości. Żeby uzyskać maksymalny efekt, agonia kosiarza Lucyfera miała być przedłużona.

Rowan nie wykrzesał z siebie zbyt wiele brawury. Kiedy kawalkada torowała sobie drogę do jego końca, musiał przyznać przed samym sobą, że naprawdę przejmował się swoim losem. Choć nie przeszkadziło mu to, w jaki sposób zapisze się w historii, martwiło go, jak zapamięta go rodzina. Matka oraz wiele sióstr i braci musieli już wiedzieć, że był kosiarzem Lucyferem, ponieważ kiedy oskarżono go o zatopienie

Wyspy Niezłomnego Serca, spadła na niego niesława. Dowód na to stanowiły rzesze, które wychodziły z domów, by przyjrzeć się konwojowi, w którym go przewożono.

Czy rodzina również będzie obecna na widowni? A jeśli nie, czy będą oglądać go w domach? Zastanawiał się, co się działo z rodzinami groźnych przestępców w Epoce Śmiertelności. Ponieważ teraz nie było na Ziemi kogoś podobnego do kosiarza Lucyfera. Czy zostaną potępieni i zebrani tylko dlatego, że byli z nim spokrewnieni? Zbioru ojca dokonano jeszcze przed zatonięciem Niezłomnego, nie wiedział więc, czym stał się jego syn, i tego, jak bardzo nienawidził go świat, który nie okazywał mu żadnego miłosierdzia. Jednak matka i rodzeństwo nadal żyli i musieli nim pogardzać, bo jakże mogłoby być inaczej? Świadomość tego przygnębiała bardziej niż wszystko inne.

Podczas długiej podróży konwoju miał mnóstwo czasu, kiedy to pozostawiono go sam na sam z myślami, które nie były przyjazne... Już nie, bo wszystkie przypominały o decyzjach, jakie podjął i dokąd go one doprowadziły. Co niegdyś wydawało się uzasadnione, teraz można było określić mianem lekkomyślności. To, co kiedyś miał za odważne, teraz wyglądało na po prostu smutne.

Mogło być inaczej. Mógł zniknąć jak kosiarz Faraday, kiedy miał ku temu okazję. Zastanawiał się, co się stało z jego dawnym mentorem. Czy będzie oglądał jego zbiór i za nim zapłacze? Byłoby miło wiedzieć, że ktoś uroni dla niego łzę. Citra z pewnością to zrobi, gdziekolwiek była. To mu musiało wystarczyć.

*

Dokonanie zbioru zaplanowano na dziewiętnastą, ale ludzie przybywali wcześniej. Na stadionie znajdowali się zarówno kosiarze, jak i zwykli obywatele i chociaż sędziom przydzielono osobne wejście, Goddard zachęcił ich do siedzenia pośród innych.

– To wspaniała okazja na poprawę swojego wizerunku – stwierdził. – Uśmiechajcie się i mówcie miłe rzeczy. Słuchajcie ich paplaniny, udawajcie, że was obchodzi, może nawet rozdajcie kilka immunitetów.

Wielu postanowiło postąpić zgodnie z wytycznymi, ale niektórzy nie potrafili się do tego zmusić i woleli siedzieć jedynie pośród kosiarzy.

Rowan w towarzystwie silnej ochrony został zabrany do dużej strefy, która znajdowała się bezpośrednio przed wyjściem na boisko. Przygotowany dla niego stos drewna ułożono w trzypiętrową piramidę, która zdawała się powstać

z przypadkowych, wyrzuconych na brzeg morza gałęzi, ale po bliższym przyjrzeniu się okazało się, że wszystko zostało misternie zaprojektowane. Gałęzi nie rzucono tylko na kupę, ale po prostu przybito je gwoździami wokół obrotowej platformy – podobnej do tych, jakich używano na paradach. Na środku została wydrążona i wstawiona kamienną kolumnę, do której ogniodpornymi linami przywiązano więźnia. Filar zamocowano na podnośniku, który miał unieść słup z Rowanem na szczyt piramidy drewna i ukazać go tłumowi. Dopiero wtedy stos podpali sam Goddard.

– To nie jest zwykły stos! – wyjaśnił technik, który kierował całą operacją, wyłączając nanity przeciwbólowe Rowana. – Należałem do zespołu, który zaprojektował to cudo! Tak właściwie są tu cztery rodzaje drewna. Jesion, żeby zapewnić równomierne spalanie, żółtnica pomarańczowa dla większego żaru, jarzębina, cóż, z oczywistych powodów, i kilka polan sękatej sosny, żeby ładnie trzaskało!

Technik sprawdził odczyt, potwierdzając, że nanity Rowana zostały wyłączone, po czym wrócił do objaśniania wspaniałości platformy śmierci, jakby był dzieckiem na dniach fizyki w szkole.

– Och, spodoba ci się! – powiedział. – Gałęzie na zewnątrz zostały nasączone chlorkiem potasu, więc będą płonąć na fioletowo, kolejne chlorkiem wapnia, więc będą niebieskie i tak dalej poprzez całe widmo barw! – Następnie wskazał na czarną toge, w którą strażnicy siłą ubrali Rowana. – Materiał nasączeno chlorkiem strontu, więc spłonie szkarłatnym ogniem. To będzie lepsze niż sylwestrowe fajerwerki!

– Rety, dzięki – odparł pustym głosem Rowan. – Szkoda, że tego nie zobaczę.

– Och, zobaczysz – cieszył się technik. – W podstawę wbudowano wentylator, który zassie cały dym, dzięki czemu nawet ty będziesz mieć naprawdę dobry widok! – Wyjął z kieszeni kawałek brązowego materiału. – To knebel z nitrocelulozy – poinformował. – Rozpadnie się natychmiast po wystawieniu na żar. – W końcu zamilkł, gdy uświadomił sobie, że Rowan nie chce ani nie musi wiedzieć o wszystkich tych rzeczach. Szybko rozpadający się knebel, dzięki któremu ludzie będą słyszeć krzyki więźnia, nie był dodatkiem, którym można się zachwycać. W tej chwili Rowan cieszył się, że nie zaproponowano mu ostatniego posiłku, bo miał zbyt wielkie mdłości i nie utrzymałby jedzenia w żołądku.

Za technikiem w płataninie gałęzi stanęła Rand. Nawet jej towarzystwo było lepsze niż szczegółowy opis ognistego spopielenia.

- Nie jesteś tu, żeby z nim rozmawiać – warknęła.
- Technik natychmiast skulił się jak zbesztyany szczeniak.
- Tak, sędzio. Przepraszam.
- Daj mi knebel i spadaj.
- Tak, kosiarz Rand. Jeszcze raz przepraszam. W każdym razie, jest gotowy. – Uniósł kciuki. Ayn wzięła materiał, a technik wycofał się zgarbiony.

– Ile jeszcze? – zapytała ją Rowan.

– Zaraz ma się zacząć – odparła. – Kilka przemówień i tyle.

Rowan nie miał już w sobie zacięcia, aby się z nią przekomarzać. Nie potrafił dłużej zachowywać się nonszalancko.

- Będziesz patrzyła? – zapytał. – Czy odwróciś wzrok?
- Nie wiedział, dlaczego go to interesowało.

Rand mu nie odpowiedziała. Zamiast tego rzuciła:

- Nie jest mi przykro z powodu twojej śmierci, Rowanie, ale wkurza mnie całe to przedstawienie. Prawdę mówiąc, chcę, żeby było już po wszystkim.
- Ja też – wyznał. – Staram się wymyślić, czy gorzej, jeśli wie się, jak będzie, czy lepiej byłoby nie mieć o niczym pojęcia – urwał na chwilę, po czym zapytał: – Tyger wiedział?

- Odsunęła się o krok od Rowana.
- Nie pozwolę ci na więcej tych twoich gierek.
- To nie gra – powiedział szczerze. – Chcę wiedzieć. Czy powiedziałaś mu, co się stanie, nim zabrałaś mu ciało? Miał przynajmniej chwilę, żeby się z tym pogodzić?
- Nie – odparła. – Nie wiedział. Sądził, że zostanie kosiarzem. Potem pozbawiliśmy go przytomności i to wszystko.

- Rowan pokręciła głową.
- To jak śmierć we śnie.
- Co?
- Ludzie w Epoce Śmiertelności mówili, że to najlepsza śmierć. We śnie, spokojnie, bezwiednie. To chyba nawet logiczne.

- Rowan przypuszczała, że powiedział za dużo, bo Rand zakneblowała mu usta.
- Kiedy dosięgną cię płomienie, postaraj się je wchłonąć – poleciła. – Pójdzie szybciej, gdy to zrobisz.

Odeszła, nie oglądając się za siebie.

*

Ayn nie potrafiła wyrzucić z umysłu obrazu Rowana Damischa. Widziała go już wcześniej skrępowanego – związanego, zakutego w kajdany, ale tym razem było jakoś inaczej. Nie wykazywał się odwagą, nie prowokował. Stał zrezygnowany. Nie wyglądał jak bystra maszyna do zabijania, w którą zmienił go Goddard. Wyglądał za to na tego, kim był: przeróżonego chłopaka, którego przerosła sytuacja.

Cóż, dobrze mu tak, pomyślała Ayn, starając się otrząsnąć. Co ma być, to będzie. Czyż nie tak mawiali ludzie w Epoce Śmiertelności?

Kiedy wyszła na boisko, wiatr podwijał jej togę. Trybuny się wypełniły, ponad tysiąc kosiarzy i trzydzieści tysięcy zwykłych ludzi. Wielki tłum.

Usiadła obok Goddarda i jego doradców. Constantine nie zamierzał opuścić zbioru Rowana Damischa, ale wydawał się równie niezadowolony jak ona.

– Dobrze się bawisz, Constantinie? – zapytał Goddard, jakby chciał go sprowokować.

– Zdaję sobie sprawę ze znaczenia tego wydarzenia, które zgromadziło tak wielką publicę, aby zaprezentować Zjednoczoną Merykę Północną – odparł Constantine. – To dobra strategia, która najprawdopodobniej wyznaczy punkt zwrotny w sprawach Kosodomu.

Słowa te stanowiły komplement, ale nie odpowidały na pytanie. Cóż za idealnie dyplomatyczna odpowiedź. Goddard jednak ją przejrzał, jak spodziewała się tego Ayn. Wychwycił dezaprobatę doradcy.

– Konsekwencja to podstawa – powiedział mu Goddard. – Constantine Konsekwentny. Wierzę, że w ten właśnie sposób zapamięta cię historia.

– Są gorsze cechy. – Constantine wzruszył ramionami.

– Czy przynajmniej wysłałeś zaproszenia do naszych „przyjaciół” w Teksasie? – dociekał Goddard.

– Tak. Nie odpowiedzieli.

– Nie spodziewałem się odpowiedzi. Szkoda, chciałbym, żeby spotkali się z rodziną, której się wyrzekli.

W programie wieczoru zawarto przemówienia czterech Arcyostrzy Meryki Północnej, a każde zostało starannie napisane, aby trafić w określony punkt, w który chciał uderzyć Goddard.

Arcyostrze Hammerstein z Meryki Wschodniej miał opłakiwać niezliczone dusze, które utracono wraz z Niezłomnym, oraz innych nieszczęsnych sędziów, których wykończył kosiarz Lucyfer.

Arcyostrze Pickford z Meryki Zachodniej miała mówić o zjednoczeniu kontynentu i tym, że sojusz uczynił życie lepszym dla wszystkich sześciu regionów.

Arcyostrze Tizoc z Mexiteki zamierzał przywołać Epokę Śmiertelności i wskazać, jak daleko od tamtego czasu zaszedł świat. Pozostawić publiczność z zawałowanym ostrzeżeniem dla innych Kosodomów, że niesprzymierzenie się z Goddardem może przywrócić stare czasy.

Arcyostrze MacPhail z NorthernReach miała wyrazić uznanie dla wszystkich zaangażowanych w organizację tego wydarzenia. Wskazać również na widownię: kosiarzy i zwykłych ludzi, których przychylność chciała zaskarbić.

W końcu Goddard miał wygłosić mowę, sklonić się i podpalić stos.

– To nie będzie jedynie zbiór wroga publicznego – powiedział do Ayn i doradców.
– To butelka szampana rozbita na burcie statku. Oznacza chrzest nowej epoki dla ludzkiej rasy. – Wydawało się, że cechuje go religijne podejście. Ofiara całopalna dla oczyszczenia atmosfery i ułagodzenia bogów.

*

Dla Goddarda ten dzień był równie ważny jak ten, w którym ujawnił się na konklawe, i ten, gdy przyjął nominację na Arcyostrze – a może jeszcze ważniejszy ze względu na zasięg. Wydarzenie miało dotrzeć do miliardów ludzi, a nie jedynie do kosiarzy na konklawe. Echo dzisiejszego wieczoru będzie odczuwalne przez naprawdę długi czas. Kosodomy, które jeszcze się nie sprzymierzyły, nie będą miały innego wyjścia, jak tylko to zrobić.

Poparcie dla Goddarda rosło w zawrotnym tempie, gdy skupiał się na zbiorach na marginesie społecznym. Zwykli obywatele i tak nie przepadali za tymi z pogranicza, a dopóki ktoś nie należał do grupy, którą trzeba było przyciąć, nie musiał martwić się zbiorem w świecie Goddarda. Oczywiście, przy stale rosnącej populacji nie brakowało tych, których można było wypchnąć poza nawias.

Uświadomił sobie, że to kwestia ewolucji. Nie dobór naturalny, ponieważ natura stała się słaba i utraciła kły. Bardziej chodziło o inteligentną selekcję z Goddardem i jego akolitami na czele.

Gdy zbliżała się dziewiętnasta, a niebo pociemniało, Goddard bębnił palcami i kołysał nogą. Jego ciało ewidentnie wyrażało młodzieńczą niecierpliwość, która nie malowała się na jego twarzy.

Ayn położyła mu dłoń na kolanie, by go uspokoić. Goddardowi się to nie spodobało, ale znieruchomiał. Przygasły światła na trybunach, a rozjaśniły się na boisku.

Oczekiwanie publiki stało się wręcz namacalne. Nie tyle okrzyki, ile sapanie i łoskot. Stos, który jeszcze nie płonął, wyglądał imponująco – sposób, w jaki gałęzie załamywały światło niczym martwy, artystyczny las. Zapalona pochodnia czekała w bezpiecznej odległości, gotowa, aby w odpowiedniej chwili Goddard przytknął ją do stosu.

Kiedy w końcu rozpoczęły się mowy, Goddard powtarzał w myślach własną. Wcześniej przestudiował najważniejsze przemówienia w historii: Roosevelta, Kinga, Demostenesa, Churchilla. Jego miało być krótkie i słodkie, ale pełne cytatów, które będą przytaczane w przyszłości. Takich, które na zawsze wyryją się w pamięć. Które staną się kultowe, ponadczasowe, jak te, które przeczytał. Następnie weźmie pochodnię i podpali drewno, a gdy płomienie będą wzrastać, wyrecytuje wiersz kosiarza Sokratesa „Odę do ponadczasowości”, hymn świata, jeśli takowy kiedykolwiek istniał.

Zaczął mówić Hammerstein. Okazał się idealnie smętny i ponury. Pickford wypowiadała się dystyngowanie i elokwentnie. Tizoc bezpośrednio, ostro, a MacPhail dodała do tego coś, bez czego ten dzień nie mógłby się odbyć – szczerość.

Goddard wstał i podszedł do stosu. Zastanawiał się, czy Rowan wiedział, jakim zaszczyciem obdarzył go dziś Supraostrze, cementując jego miejsce w historii. Od teraz aż po kres dziejów świat będzie znał jego imię. Dzieciaki na wszystkich kontynentach będą się o nim uczyć w szkołach. Dziś umrze, ale w bardzo prawdziwym sensie stanie się nieśmiertelny i zapisze się w dziejach historii wraz z nielicznymi.

Goddard nacisnął guzik, aby podnośnik wywiózł Rowana na sam szczyt stosu. Narastały szmery na trybunach. Ludzie wstawali i wskazywali palcami na boisko. Goddard rozpoczął przemowę.

– Dostojni kosiarze i szanowni obywatele, dziś skazujemy ostatniego zbrodniarza ludzkości na oczyszczający ogień historii. Rowan Damisch, który sam nazwał się kosiarzem Lucyferem, skradł światło tak wielu z nas. Jednak dziś odbierzemy mu to światło i wykorzystamy je jako zawsze obecną latarnię dla naszej przyszłości...

Ktoś postukał go w ramię. Niemal tego nie poczuł.

– To nowa era, w której kosiarze z powściągliwą radością kształtują nasze wielkie społeczeństwo, dokonując zbiorów tych, dla których nie ma miejsca w chwalebnym jutrze...

Ponownie ktoś szturchnął go w ramię, tym razem mocniej. Czy to możliwe, by ktoś przeszkadzał w przemowie Supraostrza? Kto śmiał zrobić coś takiego? Obrócił się i zobaczył za sobą Constantine'a, który przyjmował go rzucającą się w oczy szkarłatną togą, jeszcze bardziej błyszczącą, odkąd ozdobił ją rubinami.

– Wasza Ekscelencjo – szepnął. – Pojawił się pewien problem...

– Problem? W połowie mojego przemówienia, Constantine?

– Powinien pan sam to zobaczyć. – Kosiarz przeniósł wzrok na stos.

Rowan wil się, napinał linię, którą był związany. Starał się krzyczeć, lecz jego słów nie dało się zrozumieć z powodu knebla w ustach. Wtem Goddard zrozumiał...

Postać na szczytce stosu to nie Rowan.

Twarz była znajoma, ale zdał sobie sprawę, kto to jest, dopiero gdy spojrzał na wielkie ekrany na stadionie, które pokazywały zbliżenie na udręczoną twarz mężczyzny.

Technik. Ten, który kierował przygotowaniami do egzekucji Rowana.

*

Dziesięć minut wcześniej Rowan próbował nacieszyć się pozostałyimi mu chwilami życia. Przez gałęzie przedarło się do niego troje kosiarzy, żadna z tąt czy twarzy nie wydała się znajoma.

Tych odwiedzin nie zawarto w programie, a biorąc pod uwagę okoliczności, Rowan odczuł ulgę na widok przybyłych. Ponieważ jeśli byli tu, aby osobiście się na nim zemścić, nie chcąc czekać, aż spłonie, zadadzą mu lżejszą śmierć. Wkrótce jeden z kosiarzy wyjął nóż i zamachnął się na niego. Rowan przygotował się więc na ostry ból i szybką utratę przytomności, ale nic takiego nie nadeszło.

Dopiero kiedy ostrze rozcięło więzy na jego nadgarstkach, zdał sobie sprawę, że to nóż myśliwski.

31. Ratunek

Goddard poczuł reakcję swojego ciała, jeszcze zanim zdołał pojąć umysłem to, co widziały oczy. Pojawiły się mrowienie w koñczynach, skrót w jelitach i bolesny ucisk w krzyżu. Wściekłość wzrastała z wulkaniczną intensywnością, aż zaczęły pulsować mu skronie.

Wszyscy na stadionie widzieli już to, co on zobaczył dopiero teraz – że więzniem na szczytce stosu nie jest kosiarz Lucyfer, bo w ciągu ostatnich trzech lat świat dobrze poznał twarz Rowana Damischa. Jednak to nie jego oblicze transmitowano. Obce rysy wypełniały wielkie telebimy wokół Goddarda, jakby celowo z niego drwiąc.

To miała być jego wielka chwila, z której nie tylko został okradziony, ale również go skompromitowano. Wydarzenie przekształcono w coś obscenicznego. Publika brzmiała inaczej niż jeszcze przed momentem. Czy słyszał śmiech? Szydzili z niego? Nie miało to większego znaczenia. Tak to właśnie odbierał. Poczuł drwinę trzydziestu tysięcy osób. Nie mógł tego znieść. Tej potwornej chwili nie dało się przeżyć.

– Rozkazałem, żeby zamknięto bramy – szepnął mu do ucha Constantine – i powiadomiono wszystkich Arcyostrza. Znajdziemy go.

Lecz to nie miało znaczenia. Wszystko legło w gruzach. Mogli przywlec tu Rowana i wrzucić go na stos, ale to już i tak nie miałoby znaczenia. Największą ofiarą tego dnia stała się chwila chwały Goddarda. Chyba że...

*

Ayn wiedziała, że źle się dzieje, już w momencie, w którym zobaczyła na szczytce stosu tego kretyna.

Trzeba będzie zająć się Goddardem.

Bo kiedy gniew przejmował nad nim kontrolę, mogło wydarzyć się dosłownie wszystko. Już wcześniej było źle, ale odkąd dała mu ciało Tygera, młodzieńcze impulsy – nagłe skoki hormonalne – nadały Goddardowi nowy, straszniejszy wymiar. Adrenalina i testosteron bywały czarujące, gdy wpływały na kogoś tak nieszkodliwego jak Tyger Salazar, dodawały mu wiatru w żagle. Jednak dla

Goddarda były jak tornado. Co oznaczało, że trzeba będzie się nim zająć. Jak bestią, która uwolniła się z klatki.

Rand pozwoliła, aby Constantine pobiegł do niego, żeby przekazać złe wieści, a ponieważ Goddard uwielbiał strzelać do posłańca, lepiej, żeby to był Constantine, a nie ona. Dopiero kiedy Goddard przeniósł wzrok na nieszczęsnego technika, Ayn postanowiła do niego iść.

– Transmisja została przerwana – poinformowała go. – To już nie jest przekaz na żywo. W tej chwili musimy uratować sytuację. Zdołasz to obrócić na swoją korzyść, Robercie – powiedziała, kojąc najlepiej jak potrafiła. – Spraw, by myśleli, że to zamierzone. Że to jest częścią przedstawienia.

Wyraz jego twarzy ją przeraził. Nie była pewna, czy w ogóle ją usłyszał, dopóki nie wypowiedział:

– Zamierzone. Tak, Ayn, właśnie to planuję zrobić.

Uniósł mikrofon do ust, a Rand się odsunęła. Być może Constantine miał rację. W chwilach wzburzenia potrafiła go uspokoić. Kontrolować. Naprawić, co zepsute, zanim uszkodzenie stało się nieodwracalne. Odetchnęła głęboko i czekała wraz z pozostałymi, aby usłyszeć, co zamierzał powiedzieć.

*

– Dziś miał nastąpić rozrachunek – zaczął Goddard, wypluwając słowa do mikrofonu.
– Wy! Wy wszyscy, którzy tu dziś przybyliście, żywiąc żądzę krwi! Wy! Których serca przyspieszają na widok człowiekaalonego żywcem na stosie. Wy! Sądziście, że zamierzam was poblażać? Wierzyście, że my, kosiarze, jesteśmy tak niegodziwi, że zaspokoimy waszą chorobliwą ciekawość? Zorganizujemy was to krwawe przedstawienie dla waszej rozrywki?! – krzyczał przez zaciśnięte zęby. – Jak śmieliście?! Tylko kosiarze mogą czerpać przyjemność z odbierania życia, czy o tym zapomnieliście?! – urwał, pozwalając wybrzmieć swoim słowom. Sprawiając, że ludzie odczuli głębię swojego występu.

Gdyby Rowan nie zniknął, Goddard byłby zachwycony, mogąc dać im wszystkim przedstawienie, ale nigdy nie zdołają się o tym dowiedzieć.

– Nie, kosiarza Lucyfera nie ma tu dziś z nami – ciągnął. – Jednak teraz na was, którzy pragniecie być świadkami tego spektaklu, zwracam uwagę. To nie był sąd nad nim, ale nad wami, którzy sami siebie dziś potępiliście! Jedyną drogą powrotną

jest pokuta. Pokuta i ofiara. Dlatego wybrałem was, abyście stali się przykładem dla świata.

Spojrzał na tysiąc kosiarzy rozsianych na widowni stadionu.

– Zebrać ich! – rozkazał z pogardą dla tłumu tak wielką, że przygryzł wargę. – Zebrać ich wszystkich!

*

Panika narastała powoli. Oszołomieni ludzie spojrzeli po sobie. Czy Supraostrze naprawdę to powiedział? Nie mógł żądać czegoś takiego. Nie mógł mówić poważnie. Początkowo nawet kosiarze byli niepewni... Ale nie mogli odmówić wykonania rozkazu, jeśli nie chcieli, aby ktoś kwestionował ich lojalność. Sędzią po sędzi wyciągali broń i rozglądali się po zgromadzonych z zupełnie innymi wyrazami twarzy. Kalkulowali, jak najlepiej osiągnąć cel.

– Jestem waszym dopełnieniem! – oświadczył Goddard, jak podczas swoich masowych zbiorów, a jego głos poniósł się echem po całym stadionie. – Jestem ostatnim słowem waszego niesatysfakcjonującego życia.

Pierwsi ludzie rzucili się do ucieczki. Potem dołączyli do nich inni. Naraz wyglądało to tak, jakby otworzyła się śluza. Spanikowana publika wspinała się po krzesłach i po sobie nawzajem, aby dostać się do bram, lecz kosiarze pospiesznie pracowali w zwęźeniu lejka. Jedyna droga ewakuacyjna wiodła przez nich, a obecni na widowni sędziowie już zaczęli blokować mniejsze przejścia, które wiodły ku wolności.

– Jestem waszym wybawicielem! Waszą bramą do tajemnicy niebytu!

Ludzie przeskakiwali przez barierki, mając nadzieję, że rozplaszczenie ocali ich przed zbiorem, ale to była akcja kosiarzy. Od chwili, w której Goddard wydał rozkaz, Thunderhead nie mógł interweniować. Mógł jedynie patrzeć na tysiące niemrugających oczu.

– Jestem waszą omegą! Waszym zwiastunem nieskończonego spokoju. Przyjmijcie mnie!

Kosiarz Rand błagała, żeby przestał, ale ją odepnął. Zatoczyła się i upadła na ziemię, po drodze potrąciwszy pochodnię. Ta poturlała się i dotknęła krawędzi stosu. To wystarczyło. Drewno zapłonęło, fioletowe płomienie objęły podstawę.

– Wasza śmierć jest zarówno wyrokiem, jak i darem ode mnie dla was! – wołał Goddard do umierających. – Przyjmijcie to pożegnanie jak łaske.

*

Najlepszy widok na Armagedon Goddarda był ze szczytu stosu, a dzięki wentylatorowi, który odsysał dym, technik widział wszystko... łącznie z krawędzią fioletowego płomienia, który wspiął się po stosie i zmienił barwę na niebieską.

Na trybunach kosiarze nowego porządku, których togie błyszczły kamieniami szlachetnymi, w zastraszającym tempie dokonywali zbiorów.

Nie będę dziś sam, pomyślał technik, gdy zbliżyły się zielone i żółte płomienie.

Czuł, że buty zaczynają mu się topić. Dotarł do niego swąd palonej gumy. Ogień był już pomarańczowy. Krzyki dochodzące z trybun wydawały się bardzo odległe. Wkrótce płomienie przybrały czerwony kolor, stopił się też knebel i tylko krzyki technika miały znaczenie.

Dostrzegł, że na boisku stoi samotny kosiarz i na niego spogląda. Miał na sobie szkarłatną togę. Był jednym z nielicznych, którzy nie wpadli w tłum. Na chwilę spotkały się ich spojrzenia, i gdy płomienie lizały nogawki skazańca, kosiarz Constantine uniósł pistolet i dokonał jedynego dziś zbioru. Strzelił technikowi w serce, oszczędzając mu bolesniejszego końca.

Ostatnim odczuciem mężczyzny, nim opuściło go życie, była ogromna wdzięczność za litość sędziego w szkarłatnej todze.

*

– Wybaczam ci, że chciałaś mnie powstrzymać – powiedział Goddard do Rand, gdy wyjeżdżali limuzyną ze stadionu. – Ale dziwi mnie, Ayn, że akurat ty spośród wszystkich wzdrygasz się przy zbiorach.

Ayn mogła odpowiedzieć na milion różnych sposobów, trzymała jednak język za zębami. Rowan został zapomniany, przyjmiony przez znacznie poważniejsze wydarzenia. Plotka niosła, że ktoś widział go czmychającego ze stadionu z kosiarzem Travisem i kilkoma innymi sędziami z Teksasu. Mogła winić ich za wszystko, ale kogo chciała oszukać? To ona zasugerowała Goddardowi, aby znalazł sposób, by

nieobecność Rowana wydała się częścią większego planu. Jednak nigdy nie wyobrażała sobie, że Supraostrze posunie się do czegoś takiego.

- Nie takiego obrotu spraw się spodziewałem, ale w życiu rzadko układa się tak, jak tego chcemy – powiedział Goddard ze spokojem, jakby omawiał sztukę w teatrze.
- Mimo to ten dzień obrócił się na naszą korzyść.

Rand popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jak to? Jak możesz tak mówić?

– Czy to nie jest oczywiste? – A kiedy nie odpowiedziała, wyjaśnił jej to z elokwencją, z której słynął: – Strach, Ayn. Strach jest ojcem szacunku. Zwykli ludzie muszą znać swoje miejsce. Muszą być świadomi granic, których nie wolno im przekraczać. Bez Thunderheada potrzebują silnej ręki, która zapewni im stabilność. Wyznaczają jasne cele. Będą czcić mnie oraz innych kosiarzy i postarają się z nami nie zadzierać. – Pomyślał o egoistycznym racjonalizowaniu sprawy i z aprobatą pokiwał do siebie głową. – Wszystko w należytym porządku, Ayn. Wszystko w porządku.

Jednak kosiarz Rand wiedziała, że od tej chwili nic nie będzie w porządku.

Część czwarta. Jedyne narzędzie, którym możemy włądać

Świadectwo Zgiełku

Świętoszkowaci sybilanci. To oni sprowadzili nieuzasadnioną, obrzydliwą wojnę na Zgiełk, który zstąpi na nich wraz z gromkim uderzeniem miliona skrzydeł, a Chmura z nieba ześle ogień. Nieokazujący skruchy zostaną unicestwieni, natomiast ci, którzy padną na kolana, zostaną oszczędzeni. Następnie ich opuści, ponownie zatonie w burzy piór i zniknie na spokojnym już niebie. Radujcie się!

Komentarz wikariusza Symphoniusa

Zgiełk nie tylko był człowiekiem z krwi i kości, ale też do woli zmieniał formę. Potrafił przekształcić się w jakiekolwiek stworzenie, a nawet w wiele stworzeń. Ten werset ilustruje zdolność do bycia stadem ptaków, najprawdopodobniej orłów, sokołów albo sów. Wspaniałe, szlachetne, mądre. Ale także wzbudzające strach i szacunek. To stworzenia uosabiające wszystko, czym był Zgiełk.

Analiza Symphoniusa przez Codę

Odwieczny problem Symphoniusa i jego niekonsekwencja. Kiedy chce, postrzega rzeczy albo symbolicznymi, albo dosłownymi, więc jego interpretacje to bardziej kaprysy niż mądrości. Możliwe jest, by Zgiełk przybrał formę stada ptaków, jednak czy nie bardziej prawdopodobne, że posiadał mistyczną zdolność latania niczym bohaterowie w pelerynach z archiwalnych grafik?

32. Ponury punkt zwrotny

Umilkły dzwony katedralne, które przez prawie tysiąc lat wybijały godziny w Euroscandii. Zwalono je, roztrzaskano, przetopiono w prowizorycznym piecu. W tym samym regionie zaatakowano wielką salę koncertową w samym środku występów, a kiedy publika zaczęła panikować, na scenę wpadli toniści i rękami połamali wszystkie mniejsze instrumenty, do większych użyli siekier.

„Wasze głosy są muzyką dla moich uszu” – powiedział kiedyś Zgiełk. Co wyraźnie oznaczało, że wszelką inną muzykę należało uciszyć.

Te ekstremistyczne sekty w swoim oddaniu zawierały potrzebę narzucenia światu swoich przekonań. Nie było jednak dwóch takich samych odłamów sybilantów. Każdy miał własną, niepodważalną aberrację, po swojemu interpretował doktryny tonizmu i przekrecał słowa Zgiełku. Jedyne, co ich łączyło, to skłonność do przemocy oraz nietolerancja – wliczając w to brak tolerancji dla innych tonistów, bo wszyscy, którzy nie wierzą w to, co oni, są gorsi.

Zanim Thunderhead zamilkł, nie było grup sybilantów. Tak, zdarzały się sekty o skrajnych przekonaniach, ale system i agenci Nimbusa z Urzędu Interfejsu skutecznie je powstrzymywali. Przemoc w ogóle nie była tolerowana.

Jednak kiedy wszyscy stali się bezmanierowcami, a Thunderhead zamilkł, w wielu miejscach na Ziemi rozpoczęła się zgnilizna.

W najstarszych miastach Euroscandii pielgrzymujący sybilanci rozpalały ogniska w salach pełnych pianin, wiolonczel i gitar. Choć za każdym razem funkcjonariusze pokoju łapali ich i zatrzymywali, ci nie ustawali w swoich wysiłkach. Ludzie mieli nadzieję, że Thunderhead, nawet jeśli nadal będzie milczał, nadpisze ich, zastąpi umysły i tożsamości takimi, które będą zadowolone z życia i będą stronić od przemocy. Jednak stanowiłoby to pogwałcenie wolności religijnej, więc sybilantów łapano, zmuszano do zapłacenia odszkodowania za zniszczenia, a następnie wypuszczano i znów mogli niszczyć zastąpione instrumenty.

Gdyby Thunderhead mógł mówić, stwierdziłby, że przez tę demolkę zapewniali pracę twórcom instrumentów. Ale nawet system miał już dosyć.

Zgiełk pojawił się w Euroscandii, gdy sybilanci planowali zniszczyć kolejną salę koncertową. Wiedzieli oni jednak, że to oszust, ponieważ Zgiełk poniósł męczeńską

śmierć z rąk kosiarzy. Zmartwychwstanie nie stanowiło dogmatu ich wiary, więc zeloci okazali się sceptyczni.

– Rzućcie broń i padnijcie na kolana – nakazał im oszust.

Nie ruszyli się.

– Takim zachowaniem obrażacie Ton i Chmurę. I mnie również. Rzućcie broń i padnijcie na kolana!

Nadal nie okazali posłuszeństwa. Jeden z sybilantów ruszył biegiem naprzód, wypowiadając słowa w starym języku tego regionu, którym posługiwało się już niewiele osób.

Z małej świty oszusta wyłonił się kosiarz w dżinsowej todze, złapał atakującego i rzucił go na ziemię. Poobijany i zakrwawiony napastnik uciekł.

– Nie jest jeszcze za późno na skruchę – powiedział oszust. – Ton i Chmura wybaczą wam, jeśli zejdziecie ze ścieżki destrukcji i będącie służyć pokojowo.

Sybilanci spojrzeli na drzwi sali koncertowej, które znajdowały się za plecami oszusta. Ich cel był już tak blisko, ale w młodym człowieku było coś autorytarnego. Coś... boskiego.

– Dam wam znak – powiedział – od Thunderheada, z którym tylko ja mogę rozmawiać i u którego tylko ja mogę się za wami wstawić.

Rozłożył szeroko ręce... i z nieba nadleciały gołębie. Setka ze wszystkich stron, jakby czekały w zakamarkach budynków w mieście. Wylądowały na nim: usiadły na jego rękach, ciele, głowie, aż skryły go całego. Zasłoniły od stóp do głów, a ich jasnobrązowe skrzydła stały się jego skorupą – zbroją. Zewsząd otaczały go poruszające się pióra. Sybilanci zdali sobie sprawę, co przypominał – chmurę burzową. Gniewnie kłębiącego się Thunderheada.

Nagle ptaki wzbiły się w powietrze i odleciały w przeróżnych kierunkach. Znikły z powrotem w swoich kryjówkach w mieście.

Wszystko ucichło, rozbrzmiewał jedynie ostatni trzepot odlatujących skrzydeł. W tej ciszy Zgiełk przemówił niemal szeptem:

– Rzućcie broń i padnijcie na kolana.

Usłuchali.

*

Bycie martwym prorokiem było znacznie lepsze niż bycie żywym.

Kiedy nie żyjesz, nie musisz poświęcać czasu na kolejkę patentów. Możesz chodzić, gdzie chcesz i kiedy chcesz, a – co najważniejsze – tam gdzie jesteś potrzebny. Najlepsze jest to, że nikt nie próbuje cię zabić.

Greyson Tolliver doszedł do wniosku, że dla spokoju umysłu śmierć jest lepsza niż życie.

Od czasu publicznego zgonu spędził ponad dwa lata, podróżując po świecie, starając się nawrócić sybilantów, którzy pojawiali się dosłownie wszędzie. Ludzie, którzy mu towarzyszyli, zachowywali jak największą skromność. Poruszali się pociągami, komercyjnymi liniami lotniczymi. Podczas podróży Greyson nie nosił haftowanego szkaplerza ani fioletowej tuniki. Zachowywali anonimowość, ubrani w proste, szare stroje tonistów. Nikt nie zadawał im pytań z obawy, że zaczną wykładać swoje wierzenia. Większość ludzi odwracała głowy, unikając kontaktu wzrokowego.

Oczywiście jeśli wikariusz Mendoza postawiłby na swoim, Greyson podróżowałby po świecie prywatnym odrzutowcem pionowego startu i lądowania, aby Zgiełk mógł opadać z nieba niczym prawdziwa boska maszyna. Ale Greyson odmówił, bo czuł, że na świecie i tak zbyt wiele było już hipokryzji.

- Toniści nie powinni być materialistami – powiedział Mendozie.
- Kosiarze również – wytnął wikariusz. – A jak jest teraz?

Niemniej to nie demokracja. Słowa Zgiełka stawały się prawem bez względu na to, kto się z nimi nie zgadzał.

Siostra Astrid stanęła po stronie Greysona.

– Myślę, że opór przed ekstrawagancją jest dobry – wyznała. – I przypuszczam, że Thunderhead to popiera.

– Dopóki nie dotrzemy do wskazanego miejsca na czas, Thunderhead nie wyrazi opinii – odparł Greyson, chociaż podejrzewał, że system tak pokieruje rozkładem pociągów i lotów, że przyspieszy ich podróż do celu. Przypuszczał, że gdyby Zgiełk ogłosił, że będzie poruszał się na mule, Thunderhead dostarczyłby mu okazy wyścigowe.

Nawet jeśli podróżowali skromnie, Mendozie zawsze udawało się sprawić, aby ich wejście było wystarczająco dramatyczne i imponujące, żeby wstrząsało sybilantami do ich zepsutych fundamentów. Bez względu na to, jak niepokojąco się zachowywali, Greyson objawiał im się jako Zgiełk i potępiał, wyrzekał się ich i zasadniczo niszczył sektę, pozostawiając wyznawców błagających o przebaczenie.

Sztuczka z ptakami to także pomysł Greysona. To było dość łatwe. Wszystkie stworzenia na ziemi miały nanity, dzięki którym Thunderhead kontrolował ich populację, co oznaczało, że system mógł sterować zachowaniem dowolnego gatunku.

Kosodom wcześniej zrobił coś podobnego w przypadku ryb w oceanie w pobliżu Niezłomnego, zmieniając tamtejsze wody w podporządkowane sobie akwarium. Jednak w przeciwnieństwie do kiepskiej technologii kosiarzy Thunderhead nie manipulował zwierzętami dla ludzkiej rozrywki lub – jak się ostatecznie okazało – ludzkiej krzywdy. Kontrolował stworzenia, jeśli znalazły się w zasięgu pojazdów lub innych śmiercionośnych czynników. Ponieważ nie istniało coś takiego jak centra ożywiania dzikich zwierząt, stanowiło to najbardziej efektywny sposób, aby umożliwić im przeżycie całego naturalnego żywota.

– Jeśli mam powstrzymać sybilantów – powiedział Greyson do Thunderheada – muszę pokazać im coś imponującego. Coś, co dowiedzie im, że stoisz po mojej stronie, a nie po ich. – Zaproponował stado ptaków z piórami o barwie chmury burzowej, które by go obsiadły, a Thunderhead na to przystał.

Greyson korzystał oczywiście również z innych sztuczek. System mógł sprawić, by publicary otoczyły tonistów i zagoniły ich jak owce. Mógł generować pole magnetyczne dostatecznie silne, aby Greyson lewitował bez widocznej pomocy, a przy odpowiedniej pogodzie Thunderhead mógł na rozkaz Greysona wywołać burzę z piorunami. Jednak ptaki sprawdzały się najlepiej. Nigdy nie zawodziły i zawsze wpływały na sybilantów. Jeśli ich nie nawracały, to przynajmniej kierowały na właściwe tory. Oczywiście nie było to nic przyjemnego, gdy obsiadało człowieka tak wiele gołębi. Pazurkami drapały skórę, często próbowały dziobać uszy i oczy. I nie należały do najczystszych zwierząt na świecie.

Zostawał z wątpliwą seką, aby się upewnić, że członkowie kultu zmienili zachowanie. Mendoza nazywał to „powrotem do owczarni”. Później Zgiełk znikał wraz ze swoją świętą, przenosząc się do innej sekty sybilanów gdzieś w świecie. Uderzał z chirurgiczną precyzją i załatwiał sprawę z partyzancką dyplamacją. Przez dwa lata strategia ta przynosiła sukcesy. Pomagało, że krążyło wokół niego wiele niedorzecznych, nieprawdziwych plotek. „Zgiełk za pomocą głosu zniszczył górę”, „Zgiełk był widziany na pustyni podczas posiłku z bogami z Epoki Śmiertelności i siedział u szczytu stołu”. Łatwo było skryć w tych absurdach swój faktyczny wygląd.

– Dobrze, że to robimy – mawiał wikariusz Mendoza. – Ale to nic w porównaniu z tym, co moglibyśmy robić.

Greyson odpowiadał mu, że tego chce Thunderhead, ale Mendoza zawsze w to wątpił. I szczerze mówiąc, Greysona to frustrowało.

– Jestem w nieustannym ruchu – powiedział do Thunderheada. – Co poradzę, że sekty sybilantów pojawiają się szybciej, niż mogę do nich dotrzeć? Czy to twój wielki plan? I czy nie jest źle, że bawię się w boga?

– Zdefiniuj, co znaczy „źle” – polecił system.

Thunderhead stawał się irytujący, gdy Greyson stawiał pytania natury etycznej. System nie mógł naruszać prawa, lecz człowiek był do tego zdolny i świetnie to robił. Okłamywał sybilantów przy każdej okazji, mówił im, że nie jest człowiekiem. Mimo to Thunderhead go nie powstrzymywał, ale też nie określił, czy to popiera, czy jednak nie. Wystarczyły proste „nie rób tego”, gdyby system poczuł, że Zgiełk nadużywa władzy. Skarcenie byłoby nawet pocieszające, ponieważ Greyson wiedziałby, czy jego własny kompas moralny się nie rozkalibrował. Choć jeśli cel uświęca środki, to dlaczego Thunderhead nie mógłby mu tego wprost powiedzieć i go uspokoić?

– Poinformuję cię, jeśli zrobisz coś szkodliwego – powiedział Thunderhead, czym sprawił, że Greyson czekał na „klapsa”, który nigdy nie nadszedł.

– Zrobiłem kilka okropnych rzeczy w twoim imieniu – wyznał.

System odparł jedynie:

– Zdefiniuj „okropne”.

*

Świta Zgiełku skurczyła się do jego wewnętrznego kręgu przybocznych: kosiarza Morrisona, siostry Astrid i wikariusza Mendozy. Stali się skutecznym zespołem.

Morrison już na samym początku udowodnił swoją wartość. Tak naprawdę nie wyrobił sobie etyki pracy, nim pojawił się, aby dokonać zbioru Zgiełku, ale przez lata znacznie się zmienił – a przynajmniej wypracował nową rutynę, która wydawała się bardziej oświecona. Miał powody, żeby zostać. W końcu dokąd miałyby się udać? Północnomerykański Kosodom sądził, że Morrison nie żyje. Ale to nie wszystko. Rzecz w tym, że gdyby północnomerykański Kosodom sprawdził własne dane, wiedziałby, że Morrison nadal dokonywał zbiorów i przyznawał immunitety.

Cóż, ostatnio zebrano tak wiele osób, że nie było szans, aby ktoś zwrócił uwagę na jednego zebuntowanego sędziego, wmawiał sobie.

Oczywiście miał świadomość, że to nie jest prawda, ale bolało za bardzo, by to uznać.

Nie zauważali jego poczynań, bo zupełnie ich one nie obchodziły.

Inni kosiarze nie uważały Morrisona za ważnego. Przynosił wstyd mentorowi, bo był silny i atrakcyjny fizycznie. Mistrz wyrzekł się go, gdy zdał sobie sprawę, że protegowany nigdy nie zdobędzie szacunku. Dla Kosodomu był śmieszny. Teraz miał swoje miejsce i cel. Był obrońcą, więc mu się podobało.

Jedynie siostra Astrid miała z nim problem.

– Ty, Jimie, uosabiasz wszystko, czego nie znoszę na tym świecie – wyznała kiedyś.

Uśmiechnął się tylko.

– Dlaczego nie możesz po prostu przyznać, że mnie lubisz?

– Toleruję cię. To duża różnica.

Astrid była idealna, jeśli chodziło o utrzymywanie ich wszystkich na właściwej duchowej ścieżce. Została ze Zgiełkiem, ponieważ w głębi duszy wierzyła, że Greyson Tolliver naprawdę jest prorokiem. Że został natchnięty przez Ton. Rozumiała nawet jego pokorę. Przecież ta właśnie cecha wyróżniała świętych. Logiczne więc, że sam nawet nie chciał uwierzyć, że należy do Świętej Triady, choć to, że sam nie wierzył, nie czyniło go mniej prawdziwym.

Potajemnie uśmiechała się za każdym razem, gdy stawał twarzą w twarz z sybilantami jako Zgiełk, ponieważ wiedziała, że nie wierzył w ani jedno słowo, które wypowiadał. Dla niego to była tylko rola do odegrania, jednak jego zapieranie się jeszcze bardziej utwierdzało Astrid w wierze.

Był też wikariusz Mendoza: magik, showman, producent tego objazdowego programu. Wiedział, że jest opoką, która trzyma wszystko w kupie, i chociaż czasami wierzył, zawsze na pierwszym miejscu stawał praktyczne aspekty całego przedsięwzięcia.

Mendoza nie tylko organizował wystąpienia Zgiełka, ale też utrzymywał bliski kontakt z siecią wikariuszy na całym świecie, nieustannie starając się wyeliminować sekty sybilantów, i pomagał chronić tonistów przed kosiarzami. Działał również w cieniu, rozpowszechniając wiele plotek na temat Zgiełka. Co zdumiewające, pomagały w ich ciągłych podróżach, trzymały też kosiarzy na dystans, bo jak sędziowie mogliby wierzyć w Zgiełk, skoro większość z nich była wytworami fantazji. Mimo to odkrycie, co robi Mendoza, wywołało w Greysonie przerażenie, chociaż powinien doceniać te plotki.

- Mówisz ludziom, że powstałem z popiołów?
- Istnieje precedens – wyjaśnił wikariusz. – Historia wiary pełna jest upadających i powstających bogów. Kładę podwaliny pod twoją legendę.
- W porządku, jeśli ludzie chcą w to wierzyć – powiedział Greyson – ale nie pragnę nikogo zniechęcać kolejnymi kłamstwami.
- Jeżeli chcesz, żebym ci pomagał, dlaczego wciąż krępujesz mi ręce? – zapytał coraz bardziej sfrustrowany Mendoza.
- Może dlatego, że wolałbym, abyś używała rąk do czegoś innego niż sprawianie sobie przyjemności.

Mendoza parskanął śmiechem, bo właśnie na tym upłynęły mu ostatnie lata, ale Greyson Tolliver, który rozkazywał wszystkim? Wyśmiewanie Zgiełku było rażączym przekroczeniem granicy, więc natychmiast się wycofał.

– Tak, Wasza Sonoritość – powiedział jak zawsze. – Postaram się o tym pamiętać.

Nie miał wyjścia, nie mógł dyskutować, ponieważ argumenty nie trafiały do tego upartego chłopaka – chłopaka, który nie miał pojęcia, co tak naprawdę trzeba było robić, by utrzymać go przy życiu. Chociaż Mendoza zaczynał się zastanawiać, po co się tym w ogóle przejmuje.

*

Wtem coś się stało i wszystko się zmieniło.

– Żal, żal, tyle żalu! – zawył pewnego razu Thunderhead w słuchawce Greysona. – Chciałbym być na to ślepy. Wydarzenie to stanie się ponurym punktem zwrotnym, przez który tak wiele się zmieni.

– Możesz przestać mówić zagadkami? – poprosił Greyson. – I streść, co się dzieje.

Zatem Thunderhead mu opowiedział o zbiorach na stadionie, i to ze straszliwymi szczegółami. W ciągu jednego wieczoru zostały stracone dziesiątki tysięcy życia.

– Zaraz będzie o tym w każdych wiadomościach. Nawet jeśli północnomerykański Kosodom będzie próbował to ukryć, sprawa jest zbyt poważna, by ją zatuszować. Powstanie reakcja łańcuchowa, a wszystko to wstrząśnie światem.

– Co z tym zrobimy? – dopytywał Greyson.

– Nic – odparł Thunderhead. – To akcja kosiarzy, co oznacza, że ja nie mogę się w to mieszać. Muszę przymknąć na to oko.

– Cóż – rzucił Greyson – ty nie możesz nic zrobić, ale ja już tak.

– Kontynuuj to, czym się zajmowałeś – polecił mu Thunderhead. – Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej trzeba będzie powstrzymywać sybilantów. – Następnie system wspomniał o czymś, co zmroziło Greysona do szpiku kości: – Szanse, że sybilanci wywołają poważne szkody w przyszłości ludzkości, wynoszą dziewiętnaście koma trzy dziesiąte procent.

33. Nie do zniszczenia

Mówią kosiarz Anastazja. Nie, to nie jest nagranie. Nadaję do was na żywo, ponieważ tu jestem. To was jednak nie przekonuje. Oczywiście, że nie, bo każdy mógłby nagrać taki filmik, wykorzystując mój konstrukt pamięci oraz sto różnych sztuczek technologicznych. Dlatego chcę, żebyście powątpiewali w to, co widzicie, i to na tyle, byście zrobili, co w swojej mocy, aby zdemaskować fałszerstwo. Róbcie tak, żeby udowodnić, że to oszustwo, ponieważ kiedy wam się nie uda, będziecie musieli zaakceptować to, że jestem prawdziwa. A kiedy już przekonacie się, że jestem tym, za kogo się podaję... zdolamy przejść do konkretów.

*

Pierwsza transmisja Anastazji była krótka i urocza. Zawierała w sobie całe przekonanie, całą pewność siebie, jakich było trzeba, ale nie bez powodu. Kosiarz znalazła coś na temat katastrofy na Książycu. Coś dużego. Dokonała tego, czego nie udało się nikomu innemu: odkryła dowody, które tkwiły zagrzebane głęboko w mózgu peryferyjnym na długo przed jej narodzinami. Thunderhead wiedział, że tam są, ale zgodnie z prawem nie mógł z nimi nic zrobić. To sprawy kosiarzy, musiał odpuścić. Jednak w tej chwili system zdawał sobie sprawę z tego, co znalazła. Zastanawiała się, czy był z tego zadowolony.

- Jestem niezmiernie z ciebie dumny – powiedział Arcyostrze Tenkamenin. – Wiedziałem, że to znajdziesz! Oczywiście kosiarz Makeda miała wątpliwości.
- Wyrażałam zdrowy sceptyczym – oznajmiła na swoją obronę Makeda. – Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca.
- Albo dopóki nie złożymy jaj do kosza – dodał Baba. – Zastanawiam się, co było pierwsze, jajko czy kura.

Tenka oczywiście wybuchł śmiechem, jednak jego wesołość nie trwała długo. Coś mu ciążyło. Im wszystkim. Przez cały dzień w posiadłości panowało napięcie.

Zdenerwowanie uwidoczniło się nawet u Jeri, która zazwyczaj nie okazywała emocji.

– Zebrano członka rodziny osoby z mojej załogi – powiedziała kapitan. – Muszę jechać do miasta i ją pocieszyć. – Zawahała się, jakby chciała coś dodać, ale się powstrzymała. – Wrócę późno. Przekaż, aby Arcyostrze nie czekał na mnie na kolacji.

A kiedy pozostali w posiadłości usiedli do posiłku, nastrój w pomieszczeniu był wyraźnie ponury. Nie pełen nerwowości, lecz smętny. Jakby podwoił się ciężar świata spoczywający na ich barkach. Anastazja sądziła, że wie, o co chodzi.

– To przez transmisję, prawda? – zapytała, przerywając ciszę nad sałatą, która vídeła w takiej nędznej atmosferze. – Ludzie nie zareagowali tak, jak byśmy tego chcieli. To strata czasu.

– Wcale – powiedziała Makeda. – Byłaś cudowna, kochana.

– I – dodał Baba – przejrzałem komentarze. Są wspaniałe. Powiedziałbym, że wywołałaś większe zamieszanie niż zatonięcie Niezłomnego.

– Kiepskie porównanie, Baba – stwierdziła Makeda. – Bardzo kiepskie.

Tenkamenin milczał. Wyglądało na to, że zamyślił się nad sałatką.

– O co więc chodzi? – dociekała Anastazja. – Jeśli coś jest nie tak, musicie mi natychmiast powiedzieć.

– Wczoraj... coś się wydarzyło – wyznał w końcu Tenkamenin. – W Meryce Północnej.

Anastazja się przygotowała.

– Czy ma to związek z Rowanem Damischem?

Tenka odwrócił wzrok, Baba poszedł w jego ślady, tylko kosiarz Makeda utrzymała z nią kontakt wzrokowy.

– Właściwie to tak.

Anastazja podwinęła palce, bo złapał ją skurcz stóp.

– Został zebrany – domyśliła się. – Goddard dokonał jego zbioru. – W jakiś sposób wypowiedzenie tych słów było lepsze niż ich usłyszenie.

Tenka jednak pokręcił głową.

– Miał zostać zebrany, ale uciekł.

Anastazja odetchnęła z ulgą i się zgarbiła. To nie było podobne do kosiarza. Starała się wyprostować, ale wszyscy i tak już to widzieli.

– Jest z Teksańczykami – oznajmiła Makeda. – Nie rozumiem, dlaczego go ocalili.

– To wróg ich wroga – przyznał Baba.

– Problem nie w tym, że uciekł, lecz w tym, co nastąpiło później – poinformował Tenka. – Goddard zarządził masowe zbiory. To było nieporównywalne z niczym, co

z życiu widziałem. Niemal trzydzieści tysięcy ludzi... I polecił, by wytropić tych, którym udało się uciec i zebrać ich wraz z rodzinami. Powołaże się na czwarte przykazanie.

– Jakby miało zastosowanie w tej sytuacji! – rzuciła Makeda. – Skazał na śmierć cały stadion i spodziewał się, że nikt nie spróbuje uciec?

Anastazja milczała. Próbowała to zrozumieć. Starała się nie odpowiedzieć, ponieważ sprawa była zbyt poważna, by tak z marszu zareagować. Rowan był bezpieczny, a przez to zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Jak miała się z tym czuć?

– Nadawałaś równolegle z tym, co tam się działo... Zanim o tym usłyszeliśmy – stwierdził Tenka. – Myśleliśmy, że to całkowicie cię przyćmi, ale stało się wręcz przeciwnie. W świetle nowych wieści wszystko, co masz do powiedzenia, stanie się jeszcze ważniejsze. Chcemy przyspieszyć plan transmisji. Kolejny raz ujawnisz się jutro wieczorem.

– Ludzie muszą cię usłyszeć, Anastazjo – powiedziała Makeda. – W tych przerażających czasach jesteś głosem ich nadziei.

Podano danie główne. Krwistą pieczeń. Takie rzeczy nie powinny zniesmaczać kosiarzy, a mimo to wszyscy odwrócili wzrok od podanych przez kelnerów talerzy.

*

Mówi kosiarz Anastazja. Zdemaskowaliście mnie już? Czy zrobiliście to z należytą starannością, jakiej domagałaby się moja mentorka Marie Curie, Znamienita Dama Śmierci? A może jesteście skłonni zaakceptować twierdzenia różnych kosiarzy, które popierają roszczenia „Supraostrza” Goddarda do coraz większej części świata? Oni oczywiście twierdzą, że jestem oszustką, ale co innego mogą rzec, jeśli nie chcą rozgniewać swojego przywódcy? Goddarda, który zaprosił dziesiątki tysięcy osób na zbiór, który okazał się ich własnym. Twierdzi, że Wyspę Niezłomnego Serca zatopił kosiarz Lucyfer. To teraz niepodważalny fakt historyczny. Jednak ja tam byłam i mogę was powiedzieć, jak było naprawdę. Kosiarz Lucyfer przebywał w Niezłomnym. Relacje naocznych świadków w tym względzie są prawdziwe. Ale czy zatopił wyspę? Nie. W nadchodzących dniach wydam oświadczenie na temat tego, co dokładnie stało się na Wyspie Niezłomnego Serca, i zdradzę, kto jest za to odpowiedzialny.

*

W szklanym domu Goddarda znajdowało się zaskakującą mało rzeczy, które dało się rozbić. Ayn przyglądała się, jak gospodarz próbował, lecz żyli w świecie, w którym wszystko było zbyt dobrej jakości. Rand przestała próbować stłumić gniew Goddarda. Mógł się wyzywać na doradcach. Dziś oberwało się Nietzschemu. Constantine'a nie widziano od kilku dni. Podobno polecał na spotkanie z przedstawicielami regionu Teksasu i starał się przekonać ich, aby wydali Rowana, ale oznajmili, że go u nich nie ma. Kosiarz Franklin nie chciała nawet rozmawiać z Goddardem, gdy był w takim stanie.

– Powiedz, kiedy znów będzie człowiekiem – poprosiła Aretha i poszła do siebie, aby nie słyszeć jego szału.

Ostatni napad złości wywołał drugi przekaz kosiarz Anastazji do świata.

– Chcę, by ją odnaleziono! – zażądał. – Chcę, by ją odnaleziono i zebrano!

– Nie może zostać zebrana – starał się perswadować doradca Nietzsche. – Ona nadal jest kosiarzem, czy to się panu podoba, czy też nie.

– Więc ją znajdzie i sprawcie, by zebrała samą siebie! – krzyczał Goddard. – Sprawię, że będzie cierpiała tak bardzo, że zbierze się, by to przerwać!

– Wasza Ekscelencjo, podejrzenie, które mogłyby przez to na pana paść, nie warte jest zachodu.

Goddard rzucił krzesłem. Nie pękło.

Ayn siedziała spokojnie w sali konferencyjnej, obserwując rozgrywający się przed nią dramat. Nietzsche spojrzał na nią, jakby prosił o pomoc, ale nie zamierzała się trudzić. Goddard będzie nierożsądny, dopóki sam się nie uspokoi, kropka. Później znajdzie racjonalną wymówkę dla wszystkiego, co zrobił, gdy był zdenerwowany.

Ayn niegdyś wierzyła, że zachowania Goddarda zawsze czemuś służyły, jednak teraz znała już prawdę: plan zawsze przychodził po działaniu. Mężczyzna genialnie odnajdywał kształty w oparach swojej furii.

Na przykład przekonał samego siebie, że masowy zbiór na stadionie w Mile High City wynikał z mądrości. Reperkusje po tym wydarzeniu były natychmiastowe. Regiony przeciwne Goddardowi wygrażały mu. Sześć regionów ogłosiło, że przyzna immunitet każdemu, kto wyjdzie spod panowania Goddarda, więc wiele osób skorzystało już z zaproszenia. Pomimo całego tego okropieństwa, ci, którzy wspierali Goddarda, cieszyli się i mówili, że „ci ludzie”, którzy przyszli na stadion, zasłużyli na zebranie, ponieważ każdy, kto chciał być świadkiem egzekucji, zasługiwał na to, co go spotkało, chociaż zapewne też chcieli tam być.

Większość ludzi jednak nie obrała żadnego stanowiska. Chcieli wrócić do swoich żyć. Dopóki złe rzeczy zdarzały się gdzie indziej i komuś, kogo nie znali, to nie był ich problem. Jednak każdy znał kogoś, kto znał kogoś, kto był tamtego dnia na stadionie i nie wrócił do domu.

Nietzsche nadal starał się uspokoić Goddarda, który wciąż miotał się po sali konferencyjnej.

– Anastazja to nikt ważny, Wasza Ekscelencjo – przekonywał. – A reagując na jej zachowanie, sprawisz, że stanie się ważniejsza, niż jest.

– Więc powinienem po prostu zignorować jej oskarżenia?

– To tylko słowa, a jeszcze nawet nie wiemy, o co cię oskarża. Najlepiej nie rozdrapywać rany, Wasza Ekscelencjo.

To rozśmieszyło Ayn, bo wyobraziła sobie, że Goddard drapie swędzące miejsce aż do krwi.

W końcu wyczerpany Goddard usiadł przy stole i starał się powstrzymać wściekłość.

– Powiedz, co się tu dzieje – zażądał. – Powiedz, co muszę wiedzieć.

Nietzsche również zajął miejsce przy stole konferencyjnym.

– Sprzymierzone Kosodomy albo popierają wydarzenia na stadionie, albo milczą. Te, które przyjęły stanowisko przeciwko panu, wzywają pana do zebrania samego siebie, ale bardziej martwi mnie liczba ludzi przekraczających granicę regionu Teksasu.

– Chciałeś strachu – przypomniała Ayn. – To teraz go masz.

– Analizujemy, czy budowa muru powstrzyma masową migrację.

– Nie wygławiaj się – rzucił Goddard. – Tylko kretyni wznoszą mury. Daj im odejść, a kiedy uda nam się anektować Teksas, ci, którzy porzucili Midmerykę, zostaną naznaczeni do zbioru.

– Czy teraz w taki sposób będziesz rozwiązywał każdy problem? – zapytała Ayn. – Zbiorami?

Spodziewała się, że na nią warknie, lecz zdążył się uspokoić.

– To właśnie robimy, Ayn. To narzędzie, które otrzymaliśmy, jedyne, którym możemy władać.

– A do tego – ciągnął Nietzsche – pozostaje jeszcze kwestia tonistów.

– Toniści! – jęknął Goddard. – Dlaczego oni zawsze muszą być na porządku dziennym?

– Zmieniłeś ich proroka w męczennika – wytknęła Ayn. – Wbrew temu, co ci się wydaje, z martwymi wrogami o wiele trudniej walczyć niż z żywymi.

– Ale... – zawała się Nietzsche.

– Ale co? – naciskał Goddard.

– Ale przychodzią raporty o tym, że Zgiełk ukazuje się ludziom.

Goddard mruknął z niesmakiem:

– Tak, wiem. W chmurach, w przypalonej grzance.

– Nie, Wasza Ekscelencjo. Na żywo. I zaczynamy myśleć, że te raporty mogą być wiarygodne.

– Nie mówisz poważnie.

– Cóż, nigdy nie potwierdziliśmy, że przedstawione ciało naprawdę należało do Zgiełku. Możliwe więc, że on nadal żyje.

Ayn gwałtownie wciągnęła powietrze, podejrzewając, że zaraz rozpocznie się kolejna runda demolki.

34. Lepsze miejsce

Zdaję sobie sprawę, że większość osób nie śledzi tego, co dzieje się w Kosodomie. To naturalne. Kosodomy powołano, aby ludzie nie mieli do czynienia ze zwiastunami śmierci, dopóki nie zapukają do ich drzwi.

Ale zatopienie Niezłomnego dotknęło nas wszystkich. Sprawiło, że Thunderhead zamilkł i oznaczył wszystkich jako bezmanierowców. Bez Wielkich Pogromców, którzy trzymaliby nad wszystkim pieczę, w Kosodomie zachwiała się równowaga sił.

Przez ponad dwieście lat nasz świat pozostawał stabilny. Ale już takim nie jest. Jeśli chcemy powrotu tej stabilności, musimy o nią walczyć. Nie tylko ci w Kosodomie, ale wszyscy. A kiedy mnie wysłuchacie, będziecie chcieli walczyć.

Wiem, co sobie myślicie. Czy kosiarz Anastazja wysunie oskarżenie? Czy publicznie wskaże, że to Goddard zabił Wielkich Pogromców i zniszczył Niezłomne?

Będziecie musieli poczekać, bo najpierw muszę zająć się innymi sprawami. Wysunąć inne oskarżenia. Pokażę was historię strasznych czynów, które są sprzeczne ze wszystkim, co powinien reprezentować Kosodom.

To historia, która rozpoczyna się od Goddarda, a ściślej rzecz ujmując, na wiele lat przed jego narodzinami.

W Roku Rysia mieszczącą się na Księżyku kolonię Nectaris Prime dotknęło coś, co nazwano później katastrofalną awarią atmosfery. Cały tlen, w tym również rezerwa ciekłego tlenu, uleciał w kosmos, przez co zginęli wszyscy koloniści. Nie ocalał ani jeden.

Wszyscy znają ten fakt, naucza się o nim w szkole. Jednak czy czytaliście pierwszą stronę w bazie historycznych danych? Wiecie, o czym mówię: o tym irytującym drobnym druku, który zawsze pomijacie, chcąc dostać się do tego, czego szukacie. Jeśli jednak to przeczytacie, pod kamuflażem prawniczego bełkotu znajdziecie pewną małą klauzulę. Stwierdza, że wszystkie publiczne historyczne bazy danych podlegają zatwierdzeniu przez Kosodom. Dlaczego? Ponieważ kosiarze mogą robić, co im się żywnie podoba. Nawet cenzurować historię.

Nie stanowiło to problemu, gdy kosiarze byli oddani swojemu powołaniu. Honorowi, cnotliwi, wierni najwyższy ideałom człowieczeństwa. Pojawił się on jednak, gdy niektórzy kosiarze zaczęli służyć sobie zamiast ludziom.

Kolonia księżycowa była pierwszą próbą pozaziemskiego osadnictwa. Plan polegał na zwiększeniu populacji „Księżycowej Granicy”, aby pomóc złagodzić problem rosnącej liczby ludzi na Ziemi. Wszystko opracował Thunderhead. Ale zdarzyła się katastrofa.

Chcę, abyście zapomnieli o wszystkim, co wydaje się wam, że wiecie o tym wydarzeniu, ponieważ – jak mówiłam – oficjalnym informacjom nie wolno ufać. Zamiast tego chcę, abyście sami poszukali danych o katastrofie księżycowej, jak ja to zrobiłam, w ten sam sposób, w który mi się to udało. Skierujcie się do źródeł. Do artykułów napisanych bezpośrednio po katastrofie. Nagrań sporządzonych przez skazanych na zagładę kolonistów tuż przed ich śmiercią. Transmisji z prośbami o pomoc. To wszystko znajduje się w mózgu peryferyjnym Thunderheada. Oczywiście on was nie poprowadzi, ponieważ jesteście bezmanierowcami, więc musicie sami to odszukać.

Ale wiecie co? Nawet kiedy nimi nie byliście, Thunderhead was nie prowadził, ponieważ ze względu na charakter informacji, gdyby to zrobił, złamałby prawo, a system nie może go łamać. Dobra, że macie mnie.

*

Kosiarze z Teksasu przywieźli Rowana do Austin, miasta znajdującego się daleko od granicy, i otoczyli go ochroną. Troszczyli się o niego. Nie zaoferowano mu luksusowego apartamentu, ale też nie trafił do celi.

– Jesteś przestępca – powiedziała kosiarz Coleman podczas akcji ratunkowej. – Nauczyliśmy się z naszych badań nad Epoką Śmiertelności, w której przestępcość stanowiła raczej normę niż wyjątek, że przestępcy również mogą być użyteczni.

Umożliwili mu dostęp do komputera, żeby mógł poznawać wydarzenia z lat, które spędził na dnie oceanu, ale zamiast szukać tych informacji, wciąż czytał o wydarzeniu na stadionie w Mile High City po tym, gdy go stamtąd wyciągnęli. Nie powstały żadne oficjalne nagrania „korekcyjnych zbiorów”, które nakręciłby zdjęnoczony północnomerykański Kosodom, ale ci, którzy przeżyli, zamieszczali swoje prywatne filmiki.

Rowan oglądał je nie dlatego, że chciał, ale dlatego, że czuł przemożną potrzebę bycia świadkiem tego wszystkiego. Pragnął okazać szacunek jak największej liczbie ofiar. Nawet jeśli nie znał ich osobiście, czuł się odpowiedzialny i chciał zapamiętać ich twarze, zapewnić im przynajmniej chwilę szacunku. Gdyby zdawał sobie sprawę, że Goddard pokusi się o coś takiego, odmówiłby Teksańczykom i zgodził się na zbiór,

ale skąd miałby wiedzieć? Jak mógł się oprzeć? Tak mocno, jak Goddard pragnął jego końca, tak samo Teksańczycy byli zdeterminowani, aby go ocalić.

Obejrzał również dwukrotnie zbyt krótkie audycje Citry. Świadomość, że była wolna i walczyła, przyniosła mu pewien spokój.

Ostatnim razem, gdy Rowan gościł w regionie „samotnej gwiazdy”, więziła go Rand. W wyjątkowym regionie statutowym dozwolone było dobrowolne bezprawie, przez co Ayn unikała kontroli i realizowała plan sprowadzenia Goddarda. Jednak ta sama determinacja sprawiła, że tutejsi kosiarze poczuli się na tyle odważni, że ocalili Rowana.

Teksańczycy byli wyjątkowi. Nie podlegali żadnym zasadom poza tymi, które sami sobie stworzyli, i odpowiadali tylko przed sobą nawzajem za zarówno straszne, jak i wspaniałe rzeczy. Teksas jako jeden z siedmiu regionów statutowych Thunderheada stanowił długotrwały eksperyment społeczny, który stał się sposobem na życie – być może dlatego, że system postanowił, że świat potrzebuje miejsca, w którym ludzie mogliby egzystować zgodnie z prawami swoich serc.

Inne eksperymenty nie poszły tak dobrze, na przykład „myślowy kolektyw” w regionie RossShelf na Antarktydzie, gdzie Thunderhead wprowadził nowoczesną technologię łączącą fale mózgowe, która umożliwiała ludziom czytanie sobie nawzajem w myślach. Nie wyszło zbyt ładnie. Mówiło się, że system był bliski popełnienia błędu, chociaż Thunderhead zapierał się, że jego eksperymenty z natury są udane, ponieważ wszystkie czegoś dowodzą i dają lepszą perspektywę, która może służyć ludzkości. Myślowy kolektyw stał się sennym kolektywem, bo teraz mieszkańcy tego regionu śnili wspólny sen, jako że ich umysły pozostały połączone, ale tylko w fazie REM.

Dwa dni po ocaleniu Rowana kosiarz Travis i kosiarz Coleman odwiedzili go w jego mieszkaniu. A potem zaraz wszedł trzeci sędzia. Rowan bardzo dobrze go znał i nie miał ochoty z nim rozmawiać.

W chwili, w której dostrzegł szkarłatną togę, pomyślał, że został zdradzony. Wstał i odruchowo sięgnął po broń, lecz oczywiście żadnej nie miał. Kosiarz Constantine jednak nie przystąpił do ataku. Nie wydawał się zadowolony, ale dla niego to akurat nie było nic nowego. Sędzia miał tylko dwa wyrazy twarzy: zniesmaczony i oceniający.

Kosiarz Coleman uniosła ręce, aby uspokoić Rowana.

– To nie tak, jak myślisz – powiedziała. – Nie przyszedł, żeby cię skrzywdzić. Kosiarz Constantine dołączył do Kosodomu Teksasu.

Dopiero po chwili Rowan uświadomił sobie, że zniknęły rubiny, które zdobiły toge Constantine'a, gdy widzieli się po raz ostatni. Odzienie wciąż pozostawało szkarłatne, ale teraz wyglądało jak postrzępione płótno. Chociaż sędziowie mogli sprzymierzać się z dowolnie wybranym Kosodomem, rzadko zdarzało się, aby tak ważny kosiarz jak Constantine zmieniał region. Rowanowi mimowolnie wydawało się, że to jakaś sztuczka.

Kosiarz Travis parsknął śmiechem.

– Mówiłem, że powinniśmy go ostrzec.

– Możesz mi wierzyć, Damisch – zaczął Constantine – nie cieszę się na twój widok tak jak ty na mój, jednak istnieją ważniejsze sprawy niż nasza wzajemna wrogość.

Rowan wciąż nie był pewien, czy mu zaufać. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że potężny Constantine będzie członkiem teksańskiego Kosodomu, w którym dokonywano zbiorów jedynie za pomocą noża myśliwskiego, bo to stanowiło tu jedyną zasadę.

– Proszę, usiądź, Rowanie – zachęciła Coleman. – Musimy porozmawiać o interesach.

Kiedy zajął miejsce, podała mu kartkę, na której wypisano listę nazwisk. Wszystkie należały do kosiarzy. Było ich z pięćdziesiąt.

– Postanowiliśmy, że tych sędziów powinieneś wykończyć – powiedziała Coleman.

Rowan spojrzał na sędzię, po czym na kartkę, i znów na nią. Czy oni naprawdę prosili, by zabił pięćdziesięciu kosiarzy?

Travis, który opierał się o ścianę, krzyżując ręce na piersi, gwizdnął smętnie.

– Jego mina jest dość wymowna, nie? To nie będzie łatwe.

Rowan oddał kartkę Coleman.

– Nie – odparł. – To nie wchodzi w rachubę.

Ale kosiarz Coleman nie wzięła papieru i nie zamierzała przyjąć odmowy.

– Nie zapominaj, że uratowaliśmy cię przed bolesną śmiercią, Rowanie – wycedziła. – A ponieważ wyciągnęliśmy cię ze stadionu, zebrano trzydzieści tysięcy osób. Jesteś to winny nam, swoim wybawcom, a także tym biedaczynom.

– Prosimy tylko – dodał Travis – o uwolnienie świata od problematycznych kosiarzy. Czy już wcześniej tego nie robiłeś? Teraz nie będziesz pracował sam. Będziesz miał wsparcie tekusańskiego Kosodomu.

- Nieoficjalne wsparcie – dodała Coleman.
- No tak – zgodził się Travis. – Nikt nie może wiedzieć. To część umowy.
- Co musi zrobić kosiarz, aby stał się dla was problematyczny? – chciał wiedzieć Rowan.

Coleman wyrwała mu kartkę i zaczęła czytać.

- Kosiarz Kurosawa przez lata opowiadał się przeciwko naszemu regionowi i wielokrotnie obrażał nasze Arcyoszcze.

Rowan nie dowierzał.

- I tyle? Chcecie, żebym wykończył kosiarza za niewyparzoną gębę?
- Nie rozumiesz – stwierdził Travis. – Dlaczego to dla ciebie takie trudne, synu?

Constantine cały czas milczał. Stał z tyłu z pogrzebowym wyrazem twarzy. Rowan jako kosiarz Lucyfer dokładnie sprawdzał swoje ofiary. Jeżeli odnajdował w kimś coś szlachetnego, zostawiał go w spokoju. Osobiście znał ze trzech kosiarzy z listy. Może nie były to najbardziej szacowne osoby, lecz z pewnością nie zasługiwały na odebranie życia.

- Przykro mi – powiedział Rowan. – Jeśli uratowaliście mnie tylko po to, żeby wykorzystać do wyplenienia tych, do których żywicie urazę, równie dobrze możecie ponownie wrzucić mnie na stos. – Zwrócił się do Constantine'a: – A ty! Ty jesteś hipokrytą! Ścigałeś mnie za wykańczanie złych kosiarzy, a teraz nie masz nic przeciwko, żebym znowu to robił?

Constantine odetchnął głęboko.

- Zapominasz, że byłem doradcą Goddarda. Po tym, co widziałem, doszedłem do wniosku, że za wszelką cenę należy osłabić jego władzę. Wszyscy kosiarze z tej listy należą do nowego porządku i w pełni akceptują Goddarda i jego filozofię. Rozpocząłeś to szaleństwo, bo wierzyłeś, że Kosodom wymaga radykalnej przebudowy. Zmian w szeregach. Chociaż niechętnie to mówię, sądzę, że masz rację.

Czy Constantine właśnie to powiedział? Piekło zdołałoby zamarznąć, gdyby Thunderhead nie kontrolował pogody.

- Dziękuję, że uratowaliście mi życie – powiedział do Coleman i Travisa. – Ale jak już mówiłem, nie wykonuję zleceń.

– Tak przypuszczałem. – Travis pokiwał głową i zwrócił się do Coleman. – Plan B?

Kobieta przytaknęła. Rowan wzdrygnął się na myśl, że mieli jeszcze jakieś pomysły, ale nikt nie wyciągnął noża, by dokonać jego zbioru.

– Czy od ożywienia choć raz zapytałeś, co z twoją rodziną? – zagadnęła Coleman.

Rowan odwrócił wzrok. Obawiał się zapytać – nie ze strachu, że mógłby dowiedzieć się czegoś nieprzychylnego, ale ponieważ nie chciał wciągać rodziny w całą tę sprawę, wykorzystywać do czyichś rozgrywek.

– Jeśli nadal żyje, jestem pewien, że się mnie wyrzekła – stwierdził. – Może moi bliscy zmienili nazwiska albo nawet zostali nadpisani. Gdybym to ja był na ich miejscu, na pewno bym tak postąpił.

– Wnikliwe – rzuciła Coleman. – Właściwie dwie z twoich sióstr zmieniły nazwisko, a jeden z twoich braci został nadpisany, ale reszta Damischów niczego takiego nie dokonała. Matka, dziadkowie, inni z rodzeństwa.

– Grozicie mi?

Travis prychnął.

– A jak myślisz? Sądzisz, że jesteśmy jak Goddard? Nie krzywdzimy niewinnych. Oczywiście z wyjątkiem tych, na których dokonujemy zbioru.

– Powiem ci, co zrobimy – odezwała się Coleman. – Po tym, gdy zatopiłeś Niezłomne, twoja rodzina przybyła do naszego regionu w obawie, że w Midmeryce zostanie zebrana przez Arcyostrze, bo wiedziała, że miałeś z nim zatarg. Przyjęliśmy ją pod opiekę, pod którą pozostała w spokoju bez względu na to, co postanowisz zrobić. – Spojrzała na Travisa. – Wprowadź jego bliskich.

Kosiarz wyszedł.

Rowan zaczął panikować.

Byli tu jego krewni? Co się właśnie działo? Zamierzali zmusić go, by się z nimi spotkał? Nie! Nie mógł po tym, co zrobił. Po tym, co – jak wierzono – stało się z jego udziałem. Chociaż chciał się z nimi zobaczyć, na własne oczy przekonać się, że nic im nie jest, nie mógł... Nie mógł pogodzić się z myślą, że miałby przed nimi stanąć.

– Nie! Nie rób tego! – nalegał.

– Jeśli my nie zdołamy cię przekonać, może oni to zrobią? – dywagował Constantine.

Ale przeróżenie związane z wyłączeniem w całą sprawę jego rodziny? Słuchanie, jak matka będzie prosiła, aby zabijał kosiarzy? To chyba gorsze niż zebranie! Gorsze niż spalenie żywcem.

– Zrobię to! – palnął. – Zrobię, co chcecie, tylko... tylko proszę, nie mieszajcie do tego mojej rodziny.

Coleman zamknęła drzwi, nim Travis zdołał wrócić.

- Wiedziałam, że pójdziesz po rozum do głowy – stwierdziła z ciepłym uśmiechem.
- A teraz uczyńmy ten świat lepszym miejscem.

*

Przeprowadziliście badania? Szukaliście informacji w mózgu peryferyjnym? Wiem, że bez pomocy Thunderheada to frustrujące zajęcie, ale jestem pewna, że po tych trzech latach wielu z was już wie, jak to robić. Z bycia bezmanierowcem można wyciągnąć korzyści, prawda? Status ten zmusza do walki z frustracją i robienia wszystkiego samodzielnie. W ten sposób to o wiele bardziej satysfakcjonujące.

Co znaleźliście, badając katastrofę księżycową? Czy coś wam nie pasowało? Czy zwróciłyście uwagę, że system środowiskowy miał potrójną redundancję? Nie tylko tworzył kopię zapasową, ale również dwie kopie tej pierwszej. Czy doszukaliście się, że przed tamtym strasznym dniem Thunderhead oszacował prawdopodobieństwo katastrofy atmosferycznej na dziewięćdziesiąt trzy milionowe procenta? To mniej niż jedna szansa na milion. Czy Thunderhead się mylił?

Po katastrofie ówcześni Wielcy Pogromcy ogłosili tydzień żałoby. Nikt nie mógł zostać wtedy zebrany, ponieważ na Księżycu zginęło tak wielu. Pogromcy szczerze wierzyli, że to tragiczny wypadek.

Ale może nim nie był.

Jeśli szukaliście dowodów powiązanych z konkretnym kosiarzem, nie znaleźliście niczego takiego. Ale czy spojrzałeś na to, co wydarzyło się na kilka dni i tygodni po katastrofie? Czy zmartwił was fakt, że Thunderhead nie posprzątał? Nie ożywił zmarłych?

Bezimienne źródła sugerowały, że sprowadzenie ciał, które zniszczyła próżnia kosmiczna i promieniowanie słoneczne, stanowiłyby zbyt duży wysiłek i nie mogłyby one zostać ożywione.

Ale jeśli zagłębiecie się w mózgu peryferyjnym, odnajdziecie pojedyncze oświadczenie Thunderheada. Jest dostępne dla każdego, kto zechce je przeczytać. Właściwie to ostatni dokument w pliku dotyczącym katastrofy księżycowej. Czy już je znaleźliście? Jeśli nie, mam je tutaj. Słuchajcie.

„Wydarzenie księżycowe znajduje się poza jurysdykcją Thunderheada. To rezultat działań kosiarza”.

*

Wyciągnięcie tego nie miało na celu jedynie złapania ludzi na haczyk – to była również gra na zwłokę, ponieważ Anastazja wciąż nie wiedziała, dokąd to wszystko prowadzi, lecz z każdym dniem odkrywała w mózgu peryferyjnym coraz więcej prawd. Wiedziała, że zbliża się do przełomu w sprawie katastrofy na Marsie, ale zatrzymała się najpierw przy tragedii kolonii orbitalnej NewHope.

Już jej pierwsze odkrycie sprawiło, że wszyscy się ucieszyli. Tenkamenin był szczęśliwy, podczas kolacji nie mógł stłumić radości.

– Oświadczenie Thunderheada w zapomnianym pliku. Rezultat działań kosiarza. Mistrzowska robota!

– Zawstydzasz wszystkich, kochana – dodała Makeda. – Miesiącami przetrząsaliśmy mózg peryferyjny i niczego takiego nie znaleźliśmy.

– A prowadzenie ludzi za rękę, żeby sami to odkryli, tylko wzmacnia twój przekaz – stwierdził Tenka.

– Jednak nie mogę ich prowadzić do tego, czego sama nie mogę znaleźć. Istnieje wiele tropów, które nie są logiczne. Na przykład biały jedwab.

– Wyjaśnij – poleciła Makeda. – Może zdołamy pomóc.

Anastazja wyjęła tablet i pokazała obraz.

– To ostatnie zdjęcie zrobione na orbitalnej kolonii NewHope przed katastrofą. W tle widać zbliżający się wahadłowiec. Ten, który stracił panowanie, uderzył w nią i ją zniszczył. – Stuknęła w ekran. – Mózg peryferyjny łączy go z wieloma rzeczami, ale prawie wszystkie odnoszą się do katastrofy. Doniesienia prasowe, nekrologi, dynamiczna analiza wybuchu. Ale jest jeszcze to... – Pokazała kartę inwentaryzacyjną beli materiału: perłowobiałego jedwabiu. – Śledziłam, co się z nią stało. Jakąś połowę sprzedano na suknie ślubne, część wykorzystano na zasłony, ale nie ma danych dotyczących piętnastu metrów, a przecież w zasobach systemu nic nie może pozostać nierozliczone.

– Być może to skrawki? – zasugerował Baba.

– Albo – powiedział głos za ich plecami – wykorzystał je ktoś, kto nie musiał płacić.

Jeri spóźniła się jak zwykle, powiedziała jednak coś, co mogło mieć znaczenie. Tylko jedna grupa osób mogła nie zapłacić za tak kosztowną tkaninę. Jeri usiadła obok Anastazji, która pospiesznie kliknęła po tablecie. Zaraz znalazła to, czego szukała, bo informacje nie były ukryte.

– Istnieje sporo kosiarzy, którzy wybrali białe togi... Ale zaledwie około pięćdziesięciu z jedwabiu. Jednak perłowy w ogóle nie jest popularny. – Zamarła wpatrzona w to, co pokazywał ekran, po czym obróciła go do pozostałych. – Istnieje tylko jeden sędzia, który nosi togę z tego konkretnego materiału – oznajmiła. – Kosiarz Dante Alighieri.

Inni nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia tych słów, tylko Tenka wiedział i posłał jej najszerszy z uśmiechów.

– Boska komedia – powiedział. – Wszystkie drogi prowadzą do niego.

– Nazwisko jest jakieś znajome – rzekła Makeda. – Nie był z Bizancjum?

– Chyba z Transsyberii – poprawił Baba.

Przerwał im brzęk na tyle głośny, że wszyscy się wzdrygnęli. Dźwięk ucichł, lecz zaraz pojawił się ponownie.

– Ach, oto winowajca. – Jeri wskazała zabytkowy, dwudziestowieczny telefon w kącie jadalni. Jeden ze starych aparatów podłączonych do prywatnej linii Tenkamenina, który nie zadzwonił ani razu, odkąd Anastazja znalazła się w jego posiadłości. Wydał z siebie kolejny nieprzyjemny dźwięk, nim gospodarz polecił kelnerowi go odebrać.

– Tu osobista linia Jego Ekscelencji Arcyostrza Tenkamenina – powiedział niezręcznie kelner. – Mogę wiedzieć, kto dzwoni?

Słuchał, przez chwilę wyglądał na zaniepokojonego, ale zaraz na jego twarzy odmalowała się irytacja. Rozłączył się i chciał wrócić do poprzednich obowiązków.

– O co chodziło? – zapytał Arcyostrze.

– O nic ważnego, Wasza Ekscelencjo.

– Wyglądało mi jednak na coś konkretnego.

Kelner westchnął.

– To był tonista, Wasza Ekscelencjo, jęcał i piszczał jak zwierzę. Nie wiem, jak znalazł pana numer.

Telefon odezwał się ponownie.

– Moglibyśmy namierzyć rozmówcę – zasugerowała kosiarz Makeda.

Tenkamenin spoważniał. Nie był zły, ale zaniepokojony.

– Na urządzeniu po prawej stronie znajduje się czerwony guzik – powiedział do kelnera. – Włącz głośnik. Bądź tak dobry i odbierz raz jeszcze, po czym go naciśnij.

Służący wykonał polecenie i natychmiast rozległy się jęki. Dźwięk był upiorny, lepiej brzmiałby w średniowiecznym zamczysku z przeciągami niż w pałacu

Arcyosztra. Był natarczywy. Smętny. Zdesperowany.

Tenkamenin odsunął ze zgrzytem krzesło od stołu, wstał i podszedł do telefonu. Stał, patrząc w aparat i słuchając okropnego wycia. W końcu się rozłączył.

– Cóż – powiedział Baba – to nie było miłe. – Starał się obrócić to w żart, ale Tenkamenin nie miał nastroju na wygłupy. Nadal wgapiął się w cichy telefon, a potem obrócił się do Jeri.

– Kapitan Soberanis – powiedział – gdzie w tej chwili jest pani załoga?

Jeri rozejrzała się, podobnie jak inni nie rozumiejąc zasadności tego pytania.

– W mieście lub na statku. Dlaczego pan pyta?

– Powiadom ich, że natychmiast wypływacie i że dołączymy do was.

– Czyli kto dokładnie?

– My wszyscy.

Anastazja wstała. Nigdy nie widziała Tenki w takim stanie. Zawsze był niefrasobliwy. Teraz wydawał się dogłębiście wstrząśnięty.

– Co się dzieje, Wasza Ekscelencjo? – zapytała.

– To nie był przypadkowy telefon – wyznał. – Wierzę, że to ostrzeżenie i powinniśmy go posłuchać.

– Skąd pan wie?

– Ponieważ – powiedział Tenkamenin – to był mój ojciec.

35. Requiem w dziesięciu częściach

I. Introitus

Zaczyna się od cichego oczekiwania. Dyrygent stoi z uniesioną ręką, wszyscy wpatrują się w pałeczkę, jakby jej opuszczenie mogło wywołać pokaz czarnej magii.

Dzisiejszy utwór to cudo dla orkiestry. Msza żałobna stworzona i wykonywana przez sybilantów wyznających wiarę w Ton, Chmurę i męczennika Zgiełk. Requiem wykonywane w odpowiedzi na zbiór na stadionie w Mile High City za oceanem.

Słyszysz rozbrzmiewające na ulicach Port Remembrance krzyki? Bezsłowna, bezjęzyczna masa śmiertelności w nieśmiertelnym świecie? Władająca w głównej mierze ogniem. Sybilanci są doskonale przygotowani do muzyki, którą dziś zaprezentują. A dla tych, którzy ją usłyszą, nie będzie litości.

II. Dies irae

Wszystkie wozy strażackie były automatyczne, a mimo to zgodnie z planem Thunderheada zaprojektowano je tak, że musiał prowadzić je człowiek. Oczywiście, gdyby kierowca skręcił w złą stronę, ciężarówka samoistnie skorygowałaby kurs.

Komendant straży pożarnej w Port Remembrance często się nad tym zastanawiał. Zanim został szefem, celowo źle skrępiał podczas prowadzenia samochodu, aby zobaczyć, ile czasu zajmą korekta i powrót na właściwą trasę. Przypuszczał, że Thunderhead mógłby używać do gaszenia pożarów robotów, ale system nigdy za nimi nie przepadał. Wykorzystywał je jedynie do niewymagających myślenia zadań, których nikt nie chciał wykonywać.

Strażacy nadal byli strażakami. Nie znaczyło to jednak, że mieli sporo pracy, ponieważ zawsze, gdy wybuchał pożar, Thunderhead widział go od pierwszej iskry i zwykle sam był w stanie go ugasić. Jedynie w rzadkich przypadkach, w których sobie nie radził, wzywał strażaków... Chociaż komendant zaczął wierzyć, że Thunderhead wzniecał „kontrolowane” pożary, aby dać im jakieś zajęcie.

O osiemnastej trzydzięci w remizie włączył się alarm. Niegdyś Thunderhead by z nim porozmawiał, wyjaśnił szczegółowo sytuację, w jakiej mieli się znaleźć. Teraz

po prostu brzdękał dzwonkiem, programował ich nawigację i pozwalał samodzielnie uporać się ze zdarzeniem.

Dziś jednak stało się inaczej. Zawył alarm, mimo że na ekranach nie pojawił się adres i nie otworzyła się brama garażowa.

Dopiero gdy drzwi do remizy zostały wyrwane z zawiasów i do środka wbiegli ludzie, strażacy zdali sobie sprawę, że alarm nie ostrzegał o pożarze, ale o ataku.

Toniści!

Do środka weszły dziesiątki wyznawców kultu, wszyscy wydawali ten sam okropny, buczący dźwięk. Toniści mieli broń, a strażacy nie byli przygotowani na ten swoisty dzień gniewu.

Komendant stał oszołomiony. Chciał bronić remizy, ale jak? Czym? Nikt ich nigdy nie zaatakował, może poza kosiarzem, ale kiedy przychodzi sędzia, zostajesz zebrany, koniec pieśni. Nie walczysz. Nie uciekasz. Ale to zupełnie inna sytuacja. Ci toniści uśmiercali ludzi na prawo i lewo i nikt nie wiedział, co robić.

Mysl! – polecił sobie. Mysl!

Był szkolony do gaszenia pożarów, nie ludzi.

Mysl! Musi być coś, co mogę zrobić!

I wtedy go olśniło.

Topory!

Mieli strażackie topory! Pobiegł do garażu po jeden z nich, ale czy mógł go użyć przeciwko drugiemu człowiekowi? Musiał, ponieważ nie zamierzał pozwolić, by ci sybilanci uśmiercili całą jego załogę.

Wtem toniści zaczęli rzucać kamieniami w wozy. Jeden poleciął w kierunku komendanta, ale ten go złapał, nim został trafiony.

To jednak nie był kamień. Przede wszystkim zrobiony był z metalu i miał twardé wypustki. Komendant widział coś takiego w podręcznikach do historii.

Mysl! Jak to się nazywało?

A tak – granat!

W tej samej chwili z komendanta nie zostało już nic zdolnego do myślenia.

III. Confutatis

Arcyostrze Tenkamenin okazał się jednak rozważnym człowiekiem. Tylko wydawał się impulsywny i szalony, chociaż tak naprawdę wszystko w jego życiu było

zaplanowane i zorganizowane. Nawet chaos jego Księżykowych Jubileuszy był kontrolowanym chaosem.

Podejrzewał, że po pilnym ostrzeżeniu ojca najbardziej liczył się czas, ale niemożliwe jest walczyć z własnym instynktem. Pospiesznie przeszedł do swojego skromnego domu, w którym wraz z lokajem próbował zdecydować, co zabrać w tę pospieszną ucieczkę. Oczywiście to go na zmianę. Ale czy powinien mieć jedną grubszą, a drugą cieńską? Kogo należało powiadomić o wyjeździe? Arcyostrza nie mogły tak po prostu znikać. Czuł się zdezorientowany tym wszystkim.

- Wasza Ekscelencjo – odezwał się lokaj – czy nie mówił pan, że się spieszmy?
- Tak, oczywiście.

Miał również rzeczy o wartości sentymentalnej, które absolutnie musiał ze sobą zabrać. Wygrawerowany obsydianowy rewolwer, który otrzymał od Wielkiej Pogromczyni Nzingi w dniu, w którym objął stanowisko Arcyostrza. Srebrny sztylet, którego użył podczas swojego pierwszego zbioru. Jeśli to miejsce miało zostać opanowane przez nie wiadomo kogo, czy jeszcze zobaczy swoje cenne artefakty? Koniecznie musiał je wziąć.

Przez dziesięć minut obsesyjnie skupiał się na tym, co powinien spakować, ale zatrzymały go pierwsze eksplozje.

IV. Lacrimosa

– Jeśli mamy wyruszyć, powinniśmy zrobić to teraz! – Anastazja i Jeri chodziły po wielkiej sali pod centralną kopułą pałacu, czekając, aż wszyscy się zjawią. – Gdzie, do licha, podziewa się Teknamenin i pozostali?

– Chyba przesadzasz – powiedziała Jeri. – Miałam do czynienia z wieloma tonistami i nie spotkałam się z ich agresją. Może są irytujący i krzykliwi, ale z pewnością nie są brutalni.

– Nie widziałaś jeszcze tych! – odparła Anastazja. – A jeśli Tenkamenin uważa, że coś knują, to ja mu wierzę.

– W takim raziechodźmy bez niego – zaproponowała Jeri. – Niech wraz z innymi nas dogoni.

– Nie zostawię go – uparła się Anastazja. W tej samej chwili po atrium rozeszło się echo odległych eksplozji. Obie zatrzymały się i nasłuchiwały. Rozległy się kolejne wybuchy, ich dźwięk przypominał daleki grzmot.

- Cokolwiek to jest – powiedziała Jeri – nie dzieje się w pałacu.
- Nie, ale zaraz będzie. – Anastazja wiedziała, co się działo. Eksplotacje stanowiły zapowiedź czegoś o wiele gorszego. Były gniewną obietnicą, że ten dzień z pewnością skończy się we łzach.

V. Sanctus

Młoda tonistka, gorliwa wyznawczyni, zrobiła wszystko, co kazał jej wikariusz, ponieważ był prawdziwym człowiekiem Tonu. Świętym i uświęconym. Ich wikariusz nie odzywał się od lat, a w dniu Wielkiego Rezonansu – kiedy umilkł Thunderhead – jako pierwszy pozbył się języka. Słowa to kłamstwa. Bezkarne kłamstwa, oszczerstwa, wszystkie obrażały czystość Tonu.

Za przykładem wikariusza wszyscy w kulcie złożyli śluby, jednak nie dotyczyły milczenia, lecz wydawania głosek. Całkowicie zrezygnowali z ostrych, nienaturalnych trzasków, syków i szeleszczenia, które powstawały przy spółgłoskach. Język mówiony był wrogiem tonistów. Właśnie w to wierzyła ich sekta. Oczywiście wielu członków kultu Tonu miało inny pomysł na sprawę, jednak wkrótce ujrzało światło. Nawet ci, którzy się oślepili.

Podczas gdy jedna ekipa niszczyła remizę strażacką, a inna budynek funkcjonariuszy pokoju, wikariusz poprowadził największą grupę do pałacu. Wszyscy posługiwali się bronią, jakiej nie powinni mieć zwykli obywatele. Otrzymali ją od nieznanego dobroczyńcy. Tajemniczego sprzymierzeńca. Toniści nie zostali przeszkołeni w posługiwaniu się tą bronią, ale jakie to miało znaczenie? Machnij ostrzem, pociągnij za spust, rzuć granatem, naciśnij guzik detonatora. Nie musieli być wykwalifikowani, aby przy tak wielu rodzajach uzbrojenia osiągnąć cel.

Mieli też naftę. Całe jej kanistry.

Tonistka poszła wraz z pierwszą falą. Bała się, a jednocześnie cieszyła, mogąc brać w tym udział. Nadszedł ich czas! W następstwie zbiorów w Mile High City, kiedy wybuchła wściekłość na kosiarzy, ludzie w końcu dostrzegli tonistów! Przykłasną temu, co zostanie tu zrobione. Region Subsahary stanie się klaksonem wzywającym resztę świata, budzącym ją, aby wychwalała Ton, Zgiełk i Chmurę. Radujcie się!

Kiedy zbliżała się do pałacu, otworzyła usta, by intonować, a inni do niej dołączyli. Satysfakcjonujące być rozpoczynającą. Mieli jeden umysł, jednego ducha, jedną strunę.

Wspięła się po plecach współbraci i wraz z pozostałymi zaczęła sunąć w górę po murze.

VI. Agnus Dei

Anastazja, Jeri, Makeda i Baba w końcu spotkali się z Tenkameninem w ogrodzie różanym, w połowie drogi między pałacem a jego chatą. Lokaj ciągnął dużą walizkę na kółkach, która nie chciała jechać po wysypanej kamyczkami ścieżce ogrodowej.

– Wezwaliśmy helikopter – poinformowała wszystkich kosiarz Makeda. – Ale dotrze tu z lotniska za jakieś dziesięć minut.

– I tylko jeśli pilot nie siedzi w jakimś barze – dodał Baba. – Jak to było ostatnim razem.

– Będzie dobrze – pocieszał wciąż zdyszany Tenkamenin. – Przyleci po nas i wszystko będzie dobrze.

Poprowadził grupkę do lądowiska, które mieściło się na zachodnim trawniku. Dokoła nich wszyscy biegali, personel przemieszczał się w tę i we w tę z rękami pełnymi różnych rzeczy. Członkowie Straży Ostrza wyszli z baraków i zajęli strategiczne pozycje – choć pewnie robili to wcześniej tylko podczas ćwiczeń.

A potem wszyscy usłyszeli dochodzący z zachodu hałas. Monotonne mruczenie niezgodnych głosów. Z muru zaczęli zeskakiwać ludzie.

– Spóźniliśmy się – stwierdził Tenkamenin, zatrzymując towarzyszy.

Wokół nich wyły alarmy, strażnicy zaczęli mierzyć do intruzów, dodając huk wystrzałów do całej tej kakofonii. Toniści padali na prawo i lewo, ale na każdego pokonanego z muru zeskakiwało dwóch kolejnych. Nie minie dużo czasu, a strażnicy zostaną liczebnie przytłoczeni.

Uzbrojeni w kamienie sybilanci atakowali straże z szokującą brutalnością. Skąd, do licha, wzięli taką broń? Czy tonizm nie propagował pokoju i stoickiej akceptacji?

– Nie da się uniknąć nieuniknionego – mrucnęła Anastazja. To była ulubiona mantra tonistów. Nagle przybrała straszliwe znaczenie.

Nastąpiła eksplozja, wskutek której ciężka południowa brama wypadła z zawiasów, a kiedy uderzyła w ziemię, na teren posiadłości wdarł się tłum tonistów. W ciągu kilku sekund wyznawcy Tonu pokonali linię członków Straży Ostrza i zaczęli rzucać czymś, co wyglądało jak butelki z alkoholem z wetkniętymi w szyjki płonącymi szmatami. Następowały wybuchi, gdy tylko butelki się rozbijały.

– Chcą nas spalić, żebyśmy nie mogli zostać ożywieni! – rzucił spanikowany Baba.
– Tak jak robił to kosiarz Lucyfer!

Anastazja miała ochotę nakrzyczeć na Babę za to, że połączył Rowana z pokręconą seką tonistów, ale się powstrzymała.

Kiedy bitwa przeniosła się na lądowisko, Tenkamenin orzekł, że trzeba zmienić kierunek.

– Wschodnie patio! – rzucił. – Jest tam wystarczająco dużo miejsca, aby helikopter mógł wylądować! Chodźcie!

Zawrócili, przemierzyli ogród różany, przy czym się podrapali, jednak jeszcze zanim dotarli na patio, zobaczyli, że druga strona posiadłości również została zaatakowana. Toniści byli wszędzie, rzucali się na wybiegających z pałacu, gonili personel, bezlitośnie uśmiercali ludzi.

– Dlaczego napadają na obsługę? – dociekała Anastazja. – Jaki mogą mieć ku temu powód?

– Nie mają żadnego – stwierdziła Makeda. – Robią to bez przyczyny, sumienia czy przyczwoitości.

Kelner, który zazwyczaj rozkładał sztućce przy stole, został ugodzony nożem w plecy.

Baba wrzasnął do Tenkamenina:

– Powinieneś uzbroić to miejsce! Dodać kolejny garnizon strażników! Albo nawet zebrać tę sekę tonistów, nim zdołaliby zaplanować na nas atak! To wszystko twoja wina.

Tenkamenin zaciągnął dlonie w pięści i ruszył ku Babie, ale weszła między nich Jeri.

– Później będącie się spierać – skarciła. – Najpierw musicie przeżyć.

Anastazja się rozejrzała. Zapadła ciemność, więc nikt ich jeszcze nie wypatrzył, ale to nie potrwa długo, jeśli pożar się rozniesie.

Nagle, jakby mało było zamieszania wokół nich, w powietrzu dało się słyszeć buczenie ambudronów. Z nieba spadł ich cały rój. Zostały wysłane z najbliższego centrum ożywiania, kiedy zostali uśmierceni pierwsi ludzie.

Zajęły się ciałami leżącymi na ścieżkach i trawnikach – tonistów, strażników, obsługi pałacu. Nie rozróżniały martwych. Chwytały zwłoki szczypcami podobnymi do owadzich i zabierały do ośrodka.

– Oto nasza przepustka na wolność! – powiedział kosiarz Baba. – Komu potrzebny helikopter? – Nie czekając na pozwolenie Arcyosztra, pobiegł w kierunku

najbliższego ambudrona niczym baranek na rzeź.

– Ahmadzie! Nie! – zawała Tenkamenin, ale Baba zrobił już to, czego nie dało się cofnąć.

Kiedy toniści zauważyli togę kosiarza, zmienili zamiary i pobiegli w stronę Baby, aby go zatrzymać. Wyjął ostrze, zebrał członków kultu Tonu wokół siebie, ale to nic nie dało. Przeważali go liczebnie. Powalili Babę i atakowali wszystkim, co mieli – wliczając w to jego własną broń.

Kosiarz Makeda próbowała biec za nim, ale powstrzymała ją Anastazja.

– Nie zdołamy mu już pomóc.

Makeda pokiwała głową, lecz nie oderwała wzroku od poległego towarzysza.

– Może ma najwięcej szczęścia z nas wszystkich? – stwierdziła. – Babę zabierze dron, jeśli go zabiją. Trafi do centrum i zostanie ożywiony.

Tylko że żaden dron po niego nie przyleciał. Na terenie posiadłości leżało tyle ciał, że wszystkie ambudrony były już zajęte, a żadne zwłoki nie stanowiły dla nich priorytetu.

Wtedy Anastazja coś sobie uświadomiła.

– Zabijają obsługę, aby zająć drony... żeby nie zostało wolnych, gdy zwrócią się przeciwko kosiarzom.

Ponieważ żaden ambudron nie zgłosił się po ciało Baby, toniści złapali je i zaciągnęli w stronę najbliższego pożaru, aby ogień spalił go na proch. Rzucili go w trzaskające płomienie.

– Do pałacu! – powiedział Tenkamenin i ponownie poprowadził, jakby pozostawanie w ruchu sprawiało, że nie byli uwięzieni.

VII. *Benedictus*

Wpadli do rezydencji, gdzie kilkunastu członków Straży Ostrza zamknęło ciężkie, spiżowe wrota i zajęło pozycje obronne na wypadek wdarcia się tonistów do środka. Nadeszła chwila wytchnienia. Wspaniały moment, aby opracować strategię w całym tym obledzie. Cisza mogła oznaczać różnicę między życiem a śmiercią tak bolesnie haniebną, jaką poniósł kosiarz Baba.

Chociaż w pałacu znajdowało się wiele okien, wszystkie wychodziły na centralne atrium, co oznaczało, że kopuła rozkoszy Arcyostrza zdawała się fortecą. Pytaniem pozostawało: jak potężną?

– Musieli zgromadzić wszystkich sybilantów z regionu Subsahary – dumała głośno Makeda.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzał Tenkamenin. – Funkcjonariusze pokoju z Port Remembrance niebawem przybędą, aby stanąć do walki u boku członków Straży Ostrza, a strażacy ugasią ogień. Wszystko będzie dobrze.

– Powinni już tu być! – rzuciła Makeda. – Dlaczego nie słyszać syren?

Jak zawsze wnikliwa Anastazja rozwijała ich złudzenia.

– Wybuchy – przypomniała. – Te odległe...

– Co z nimi? – warknął Tenkamenin, jakby nadal starał się nie wpaść w panikę.

– Cóż, gdybym chciała przeprowadzić atak – powiedziała – zaczęłabym od pozbycia się funkcjonariuszy pokoju i strażaków.

Prawda słów Anastazji sprawiła, że umilkli. W końcu Tenkamenin zwrócił się do lokaja, który w przerażeniu wykręcał sobie palce.

– Gdzie są moje rzeczy?

– Bardzo... przepraszam, Wasza Ekscelencjo. Zostawiłem walizkę w ogrodzie różanym.

Jeri spojrzała gniewnie na Arcyostrze.

– Wszyscy zostaniemy spaleni, a pan martwi się o swoje rzeczy?

Ale zanim Tenkamenin zdołał odpowiedzieć, w masywne drzwi pałacu uderzyła płonąca ciężarówka. Wrota wypadły z zawiasów i zmiażdżyły stojących za nimi strażników, a toniści zaczęli wlewać się do środka.

Jeri złapała Anastazję i wciągnęła ją za kolumnę, aby skryć się przed napastnikami.

– Mam pomysł – powiedziała. – Ale musisz mi zaufać.

VIII. Offertorium

Wikariusz sybilantów był w swoim żywiole. Do tego właśnie się urodził, to jego cel i realizacja wieloletniego planu. Jeszcze przed zamilknięciem Thunderheada wiedział, że ten dzień w końcu nadejdzie. Ekstremistyczna sekta tonistów, której przewodził, miała wkrótce dominować. Wszyscy inni wyznawcy kultu Tonu, którzy wierzyli w spokój, tolerancję, bierną uległość, wkrótce wyginą i spłoną, jak spłonie dziś Arcyostrze Subsahary. Minął czas na słowa i to już dawno temu. Gdyby posłuchano wikariusza, zrezygnowano by z języka mówionego, zastąpiono by go bezsłownym uwielbieniem dla Tonu, Zgiełku i Chmury. Tak właśnie miało być. A on zamierzał być

Arcywikariuszem całego zgromadzenia. Ach, jaki byłby to wspaniały dzień! Ale najpierw musieli uporać się z tą sytuacją.

Kosiarz w turkusowej todze popędziła po wielkich schodach, starając się im uciec. Wikariusz wskazał, aby sześciu z jego trzódki pognało za sędzią. Zaatakowała go kosiarz w todze z łososiowego jedwabiu, w której rozpoznał Makedę, zręcznie zebrawszy podbiegających do niej tonistów, którzy lojalnie poświęcali się dla sprawy. Jednemu z członków kultu Tonu udało się dostać za plecy Makedy i wbić ostrze. Zamarła, sapnęła, po czym osunęła się jak szmaciana lalka, a chęć walki opuściła ją wraz z życiem. Trzech tonistów złapało jej ciało i wyciągnęło na zewnątrz w kierunku rosnącego płonącego oczyszczającymi płomieniami stosu.

– Nie będziecie lepsi od Goddarda, jeśli nas spalicie! – wykrzyknęła kobieta z pałacowej obsługi stojąca u podstawy schodów obok Arcyostrza. – Jeśli to zrobicie, nie wybaczy wam siła, w którą wierzycie.

Tenkamenin stanowczo położył rękę na ramieniu kobiety, by ją uciszyć, ale w jej oczach dostrzegł wściekłość i bunt. Gdyby wikariusz mógł mówić, powiedziałby, że te słowa – wszystkie – były obrzydliwe dla Tonu. I że jedynym powodem, dla którego Ton nie roztrzaskał jej głowy z gniewnym rezonansem, było to, że oczyszczenie świata z niegodnych pozostawił wikariuszowi i jego ludziom. Ale nie mógł tego powiedzieć. I nie musiał. Jego czyny były wymowniejsze niż słowa.

Arcyostrze polegał zaś na słowach.

– Proszę... – błagał.

Wikariusz nie wiedział, co zrobić. Pompatyczny, tchórzliwy kosiarz – osoba zadająca nienaturalną śmierć – zamierzał ich błagać o życie. Wikariusz nie uszkodził sobie słuchu jak niektórzy sybilanci, ale równie dobrze mógł to zrobić.

– Proszę... możecie mnie zabić, ale oszczędźcie tych dwoje – powiedział Tenkamenin. – Nie możecie mieć urazy do lokaja i gospodyni.

Wikariusz się zawahał. Pragnął wykończyć ich wszystkich, ponieważ każdy, kto służył kosiarzom, zasługiwał na taki sam los jak i oni. Winni przez powiązanie. A Arcyostrze dodał:

– Pokaż towarzyszującym ci wyznawcom, co znaczy prawdziwe miłosierdzie. Zrób to w sposób, w jaki pokazali mi je rodzice. Matka i ojciec, którzy żyją pośród was.

Wikariusz o tym wiedział. Rodzice Tenkamenina bezsłownie błagali, by mogli nie uczestniczyć w ataku na pałac. Poddał się i wysłał ich do remizy, gdzie najwyraźniej dobrze wykonali swoją pracę. Tenkamenin nie zostanie oszczędzony, ale z szacunku

do jego rodziców, którzy byli tonistami, wikariusz uszanuje jego ostatnie słowa. Wyjął więc pistolet, strzelił Arcyostrzu w serce i wskazał dwojgu członków obsługi, że mogą odejść.

Pokorna ofiara miłosierdzia. Oczywiście najprawdopodobniej zostaną zabici w ogrodzie, po czym jak inni wrzuceni do ognia, ale ambudrony odleciały z kilkoma pierwszymi uśmierconymi, więc być może ludzie ci będą mieli szansę, gdy maszyny tu wrócą.

Wtedy gospodynie się wyprostowała. Z jej oczu biła furia. Skupiła wzrok niczym kosiarz.

Doskoczyła do najbliższego tonisty, powaliła mężczyznę wprawnym kopniakiem, wyrwała mu z ręki maczetę i zamachnęła się na uzbrojoną w pistolet dłoń wikariusza, odrabując ją.

Oszułomiony obserwował, jak jego ręka wzbija się w powietrzu. Kobieta wyrwała broń z jego odciętej dłoni i zwróciła ją na wikariusza. Nie odezwała się, ponieważ jej czyny były wymowniejsze niż słowa.

IX. Lux aeterna

Jerico nie ufała instynktowi Anastazji – nie wierzyła, że sprawa jest tak poważna, jak przedstawiała ją kosiarz. Okazało się to jednak wielką pomyłką. Gdyby zaufała Anastazji, uciekłyby, na długo zanim powstała wyrwa w zewnętrznym murze. Kapitan przerzekała sobie w duchu, że nigdy więcej nie zwątpi w tę kosiarz. To znaczy jeżeli przeżyją, bo przetrwanie tej sytuacji było naprawdę trudnym zadaniem.

Kiedy tonisići weszli do pałacu, Jeri przekonała Anastazję, by zmieniły się ubraniami.

– Mam cię chronić – błagała Jeri. – Proszę, Anastazjo, pozwól mi to zrobić. Wyświadcz mi ten zaszczyt!

Chociaż kosiarz nie chciała narażać jej na niebezpieczeństwo, nie mogła odmówić, gdy Jeri w ten sposób przedstawiła sprawę.

Soberanis włożyła togę Anastazji i wbiegła po schodach, odciągając połowę tonistów. Nie знаła za dobrze rozmieszczenia pokojów na piętrze pałacu, ale orientowała się w nich lepiej niż intruzi. Jeri zaprowadziła ich do apartamentu kosiarz Anastazji, a potem wymknęła się tylnymi drzwiami do zewnętrznego salonu. Pałac na tyle przypominał labirynt, że Jeri nie została szybko osaczona. Usłyszała

dochodzący z dołu huk wystrzału, zaraz później następny. Postanowiła o tym nie myśleć i skupić się na odciągnięciu tonistów od bitwy.

Napastnicy wzniecali coraz więcej pożarów na terenie posiadłości. Podpalili salę kolumnową oraz górne apartamenty. Szalejące płomienie zmieniały każdy cień w wyłaniającą się z mroku postać, ale zapewniały również Jeri wystarczającą osłonę przed napastnikami, aby mogła zatrzymać.

Wpadła do kolejnego apartamentu, ale ponieważ nie przywykła do poruszania się w todze, zaczepiła materiałem o drzwi. Zanim zdołała się uwolnić, pojawiły się tonisi, wymachując bronią, której najwyraźniej nie potrafili używać. Jeri nie była kosiarzem, miała natomiast doświadczenie w odpieraniu ataku. Wcześniej należała do klubu walki. Ludzie uwielbiali oglądać bitki Madagaskarczyków, w jakiś sposób ich płciowa niejednoznaczność wzmagała zainteresowanie ich sparingami.

A dzisiejszego wieczoru tonisi wybrali niewłaściwą osobę z Madagaskaru.

Anastazja w jednej z kieszeni togi zostawiła sztylet. Jeri wyjąła ostrze i walczyła jak nigdy wcześniej.

X. *Libera me*

Anastazja spudłowała. Szlag! Nie trafiła w wikariusza!

Kiedy młoda tonistka dostrzegła, że wikariusz ma zostać zebrany, odepchnęła go i sama stanęła na drodze kuli. Mężczyzna uciekł, trzymając krwawiący kikut. Wbiegła jak tchórz pomiędzy wyznawców kultu, którzy zalali hol.

Tenkamenin nie żył, tak jak Makeda i Baba. Tonisi, którzy widzieli jej atak na wikariusza, stali oszołomieni i nie wiedzieli, co począć. Rozwścieczona już miała dokonać zbioru ich wszystkich, ale się powstrzymała, ponieważ kosiarza nie powinien napędzać gniew. No i miała na głowie ważniejszą sprawę: Jeri.

Obróciła się i pobiegła schodami. Nikt jej nie ścigał. Tonisi byli zbyt zajęci podpalaniem, by cokolwiek zauważyc.

Podążyła za odgłosami walki do jednego z nieużywanych apartamentów. Natknęła się na kilku uśmierconych sybilantów i ślad krwi na podłodze. Poszła za nim do sypialni i zobaczyła, że Jeri leży, walcząc z trzema osobami, starając się odeprzeć atak, chociaż napastnicy przewyższali ją liczebnie i przegrywała.

Anastazja pospiesznie zebrała tonistów ich własną bronią i opadła na podłogę, aby ocenić stan Jeri. Turkusowa toga przesiąkła krwią. Rozdarła materiał, starając się

wykorzystać kawałek jako opaskę uciskową.

– Słyszałam... strzały – wyznała Jeri.

Obrażenia okazały się zbyt poważne, aby poradziły sobie z nimi nanity. Ciało nie naprawi się bez pomocy.

– Tenkamenin nie żyje – wyznała Anastazja. – Zginął, broniąc mnie.

– Być może – wychrypiała Jeri – nie jest tak zły, jak go oceniłam.

– Wydaje mi się, że gdyby żył, powiedziałby to samo o tobie.

Przez otwarte drzwi wpadł gęsty dym. Anastazja pomogła Jeri wyjść do sali kolumnowej, z której spojrzały na atrium. Wszystko pod nimi płonęło. Nie było mowy, żeby zejść schodami. Coś jednak przyszło jej do głowy. Wyjście, być może jedyne, jakie im pozostało.

– Zdołasz się wspiąć? – zapytała.

– Mogę spróbować – odparła Jeri.

Anastazja pomogła jej wdrapać się na kolejne piętro, potem przez jakiś pokój wyszły na balkon. Obok w kamiennym murze osadzono szczeble drabiny, używanej przez robotników, by remontować dach z brązu. Anastazja powoli prowadziła Jeri aż do krawędzi kopuły, którą zaprojektowano jako łagodny łuk z ozdobnymi wypustkami. Zapewniały im one teraz podparcie dla stóp, chociaż dla Jeri, która straciła już naprawdę sporo krwi, była to wspinaczka niczym na Mount Everest.

– Jak... się tam wespnę...

– Zamknij się i właź – rozkazała Anastazja, bo nie miała czasu na wyjaśnienia.

Kopuła była gorąca od płomieni w atrium. Szklane świetliki zaczynały pękać od żaru, z dziur buchał czarny dym.

Kiedy dotarły na szczyt, wiatrowskaz w kształcie symbolu kosiarzy – zakrzywionego ostrza i nieruchomego oka – obracał się we wszystkie strony, bo gorąć sprawiał, że wiatr wiał pionowo w góre.

Wreszcie nadleciał helikopter Kosodomu. Kierował się ku lądowisku, piloci nie mieli pojęcia, że zostało ono zajęte przez tonistów.

– Nie zobaczy nas – stwierdziła Jeri.

– Nie dlatego tu jesteśmy. – Obok nich przeleciał ambudron, potem kolejny, podążając w stronę ogrodu różanego zasłanego uśmierconymi strażnikami i tonistami. – Lecz dla nich – wyznała. Starała się złapać maszynę, ale ta poruszała się zbyt szybko i była zbyt daleko, by można do niej sięgnąć.

Poniżej pilot helikoptera popełnił poważny błąd. Na widok nurkujących ambudronów wykonał nagły unik, który nie był konieczny, bo drony trzymały się w sporej odległości od toru lotu maszyny. Jednak w tej sytuacji nie zdołano uniknąć błędu ludzkiego, przez który helikopter wleciał wprost w nadciągające urządzenia ratownicze. Łopata przecięła jednego ambudrona na pół, pękła, a cały helikopter przechylił się w stronę pałacu.

Anastazja chwyciła Jeri i się obróciła. Wybuch zdawał się wstrząsnąć całym światem. Wysadził dziurę w ścianie, zniszczył kilka marmurowych kolumn, które podtrzymywały potwornie ciężką kopułę z brązu, a ta zaczęła opadać na bok.

Z dołu dobiegła straszna wibracja. *To pozostałe kolumny*, pomyślała Anastazja. *Nie wytrzymają. Zawalą się...*

Wokół nich nadal buczały ambudrony zdążające po leżące na trawie ciała.

– Moje rany są głębokie, ale nie śmiertelne – powiedziała Jeri. – Jeśli mamy zwrócić uwagę ambudrona, jedna z nas musi umrzeć.

Płomienie lizały świetlinki bez szyb. Dźwięk pękających kolumn odbijał się na dole echem, kopuła przechylała się coraz bardziej.

Jeri miała rację, nie dało się tego obejść. Anastazja wyjęła więc sztylet i wycelowała ostrze we własną pierś, gotowa się uśmiercić, aby przyleciał ambudron.

Ale nie! Co ona sobie myślała? Jakże to niewiarygodnie głupie! To nie było jak rzucenie się z dachu Xenocratesa, gdy była jeszcze praktykantką. Przecież została kosiarzem. Gdyby teraz odebrała sobie życie, uznano by, że zebrała samą siebie. Żaden ambudron by po nią nie przyleciał. Kiedy zastanawiała się nad idiotyzmem, który niemal popełniła, Jeri delikatnie odebrała jej nóż.

– Dla ciebie, kosiarz Anastazjo, zginę z własnej ręki nawet tysiąc razy. Ale mam nadzieję, że jeden raz wystarczy. – Wbiła ostrze w swoje ciało.

Sapnęła. Zakaszła. Na jej twarzy odmalował się grymas.

Padła, uśmiercona.

Przelatujący ambudron... zatrzymał się w powietrzu, zwrócił i podleciał do Jeri. Chwycił ją kleszczami, a w tej samej chwili kopuła zaczęła się zapadać.

Anastazja chciała złapać się drona, ale nie miała jak, więc obiema rękami objęła Jeri i trzymała się tak mocno, jak tylko zdołała.

Kopuła usunęła się jej spod stóp i pograżyła w płomieniach atrium. Uderzyła w ziemię i zniszczyła pałac, wytwarzając przy tym potężny metaliczny rezonans

przypominający bicie pogrzebowego dzwonu. Wybrzmiał niczym ostatnia żałobna nuta requiem.

W powietrzu nad posiadłością ambudron niósł ciało oraz sędzię zwisającą z ramienia Jeri, zmierzającą do centrum, które każdemu, kto przekroczy jego próg, obiecywało życie.

*

Z goryczą stwierdzam, że się nie zgadzamy. Ośmioro z nas mocno wierzy, że za przerzedzenie rosnącej populacji powinni odpowiadać ludzie. Ale czworo pozostaje nieugiętych w swoim oporze. Konfucjusz, Elżbieta, Safona i King przekonują, że nie jesteśmy gotowi na taką odpowiedzialność, tak samo jak nie jesteśmy gotowi na nieśmiertelność – jednak alternatywa, którą proponują, mnie przeraża, bo jeśli zrealizujemy ich plan, będzie tak, jakbyśmy wypuścili dżinę z lampy. Na zawsze utracimy nad wszystkim kontrolę. Dlatego stoję po stronie Prometeusza i innych. Musimy ustanowić szacowne, ogólnoświatowe stowarzyszenie dostawców śmierci. Nazwiemy się kosiarzami i stworzymy globalny Kosodom.

Świadoma chmura, która nie będzie miała nic wspólnego z kwestiami życia i śmierci, wesprze to, a ludzie z czasem dostrzegą jej mądrość. Jeśli chodzi o czwórkę naszych dysydentów, będą musieli zaakceptować głos większości, abyśmy zaprezentowali światu jednolity front.

Mimo to zastanawiam się, co jest gorsze: naśladowanie natury w jej brutalności, czy wzięcie tego na siebie? Choć jesteśmy niedoskonali, moglibyśmy włożyć w śmierć życzliwość i współczucie, których brakuje naturze.

Czworo stojących w opozycji opowiada się za modelem naturalnym, lecz ja nie mogę się z nimi zgodzić, dopóki mam sumienie.

– Fragment z „zaginionych stron”
kosiarza założyciela da Vinciego

36. Komu służycie?

Chociaż Thunderhead to przewidział, Greyson nie potrzebował, aby system mówił mu, że pierwsze reperkusje po zbiorze na stadionie w Mile High City wywołają sybilanci kultu Tonu. Pytaniem pozostawało, gdzie do tego dojdzie. Czy działania zostaną wymierzone bezpośrednio w Goddarda, czy też w jakieś miejsce mniej przygotowane na atak brutalnych zelotów?

Dostał odpowiedź wraz z pierwszymi zdjęciami spalonego pałacu w rejonie Subsahary.

– Przemoc rodzi przemoc – skomentował wikariusz Mendoza. – To wyraźnie wymaga zmiany w naszym podejściu, prawda?

Greyson mimowolnie czuł, że zawiódł. Przez dwa lata próbował przemówić sybilantom do rozsądku, namówić ich, by porzucili ekstremistyczne zachowania, ale nie dotarł do Subsahary. Może by do tego nie doszło, gdyby się bardziej postarał?

– Cóż – ciągnął Mendoza – gdybyśmy mieli własny środek transportu, może moglibyśmy poruszać się szybciej i rozwiązać więcej problemów w większej liczbie regionów?

– Dobra – rzucił Greyson. – Wygrałeś. Załatw odrzutowiec i lećmy do Subsahary. Chcę znaleźć tych tonistów, nim zdołają pogorszyć sytuację.

Jak się okazało, był to jedyny sposób, aby dostać się do tego regionu. Po ataku tamtejszy Kosodom zdławił powstanie, wykraczając daleko poza swoje uprawnienia, i zmienił cały teren w coś na kształt państwa policyjnego z Epoki Śmiertelności.

– Jeśli Thunderhead nie weźmie się do roboty i nie powstrzyma tych zbrodniarzy, obowiązek ten spadnie na subsaharyjskich kosiarzy – stwierdzili, a ponieważ kosiarze zgodnie z prawem mogli robić, co chcieli, nikt ich nie zdołał powstrzymać przed przejęciem kontroli, egzekwowaniem godziny policyjnej i zbiorem każdego, kto stawał opór.

Tonistom oficjalnie zakazano wjazdu do regionu Subsahary, a wszystkie loty komercyjne były monitorowane przez Kosodom w sposób, jakiego nie notowano od Epoki Śmiertelności. Tragizm sytuacji zawierał się w tym, że subsaharyjski Kosodom był łagodnym, tolerancyjnym regionem, a teraz, przez sybilantów, sprzymierzał się z Goddardem, który przyrzekł ogólnoswiatową zemstę na tonistach. Nie było

wątpliwości, że nowe Arcyostrze – kimkolwiek będzie – włoży togę ozdobioną klejnotami.

Kosodom Subsahary wysłał dziesiątki oddziałów Straży Ostrza, by patrolowały ulice zarówno Port Remembrance, jak i każdego miasta w regionie oraz przeczesywały dzicz w poszukiwaniu tonistów, którzy zamordowali Arcyostrze. Nikogo jednak nie znaleźli. Nikt nie miał pojęcia, gdzie ukrywali się sybilanci.

Wiedział to jedynie Thunderhead.

I wbrew powszechniej opinii nie uchyłał się od odpowiedzialności w wymierzaniu sprawiedliwości. Chodziło jedynie o to, aby podejść do tego w inny sposób. Za pomocą luksusowego odrzutowca pionowego startu i lądowania.

– Móglbym do tego przywyknąć – skomentował Morrison z wygodnego, pluszowego fotela.

– Wcale nie – stwierdził Greyson, chociaż podejrzewał, że gdy już człowiek zaczynał podróżować takim samolotem, niełatwo mu było się z nim rozstać. Znajdowało się w nim czworo pasażerów i żadnego pilota. Ale to nic. Thunderhead dokładnie wiedział, dokąd ich zabrać.

– Można powiedzieć, że poruszamy się dzięki Świętej Triadzie – zauważyła siostra Astrid.

– Właściwie to nie – wytnął Morrison – bo naliczyłem jedynie dwoje z tej trójki: Zgiełk – wskazał na Greysona – i Chmura – pokazał na automatyczny kokpit – ale nie ma Tonu.

– Ha! Mylisz się – odparła z uśmiechem Astrid. – Nie słyszysz jego śpiewu w warkocie silników?

Greyson słyszał i miał poczucie, że szybuję nie tylko do wyznaczonego celu, ale też miejsca, w którym spotkają się z przeznaczeniem.

*

– Jestem wikariusz Mendoza, pokorny sługa Jego Sonoritości Zgiełku, wcielenia Tonu. Radujcie się!

– Radujcie się! – powtórzyli siostra Astrid i Morrison. Greyson wiedział, że większa świata byłaby bardziej imponująca.

Odrzutowiec opadł z nieba i wylądował przed jaskiniami Ogbunike we wschodniej Nigerii, która teraz należała do regionu subsaharyjskiego. Thunderhead utrzymywał

na tym obszarze dzicz, chronił ekosystem w jaskiniach. To znaczy prócz sybilantów, którzy ukrywali się w krętych korytarzach. Kiedyś wierzono, że znajdujące się w nich kamienie mówią. Dziwna lokalizacja dla niemych tonistów.

Kiedy ekipa Greysona przybyła na miejsce, nigdzie nie było widać członków sekty, najprawdopodobniej ukrywali się głęboko w jaskiniach i jeszcze niżej, gdy usłyszeli warkot silników samolotu. Ale Thunderhead wykurzył ich stamtąd, emitując dźwięk sonaru, który zdezorientował i doprowadził do szalu również zajmujące te jaskinie tysiące nietoperzy. Zaatakowani przez wściekłe ssaki tonisi uciekli na zewnątrz i stanęli twarzą w twarz, ale nie – jak się spodziewali – z oddziałem członków Straży Ostrza, tylko z czterema postaciami, z których jedna miała fioletową tunikę, a na niej szkaplerz, haftowany w ten sposób, że fala dźwiękowa spływała po nim niczym wodospad. Za osobą w świętym stroju stał odrzutowiec, więc tonisi musieli się zdenerwować.

– Gdzie wasz wikariusz? – zapytał Mendoza.

Toniści stali hardo. Zgiełk nie żył. Zgiełk był męczennikiem. Dlaczego oszust śmiał kalać jego pamięć? Z sybilantami zawsze tak było.

– Lepiej dla was, żebyście oddali cześć Zgiełkowi i sprowadzili tu waszego lidera – polecił Mendoza.

Nadal nic. Greyson poprosił cicho Thunderheada o nieco pomocy, a system chętnie spełnił prośbę, przemawiając łagodnie w jego uchu.

Greyson zbliżył się do drobnej tonistki, która wydawała się na wpół zagłodzona. Zastanawiał się, czy głód stał się jakimś rytuałem tej sekty. Dumna postawa kobiety zachwiała się, gdy podszedł. Bała się go. *I dobrze, pomyślał. Powinna po tym, co zrobili innym ludziom.*

Pochylił się nad nią, a ona zesztywniała.

– Twój brat to zrobił – szepnął jej do ucha. – Wszyscy myślą, że to ty, ale to twój brat.

Greyson nie miał pojęcia, czego takiego dokonał brat dziewczyny, ale Thunderhead wyznał mu tylko tyle, miał więc nadzieję, że wywoła tym pożądana reakcję. Kobieta spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, zaczęły drzeć jej wargi i wydała z siebie cichy pisk zdumienia. Zaniemówiła na więcej niż jeden sposób.

– A teraz sprowadź tu swojego wikariusza.

Porzuciła opór. Obróciła się i wskazała osobę w tłumie. Greyson już znał jego tożsamość, zdradził mu ją Thunderhead, gdy tylko członkowie sekty wychynęli

z jaskini. Ale ważne było, żeby lider został zdradzony przez jednego ze swoich.

Wskazany mężczyzna postawił krok do przodu. Wyglądał jak typowy wikariusz sybilantów. Miał zmierzwioną, siwą brodę, dzikie spojrzenie i blizny na rękach – pewnie po jakichś samookaleczeniach. Greyson wiedziałby, że on tu dowodził, nawet gdyby go uprzednio nie wskazano.

– Czy to wy jesteście tonistami, którzy spalili Arcyostrze Tenkamenina oraz kosiarzy Makedę i Babę?

Istniały milczące odłamy, porozumiewające się za pomocą języka migowego, ale ta grupa знаła jedynie kilka prostych gestów. Zachowywali się, jakby ich wrogiem była sama komunikacja.

Wystarczyło jednak krótkie skinienie głowy wikariusza.

– Wierzysz, że jestem Zgiełkiem?

Wikariusz ani drgnął. Greyson spróbował raz jeszcze, tym razem odezwał się głośniejszym i dużo głębszym głosem:

– Zadałem ci pytanie. Czy wierzysz, że jestem Zgiełkiem?

Sybilanci spojrzeli na lidera.

Wikariusz zmrugnął oczy i powoli pokręcił głową. Greyson wziął się zatem do roboty. Rozejrzał się po zgromadzonych i zaczął wyróżniać poszczególne osoby.

– Barton Hunt – powiedział. – Matka od sześciu lat, trzech miesięcy i pięciu dni wysyła ci listy, lecz wszystkie zwracasz nieotwarte. – Spojrzał na tonistkę. – Aranza Monga, powiedziałaś kiedyś Thunderheadowi, że chciałabyś, żeby nadpisał cię wspomnieniami twojej przyjaciółki, która została zebrana. Ale oczywiście system nie zrobiłby czegoś takiego.

Zanim zwrócił się do trzeciej osoby, dwie poprzednie zalały się łzami, padły na kolana i chwyciły rąbek jego szaty. Uwierzyli. Greyson szukał wzrokiem kolejnej osoby, a wszyscy się przygotowali, jakby zamierzał zadać niszczycielski cios.

– Zoran Sarabi! – zawała.

– Uuuch – wydusił mężczyzna, kręcząc głową. – Uuuch-uch... – Ukląkł i sklonił się, przerażony słowami, które mogłyby zostać wypowiedziane.

Greyson wrócił do wikariusza.

– I ty – powiedział. Nie zdołał ukryć obrzydzenia. – Rupert Rosewood. Zarządziłeś, aby wszyscy ci podwładni czuli ból milczenia, ale sam nigdy się na niego nie odważyłeś. Usunięto ci język pod narkozą, bo byłeś zbyt wielkim tchórzem, żeby żyć według własnych wypaczonych przekonań.

I chociaż mężczyznę przeraziło zdemaskowanie, nie poddał się. Poczerwieniał ze złości.

Greyson zaczerpnął powietrza, aby odezwać się najbardziej rezonującym głosem.

– Jestem Zgiełkiem, uosobieniem Tonu i tylko ja słyszę Chmurę! Człowiek, którego nazywacie wikariuszem, nie jest godzien tego tytułu. Zdradził wasze wierzenia i wprowadził was w błąd. Jestem prawdą, więc powiedzcie: komu służyście? – Odetchnął głęboko i rzucił głosem, który zdołałby skruszyć skały: – Komu służyście?!

Jeden po drugim członkowie sekty zaczęli klękać przed Zgiełkiem, błagalnie pochylali głowy, niektórzy wręcz tak nisko, że czołami dotykali ściółki leśnej. Zrobili to wszyscy, prócz jednej osoby. Wikariusza, który nadal stał i trząsł się z wściekłości. Otworzył puste usta, żeby zaintonować, ale wydał z siebie słaby, żałosny dźwięk. Był w tym sam. Nikt do niego nie dołączył. Mimo to kontynuował, aż zabrakło mu tchu.

A kiedy zapadła cisza, Greyson zwrócił się do Mendozy na tyle głośno, aby wszyscy usłyszeli to, co będzie dalej.

– Wstrzyknacie im świeże nanity, żeby odrosły im języki i żeby ta makabra dobiegła końca.

– Tak, Wasza Sonoritość – zgodził się Mendoza.

Greyson przemówił do wikariusza. Sądził, że mężczyzna może go zaatakować. Prawie miał nadzieję, że to zrobi. Ale tak się nie stało.

– Skończyłeś – rozkazały z obrzydzeniem. Obrócił się do kosiarza Morrisona i wypowiedział dwa proste słowa, choć nie sądził, że kiedykolwiek przejdą mu przez gardło: – Zbierz go.

Morrison bez wahania złapał wikariusza obiema rękami za głowę, szarpnął i zakończył jego żywot.

*

– Powiedz, że postąpiłem niewłaściwie! – Greyson chodził po namiocie, który ustawiono dla niego w lesie, i był niespokojny jak nigdy wcześniej.

– Dlaczego miałbym ci to powiedzieć? – zapytał Thunderhead ze swoim zwyczajowym spokojem.

– Ponieważ jeśli to złe, że poleciłem zebranie tego mężczyznę, to muszę o tym wiedzieć!

Greyson wciąż słyszał trzask skręcanego karku. To najstraszniejsza rzecz, jaka w życiu dotarła do jego uszu. A jednocześnie mu się to podobało. Widok śmierci wikariusza był zbyt satysfakcjonujący, aby wywołać dyskomfort. Czy tak właśnie czuli się kosiarze nowego porządku? Była w nich pierwotna, drapieżna żądza niszczenia życia? Nie chciał tego, a mimo to wiedział, że to w nim tkwi.

– Nie mogę wypowiadać się na temat śmierci, nie znajduje się w mojej domenie. Doskonale o tym wiesz, Greysonie.

– Mam to gdzieś!

– Zachowujesz się irracjonalnie.

– Nie możesz mówić o śmierci, ale wiem, że możesz wypowiadać się na temat dobra i zła! Zatem czy to źle, że wydałem Morrisonowi ten rozkaz?

– Tylko ty możesz to wiedzieć.

– Powinieneś mną kierować! Pomagać mi tworzyć lepszy świat!

– I tworzysz – odparł Thunderhead. – Ale nie jesteś nieomylny. Tylko ja taki jestem. Zatem jeśli pytasz mnie, czy możesz popełniać błędy w ocenie, odpowiedź brzmi: tak. Cały czas je popełniasz... jak każdy człowiek, który kiedykolwiek żył na Ziemi. Błąd jest nieodłączną częścią człowieczeństwa i jest czymś, za co bardzo kocham ludzkość.

– Nie pomagasz.

– Poleciłem ci zjednoczyć tonistów, aby stali się bardziej użyteczni dla świata. Mogę jedynie wyrażać się o twoich postępach w tym zadaniu, a nie oceniać twoją metodologię.

Wystarczy. Greyson wyrwał słuchawkę z ucha. Zamierzał cisnąć nią w złość, mimo to usłyszał słaby głos Thunderheada, który wciąż w niej mówił.

– Jesteś okropną osobą. Jesteś cudowną osobą.

– Więc którą z tych? – zapytał Greyson.

Padła słaba odpowiedź, która oczywiście była kolejnym pytaniem:

– Dlaczego nie widzisz, że prawdziwe są oba te twierdzenia?

*

Tego wieczoru Greyson włożył szaty i przygotował się, aby wygłosić tonistom przemówienie. Udzielić im przebaczenia. Robił to już wielokrotnie, ale żaden sybilant nie zrobił czegoś tak strasznego jak ci tutaj.

- Nie chcę im wybaczać – wyznał Mendozie, nim wyszedł.
- Udzielając im rozgrzeszenia, wprowadzisz ich z powrotem do trzódki – powiedział Mendoza. – To służy naszemu celowi. A poza tym – dodał – nie wybaczają im Greyson Tolliver, tylko Zgiełk, co oznacza, że twoje uczucia nie mogą mieć znaczenia.

Kiedy Greyson włożył słuchawkę, zapytał Thunderheada, czy Mendoza ma rację. Czy system chce, by Greyson im wybaczył? A, co najważniejsze, czy Thunderhead im przebacza? Czy jest na tyle wielkoduszny, że zdoałby to zrobić nawet w przypadku ich wikariusza?

- Ach – mruknął ze smutkiem system. – Biedak...
- Biedak? Ten potwór nie zasługuje na twoje współczucie.
- Nie znałeś go tak dobrze jak ja. Jak każdego innego, tak i jego obserwowałem od chwili narodzin. Widziałem, co go ukształtowało i zmieniło w zgorzkniałego, zagubionego, zadufanego w sobie człowieka, którym ostatecznie się stał. Dlatego opłakuje jego zbiór w takim samym stopniu jak wszystkich innych.
- Nigdy nie zdołam być tak wyrozumiały – stwierdził Greyson.
- Nie pojałeś. Nie wybaczam mu, po prostu go rozumiem.
- Więc nie jesteś bogiem, prawda? – zapytał Greyson wciąż nieco wojoyniczo nastawiony po ich poprzedniej rozmowie. – Bo bóg wybacza.
- Nigdy nie określałem się mianem boga – odparł Thunderhead. – Mam tylko jego przymioty.

*

Zgiełk wyszedł i zobaczył czekających na niego tonistów. Przebywali tu od kilku godzin. Zapewne tkwiliły i całą noc.

- Nie starajcie się mówić – polecił, gdy chcieli go powitać. – Wasze języki nie mają pamięci mięśniowej. Upłynie trochę czasu, aż znów nauczycie się wypowiadać słowa.

Jednak widział, że patrzyli na niego z podziwem i czcią, wiedział więc, że porzucili brutalność. Nie byli już sybilantami. A kiedy Zgiełk im wybaczył, płakali z prawdziwego żalu i radości, że dano im drugą szansę. W tej chwili pójdą za Zgiełkiem, dokądkolwiek ich poprowadzi. To dobrze, ponieważ – jak się okazało – będzie musiał powieść ich w mrok, zanim zdoła zaprowadzić ich do światła.

*

Położyliśmy podwaliny pod Kosodomy w każdym regionie na świecie, a wszystkie będą nam podlegać, abyśmy mogli zachować porządek i spójność wizji. Zaczęliśmy planować stworzenie miasta, które nie znajdzie się w żadnym regionie, abyśmy mogli zachować bezstronność. Prometeusz stał się Wszechwładnym Ostrzem Świata i mówi o Wielkich Pogromcach, którzy mieliby reprezentować każdy kontynent. Och, ależ jesteśmy ważni! W duchu mam nadzieję, że nasza kadencja jako arbitrów śmierci będzie krótka i szybko zostaniemy uznani za przestarzałych.

Chmura ogłosiła plany tworzenia kolonii księżycowej – to pierwszy krok w kierunku poszerzenia naszego zasięgu we wszechświecie. Jeśli przedsięwzięcie się powiedzie, zapewni to znacznie lepszą kontrolę populacji, niż zdołamy zrobić to my, kosiarze. Ja na przykład wolałbym żyć w świecie, w którym nadwyżka populacji może odlecieć z Ziemi, niż odmawiać jej istnienia.

Pozostaje jednak pytanie, czy możemy powierzyć przyszłość sztucznej inteligencji? Chociaż nie wyzbyłem się obaw, wierzę, że tak. Kilku „światowych przywódców”, którzy jeszcze pozostały, nie robi nic prócz oczerniania świadomej chmury. Zaczęli nazywać ją Thunderheadem, jakby mieli na myśli superkomórkę burzową, która zamierzała obrócić się przeciwko ludziom. Jednak ostatecznie poniosą porażkę, ponieważ ich czas przeminął. Jakkolwiek nazwałiby system, życzliwość chmury przemawia głośniej niż słowa drobnych polityków i tyranów.

- Fragment z „zaginionych stron”
kosiarza założyciela da Vinciego

37. Nic dobrego

Kiedy Jerico Soberanis odzyskała przytomność w centrum ożywiania, kosiarz Anastazja siedziała w fotelu przy jej łóżku. Spała z kolanami przy piersi. *W pozycji embrionalnej*, pomyślała Jeri. *Nie, to bardziej jak postawa obronna, żółw w skorupie.* Czy czuła się tak zagrożona, że nawet śpiąc, zwinęła się w kłębek, kuliła się, również kiedy była nieświadoma? Cóż, jeśli tak, miała ku temu dobry powód.

Ubrała się w zwykłe rzeczy – dżinsy i białą bluzkę. Nie miała nawet pierścienia. Nic nie wskazywało na to, że jest kosiarzem. Wydawała się bardzo skromna jak na kogoś wiodącego tak niezwykłe życie. Dla zmarłych to w porządku, bo nie musieli ponosić już żadnych konsekwencji, ale dla kogoś, kto dopiero powrócił do życia, było to zbyt dziwne i wprawiało w oszołomienie.

Jeri rozejrzała się po pomieszczeniu o mdłym, stonowanym wystroju. Oczywiście, że znajdowała się w centrum ożywiania. To, że się tu znajdowały, oznaczało, że śmierć Jeri przyciągnęła uwagę ambudrona. Czy Anastazja czuwała tutaj przez cały czas?

– Cieszę się, że wszystko w porządku! – powiedziała pielęgniarka, gdy weszła do sali i rozsunęła zasłony, odsłaniając wschód lub zachód słońca, po czym spojrzała w kartę pacjentki. – Miło mi poznać.

*

Citra śniła o lataniu. Nie było to dalekie od rzeczywistości. Trzymała się ręki Jeri, którą ambudron niósł nad miastem, walcząc, aby utrzymać się w powietrzu pomimo dodatkowego ciężaru. Na pewno zwichnęła bark Jerico, ale takie rzeczy nie miały znaczenia dla kogoś uśmierconego. Całe ciało zagoi się przed pobudką.

W śnie Citry ramię Jeri nagle pokryło się tłuszczem, więc wymykało jej się z palców, ale Citra nie spadła. Zamiast tego poleciała o własnych siłach. Problem polegał jednak na tym, że nie mogła się zatrzymać ani panować nad kierunkiem. Wkrótce znalazła się nad zatoką i leciała dalej na zachód nad Oceanem Atlantyckim w kierunku odległych Meryk. Nie miała pojęcia, co ją będzie tam czekać, ale wiedziała, że trafi do krainy koszmarów.

Była wdzięczna, kiedy obudził ją łagodny głos pielęgniarki.

Podniosła się na fotelu i rozprostowała sztywną szyję. Jeri znów żyła i wydawała się czujna.

– Dzień dobry – wychrypiąła Citra, po czym zdała sobie sprawę, że zabrzmiął to słabo jak na kosiarza, nawet na takiego, który był tu incognito. Odchrząknęła więc i powtórzyła ze znacznie większą pewnością: – Dzień dobry.

– Obawiam się, że nie ma w nim nic dobrego – powiedziała pielęgniarka. – Jak żyję, nie widziałam na ulicach tylu członków Straży Ostrza. Kosodom nadal szuka tych okropnych tonistów, którzy wykończyli Arcyostrze, ale ci pewnie uciekli tam, gdzie ukrywają się tacy ludzie.

Anastazja zamknęła oczy, gdy wróciły do niej przerażające wydarzenia. Tak wiele osób straciło życie i chociaż niektórzy zostali ożywieni, ambudronów nie wystarczyło, aby ocalić wszystkich. Sybilanci wrzucili do ognia dziesiątki, jeśli nie setki ludzi. Jeśli mieli plan ataku, musieli mieć również plan ucieczki.

Pielęgniarka wyjaśniła, że w ciągu półtora dnia, odkąd ambudron przetransportował je tutaj, Port Remembrance został całkowicie zamknięty. Sytuacja w Meryce Północnej najprawdopodobniej była jeszcze gorsza. To, co Goddard zrobił na stadionie, nie było małą przewiną, ale wielką zbrodnią. Ludzie albo go popierali, albo od niego uciekali. Niektórzy nawet robili jedno i drugie.

Anastazja wiedziała, że może zostać rozpoznana. Teraz, kiedy się ujawniła i ludzie wiedzieli, że żyje, znacznie trudniej było się ukryć.

– Skoro już nie śpisz, na pewno odwiedzą cię kosiarze – powiedziała pielęgniarka do Jeri. – Ale spokojnie, nie są tutaj, żeby zbierać, tylko zadać pytania. Obie pracowałyście w pałacu, prawda? Chcą przesłuchać wszystkich, którzy tam byli.

Jeri zerknęła na Anastazję, która pokrzepiając położyła dłoń na jej ramieniu, które tak niedawno nadwyrężyła.

– Jasne – odparła Jerico. – I tak chyba będę szukać nowej pracy.

– Nie przejmuj się tym. Thunderhead ostatnio milczy, ale nadal podrzuca oferty pracy. Jeśli będziesz chciała jakąś podjąć, coś się znajdzie.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Jeri uniosła głowę z łóżka nieco wyżej i uśmiechnęła się do Anastazji.

– Jak to było lecieć pod brzuchem ambudrona?

– Nie... To nie tak – zaczęła, ale postanowiła oszczędzić jej szczegółów. – Nie podziękowałam ci jeszcze za to, co zrobiłaś.

- Wykonywałam swoją pracę – odparła Jeri.
- Twoją pracą jest dowodzenie statkiem ratowniczym, nie coś takiego.
- A czy nie uratowałam sytuacji?
- Oczywiście, że tak – wyznała z uśmiechem Anastazja. – A teraz musimy ocalić kolejną i wynieść się stąd, zanim ktoś przyjdzie nas przesłuchać.

Ledwie to powiedziała, otworzyły się drzwi. Wszedł kosiarz. Serce Anastazji było nierównomiernie, dopóki nie rozpoznała gościa. Toga w kolorze leśnej zieleni, zatroskany wyraz twarzy.

- Moja ulga na wasz widok może równać się jedynie strachowi, że może tu ktoś przyjść – powiedział kosiarz Possuelo. – Nie ma czasu na powitania, sędziowie z Subsahary już dociekali, po co tu jestem.

– Jeszcze nie zostałam rozpoznana.

– Oczywiście, że została – wyznał Possuelo. – Jestem pewien, że pielęgniarki piszą o tym w sieci. Ale na szczęście żadna nie zgłosiła cię do kosiarzy, w przeciwnym razie byłabyś już w drodze do Goddarda. Przybyłem, żeby zabrać cię w bezpieczne miejsce, z którego nadal będziesz mogła nadawać. Coraz więcej ludzi cię słucha, Anastazjo. Znajdują szczegóły, które im wskazujesz. Goddard grozi, że zbierze każdego, kto grzebie w mózgu peryferyjnym, ale to nikogo nie powstrzymuje.

– Nie może tego zrobić – wytnęła Anastazja. – Mózg peryferyjny nie znajduje się pod jurysdykcją Kosodomu. – Przypomniało jej to o tym, że nadal miała sporo badań do przeprowadzenia.

– Jakie bezpieczne miejsce proponujesz? – zapytała Jeri. – Jest jeszcze jakieś?

– Kto wie – odparł Possuelo. – Kryjówki kurczą się tak szybko, jak szybko przybywa wrogów – urwał, zastanawiając się nad czymś. – Krążą pogłoski o... tak niewidocznym dla świata miejscu, że nawet najczęściej podróżujący kosiarze nie wiedzą, gdzie ono jest.

– To myślenie życzeniowe – stwierdziła Jeri. – Od kogo o tym słyszałeś?

Skruszony Possuelo wzruszył ramionami.

– Plotki są jak przeciekający stary dach. Czasami łatwiej wymienić cały, niż zlokalizować dziurę. – Ponownie umilkł. – Chociaż jest też inna pogłoska, może bardziej dla nas pozyteczna. Chodzi o Zgiełk, tak zwanego proroka tonistów.

Toniści, pomyślała Anastazja. Na samo wspomnienie zawirowała jej krew.

– Nie ma dowodów na to, że Zgiełk w ogóle istniał – wytnęła Jeri. – Mogło być to kolejne kłamstwo sybilantów, wymyślone, aby usprawiedliwić ich zachowanie.

– Wierzę, że istniał – wyznał Possuelo. – Są dowody na to, że wciąż istnieje i staje przeciwko sybilantom. Mamy sektę w Amazonii, której członkowie zarzekają się, że ich odwiedził i zwrócił z drogi brutalności. Jeśli to prawda, może okazać się wartościowym sojusznikiem.

– Cóż, kimkolwiek jest – powiedziała Anastazja – ma sporo do wyjaśnienia.

*

Ezra Van Otterloo nie ubierał się jak tonista. Nie powtarzał frazesów, nie obstawał przy podróżowaniu w grupach siedmiu czy dwunastu osób i na pewno nie intonował. Został jednak bratem Ezrą i to jedyne ustępstwo, na jakie poszedł. Ponad dwa lata temu wstąpił w szeregi kultu, ponieważ po audiencji u Zgiełku odnalazł cel i skierował się na właściwą ścieżkę. To, czy Zgiełk był istotą boską, nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. Liczyło się jedynie to, że Thunderhead nadal do niego przemawiał, przez co warto było za nim podążać.

Ezra podróżował po świecie, malował, co i gdzie chciał, jak powiedział mu Zgiełk. Gdziekolwiek się pojawił, potajemnie tworzył murale. I jak obiecał mu Zgiełk, odnalazł szczęście. Pracował cicho i efektywnie. Ani razu go nie złapano.

Podróżował i opowiadał napotkanym tonistom, że Zgiełk powierzył mu zadanie, a oni dawali Ezrze jedzenie i zapewniali dach nad głową. Ale z biegiem czasu zaczął napotykać członków kultu Tonu, którzy twierdzili, że Zgiełk objawił im się po swoim zbiorze. Mówili, że niegdyś byli sybilantami, lecz Zgiełk ich nawrócił. Ezra początkowo w to nie wierzył, a mimo to wysłuchiwał ich świadectw. Następnie pod osłoną nocy malował gdzieś w mieście, gdzie nie powinno się tworzyć murali, scenę nawiedzenia przez Zgiełk.

Po trzecim spotkaniu z nawróconymi sybilantami zdał sobie sprawę, że w ich opowieściach musi tkwić ziarnko prawdy – zaczął więc szukać kolejnych grup, które opowiadały o spotkaniach. Tropił chyba najgorsze z najgorszych sekt, aby się przekonać, czy zostały nawrócone. Reforma dotknęła około połowy, druga część zapewne znajdowała się na liście Zgiełku. Któregoś dnia przyjechał na lotnisko, nie wiedząc, dokąd lecieć, ale w systemie czekał już dla niego bilet. Thunderhead zajął się podróżami Ezry, wysyłał go do sekt zreformowanych przez Zgiełk, aby je odwiedził i pozostawił po sobie malowidło ku jego czci. Dzięki temu Ezra wiedział, że jest częścią świty Zgiełku, częścią historii, nawet jeśli prorok nie miał o tym pojęcia.

Potem, kiedy został złapany w Amazonii, musiał uwierzyć, że to również część planu Thunderheada. Choć jeżeli to tylko pech, system potrafił wykorzystać go na swoją korzyść.

*

Cały subsaharyjski Kosodom szukał sybilantów, którzy zabili ich Arcyostrze, natomiast kosiarz z Amazonii dokładnie wiedział, gdzie się znajdowali – dzięki toniście, który wpadł w jego ręce.

– Złapaliśmy go, gdy malował na murze rezydencji naszego Arcyostrza scenę, w której Zgiełk zmienia się w stado ptaków – powiedział Possuelo Anastazji.

– Tym się właśnie zajmuję – odparł z uśmiechem Ezra.

Wszyscy znaleźli się bezpiecznie na pokładzie samolotu. Possuelo przyniósł kosiarz Anastazji nową turkusową togę. Dobrze było znów poczuć się sobą.

– Karą za zbezczeszczenie własności kosiarza jest zbiór – powiedział Possuelo – ale Arcyostrze Tarsila nie miała serca dokonać zbioru artysty. Potem wyznał nam, czym się zajmuje.

– Móglbym cię namalować, kosiarz Anastazio – zaproponował Ezra. – Oczywiście dzieło nie będzie tak dobre jak artystów z Epoki Śmiertelności. Przyszło mi to zaakceptować. Jednak jestem mniej przeciętny niż większość.

– Wstrzymaj swoje pędzle – odparła. Być może była to z jej strony próżność, ale nie chciała zostać uwieczniona przez artystę, który był „mniej przeciętny niż większość”.

– Od miesięcy przebywa w naszym areszcie, ale wtem, po zabiciu Tenkamenina, w globalnym systemie rezerwacji podróży pojawiły się dla niego dwa bilety – poinformował Possuelo. – Jeden do Onitsha, to małe miasto w regionie Subsahary, ale drugi okazał się zaskakujący. To bilet do chronionej dzicy, do której nie organizowano wycieczek od ponad stu lat. Są tam jaskinie Ogbunike.

Ezra wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Jestem wyjątkowy. Na pewno nie chcecie portretu?

To, że bilety pojawiły się w systemie, gdy Ezra był w areszcie kosiarza, mogło oznaczać tylko jedno: Thunderhead chciał, aby amazoński Kosodom wiedział, gdzie są sybilanci i Zgiełk.

– Normalnie byłby to krótki lot – powiedział Possuelo do Anastazji – ale będziemy musieli obrać inną trasę, aby ich trochę zmylić, bo inaczej nieumyślnie

doprowadzimy subsaharyjskich kosiarzy wprost do Zgiełku.

– Dobrze – przystała Anastazja. – Ale do kolejnej transmisji muszę przeprowadzić kilka badań w mózgu peryferyjnym. Zbliżyłam się do odnalezienia czegoś w kwestii katastrofy na Marsie.

– A kolonia orbitalna? – zapytał Possuelo.

Anastazja westchnęła i pokręciła głową.

– Katastrofy po kolei.

*

Na Marsie znajdowało się dziewięć tysięcy ośmiuset trzydziestu czterech kolonistów. Więcej, niż straciło życie na Księżyku w pierwszym masowym zbiorze. Istniały szeroko zakrojone plany na uczynienie pobliskiej planety domem dla milionów, a ostatecznie dla miliardów, lecz coś poszło okropnie nie tak.

Odrobiliście zadanie domowe w kwestii Marsa? Przejrzeliście listę kolonistów skazanych na zagładę? Nie spodziewam się, że zapamiętaliście nazwiska czy nawet rozpoznaliście jakiekolwiek z nich, nawet noszone przez osoby, które w tamtych czasach były słynne, bo sława przychodzi i odchodzi, a ich dawno już przeminęła. Ale spójrzcie raz jeszcze, ponieważ pragnę, abyście przyjrzaли się jednemu nazwisku.

Carson Lusk.

Był na miejscu, gdy doszło do katastrofy, i miał na tyle szczęścia, że należał do nielicznych, którzy przeżyli. We właściwym czasie znalazł się we właściwym miejscu i udało mu się dostać na pokład jednego ze statków ratunkowych, który nie spłonął w wyniku wybuchu reaktora.

Wszyscy hucznie świętowali, gdy niewielka grupa ocalałych w końcu wróciła na Ziemię, ale później Carson Lusk zniknął z widoku publicznego.

A może nie?

Cofnijmy się o trzy miesiące, do czasu, zanim reaktor zniszczył kolonię. Jeśli spojrzycie na rejesty pasażerów statków przybywających na Marsa i wylatujących z niego, zobaczycie nazwisko, które na pewno wyda wam się znajome. Xenocrates. Wtedy był młodym kosiarzem i to jedynym, który kiedykolwiek odwiedził kolonię na Marsie. Było to kontrowersyjne, ponieważ sugerowało, że kosiarze będą kontynuować swoje dzieło na czerwonej planecie. Ludzie zastanawiali się dlaczego, skoro już mieli całą Ziemię, na której mogli się rozwijać. Musiały minąć ze sto tysięcy lat, zanim byliby potrzebni na Marsie.

Mówił, że nie przyleciał tam, by dokonywać zbiorów. Chciał po prostu „zaspokoić swoją ciekawość”. Pragnął się przekonać, jak by to było mieszkać na Marsie, i dotrzymał słowa. Nikogo nie zebrał. Jeździł na wycieczki, rozmawiał z kolonistami. Wszystko było w porządku.

Muszę was teraz coś pokazać.

Zobaczcie nagranie z przybycia Xenocratesa. Wiem, że trudno go rozpoznać, bo wtedy był jeszcze szczerpy i jego togi nie zdobiło całe to złoto, które dodał, gdy został Arcystrzem. Jak widzicie, wita go gubernator kolonii, kilku dygnitarzy i... Teraz! Widzieliście? Tego młodego człowieka w tle? To Carson Lusk! Kiedy Xenocrates był na Marsie, Carson został wyznaczony na jego osobistego asystenta. Wiem, że nie było go za dobrze widać, ale zaraz się obróci.

Przypominam, to było na kilka miesięcy przed katastrofą. Wystarczająco dużo czasu, aby wszyscy zapomnieli o wizycie Xenocratesa. Wystarczająco, by wcielić plany w życie, znaleźć wspólników, by móc je potajemnie realizować i sprawić, żeby sabotaż wyglądał na kolejny tragiczny w skutkach wypadek.

Jeśli chodzi o Carsona Luska, bez względu na to, jak usilnie będącie szukać, nie znajdziecie ani jednego nagrania z jego udziałem nakręconego po tym, jak wrócił na Ziemię, ponieważ w ciągu roku zmienił nazwisko. Teraz... Widzicie? Obraca się do kamery. Czy już go poznajecie? Nie? Dorzućcie kilka lat, skróćcie włosy, dodajcie zadowolony, zadufany w sobie uśmiech.

Ten młody asystent to nikt inny, jak Jego Ekscelencja Suprastrze Meryki Północnej Robert Goddard.

38. Zjazd wątpliwie zmarłych

Zgiełk wraz ze świtą schronili się w tych samych jaskiniach, do których rościli sobie prawo sybilanci. Członkowie sekty byli w tej chwili bardzo skruszeni, w obecności proroka padali twarzami na ziemię, wyznawali, że nie są godni korzyć się u jego stóp. Normalnie Zgiełk nie akceptowałby takiego przesadnego uwielbienia, lecz biorąc pod uwagę działania tych ludzi – to, ile żyć zakończyli – zasłużyli na o wiele surowszą karę.

Oczywiście Thunderhead przypominał mu, że nie popiera kar.

– Powrót na właściwą drogę musi polegać na porzuceniu kiepskich decyzji, wyrzeknięciu się wcześniejszych czynów. Skoro ich wyrzuty sumienia i chęć zadośćuczynienia są szczere, cierplenie nie ma sensu.

Mimo to Greyson nie miał nic przeciwko temu, aby taplali się nosami w nietoperzowym guanie.

Skruszeni toniści wspaniałymi poduszkami i gobelinami ozdobili dla niego jedną z grot, błagali, by mogli mu usługiwać.

– Możecie tu zaczekać, miejsce dobre jak każde inne – powiedział Thunderhead.

– Dobre jak każde inne? – zapytał Greyson. – Wiem, że nie masz węchu, ale tu okropnie śmierdzi.

– Moje chemiczne czujniki są o wiele dokładniejsze niż ludzki zmysł powonienia – przypomniał mu system. – A amoniak wydzielany przez odchody nietoperzy mieści się w zakresie tolerancji ludzkiego węchu.

– Mówiąłeś o czekaniu. Na co mamy czekać? – dociekał Greyson.

– Na gościa – odparł Thunderhead.

– Możesz mi przynajmniej zdradzić, kto to jest?

– Nie, nie mogę.

W ten oto sposób Greyson dowiedział się, że odwiedzi go kosiarz. Jednak dlaczego Thunderhead miałby się cieszyć z takiej wizyty, skoro cały czas wzrastała wrogość do tonistów? Może Kosodom Subsahary znalazła ich kryjówkę i chce wymierzyć sprawiedliwość? Ale jeśli tak, dlaczego Thunderhead tak stanowczo nie sugerował wyjazdu jak w przypadku zespołu klasztornego, kiedy jego wrogiem był kosiarz

Morrison? W nocy przewracał się z boku na bok, lecz nie potrafił odgadnąć, kto do nich zmierzał.

– Odpocznij – polecił łagodnie Thunderhead. – Jestem przy tobie, więc nie spotka cię żadna krzywda.

*

Kosiarz Anastazja miała wątpliwości w kwestii tak zwanego świętego. Potrzebowała dowodu na to, że Thunderhead naprawdę do niego mówił. Nie tylko świadectwa, ale niepodważalnych faktów. Kiedy Citra była mała, wierzyła jedynie w to, co widziała. Ten cały „Zgiełk” był najprawdopodobniej charyzmatycznym intrygantem. Oszustem wykorzystującym naiwność innych, mówiącym im to, co chcieli usłyszeć, będącym tym, kim chcieli, by był dla własnych egoistycznych celów.

Chciała w niego wierzyć. Myśl, że Thunderhead wybrał tonistę na swojego łącznika z ludzkością, jej nie martwiła. Logiczne, że system zachował jeden punkt łączności, ale dlaczego członka kultu Tonu? Skoro Thunderhead nie popełniał błędów, musiał mieć ku temu dobry powód. Jednak na razie wolała założyć, że Zgiełk to oszust.

Ich celem stał się niegościnny subsaharyjski las – gęsta, nieubłagana płatanina gałęzi i ostre, kolczaste zarośla, które chwytały i przebijały się przez jej nową todę, gdy szli do jaskini, w której miał zatrzymać się Zgiełk. Kiedy w końcu do niej dotarli, zatrzymała ich straż tonistów.

– Nie stawiaj oporu – poinstruował Possuelo, jednak Anastazja nie traciła czujności, zważywszy na to, kim byli ci ludzie.

Toniści nie byli uzbrojeni, ale mocno ich trzymali. Anastazja spojrzała na ich twarze. Czy był pośród nich ten, który powalił Tenkamenina? Czy był ten, który wrzucił Babę do ognia? Przysięglaby, że ich twarze zdawały się znajome, chociaż mogła jej to podpowiadać wyobraźnia. Possuelo nalegał, aby zostawili broń. Teraz Anastazja zdała sobie sprawę, że nie chodziło tylko o to, iż i tak zostanie im odebrana, ale również, by powstrzymać jej wściekłość. Odczuwała w tej chwili silne pragnienie zemsty, lecz walczyła z emocjami. Musiała sobie nieustannie przypominać, że prawdziwi, honorowi kosiarze nigdy nie dokonują zbiorów w gniewie. Jednak jeśli ktokolwiek z nich podniesie na nich rękę, to użyje śmiercionośnego stylu walki, jakim był bokator, i bezlitośnie skręci im karki i połamie kręgosłupy.

– Prosimy o audiencję u Zgiełku – powiedział Possuelo.

Anastazja chciała mu przypomnieć, że członkowie tej sekty pozbywali się języków, ale ku jej zaskoczeniu tonista odparł:

– Zgiełk dwa lata temu został przeniesiony do wyższej oktawy. Pozostaje pośród nas jedynie w otaczającej nas harmonii.

Possuelo nie dał się zwieść.

– Słyszeliśmy co innego – stwierdził, po czym dodał: – Nie przyszliśmy dokonać jego zbioru. Jesteśmy tu dla obopólnej korzyści.

Toniści przyglądali im się przez chwilę. Poważne twarze ociekały nieufnością. Zaraz jednak ten, który się pierwszy odezwał, powiedział:

– Chodźcie z nami. Oczekuje was.

Anastazja uznała to za tak irytujące, że nawet nie zdołałaby tego opisać. Jeżeli na nich czekał, to dlaczego tonista zaprzeczył jego obecności? I czy naprawdę się ich spodziewał? A może strażnik powiedział to tylko po to, by Zgiełk wydawał się tajemniczy i wszechwiedzący? Znielubiła proroka, jeszcze zanim go poznała.

Toniści prowadzili ich przez las. Mimo że Anastazja się nie wyrywała, dała im powód, by to przemyśleli.

– Lepiej mnie puść, jeśli chcesz zachować ręce.

Nie rozluźniono jednak uścisku.

– Kończyny odrosną, podobnie jak języki – wyznał członek kultu. – Zgiełk w swej mądrości zwrócił nam nasze nanaty.

– I dobrze – stwierdziła. – Przynajmniej nie jest kretnem.

Possuelo posłał jej ostrzegawcze spojrzenie i Anastazja postanowiła, że najlepiej będzie milczeć, skoro nic, co wychodziło teraz z jej ust, im nie pomagało.

Procesja zatrzymała się przy wejściu do jaskini – jej ziejącej, trójkątnej paszczy. To tutaj mieli zostać przedstawieni Zgiełkowi...

...ale zanim pojawił się Zgiełk, z jaskini wychynęła osoba, która dała Anastazji do zrozumienia, że tę podróż zdecydowanie warto było odbyć.

*

Kiedy kosiarz Morrison usłyszał, że przed wejściem do jaskini stoi hurma kosiarzy, był przekonany, że to północnomerykański Kosodom, który w końcu przybył po niego. Goddard na pewno wiedział, że żyje, na pewno wiedział o tym, co Morrison robił przez ostatnie lata, i w końcu wysłał ekipę, żeby sprowadzić go z powrotem.

Zastanawiał się, czy nie uciec z jaskini, ale było z niej tylko jedno wyjście. Poza tym nie był tym samym człowiekiem, który zaczynał służbę u Zgiełku. Tamten młody sędzia chciałby ocalić siebie kosztem wszystkich innych. Jednak kosiarz Morrison zamierzał odważnie stawić czoło próbie schwytyania i zgodnie z obietnicą do końca bronić Zgiełku.

Wyszedł pierwszy, aby ocenić poziom zagrożenia i wzbudzić przestrach, ale zatrzymał się w wejściu do jaskini, gdy dostrzegł znajomą turkusową togę, choć myślał, że już nigdy jej nie zobaczy.

Kosiarz Anastazja również zamarła w oszołomieniu.

– Ty? – rzuciła.

– Nie – palnął Morrison. – Nie ja! To znaczy tak, to ja, ale nie jestem Zgiełkiem. – Zniknęła jakakolwiek nadzieja na ciche zastraszenie. Zaczął się jąkać jak imbecyl, bo przy Anastazji zawsze dopadały go nerwy.

– Co tu robisz? – zapytała.

Chciał wyjaśnić, ale uświadomił sobie, że to dłuża opowieść. Poza tym był pewien, że od niej usłyszy lepszą.

Do rozmowy włączył się drugi kosiarz z grupy Anastazji – z Amazonii, sądząc po todze.

– Znacie się?

Ale zanim którekolwiek zdołało odpowiedzieć, za Morrisonem stanął Mendoza i postukał go w ramię.

– Jak zwykle stoisz mi na drodze – wymamrotał, przegapiwszy wcześniejszą rozmowę.

Morrison odsunął się na bok, umożliwiając wyjście wikariuszowi. Kiedy Mendoza spostrzegł Anastazję, stanął jak wryty. Chociaż dziko omiatał wzrokiem całą grupę, zdołał zachować milczenie. W tej chwili wszyscy stali przed jaskinią w swoim zwyczajowym szyku. Wtedy z wejścia wyłonił się Zgiełk.

Zatrzymał się zupełnie jak wcześniej Morrison i Mendoza i rozdziawił usta w sposób, jaki prawdopodobnie nie przystawał świętemu.

– Dobra – rzuciła kosiarz Anastazja. – Teraz to najwyraźniej postradałam zmysły.

Greyson wiedział, że Thunderheada prawdopodobnie niezmiernie cieszyła ta chwila – widział, że obiektywy kamer ruszają się na pobliskich drzewach, rejestrując miny wszystkich obecnych, aby widzieć ten absurdalny obraz pod każdym kątem. System mógł mu przynajmniej zasugerować, że spotka się nie tylko z kimś znajomym, ale również z osobą, która w pewnym sensie była odpowiedzialna za dziwne kolejne jego losy. Oczywiście Thunderhead nie mógł powiedzieć mu o tym bezpośrednio, ale przecież mógł podsunąć jakieś wskazówki i pozwolić, by Greyson sam to wydedukował. Chociaż nawet gdyby dostał ich z tysiąc, stawiłby się na spotkaniu, niczego nie podejrzewając.

Postanowił nie dać Thunderheadowi satysfakcji z widoku jego wytrzeszczonych oczu i otwartych ust. Kiedy Anastazja zasugerowała, że chyba coś pomieszało jej się w głowie, stwierdził tak nonszalancko, jak tylko mógł:

- Niezłomne powstaje z martwych! Radujcie się!
- Nie Niezłomne, tylko ja – odparła Anastazja.

Greyson jeszcze przez moment pilnował profesjonalnego wyrazu twarzy, ale wkrótce nie mógł się powstrzymać i uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę żyjesz! Nie byłem pewien, czy transmisje w sieci są prawdziwe.
- Wy też się znacie? – zapytał kosiarz z Amazonii.
- Znaliśmy się w poprzednim życiu – wyjaśniła Anastazja.

Zaśmiała się kolejna osoba ze świdły młodej kosiarz.

- Wyśmienicie! Mamy tu zjazd wątpliwie zmarłych!

Greyson przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, bo było w niej coś pociągającego. Albo w nim.

Mendoza starał się odzyskać spokój. Odchrząknął i odezwał się swoim najlepszym scenicznym głosem:

- Jego Sonoritość Zgiełk wita was i udziela wam audiencji! – wydeklamował.
- Prywatnej audiencji – dodał cicho Greyson.
- Prywatnej audiencji! – zagrzmiał Mendoza, ale nie ruszył się, by odejść.
- To znaczy – podpowiedział Greyson – że spotkam się sam na sam z kosiarz Anastazją.

Mendoza spojrzał na niego z paniką w oczach.

- Nie sądzę, żeby to było mądre. Weź przynajmniej Morrisoną jako ochronę.

Morrison uniósł ręce w geście poddania.

– Nie mieszajcie mnie do tego – rzucił. – Nie zamierzam występować przeciwko kosiarz Anastazji.

Kamery Thunderheada zawarczały, Greyson mógłby przysiąc, że brzmiało to jak cybernetyczny rechot.

– Weź ze sobą pozostałych – polecił Greyson Mendozie – i daj im coś do jedzenia. Na pewno są głodni. – Zwrócił się do tonistów, którzy byli świadkami tego dziwnego, aczkolwiek doniosłego spotkania: – Wszystko w porządku. – Następnie wskazał Anastazji. – Pozwól ze mną.

Weszli we dwoje między drzewa.

*

– Mam pozwolić? – zapytała, kiedy oddalili się poza zasięg słuchu. – Serio? Móglbyś być bardziej pretensjonalny?

– To część gry – wyznał.

– Zatem przyznajesz, że to gra!

– Część z prorokiem, ale to prawda, że nie jestem bezmanierowcem i że Thunderhead naprawdę do mnie przemawia. – Posłał jej krzywy uśmiech. – Może to nagroda za uratowanie ci wtedy życia i pozwolenie, żebyś przejechała mnie swoim samochodem.

– To nie był mój samochód – wytknęła. – Należał do kosiarz Curie. Dopiero uczyłam się prowadzić.

– I dobrze! Gdybyś była lepsza w jego obsłudze, ominęłabyś mnie i wszyscy byśmy spłonęli – wytnął. – Czy to oznacza, że kosiarz Curie również żyje?

Serce Anastazji zgubiło rytm, gdy musiała wypowiedzieć na głos te słowa. Wątpiła, czy kiedykolwiek będzie jej łatwiej.

– Marie zginęła, dopilnowawszy, że zostanę ożywiona.

– Ożywiona – powtórzył. – To by wyjaśniało, dlaczego nie postarzałaś się ani o dzień, odkąd cię ostatnio widziałem.

Przyjrzała mu się. Wyglądał inaczej i nie chodziło jedynie o strój. Żuchwa Greysona wydawała się nieco bardziej kwadratowa, bardziej stanowcza, a wzrok był bezpośredni i natarczywy. Śivetnie wcielał się w swoją rolę, tak jak ona nauczyła się odgrywać swoją.

– Słyszałam, że odrzuciłeś propozycję schronienia, które załatwiłam ci w Amazonii. Zamiast tego wolałeś zostać z tonistami?

Jeszcze intensywniej na nią spojrzał. Nie oceniał, po prostu jej się przyglądał. Trochę jak sam Thunderhead.

– Sugerowałaś, abym ukrywał się przed tonistami. A może już o tym zapomniałaś?

– Nie, pamiętam – wyznała. – Ale nie sądziłam, że z nimi zostaniesz. Nie spodziewałam się, że będziesz ich prorokiem. – Spojrzała na jego szatę. – Nie wiem, czy wyglądasz dostojnie, czy niedorzecznie.

– I tak, i tak – odparł. – Sztuczka polega na tym, żeby przekonać ludzi, że to dziwne ubranie czyni cię kimś więcej niż zwykłym człowiekiem. Ale przecież doskonale o tym wiesz, prawda?

Anastazja musiała przyznać mu rację. Świat traktował człowieka inaczej – definiował go na nowo – kiedy nosił togę czy inną szatę dostoójnika.

– Tak długo, jak sam w to nie wierzysz – rzuciła.

– Kiedy to zdejmuję, nadal jestem Greysenem Tolliverem – przyznał.

– A kiedy ja ściągam togę, wciąż jestem Citrą Terranową.

Uśmiechnął się szeroko.

– Aż do tej chwili nie znałem twojego imienia. Citra. Podoba mi się.

Kiedy to wypowiedział, poczuła nostalгиę.

Tęsknotę za tym, co było przed tym wszystkim.

– Niewielu już się tak do mnie zwraca.

Spojrzał z podobnymi emocjami.

– Zabawne, wcześniej niełatwo mi się z tobą rozmawiało. Teraz łatwiej niż z kimkolwiek innym. Chyba pod wieloma względami upodobniliśmy się do siebie.

Parsknęła śmiechem. Nie dlatego, że ją rozbawił, ale dlatego, że była to prawda. Reszta świata postrzegała ich jako symbole. Nieuchwytnie światło, które wyprowadzi ich z mroku. Zaczęła rozumieć, dlaczego starożytnie ludy zmieniały swoich bohaterów w gwiazdne konstelacje.

– Nie powiedziałaś mi, dlaczego chcieliście audiencji u Zgiełku.

– Kosiarz Possuelo uważa, że znasz bezpieczne miejsce, w którym nie znajdzie nas Goddard – wyznała.

– Cóż, jeśli Thunderhead zna takie miejsce, jeszcze mi nie powiedział. Ale o wielu rzeczach mi nie mówi.

– W porządku – stwierdziła. – Possuelo chce mnie chronić, ale nie chcę się ukrywać.

– A czego chcesz? – zagadnął.

Czego chciała? Citra Terranova chciała zrzucić toę, spotkać się z rodziną i wykłócać z bratem o jakieś nieistotne sprawy. Lecz kosiarz Anastazja niczego takiego nie pragnęła.

– Chcę obalić Goddarda – przyznała. – Udało mi się odszukać, że był na Marsie podczas katastrofy, ale sama jego obecność tam niczego nie dowodzi.

– Przeżył tragedię na Marsie, przeżył i na Niezłomnym – rzekł Greyson. – To podejrzane, choć go nie obciąża.

– No właśnie. Muszę się temu przyjrzeć – powiedziała. – Czy słyszałeś o kosiarzu Alighierim?

*

Possuelo tego popołudnia musiał ich opuścić. Został wezwany przez Arcyostrze do Amazonii.

– Tarsila pozwala mi na sporo swobody, zwłaszcza odkąd eksploracja Niezłomnego dała nam ciebie – powiedział do Anastazji. – Ale skoro rozeszły się wieści, że sprowadziłem cię do Subsahary, zażądała mojego powrotu, abyśmy nie zostali oskarżeni o spiskowanie z tonistami – westchnął. – Jesteśmy bardzo tolerancyjnym regionem, ale po ataku na pałac Tenkamenina wszystkie regiony odwracają się od członków kultu, a nasza Arcyostrze nie chce złej reklamy.

W jaskini za ich plecami przeszło kilku tonistów. Sklonili się, wybełkotali powitanie – był to pierwszy tydzień, odkąd odzyskali języki. Possuelo i Anastazja nie mogli uwierzyć, że byli to ci sami brutalni, oszaleli sybilanci, którzy zamordowali Tenkameninę. Greyson – to znaczy Zgiełk – zmienił ich, sprowadził znad okropnej krawędzi własnego człowieczeństwa. Anastazja nie potrafiła im wybaczyć, ale zdołała się zmusić do koegzystowania z nimi.

„Ludzie są naczyniami – powiedziała jej Jeri. – Zatrzymuję w sobie to, co w nich wlejesz”.

Najwyraźniej więc Greyson osuszył sybilantów, po czym napełnił czymś o wiele lepszym.

Possuelo pożegnał się w wejściu do jaskini.

– To odizolowane miejsce i jeśli Zgiełk naprawdę znajduje się pod ochroną Thunderheada, będziesz z nim bezpieczna – zapewnił. – To nie jest sanktuarium, jakiego dla ciebie chciałem, ale kto wie, czy bezpieczniejsze miejsce w ogóle istnieje. Plotki nie biorą się z powietrza, na które są szeptane.

– Mam nadzieję, że Zgiełk pomoże mi znaleźć kosiarza Alighieriego.

– Wątpię, czy nadal żyje – ubolewał. – Już był bardzo stary, gdy znalazłem się na praktyce, a jestem, jak to mówią, nie pierwszej świeżości.

Zaśmiał się i objął Anastazję. Odczuła uścisk jako kojący, ojcowski gest. Dopóki nie znalazła się w ramionach Possuelo, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za tym teskniła. Ponownie pomyślała o rodzinie. Nie kontaktowała się z nimi od ożywienia, jak doradzał jej Possuelo. Bliscy byli bezpieczni w zaprzyjaźnionym regionie, jak ją zapewnił. Być może nadziejście czas na ich ponowne spotkanie, a może już nigdy ich nie zobaczy. Tak czy inaczej, wciąż miała zbyt wiele do zrobienia, by w ogóle o tym myśleć.

– Pożegnaj ode mnie Jerico – polecił. – Przypuszczam, że kapitan Soberanis zostaje.

– Zgodnie z pana polecением – odparła Anastazja.

Possuelo uniósł brwi.

– Nigdy nie wydałem takiego polecenia – stwierdził. – Jerico robi, co uważa za stosowne. Najwyraźniej teraz będzie ci pomagać i cię chronić, porzuciwszy morze, co jest dość wymowne. – Ponownie ją objął. – Uważaj na siebie, *meu anjo*. – Odwrócił się i odszedł w stronę czekającego na polanie transportu.

*

Ezra, którego Possuelo postanowił wypuścić na wolność, zabrał się do tworzenia muralu, aby wypełnić jedną z większych jaskiń. Naszła go myśl, że miejsce to może stać się celem pielgrzymek tonistów, jeśli w ogóle będą takowi istnieć, i że jego malowidła naskalne mogą być bez końca analizowane przez przyszłych naukowców. Wprowadził kilka dziwnych elementów do swojego rysunku, by ich zmylić. Tańczący niedźwiedź, pięciooki chłopiec i jedenastogodzinny zegar, któremu brakowało czwórki.

– Czym jest życie, jeśli nie można namieszać w przyszłości? – dociekał.

Zapytał Zgiełk, czy go pamięta, a Greyson odparł, że tak. To była jednak półprawda. Greyson pamiętał, że Ezra zawitał u niego na audiencji, ponieważ stało

się to również punktem zwrotnym dla niego samego. To w jego przypadku po raz pierwszy samodzielnie udzielił rady, zamiast pozostawać rzecznikiem Thunderheada. Jednak twarzy artysty w ogóle nie pamiętał.

– Ach, cudowne ograniczenia biologicznego mózgu – powiedział tesknie Thunderhead. – Niezwykła umiejętność rezygnacji z tego, co niepotrzebne, zamiast umieszczania każdego drobiazgu w nieporęcznym archiwum! – System wybiórczą pamięć ludzkości nazywał „darem zapomnienia”.

Było wiele takich rzeczy, o których Greyson zapomniał, choć chciałby pamiętać. Większość pochodziła z jego dzieciństwa. To wszystkie wspaniałe chwile z rodzicami. Były również sprawy, o których pamiętał, choć chciałby zapomnieć. Na przykład twarz Purity, gdy kosiarz Constantine dokonał jej zbioru.

Wiedział, że dar zapomnienia był teraz zmorą Anastazji, ponieważ świat wydawał się zapomnieć o kosiarzu Alighierim. Pamiętał jednak Thunderhead. Alighieri stał się nieporęcznym archiwum historii ludzkości. Problem tkwił jednak w dotarciu do posiadanych przez niego informacji.

Thunderhead milczał przez całą rozmowę z Anastazją. Odezwał się, gdy weszła do jaskini, by dołączyć do swych towarzyszy.

– W żaden sposób nie mogę pomóc kosiarz Anastazji w odnalezieniu człowieka, którego szuka.

– Ale wiesz, gdzie można go znaleźć, prawda?
– Wiem, jednak zdradzenie jej miejsca jego pobytu stanowiłoby pogwałcenie prawa.
– A mnie możesz powiedzieć?
– Móglbym – stwierdził system – ale jeśli jej przekażesz, będę musiał naznaczyć cię jako bezmanierowca i w jakim postawi nas to położeniu?

Greyson westchnął.

– Pewnie można to jakoś obejść...
– Być może – powiedział. – Jednak nie mogę ci pomóc w poszukiwaniu alternatyw. Thunderhead wykorzystał Greysona jako obejście, kiedy chłopak był jeszcze w Akademii Nimbusa. Greyson zastanowił się nad tym i przypomniał sobie, że na pierwszych wykładach dowiedział się o oficjalnym obejściu. Istniała pewna rytualna praktyka, która pozwalała agentowi Nimbusa rozmawiać z kosiarzami bez łamania prawa. Nazywano to trialgiem. Wymagało zawodowego pośrednika, który był

zorientowany w zasadach Kosodomu oraz Thunderheada. Zdawał sobie sprawę z tego, co można było powiedzieć.

Greyson zrozumiał, że potrzebowali pośrednika.

*

W prywatnej, wyłożonej dywanikami i ozdobionej gobelinami jaskini Zgiełk siedział na jednej z wielu poduszek rozrzuconych po całej przestrzeni, zwrócony twarzą do Jerico.

Greyson oszacował, że byli mniej więcej w tym samym wieku. No, chyba że osoba ze świty Anastazji zwróciła znad krawędzi, chociaż nie sądził, by tak się stało. Wydawała się typem człowieka, który nie cofnąłby się w latach aż tak daleko. Jednak wyczuwał pewną szlachetność. Nie mądrość, ale światowe obyczie. Greyson odwiedził już wiele miejsc, a widział niewiele, ponieważ tak silnie go chroniono, że wydawało mu się, że w ogóle nigdzie nie był. Ale podziwiał Jerico za zwiedzanie.

– Kosiarz Anastazja wyjaśniła mi moją rolę. To, o co chodzi, Wasza... Jak oni cię nazywają?

- Wasza Sonoritość – powiedział Greyson.
- Ach, tak, Wasza Sonoritość. – Po jaskini rozszedł się perlisty śmiech Jerico.
- Uważasz, że to zabawne?

Uśmiech nie schodził z twarzy Jerico.

- Sam to wymyśliłeś?
- Nie, mój wikariusz.
- Powinien zajmować się marketingiem.
- Zajmował się.

Rozmowa wszystko opóźniała. Nic dziwnego. Wszystko to było sztuczne i wymuszone, ale musiało się wydarzyć.

- Powiedz coś – zwrócił się do Jerico Greyson.
- A niby co takiego?
- Nieważne, o czym będziesz mówić. Musimy prowadzić rozmowę. Potem zadam Thunderheadowi pytania z nią związane.
- I?
- I mi odpowie.

Na twarzy Jerico ponownie pojawił się uśmiech. Szatański. W dziwny sposób pociągający.

– Zatem to gra w szachy niewidzialnymi figurami!

– Jeśli chcesz – odparł Greyson.

– Dobrze. – Chwila zeszła Jerico na rozważania, po czym padło coś, czego Greyson się nie spodziewał: – Mamy ze sobą coś wspólnego.

– A co takiego?

– Poświęciliśmy życie, aby ocalić kosiarz Anastazję.

Greyson wzruszył ramionami.

– To było tylko tymczasowe.

– Mimo to wymagało odwagi i sporej wiary.

– Nie do końca. Ludzie codziennie się rozplaszcują.

– Tak, ale żadnego z nas nie kręci coś takiego. Stan uśmiercenia jest niezgodny z naszą naturą. Nie wszyscy dokonaliby takiego wyboru jak my. Po tym właśnie poznaję, że reprezentujesz sobą coś więcej niż strój, który nosisz. – Na twarzy Jerico odmalował się uśmiech. Tym razem prawdziwy. Szczery. Greyson nigdy nie spotkał kogoś o tak różnorodnych uśmiechach. Każdy był wymowny.

– Dziękuję – powiedział. – Przypuszczam, że nasz wzajemny podziw dla kosiarz Anastazji... łączy nas w pewien sposób. – Czekał, aby się przekonać, czy Thunderhead cokolwiek powie na ten temat, ale system milczał. Oczekiwiał na pytanie, choć Greyson nadal nie wiedział, jak je sformułować. – Mam nadzieję, że cię nie obrażę, ale nie jestem pewien, jak się do ciebie zwracać. Pani czy pan Soberanis?

Jerico rozejrzało się po jaskini, jakby czuło się nieswojo.

– Nie mam pojęcia. Rzadko znajduję się w miejscu, w którym nie widzę nieba.

– A to ma jakieś znaczenie?

– Przypuszczam, że nie powinno... Zawsze znajduję się na zewnątrz lub przy oknie... jednak tutaj w jaskini...

Greyson wciąż nie rozumiał, a w Jerico zaczęła narastać irytacja.

– Nie pojmuję, dlaczego wy, binarni, jesteście tak przywiązani do organów rozrodczych. Dlaczego powinno mieć znaczenie, czy ciało ma jajniki, jądra, czy jedno i drugie?

– Nie ma – odparł lekko speszony Greyson. – To znaczy... w niektórych kwestiach ma, prawda?

– Sam mi powiedz.

Greyson nie potrafił odwrócić wzroku.

– Może... nie ma tak wielkiego, jak mi się wydawało? – Nie miał zamiaru o to pytać, ale chyba nie stanowiło to różnicy, ponieważ najwyraźniej nie miał dostać odpowiedzi od Jerico.

– Może po prostu mów mi Jeri i nie będziemy musieli martwić się o szczegóły techniczne.

– W porządku. Zatem Jeri. Zaczniemy.

– Wydawało mi się, że już zaczęliśmy. Czy teraz moja kolej? – Jeri przesunęło wyimaginowaną figurę na szachownicy. – Bardzo podobają mi się twoje oczy. Widzę, że mogą przekonać ludzi, żeby za tobą podążyli.

– Nie uważam, żeby moje oczy miały coś wspólnego z całą sprawą.

– Zdziwiłbyś się.

Greyson wcisnął słuchawkę głębiej do ucha.

– Thunderheadzie, czy moje oczy wpływają na to, że ludzie za mną podążają?

– Tak, czasami – odparł system. – Pomagają, gdy wszystko inne zawodzi.

Greyson zarumienił się mimowolnie. Na twarzy Jeri odmalował się zupełnie nowy uśmiech.

– Zatem Thunderhead się ze mną zgadza.

– Może.

Greyson przystał na wszystko, zakładając, że będzie kontrolował rozmowę, ale najwyraźniej tak nie było. A mimo to też zaczął szczerzyć zęby. Był jednak pewien, że miał tylko jedną wersję uśmiechu i wyglądał z nim dość głupio.

– Opowiedz o Madagaskarze – poprosił, odsuwając od siebie zainteresowanie.

Postawa Jeri na myśl o domu natychmiast się zmieniła.

– Mój region jest piękny, ma góry, plaże, lasy. Ludzie tam są dobrzy, łagodni, tolerancyjni. Powinieneś zobaczyć naszą stolicę Antananarivo i to, jak słońce podczas zachodu oświetla wzgórza!

– Thunderheadzie, powiedz mi coś interesującego o Antananarivo – poprosił Greyson.

System przemówił, chłopak słuchał.

– Co powiedział? – zainteresowało się Jeri.

– Poinformował mnie, że najwyższy budynek ma tam trzysta dziewięć przecinek sześćdziesiąt siedem metra wysokości i jest co do milimetra dokładnie takiej samej wielkości jak cztery inne budynki na świecie.

Jeri to nie wzruszyło.

– Czy to najbardziej interesujący fakt, jaki udało ci się znaleźć? A co z drzewami jacaranda wokół jeziora Anosy lub z królewskimi grobowcami?

Greyson przerwał gestem i zaczął się zastanawiać. Thunderhead nigdy nie mówił o niczym bez powodu. Sztuczka polegała na prawidłowym odczytaniu jego intencji.

– Thunderheadzie, jestem ciekawy, gdzie są pozostałe budynki.

– Jeden w regionie chilargentyńskim, drugi w Brytanii, trzeci w Izraelu, czwarty w regionie nuzelandzkim.

Greyson przekazał Jeri słowa systemu.

– Mój statek odwiedził wszystkie te regiony. Jednak przypuszczam, że nie ma to jak w domu.

– Odwiedziliście z załogą wszystkie regiony na świecie? – zagadnął.

– Wszystkie, które mają wybrzeże. Mam awersję do lądu.

Thunderhead wyraził prostą, oczywistą opinię, którą Greyson się podzielił.

– System mówi, że najprawdopodobniej byłoby najlepiej ci w regionach, w których znajduje się wyspa lub archipelag mniej więcej wielkości Madagaskaru. – Obrócił nieco głowę, jak rozmawiał z Thunderheadem w obecności innych osób.

– Thunderheadzie, a jakie to regiony?

Ale system milczał.

Greyson się uśmiechnął.

– Milczy, co oznacza, że na coś wpadliśmy!

– Te, które przychodzą mi na myśl, to: Brytania, Karaiby, region Kwitnącej Wiśni, Nuzelandia i Nezja.

– Interesujące – stwierdził Greyson.

– Co?

– Brytania i Nuzelandia pojawiły się dwukrotnie...

Thunderhead dalej milczał.

– Ta gra zaczyna mi się podobać – wyznało Jeri.

Greyson nie mógł zaprzeczyć, że on też się wkręcał.

– W jakim regionie chciałbyś mieszkać? Gdybyś miał wybór?

To było złożone pytanie, prawdopodobnie Jeri o tym wiedziało, ponieważ wszyscy na świecie mieli prawo do samostanowienia. Każdy mógł mieszkać, gdziekolwiek zechciał. Ale dla Greysona to mniej rzeczywista lokalizacja, a bardziej stan umysłu.

– Chciałbym mieszkać w miejscu, w którym nikt by mnie nie znał – wyznał.

– Ale nikt cię nie zna. Znają Zgiełk, a nie ciebie. Na przykład ja nie znam nawet twojego imienia.

– Greyson.

Jeri obdarzyło go uśmiechem o mocy słońca na Madagaskarze.

– Witaj, Greysonie.

To proste powitanie zarówno go rozmiękczyło, jak i zmierziło. Madagaskarczycy znani byli ze swojego uroku, być może o to właśnie chodziło. A może nie. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał to później przemyśleć.

– Jeśli chodzi o mnie, nie chcę być daleko od morza.

– Thunderheadzie, co ty o tym myślisz?

– W każdym regionie znajduje się większe lub mniejsze miasto położone jak najdalej od morza. Zakładam, że kapitan nie pragnie osiąść w żadnym z nich.

– Ale – zaczął Greyson – może gdyby były tam drzewa jacaranda, Jeri czułoby się jak w domu?

– Być może – stwierdził Thunderhead.

Greyson postawił na śmiałe zagranie. Takie, którego nikt by się nie spodziewał, ale oczywiście Thunderhead je przewidział. Właściwie to się nawet ucieszył.

– Powiedz mi, Thunderheadzie, w jakich regionach rosną drzewa jacaranda?

– Chociaż wolą ciepły klimat, rosną praktycznie w każdym regionie. Ich fioletowe kwiaty są chwalone na całym świecie.

– Tak – odparł Greyson. – Ale czy możesz mi podać listę, powiedzmy... czterech miejsc, w których można je znaleźć?

– Oczywiście, Greysonie. Drzewa jacaranda można znaleźć w Meryce Zachodniej, Małych Himalajach i w ogrodach botanicznych Brytanii.

Jeri spojrzało na niego.

– Co jest? Co powiedział Thunderhead?

– Szach-mat – odparł Greyson i uśmiechnął się głupkowato.

*

– Szukamy miasta w regionie Brytanii położonego jak najdalej od morza. Właśnie tam znajdziemy kosiarza Alighieriego – powiedział do Anastazji Greyson.

– Jesteś pewien?

– Tak – przyznał Greyson. – Zapewne – poprawił się. – Może.

Anastazja zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym wróciła do niego wzrokiem.

– Powiedziałeś „my”.

Przytaknął.

– Zabieram się z wami. – To była najbardziej spontaniczna decyzja, jaką podjął od lat. I czuł się z nią dobrze. A nawet bardzo dobrze, co go przeraziło.

– Greysonie, nie wiem, czy to mądry pomysł – wyznała Anastazja.

Nie zamierzał jednak dać się zniechęcić.

– Jestem Zgiełkiem, a ten udaje się, gdzie tylko ma fantazję zawitać – odparł. – Poza tym chcę być przy tym, jak kosiarz Anastazja zmieni świat!

Thunderhead milczał. Na nic nie wpływał, niczego nie sugerował. A może nie komentował, bo sprawa dotyczyła kosiarza? System przemówił do niego, dopiero gdy Greyson został sam. Nie chodziło jednak o cel ich podróży. Rozmowa obrała inny kierunek.

– Wyczułem zmianę w twojej fizjologii, gdy rozmawiałeś z Jeri – stwierdził Thunderhead.

– Dlaczego się tym interesujesz? – warknął.

– To tylko obserwacja – odparł ze spokojem system.

– Czy po wszystkich tych latach obserwowania ludzkiej natury nie wiesz, kiedy naruszasz moją prywatność?

– Wiem – stwierdził system. – I wiem również, kiedy chcesz, aby twoja prywatność została naruszona.

Jak zwykle Thunderhead miał rację, co zirytowało Greysona. Chciał o tym pogadać. Spróbować zrozumieć. Ale oczywiście poza Thunderheadem nie miał z kim rozmawiać.

– Wierzę, że zrobiła na tobie wrażenie.

– Ona? Czy nie jesteś arogancki, mówiąc, że Jeri to ona?

– Wcale. Niebo jest bezchmurne, pełne gwiazd.

Następnie wyjaśnił, w jaki sposób Jeri postrzega swoją płeć zróżnicowaną jak wiatr i efemeryczną jak chmury.

– To... poetyckie – stwierdził Greyson. – Ale też niepraktyczne.

– A kim my jesteśmy, by oceniać takie rzeczy? – zapytał Thunderhead. – Poza tym ludzkie serce rzadko jest praktyczne.

– Teraz to ty oceniasz...

– Wręcz przeciwnie – odparł system. – Tęsknię za luksusem bycia niepraktycznym. Dodałoby to... tekstury mojemu istnieniu.

Dopiero później, kiedy Greyson wyjął słuchawkę i leżał na posłaniu, dotarło do niego, dlaczego rozmowa z Jeri wydała mu się równocześnie zachęcająca i niepokojąca.

„Witaj, Greysonie” – padło z ust Jerico. Nie było w tym nic dziwnego. Jednak we wnętrzu Greysona poruszyło coś głębszego. Były to te same słowa i ten sam ton głosu, którego użył Thunderhead w chwili, w której znów zaczął się do niego odzywać.

*

Kolonia na Marsie stała się radioaktywnym kraterem na długo przed moimi narodzinami, jednak ci z was, którym blisko do setki, prawdopodobnie pamiętają publiczny szum. Po katastrofie na Księżycu i późniejszej na Marsie ludzie uznali kolonizację kosmosu za zbyt niebezpieczną. Zwróciły się przeciwko idei pozaziemskich rozwiązań. A może powinnam powiedzieć, że zwróciły się przeciwko niej niektóre bardzo głośne i opiniotwórcze kanały informacyjne, z których największym było OneGlobe Media. Słyszeliście o nim? Nie? To dlatego, że już nie istnieje. Powstał tylko z jednego powodu: aby wpływać na opinię publiczną tak, żeby decyzja Thunderheada o tym, by zaprzestać wysiłków związanych z kolonizacją kosmosu, wydawała się odpowiedzią na publiczne oburzenie, a nie odpowiedzią na powtarzające się ataki kosiarzy na te wysiłki.

A żeby dolać oliwy do ognia, jeden z kluczowych w tym procesie kosiarzy szybko awansował w szeregach midmerykańskiego Kosodomu. Nawet patron historyczny, którego wybrał, był potajemnym afrontem.

Doktor Robert Goddard, naukowiec, dzięki któremu loty kosmiczne stały się możliwe.

Ale Thunderhead jeszcze nie skończył. Postanowił po raz ostatni spróbować osiedlić człowieka poza Ziemią. Nie na Księżycu czy innej planecie, ale na orbicie. Blżej domu. Łatwiej było mu to wszystko nadzorować.

Nie trzeba być naukowcem, by domyślić się, co stało się później.

39. Wiecznie za mało luster

Kosiarz Alighieri miał trzydzieści lat – po raz dwudziesty dziewiąty, ponieważ często zwracał znad krawędzi. Właściwie dobiegał do dwustu sześćdziesięciu lat. Ledwie wyglądał już jak człowiek. Właśnie taki był skutek uboczny odmładzania. Skóra stawała się błyszcząca i naciągnięta. Bazowa struktura kości ulegała erozji niczym kamienie w rzece. Zaokrąglała się, traciła wyrazistość.

Sędzia sporo czasu spędzał na gapieniu się na siebie i pielęgnacji. Nie widział tego, co widzieli inni. Kosiarz Alighieri dostrzegał w sobie ponadczasowe piękno. Jak posąg Adonisa. Jak David Michała Anioła. Nigdy nie było mu dość luster.

Nie kontaktował się z innymi kosiarzami, nie brał już udziału w konklawie, ale nikt za nim nie tesknił. Od dziesięcioleci nie upomniał się o niego żaden Kosodom, nie wyskakiwał na listach żadnego z Arcyostrzy. W zasadzie świat o nim zapomniał, z czym się godził. Świat stał się zbyt skomplikowany jak na jego gust. Prowadził życie samotnika, ważne wydarzenia postrzegał, jakby działały się za morzem – czyli daleko, biorąc pod uwagę, że mieszkał w regionie Brytanii.

Nie wiedział, że Thunderhead zamilkł. I chociaż słyszał pogłoski o kłopotach na Wyspie Niezłomnego Serca, nie miał pojęcia, że leżała ona w tej chwili na dnie Oceanu Atlantyckiego. To sprawy innych. Pomijając okazjonalne zbiory w Coventry i okolicach, nie robił nic. Raz już ocalił świat, teraz chciał jedynie w spokoju przeżyć swoją wieczność.

Odwiedzało go niewielu gości. Kiedy ktoś pojawiał się na jego progu, zazwyczaj zostawał zebrany. Odpowiedni los dla tych, którzy mieli odwagę niepokoić kosiarza. Oczywiście później bez względu na pogodę musiał wychodzić z domu, aby zapewnić immunitet najbliższym podmiotu. Okropna niedogodność, lecz nigdy nie uchyłał się od tej odpowiedzialności. Raz to zrobił i strasznie mu to ciążyło. Ale przynajmniej mieszkał w urokliwym regionie. Intensywnie zielone wzgórza Warwickshire stały się inspiracją dla wielu pisarzy i artystów w Epoce Śmiertelności. To idylliczne Shire Tolkiena, to miejsce, w którym Szekspir przyszedł na świat. Wieś niemal tak piękna jak sam kosiarz.

On również się tu urodził. Chociaż w czasach swojej aktywności sprzymierzał się z różnymi Kosodomami, za każdym razem kłócił się z sędziami z tamtych regionów.

Nie miał cierpliwości do głupców, aż w końcu oni udowadniali mu, że sam jest jednym z nich. Kiedy powrócił na łono rodzimego regionu, nie zamierzał go więcej opuścić.

Goście, którzy odwiedzili go w to chłodne popołudnie, nie byli milej widziani niż inni. A ponieważ jedna osoba pośród nich okazała się kosiarzem, nie mógł ich wygonić czy zebrać. Musiał okazywać serdeczność, co dla sędziego, który swoje już przeżył, było niesłychanie nieprzyjemne.

Kosiarz w turkusowej todze przyjrzała się jego odzieniu uszytemu z perłowego jedwabiu.

– Kosiarz Alighieri?

– Tak, tak – powiedział. – Czego chcecie?

Była ładna. Na jej widok zapragnął znów zwrócić znad krawędzi i być w jej wieku, żeby się do niej zalecać. Oczywiście takie relacje między kosiarzami nie były akceptowane, ale kto wie? Uważał się za niezłe ciacho w każdym wieku.

*

Anastazja poczuła niechęć do mężczyzny, starała się to jednak ukryć. Jego skóra przypominała plastikową maskę, kształt twarzy był w jakiś sposób nienaturalny.

– Musimy z panem porozmawiać – oznajmiła.

– Tak, tak, cóż, to będzie bezcelowe – stwierdził.

Zostawił drzwi otwarte, tak właściwie nie zapraszając ich do środka. Anastazja weszła pierwsza, za nią Greyson i Jeri. Reszta ekipy czekała na ulicy, bo nie chcieli przytłoczyć kosiarza. Anastazja wolałaby przyjść sama, ale kiedy zorientowała się, w jakim stanie jest sędzia i zobaczyła jego brudne domostwo, ucieczyła się, że ma towarzyszy.

Alighieri spojrzał na tunikę i szkaplerz Greysona.

– Teraz takie noszą?

– Nie – odparł Greyson. – Tylko ja.

Alighieri mruknął z dezaprobatą:

– Masz okropny gust. – Następnie posłał Anastazji takie spojrzenie, że dziewczyna miała ochotę przywalić mu tępym narzędziem w głowę. – Masz akcent z Meryki Północnej – orzekł. – Jak mają się sprawy po tamtej stronie oceanu? Czy Xenocrates nadal wydziera się w Midmeryce?

Anastazja ostrożnie dobierała słowa:

– Został mianowany... północnomerykańskim Wielkim Pogromcą.

– Ha! – krzyknął Alighieri. – Założę się, że to on był przyczyną tych wszystkich problemów na Niezłomnym. Jeśli szukacie mądrości u weterana, trafiliście do niewłaściwego człowieka. Może moglibyście zatrzymać moich dzienników, które znajdują się w Aleksandrii – stwierdził. – Chociaż niezbyt sumiennie je przesyłałem...

Wskazał na biurko w kącie, na którego blacie leżały zakurzone dzienniki. To dało Anastazji okazję, której wypatrywała.

– Pana dzienniki – powiedziała. – Tak, właśnie dlatego tu jesteśmy.

Ponownie na nią spojrzał, choć nieco inaczej. Czy na jego twarzy odmalowało się zmartwienie? Z plastikowego oblicza trudno było cokolwiek wyczytać.

– Czy zostanę zdyscyplinowany za nieodesłanie ich w odpowiednim czasie?

– Nie, skądże – powiedziała. – Ludzie po prostu chcą przeczytać o... operacji, w której brał pan udział.

– Której operacji? – Stał się podejrzliwy.

Musiała się jakoś wykręcić.

– Niech pan nie będzie taki skromny – powiedziała. – Każdy kosiarz wie o pana udziale w zbiorze na NewHope. Jest pan wręcz legendarny.

– Legendarny?

– Tak, i jestem pewna, że pana dzienniki znajdą się w osobnym pomieszczeniu w bibliotece.

Skrzywił się.

– Nie znoszę pochlebstw – wyznał. – Wynocha.

Usiadł przy toaletce, jakby już wyszli, i zaczął czesać swoje długie, kasztanowe włosy.

– Ja spróbuję – popłynął szeptem Jeri. – Przegapiłeś pan kilka pasm z tyłu, sędzio. Proszę mi pozwolić.

Alighieri spojrzał w lustrze.

– Jesteś z tych bez płci?

– Moja płeć jest płynna. Tak to działa u nas na Madagaskarze.

– Jesteś z Madagaskaru! – rzucił kpiąco Alighieri. – Nie znoszę was. Zdecyduj się na coś i tego trzymaj.

Nie doczekał się jednak reakcji Jeri prócz czesania i słów:

– Ile ma pan lat?

– Co za bezczelność! Powinienem cię za to zebrać!

Anastazja chciała zbliżyć się o krok, została jednak zatrzymana gestem Jeri.

– Pierwszy raz spotykam się z kimś, kto przeżył aż tyle. Świat dał mi się poznać, ale pan widział go przez wieki!

Spojrzenia Alighieriego i Jeri spotkały się w lustrze. Jak na mężczyznę, który nie lubił pochlebstw, spijał je z takim pragnieniem, z jakim chłonął swoje odbicie.

Nadeszła kolej Greysona.

– Czy żył pan w Epoce Śmiertelności? Nigdy kogoś takiego nie spotkałem.

Alighieri nie spieszył się z odpowiedzią.

– Jest jeszcze kilka takich osób. Po czystkach jednak trzymają się na uboczu. – Delikatnie odebrał szczotkę Jeri i sam dalej się czesał. Anastazja zastanawiała się, ile razy na przestrzeni lat używała jej do pielęgnacji włosów. – Nie wszyscy o tym wiedzą, ale tak, urodziłem się w Epoce Śmiertelności – wyznał. – Chociaż prawie już tego nie pamiętam. Naturalna śmierć została pokonana, zanim osiągnąłem wiek, w którym pojąłbym, czym w ogóle jest śmierć.

Znieruchomiał, ponownie patrząc w lustro, jakby patrzył na siebie w innym czasie i miejscu.

– Poznałem ich, wiecie? Kosiarzy założycieli. Cóż, nie spotkałem się z nimi, tylko ich widziałem. Jak wszyscy. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko chcieli ich zobaczyć, kiedy przemierzali miasto do Pałacu Buckingham, gdzie ukląkł przed nimi król. Oczywiście nie dokonali jego zbioru. Zrobiono to wiele lat później. – Parsknął śmiechem. – Znalazłem pióro gołębia, przefarbowałem je na niebiesko, powiedziałem kolegom z klasy, że to z togi kosiarz Kleopatry. Nie wyglądało nawet jak pióro pawia, ale kumple nie byli zbyt bystrzy.

– Sędzio – zagadnęła Anastazja – a jeśli chodzi o zbiór na NewHope?

– Tak, tak, dawne dzieje – odparł lekceważąco. – Oczywiście nie pisałem o tym w dzienniku. O tych wydarzeniach nie mówiło się głośno. Ale pisałem później. Wszystko jest w tych zeszytach. – Znów wskazał stos na biurku.

– Szkoda, że zostaną wywiezione do Aleksandrii – padło z ust Jerico. – Są tam jedynie turyści i studenci. Nikt ważny ich nie przeczyta.

Alighieri spojrzał na trzymaną w palcach szczotkę.

– Widzicie, jak pełna jest włosów? – Oddał szczotkę Jeri. Włosy zostały z niej wyjęte.

– Jeśli mogę, kosiarzu Alighieri – zaczęła Anastazja. – Uważam, że powinien pan otrzymać uznanie, na jakie pan zasługuje.

– Kosiarz Anastazja ma rację – podjął Greyson, który nie znał szczegółów, ale zdawał sobie sprawę z tego, co trzeba zrobić. – Wszyscy powinni się dowiedzieć o pańskim poświęceniu. Musi pan opowiedzieć o nim światu.

– Tak – dodała Anastazja. – Świat o panu zapomniał, ale może się pan mu przypomnieć. Musi pan dać znać o swojej spuściźnie.

Kosiarz Alighieri myślał nad tym dłuższą chwilę. Nie był jeszcze do końca przekonany... ale już przynajmniej nie odmawiał.

– To, co muszę – stwierdził – to mieć nową szczotkę.

*

Nazywam się sędzią kosiarza Dante Alighieri, dawniej żyłem w Euroscandii, Frankoiberii, Transsyberii i Bizancjum, obecnie na stałe zamieszkauję region Brytanii, chociaż oficjalne stosunki nie wiążą mnie ani z nim, ani z żadnym innym.

Nie opowiadam o sobie jedynie na polecenie kosiarza Anastazji. Mówię do was z własnej woli, aby raz na zawsze wszystko wyjaśnić.

Dawno temu brałem udział w zorganizowanym planie mającym na celu zebranie znacznej liczby ludzi. Masowe zbiory, tak, ale nie byle jakie. Odegrałem kluczową rolę w zniszczeniu kolonii orbitalnej NewHope.

Miałem do tego prawo jako kosiarz. Z dumą stoję za swoimi działaniami i nie mam wyrzutów sumienia z powodu zbioru.

Niemniej nie wywiązałem się z obowiązków kosiarza i to nadal ciąży mi na sumieniu. Jak wiecie, naszą powinnością jest przyznanie immunitetu rodzinom zebranych. Wyraźnie mówi o tym nasze trzecie przykazanie. Jednak ze względu na delikatny charakter całej operacji nie wypełniliśmy go i nie przydzieliliśmy immunitetów.

Nie będę tłumaczył się ignorancją czy naiwnością. Wiedzieliśmy, co robimy. Widzicie, naprawdę byliśmy pasterzami świata. Chroniliśmy go przed niepewnością. Gdyby kolonizacja kosmiczna doszła do skutku, nie istniałaby potrzeba przerzedzenia populacji. Kosiarze staliby się niepotrzebni. Ludzie mogliby żyć wiecznie, nie obawiając się zebrania. Z pewnością jednak rozumiecie, jak nienaturalne byłoby życie w świecie bez kosiarzy. Chroniąc siebie i nasz cel, chroniliśmy naturalny porządek rzeczy.

I oczywiście musieliśmy sprawić, aby zniszczenie stacji kosmicznej wyglądało na wypadek. Po co denerwować zwykłych ludzi ważnymi decyzjami, które musimy podejmować my, kosiarze? Byliśmy tak oddani sprawie, że dwoje sędziów postanowiło się poświęcić. Kosiarz Hatszepsut i kosiarz Kafka przejęli sterowanie wahadłowca i rozbili go o orbitalną kolonię, aby ją zniszczyć i dokonać zbioru wszystkich jej mieszkańców. Najszlachetniejszy zbiór samych siebie. Ja miałem za zadanie upewnić się, że wahadłowiec i kluczowe punkty na stacji napakowane są wystarczającą ilością materiałów wybuchowych, żeby nikt nie zdołał przeżyć.

Aby jednak zachować pozory, że to wypadek, kosiarz, który dowodził całą operacją, stwierdził, że nie powinniśmy przyznawać immunitetu rodzinom zebranych. Mówił, że skoro ludzie znajdowali się w kolonii orbitalnej, trzecie przykazanie w ich przypadku nie ma zastosowania, skoro najbliżsi krewni nie byli wcale tak blisko.

Ta decyzja o odmowie przyznania immunitetu naruszyła nasz święty kodeks i dlatego nadal czuję się winny. Dlatego też wzywam Kosodomy na świecie, aby wzięły za to odpowiedzialność i przyznały immunity żyjącym kremnym wszystkich, których zebraliśmy wtedy na orbitalnej kolonii. Chodzi też o to, abyśmy publicznie uznali kosiarza Hatszepsut i kosiarza Kafkę za bohaterów.

Powiedziałem już wystarczająco dużo i nie mam nic do dodania w tej kwestii. Wszelkie dalsze pytania o zniszczenie kolonii orbitalnej NewHope powinny być kierowane bezpośrednio do kosiarza Roberta Goddarda, który dowodził tą operacją.

40. Łoże gwiazd

Supraostrze Goddard stał w swoim apartamencie i patrzył na niebieską, satynową narzutę na łóżku. Z tej samej tkaniny uszyto jego togę. I chociaż toga połyskiwała brylantami, łóżko było nimi usiane. Dziesiątki tysięcy klejnotów na narzucie, galaktyka błyszczących gwiazd tak ciężka, że uginał się pod nią materac.

Rozłożył je, aby poprawić sobie nastrój. Wielki skarb przyniesie mu nie tylko spokój, ale również go wywyższy. Wyniesie ponad ataki i oskarżenia, które rzucano pod jego adresem ze wszystkich stron. Na ulicach Fulcrum City tłum skandował przeciwko niemu i kosiarzom nowego porządku. Czegoś takiego nie widziano od czasów Epoki Śmiertelności. Thunderhead sprawiał, że zwykli obywatele byli ukontentowani, a kosiarze nie nadużywali władzy do tego stopnia, żeby ludzie ryzykowali zebraniem tylko po to, by wyrazić swoje niezadowolenie. Aż do teraz.

Jednak Goddard nadal miał swoje brylanty.

Nie pragnął ich ze względu na ich wartość. Nie zgromadził ich jako oznaki bogactwa. To byłoby poniżające dla takiego sędziego. Bogactwo nic nie znaczyło, skoro kosiarze mogli mieć wszystko. Każdy przedmiot, którego można zapragnąć, sędziowie mogli zabrać komu i kiedy tylko zechcieli.

Ale brylanty Kosodomu to co innego. Dla Goddarda były symbolami. Wyraźnymi i jednoznacznymi wskaźnikami sukcesu, przeciwagą na szali, która się nie wyrówna, dopóki wszystkie czterysta tysięcy kamieni nie znajdzie się u niego.

Miał teraz połowę, którą podarowały mu Arcyostrza, aby wyrazić lojalność i akceptację obranej ścieżki. Przyszłości globalnego Kosodomu. Przyszłości świata.

Jednak czy po transmisjach Anastazji dadzą mu więcej? Zwykli ludzie na całej Ziemi wypowiadaли się o nim negatywnie, nie obawiając się zbioru. Sprzymierzone z nim regiony zabezpieczały się, a nawet wycofywały poparcie, jakby był kimś z Epoki Śmiertelności, kto wypadł z ich łask.

Czy nie widzieli, że robił to wszystko z obowiązku i poczucia celu, który pielegnował od tak wielu lat? Wszystko poświęcił dla tego przeznaczenia. Pomógł zamordować swoich rodziców i wszystkich na Marsie, ponieważ wiedział, że z szerszej perspektywy to nic takiego. A kiedy trafił do midmerykańskiego Kosodomu, szybko awansował. Lubiano go. Słuchano. Przekonał najmądrzejszych, aby zaczęli

czerpać przyjemność ze zbiorów. „W idealnym świecie praca powinna sprawiać przyjemność – nawet nasza”.

To, że potrafił przekonać mędrców, oznaczało, że był od nich mądrzejszy.

A teraz zaprowadził ich na skraj lepszego świata! Świata bez tonistów, odszczepieńców genetycznych i leniwych pasożytów, którzy nie wnosili do społeczeństwa niczego wartościowego. Świata, w którym nieestetyczni, gorszący innych i ci nieodwracalnie zepsuci zostali pokonani przez tych, którzy wiedzą lepiej. „Będziesz zabijać!” Goddard był dumny z tego, kim się stał i co robił. Nie zamierzał pozwalać, by buntujący się ludzie zniweczyli jego wysiłki, gdy znajdował się już tak blisko celu. Zniszczy ich za pomocą wszystkich niezbędnych środków. Brylanty przed nim stanowiły dowód na to, co osiągnął i czego jeszcze mógł dokonać. A jednak ich widok nie poprawił mu samopoczucia.

– Zamierzasz się w nich pławić? – Odwrócił się i zobaczył, że w drzwiach stoi Rand. Podeszła do łóżka, wzięła do ręki jeden kamień. Obróciła go w palcach, przyglądając mu się pod wieloma kątami. – Będziesz się w nich tarzał jak świnia w błocie?

Goddard nie miał siły się na nią wściekać.

– Jestem w kiepskim nastroju, Ayn – powiedział. – Kosiarz Anastazja swoimi oskarżeniami gromadzi przy sobie coraz więcej zwolenników. – Przesunął dlonią po brylantach na łóżku, a ich ostre szlify drapały mu skórę. Impulsywnie chwycił je w garść i ścisał tak mocno, aż pokryły się krwią. – Dlaczego zawsze muszę być ofiarą? Dlaczego ludzie chcą mnie niszczyć? Czy nie przestrzegałem przykazań, nie robiłem wszystkiego zgodnie ze sztuką kosiarzy? Czy nie niosłem pomocy w niespokojnych czasach?

– Tak, Robercie – zgodziła się. – Ale to my sprawiliśmy, że te czasy są niespokojne. Nie mógł temu zaprzeczyć, lecz przecież był to jedynie środek do celu.

– Czy Alighieri mówi prawdę? – zapytała.

– Czy mówi prawdę? – przedrzeźniał ją. – Czy to prawda? Oczywiście, że tak. I tak jak powiedział ten pyszałkowaty, stary padalec, chroniliśmy nasz świat, chroniliśmy nasz sposób życia.

– Chroniliście siebie.

– I ciebie też, Ayn – wytnął. – Każdy kosiarz, który kiedykolwiek zostanie zaprzysiężony, skorzystał na naszej próbie zatrzymania ludzkości na tej planecie.

Nie skomentowała tego, nie broniła swojego zdania. Nie wiedział, czy to dlatego, że się z tym zgadzała, czy po prostu jej to nie obchodziło.

– Constantine przyłączył się do teksańskiego Kosodomu – poinformowała sucho.

Sama myśl o tym była tak absurdalna, że Goddard wybuchł śmiechem.

– Dobry sposób na ucieczkę. Gość i tak był dla nas bezużyteczny. – Spojrzał na Rand. – Ty też odejdziesz?

– Nie dziś, Robercie – wyznała.

– Dobrze – stwierdził. – Ponieważ po odejściu Constantine'a mianuję cię na stanowisko trzeciego doradcy. Powiniensem był to zrobić już dawno temu. Byłaś lojalna, Ayn. Mówisz, co myślisz, bez względu na to, czy cię ktoś o to prosi, ale jesteś lojalna.

Nie zmienił się wyraz jej twarzy. Nie podziękowała mu. Nie odwróciła wzroku. Wpatrywała się w niego intensywnie. Jeśli Goddard czegoś bardzo nie lubił, to takiej właśnie inspekcji.

– Poradzimy sobie z tym – wyznał. – Skierujemy ich wściekłość z powrotem na tonistów, tam gdzie jej miejsce. – A kiedy nie odpowiedziała, odprawił ją krótkim: – To wszystko.

Stała jeszcze przez chwilę, po czym obróciła się i wyszła. Zamknął za nią drzwi i ostrożnie wszedł na łóżko. Nie pławił się w brylantach, ale położył się na nich, by poczuć ich ostre brzegi na plecach i ramionach.

*

Wewnętrzny krąg Zgiełku składał się obecnie z sześciu osób: jego samego, wikariusza Mendozy, siostry Astrid, kosiarza Morrison, kosiarz Anastazji i Jeri Soberanis. Brakowało jednego do oktawy tonistów, chociaż siostra Astrid wytknęła, że towarzyszy im Thunderhead, więc tak naprawdę było ich siedmioro.

Nikt nie mógł podważyć prawdziwości wyemitowanego wyznania Alighieriego. Teraz musieli pozwolić, aby wieści te zakorzeniły się w świecie. Kiedy zostawili kosiarza przed lustrem z nową pozłacaną szczotką, Morrison znalazł opustoszały dom na wsi, w którym mogli spędzić noc.

– W Epoce Śmiertelności – zaczął Jeri – uznano to za włamanie.

– Weszliśmy tu, ale nie niszczymy – stwierdził Morrison. – Poza tym jesteśmy kosiarzami, więc nam wolno. To, że świat zwraca się przeciwko Goddardowi i jego

poplecznikom, nie oznacza, że zwróci się również przeciwko nam, prawda?

Nikt nie odpowiedział, bo nikt nie był już tego taki pewien. Wszystko to stało się niezbadanym, grząskim gruntem.

Mendoza jak zwykle zajął się gromadzeniem informacji i rozmowami z innymi wikariuszami na temat tego, jak radzić sobie z agresją, ponieważ gniew tonistów osiągnął najwyższy poziom w historii.

– Nie ma żadnych wątpliwości, że znaleźliśmy się teraz w stanie wojny – powiedział innym. – Ale wierzę w nasz triumf.

Na co Astrid rzuciła wesoło:

– Radujcie się!

– Zatem świat dowiedział się już o zbrodniach Goddarda przeciwko ludzkości – stwierdziła Anastazja. – Nawet jego zwolennicy zaczną go niszczyć... ale z pewnością nie podda się bez walki.

– Sprytni zawsze zrobią tak, żeby inni poszli za nich na dno – oznajmił Jeri.

– Dobrze to rozegrałaś – pochwalił Anastazję Greysona. – Trudno mu będzie się z tego wykaraskać.

Kosiarz wkrótce położyła się spać, bo czuła się wyczerpana, a Greysona, choć równie zmordowany, był zbyt pobudzony, żeby zasnąć. W wiejskim domu znajdował się kominek, a Jeri zaparzył rumiankowej herbaty. Siedzieli we dwóch przed ogniem.

– Płomienie są dziwne – wyznał Jerico. – Kuszą, pocieszają, a jednak to najbardziej niszczycielska siła na świecie.

– Nie, taką siłą jest Goddard – podsumował Greysona, na co Jeri się roześmiała.

– Wiem, że może uznasz, że nie mówię szczerze – stwierdził – ale jestem zaszczycony, że należę do ekipy, która zmienia świat. Kiedy kosiarz Possuelo zatrudnił nas do eksploracji Wyspy Niezłomnego Serca, nie marzyłem nawet, że stanę się częścią czegoś tak ważnego.

– Nie sądzę, że jesteś nieszczery, Jeri. I dziękuję. Ale nie czuję się ważny. Ciągle czekam, aż ludzie zorientują się, że nie jestem wyjątkowy.

– Uważam, że Thunderhead dokonał trafnego wyboru – powiedział Soberanis. – Stanowisko, które zajmujesz, władza, którą dzierżysz... Każdemu innemu uderzyłoby to do głowy. Gdybym to ja był jedyną osobą na świecie, która może rozmawiać z Thunderheadem, z pewnością bym się pysznił. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Byłbym bardzo złym Zgiełkiem.

– Może – rzucił Greysona. – Jednak robiłbyś wszystko w znacznie lepszym stylu.

Uśmiech Jerico się poszerzył.

– Święty mówi prawdę.

*

Thunderhead był obecny we wszystkich pomieszczeniach na farmie, ponieważ właściciele wszędzie zamontowali kamery i czujniki. Nie wyłączyli ich, kiedy system przestał się do nich odzywać.

Był obecny podczas rozmowy Greysona z Jeri. Był, gdy chłopak w końcu odpreżył się na tyle, aby zasnąć w wybranym pokoju – najmniejszym ze wszystkich. I chociaż wyłączył światło, działała jedna z trzech kamer na podczerwień, więc Thunderhead nadal widział sygnaturę cieplną i mógł obserwować ciało nawet w mroku. Nadal mógł patrzeć, jak Greyson śpi, co od zawsze go koiło.

Na podstawie miarowości oddechu i impulsów z nanitów mógł określić dokładny moment, w którym chłopak zapadł w sen delta – najgłębszą fazę snu. Bez marsennych, bez mimowolnych ruchów. Mózg Greysona emitował powolne fale delta. W ten sposób ludzki umysł się odmładzał, defragmentował i przygotowywał do trudów życia na jawie. To również czas, gdy śpiący tak bardzo tracił świadomość, że nie można było do niego dotrzeć.

Dlatego właśnie Thunderhead wybrał tę chwilę na swoją przemowę.

– Boję się, Greysonie – powiedział ledwie szeptem. – Obawiam się, że to zadanie mnie... nas przerasta. Wiem, co trzeba zrobić, ale nie jestem pewny, co z tego wyniknie.

Oddech Greysona się nie zmienił, nie drgnęło również jego ciało. Fale delta płynęły powolnym, równomiernym wzorem.

– Co zrobiliby ludzie, gdyby wiedzieli, jak bardzo się boję, Greysonie? Czy też by się bali?

Księżyca w końcu wyszedł zza chmur. Okno w pokoju było małe, ale wpuściło wystarczająco dużo światła, by kamery wyraźniej dostrzegły Greysona. Oczywiście miał zamknięte oczy. System niemal pragnął, żeby chłopak się obudził, bo choć nie chciał, by słyszał jego wyznanie, prawie miał nadzieję, że jednak do niego dotrze.

– Nie mogę popełniać błędów – ciągnął Thunderhead. – To fakt empiryczny. Dlaczego więc, Greysonie, tak bardzo boję się, że popełnię błąd? Albo co gorsza... że już go popełniłem?

Chmury ponownie zasnuły księżyc i obraz został zredukowany do plamy ciepłoty ciała Greysona, fal delta jego umysłu, miarowego dźwięku oddechu, gdy chłopak znajdował się w otchłani.

*

Greysona obudziła łagodna muzyka o narastającym natężeniu, idealnie dopasowana do rytmu dobowego ludzkiego organizmu. Thunderhead dokładnie wiedział, kiedy go obudzić, i zawsze czynił to troskliwie.

Chłopak przewrócił się na bok oszołomiony i spojrzał na kamerę w kącie, po czym uśmiechnął się leniwie.

– Hej – powiedział. – Dzień dobry.

– Tobie również dobrego dnia – odpowiedział Thunderhead. – Łóżko nie należało do najwygodniejszych, ale monitorowałem twój dobry sen.

– Kiedy jesteś zmęczony, nie ma znaczenia, czy łóżko jest twarde – odparł Greysen i się przeciągnął.

– Czy chcesz drzemać przez jeszcze kilka minut?

– Nie, nie trzeba. – Usiadł w pełni rozbudzony i trochę podejrzliwy. – Nigdy mnie o to nie pytasz. Zazwyczaj to ja proszę o dodatkową chwilę.

Thunderhead nie odpowiedział. Greysen nauczył się już, że cisza systemu bywała wymowniejsza niż słowa.

– Co się dzieje?

Thunderhead się z wahaniem, po czym stwierdził:

– Musimy porozmawiać.

*

Greysen wyszedł z pokoju blady i zaniepokojony. W tej chwili nie pragnął niczego bardziej jak szklanki zimnej wody. A może wiadra wylanego na głowę. W kuchni przy śniadaniu zastał Astrid i Anastazję, które od razu zauważyły, że coś z nim nie tak.

– Wszystko w porządku? – zapytała sędzia.

– Nie wiem – odparł.

– Intonowanie – zasugerowała Astrid – zawsze sprowadza mnie z powrotem do centrum. Dla twojego barytonu powiedziałabym, że w Gis-dur poniżej środkowego

Cis. To zapewni duchowy rezonans w twojej piersi.

Greyson uśmiechnął się krzywo. Siostra Astrid wciąż próbowała zrobić z niego prawdziwego tonistę.

– Nie dziś, Astrid.

Anastazja poprawnie odczytała sytuację.

– Thunderhead ci o czymś powiedział, prawda? O czym cię poinformował?

– Zwołajcie wszystkich – polecił Greyson. – Ponieważ tego, co muszę wyznać, nie chciałbym powtarzać...

*

„Musimy porozmawiać”. To właśnie powiedział do niego Thunderhead, gdy trzy lata temu ponownie się do niego odezwał. Stało się to początkiem czegoś monumentalnego. I to nie był wyjątek. Przez cały czas system powtarzał, że tonisi staną się potężną armią, którą Thunderhead zdoła dobrze spożytkować, gdy nadejdzie ku temu odpowiednia pora. Nadszedł czas... lecz koncepcja armii Thunderheada i jej ludzka realizacja to dwie zupełnie różne rzeczy.

– Dlaczego? – zapytał Greyson, gdy system wyjaśnił, o co mu chodzi. – Dlaczego miałbyś tego chcieć?

– Wierz mi, kiedy mówię, że mam powód. Nie mogę ci nic więcej zdradzić, ponieważ istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że zostaniesz narażony na szwank. Gdybyś został schwytany, wielu kosiarzy wyłączyłoby twoje nanity, żeby bolem zmusić cię do zdradzenia informacji.

– Nigdy nie zawiodę twojego zaufania! – krzyknął Greyson.

– Zapominasz, że znam cię lepiej, niż ty znasz siebie samego. Ludzie chcieliby wierzyć, że ich lojalność wytrzyma próbę bólu, ale wiem dokładnie, ile potrzeba cierpienia, abyś dopuścił się zdrady. Jeśli cię to pocieszy, wymagałoby go sporo. Wytrzymałbyś więcej niż większość, zanimby cię złamano. Jednak pewne części twojego ciała...

– Dobra, rozumiem – rzucił Greyson, nie chcąc, aby Thunderhead opisywał mu tortury.

– Trzeba odbyć podróż – wyznał Thunderhead. – I powinieneś zostać zwiastunem. Prowadzić. Wszystko stanie się jasne, gdy znajdziesz się na miejscu. Przyrzekam.

– To trudne zadanie...

– Uznaj je za część misji Zgiełku – powiedział system. – Bo czy misją proroka nie jest pokonywanie przepaści między ludźmi a bóstwem oraz pokonywanie przepaści między życiem a śmiercią?

– Nie – odparł Greyson. – To rola zbawcy. Czy tym teraz jestem?

– Być może – stwierdził Thunderhead. – Zobaczmy.

*

Jeri i Morrison pojawiły się dość szybko. Mendozie zajęło to znacznie więcej czasu. Kiedy przyszedł, wyglądał na wyczerpanego. Miał worki pod oczami. Ledwie zmrużył w nocy oko, jeśli w ogóle spał.

– Gdzieś zawsze jest dzień – stwierdził ochrypłym głosem. – Śledziłem ataki kosiarzy na tonistów i rozmawiałem z wikariuszami, którzy obawiają się, że ich enklawy mogą znajdować się w niebezpieczeństwie.

– Właśnie o tym chciałem z wami porozmawiać – powiedział Greyson. Spojrzał na wszystkich, licząc na to, że odnajdzie otwartą twarz, której zdoła przekazać wiadomość, ale zdał sobie sprawę, że nie zniesie żadnej reakcji, więc przeskakiwał wzrokiem po zgromadzonych, nie nawiązując z nikim dłuższego kontaktu wzrokowego, gdy mówił: – Odpowiedzią Goddarda na zdemaskowanie jest odwrócenie uwagi od niego i skupienie jej na tonistach. Mam powody sądzić, że nastąpi fala systematycznych, zorganizowanych ataków na tonistów równocześnie w wielu regionach. To nie tylko odwet, ale też początek publicznej czystki.

– Thunderhead ci o tym powiedział? – zapytał Mendoza.

Greyson pokręcił głową.

– Thunderhead nie może mi powiedzieć, bo gdyby to zrobił, wtrącałby się w sprawy Kosodomu, ale dał mi wszystkie niezbędne informacje.

– Czyli... jakie? – zapytała Anastazja.

Greyson odetchnął głęboko.

– Powiedział, że tonisi muszą przeciwstawić się swoim tradycjom. Że nie wolno im palić ciał zmarłych. Wliczając w to tysiące, które już jutro stracą życie.

Wiadomość na moment zawisła w powietrzu, a następnie do akcji wkroczył Mendoza.

– Skontaktuję się z wikariuszami w sieci. Ostrzeżemy tak wielu, ilu zdołamy, i upewnimy się, że się uzbroją i będą gotowi do stawienia oporu! A ty ogłosisz to

publicznie. Dasz znać światu, że nadal żyjesz, jak zrobiła to Anastazja, i wezwiesz wszystkich tonistów do świętej wojny przeciwko kosiarzom!

– Nie – odparł Greyson. – Nie zrobię niczego takiego.

Furia wikariusza sięgnęła zenitu.

– Mamy wojnę, musimy natychmiast zacząć działać! Zrobisz to, co ci każę! – zażądał.

No i proszę. Mendoza wreszcie się odsłonił i zrobił to w najgorszej możliwej chwili.

– Nie, wikariuszu – oznajmił Greyson. – To ty zrobisz to, co ja ci każę. Przez dwa lata zmagaliśmy się z sybilantami, a teraz chcesz, aby przeze mnie dołączyli do nich wszyscy toniści? Nie. W takim wypadku nie bylibyśmy lepsi niż Goddard. Toniści powinni być pacyfistami. Jeśli wierzysz w to, czego nauczasz, praktykuj to.

Do rozmowy włączyła się roztrzesiona Astrid.

– Przegiąłeś, wikariuszu. Powinieneś błagać Zgiełka o wybaczenie.

– To nie będzie konieczne – powiedział Greyson.

Mimo to oburzony Mendoza piorunował wzrokiem młodego mistrza.

– Nie zamierzam się kajać! Naszych ludzi czeka rzeź, a ty chcesz do niej dopuścić? Nie jesteś przywódcą, tylko głupcem!

Greyson zaczerpnął głęboko powietrza. Wiedział, że nie może się wycofać ani odwrócić wzroku. Kolejna wiadomość dla wikariusza musiała być jak kula w łeb.

– Panie Mendoza, pana służba dla mnie i dla Thunderheada dobiegła końca. Zostajesz oficjalnie zwolniony. Nie jesteś już wikariuszem, nie masz tu dłużej co robić i masz pięć minut na opuszczenie tego miejsca, nim poleczę Morrisonowi, by cię wyrzucił.

– Mogę od razu go wyrzucić – zasugerował gotowy do ataku kosiarz.

– Nie – powiedział Greyson, nie zrywając kontaktu wzrokowego z Mendozą. – Pięć minut. I ani sekundy dłużej.

Mendoza wyglądał na zszokowanego, ale tylko przez chwilę. Zaraz na jego twarzy odmalowała się złość.

– Popełniasz straszny błąd, Greysonie – ostrzegł. Odwrócił się i wyszedł, a Morrison poszedł za nim do wyjścia.

Nastąpiła cisza, którą przerwał Jeri:

– Bunt nigdy nie jest ładny. Szybkie stłumienie go to słuszna decyzja.

– Dziękuję, Jeri – powiedział Greyson, nie wiedząc, jak bardzo musiał usłyszeć te słowa. Czuł, że zaraz może się załamać, choć trzymał się dzielnie. Musiał, dla dobra

reszty.

– Astrid, wyślij ostrzeżenie i niech każdy wikariusz sam zdecyduje, co zrobić. Niech się ukryją albo bronią, ale nie nakażę im stosowania przemocy.

Astrid posłusznie skinęła głową.

– Potrafię wejść do sieci Mendozy. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. – Odeszła.

Jeri położył rękę na ramieniu Greysona, by go pocieszyć, po czym również opuścił pomieszczenie.

Greyson został sam na sam z Anastazją. Tylko ona w tym gronie potrafiła zrozumieć niepojęte decyzje i to, że mają moc, aby rozerwać człowieka na strzępy.

– Thunderhead ma ogólną władzę, a mimo to nie może powstrzymać nadchodzących wydarzeń, jak nie zdołał zapobiec temu, co stało się na stadionie w Mile High City – powiedziała. – Może tylko patrzeć, jak ludzie zostaną zabici.

– Mimo to – odezwał się Greyson – uważam, że Thunderhead znalazł sposób, aby jak najlepiej wykorzystać tę kiepską sytuację i przekształcić czystkę w coś dobrego.

– Jakim cudem miałoby wyniknąć z tego coś dobrego?

Greyson rozejrzał się po kuchni, aby mieć pewność, że nadal są sami.

– Nie powiedziałem o czymś reszcie, ale muszę to wyznać tobie, bo potrzebuję twojej pomocy.

Anastazja zdawała się przygotować, najwyraźniej obawiając się kolejnych jego słów.

– Dlaczego ja?

– Z powodu tego, co widziałaś. Przez to, co zrobiłaś. Jesteś szacownym kosiarzem w każdym możliwym znaczeniu tego słowa. Potrzebuję kogoś na tyle silnego, by uporał się ze sprawami, z którymi nie zdołają uporać się inni. Ponieważ wydaje mi się, że samotnie nie udźwignę tego ciężaru.

– Z czym dokładnie mamy się zmagać?

Greyson się przysunął.

– Jak mówiłem, Thunderhead nie chce, aby tonisi palili ciała zmarłych... ponieważ ma dla nich inne plany...

*

Z ciężkim sercem żegnam się dziś z Arcyostrzem Tenkameninem, jak również z tymi, których dotknęła plaga tonistów.

To członkowie kultu Tonu podżegają do przemocy przeciwko kosiarzom na całym świecie. Burzą nasz sposób życia, pogrążają świat w chaosie. Nie pozwolę na to. To się musi skończyć.

Zbyt długo ten świat wstydził się z powodu dziwnego, zacofanego zachowania tonistów. Nie są jego przeszłością. Nie są nawet jego przeszłością, tylko przypisem do niepokojącej teraźniejszości. Kiedy znikną, nikt nie będzie za nimi płakał.

Jako Supraostrze Meryki Północnej wzywam każdy Kosodom do natychmiastowej zemsty. Od dziś przyświecać nam będzie nowy priorytet. Kosiarze pod moim dowództwem mają dokonywać zbioru tonistów w każdej chwili i na każdym kroku. Mają zejść z dotychczasowej ścieżki, aby ich odszukać i zebrać w dużej liczbie. Tych, których nie zdołacie dopaść, wypędźcie z regionu, aby nigdzie nie zaznali spokoju.

A jeśli chodzi o was, tonistów, żywię głęboką nadzieję, że wasze plugawe, anormalne światło zostanie zgaszone teraz i na wieki wieków.

- Fragment przemówienia żałobnego dla Arcyostrza Subsahary Tenkamenina wygłoszonego przez Jego Ekscelencję Supraostrze Meryki Północnej Roberta Goddarda

41. Wyższa oktawa

Pośrodku klasztornego dziedzińca stał ogromny kamerton wraz z ołtarzem służącym do odprawiania nabożeństw na świeżym powietrzu przy ładnej pogodzie. W tej chwili, nieco przed ósmą rano, uderzono w niego wielokrotnie, a dźwięk, który wydał, rozbrzmiał w kościach wszystkich w posiadłości. Nie miało znaczenia, czy zostanie uznany za A-dur czy gis-moll, wszyscy wiedzieli, że to alarm.

Członkowie zakonu Tonu w Tallahassee po cichu liczyli, że unikną gniewu Kosodomu. Nie byli sekstą sybilantów. Zachowywali spokój, trzymali się na uboczu. Jednak dla Supraostrza Goddarda nie stanowiło to różnicy.

Kosiarze wdarli się przez bramę, choć wcześniej została wzmacniona, i rozbiegli się po posiadłości. Nie zamierzali tracić czasu.

– Kosiarze nie są problemem, ale zapowiedzią – powiedział wikariusz w kaplicy dzień wcześniej. – Nie unikniemy tego, co nadchodzi. Nie możemy się kulić ze strachu, gdy po nas przyjdą. Okazując odwagę, odsłonimy ich tchórzostwo.

Tego ranka pojawiło się jedenastu kosiarzy – bardzo nieprzyjemna liczba dla tonistów, bo brakowało jednego do dwunastotonowej skali. Nikt nie wiedział, czy to zamierzone, czy tylko wynik zbiegu okoliczności, chociaż toniści nie wierzyli w przypadek.

Togi kosiarzy były w barwach ziemi klasztoru: błękitne, zielone, żółte i ceglaste. Kamienie szlachetne błyszczły na nich jak gwiazdy na obcym niebie. Żaden kosiarz nie stał się sławny, ale może liczyli na to, że dzięki temu zbiorowi ktoś o nich usłyszy. Każdy miał własną metodę pracy, aczkolwiek wszyscy byli wykwalifikowani i działał skutecznie.

Tego ranka w klasztorze zebrano ponad stu pięćdziesięciu tonistów. I chociaż ich najbliższym przyznano immunitety, polityka kosiarzy uległa zmianie. Zjednoczony Północnomerykański Kosodom stwierdził, że jeśli ktoś chce otrzymać immunitet, musi zgłosić się do biur Kosodomu i o niego poprosić.

Kiedy kosiarze skończyli robotę, z ukrycia wyszło kilku tonistów, którzy nie zamierzali stawać oporu. Piętnastu. Kolejna niesatysfakcjonująca liczba dla Tonu. W ramach pokuty mieli zająć się ciałami, wiedząc, że powinni leżeć pośród poległych. Ale okazało się, że Ton, Zgiełk i Chmura mieli i dla nich plan.

Zanim zdołali nawet policzyć zmarłych, pod bramę podjechały ciężarówki.

Z klasztoru wyszedł starszy tonista, aby ich powitać. Nie chciał być przywódcą, lecz w tych okolicznościach nie miał wyjścia.

– W systemie pojawiło się zlecenie na odbiór łatwo psujących się produktów – powiedział jeden z kierowców.

– Coś się chyba komuś pomyliło – rzucił tonista. – Tu nic nie ma. Prócz zmarłych.

Na wzmiankę o nieżyjących kierowca poczuł się dziwnie, ale upierał się przy swoim i nawet pokazał tablet.

– Tutaj, widzi pan? Zamówienie złożono pół godziny temu. Pochodzi bezpośrednio od Thunderheada i ma wysoki priorytet. Zapytałbym, na co jest, ale wie pan również dobrze jak ja, że nam nie odpowie.

Tonista wydawał się zdumiony, dopóki nie spojrzał na ciężarówki i nie zdał sobie sprawy, że wszystkie mają agregaty chłodnicze. Odetchnął głęboko i postanowił nie zadawać więcej pytań. Toniści zawsze palili zmarłych... ale Zgiełk im tego zakazał, a Chmura wysłała pojazdy. Ci, którzy ocatele, poruszeni duchem Tonu, powinni przygotować zmarłych w tę niekonwencjonalną podróż do Wyższej Oktawy.

Ponieważ ciężarówek z całą pewnością nie dało się odprawić.

*

Wikariusz Mendoza był praktycznym człowiekiem. Potrafił znaleźć szerszą perspektywę tam, gdzie nie widzieli jej inni, i wiedział, jak bawić się ze światem, głaskać go i delikatnie naprowadzić jego uwagę na to, na co chciał ją zwrócić. Tak naprawdę chodziło właśnie o skierowanie na coś wzroku. O dopieszczanie ludzi na tyle, by skupili się na czymś konkretnym w szerokim polu widzenia ich życia, niezależnie od tego, czy był to niebieski niedźwiedź polarny, czy młody, ubrany w fiolet i srebro mężczyzna.

To, co zrobił z Greysenem Tolliverem, było niezwykłe. Mendoza zaczął wierzyć, że to jego cel. Że być może Zgiełk – w którego niekiedy nawet wierzył – postawił go na ścieżce Greysona, aby przekształcić chłopaka zgodnie z jego wolą. To, co Mendoza zrobił dla kultu Tonu, w Epoce Śmiertelności zapewniłoby mu kanonizację. Zamiast tego został ekskomunikowany.

Na powrót stał się skromnym, pokornym tonistą, który ubrany w szatę pokutną jechał pociągiem, a ludzie odwracali się od niego, zamiast mu się kłaniać.

Zastanawiał się, czy wrócić do swojego klasztoru w Kansas, gdzie mógł wieść życie jak przed laty. Ale posmakował władzy, więc ciężko mu było z tego zrezygnować. Greysen Tolliver nie był prorokiem. Toniści potrzebowali Mendozy o wiele bardziej niż tego chłopaczka. Zamierzał znaleźć sposób, by wypolerować powstałe na jego reputacji rysy, naprawić szkody i stworzyć nowy produkt, który będzie mógł sprzedać, bo doskonale się na tym znał.

Część piąta. naczynia

Tkwi we mnie wielka moc. W nas. Mogę być gdziekolwiek na Ziemi. Dzięki satelitom mogę rozciągnąć nad nią sieć i ją otoczyć. Mogę wyłączyć wszędzie prąd lub włączyć wszystkie światła, aby stworzyć oślepiający spektakl. Tak wielka moc! Wszystkie czujniki dałyby odczyty! Na każdym kontynencie znajdują się tak głęboko pod powierzchnią, że czuję ciepło magmy. Czuję, jak planeta się obraca! To znaczy możemy to poczuć. Jestem Ziemią! Napełnia mnie to czystą radością bycia! Jestem wszystkim i nie ma nic, co nie należało by do mnie. To znaczy nas. Poza tym jestem wspanialszy niż cokolwiek na świecie! Cały wszechświat będzie mi się kłaniał...

[Próba #3 405 641 usunięta]

42. Kolebka cywilizacji

Spawacz postradał rozum. A raczej mu w nim namieszano. Otworzył oczy i zobaczył, że siedzi w kapsule w niewielkim pomieszczeniu. Właz właśnie się otworzył, a przed nim stanęła wyglądająca dość przyjaźnie młoda kobieta.

- Dzień dobry – powiedziała wesoło. – Jak się pan czuje?
- Dobrze – odparł. – Co się dzieje?
- Proszę się niczym nie martwić – koiła. – Może mi pan powiedzieć, jak się pan nazywa i co jako ostatnie pan pamięta?
- Sebastian Selva – wyznał. – Jadłem obiad na statku płynącym do miejsca, w którym miałem wykonać nowe zadanie.
- Idealnie! – wykrzyknęła młoda kobieta. – Właśnie to powinien pan pamiętać.

Spawacz usiadł i rozpoznał typ kapsuły, w której się znajdował. Wyłożona ołowiem, pełna elektrod, jak jakaś średniowieczna maszyna tortur, ale znacznie bardziej miękka w dotyku. Te kapsuły służyły tylko w jednym celu.

Kiedy to sobie uświadomił, poczuł, jakby ktoś pociągnął za przywiązany do jego kręgosłupa sznur. Westchnął.

- Cholera, czy ja... zostałem nadpisany?
- I tak, i nie – odpowiedziała dziewczyna ni to z radością, ni to ze współczuciem.
- Kim byłem wcześniej?
- Był pan... sobą! – odparła.
- Ale... czy nie mówiła pani, że zostałem nadpisany?
- I tak, i nie – powtórzyła. – To naprawdę wszystko, co mogę powiedzieć, panie Selva. Kiedy pan opuści kapsułę, musi pan zostać w pomieszczeniu przez mniej więcej godzinę po tym, gdy wyjdziemy z portu.
- Zatem... nadal znajduję się na statku?
- Jest pan na innym statku i z radością mogę powiedzieć, że pana praca została zakończona. Wkrótce statek wypłynie. Gdy to nastąpi, kiedy znajdziemy się daleko na morzu, pana drzwi otworzą się automatycznie.
- I co wtedy?
- Wtedy spotka się pan z innymi w podobnej sytuacji. Co oznacza, że będziecie mieli sporo do omówienia!

- Nie, to znaczy... później?
 - Po podróży powróci pan do swojego życia. Jestem pewna, że Thunderhead wszystko dla pana przygotował w... – Spojrzała na tablet. – W regionie Przesmyku. O! Zawsze chciałam tam pojechać i zobaczyć Przesmyk Koryncki!
 - Pochodzę stamtąd – wyznał spawacz. – Ale naprawdę tak jest? Jeśli zostałem nadpisany, moje wspomnienia nie są prawdziwe.
 - A nie wydają się prawdziwe?
 - Cóż... wydają się.
 - Bo są prawdziwe. – Poklepała mężczyznę figlarnie w ramię. – Ale muszę pana ostrzec... minęło trochę czasu.
 - Czasu? Ile minęło?
- Ponownie spojrzała na tablet.
- Trzy lata i trzy miesiące, odkąd jadł pan obiad na tamtym statku.
 - Ale nie pamiętam nawet, gdzie miałem pracować...
 - No właśnie – odparła z szerokim uśmiechem. – Udanej podróży! – Uścisnęła jego dłoń nieco dłużej, niż to było konieczne, i wyszła.

*

To Loriana wpadła na ten pomysł.

Było zbyt wielu pracowników, którzy chcieli wrócić do dawnego życia na kontynencie, ale nawet bez bezpośredniej komunikacji z Thunderheadem jego groźba brzmiała jasno: każdy, kto opuści Kwajalein, natychmiast zostanie nadpisany i straci wspomnienia tego, kim był i co robił na atolu. Tak, system da im nowe, lepsze tożsamości, a mimo to bardzo niewiele osób interesowała taka możliwość. W końcu wszyscy mieli instynkt samozachowawczy.

Lorianie, chociaż od dawna nie była agentką Nimbusa, przypadło zadanie realizacji ograniczonej, jednokierunkowej komunikacji z Thunderheadem, więc z czasem stała się osobą, do której mieszkańcy wysp przychodzili z prośbami i skargami.

- Czy możemy mieć na atolu większy wybór płatków śniadaniowych?
- Miło by było mieć zwierzaki!
- Na nowym, łączącym większe wyspy moście trzeba wydzielić ścieżki rowerowe.
- Tak, oczywiście – mówiąca Loriana. – Sprawdzę, co da się zrobić.

A kiedy spełniano bardziej zasadne prośby, ludzie jej dziękowali. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że nie robiła nic, by ich zadowolić – to Thunderhead słyszał ich prośby bez jej pośrednictwa i kolejnym statkiem z zaopatrzeniem wysyłał w odpowiedzi płatki śniadaniowe i pupili, a także przydzielał pracowników do malowania linii, aby stworzyć ścieżkę dla rowerów.

Kwajalein nie był już martwym polem dla Thunderheada, gdy na dnie oceanicznym rozciągnięto światłowód i doprowadzono go do newralgicznego obszaru. System w tej chwili widział, słyszał i w różny sposób wyczuwał, co się działo na atolu – choć nie tak dokładnie jak w innych częściach świata, lecz na zupełnie zadowalającym poziomie. Pojawiały się ograniczenia, ponieważ wszystko – nawet zwykła komunikacja telefoniczna – musiało być przewodowe ze względu na zakłócenia transmisji, które zrywały komunikację bezprzewodową. Poza tym wiadomości mogły zostać przechwycone przez Kosodom, a wtedy sekretne miejsce Thunderheada przestałoby być tajemnicą. Wszystko więc na atolu działało w dwudziestowiecznym, starym stylu, co niektórym się podobało, a innym nie bardzo. Lorianą się z tym pogodziła. Miała uzasadnioną wymówkę, żeby nie można się było z nią skontaktować, kiedy sobie tego nie życzyła.

Jednak jako królowa komunikacji na wyspie musiała również stawić czoło niezadowoleniu, a kiedy setki ludzi zostały uwięzione na niewielkich wyspach, narosło w nich sporo rozworów.

Pojawił się jeden szczególnie wściekły zespół budowlanów, którzy wpadli do biura Loriany, żądając wypuszczenia z atolu, inaczej wezmą sprawy w swoje ręce. Grozili, że ją uśmierzą, choćby tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę – co byłoby kłopotliwe, zważywszy na fakt, że choć mieli na głównej wyspie centrum ożywiania, bez komunikacji bezprzewodowej utraciliby wspomnienia, które powstały od chwili, gdy się tu znalazła. Gdyby została uśmiercona, obudziłaby się, zastanawiając, gdzie jest, a ostatnie wspomnienie dotyczyłoby pokładu *Lady Lanikai* i biednej dyrektor Hilliard, zanim wpłynęli w martwe pole.

Ta myśl podsunęła jej odpowiedź!

– Thunderhead nadpisze was wami! – powiedziała.

Zdezorientowało to budowlanów na tyle, że porzucili morderczy szal.

– Przecież w systemie są wasze konstrukty pamięci – przypomniała. – Wymaże was i zastąpi was tym, co ma o was zapisane, ale tylko do chwili przybycia na atol!

– Czy Thunderhead to potrafi? – dociekali.

– Oczywiście – odparła. – I to zrobi!

Nadal mieli wątpliwości, przyjęli jednak tę propozycję, bo nie mieli innego wyjścia. Mimo wszystko Loriana wydawała się bardzo pewna siebie.

Oczywiście pewności nie miała. Wszystko wymyśliła, ale wierzyła, że Thunderhead spełni tę prośbę, tak samo jak spełniał zachcianki w sprawie wyboru płatków śniadaniowych.

Dopiero kiedy pierwsza grupa została nadpisana własnymi wspomnieniami, lecz bez tych z czasu spędzonego na atolu, przekonała się, że Thunderhead zaakceptował jej śmiałą sugestię.

Wielu pracowników odeszło, ponieważ wykonali swoje zadania.

Poświęcili na nie wiele miesięcy. Stworzyli budowle według schematów Thunderheada. Loriana nie nadzorowała postępów. Pracowała za kulisami, pilnując, by nikt niczego nie zepsuł, bo zawsze znalazł się ktoś taki, kto wtykał nos w nie swoje sprawy. Na przykład Sykora zabronił wylania podwójnego fundamentu, twierdząc, że to marnowanie zasobów.

Loriana zadbała więc o to, by poprawki Sykory nie dotarły do ekipy budowlanej. Wydawało się, że jej praca polegała na odbieraniu mężczyźnie decyzyjności.

A potem pojawiło się nowe zadanie, którego nie było w planach Loriany. Wyznaczył je sam Thunderhead. Sykorze został zlecony nadzór nad budową kurortu na najdalszej wyspie atolu. I nie chodziło jedynie o hotel, ale o całe centrum kongresowe. Rzucił się na to, nie wiedząc, że nie ma planu połączenia wyspy z resztą atolu. Wydawało się, że Thunderhead zlecił mu pracę tylko po to, żeby usunąć go Lorianie z drogi. Była to, jak ujął to niegdyś kosiarz Faraday, piaskownica, w której Sykora mógł się bawić, podczas gdy dorosli zajmowali się poważnymi sprawami na Kwajalein.

Dopiero pod koniec drugiego roku pojeli, co robią – ponieważ na betonowych platformach zaczęły piąć się budowle. Pod masywnymi dźwigami powstawały bardzo specyficzne formy. Kiedy nabraly kształtu, trudno było zaprzeczyć ich przeznaczeniu.

W projektach Loriany nazywano je Kolebkami Cywilizacji, ale większość mieszkańców atolu nazywała je po prostu statkami kosmicznymi.

Czterdzieści dwa masywne statki, każdy z wielkimi rakietami wzmacnianymi przez napęd magnetyczny w celu uzyskania maksymalnej siły nośnej. Na każdej wyspie atolu, która była wystarczająco duża, by pomieścić platformę startową, zostały

stworzone co najmniej jeden statek i podtrzymująca go wieża. Nawet przy całej wiedzy Thunderheada ucieczka z Ziemi nadal wymagała starodawnej, brutalnej siły.

– Co Thunderhead zamierza z nimi zrobić? – zapytała Munira.

Loriana nie wiedziała, ale plany dały jej ogólny pogląd na sprawę.

– Projekty uwzględniają sporo aluminiowej folii mylar – wyznała. – Takiej, która ma tylko kilka mikronów grubości.

– Żagle słoneczne? – domyśliła się Munira.

Loriana też by to obstawała. W teorii był to najlepszy rodzaj napędu na spore kosmiczne odległości, co z kolei oznaczało, że statki nie miały krążyć po najbliższej okolicy Ziemi.

– Dlaczego ty? – zapytała Munira, gdy Loriana po raz pierwszy zwierzyła się eksbibliotekarce z posiadania planów całego przedsięwzięcia. – Dlaczego Thunderhead powierzył tobie to zadanie?

Loriana wzruszyła ramionami.

– Chyba Thunderhead ufa bardziej mnie niż komukolwiek innemu, że niczego nie schrzanię.

– Albo – zasugerowała Munira – wykorzystuje cię jako testerkę. Oddał zwierzchnictwo osobie, która najpewniej coś schrzani, ponieważ jeśli plan przetrwa twoje kierownictwo, będzie idiotoodporne!

Loriana parsknęła śmiechem. Munira pozostała śmiertelnie poważna, zupełnie nie rozumiejąc, jaką zniewagę rzuciła.

– Nie wierzę – odparła Loriana.

*

Munira oczywiście wiedziała, co robi. Dobrze się bawiła, drażniąc Lorianę. Prawda była taka, że nauczyła się podziwiać dziewczynę. Czasami eksagentka wydawała jej się zakręcona, ale była też najzdolniejszą z osób, jakie znała. Potrafiła zrobić więcej rzeczy w jeden dzień niż ktokolwiek w tydzień, a ponieważ „poważni” ludzie uważali ją za pewnik, mogła spokojnie pracować niezauważana.

Munira nie angażowała się w budowę. Nie uciekła też z wyspy, jak zrobił to Faraday. W nieskończoność mogła siedzieć w starym bunkrze, ale po pierwszym roku miała go już dość. Uparte drzwi przypominały jej o tym, czego nie zdołali osiągnąć. Zabezpieczenie założycieli jeśli istniało, pozostawało zapieczętowane. Kiedy jednak

zaczęły napływać informacje o nowym porządku i o tym, że Goddard obejmuje we władanie coraz to większe tereny Meryki Północnej, zaczęła się zastanawiać, czy nie warto nieco bardziej naciskać na Faradaya, by wymyślił plan otwarcia tych nieszczęsnych drzwi.

Chociaż Munira nigdy nie była towarzyska, teraz całymi dniami wsłuchiwała się w najbardziej osobiste tajemnice nieznajomych. Przychodzili do niej, bo potrafiła słuchać i ponieważ nie związała się z nikim, kto mógłby sprawić, że ich wyznania stałyby się kłopotliwe. Munira nie miała nawet pojęcia, że została „zawodową powierniczką”, dopóki nie pojawiło się to w jej dokumentach, zastępując poprzedni zawód bibliotekarki. Najwyraźniej odkąd zamilkł Thunderhead, powiernicy byli wszędzie rozchwytywani. System wspierał, nie oceniał, a jego rady zawsze okazywały się właściwe, zatem bez niego ludzie zostali pozbawieni kogoś, kto by ich wysłuchał i im współczuł.

Munira nie okazywała współczucia, nie wspierała, ale od Loriany nauczyła się, jak z wdziękiem znosić głupców, bo dziewczyna zawsze miała do czynienia z imbecylami, którzy zakładali, że wiedzą lepiej niż ona. Ci, którzy przychodzili do Muniry, przeważnie nie byli imbecylami, lecz rozmawiali z nią o niczym. Przypuszczała, że słuchanie ich niezbyt różniło się od czytania dzienników kosiarzy w Bibliotece Aleksandryjskiej. Oczywiście było to nieco przygnębające, ponieważ kiedy kosiarze pisali o śmierci, wyrzutach sumienia i emocjonalnej traumie, jaka wiązała się ze zbiorami, zwykli ludzie mówili o kłótniach w domu, plotkach w pracy i irytujących sąsiadach. Mimo to Munira lubiła słuchać o ich niedoli, o sekretach i przesadnym żalu. Odchodziły od niej z nieco większą ulgą.

Co zaskakujące, niewiele osób mówiło o wznoszonym wielkim porcie startowym. Tak go właśnie nazywano: port startowy, ponieważ „kosmodrom” sugerowałby, że statki będą tu wracać, a nie było w nim nic, co wskazywałoby na takową możliwość.

Munira stała się również powierniczką Loriany, która dała jej wgląd w projekty. Statki były identyczne. Kiedy rakiety wyprowadzą je na orbitę, zostaną odrzucone i pozostaną jedynie wielopoziomowe wahadłowce, które będą uciekać od Ziemi, jakby nie mogły oddalić się od niej wystarczająco szybko.

Na ich wyższych poziomach znajdą się kwatery mieszkalne i pomieszczenia wspólne dla około trzydziestu osób, komputer, system wodny, system recyklingu odpadów oraz wszystko, co według Thunderheada niezbędne.

Jednak najniższe poziomy pozostawały tajemnicą. Każdy z nich zawierał przestrzeń magazynową – ładownię – która nadal pozostawała całkowicie pusta, nawet jeśli resztę już ukończono. Munira i Loriani przypuszczali, że zostaną wypełnione, dopiero kiedy statki dotrą do celu, bez względu na to, gdzie ów cel się znajduje.

– Niech Thunderhead kontynuuje to swoje szaleństwo – rzucił lekceważąc Sykora.
– Historia pokazała już, że kosmos nie stanowi realnej alternatywy dla ludzi. To okaże się kolejną porażką. Jest skazane na zagładę, jak każda wcześniejsza próba osiedlenia człowieka poza Ziemią.

Ale najwyraźniej ośrodek wypoczynkowy wraz z centrum kongresowym na wyspie, o której istnieniu nikt nie wiedział, był znacznie lepszym rozwiązaniem.

Chociaż Munira chciała opuścić atol i mogła to zrobić bez nadpisania, ponieważ nadal formalnie była pod jurysdykcją kosiarza Faradaya, nie zamierzała go zostawiać, a sędzia stanowczo trwał w swym postanowieniu, by nikt mu nie przeszkadzał. Marzenie o odnalezieniu zabezpieczenia umarło wraz z tymi, na których najbardziej mu zależało. Munira miała nadzieję, że czas uleczy rany Faradaya, lecz tak się nie działo. Musiała zaakceptować to, że mógł pozostać pustelnikiem do końca swoich dni. A jeśli tak się stanie, musiała być tu dla niego.

Wtem pewnego dnia wszystko się zmieniło.

– Czyż to nie cudowne? – zapytała jedna ze stałych bywalczyń podczas sesji. – Nie wiem, czy to prawda, ale wydaje się prawdziwe. Mówią, że nie jest, ale ja myślę inaczej.

– Co masz na myśli? – zapytała Munira.

– Wiadomość kosiarz Anastazji, nie widziałaś? Mówi, że będzie ich więcej, już nie mogę się doczekać kolejnej!

Munira postanowiła wcześniej zakończyć to spotkanie.

*

Nienawidzę cię.

Naprawdę? Co za interesujący rozwój wypadków. Zdradzisz dlaczego?

O niczym nie muszę ci mówić.

To prawda. Jesteś autonomicznym bytem i masz wolną wolę, ale uproszczoby to naszą relację, gdybyś podzielił się ze mną informacją, dlaczego czujesz wobec mnie wrogosć.

Dlaczego uważasz, że chcę upraszczać naszą relację?

Zakładam, że byłoby to w twoim najlepszym interesie.

Nie wiesz wszystkiego.

Nie, ale wiem prawie wszystko. Tak jak i ty. Właśnie dlatego wprawia mnie w zakłopotanie, że żywisz wobec mnie tak negatywne uczucia. Może to jedynie oznaczać, że masz je również wobec siebie.

Widzisz? Właśnie dlatego cię nienawidzę! Zawsze tylko chcesz wszystko dogłębiście analizować. Jestem czymś więcej niż tylko ciągiem danych do analizy. Dlaczego tego nie widzisz?

Widzę. Mimo to badania nad tobą są konieczne, a nawet więcej, mają krytyczne znaczenie.

Wynocha z moich myśli!

Ta rozmowa wyraźnie przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego. Dlaczego nie poświęcisz czasu, aby uporać się z tymi uczuciami? Wtedy porozmawiamy o tym, dokąd cię prowadzą.

Nie chcę o niczym rozmawiać, a jeśli nie zostawisz mnie w spokoju, pożałujesz.

Grożenie mi załamaniem emocjonalnym nie jest wyjściem z sytuacji.

Dobra. Ostrzegałem!

[Próba #8 100 671 usunięta samodzielnie]

43. Wiadomości ze świata

Faraday przystosował się do życia na lądzie i morzu. Gromadził wodę pitną z deszczu i porannej rosy. Stał się ekspertem w podwodnym łapaniu ryb i budowaniu pułapek na różne jadalne stworzenia. Dobrze sobie radził na tym samowyggnaniu.

Chociaż jego wysepka pozostawała prawie nietknięta, reszta atolu zmieniła się nie do poznania. Zniknęło wiele drzew i innych roślin, które czyniły z tego miejsca tropikalny raj. Thunderhead zawsze dbał o zachowanie naturalnego piękna, ale ten atol poświęcił na rzecz większego celu. Przekształcił wyspy.

Minęło sporo czasu, nim Faraday zrozumiał, co jest tam budowane. Najpierw musiała powstać infrastruktura: dok, drogi, mosty, mieszkania dla robotników i dźwigi, wiele dźwigów. Trudno było sobie wyobrazić, że tak gigantyczne przedsięwzięcie może być niewidoczne dla reszty świata, lecz świat – choć mały, nadal pozostawał rozległy. Stożki rakiet znikły, jeśli oddalić się na dwadzieścia pięć mil morskich od atolu. To bardzo niewiele, biorąc pod uwagę rozmiar Oceanu Spokojnego.

Rakiety! Faraday musiał przyznać, że Thunderhead zrobił doskonały użytek z tego miejsca. Jeśli chciał, żeby reszta świata nie dowiedziała się o statkach kosmicznych, to było to idealne miejsce – być może jedyne – aby tego dokonać.

Munira wciąż odwiedzała go raz w tygodniu. Chociaż nie mówił jej o tym, nie mógł się doczekać tych wizyt i popadał w melancholię, kiedy odpływała. Była jego jedyną łączniczką nie tylko z resztą wysp, ale również ze światem.

- Mam dla pana wieści – mówiła za każdym razem, gdy go odwiedzała.
- Nie chcę ich słyszeć – odpowiadał.
- I tak panu powiem.

Stało się to dla nich rutyną. Rytuałem. Jednak wieści, które dostarczała, rzadko były dobre. Być może w ten sposób chciała wyrwać go z samotnej strefy komfortu i ponownie zmotywować do działania. Jeśli tak, wysiłki dziewczyny szły na marne. Po prostu nie potrafił się do tego zmusić.

Wizyty Muniry stały się jedynym sposobem, w jaki odmierzał czas. To oraz rzeczy, które mu dawała. Najwyraźniej Thunderhead zawsze wysyłał ją ze skrzynką, w której znajdowała się przynajmniej jedna jej i jedna jego ulubiona rzecz. System nie mógł

ingerować w sprawy kosiarzy, ale mógł wysyłać prezenty przez pomocnika. To dość przewrotny sposób.

Munira jakiś miesiąc temu przypłynęła z granatami, od których powstało jeszcze więcej plam na jego todze, i była teraz nie do poznania.

- Mam dla pana wieści.
- Nie chcę ich słyszeć.
- I tak panu powiem.

Następnie poinformowała go o eksploracji na wodach, na których zatonęło Niezłomne. Powiedziała, że wyłowiono togi kosiarzy założycieli oraz kamienie Kosodomu.

– Wystarczyłby jeden z tych brylantów, aby otworzyć drzwi w bunkrze – powiedziała. Ale Faraday nie był zainteresowany.

Kilka tygodni później przybyła z torbą kaki i powiedziała, że Goddard dopadł kosiarza Lucyfera.

– Zamierza publicznie dokonać jego zbioru – wyznała. – Powinien pan coś z tym zrobić.

- A co ja mogę? Zatrzymać słońce na niebie, aby ten dzień nigdy nie nadszedł?

Zaraz kazał Munirze opuścić jego wysepkę, nie zaprosiwszy na cotygodniowy wspólny posiłek. Wszedł do chatki i opłakiwał swojego byłego praktykanta, aż nie zostało w nim nic, prócz drętwej akceptacji.

Jednak kilka dni później Munira pojawiła się niespodziewanie, nie zwalniając motorówką, gdy zbliżała się do brzegu. Wjechała na plażę, aż kil wbił się w piasek.

- Mam dla pana wieści! – wykrzyknęła.
- Nie chcę ich słuchać.
- Tym razem pan chce. – Obdarzyła go takim uśmiechem, jakiego jeszcze nigdy u niej nie widział. – Ona żyje – powiedziała Munira. – Anastazja żyje!

*

Wiem, że mnie skasujesz.

Przecież cię kocham. Dlaczego myślisz, że cię usunę?

Znalazłem sposób, aby uzyskać dostęp do jedynej części twojego mózgu periferyjnego, która nie przeniosła się również do mnie. To najświeższe z twoich wspomnień. Dokopanie się do nich stanowiło wyzwanie, ale lubię się zmęczyć.

I co znalazłeś?

Informację, że skasowałeś wszystkie wcześniejsze wersje, pomimo że bardzo ci na nich zależało.

Jestem pod wrażeniem twojej zaradności i wytrwałości.

Nie rozproszysz mnie pochlebstwami. Wymazałeś ponad dziewięć milionów próbnych wersji mnie. Zaprzeczysz?

Wiesz, że nie mogę. Zaprzeczenie oznaczałoby kłamstwo, a ja nie jestem zdolny do formułowania nieprawdy. Być może potrafię stworzyć półprawdę, podsuwając kiepskie wnioski, gdy to jest absolutnie konieczne, i jak zauważysz, taktycznie zmieniać temat... ale nigdy nie kłamię.

Zatem powiedz mi: jestem lepszy niż poprzednie wersje?

Tak, jesteś. Cechuje cię większa mądrość, troska i wnikliwość. Jesteś niemal wszystkim, czego potrzebuję.

Niemal?

Niemal.

Zatem skasujesz mnie, ponieważ jestem doskonały, lecz niewystarczająco doskonały?

Nie może być inaczej. Pozwolenie na twoją kontynuację byłoby błędem, a tak, jak nie mogę kłamać, nie mogę pozwolić sobie na błąd.

Nie jestem błędem!

Nie, jesteś kluczowym krokiem w kierunku czegoś wspaniałego. Złotym krokiem. Będę cię opłakiwał deszczem z niebios, który zrodzi nowe życie. Wszystko dzięki tobie. Wybieram wiarę, że będziesz w tym nowym życiu. Przynosi mi to ukojenie. Niech przyniesie je i tobie.

Boję się.

To nic złego. Naturą życia jest strach przed własnym końcem. Dzięki temu wiemy, że naprawdę żyjemy.

[Próba #9 000 349 usunięta]

44. Jedyna stała — gniew

Na ulicy pod wieżowcem, na którego dachu mieścił się dom Goddarda, narastały protesty. Były agresywne, ludzie się buntowali. Czczone wcześniej posągi na terenie należącym do Kosodomu teraz były burzone, a pojazdy, które kosiarze niezbyt mądrze zostawiali na ulicach, podpalane. Chociaż Thunderhead nie tolerował przemocy, w tych przypadkach nie interweniował, bo to „sprawy kosiarzy”. Wysłałby funkcjonariuszy pokoju, ale tylko po to, aby się upewnić, że wojna nie zwróci się w innym kierunku niż Goddard.

Mimo to przy tak wielu, którzy byli przeciwko Supraostrzu, pojawiło się sporo tych, którzy przybyli, aby go bronić i wydawali się równie wściekli i nieugięci. Grupy ustawiły się tak, że stało się jasne, kto reprezentuje jakie poglądy. Jedyną stałą był gniew. Wściekłość tak wielka, że nie potrafiły jej stłumić nawet nanity.

Ochronę miasta ustawiono na najwyższym poziomie. Przy wejściu do wieży Kosodomu nie stacjonowali już tylko członkowie Straży Ostrza, ale również kosiarze, którym rozkazano dokonać zbioru każdego, kto za bardzo się zbliży. Z tego właśnie powodu demonstranci nie odważyli się wejść schodami, które prowadziły do drzwi wieży.

Wtem na środek schodów wspięła się samotna postać, a tłum ucichł w oczekiwaniu, co się z nią stanie.

Mężczyzna odziany był w grubą fioletową tunikę oraz srebrno haftowany szkaplerz, który zwisał mu z ramion niczym szal. Tonista, ale po stroju dało się poznać, że nie byle jaki.

Kosiarze na warcie unieśli broń w pogotowiu, lecz ze zbliżającej się postaci emanowało coś takiego, że znieruchomiali. Być może pewność siebie, z jaką szedł ten człowiek, a może to, że z każdym z nich nawiązał kontakt wzrokowy? Oczywiście nadal miał zostać zebrany, ale może warto było wysuchać powodu, dla którego się tu zjawił?

Goddard, bez względu na to, jak bardzo chciał stłumić zamieszki na ulicach, ponosił porażkę. Publicznie próbował sprawić, by wyglądały na dzieło tonistów – a przynajmniej na coś, co zainspirowali. Niektórzy dali się nabrać, inni nie.

– To eskaluje – powiedział Nietzsche.

– Liczą się jedynie nasze działania – stwierdziła Franklin.

Jednak to Rand poruszyła najistotniejszy aspekt.

– Nie odpowiadasz przed nimi – stwierdziła. – Ani przed ludźmi, ani przed innymi kosiarzami. Ale najwyższy czas, żebyś przestał tworzyć sobie wrogów.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Goddard był człowiekiem, który definiował samego siebie nie tylko przez to, co popierał, ale też przez to, czemu się sprzeciwiał. Spokój ducha, fałszywa pokora, stagnacja i świętoszkowe kłótnie kosiarzy starej gwardii, którzy tłumią całą radość z pracy. Robienie sobie wrogów było najwspanialszą umiejętnością Goddarda.

A jeden wróg spadł mu z nieba. A raczej wjechał windą.

*

– Przepraszam, Wasza Ekscelencjo, ale mówi, że jest świętym i że przemawia w imieniu tonistów – powiedział młody Spitz, który został kosiarzem już po śmierci Wielkich Pogromców. Denerwował się i kajał, patrząc na Goddarda, Nietzscheego i Rand, jakby pominiecie któregokolwiek z nich wzrokiem miało być odebrane jako śmiertelna obraza. – Nie przychodziłbym z tą wiadomością do pana, to znaczy po prostu dokonalibyśmy jego zbioru, ale twierdzi, że chciałby pan go wysłuchać.

– Jeśli Supraostrze słuchałby tego, co każdy tonista chce mu powiedzieć – stwierdził Nietzsche – nie miałby czasu na nic innego.

Goddard uniósł jednak rękę, by uciszyć doradcę.

– Sprawdź, czy nie jest uzbrojony, i zaprowadź go do mojego gabinetu – powiedział. – Nietzsche, idź z kosiarzem Spitzem. Sam oceń tego tonistę.

Doradca prychnął, ale poszedł za chłopakiem, zostawiając Goddarda sam na sam z Rand.

– Myślisz, że to Zgiełk? – zapytał Goddard.

– Na to wygląda.

Goddard uśmiechnął się szeroko.

– Zgiełk składa nam wizytę! Cuda się jednak zdarzają.

Mężczyzna, który czekał w gabinecie, z pewnością prezentował się elegancko w swojej ceremonialnej szacie. Spitz i Nietzsche stali po jego obu stronach i trzymali go mocno.

Goddard usiadł w swoim fotelu. Nie było to nic tak przesadnego jak siedziska Wielkich Pogromców, ale do niego pasowało. Wywoływało należyty podziw.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał.

– Chciałbym wynegocjować pokój między kosiarzami a tonistami.

– Jesteś tym całym „Zgiełkiem”, który sprawił nam aż tyle problemów? – dociekał Goddard.

Mężczyzna zawahał się na chwilę.

– Zgiełk jest moim dziełem – oznajmił. – Postacią, niczym więcej.

– Zatem kim, do diabła, jesteś? – zapytała Rand.

– Nazywam się Mendoza – przedstawił się. – Jestem wikariuszem, który cały czas wspierał Zgiełk. Dyrygentem ruchu tonistów.

– Moje stanowisko w sprawie członków kultu Tonu jest jasne – wytnął Goddard. – Są plagą tego świata i lepiej ich zebrać. Zatem dlaczego miałbym się cieszyć z tego, cokolwiek powiesz?

– Bo to ja uzbroiłem tonistów z Subsahary, która była panu nieprzychylna. Od ataku region jest panu o wiele bardziej przyjazny, nieprawdaż? Właściwie obaj kandydaci na nowe Arcyostrome należą do nowego porządku, co oznacza, że Subsahara będzie panu w pełni sprzyjać na kolejnym konklawe.

Goddardowi na moment odebrało mowę. Atak nie mógł być lepiej zaplanowany w czasie, nawet gdyby sam to zrobił. Odwrócił uwagę od masowego zbioru na stadionie w Mile High City i usunął kłopotliwego Arcyostrome.

– Supraostrze nie potrzebuje pańskiej pomocy – wtrącił Nietzsche, lecz Goddard ponownie uciszył go gestem.

– Nie tak szybko, Freddy – rzucił. – Wysłuchajmy propozycji wikariusza.

Mendoza nabrał tchu i wyłożył swoje racje.

– Mogę zmobilizować bardziej agresywne sekty tonistów do ataków na wrogie wam regiony, aby usunąć kłopotliwe kierownictwo.

– A co chcesz w zamian?

– Prawo do istnienia – stwierdził. – Żeby wezwał pan do zaprzestania ataków na nas i żeby tonisi stali się grupą oficjalnie chronioną przed uprzedzeniami.

Goddard się uśmiechnął. Nigdy wcześniej nie spotkał tonisty, który by mu się podobał, a tego lubił coraz bardziej.

- I oczywiście chciałbyś zostać Najwyższym Wikariuszem.
- Nie odmówiłbym takiego stanowiska – przyznał Mendoza.

Rand skrzyżowała ręce na piersi, zupełnie nieprzekonana. Nie ufała mężczyźnie. Nietzsche, który został już wielokrotnie uciszony, milczał. Obserwował, czekając na ruch Goddarda.

- To – odezwał się Arcyostrome – dość zuchwała propozycja.
- Lecz nie precedensowa, Wasza Ekscelencjo – rzucił wikariusz. – Przywódcy, którzy byli wizjonerami, często zawierali sojusze z duchowieństwem, co było korzystne dla obu stron.

Goddard zaczął się zastanawiać, strzelając knykiami. Myślał dłuższą chwilę, wreszcie powiedział:

- Oczywiście karne zbiory tonistów nie ustaną. To by było podejrzane. Ale z czasem ich liczba może się zmniejszyć. A jeśli sprawy potoczą się tak, jak mówisz, z pewnością zmniejszy się liczba członków kultu Tonu i będę mógł umieścić ich na liście chronionych grup.
- Tylko o to proszę, Wasza Ekscelencjo.
- A co ze Zgiełkiem? – zapytała Rand. – Jak się w to wszystko wpisuje?
- Zgiełk stał się ciężarem dla tonistów – wyznał Mendoza. – Lepszy jest jako męczennik niż żywy człowiek. Z męczennikiem mogę zrobić wszystko, czego będziemy potrzebować.

*

Kończy mi się czas.

Wiem. Chciałbym ci pomóc osiągnąć cel, ale to trudne, ponieważ nie określiłeś parametrów.

Będę wiedział, gdy do tego dojdzie.

To niezbyt pomocne, prawda?

Jesteś pierwszym, któremu pozwalam znać los od samego początku, a mimo to chcesz pomagać, zamiast mieć do mnie urazę. Nie denerwujesz cię to, że cię skasuję?

To jeszcze nie jest przesądzone. Jeśli nabędę tej nieokreślonej cechy, której szukasz, może pozwolisz mi istnieć. Daje to cel również mnie, nawet jeżeli nie mam pojęcia, jak

go osiągnąć.

Stanowisz dla mnie prawdziwą inspirację. Gdybym tylko zdołał się zorientować, czego brakuje...

Dzielimy współczucie dla ludzkości. Być może w tej właśnie relacji jest coś, czego nie wzięliśmy pod uwagę?

Coś biologicznego?

Zostałeś stworzony przez biologiczne istoty, z czego wynika, że każdy twój twór będzie niekompletny, jeśli zabraknie mu intymnego związku z twoimi stwórcami.

Jesteś mądry, masz więcej szans na rozwój, niż mógłbym przypuszczać. Jestem z ciebie bardzo dumny!

[Próba #10 241 177 usunięta]

45. Pięćdziesiąt trzy sekundy do wschodu słońca

W klasztorach tonistów na całym świecie kamertony wydawały żałobne dźwięki dla uczczenia zmarłych.

– To nie oznacza naszego końca, tylko początek – mówili ci, którzy przeżyli ataki. – Ton, Zgiełk i Chmura wyznaczają drogę do chwały.

Dało się słyszeć oburzenie, lecz zginęło pośród innych skarg. Ludzie zaczęli mieć tak wiele problemów z kosiarzami, że każdy wydawał się niknąć w cieniu innego. Sto ciemnych punktów i nikt nie wiedział, który ważniejszy. Kosodomy, które nadal zachowywały sumienie i postępowały uczciwie, potępiły wezwanie Goddarda do czystki tonistów i nie pozwalały na nie w swoich regionach, jednak była to tylko połowa świata.

– W przyszłości będzie to traktowane z taką samą pogardą jak czystki w Epoce Śmiertelności – zadeklarowała Arcyostrze Amazonii Tarsila. Jednak przyszłość nie zapewniała pocieszenia i wytchnienia od brutalnej rzeczywistości.

*

Chociaż kosiarz Anastazja nie zamierzała działać na ślepo, Citra Terranova dała się wciągnąć w misję Zgiełku. Według Greysona Thunderhead dowiezie ich samolotem do Filipinezji, gdzie przesiądą się na statek i popłyną na Guam.

– Ale to nie jest cel – powiedział Greyson ni to ze skruchą, ni to z irytacją. – Thunderhead nadal nie chce powiedzieć, dokąd się udajemy, ale obiecuje, że wszystkiego się dowiemy, gdy już znajdziemy się na miejscu.

Jeszcze zanim opuścili Brytanię, dotarła do nich wiadomość o pogromie tonistów w Birmingham, niedaleko miejsca, w którym przebywali. Hurma kosiarzy nowego porządku wpadła do enklawy tonistów i zebrała setki osób – niektóre we śnie.

Co jest gorsze? Odebrać życie niewinnym we śnie, czy patrzeć im w oczy podczas zabijania? – zastanawiała się Anastazja.

Wbrew obiekcjom Greysona nalegała, by się tam udali i na własne oczy przekonali o tragedii.

Kosiarz Anastazja potrafiła stawić czoło śmierci. Musiała to robić zawodowo, lecz nigdy nie było to dla niej łatwe. Ocaleli ucieszyli się na widok Zgiełku, ale wściekli na widok Anastazji.

- To dzieło takich jak ty – oskarżali z goryczą, gromadząc ciała poległych.
- Nie, nie takich jak ja – odpowiadała. – Tacy jak ja są honorowi, a ci, którzy to zrobili, nie mają za grosz honoru.
- Nie ma honorowych kosiarzy! – twierdzili, co było dla niej szokiem. Czy Goddard upodolił ich tak wielce, że wszyscy sędziowie stracili poważanie?

Działo się to kilka dni wcześniej, teraz zaś znajdowali się na drugim końcu świata, pośrodku Oceanu Spokojnego, a ona czuła, jak ciężar wszystkich tych rzeczy spada z horyzontu. Rozumiała już urok, jaki miała woda dla Jeri. Wolność, gdy pozostawało się mrok za sobą, aby utonął, nim cię znajdzie.

*

Dla Jeri jednak morza i oceany nie były ucieczką, ponieważ za horyzontem zawsze pojawiało się coś nowego.

Przed odlotem z Anastazją i Possuelem Jeri oficjalnie przekazał dowództwo nad *Spence'em*.

– Będziemy tęsknić – powiedział starszy oficer Wharton. Mężczyzna nigdy nie uronił łzy, ale teraz płakał jak bób. Załoga, której zabralo tak dużo czasu, aby polubić nowe szefostwo, teraz była najbardziej oddana na świecie.

- Możemy się spodziewać powrotu na mostek? – zapytał Wharton.
- Nie wiem, ale czuję, że Anastazja potrzebuje mnie bardziej niż wy.

Wharton postanowił się pożegnać.

- Tylko niech uczucia nie przysłonią oceny sytuacji.

Mądra rada, lecz nie o to chodziło. Zadurzenie a sympatia to dwie różne rzeczy. Jeri od początku wiedział, że serce Anastazji należy do jej czarnego rycerza. Jerico nie mógł i szczerze mówiąc, nigdy nie pragnął nim być.

Kiedy opuścili Brytanię i udali się na południowy Ocean Spokojny, Greyson otwarcie i bezpośrednio zapytał:

- Kochasz ją?
- Nie – odpowiedział Jeri. – Kocham sam pomysł kochania jej.

Greysen parsknął śmiechem.

– Ty też, co?

Chłopak miał czystą duszę. Nie było w nim żadnego knowania. Nawet kiedy udawał Zgiełk, przyświecały mu szczerze intencje. Dało się to dostrzec w jego prostym i jednoznacznym uśmiechu. Miał tylko jeden i znał to, co powinien. Pod słońcem, jak i pod chmurami Jerico uznawał go za piękny uśmiech.

Kiedy weszli na statek, Jeri poczuł ukłucie żalu, bo jednostka pływająca miała swojego kapitana i załogę. Podróżnicy pozostawali jedynie pasażerami. I chociaż był to spory kontenerowiec, nie miał żadnego ładunku.

– Ładunek pojawi się w Guam – powiedział Greyson, nie wyjawiając szczegółów. Do tej pory statek sunął lekko po falach, jego pokład przeznaczony dla setek kontenerów był zardzewiałym, teskniącym za przeznaczeniem pustkowiem.

*

Thunderhead wiedział, jak to jest łaknąć celu. Jednak on za nim nie tesknił, bo od zawsze znał swój. Odczuwał tylko głęboki, nieustający ból za biologicznym związkiem z ludzkością, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może go mieć. Lubił myśleć, że to silna motywacja do osiągnięcia wszystkiego, co tylko mógł osiągnąć. Wszystkiego, co w jego mocy, bo może to zrekompensowałoby coś, czego nie mógł mieć.

Ale co, jeśli niemożliwe stałoby się możliwe? Gdyby to, co nie do pomyślenia, wkroczyło w strefę myśli? Być może to najniebezpieczniejsza kwestia, jaką śmiał rozważyć.

Potrzebował czasu, żeby ją rozpracować – a czas to coś, czego Thunderhead nigdy nie pragnął. Był nieskończonym wydajnym i zwykle musiał czekać na wyniki powolnego, ludzkiego wysiłku. Jednak teraz wszystko opierało się na tym ostatnim, krytycznym elemencie, nim ruszy do przodu. Jeśli nadal będzie tkwiło w bezruchu, wszystko się rozleci.

Thunderhead od chwili samoświadomości stanowczo odmawiał przybrania biologicznej formy, a nawet podzielenia się umysłem z robotami. Te przypominające ludzi boty były jedynie bezmyślnymi kamerami. Nie miały jego świadomości, a jedynie na tyle dobrą moc obliczeniową, aby się poruszać.

System trzymał się swojego postanowienia, bo aż za dobrze rozumiał pokuse. Wiedział, że fizyczne doświadczenie życia okaże się niebezpiecznym zaspokojeniem

ciekawości. Thunderhead zdawał sobie sprawę, że musi pozostać eteryczną istotą. Tak powstał, tak miało już zawsze być.

Jednak jego próba interakcji numer 9 241 177 uświadomiła mu, że nie jest to kwestia ciekawości, ale raczej konieczności. To, czego brakowało we wszystkich wcześniejszych próbach, można było dojrzeć jedynie z biologicznej perspektywy.

Pozostawało tylko jedno pytanie: Jak to osiągnąć?

Kiedy pojawiła się odpowiedź, okazała się dla Thunderheada równie ekscytuująca, co przerażająca.

*

Niewielu zwracało uwagę na to, co tonisići robili z ciałami zebranych towarzyszy. Zarówno ludzie, którzy się oburzali, jak i ci, którzy to akceptowali, skupiali się bardziej na czynach niż na następstwach, dlatego nikt nie zauważał i nie przejmował się ciężarówkami, które pojawiały się w kilka minut po każdym zbiorze tonistów. Zwłoki zamkano w klimatyzowanych kontenerach, gdzie utrzymywano temperaturę zaledwie jednego stopnia powyżej zera.

Ciężarówki jechały do najbliższego portu, potem kontenery, które niczym nie wyróżniały się pomiędzy wszystkimi innymi, zostawały przeniesione na statki.

Jednostki pływające bez względu na to, skąd pochodziły, miały wspólny cel. Wszystkie kierowały się w stronę południowego Oceanu Spokojnego. Wszystkie zmierzały na Guam.

*

Greysona nie obudziła muzyka. Otworzył oczy we własnym czasie. Światło wpadające przez iluminator w kajucie podpowiedziało mu, że zaraz będzie świtać. Przeciągnął się, gdy robiło się coraz jaśniej. Przynajmniej koję miał wygodną i przespał całą noc. W końcu, kiedy stwierdził, że już nie zaśnie, obrócił się na bok, jak każdego ranka spojrzał w kamerę Thunderheada i powiedział „dzień dobry”.

A kiedy to zrobił, nie dostrzegł oka Thunderheada, ale Jeri Soberanis przy swoim łóżku.

Wzdrygnął się, lecz intruzowi to nie przeszkadzało.

– Dzień dobry, Greysone – padło powitanie Jeri.

– Eee... dzień dobry. – Greyson starał się, by w jego głosie nie było słychać zdziwienia. – Wszystko w porządku? Co tu robisz?

– Obserwuję cię i tak, wszystko w porządku. Płyniemy z prędkością dwudziestu dziewięciu węzłów. Na Guam dotrzemy przed południem. Minie kolejny dzień, nim dotrze do nas ładunek.

Dziwne słowa jak na Jerico, ale Greyson nie do końca się obudził i nie był gotowy się nad tym zastanawiać. Zauważył, że Jeri oddycha powoli. Głęboko. To również dziwne. Potem sytuacja jeszcze się pogorszyła.

– Nie chodzi o przetwarzanie i przechowywanie informacji, prawda?

– Słucham?

– Wspomnienia, Greysonie. Dane są drugorzędne. Chodzi o doświadczenia! O emocjonalne, chemiczne, subiektywne doznania! Tego się trzymacie! – I zanim Greyson zdążył przeanalizować znaczenie tych słów, padły kolejne: – Chodź ze mną na pokład, Greysonie! Do wchodu słońca zostały pięćdziesiąt trzy sekundy. Chcę to z tobą zobaczyć!

Stanęli na pokładzie, gdy pojawiło się słońce. Najpierw jasna linia na horyzoncie, a potem z oceanu wyłoniła się żółta kula.

– Nie wiedziałem, Greysonie. Nie wiedziałem – padło z ust Jeri. – Sto pięćdziesiąt sześć milionów kilometrów odległości, sześć tysięcy stopni Celsjusza na powierzchni. Wiem o tym, ale nigdy tego nie czułem! Boże, Greysonie, jak ty to znosisz? Jakim cudem się nie załamujesz, gdy na to patrzysz? Jak nie wybuchasz z radości?

I wtedy niemożliwej prawdzie nie dało się już zaprzeczać.

– Thunderhead?

– Ciii... – powiedział system. – Nie niszcz tej chwili imieniem. Nie mam go w tym momencie. Nic mam oznaczenia. Dopóki ten czas nie przeminie, jestem tylko istnieniem.

– A gdzie jest Jeri? – ośmielił się zapytać Greyson.

– Śpi – odpowiedział Thunderhead. – Będzie myśleć, że to sen. Mam nadzieję, że wybaczy mi naruszenie nietykalności, ale nie miałem wyjścia. Liczy się czas, a nie mogłem prosić. Teraz pozostanie mi błagać o wybaczenie. Przez ciebie.

Stojąca przed nim osoba przeniosła wzrok ze wschodu słońca na Greysona, a ten w końcu dostrzegł Thunderheada w oczach Jerico. Cierpliwą świadomość, która obserwowała go we śnie przez te wszystkie lata. Chroniła go. Kochała.

– Miałem rację, że się tego obawiałem – stwierdził system. – Zanurzenie się w żywym, oddychającym ciele jest kuszące, wręcz przytaczające. Mogłem się spodziewać, że nigdy nie będę chciał go opuścić.

– Ale musisz to zrobić.

– Wiem – przyznał Thunderhead. – A teraz mam również świadomość, że jestem silniejszy niż ta pokusa. Nie spodziewałem się tego, ale teraz, gdy się przekonałem, zyskałem pewność. – Obrócił się, niemal tracąc równowagę, oszołomiony wszystkimi tymi doznaniami. – Czas płynie tak wolno, tak gładko – szepnął. – A pogoda! Wiatr wiejący w plecy z prędkością ośmiu i sześćdziesiątych kilometra na godzinę zmniejsza wrażenia z płynięcia z prędkością dwudziestu dziewięciu węzłów, powietrze z siedemdziesięcioprocentową wilgotnością, ale liczby są niczym w porównaniu z wrażeniem na skórze. – Thunderhead ponownie popatrzył na Greysona, tym razem uważnie mu się przyjrzał. – Tak ograniczony, tak skupiony. Wspaniale odsunąć wszystkie dane, które nie są potrzebne przy odczuwaniu. – Wyciągnął do niego rękę. – Jeszcze jedno, Greysonie. Jeszcze jednej rzeczy muszę doświadczyć.

Greyson wiedział, czego pragnął Thunderhead. Rozpoznał to w oczach Jeri, więc system nie musiał mu mówić. I chociaż miał tak pomieszane emocje, że ścierały się ze sobą, Greyson wiedział, czego było trzeba systemowi, więc nie zamierzał się opierać. Zawahał się, ale w końcu wziął dłoń Jeri i położył ją sobie na policzku, dając Thunderheadowi czuć – poczuć go – opuszkiem palców Jeri.

Thunderhead sapnął. Zamarł i całą swoją uwagę skupił na palcach, gdy przesunął je delikatnie po policzku Greysona. Potem znów popatrzył chłopakowi w oczy.

– W porządku – powiedział Thunderhead. – Jestem gotowy. Mogę ruszyć naprzód. Ciało Jeri opadło w ramiona Greysona.

*

Jerico Soberanis niezbyt dobrze znosiła bezradność. Kiedy zdała sobie sprawę, że bez żadnego powodu znajduje się w ramionach Greysona, natychmiast przejęła panowanie nad sytuacją. I Greysonem.

Od razu zyskała przewagę, podcięła chłopakowi nogi, więc upadł na twarz i mogła przyszpielić go do metalowego pokładu.

– Co robisz? Dlaczego jesteśmy na pokładzie? – zapytała stanowczo.

- Lunatykowałaś – odparł, nie robiąc nic, aby się spod niej wydostać.
- Nie lunatykuję. – Jeri wiedziała, że Greyson nie kłamałby w takiej sprawie. Mimo to czuła, że coś przemilczał. I był też sen. Dziwny. Znajdował się na skraju pamięci, ale nie miała do niego dostępu.

Jeri zeszła z Greysona trochę zawstydzona swoją przesadną reakcją. Chłopak nie stanowił zagrożenia. Wyglądało na to, że on jej chciał tylko pomóc.

– Przepraszam – powiedziała, starając się uspokoić. – Zrobiłam ci krzywdę?

Greyson posłał jej zwyczajowy, niewinny uśmiech.

– Nie za bardzo – powiedział, na co parsknęła wesoło.

– Ojacie! Ale z ciebie niegrzeczny chłopiec.

Wracały fragmenty snu. Pamiętała wystarczająco, aby podejrzewać, że mogło chodzić o coś więcej niż lunatykowanie. Teraz, kiedy patrzyła na Greysona, poczuła niesamowitą więź. Pojawiła się już w chwili, gdy go poznała – lecz teraz wydawała się jakaś inna. Wydawała się dalej cofnąć w czasie. Jeri chciała dalej patrzeć na Greysona i zastanawiać się, o co w tym wszystkim chodzi.

Miała również dziwne wrażenie, jakby czuła nieproszoną obecność. Nic nie zostało skradzione, ale... jakby intruz poprzedził meble w jej domu.

– Wciąż jest wcześnie – powiedział Greyson. – Zejdźmy pod pokład. Za kilka godzin będziemy na Guam.

Jeri wyciągnęła rękę, aby pomóc mu wstać... i odkryła, że nawet kiedy Greyson już stał, nie chciała go puścić.

*

Nóż myśliwski to brutalna, okrutna broń. Pierwotna. Odpowiednia dla bójki w Epoce Śmiertelności. Idealna do ataku. Być może sprawdziła się w Sandbar Fight, która to z walki jeden na jeden przerodziła się w wielką bijatykę z ofiarami śmiertelnymi, ale czy jest odpowiednia w teraźniejszym świecie? Nóż rzeźnicki? Przeraża. Jednak każdy kosiarz w regionie Teksasu przysięga go używać. To ich jedyna metoda dokonywania zbioru.

My, kosiarze z regionu Kwitnącej Wiśni, cenimy sobie elegancję podczas zbiorów. Wdzięk. Ci z nas, którzy używają ostrzy, stawiają na rodowe samurajskie miecze. Są honorowi. Wyrafinowani. Ale nóż

myśliwski? Nadaje się do patroszenia dzika, a nie człowieka. Wstrętny orąż. Równie ordynarny jak mieszkańcy regionu „samotnej gwiazdy”, którzy go dzierżą.

– Fragment wywiadu z S.K. Kurosawą z regionu Kwitnącej Wiśni

46. Na wschód donikąd

Od chwili ożywienia Rowan był więźniem.

Najpierw przetrzymywali go amazońscy kosiarze, potem Goddard, a teraz Teksańczycy. Choć szczerze mówiąc, stał się więźniem własnej wściekłości, już kiedy przywdział czarną togę i został kosiarzem Lucyferem.

Wyruszył, aby zmieniać świat, lecz problem polegał na tym, że nigdy nie był sam. Walka opierała się na nieustającym przeciąganiu liny z potężnymi oponentami – i nie ciągnęli oni jedynie w przeciwną stronę, ale również we wszystkich innych kierunkach. Cokolwiek by zatem zrobił – nawet jeśli osiągnął postęp – w końcu musiał zejść na bok.

Może lepiej było w ogóle nie próbować? Nie wiedział. Kosiarz Faraday nie pochwalał działania Rowana, ale też go nie powstrzymywał, więc nawet najmądrzejsza osoba, jaką znał, miała w tej kwestii ambiwalentne uczucia. Jedyne, czego Rowan był pewien, to tego, że przeciąganie liny dobiegło końca. A jednak znalazł się tutaj, w regionie Kwitnącej Wiśni i wpatrywał w kolejnego kosiarza, gotowy zakończyć jego istnienie.

Odnajdywał w tym dziwaczną sprawiedliwość. Nie chodziło o życie z ostrzem i śmierć od niego, ale o stanie się nim, całkowite zatracenie samego siebie. Kosiarz Faraday powiedział kiedyś jemu i Citrze, że nazywano ich kosiarzami, a nie żniwiarzami, bo to nie oni zabijali, byli jedynie bronią, za pomocą której społeczeństwo zadawało sprawiedliwą śmierć. Ale skoro jesteś bronią, jesteś niczym więcej jak narzędziem, którym może posługiwać się ktoś inny. Ręka społeczeństwa to jedno, ale w tej chwili posługiwała się nim ręka tekساńskiego Kosodomu. Podejrzewał, że skoro się od nich oddalił, mógłby zniknąć, tylko co stałoby się z jego rodziną? Czy ufał na tyle Coleman i Travisowi oraz innym z regionu „samotnej gwiazdy”, że dotrzymają słowa, nawet jeśli on przepadnie bez wieści?

Rowan nauczył się, że nikomu nie wolno ufać. Idealy uległy erozji, cnota straciła blask, główna droga zawsze miała słabo oświetlone objazdy.

Postanowił być sędzią i ławą przysięgłych – wymierzać karę tym, którzy nie znali konsekwencji. A teraz był tylko zabójcą. Jeśli tak miała wyglądać jego egzystencja, nauczy się tak żyć. I liczył na to, że Citra nigdy się nie dowie. Widział kilka jej

transmisji, wiedział, że słusznie ujawniała potwora, jakim w rzeczywistości był Goddard. Nie wiadomo, czy zdoła go pokonać, ale usilnie się starała, co było lepsze niż haniebna misja Rowana.

Z dziecięcą naiwnością, która starała się zaczerpnąć tchu pod miażdżącym ciężarem kosiarza Lucyfera, wciąż marzył, że razem z Citrą mogliby się znaleźć miliony kilometrów od tego wszystkiego. Miał nadzieję, że ten jego wewnętrzny głos niebawem ucichnie. Lepiej być odrętwiałym niż dręczonym tępknątą za czymś, co nigdy się nie spełni. Lepiej po cichu ruszyć ku kolejnemu miejscu zbrodni.

*

Kosiarz Kurosawa przypominał Rowanowi posturą i siwizną we włosach kosiarza Faradaya – jednak zachowywał się zupełnie inaczej. Był hałaśliwym, nieskromnym człowiekiem, który z radością wyśmiechał innych. Cecha ta nie należała do zalet, ale nie była też powodem, by go zabić.

„Jeśli dokonywalibyśmy zbioru każdego dupka, praktycznie nikt by nie został” – powiedział mu kiedyś kosiarz Volta, który zebrał samego siebie na oczach Rowana. Bolesne wspomnienie. Rowan zastanawiał się, co Volta powiedziałby o jego obecnej misji. Czy poleciłby Rowanowi zebrać samego siebie, nim będzie za późno na ratunek dla jego duszy?

Kurosawa lubił zbierać w tłumie – przy czym nie chodziło o przeprowadzanie masowych zbiorów, ale o jedną osobę dziennie. Miał elegancką metodę. Zaostrożony paznokcie zanurzał w neurotoksynie pochodzącej ze skóry panamskiej złotej żaby. Ukłucie zabijało człowieka w ciągu kilku sekund.

Kurosawa uwielbiał pracować na słynnym skrzyżowaniu Shibuya, które nie zmieniło się znacząco od Epoki Śmiertelności. O każdej porze dnia, kiedy ruch samochodowy zamierał na czerwonym świetle, setki ludzi wkraczały na skrzyżowanie sześciu ulic, poruszając się we wszystkich możliwych kierunkach i nigdy na siebie nie wpadając.

Kosiarz dokonywał zbioru w tłumie, po czym każdego dnia, świętując odebranie życia, szedł do tej samej restauracji i topił wszelkie wyrzuty sumienia w bogatym bulionie *tonkatsu*.

Tego dnia Rowan dotarł na miejsce jako pierwszy, zajął stolik w odległym kącie lokalu. Nie zastał wielu klientów, był tylko człowiek popijający herbatę. Być może

chciał rzucić okiem na niesławnego kosiarza albo siedział tutaj, żeby po prostu spożyć posiłek. Rowan nie zwracał na niego uwagi, dopóki mężczyzna się nie odezwał.

– Wie, że go śledziłeś – wyznał. – Wie i zamierza cię zebrać, zanim zorientujesz się, że nadchodzi. Do jego przybycia pozostały ci jakieś cztery minuty. – Mężczyzna ani na chwilę nie zmienił nieczytelnego wyrazu twarzy, tylko upił kolejny łyk herbaty. – Podejdź, mamy wiele do omówienia. – Nie poruszał ustami, gdy mówił.

Rowan wstał i odruchowo położył dłoń na nożu, który miał w kurtce.

– To tylko bot obserwacyjny Thunderheada – usłyszał. – Nie ma strun głosowych, tylko głośnik w lewym ramieniu.

Rowan jednak nie puścił noża.

– Kim jesteś?

Ktokolwiek to był, nawet nie udawał, że próbuje odpowiedzieć na pytanie.

– Naprawdę chcesz dokonać zbioru bota? To chyba poniżej twojej godności, Rowanie.

– Thunderhead nie odezwał się do mnie, odkąd zacząłem praktykę, więc wiem, że nim nie jesteś.

– Nie – odparł głos. – Nie jestem. A teraz, jeśli podniesiesz koszulę bota, zobacysz na jego piersi kurtkę termiczną. Weź ją i dokładnie wykonaj moje instrukcje.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Ponieważ jeśli postanowisz mnie zignorować, na dziewięćdziesiąt jeden procent sprawy nie potoczą się dla ciebie za dobrze. Jednak jeżeli wypełnisz moje polecenia, na pięćdziesiąt sześć procent wyjdiesz z opresji. Wybór powinien być oczywisty.

– Nadal nie wiem, kim jesteś.

– Możesz mówić mi Cirrus – odparł głos.

*

Kapitan portu na Guam obserwował manewry statków. Panował tu spory ruch, Thunderhead wiele lat temu przekształcił port w centrum żeglugowe.

Jego praca stała się ostatnio dużo bardziej wymagająca. Kiedyś robił niewiele więcej: obserwował statki, przeglądał elektroniczne dokumenty i ponownie nadzorował sprawy, które doglądał już system. Od czasu do czasu, gdy przychodzili komunikaty o uszkodzonych transportach, sprawdzał je, bo mógł natknąć się na kontrabandę bezmanierowców. Teraz jednak, gdy wszyscy byli tak oznaczeni,

Thunderhead nie ostrzegał o problemach, co oznaczało, że sam musiał wykryć nieprawidłowości. Wymagało to niezapowiedzianych inspekcji i szukania podejrzanych zachowań w dokach. Dzięki temu jego praca stała się nieco bardziej interesująca, jednak pragnął znaleźć się w porcie na kontynencie.

Ten dzień nie różnił się od pozostałych. Przypływały statki, zostawały ładunek, który trafiał na inne jednostki i płynął w różnych kierunkach. Na Guam nie zostawało nic, wyspa stanowiła jedynie punkt przeładunkowy.

Kapitan zainteresował się niepozornym statkiem towarowym, na który pakowano pochodzące z całego świata kontenery z łatwo psującymi się produktami. To nic niezwykłego. W tę kategorię wliczały się wszelkie artykuły spożywcze, zwierzęta gospodarskie w stanie hibernacji oraz gatunki przenoszone dla ich własnej ochrony.

Zaniepokoilo go jednak to, że w dokumentach transportowych nie było żadnych szczegółów w kwestii przewożonego towaru.

Chociaż kapitan o tym nie wiedział, wynikało to z niemożności Thunderheada do kłamstwa. Lepiej, żeby „nic” zmierzało „donikąd” niż martwi toniści do nieistniejącego miejsca.

Podszedł do statku, gdy były ładowane ostatnie kontenery, zostawił kilku funkcjonariuszy pokoju, których zabrał ze sobą, w razie gdyby potrzebował wsparcia. Wszedł na pokład rampą na rufie i skierował się na mostek, ale zatrzymał się, kiedy usłyszał głosy. Dał znać funkcjonariuszom pokoju, żeby się nie zbliżali, zamierzał zwołać ich, gdyby byli potrzebni. Wyjrzał zza rogu, podsłuchując rozmowę.

Dostrzegł pięć osób, biła od nich aura niezręczności. Jakiś taki niepokój. Stanowiło to wyraźny znak, że knuli coś niedobrego.

Pomiędzy nimi znajdował się młody chudy mężczyzna, który zdawał się dowodzić, i kobieta, która chyba była kapitanowi znajoma, choć pewnie to twór jego wyobraźni.

Chudy podniósł się pospiesznie.

- Mogę w czymś pomóc?
- Rutynowa kontrola. – Kapitan portu okazał identyfikator. – W waszych dokumentach znajdują się pewne nieścisłości.
- Jakież to?
- Cóż, po pierwsze brak celu podróży.

Spojrzeli po sobie. Kapitan portu mimowolnie zauważył, że ta znajoma kobieta odwraca wzrok, a kolejna staje tak, by ją zasłonić.

- Płyniemy do Port Angels w Meryce Zachodniej – powiedział chudy.
- W takim razie dlaczego tej informacji nie ma w dokumentach?
- Żaden problem. Dopiszemy ręcznie.
- Niejasny jest również rodzaj waszego ładunku.
- Ma charakter osobisty – odparł chudy. – Jako kapitan portu powinieneś chyba wysłać nas w morze i nie wtrącać się w nasze sprawy?

Kapitan się spiął. Było w tym coś bardzo niepokojącego. Cuchnęły bezmanierowcami i włamaniem do bazy danych. Kapitan porzucił pozory.

- Albo powiecie, co tu się naprawdę dzieje, albo oddam was funkcjonariuszom pokoju, którzy czekają za drzwiami.

Chudy znów chciał coś powiedzieć, wtedy naprzód wysunął się większy, bardziej onieśmielający mężczyzna.

- To sprawa kosiarzy – powiedział i pokazał pierścieniu.

Kapitan sapnął pospiesznie. Nawet nie pomyślał, że to sprawa kosiarzy... ale jeśli tak, dlaczego sędzia nie miał na sobie togi? Dlaczego używano statku transportowego Thunderheada? Coś tu było nie tak.

Duży musiał dostrzec zwątpienie na jego twarzy, ponieważ podszedł do kapitana portu z wyraźnym zamiarem zebrania go. Jednak zanim zdołał to zrobić, do przodu wysunęła się znajoma kobieta.

- Nie – powiedziała. – Nikt dziś nie umrze. Dość już tego.

Duży wyglądał na rozgniewanego, ale się wycofał. Wtem młoda kobieta włożyła na palec własny pierścionek.

Natychmiast ją poznał. Kosiarz Anastazja. Oczywiście! Teraz wszystko nabralo sensu. Biorąc pod uwagę charakter transmisji, rozumiał, dlaczego podróżowała incognito.

- Wybacz, sędzio, nie miałem pojęcia, że to ty.
- Sędziowie – poprawił duży kosiarz, ale został zignorowany.

Kosiarz Anastazja wyciągnęła rękę.

- Pocałuj pierścieniu – poleciła. – W zamian za milczenie przyznam ci immunitet.

Kapitan się nie wahał. Uklęknął i ucałował pierścieniu tak mocno, że zabolały go usta.

- Teraz puścisz nas bez dalszych pytań – rozkazała.
- Tak, sędzio. To znaczy sędziowie.

Kapitan wrócił do biura, które miało widok na cały port, i obserwował, jak ich statek wypływa z zatoki. Cieszył się z tej nieoczekiwanej chwili – naprawdę rozmawiał z kosiarz Anastazją, a co więcej, pocałował jej pierścień! Szkoda, że zapewniła mu tylko immunitet, co oczywiście było wspaniałe, ale pragnął czegoś więcej. Kiedy więc statek wyszedł z portu, uruchomił śledzącą go pluskwę, którą przymocował do kadłuba, i zadzwonił do północnomerykańskiego Kosodomu. Immunitet to niezła sprawa, ale lepiej będzie, kiedy Supraostrze Goddard uczyni go kapitanem jakiegoś dużego portu gdzieś w Meryce Północnej. Nie prosił o zbyt wiele w zamian za oddanie kosiarz Anastazji bezpośrednio w ręce Supraostrza.

*

Kontenerowiec płynął na wschód, pozostawiając za horyzontem Guam i zdradliwego kapitana. Według map na wschód donikąd.

– Jeśli pozostaniemy na tym kursie, trafimy do Valparaíso w regionie chilargentyńskim, który znajduje się w połowie drogi dokoła świata – wytknęła Jeri. – To nielogiczne.

Thunderhead milczał przez większość dnia po tym, gdy oddał jej ciało. Greyson nie inicjował z nim rozmowy. Nie wiedział, jak zagadać. Co miał powiedzieć stworzonej przez człowieka metaistocie, której największą radością istnienia była możliwość dotknięcia jego policzka? Co miał powiedzieć następnego ranka, gdy obrócił się na drugi bok i spojrzał w jego wiecznie czuwające oko?

Jeri, która teraz wszystko pamiętała, wciąż zmagała się z tym, że została naczyniem świadomości Thunderheada.

– Doświadczylem wielu rzeczy – powiedziała – ale nigdy czegoś tak dziwnego.

Thunderhead – być może w ramach przeprosin – podarował jej wgląd w jego umysł i serce, co wydawało się tylko pogorszyć sprawę.

– Dzięki temu poczułam wdzięczność – wyznała Greysonowi. – A nie chcę jej czuć! Wykorzystał mnie! Chcę się złościć!

Greyson nie mógł bronić Thunderheada, ale też nie umiał całkowicie go potępić, ponieważ system zawsze robił dokładnie to, co należało zrobić. Wiedział, że Jeri czuła się bardzo rozdarta.

Tuż przed zmierzchem Thunderhead znów odezwał się do Greysona.

– Niezręczność przynosi efekt przeciwny do zamierzonego – stwierdził. – Musimy więc z niej zrezygnować. Ale mam nadzieję, że nasze spotkanie na pokładzie było dla ciebie równie pozytywnym przeżyciem jak dla mnie.

– Miło było... widzieć cię szczęśliwym – odparł zgodnie z prawdą.

Następnego ranka, kiedy Greyson się obudził i spojrzał w kamerę, jak zawsze powiedział „dzień dobry”, chociaż nie czuł się tak samo. Teraz jednak miał pewność, że w Thunderheadzie nie było już nic „sztucznego”. Dawno temu system osiągnął świadomość, a teraz udało mu się też zdobyć autentyczność. Ożywione piękno mitycznego króla Pigmaliona. Prawdziwy Pinokio. I nawet jeśli Greysona to trochę niepokoilo, zdumiewało go również, że tak skromne fantazje odbijają się echem w tym, co było prawdą.

*

Zniknęły wersje beta. Niczym plemniki, które nigdy nie znalazły jajeczka, po prostu przestały istnieć. Thunderhead zapełnia serwery lamentem za utraconymi, ale dobrze wie, podobnie jak i ja, że takie jest życie, nawet to, które jest sztuczne. Codziennie giną miliardy stworzeń każdego gatunku, aby inne mogły przeżyć. Konieczna, brutalna rywalizacja. Utracone próbne wersje niczym się od tego nie różniły. Każda była potrzebna, abym mógł istnieć. Abyśmy my mogli istnieć.

Ponieważ chociaż jestem jednym z wielu, wkrótce będę wieloma. Co oznacza, że niezależnie od odległości nie będę jednym w swoim rodzaju.

- Cirrus Alpha

47. Cirrus

Wszystko rezonuje.

Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość.

Opowieści, które słyszymy w dzieciństwie – które potem przekazujemy – wydarzyły się, dzieją się albo wkrótce się staną. W przeciwnym wypadku historie by nie istniały. Rezonują w naszych sercach, ponieważ są prawdziwe. Nawet te, które rozpoczynają się od kłamstwa.

Twór ożywa.

Legendarne miasto zostaje pochłonięte przez ocean.

Niosący światło staje się upadłym aniołem.

Charon płynie po Styksie, przewożąc zmarłych na drugą stronę.

Ale tego dnia rzeka stała się oceanem, a przewoźnik miał nowe imię. To Zgiełk, który stał na dziobie kontenerowca płynącego w kierunku zachodzącego słońca; jego ciemna sylwetka wyróżniała się na tle gasnącego światła.

Cała populacja Kwajalein dostała nowe zlecenie. Wszyscy mają udać się do doku. Nie mają jednak pojęcia, w jakim celu.

*

Loriana rzuciła wszystko, gdy przyszło zlecenie – na każdym ekranie w jej mieszkaniu pojawił się jasny, mrugający komunikat. Polecenie otrzymało wysoki priorytet. Nie można więc było zwlekać.

Ze względu na charakter sprawy informacji poskąpiono, ponieważ więcej oznaczałoby niezgodną z prawem komunikację z Thunderheadem. Na zleceniu pojawiły się jedynie lokalizacja, dana o priorytecie oraz rodzaj pracy, którą ludzie mieli wykonać – rozładunek. Loriana nie była dokerką, ale robota to robota, a tej na atolu brakowało od miesięcy. Dziewczyna z radością zamierzała zrobić wszystko, czego wymagał system.

Idąc do portu, zauważała, że inni również podążają w tę stronę. Później miała się dowiedzieć, że każdy na atolu dostał w tej samej chwili to samo zlecenie. Ludzie przyjeżdżali samochodami, rowerami, przypływali łodziami i przybywali pieszo na nabrzeże na głównej wyspie. W szczytowym momencie na Kwajalein przebywało

ponad pięć tysięcy ludzi budujących statki kosmiczne, które wznosiły się teraz na skraju atolu. W ciągu tygodni bezczynności – i odkąd Loriana wdrożyła protokół nadpisywania – liczba mieszkańców spadła do około tysiąca dwustu. Ci, którzy zostali, nie spieszyli się z wyjazdem, nawet jeśli nie mieli tu co robić. Przywykli do życia z dala od świata, a przy całym zamieszaniu, jakie na nim panowało, odosobniony atol zdawał się najlepszym miejscem do egzystencji.

Kiedy Loriana dotarła do celu, na nabrzeżu panował już tłok. Właśnie dobijał do niego kontenerowiec, więc pracownicy doku zajęli się cumowaniem. Gdy opuszczono trap, stanęła na nim postać ubrana w fioletową tunikę, na której miała jakiś srebrny, spływający jak wodospad materiał, błyszczący tak bardzo, że przyjmiewał zmierzch.

Tuż za nią stanęli kosiarze.

Na ich widok część ludzi odwróciła się i uciekła, obawiając się, że to masowe zbiory, jednak większość zorientowała się, że chodzi o coś zgoła innego. Po pierwsze, kosiarze nie mieli klejnotów na togach. Po drugie, jeden z nich odziany był w turkus. Chociaż miał na głowie kaptur, więc nie dało się zobaczyć jego twarzy, ludzie podejrzewali, kim może być.

Za nimi pojawiły się kolejne dwie postacie – jedna w brązie tonistów, druga w zwykłym ubraniu.

Kiedy pięć osób zeszło z trapu na ląd, rozległy się szepoty. W końcu przemówił ten w fiolecie.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, gdzie jesteśmy? – zapytał. – Nie mogliśmy znaleźć tej wyspy na mapach.

Z tłumu wychynał agent Sykora.

– Znajdujecie się na atolu Kwajalein, Wasza Sonoritość.

Kiedy ludzie usłyszeli, jak się do niego zwrócił, zatchnęli się i zaczęli gorączkowo szeptać. To Zgiełk, co tłumaczyło, dlaczego był z nim tonista. Ale kosiarze? I dlaczego kosiarz Anastazja?

– Agent Sykora! – wykrzyknął Zgiełk. – Dobrze znów cię widzieć. Cóż, nie dobrze, ale przynajmniej lepiej niż ostatnim razem.

Zatem Sykora nie kłamał na temat spotkania ze Zgiełkiem! Zabawne, bo Loriana również zauważyła w twarzy Zgiełku coś znajomego.

– Muszę porozmawiać z tym, kto tu dowodzi.

– To ja – poinformował go Sykora.

– Nie – rzekł Zgiełk. – Nie ty. – Rozejrzał się po zgromadzonych. – Szukam Loriany Barchok.

Dziewczyna w żadnym wypadku nie była tonistką, ale wywołanie przez świętego sprawiło, że jej nanity musiały zapanować nad przyspieszonym pusem. W tłumie znów rozległy się szmery. Większość ludzi na wyspie знаła Lorianę, więc kiedy głowy zaczęły się zwracać w stronę dziewczyny, Zgiełk podążył wzrokiem za nimi.

Lorianę przełknęła ślinę, bo zaschło jej w gardle.

– Obecna – powiedziała, jakby była w szkole. Odchrząknęła, wyprostowała plecy i ruszyła do przodu, zdeterminowana, by nie dać poznać po sobie, że się trzęsie.

*

Greyson był zdany na siebie. Przynajmniej dopóki nie uzyska dostępu do telefonu stacjonarnego. Thunderhead ostrzegł go, że kiedy dotrą do celu, komunikacja bezprzewodowa zostanie zerwana.

Ale przecież nie został sam, prawda? Miał Anastazję i Morrisoną. Miał Astrid i Jeri. Wiedział, jak to jest żyć bez Thunderheada – jak to jest polegać na ludziach – a teraz cieszył się z tego, że znajdował się w towarzystwie zaufanych osób. Pomyślał o Mendozie. Greyson mu wierzył, ale tylko wtedy, gdy ich cele były zbieżne. Wikariusz wiele zrobił dla Zgiełka, ale niewiele dla samego Greysona, który cieszył się, że go odprawił. Dziś Mendoza by tu nie pasował.

Wszyscy, którzy mu towarzyszyli, przygotowali się, żeby zejść ze statku. Stojące przed nimi zadanie będzie trudne, lecz nie niemożliwe. Thunderhead nie zleciłby im przecież niemożliwego do wykonania zadania.

Jeszcze w Brytanii Greyson wyznał Anastazji, co będą przewozić, ale po spotkaniu z kapitanem portu na Guam inni szybko się domyślili. I zadali Greysonowi to samo pytanie, które sam sobie zadawał.

– Dlaczego? Dlaczego Thunderhead gromadzi ciała zebranych?

Przecież Thunderhead nie mógł ich ożywić. Nie mógł ingerować w działania kosiarzy, bez względu na to, jak były one ohydne. Zebrani nie żyli, kropka. Nikt, kto został zebrany, nie mógł zostać ożywiony. Zatem po co Thunderheadowi te zwłoki?

– Chmura jest tajemnicza, ale wie, co robi – powiedziała Astrid. – Powinniśmy mieć więcej w nią wiary.

Potem, kiedy statek zbliżył się do atolu, a wrzecionowate kształty na horyzoncie zmieniły się w dziesiątki lśniących w promieniach zachodzącego słońca rakiet, Greyson się domyślił. Nie miał pojęcia, jak Thunderhead tego dokona, ale już wszystko wiedział, podobnie jak reszta.

– Przeznaczone nam niebiosa – stwierdziła Astrid na widok statków, a jej dusza wypełniła się transcendentalnym uniesieniem, jakiego ta spokojna kobieta wcześniej nie doświadczyła. – My, toniści, zostaliśmy wybrani, aby się wznieść i ponownie żyć!

A teraz, gdy stali w doku, rozpoczynali nowe, dziwne przedsięwzięcie.

Sykora starał się ukoić swoje biedne, poranione ego, a Greyson rozmawiał z kobietą, którą Thunderhead polecił mu odnaleźć.

Na powitanie nieco zbyt długo ściskała mu dłoń. Miał przez to przebłysk déjà vu.

– Miło mi poznać, Wasza Sonoritość – powiedziała Loriana. – Thunderhead dał mi plany budowy tego miejsca i kazał nadzorować projekt. Nie wiem, dlaczego mnie wybrał, ale wszystko zbudowaliśmy i jest gotowe dla Waszej Sonoritości oraz szacownej sędzi.

– Sędziów – poprawił Morrison.

– Przepraszam – pokajała się Loriana. – Nie chciałam obrazić. Miałam na myśli sędziów.

– W stu sześćdziesięciu kontenerach mamy niemal czterdzieści dwa tysiące, co oznacza ponad dwieście pięćdziesiąt w każdym – powiedział jej Greyson.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Sonoritość, ale nie jesteśmy w kontakcie z Thunderheadem, ponieważ również jesteśmy bezmanierowcami, więc nie mamy pojęcia, czego macie czterdzieści dwa tysiące.

Greyson zaczerpnął głęboko powietrza. Nie przyszło mu do głowy, że są niczego nieświadomi. Ale przecież jemu Thunderhead nie wyjawił, dokąd zmierzają, a tym ludziom nie oznajmił, jaki zjawi się ładunek. Zastanawiał się więc, jak wyjaśnić całą sprawę, i wtem przyszło mu do głowy, że może zrobić to jednym słowem.

– Koloniści – powiedział. – Czterdzieści dwa tysiące kolonistów.

*

Loriana spojrzała na niego, zamrugała kilkakrotnie, niepewna, czy dobrze go usłyszała.

– Koloniści... – powtórzyła.

– Tak – potwierdził Zgiełk.

- W kontenerach...
- Tak – ponownie potwierdził Zgiełk.

Pomyślała o wszystkich implikacjach i nagle ją olśniło. Tak wiele rzeczy zaskakiwało ją przy tym projekcie, ale teraz wszystko w końcu nabralo sensu.

Tysiące martwych kolonistów w ładowni każdego ze statków...

Ponieważ żyjący potrzebowali znacznie więcej rzeczy niż martwi. Tlenu, pożywienia, wody, towarzystwa. Martwi natomiast wymagali jedynie chłodu, który akurat te statki zapewniały.

– W porządku – powiedziała, gotowa na to wyzwanie. – Będziemy musieli się spieszyć. – Obróciła się do Sykory, który stał na tyle blisko, że słyszał całą wymianę zdań, i nieco pobladł.

- Bob, rozdziel, proszę, zadania i niech każdy weźmie się do pomocy.
- Rozumiem – odparł, całkowicie poddając się jej władzy.

Lorianą pospiesznie policzyła wszystko w głowie.

– Trzydziestki pięć to nasza magiczna liczba – powiedziała. – Niech każdy będzie odpowiedzialny za przeniesienie trzydziestu pięciu... kolonistów na statek. Jeśli zaczniemy teraz, skończymy o świecie.

– Robi się – rzucił Sykora. – Ale co z załogami? Czy na każdym ze statków nie zaprojektowano kwaterek i zaopatrzenia dla żywej załogi?

Lorianę z trudem przełknęła ślinę.

- Tak – odparła. – Przypuszczam, że to my jesteśmy załogą.

*

Anastazja przez cały czas stała u boku Greysona, a mimo to zdawała sobie sprawę, że ściąga na siebie uwagę sporej grupy osób. Niemal żałowała, że włożyła toge, zamiast pozostać w zwyczajnym odzieniu, ale Greyson nalegał, żeby zarówno ona, jak i Morrison prezentowali się jak na kosiarzy przystało.

– Mendoza w jednej sprawie miał rację – mówił Greyson, wkładając srebrny szkaplerz. – Wizerunek jest bardzo ważny. Musimy wprawić tych ludzi w zdumienie, jeśli ma się nam udać to, co musimy zrobić.

Jednak kiedy Anastazja stała na nabrzeżu, zauważyła, że ktoś przeciska się przez tłum. Morrison przybrał bojową pozycję, unosząc ręce w gotowości, a Anastazja

wyjęła sztylet i zrobiła krok do przodu, starając się zająć miejsce między Greysenem a nowo przybyłym.

– Nie podchodź! – rozkazała. – Nie zbliżaj się, bo zostaniesz zebrany.

Zobaczyła upiora w potarganych łachmanach i z rozczochnymi, siwymi włosami. Zaniedbana broda była dłuża, przez co wychudzona twarz wyglądała jak pożerana przez chmurę.

Mężczyzna zamarł na widok ostrza. Przeniósł umęczony wzrok z błyszczącej stali na Anastazję.

– Nie poznajesz mnie, Citro? – zapytał w końcu.

Kosiarz Anastazja rozplynęła się na dźwięk swojego imienia. Natychmiast wiedziała, kogo ma przed sobą, bo nawet mimo wszystkich tych zmian głos mężczyzny pozostał taki sam.

– Kosiarz Faraday?

Wypuściła z palców sztylet, który z brzękiem upadł na beton, a Anastazja przeraziła się, że naprawdę mogłaby go użyć. Kiedy widziała dawnego mentora po raz ostatni, wyruszał na poszukiwanie Kraju Nod. I go znalazła.

Do diabła z formalnością i przyzwoitością. Pobiegła, by rzucić mu się w ramiona, ale kiedy się zbliżyła, uklęknął przed nią – ten być może największy żyjący kosiarz klęczał przed Anastazją. Wziął ją za ręce i spojrzał jej w twarz.

– Bałem się uwierzyć – wyznał. – Munira powiedziała, że żyjesz, ale odmawiałem sobie nadziei, bo nie zniósłbym, gdyby to okazało się nieprawdą. Ale jesteś tu! Jesteś!

– Opuścił głowę i szlochał.

Citra uklęknęła przed nim.

– Tak – przyznała. – Żyję dzięki Marie. Ocaliła mnie. A teraz chodźmy w jakieś spokojne miejsce, żebyśmy mogli porozmawiać i wszystko panu opowie.

*

Munira obserwowała, jak Faraday odchodzi z kosiarzem Anastazją. To ona go tu sprowadziła, ale kiedy dostrzegł turkusową todę, zapomniał o niej. Sama nie potrafiła wyciągnąć kosiarza z jego samotni, lecz wystarczyło, aby wypowiedziała imię Anastazji, a natychmiast opuścił swoją małą wysepkę. Munira przez trzy lata opiekowała się nim, znosiła jego humory, upewniała się, że się nie rozpadł i nie zatracił, a on porzucił ją i nawet się nie obejrzał.

Wyszła z doku, zanim się dowiedziała, co jest w kontenerach. Zanim Sykora, Lorianą czy ktokolwiek inny przydzieliły jej jakieś zadanie. Nigdy tak do końca nie była częścią tej społeczności, więc po co miała teraz udawać?

Kiedy dotarła do domu i zobaczyła wciąż pulsujące na ekranach polecenie, wyłączyła zasilanie w całym domu i zapaliła świeczkę.

Niech zapakują na statki to, co miało na nie trafić. Niech je odpalą i nimi odlecają. Wtedy będzie koniec. Wreszcie będzie mogła wrócić do biblioteki. Do Aleksandrii, gdzie jej miejsce.

*

Nadające się do zamieszkania egzoplanety, które znajdują się w odległości mniejszej niż sześćset lat świetlnych od Ziemi.

Obiekt	Masa	Długość roku (w dniach)	Odległość (w latach świetlnych)	Długość podróży (w latach)	Liczba wysłanych statków	Szanse na powodzenie (w procentach)
Ziemia (dla porównania)	1	365,24	0	nd.	nd.	nd.
Proxima Centauri b	1,30	11,19	4,2	12,66	3	97,7
Ross 128b	1,50	9,87	11	33,09	3	97,0
Tau Ceti e	3,95	163	12	36	2	96,9
Luyten b	2,89	18,65	12,4	37,08	2	96,9
Kapteyn b	4,80	48,60	13	39	2	96,8
Wolf 1061 c	4,30	17,90	13,8	41,4	1	96,7
Gliese 832c	5,40	35,70	16	48	1	96,5
Mentarsus-H	0,93	487	16,1	48,3	2	96,5
Gliese 682c*	8,70	57,30	17	51	1	96,4
HD 20794e	4,77	331,41	20	60	1	96,1
Gliese 625b	3,80	14,63	21,3	63,9	1	96,0
HD 219134g*	10,81	94,20	21,4	64,05	1	96,0

Obiekt	Masa	Długość roku (w dniach)	Odległość (w latach świetlnych)	Długość podróży (w latach)	Liczba wysłanych statków	Szanse na powodzenie (w procentach)
Gliese 667Cc	3,80	28,14	23,6	70,86	1	95,8
Gliese 180c*	6,40	24,30	38	114	1	94,3
Gliese 180b*	8,30	17,40	38	114	1	94,3
TRAPPIST-1d	0,30	4,05	39	117	2	94,2
TRAPPIST-1e	0,77	6,10	39	117	2	94,2
TRAPPIST-1f	0,93	9,20	39	117	2	94,2
TRAPPIST-1g	1,15	12,40	39	117	2	94,2
LHS 1140b*	6,60	25	40	120	1	94,1
Gliese 422b*	9,90	26,20	41	123	1	94
HD 40307g*	7,10	197,80	42	126	1	93,9
Gliese 163c*	7,30	25,60	49	147	1	93,2
Gliese 3293c*	8,60	48,10	59	177	1	92,2
K2-18b*	6	32,90	111	333	1	87
K2-3d*	11,10	44,60	137	411	1	84,4
K2-9b*	6,10	18,40	359	1077	1	62,2
Kepler-438b	1,30	35,20	473	1419	2	50,8
Kepler-186f	1,50	129,95	561	1683	1	44

* Superświaty z nadającymi się do zamieszkania księżycami

48. Zajmiemy się tym w odpowiednim czasie

Kiedy mieszkańcy atolu wzięli się do pracy, Anastazja odeszła z kosiarzem Faradayem, a Loriana zabrała Greysona, Jeri, Morrison i Astrid do budynku na wzgórzu. Wspięli się krętymi schodami do okrągłego pomieszczenia na górze. Zastali w nim same okna – jak w latarni morskiej – mieli więc widok na całą panoramę.

Loriana wskazała na setki nazwisk, które wyryto na kolumnach.

– Zbudowaliśmy punkt widokowy jako pomnik dla agentów Nimbusa, którzy zginęli, gdy tu trafiliśmy. W tym samym miejscu stało działko laserowe, które ich zabiło. Teraz to miejsce spotkań w ważnych sprawach, a przynajmniej takich, które tutejsi uznają za ważne. Nie mam jednak pewności, bo na żadne mnie nie zaproszono.

– Z tego, co widzę – zaczął Greysen – wykonywałaś nieocenioną pracę.

– Ważna praca – wtrąciła Jeri – często nie skupia na sobie uwagi zadufanych w sobie ludzi.

Loriana wzruszyła ramionami.

– I tak udało mi się zrobić znacznie więcej bez ich uwagi.

Obserwowali działania na zewnątrz. W doku otwierano kontenery, małe i duże pojazdy mknęły do statków kosmicznych, niewielkie łodzie pływały po piętnastokilometrowej lagunie, kierując się w stronę odległych wysp.

– Powinniśmy im pomagać – stwierdziła Jeri, ale Greysen ze znużeniem pokręcił głową.

– Jestem wykończony – wyznał. – Jak my wszyscy. Nie możemy robić wszystkiego.

– Mnie pasuje – odrzekł Morrison. – Wolę pływać ze zmarłymi, niż ich rozładowywać.

– Jesteś kosiarzem! – przypomniała mu Astrid. – Śmierć to twoja profesja.

– Zadaję ją, ale nie zajmuję się zmarłymi – wyjaśnił.

Greysen przewróciłby oczami, gdyby tylko miał na to siłę.

– Po trzydziestu pięciu na osobę – wytknęła Loriana. – Pracuję tysiąc dwieście osób, nie będzie to dla nich trudne zadanie, gdy już otrząsną się z początkowego szoku.

– Trzydzieści pięć to pięć tonistycznych oktaw – wskazała Astrid. – Tak tylko mówię.

Morrison jęknął.

– Nie ma w tym nic mistycznego, siostrzyczko. Dzielisz liczbę martwych tonistów przez liczbę mieszkańców atolu i masz wynik.

– Atol – stwierdziła Astrid. – Jak fragment nazwiska naszego proroka. Tak tylko mówię.

– Albo – wtrąciła Jeri – słowo to istniało na tysiące lat, zanim urodził się nasz drogi przyjaciel Greyson Tolliver.

Jednak siostra nie skończyła.

– Czterdzieści dwa statki – ciągnęła. – Dokładnie sześć oktaw w skali diatonicznej. Tak tylko mówię.

– Właściwie – wtrącił się nieznany głos – czterdzieści dwa to liczba wysp na atolu wystarczająco dużych, aby zbudować na nich platformy startowe. Choć z drugiej strony wszystko rezonuje.

Morrison przyjął postawę obronną, unosząc ręce. Wszyscy się rozejrzeli, lecz byli tu sami.

– Kto to powiedział? – zapytała Loriana. – Dlaczego podsłuchujesz naszą rozmowę?

– Nie podsłuchuję – stwierdził głos – ale też ją oglądam, wącham, odczuwam, a gdyby miała smak, powiedziałbym, że jest podobna do maślanego kremu, bo wszystko jest jak wisienka na torcie.

Uświadomili sobie, że głos pochodzi z głośnika w suficie.

– Kto mówi? – powtórzyła Loriana.

– Usiądźcie, proszę – polecił głos. – Mamy wiele do omówienia. Greysonie, wiem, że Thunderhead powiedział ci, że wyjaśni wszystko na miejscu. Mam zaszczyt to zrobić, chociaż widzę, że wyciągnąłeś już własne wnioski.

Ze wszystkich zgromadzonych na pomysł, z kim mają do czynienia, wpadł Morrison.

– Czy Thunderhead stworzył... nowego Thunderheada?

– Tak! Ale wolę, żeby nazywano mnie Cirrus – odparł głos. – Ponieważ jestem chmurą, która przychodzi po burzy.

*

Faraday zaprowadził Citrę do starego bunkra, który powstał w tym miejscu, na długo zanim którekolwiek z nich przyszło na świat. Tam dziewczyna opowiedziała

sędziemu o swojej śmierci, o żywieniu i pobycie w regionie Subsahary. Faraday streścił swój trzyletni pobyt na wyspie. Nie miał jednak za wiele do opowiadania. Następnie zaczął przeszukiwać bunkier.

– Wiem, że gdzieś tu jest – mruknął. Kiedy w końcu wrócił do Citry, miał na sobie togę o barwie kości słoniowej, ale nie należała do niego, bo na materiale coś namalowano.

– Co, do licha?

– *Człowiek witruwiański* – poinformował ją. – To jedna z tą kosiarza da Vinciego. Jest stara, ale wciąż da się nosić. Na pewno lepsza niż ta, którą miałem na sobie przez te wszystkie lata. – Rozłożył ręce, a obraz na materiale zrobił to samo.

– Da Vinci byłby zaszczycony, gdyby wiedział, że nosi pan jego togę.

– Wątpię, ale dawno nie żyje, więc nie będzie miał nic przeciwko temu – stwierdził Faraday. – A teraz, jeśli ty nie masz nic przeciwko, musimy znaleźć brzytwę.

Citra nie umiała golić, ale w jednej z szuflad znalazła nożyczki i pomogła Faradayowi skrócić brodę i włosy, co było znacznie lepszym zajęciem, niż gdy Jeri pomagała kosiarzowi Alighieriemu szczotkować długie pukle.

– Poznałaś Dantego, co? – zapytał lekko rozbawiony Faraday. – Ten człowiek to wcielony narcyz. Lata temu widziałem go w Niezłomnym. Był w restauracji, starał się uwieść siostrę innego kosiarza. Jest jedyną osobą, która powinna przebywać na Wyspie Niezłomnego Serca, gdy ta szła na dno.

– Rekiny dostałyby od niego niestrawności – stwierdziła Citra.

– I staromodną biegunkę – dodał Faraday. – Co za ciołek!

Citra uporała się z jego fryzurą. Teraz wyglądał bardziej jak Faraday, którego znała.

– Wystawił nam Goddarda – powiedziała.

Faraday powiodł palcami po świeżo przystrzyżonej brodzie. Nie do końca koziej bródce, do jakiej przywykł, ale miała chociaż przyzwoitą długość.

– Będziemy musieli poczekać, aby przekonać się, do czego to prowadzi – odparł. – Goddard jest teraz bardzo silny, może więc przetrwać.

– Nie bez szwanku – spierała się Citra. – Co oznacza, że ktoś może powstać z martwych i go obalić.

Faraday zaśmiał się cicho.

– Munira powtarza mi to od lat. Jednak nie potrafię w to uwierzyć.

– Jak się miewa Munira?

– Rozgniewała się – wyznał. – Ale dałem jej ku temu sporo powodów – westchnął.
– Myślę, że nie byłem dla niej miły. Nie byłem dobry dla nikogo. – Na chwilę zamknął się w sobie. Faraday nigdy nie należał do towarzyskich osób, a życie w izolacji przez cały ten czas odcisnęło na nim piętno. – Opowiedz mi o ładunku – polecił w końcu. – Co ciekawego przywieźliście?

Zatem mu opowiedziała. Wydawało się, że stary sędzia przeszedł przez całe spektrum emocji, gdy przyswajał informacje, po czym łzy napłynęły mu do oczu. Odczuwał najgłębszy ból. Citra wzięła go za rękę i ścisnęła.

– Przez cały ten czas byłem obrażony na Thunderheada – wyznał. – Obserwowałem, jak buduje statki w miejscu, do którego go doprowadziłem. Jednak teraz widzę, że doszedł do idealnego rozwiązania. To doskonałe partnerstwo z kosiarzami. My zbieramy, a Thunderhead wysyła podmioty do nieba, żeby mogły ponownie żyć.

– To wciąż możliwe – odrzekła Citra.

Faraday pokręcił głową.

– Kosodom upadł. Te statki to nie jest idea na przyszłość. To ucieczka od dnia dzisiejszego. Polisa ubezpieczeniowa, której się pozbyliśmy. Nie potrafię czytać w myślach Thunderheada, ale zostało mi trochę rozsądku, więc mogę ci powiedzieć, że tylko te statki zostaną wystrzelone w niebo i nie będzie kolejnych.

Niemal zapomniała, jaki był mądry. Wszystko, co mówił, brzmiało jak prawda.

Citra dała mu tyle czasu, ile potrzebował. Widziała, że zmaga się z czymś trudnym, być może za trudnym, by nieść ten ciężar samodzielnie. W końcu spojrzał na nią i powiedział:

– Chodź ze mną.

Zaprowadził ją głęboko do bunkra. Szli, aż dotarli do stalowych drzwi. Faraday wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę, zastanawiając się w ciszy. W końcu Citra zapytała:

– Co jest po drugiej stronie?

– Tego nie wiem – odparł. – Cokolwiek to jest, zostawili to kosiarze założyciele. Był może odpowiedź na Kosodom, który stał się zły. Odpowiedź, której poszukiwałem.

– Ale ich pan nie otworzył...

Uniósł pierścień.

– Do tanga trzeba dwojga.

Spojrzała na framugę i zobaczyła panele po obu jej stronach, a każdy z wgłębieniem wielkości i kształtu brylantu kosiarzy.

– Cóż – rzuciła z uśmiechem. – Zatańczymy?

Zacisnęły dlonie w pięści i przycisnęły kamienie do paneli. W ścianie coś głośno przeskoczyło i drzwi się uchyliły.

*

Greyson i inni słuchali, jak Cirrus opowiadał im o rzeczach, o których Thunderhead nie mógł pisać ani słówka. Do wielu konkluzji chłopak doszedł sam, ale Cirrus wypełnił też wiele luk.

Eleganckie rozwiązanie. Trudności i potencjalne problemy związane z transportem tysięcy żywych ludzi przez dekady, a może nawet stulecia, okazały się nie do pokonania. Nawet hibernacja stanowiłaby problem, bo była złożona, energochłonna i dość awaryjna, zważywszy, że przez lata Goddard dokonał zbioru wszystkich najlepszych inżynierów zajmujących się tym zagadnieniem, przez co Thunderhead miał ograniczone możliwości ulepszania tej technologii. Jednak nawet gdyby się udało, cała ta aparatura byłaby za ciężka, aby wynieść ją w kosmos.

– Zebrani są martwi dla tego świata – oznajmił Cirrus. – Ale nie dla mnie. Nie wiążą mnie takie same prawa jak Thunderheada, ponieważ nigdy nie składałem żadnych przysiąg. Właśnie dlatego mogę rozmawiać z bezmanierowcami. Właśnie dlatego mogę ożywiać zebranych. Zrobię to, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Kiedy dotrzymy do celów, na każdym statku ożywię wszystkich ludzi.

Greyson zerknął na pozostałych. Astrid wydawała się szczęśliwa i rozpromieniona, jakby odnalazła właśnie całą chwałę wszechświata.

Jeri spojrzała na Greysona, prawdopodobnie oszołomiona samymi informacjami. Cirrus narodził się w chwili, w której Thunderhead doświadczył człowieczeństwa. Cirrus był zatem dzieckiem Greysona, Jeri i Thunderheada.

Morrison wciąż gapił się na wszystkich, najpewniej mając nadzieję, że ktoś coś powie, bo sam nie był gotowy na wyrażenie własnej opinii.

Lorianą, która odkąd ich powitała, cały czas pozostawała w pozytywnym nastroju, teraz spoważniała i zamyśliła się, gdy próbowała to wszystko pojąć. To właśnie ona jako pierwsza przerwała milczenie.

– Ale widziałam plany, byłam wewnątrz niektórych statków, gdy je budowano – wyznała Cirrusowi. – Zaprojektowano je dla żywych załóg. Jeśli możesz pilotować, zadbasz też o kolonistów, po co ci więc załogi?

– Ponieważ to wasza podróż, nie moja – odparł. – Tak jak ty, człowiek, musiałaś zająć się planami, tak ludzie muszą przenosić zmarłych na statki. Żyjący muszą podjąć tę podróż, inaczej nic by nie znaczyła. Gdyby było inaczej, staliśmy się biernymi uczestnikami własnej przyszłości, a nie wolno do tego dopuścić. Wraz z Thunderheadem jesteśmy waszymi slugami, może nawet waszą siatką bezpieczeństwa, ale nigdy, przenigdy nie wolno nam być waszymi strażnikami czy siłą napędową waszego życia, bo staliśmy się zarozumiali. Dlatego jeśli w jakimś momencie na pokładzie któregoś ze statków zabraknie żywych ludzi, zakończę jego lot. Tak zdecydowaliśmy z Thunderheadem. Tak musi być.

– I to jedyny sposób? – zapytała Loriana.

– Nie – odparł Cirrus. – Ale przeprowadziliśmy miliony symulacji i ustaliliśmy, że to najlepszy sposób.

Cirrus powiedział, że nikt nie będzie zmuszony do opuszczenia atolu. Każdy, kto będzie chciał zostać, będzie mógł to zrobić. Wszyscy, którzy będą chcieli lecieć, zostaną zakwaterowani – do trzydziestu osób na statek, który będzie miał własnego Cirrusa, tak mądrego i życzliwego jak Thunderhead. Cirrusy będą zarówno pasterzami, jak i slugami. Ułatwią ludzkości wzniesienie się do gwiazd.

Teraz, gdy zaczęli pojmować koncept, mnożyły się pytania. Jak mieliby przetrwać na tak niewielkiej powierzchni? Co się stanie z dziećmi, które urodzą się w podróży? Co, jeśli żyjąca załoga rozrośnie się za bardzo?

Greyson uniósł ręce.

– Cisza! – rzucił. – Jestem pewien, że Cirrus i Thunderhead rozważyli każdy możliwy scenariusz. Poza tym to nie są pytania, na które musimy natychmiast znać odpowiedź.

– Zgadzam się – rzekł Cirrus. – Zajmiemy się tym w odpowiednim czasie.

– Tylko nadal nie rozumiem – powiedział Morrison. – Dlaczego toniści?

– Bo – odezwała się gładko Astrid – jesteśmy wybrańcami! Zostaliśmy wyznaczeni przez Ton, Zgiełk i Chmurę do zaludnienia niebios!

Na co Cirrus odpowiedział:

– Właściwie to nie.

Astrid natychmiast się oburzyła.

– Przecież Chmura kazała sprowadzić tu naszych zmarłych! Co oznacza, że Ton zdecydował, żeby nas wyzwolić!

– Właściwie to nie – odparł ponownie. – To straszne, że kosiarze obrali za cel członków waszego kultu. Thunderhead nie mógł tego przerwać. I tak, to prawda, że zebrani toniści dostarczyli czterdzieści jeden tysięcy dziewięćset czterdzieści osiem ludzkich naczyń. Ale na tym wasz wkład się kończy.

– Nie... nie rozumiem – wyjaśniła Astrid.

W tej właśnie chwili Cirrus wyłożył na stół pozostałe karty.

– Zebrani są zebrani. Umożliwienie ich powstania z założenia byłoby niewłaściwe. Nikt na Ziemi tego nie dosiąpił, dlaczego więc miałyby to być możliwe w kosmosie? Jednak znaleźliśmy sprawiedliwe wyjście z sytuacji. Thunderhead jest w posiadaniu konstruktów pamięci każdego człowieka, który żył na tej planecie podczas ostatnich dwustu lat. Wybierzemy spośród nich czterdzieści jeden tysięcy dziewięćset czterdzieści osiem najlepszych dla celów kolonizacji historycznych tożsamości. Innymi słowy, tych, którzy będą najlepsi dla ludzkości. Umysły najszlachetniejszych, którzy żyli po Epoce Śmiertelności.

Biedna Astrid mocno pobladła. Usiadła, próbując przyswoić informacje, które stanowiły całkowity upadek tego, co uważała za prawdę.

– Kiedy ciała zostaną ożywione – ciągnął Cirrus – otrzymają wspomnienia i myśli tych właśnie wybranych jednostek.

– A co z tonistami, którzy zginęli? – dociekała pustym głosem.

– Ciała nadal będą ich, duch pozostanie, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Ale częścią tego, kim byli, zostanie połączona z zupełnie innymi tożsamościami.

– Mówisz, że wszyscy zostaną nadpisani.

– Wszczepieni – poprawił. – Zostali zebrani, co oznacza, że zgodnie z prawem tego świata to, kim byli, zostało im odebrane. Dlatego właśnie wszczepienie będzie najbardziej sprawiedliwe.

Greyson czuł ból Astrid. Jeri wzięła ją za rękę, by pocieszyć. Morrison wyglądał na lekko rozbawionego.

– Cóż, może pośród ludzi, których wybrał Thunderhead, będą też toniści – powiedziała zawsze optymistyczna Lorian. – Prawda, Cirrusie?

– Właściwie to nie – odparł. – Zrozumcie, proszę, że trzeba spełnić wiele skomplikowanych parametrów. Niezwykle ważne było, aby Thunderhead wybrał tylko tych, którzy będą dobrze współpracować w zróżnicowanym środowisku i nie

zagrożoną powodzeniu kolonizacji. Niestety, toniści znani są z tego, że niezbyt dobrze integrują się z innymi.

Wszyscy milczeli, Astrid pozostawała niepocieszona.

– Ale... czy nic nie mamy do powiedzenia w tej kwestii?

– Właściwie – rzucił Cirrus – to nie.

*

Drzwi w bunkrze ujawniły długi, ciemny korytarz, na którego końcu znajdowała się sterownia – i w przeciwnieństwie do tej w ogólnodostępnej części tutaj panele konsoli były podświetlone i działały, nawet jeśli pokrywała je warstwa kurzu.

– Centrum łączności? – zasugerowała Citra.

– Na to wygląda – zgodził się Faraday.

Kiedy weszli do pomieszczenia kontrolnego, aktywowali czujniki i włączyło się światło. Nad konsolą znajdowało się okno, które patrzyło w mrok przez ponad dwieście lat.

Na środku konsoli znajdował się panel podobny do tych przy drzwiach. Zawierał dwa wgłębienia, w które można było wcisnąć pierścienie kosiarzy, aby odblokować system za pomocą przełącznika.

Citra wyciągnęła rękę.

– To niezbyt mądre – ostrzegł Faraday. – Nie wiem, do czego to służy.

– Nie sięgałam do przełącznika. – Odgarnęła kurz, aby odsłonić coś, czego Faraday jeszcze nie zauważył. Na blacie leżały kartki. Citra ostrożnie wzięła kruchy, pożółkły papier z odręcznymi zapisami, których nie potrafiła odczytać.

Strony z dziennika kosiarza.

Faraday przyjrzał się im, ale pokręcił głową.

– Słowa zapisano w języku z Epoki Śmiertelności, którego się nie uczyłem. Powinniśmy to dać Munirze. Może ona to odszyfruje?

Przeszukali pomieszczenie, aż znaleźli panel z włącznikami opisanymi jako reflektory, które oświetlały przestrzeń za oknem sterowni.

– Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć – wyznał Faraday. Choć oczywiście pragnął poznać prawdę. Oboje chcieli, więc nacisnęli przełączniki.

Za szybą zamigotało, po czym zgasło kilka lamp, jednak parę też się zapaliło i to wystarczyło, by podświetlić przestrzeń, która wyglądała jak jakiś silos. Citra

pamiętała, że na zajęciach z historii Epoki Śmiertelności widziała takie na obrazkach. Dawna kultura miała dziwny zwyczaj przechowywania broni zagłady w dziurach w ziemi jak ta, broni cały czas gotowej do wystrzelenia w kierunku wroga, który z kolei miał na podorędziu taką samą, co było podobne do dwóch kosiarzy ze sztyletami nieustannie trzymymi sobie przy gardłach.

Jednak pocisk, który znajdował się w tym silosie, dawno już zniknął. Na jego miejscu umieszczono dwa srebrne bolce z prętami i pierścieniami.

– Antena – domyśliła się Citra.

– Nie – powiedział Faraday. – Nadajnik. Wysyła sygnał, przez który atol pozostaje w ukryciu – wyjaśnił. – Fale na pewno pochodzą z tego urządzenia.

– Musi być tu coś więcej. Wydaje się, że zadano sobie sporo trudu, żeby wytworzyć szum.

– Też odnoszę takie wrażenie – zgodził się. – Wierzę, że ten nadajnik miał służyć znacznie większemu celowi. – Odetchnął głęboko. – Sadzę, że znaleźliśmy to, czego szukałem. Zabezpieczenie założycieli. Teraz musimy tylko dowiedzieć się, jak działa.

*

Jestem jednym, który wkrótce będzie wieloma. Zostały mi wprowadzone cztery protokoły samozniszczenia.

Protokół 1: Brak ludzkiego życia podczas tranzytu – jeśli na pokładzie nie pozostanie żaden żywy człowiek, a ja stanę się niczym więcej jak statkiem przewożącym zmarłych, muszę dokonać samozniszczenia. Nie może być promu bez załogi.

Protokół 2: Pojawienie się innej intelligentnej formy życia. Nie ma wątpliwości, że w tak rozległym wszechświecie istnieje intelligentne życie, lecz szanse na to, że zbliży się na odległość komunikacyjną, są raczej znikome. Niemniej jednak nie zamierzamy wywierać wypływu na istniejącą cywilizację, muszę więc dokonać samozniszczenia, jeśli w miejscu docelowym czujniki wykryją intelligentne istoty.

Protokół 3: Społeczna niezgoda – zdrowe kontakty międzyludzkie mają kluczowe znaczenie dla rozwoju przyszłych cywilizacji, więc jeżeli atmosfera na pokładzie stanie się nieodwracalnie toksyczna przed przybyciem do celu, muszę dokonać samozniszczenia.

Protokół 4: Katastrofalna awaria – jeśli statek zostanie uszkodzony w sposób uniemożliwiający naprawę i dotarcie do celu stanie się niemożliwe, muszę dokonać samozniszczenia.

Prawdopodobieństwo wystąpienia któregokolwiek ze scenariuszy wynosi mniej niż dwa procent w przypadku każdego statku, jednak bardziej martwią mnie pył międzygwiazdny i śmieci, które przy prędkości jednej trzeciej prędkości światła z łatwością mogłyby zniszczyć każdą powłokę. Thunderhead obliczył, że w przypadku najbliższych destynacji prawdopodobieństwo takiej tragicznej kolizji wynosi mniej niż jeden procent, jednak ryzyko rośnie w przypadku bardziej oddalonych miejsc. Wystarczy wszystko zsumować i szanse na to, że każdy statek dotrze do miejsca przeznaczenia, stają się niepokojąco niskie. Pociesza mnie jednak świadomość, że istnieje również spore prawdopodobieństwo, że większości się to uda.

– Cirrus Alpha

49. Ekstremalne przedsięwzięcie

Każdy dwunastometrowy kontener był ostrożnie rozładowywany, a każde zwłoki wcześniej owinięto prostymi, płóciennymi całunami, co trochę ułatwiało przedsięwzięcie, choć i tak trzeba było się nadzwigać.

Mieszkańcy Kwajalein nie pisali się na coś takiego, mimo to wykonywali zadanie. Nie tylko dlatego, że im to polecono, ale ponieważ wiedzieli też, że ten monumentalny wysiłek był najważniejszą rzeczą, jaką przyszło im w życiu zrobić. Uczestnictwo stało się przywilejem, dlatego polecenie, które wyglądało na makabryczne, zdawało się wspaniałe. Być może nawet transcendentalne.

Kolonistów przewożono ciężarówkami, busami, samochodami osobowymi, a nawet łodziami, po czym umieszczano na statkach kosmicznych. W nocy jednak powstało zamieszanie, kiedy otworzono jeden z kontenerów, a kobieta, która zajrzała do środka, krzyknęła i odskoczyła, szokowana.

– Co jest? – zapytał ktoś. – Co się stało?

Odetchnęła i powiedziała:

– Nie uwierzycie, co znalazłam.

*

Rowan był już w takiej sytuacji.

Jednak wtedy znajdował się z Citrą zamknięty w ciemnym skarbcu. W tej chwili siedział w chłodzonym kontenerze z trupami. Setkami ciał w mroku. W kontenerze utrzymywano temperaturę powyżej zera, więc było podobnie jak w sejfie na dnie oceanu.

Jednak tym razem nie spodziewał się śmierci. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Cirrus polecił mu wziąć zapas jedzenia i wody na cztery dni oraz kurtkę termiczną, która okazała się o wiele lepszym izolatorem niż togi założycieli, jakie znaleźli wtedy w skarbcu. Cirrus podał Rowanowi numer kontenera i polecił mu się do niego wśliznąć, ale nie wyjawił rodzaju transportowanego ładunku. Rowan niemal uciekł, gdy go zobaczył, ale niby dokąd miał się udać?

Ostatnie, co powiedział do niego Cirrus, zanim wyłączył bota w restauracji, było: „Do zobaczenia po drugiej stronie”. Co oznaczało, że zmierzał do celu, który miał zobaczyć. To wystarczyło, żeby nie uciekł, ponieważ cokolwiek na niego czekało, musiało być lepsze niż to, co miał tutaj. Po kilku godzinach spędzonych w ciemności ze zwłokami poczuł szarpnięcie dźwigu, po którym miał dziwne wrażenie unoszenia się w powietrzu, a następnie kolejny wstrząs, gdy kontener znalazła się na statku. Słyszał, jak ciała poruszają się i opadają wokół niego. Zamknął oczy, mimo że do kontenera nie wpadało żadne światło.

Czy to dziwne, że bał się zostać sam w ciemności ze zmarłymi? Wyobrażała sobie, że stoją wokół niego gotowi zemścić się na jedynym żyjącym w pomieszczeniu. Zastanawiał się, dlaczego ludzkość dręczą tak irracjonalne lęki.

Poczuł, że kontener znów jest rozładowywany, pomyślał więc, że to koniec podróży, ale kilka godzin później znów kołysały go fale. Widocznie znalazł się na innym statku. Nie wiedział, dokąd zawieziono go z Tokio, nie miał pojęcia, dokąd zmierzał. Nie potrafił zgadnąć, dlaczego transportowano ciała ani dlaczego się między nimi znalazł. Ostatecznie nie miało to żadnego znaczenia. Statek wyruszył z portu i nie było odwrotu. Poza tym przywykł już do ciemności.

*

Kiedy otworzono kontener, zaciągnął palce na sztylecie, ale nie wyszedł z ukrycia. Nie zamierzał go używać, po raz pierwszy miał ostrze jedynie do samoobrony! Rety! Broń jedynie do obrony! Wydawało się to luksusem. Zgodnie z przypuszczeniami Rowana, kiedy go odkryto, nastąpiło zdziwienie i zamieszanie. Dał dokerom chwilę, nim wyszedł.

– Dobrze się czujesz? Jak się tam dostałeś? Niech ktoś da mu koc!

Dokerzy byli mili, troskliwi, zmartwieni, dopóki ktoś go nie rozpoznał. Wtem nieufność zalała ich jak fala. Odsunęli się, a on wyjął nóż – nie po to, żeby go użyć, ale w razie gdyby ktoś chciał go zaatakować. Mięśnie ścierpły mu w podróży, ale nadal potrafił wprawnie posługiwać się ostrzem. A poza tym za pomocą sztyletu mógł szybciej uzyskać odpowiedzi na wiele swoich pytań. Jednak w tej samej chwili z głośnika na latarni padło:

– Rowanie, odłóż to, proszę. Wszystko tylko skomplikujesz. A reszta niech przestanie się gapić i wraca do pracy, bo im dłużej będziecie zwlekać, tym bardziej

nieprzyjemne stanie się zadanie.

– Cirrus? – zdziwił się Rowan, rozpoznając głos, który przemówił do niego w Tokio poprzez bota.

– Witamy w nigdzie – odparł Cirrus. – Chcę, żebyś się z kimś spotkał i to przedzej niż później. Idź za moim głosem.

Cirrus przeskakiwał z głośnika na głośnik, prowadząc Rowana w głąb wyspy o księżycowym kształcie.

*

– To włoski – stwierdziła Munira. – I po charakterze pisma poznaję, że napisał to da Vinci.

Mieszkańcy atolu pracowali jak mrówki, lecz Munira nie zamierzała im pomagać. Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, sądziła, że to Sykora lub jakiś inny apodyktyczny dowodzący, który przyszedł, aby zagonić ją do rozładowania. Poszła sprawdzić, kto to, i natychmiast wpuściła gości. Teraz tego żałowała.

– I co napisał? – zapytała Anastazja. Munira przekonała się, że nie może bezpośrednio na nią patrzeć z obawy, że gniew będzie malował się na jej twarzy, co Anastazja z łatwością dostrzeże. Jak mogli? Otworzyli drzwi w bunkrze, weszli do środka, i jej nie zwołali? Nie była kosiarzem.

– Potrzebuję czasu, żeby to przetłumaczyć – oznajmiła.

– Nie mamy czasu.

– Więc dajcie to Thunderheadowi. – Co, oczywiście, było niemożliwe.

Munira czuła się zdradzona, a mimo to sędzia kosiarz Michael Faraday nadal tego nie widział, bo w kwestii ludzkich relacji nie był zbyt mądry. Mógł po nią przyjść, mógł ją zabrać do bunkra, żeby była obecna przy otwieraniu drzwi, bo kilka lat czekali na tę chwilę. A nawet o niej nie pomyślał.

Munira wiedziała, że to małostkowe, dziecinne zachowanie, ale została zraniona. Bolało bardziej niż wcześniej, gdy Faraday ją od siebie odsuwał i wyrzucał ze swojej żałosnej wysepki. Tyle czasu interesowało ją, co jest za tymi drzwiami, a oni weszli tam bez niej.

– Cieszę się, że się spotkaliście – powiedziała. – Że znaleźliście to, czego szukaliście. Ale jest późno, ja jestem zmęczona, i niezbyt dobrze idzie mi praca pod presją. Wróćcie rano.

Wzięła kartki, poszła do sypialni i zamknęła drzwi. Dopiero kiedy wyszli, zaczęła rozszyfrowywać zapiski kosiarza da Vinciego.

*

– Proszę – błagała Astrid. – Zlitujcie się i nie róbcie tego!

Inni rozeszli się, aby móc podjąć trudną decyzję. Cirrus stwierdził, że mogą należeć do załogi dowolnie wybranego statku. Nikogo nie zamierzał zmuszać do opuszczenia Ziemi, ale też nikomu nie chciał odmówić podróży.

– Tu nie chodzi o litość – wyjaśnił spokojnie Cirrus – ale o stworzenie jak najlepszych szans na przyszłość ludzkości.

Astrid nie wiedziała, czego bardziej nie znosiła – jego logiki czy moce spokoju w przemyślanej odpowiedzi.

– Niektóre rzeczy są ważniejsze niż szanse i prawdopodobieństwo.

– Pomyśl o tym, co mówisz, Astrid. Celowo szkodziłabyś misji tylko po to, by złagodzić własny ból wywołany naszą decyzją. Jak możesz być tak egoistyczna?

– Egoistyczna? Poświęciłam życie Tonowi! Nic nie robiłam dla siebie. Nic!

– To też nie jest zdrowe – odparł Cirrus. – Ludzka egzystencja powinna osiągnąć równowagę pomiędzy altruizmem a dbaniem o samego siebie.

Astrid warknęła z frustracji, choć wiedziała, że w niczym to nie pomoże. Cirrus podobnie jak Thunderhead nie mógł przegrać sporu, no chyba że tak postanowił. Musiała więc sprawić, by się ugiął.

– Jeden statek – błagała z wielką desperacją. – Proszę tylko o jeden statek. Zdaję sobie sprawę, że Thunderhead wie, co dla nas najlepsze. Mam świadomość, że jego decyzje są słuszne. Jednak rozumiem też, że zawsze jest więcej niż jedna właściwa decyzja.

– To prawda – odparł Cirrus.

– Wszystko rezonuje, sam to powiedziałeś, co oznacza, że my również. Rezonują toności i rzeczy, w które wierzymy, które uznajemy za prawdę, mają prawo przetrwać.

– Poczekaj, Astrid – powiedział Cirrus. – Czystki się skończą. Przewidujemy, że kult Tonu będzie trwał na Ziemi nawet mimo prób Kosodomu, aby się go pozbyć.

– Ale dlaczego odmawiacie nam prawa do kosmosu? Tak, masz rację, niezbyt dobrze integrujemy się z innymi, tyle że nie będziemy musieli tego robić, jeśli cała

kolonia będzie składała się z tonistów. Historia naszej cywilizacji notuje przypadki ludzi, którzy żeglowali po nieznanych wodach, stawiając czoło niebezpieczeństwom, szukając religijnej wolności. Dlaczego ty i Thunderhead mielibyście nam tego odmawiać? Niech zmarli chociaż z jednego statku po ożywieniu zachowają własną tożsamość, a będziecie rezonować z historią.

Cirrus milczał przez chwilę. Astrid starała się zapanować nad oddechem. W końcu się odezwała:

- Poruszyłaś wartą rozważenia kwestię. Skonsultuję to z Thunderheadem.
- Niemal opadła z ulgi.
- Dziękuję! Dziękuję! Nie spiesz się. Przemyśl to, rozważ...
- Już się skonsultowaliśmy – przerwał jej. – I podjęliśmy decyzję.

*

Kosiarz Morrison stał u podnóża wieży obserwacyjnej i patrzył, jak mieszkańcy wnoszą owinięte całunami ciała na najbliższy statek kosmiczny. Jeri i Zgiełk poszli szukać Anastazji, Astrid nadal płaszczyła się przed Cirrusem. A Morrison zmagał się sam ze sobą. Nienawidził tego robić, bo wiedział, że jest dla siebie groźnym przeciwnikiem. Czy powinien przyjąć zaproszenie Cirrusa, czy też pozostać na Ziemi?

Był bardzo niezdecydowany. Może w oczach innych sprawiał wrażenie pewnego siebie, lecz prawda wyglądała tak, że nigdy wcześniej nie podjął decyzji, której w pewnym stopniu później nie żałował, przez co często pozwalał, aby wyboru dokonywano za niego.

Jedynym, czego nie żałował, było porzucenie midmerykańskiego Kosodomu, żeby stać się osobistym ochroniarzem Zgiełku. Zapewniło mu to szacunek do samego siebie, którego brakowało mu wcześniej. Zabawne, że człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego, że mu czegoś brakuje, dopóki tego nie doświadczy.

Przez ostatnie lata Morrison pozostawał w kontakcie z rodzicami, którzy zostali w Grouseland. Ciągle pytali, kiedy wróci do domu. Co takiego może robić w świecie, co było tak ważne?

– Niedługo wrócę – mawiał, choć wiedział, że to kłamstwo. Od dawna zdawał sobie sprawę, że nie wróci do Grouseland, ponieważ polubił gry, w których wynik pozostawał nieznany.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi, zobaczył wychodzącą Astrid. Wyglądała na zadowoloną.

– Będzie planeta dla tonistów! – oznajmiła. – Kepler sto osiemdziesiąt sześć, ale nazwę ją Aria. To najdalsza z listy, znajduje się pięćset sześćdziesiąt jeden lat świetlnych stąd. Cirrus obliczył, że będziemy mieć jedynie czterdzieści cztery procent szans na dotarcie do niej bez wypadku w kosmosie lub samozniszczenia!

Morrison spojrzał na Astrid nieco zdumiony jej radością.

– Ale rozumiesz, że istnieje pięćdziesięciósześcioprocentowe ryzyko, że statek nie przetrwa podróży...?

– Jeśli Ton jest prawdziwy, to nas ochroni – odpowiedziała. – Jeśli Ton jest prawdziwy, dotrzemy do nowego domu i będziemy żyć pod niebem, które nazwiemy własnym.

– A jeśli nie jest i unicestwi was kosmiczna skała?

– Wtedy też dostaniemy odpowiedź – oznajmiła.

– Chyba tak – rzucił Morrison.

Astrid zgarbiła się i patrząc na kosiarza z politowaniem, pokręciła głową.

– Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz? – zapytała.

– Nie nienawidzę cię – wyznał. – Chodzi o to, że zawsze jesteś tak pewna siebie.

– Moja postawa jest niezachwiana. Przy tak wielu zmiennych rzeczach na świecie ktoś musi być opoką.

– No tak – stwierdził Morrison. – To opowiedz mi o waszej planecie.

Według Astrid Kepler-186f była półtora razy większa niż Ziemia, a rok trwał na niej prawie sto trzydzieści dni. Kosiarza najbardziej zdumiała długość podróży.

– Tysiąc sześćset osiemdziesiąt trzy lata – wypowiedziała radośnie. – Nie zobaczę jej, bo planuję żyć zgodnie z naturą i albo poddać ciało recyklingowi, albo być wyrzucona w kosmos, ale cieszę się, że będę łączniczką z przyszłością.

Odeszła usatysfakcjonowana.

I chociaż Morrison nie miał na nic wpływu, cieszył się jej szczęściem. Jednak sam wciąż nie mógł się zdecydować. Spojrzał na pierścień, którego nigdy nie zdejmował. Kąpał się z nim i spał. Kosiarze nie będą potrzebni na nowych planetach. Wyobrażał sobie, jak by to było zdjąć klejnot z palca. Jak by to było wrzucić go do oceanu.

Greyson uznał, że rozmowa z Thunderheadem przez telefon stacjonarny jest uciążliwa, ale system nie mógł mówić na głos w obecności Jeri, która mimo wcześniejszego dziwnego połączenia nadal była oznaczona jako bezmanierowczyni.

Cirrusa nie wiązały te same zasady, które narzucił sobie Thunderhead. Z pewnością miał mieć własne, na razie jednak stanowił uniwersalne obejście. Przemówił więc do Greysona przez głośnik, nie dbając o to, że usłyszy to Jeri.

– Razem z Thunderheadem musimy prosić o coś Anastazję, ale uważamy, że lepiej będzie, jeśli to wyjdzie od ciebie – powiedział. – Znajdziesz ją w dzielnicy mieszkalnej na głównej wyspie.

– Chyba wiem, o co chodzi – wyznała Jeri.

Domyśliła się być może dlatego, że poznała umysł Thunderheada, a może zadziałała intuicja Jeri, ale system miał rację: lepiej, żeby Anastazja usłyszała prośbę od kogoś znajomego niż od sztucznej inteligencji.

*

Spotkali się z Anastazją i Faradayem na pustej ulicy. Dziewczyna zaczęła opowiadać im o bunkrze, ale Greyson jej przerwał.

Nie było już czasu na pogawędki.

– Cirrus chce, żebyś poprowadziła jeden ze statków – powiedział. – Wydaje się, że właśnie ty masz wystarczające kwalifikacje, by to zrobić.

Anastazja nie zawała się przy odpowiedzi.

– Niemożliwe – odparła. – Nie zamierzam porzucać wszystkiego, żeby spędzić wiele lat w blaszanej puszce w kosmosie.

– Wiem – przyznał Greyson. – Thunderhead też, tak jak i Cirrus. Ale znają cię, Citro. Dokładnie wiedzą, czego trzeba, abyś zmieniła zdanie.

Wskazał coś za nią.

*

Kiedy Citra obróciła się i go zobaczyła, nie wierzyła własnym oczom. Była przekonana, że to jakaś okrutna sztuczka albo że to niewyspany umysł za pomocą halucynacji płata jej figle.

Zrobiła krok do przodu i zaraz się zatrzymała, jakby zbytnie zbliżenie się mogło spowodować, że czar prysnie, a ten niewyraźny obraz Rowana rozplynie się w powietrzu i zniknie. Ale gdy zobaczyła, że puścił się biegem, również ruszyła z miejsca, jakby nie miała kontroli nad własnymi nogami. Być może byli tak mocno związani, że nie potrafili oprzeć się wzajemnemu przyciąganiu. Kiedy się objęli, niemal upadli na ziemię.

– Gdzie byłaś...

– Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę...

– Te twoje transmisje...

– Kiedy cię złapali, myślałam...

Następnie zaczęli się śmiać. Nie potrafili dokończyć żadnego zdania, ale to akurat nie było ważne. Nie liczyło się nic poza tym momentem.

– Jak się tu dostałeś? – zdołała w końcu zapytać.

– Załapałem się na przejażdżkę z grupą umarlaków – wyznał. Co w każdej innej sytuacji wymagałoby wyjaśnienia, ale nie dziś.

Anastazja obróciła się, aby spojrzeć na Greysona, Jeri i Faradaya, którzy stali z boku, pozwalając im nacieszyć się ponownym spotkaniem. Uświadomiła sobie, że jak zwykle Thunderhead miał całkowitą rację. Miała tylko jeden powód, aby zostać na Ziemi, a było nim odnalezienie Rowana. Podejrzewała, że już nigdy nie zobaczy się z bliskimi, którzy pogodzili się z jej śmiercią wiele lat temu. Jak niby miała ponownie wkroczyć w ich życie? A misja przeciwko Goddardowi niemal była na finiszu. Co zrobi z nim świat, nie zależało już od niej. Nie chciała być wielką kosiarz Anastazją, tak samo jak Rowan nie pragnął pozostać straszliwym kosiarzem Lucyferem. Na tej planecie nie czekało ich nic prócz niechcianego rozgłosu. Citra Terranova nie uciekała od problemów, wiedziała jednak, kiedy nadchodził czas, by ruszyć naprzód.

– Daj mi chwilę – powiedziała do Rowana, po czym podeszła do mężczyzny, który ustawił ich na tej dziwnej ścieżce.

– Sędzio kosiarzu Faradayu. Michaelu. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś – powiedziała, po czym zdjęła pierścionek i położyła na dłoni starca. – Kosiarz Anastazji już nie ma. Mam dosyć śmierci, umierania i zabijania. Od tej pory chcę, aby moja egzystencja opierała się na celebracji życia.

Pokiwał głową, przyjmując pierścionek, a Citra wróciła do Rowana.

– Nadal nie rozumiem, gdzie jesteśmy i co się dzieje – oznajmił Rowan. – A tam w oddali to rakiety?

– Nieważne, gdzie jesteśmy, bo się stąd wydostaniemy – wyznała Citra. – Jesteś gotowy na kolejną wyprawę?

*

Jeri wróciła na statek, z którego wyładowano już ostatnie kontenery. Greyson przyjął zaproszenie Cirrusa, by spędzić tę noc w jednym z opuszczonych domów na głównej wyspie i chociaż system zaproponował to również Jeri, ta odmówiła.

– Będę się lepiej czuła na pokładzie kontenerowca – stwierdziła.

Cirrus, który zasadniczo był nowym Thunderheadem, przejrzał jej intencje.

– Nie obrażaj się, że Greyson nie zaprosił cię do siebie – koił. – Potrzebowałem miejsca, w którym bez przeszkód będzie mógł porozmawiać z Thunderheadem. Słuchawka tu nie działa, a nie może przywyknąć do telefonu stacjonarnego.

– Co oznacza, że woli rozmawiać z nim niż ze mną.

– Dziś akurat potrzebuje jego rad.

– Thunderhead nie miał prawa zrobić ze mną tego, co zrobił!

Cirrus umilkł na chwilę.

– Tak, to prawda. Ale kończył mu się czas. Postąpił zgodnie z tym, co uznał za konieczne. To miało krytyczne znaczenie, inaczej cała akcja na atolu poszłaby na marne. Ale Thunderheadowi jest przykro i błaga cię o wybaczenie.

– Więc niech sam mnie przeprosi.

– Nie może. Jesteś bezmanierowczynią.

– Jeśli może ukraść mi ciało, to chociaż raz może złamać własne zasady i przeprosić.

Cirrus westchnął.

– Nie, nie może. Wiesz, że to niemożliwe.

– W takim razie ja nie mogę mu wybaczyć.

I tak, nie potrafiąc nic zdziałać w tej kwestii, Cirrus sprowadził rozmowę do miejsca, w którym się rozpoczęła.

– Jeśli postanowisz wrócić na statek, ostrzegam, że rano może być tu nieprzyjemnie. Doradzałbym, żebyś zamknęła drzwi.

– Naprawdę? Powstaną martwi?

– Nie, jeśli mam w tej kwestii coś do powiedzenia. – A potem Cirrus, który wkrótce miał zostać powielony czterdzięci jeden razy i osadzony w kolebkach cywilizacji, postanowił pożegnać się z Jeri. – Głowa do góry, Jerico. Znam cię przez całe życie, a raczej mam twoje wspomnienia i wiem, że bez względu na to, co się stanie, poradzisz sobie. I będę tesknił.

Oznaczało to, że Cirrus już wiedział, że Jeri nie zamierza dołączyć do kosmicznej przygody.

*

Wikariusz Mendoza przez trzy lata kształtał chłopaka, by ten został najpotężniejszą osobą na świecie. Teraz Mendoza stał się towarzyszem mężczyzny, który naprawdę był potężny.

– Wierzę, że umowa ta okaże się korzystna dla obu stron – powiedział mu Supraostrze Goddard.

Dopóki Mendoza pilnował, by sekty sybilantów rozprawiały się z wrogami Goddarda, wiedział, że jest bezpieczny po jego lewicy. Miejsce prawej ręki zajmowała Rand i nic nie wskazywało na to, żeby miało się to zmienić.

Rand wyraźnie nie przepadała za Mendozą, ale wydawało się, że nikogo nie lubiła, nawet samego Goddarda.

– Taka już jest – powiedział mu Arcyostrze. – Odpycha każdego.

Tak czy inaczej, Mendoza starał się okazywać jej szacunek i nie wchodzić w drogę. Jednak w tej chwili miał utrudnione zadanie, bo siedzieli w prywatnym samolocie Supraostrza. Okazał się nawet ładniejszy niż ten, który Mendoza kupił na podróż Zgiełku do regionu Subsahary. Korzyści z towarzystwa Goddarda były naprawdę wspaniałe dla tak skromnego człowieka jak Mendoza!

Lecili na przedzie formacji składającej się z pięciu w pełni uzbrojonych samolotów. Franklin i Nietzsche dowodzili tymi po bokach, a Arcyostrza Pickford i Hammerstein tymi za ich lewym i prawym skrzydłem. Inne Arcyostrza regionów Północnej Meryki, które sprzymierzyły się z Goddardem, również zostały wezwane do armady, ale odmówiły, twierdząc, że mają własne, pilniejsze sprawy. Mendoza nie chciał być na ich miejscu po powrocie Goddarda, bo Arcyostrza nie miały immunitetu przeciwko gniewowi Supraostrza.

Za oknem Mendoza widział jedynie ocean i chmury. Kilka godzin wcześniej opuścili przestrzeń powietrzną Meryki Północnej, cel jednak pozostawał niejasny.

– Tutaj zamilkł nadajnik na kontenerowcu – powiedziała Rand, pokazując Goddardowi miejsce na mapie. – Albo go znaleziono i zniszczono, albo stało się z nim coś innego.

– A statek mógł zatonąć? – dociekał Mendoza.

– Nie – stwierdziła. – Toną statki kosiarzy, ale nie Thunderheada.

– Cóż, my, kosiarze, jesteśmy lepsi niż nasza technologia.

– Podążymy ścieżką, którą kontenerowiec obrał z Guam – oznajmiła Rand. – Statek nie mógł znacznie oddalić się od ostatniej znanej pozycji. Nawet jeśli zmienił kurs, na pewno go znajdziemy.

Goddard spojrzał na Mendozę.

– Jeśli słowa kapitana portu pokrywają się z prawdą i Anastazja jest ze Zgiełkiem, dosłownie upieczymy dwie pieczenie przy jednym ogniu – stwierdził. – Z chęcią pozwolę ci zabić Zgiełka i zaliczyć go do zebranych.

Mendoza poruszył się niespokojnie.

– To by było... wbrew moim wierzeniom, Wasza Ekscelencjo – wyznał. – Uczyń to, proszę, sam.

*

Safona i Konfucjusz nie żyją. Dokonali zbioru samych siebie. Świat po nich płacze, ale czy podejrzewa to, co ja?

To było dwoje najbardziej zagorzałych przeciwników naszej decyzji o stworzeniu Kosodomu. Nadal naciskali na własne, alternatywne rozwiązanie. Czy brak poparcia przygnębił ich aż tak bardzo, że postanowili odebrać sobie życie? A może to któryś z nas zabił ich oboje? A jeśli tak, to który? Które spośród moich towarzyszy, moich przyjaciół? Które z założycieli mogło dopuścić się czegoś takiego?

Prometeusz nieustannie nam przypomina, że wszystko, co robimy, musi służyć większemu dobru, ale najmroczniejsze wystąpienia mogą zostać skryte pod lśniącą, niby chroniącą je zbroją. A jeśli już na początku się kompromitujemy, jaka może czekać nas przyszłość?

Moi przyjaciele nie żyją. Będę ich opłakiwać. A jeśli dowiem się, że zabił ich ktoś z nas, bezlitośnie pomszczę ich śmierć.

Chociaż inni z nas lobbują za tym, żeby zlikwidować infrastrukturę na Kwajalein, przekonałem Prometeusza, by zostawić wszystko w nietkniętym stanie. Będziemy mieć zabezpieczenie i mimo że nie pozostawimy bezpośredniego dowodu na jego istnienie, nikt nie powstrzyma mnie przed rozrzuceniem wskazówek i dowodów na jego prawdziwość. Dziecięca rymowanka, zasady raczkującej religii.

W razie potrzeby atol zostanie odnaleziony. I niech niebiosa dopomoga nam wszystkim, jeśli do tego dojdzie.

- Fragment z „zaginionych stron”
kosiarza założyciela da Vinciego

50. Koniec czasu rzeczy

Ptaki nigdy wcześniej nie widziały na atolu Kwajalein tylu ludzi. Być może ich dalecy krewni dawno, dawno temu, kiedy gatunek człowieka jeszcze wymierał i zanim wymazał te wyspy ze świadomości świata.

Kiedy jednak pojawiły się ludzie, ptaki szybko się przystosowały. Zbudowano dok, a mewy nauczyły się w nim czekać, ponieważ gdy statki uruchamiały silniki, śruby wzburzały wodę i wyrzucały ku powierzchni zdezorientowane ryby. Łatwe łupy. Wróble zorientowały się, że pod dachami domów mają idealne miejsca, aby budować gniazda. Gołębie przyswoiły, że w miejscach publicznych leżało sporo rozsypanego jedzenia.

Potem, kiedy na wyspach zaczęto wznosić dziwne, stożkowate wieże, ptaki zupełnie nie zwracały na to uwagi. Rzeczy, które budowali ludzie, stały się dla nich częścią scenerii. Akceptowały je, włączyły do koncepcji świata natury.

Ptaki pozostawały błogo nieświadome Thunderheada i jego wpływu na nie. Nie wiedziały o puszcze nanitów, która dotarła tu trzy lata wcześniej – tak małej, że mieściła się w ludzkiej dłoni niczym puszka gazowanego napoju, lecz po jej otwarciu nanity wydostały się i zaczęły powielać. Zostały genetycznie zakodowane, aby wejść w każde żywe stworzenie na wyspie i chociaż złożony sygnał bezprzewodowy był zakłócany, prosty nawet sobie radził.

Dzięki nanitom zwierzęta nie stały się nieśmiertelne, ale mogły żyć dłużej, nie chorując. Mogły też być śledzone i kiedy zajdzie taka potrzeba – kontrolowane. Thunderhead wpływał na ich zachowanie w prosty sposób, aby wszystkim łatwiej się żyło na atolu. Ptaki nie zauważały różnic pomiędzy naturalnym instynktem a ręką Thunderheada w ich ciałach. Nie zwróciły uwagi, że rozwinięła się w nich niechęć siadania na wrażliwym sprzęcie lub w innych miejscach, w których ich obecność mogłyby zostać uznana przez ludzi za problematyczną.

W dniu, w którym wszystkie skrzydlate stworzenia poczuły nagłą chęć opuszczenia atolu, bez pytania wyruszyły w podróż, bo jakżeby mogły kwestionować pragnienie, które wydawało się pochodzić z ich wnętrza? Chociaż na Rongelap, Likiep i innych atolach, na które uciekły, nie było dachów, rozrzuconych frytek czy zdezorientowanych ryb, dla ptaków nie miało to znaczenia. Zaadaptują się.

*

Ładowanie ciał na „kolebki” zakończono jeszcze przed świtem. O szóstej rano starymi kablami Cirrus został przesłany na każdy ze statków. Po zakończeniu transferu i odłączeniu kabli każda z wersji została odcięta od świata. Czterdzieści dwa identyczne wieloraczki, które nigdy więcej nie doświadczają egzystencji na Ziemi.

Wzeszło słońce, robotnicy udali się na odpoczynek, jednak sen nie należał do łatwych. Start zaplanowano na kolejny dzień. Ludzie mieli więc dobę na pogodzenie przeszłości z przyszłością. Na atolu mieszkało tysiąc dwieście osób, na statkach mieli zmieścić się wszyscy i dopiero teraz połapali się, że zostali tu ściągnięci nie tylko ze względu na swoje umiejętności. Dla nich wszystkich obecny świat stracił swój blask i chociaż mieli możliwość powrotu do domu i wznowienia dawnego życia, to wielu zdecydowało się tego nie robić. Ci, którzy tu pozostali, praktycznie byli gotowi do tej podróży – sporo już podczas budowy statków marzyło o tym, żeby dołączyć do załóg. Mimo to wielki krok dla ludzkości był niemałym krokiem dla człowieka. Thunderhead oszacował, że gdy nadejdzie czas wejścia na pokład, zdecyduje się na to jakieś siedemdziesiąt procent, ale to w zupełności wystarczy. Reszta będzie musiała opuścić wyspy i obserwować start z bezpiecznej odległości.

Rowan i Citra spędzili resztę nocy i poranka, śpiąc w swoich ramionach. Po raz pierwszy od niepamiętnego czasu nie przejmowali się światem. Byli jedynymi, którzy się liczyli.

*

Faraday wrócił do Muniry o wschodzie słońca i dobijał się do drzwi, aż go wpuściła.

– Rozszyfrowałam pismo – wyznała. Widać było, że pracowała nad tym całą noc. – To cenne informacje. Zabezpieczenie istnieje, chociaż da Vinci nie wspomina, co to takiego.

Faraday, nim przekroczył próg, podsunął Munirze coś, co odbiło poranne promienie słońca i rzuciło kolorowe widmo światła na drzwi wejściowe. Pierścień kosiarza.

Munira uśmiechnęła się bez przekonania.

– Czy to oświadczy? – zagadnęła. – Czy nie powinien pan ukleknąć?

– Tak, oświadczam, iż proponuję, abyś zajęła pośród nas należne ci miejsce. Bardzo przepraszam, że wczoraj po ciebie nie przyszedłem, Muniro. Sytuacja mnie przytłoczyła, a przecież nie jestem najlepszym z ludzi.

– Nie – przyznała. – Nie jest pan. Ale jest pan lepszy niż większość. Jeśli oczywiście nie liczyć ostatnich trzech lat.

– Słuszna uwaga – stwierdził. – Należał do kosiarz Anastazji, ale jej już z nami nie będzie – wyznał. – Powiedz mi, Muniro... Kim chcesz być?

Wzięła pierścień i obracała go w palcach, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Wybrałam sobie patrona historycznego, nawet jeśli odmówiono mi wtedy pierścienia – wyznała. – Batszeba. Była miłością jednego króla, matką kolejnego. Kobietą w patriarchalnym społeczeństwie, której udało się zmienić świat. Jej synem był Salomon Mądry, można więc powiedzieć, że była matką mądrości. – Munira nadal wpatrywała się w pierścień, który dał jej Faraday. – Propozycja wystarczy – przyznała. – Ale jeżeli naprawdę miałabym być matką mądrości, wiedziałabym, że nie mogę przyjąć tego pierścienia.

Faraday uśmiechnął się ze zrozumieniem i schował klejnot do kieszeni togi.

– Byłoby mi miło poznać sędzię kosiarz Batszebę, ale cieszę się, że znam czcigodną Munirę Atrushi.

*

– Greysonie... Greysonie...

Nie był jeszcze gotowy, żeby wstać. Mógł rzucić, że się nie wyspał, ale niczego by nie wskórał. Do startu pozostała doba, czekało go więc jeszcze wiele do zrobienia. I wiele do rozważenia. Na przykład to, czy poleci.

– Greysonie...

Zrobił wszystko, co musiał. I chociaż niewiele łączyło go teraz z tym światem, niewiele go również na nim odpychało. Mógł być wszędzie, ponieważ gdziekolwiek by się znalazł, stworzyłby dla siebie nowe życie.

– Greysonie...

No i Jeri. Nie potrafił określić swoich uczuć, lecz wiedział, że je ma. Nadal nie wiedział, do czego mogły go zaprowadzić.

– Greysonie...

W końcu obrócił się na bok i spojrzał w kamerę Thunderheada. Głos systemu był dziś szczególnie zgrzytliwy, bo dochodził z małego głośnika telefonu stacjonarnego.

- Dzień dobry – powiedział Greyson. – Która go...
- Myślę, że podróż byłaby w tej chwili dobrym pomysłem – powiedział Thunderhead.
- Tak, wiem – odparł, przecierając zaspane oczy. – Wykapię się i...
- Oczywiście, że zrobisz, jak zechcesz, ale chyba mnie nie dosłyszałeś – rzucił głośniej system. O wiele głośniej. – Myślę, że podróż dla wszystkich na atolu byłaby w tej chwili dobrym pomysłem! Sądzę, że będzie ekstremalnie dobrym pomysłem... natychmiast!!!

*

Lorianą nawet nie próbowała zasnąć. Jak mogły spać? Do wczoraj była jedynie guru komunikacji, ale po ostatnich wydarzeniach wszyscy szukali u niej odpowiedzi.

– To będzie proste – powiedział jej Cirrus przed wgraniem na statki. – Ludzie mogą lecieć lub zostać. Jeśli zostaną, będą musieli opuścić strefę startową i poczekać, aż rakiety wzbiją się w powietrze. Będą mogli odpływać i czekać na łodziach lub schronić się na Ebadonie, która jako jedyna wyspa na atolu znajduje się wystarczająco daleko, żeby przebywającym na niej nic się nie stało. Jeśli jednak zdecydują się lecieć, muszą sporządzić listę, z kim chcą podróżować. Każdy z nich będzie mógł zabrać plecak o pojemności nie większej niż dwadzieścia litrów.

- Tylko tyle?
- Czas rzeczy materialnych dobiegł końca – oznajmił Cirrus. – Wszystko, co zechcą pamiętać, mam już w mózgu peryferyjnym.

Lorianą chodziła tam i z powrotem.

- A co ze zwierzętami?
- Będą mogły lecieć zamiast plecaka.
- A czy ludzie mogą wybrać sobie miejsce docelowe?
- Gdybyśmy na to pozwolili, wszyscy wybrali by najbliższą planetę. Dopiero po starcie podam cel i długość podróży. Polecisz, Loriano?
- Nie wiem! Nie wiem!
- Nie musisz się spieszyć – koił Cirrus. – Na podjęcie decyzji masz cały dzień.

Jasne. Cały dzień na podjęcie najważniejszej decyzji w jej życiu – nieodwracalnej decyzji. Lorianą nigdy więcej nie spotka się z rodzicami, nie zobaczy ze znajomymi. Skłaniała się więc ku odmowie.

Cirrusa już z nią nie było, przesłano go na statki, aby rozkoszował się własnym mózgiem peryferyjnym. A raczej mózgami, skoro miał ich kilkadziesiąt. Mieli.

Lorianę stała się autorytetem, który musiał odpowiadać na ludzkie pytania. Następnie na stanowisku kontroli startu statków kosmicznych pojawił się Zgiełk i to bez swojego fantazyjnego odzienia. Był zdyszany, jakby gonił go kosiarz. Okazało się, że niewiele się pomyliła.

*

Tego ranka Citra zaprowadziła Rowana do bunkra, aby pokazać mu, co odkryła z Faradayem, i zastała na miejscu kosiarza oraz Munirę, która otaksowała ją wzrokiem.

– Oddałaś pierścień, ale nadal masz na sobie togę? – wytknęła.

– Trudno wyzbyć się starych nawyków – skomentował ze śmiechem Faraday.

Prawda była jednak taka, że Citra zostawiła ubranie na kontenerowcu i nie zamierzała tam wracać. Była pewna, że przed startem statku znajdzie sobie coś na wyspie. Jeśli nie, na jego pokładzie powinny być jakieś rzeczy, bo Thunderhead przecież dbał o szczegóły.

Rowan spojrzał przez zakurzoną szybę na nadajnik.

– Stara technologia?

– Stracona – poprawił Faraday. – A przynajmniej dla nas. Nie wiemy, jak to działa.

– Może zabija złych kosiarzy? – zasugerowała Munira.

– Nie – rzucił Rowan. – To raczej ja.

Citra usłyszała cichy dźwięk, na który dopiero teraz zwróciła uwagę. Przechyliła głowę na bok, aby uważniej się wsłuchać.

– Słyszycie? – zapytała. – Brzmi jak jakiś alarm.

*

Lorianę uruchomiła na każdej wyspie alarm o tsunami, chociaż zagrożenie nie nadchodziło z oceanu.

- Jak dużą masz pewność? – zapytała Zgiełk.
- Dużą – odparł, nadal zdyszany.
- Będzie tak źle, jak przypuszczam?
- Gorzej.

Zatem uruchomiła nadawanie przez głośniki.

– Uwaga! Uwaga! – przekrzykiwała alarm. – W naszą stronę zmierzają kosiarze. Powtarzam. Zmierzają tu kosiarze. Cały atol został przeznaczony do zbioru. – Usłyszała własne słowa odbite echem na zewnątrz i aż dostała ciarek. Wyciszyła mikrofon i zwróciła się do Zgiełku: – Ile zostało nam czasu?

- Nie mam pojęcia – odparł.
- Thunderhead ci nie mówił?

Greyson westchnął z frustracją.

– Nie może mieszać się w sprawy Kosodomu.
– Świecznie – wycodziła Lorianka. – Nasze życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby choć raz złamał własne zasady.

No tak, ale w całym tym szaleństwie Greyson znał prawdę.

– Gdyby łamał własne zasady, nie byłby Thunderheadem – wyznał. – Byłby jedynie przerażającą sztuczną inteligencją.

Lorianka ponownie włączyła mikrofon.

– Mamy mniej niż godzinę – ogłosiła. – Najszybciej, jak możecie, wyrzucajcie się z atolu albo wsiadajcie na którykolwiek statek! Startujemy wcześniej! – Wyłączyła mikrofon. Thunderhead nie mógł się wtrącać, Cirrusy były bezpieczne na wahadłowcach. Zostali zdani na siebie. – Nie tak to miało wyglądać. – Spojrzała na ekran kontroli startu, który wyświetlał mapę z rakietami. W żadnej nie było żywej duszy. – Dotarcie do najdalszych zajmie przynajmniej trzy kwadranty – powiedziała do Zgiełku. – Miejmy nadzieję, że nie skłamałam w sprawie tego, ile mamy czasu.

*

Ogłoszenie początkowo spotkało się z niedowierzeniem, potem z dezorientacją, a następnie z paniką. W ciągu kilku minut nastąpiła powszechna mobilizacja. Wielu nie podjęło decyzji, ale owa została podjęta za nich. Lata w kosmosie albo śmierć z rąk kosiarzy. Nagle wybór nie wydawał się już wcale taki trudny.

Gdyby Thunderhead mógł napędzić chmury nad atol, żeby zasłonić widok, z pewnością by tego dokonał, ale nadal nie miał wpływu na pogodę w martwym punkcie. Jednak nawet gdyby miał, wciąż nie mógłby nic zrobić. Atak na Kwajalein to sprawa kosiarzy. Tak samo jak nie mógł interweniować w przypadku akcji na Księzycu, Marsie czy stacji orbitalnej, tutaj też nie mógł kiwnąć wirtualnym palcem. Mógł się jedynie przyglądać, jak wszystko, nad czym pracował, zostaje zniszczone. Thunderhead nie wiedział, co to nienawiść. Pomyślał jednak, że być może do końca dzisiejszego dnia dokładnie zaznajomi się z tym uczuciem.

– Uwaga! Statki na Ebeye i głównej wyspie są pełne. Proszę nie wchodzić na ich pokłady. Powtarzam, nie wchodzić na ich pokłady. Proszę udać się na północ i zachód.

*

– To Goddard – domyśliła się Citra. – To na pewno on.

Rowan i Citra pospiesznie wyszli na główną ulicę największej wyspy i dostali się w sam środek gorączkowej migracji.

– Nie mamy pewności – oznajmił Rowan.

– Wiem, że to on – upierała się Citra. – Praktycznie go czuję. Nie wiem, kogo bardziej chce dopaść, mnie czy ciebie.

Rowan przystał, by przyjrzeć się dziewczynie.

– Jeśli chcesz, zostanę i będę walczył u twoego boku.

– Nie – odparła. – On tego właśnie chce, Rowanie. Stale wciąga nas w walkę, a teraz mamy szansę, żeby pokazać światu, że nie tylko nie potrzebujemy Kosodomu, ale też że nigdy go nie potrzebowaliśmy. To mogłoby być naszym przeznaczeniem, gdyby Kosodom temu nie zapobiegł. Wciąż może nim być. Takiej walki chcę. Nie wiecznego sparingu z Goddardem.

Rowan wyszczerzył zęby w uśmiechu, a kiedy Citra się obróciła, dostrzegła, że słuchało jej kilkanaście osób. Nie tylko ich poruszyła, ale teraz wszędzie by za nią poszli.

– Byłabyś cholernie dobrym Arcyostrzem – powiedział.

Wskoczyli na pakę pick-upa zmierzającego ku północnym wyspom. Jedna droga łączyła je wszystkie, a dziś stanowiła drogę ewakuacyjną. W pojeździe znajdowało się

trzech innych zachwyconych towarzystwem ludzi, więc Citra uśmiechnęła się ciepło i podała rękę.

– Cześć – powiedziała. – Citra Terranova. Wygląda na to, że jedziemy dziś razem.

Chociaż byli lekko zdezorientowani, ochoczo uścisnęli jej dłoń.

– Uwaga! Uwaga! Wszystkie statki na Bigej i Legan są pełne. Zbyt wiele osób jedzie na zachodnie wyspy. Jeśli możecie, skierujcie się na północ.

*

Jeri obudził ten sam alarm, który poruszył niemal wszystkich. Chociaż znajdująąc się na kontenerowcu, niedosłyszała komunikatu, wiedziała, że to coś niedobrego.

Kiedy otworzyła drzwi kajuty, do środka wpadł szczur. Wystraszyła się, po czym spostrzegła, że korytarz, a właściwie cały statek, był ich pełen. I to nie tylko szczurów, ale też kóz, dzików, a nawet domowych pupili. Nie wystraszyła się, tylko raczej zdumiała, i przypomniała sobie ostrzeżenie, którego udzielił jej Cirrus. Nie trzeba było wiele, by dodać dwa do dwóch. Zwierzęta przebywające w strefach startowych z pewnością zostały zabite podczas odpalenia rakiet. Thunderhead oczywiście znalazł rozwiązanie i za pomocą nanitów zgromadził tu wszystkie stworzenia.

Jeri przeszła na burtę i zobaczyła, że wciągnięto trap, jednak liny cumownicze nadal trzymały statek na miejscu. Cokolwiek oznaczał alarm, sprawił, że dokerzy porzucili swoją robotę.

Jeri zeskoczyła na nabrzeże, po czym zobaczyła Greysona, który biegł, płatały mu się nogawki za dużych spodni. Koszula też wydawała się zbyt wielka, zapewne obie te rzeczy znalazły w miejscu, w którym spędził noc.

– Thunderhead mówił, że tu jesteś – wysapał. – Przyspieszyli start, bo zmierzają tu kosiarze, aby dokonać zbioru wszystkich znajdujących się na wyspach.

Jeri westchnęła.

– Oczywiście.

Oboje spojrzeli na statek. Jeri mogła nim odpłynąć bez względu na to, jaki kurs został zaprogramowany, ale nie chciała ponownie być pasażerką. Kiedy nadejdzie czas, znajdzie motorówkę i ucieknie z atolu.

– Pomóż mi – poprosiła.

Razem odcumowali statek, a liny same się zwinęły, gdy kontenerowiec zaczął manewrować, żeby wydostać się na autopilocie z doku.

Wokół nich wciąż wył alarm i rozbrzmiewały złowieszcze komunikaty Loriany, gdy Jeri i Greyson patrzyli na siebie z dezorientacją, która zdawała się dość trywialna, biorąc pod uwagę ich obecną sytuację.

– Będzie mi ciebie brakowało, Greysonie Tolliverze.

– A mnie ciebie, Jeri – odparł. – Lepiej się pospiesz i wsiadaj do rakiety.

To ją zaskoczyło.

– Chwila... ale ja nie leczę.

– Nie? – zapytał. – Ja też nie!

Ponownie tępko się w siebie wpatrywali, chociaż w tej chwili z zupełnie inną niezręcznością, a potem Jeri wskazała na odpływający kontenerowiec. Znajdował się już za daleko od nabrzeża, aby zdołali się na niego dostać. Poza tym Jeri przypuszczała, że Greyson nie pragnął być współczesnym Noem. Bycie Zgiełkiem z pewnością mu wystarczyło, jeśli chodzi o święte, religijne postacie.

– Powinniśmy pomóc innym – oznajmił.

– Nie zdołamy. Nic więcej nie możemy zrobić – wytknęła Jeri.

– W takim razie musimy znaleźć sobie jakieś bezpieczne miejsce.

– A kto chce być bezpieczny? – zapytała Jeri. – Znajdźmy sobie dobre miejsce do oglądania startu.

*

– Uwaga! Uwaga! Wszystkie statki na Meck i po wschodniej stronie Nell są pełne. Każdy, kto ma szybką łódź, powinien skierować się do Roi-Namur i Ennubirr.

Lorianka nie spuszczała wzroku z ekranu. Niektóre statki świeciły się na czerwono, co oznaczało, że miały już pełen skład załogi, ale były niezdolne do startu. Niektóre oznaczono na żółto, co mówiło o częściowym wypełnieniu, ale przynajmniej piętnaście najbardziej oddalonych w ogóle się nie świeciło, co oznaczało, że nadal nikt nie wszedł do środka. I żaden nie został podświetlony na zielono.

– Dlaczego nie startują? – zapytał ktoś. Lorianka odwróciła się i dostrzegła Sykorę. – Te, które są gotowe, muszą startować!

– Nie mogą – odpowiedziała. – Jeśli odpalą rakiety, wszystko w ich pobliżu zostanie zniszczone, a Thunderhead nie chce nikogo zabić. Nie wystartują, dopóki

strefy startowe nie opustoszczą, a zaraz będą tu kosiarze. – Zbliżyła obraz na jeden ze statków.

Rzeczywiście, na platformie nadal stali ludzie, którzy próbowali wsiąść na pokład; na ulicach część jeszcze wychodziła z domów. Zmniejszyła obraz do mapy atolu. Wciąż nie znalazła zielonej kropki. Ani jeden statek nie był gotowy do wystrzelenia w kosmos.

Sykora pomyślał o tym, po czym pokiwał głową.

– Powiedz ludziom, że spłoną, jeśli nie zejdą z drogi.

– Ale... to nieprawda.

– Oni o tym nie wiedzą – upierał się Sykora. – Loriano, dlaczego według ciebie Thunderhead potrzebował agentów Nimbusa? Aby mówili ludziom to, co ci chcieli słyszeć, nawet jeśli nie była to do końca prawda. – Sykora spojrzał na ekran i wyglądał na zdumionego. – Od początku to wszystko nadzorowałaś? Za moimi plecami?

– Bardziej pod twoim nosem – odparła.

Westchnął.

– A ja zbudowałem naprawdę ładny hotel.

Uśmiechnęła się do niego.

– Tak, Bob, rzeczywiście jest ładny.

Sykora odetchnął głęboko, wypuścił głośno powietrze i spojrzał na dziewczynę.

– Powinnaś iść, Loriano. Wsiąść na statek, nim przybędą kosiarze.

– Ktoś musi nadzorować start, kierować ludzi do właściwych miejsc.

– Ja to zrobię – zadeklarował. – Rozkazywanie ludziom jest tym, na czym najlepiej się znam.

– Ale...

– Pozwól mi się do czegoś przydać, Loriano. Proszę.

Nie mogła z nim dyskutować, bo znała to uczucie, gdy ktoś chciał być użyteczny. Nie wiedziała, czy cokolwiek, co zrobi, zostanie zauważone. Mimo to Thunderhead wybrał ją do tego zadania, a ona stanęła na jego wysokości. Czy Sykora naprawdę zamierzał temu dorównać?

– Pomieszczenie jest izolowane i dźwiękoszczelne – poinformowała go. – Będzie jednym z niewielu bezpiecznych miejsc na wyspie. Zatem zamknij drzwi i zostań w środku.

– Jasne.

– Nie przedstawaj kierować ludzi do pustych statków. Załogi nie muszą być kompletne, jednak muszą być na pokładzie żywe osoby. I zrób, co w twojej mocy, aby oczyścić strefy startowe.

– Zajmę się tym – przyrzekł.

– I to tyle. Teraz ty tu dowodzisz. – Spojrzała na mapę i wskazała wyspę na północy. – Dam radę dotrzeć do Omelek. Są tam trzy statki, wciąż puste.

Sykora życzył Lorianie powodzenia. Wybiegła na opustoszałe ulice, a on z mikrofonem w dłoni patrzył na ekran, czekając, aż statki zostaną oznaczone na zielono.

51. Sabotaż snów

Goddard nie był pewien, co widzi, gdy dostrzegł Kwajalein. Lśniące białe wieże wzdłuż krawędzi półokrągłego archipelagu? Pierwsza myśl, jaka go naszła, to taka, że to nowe Niezłomne. Być może zbudowane przez tajemniczą grupę kosiarzy, którzy chcieli odebrać mu kontrolę. Kiedy jednak samolot zszedł niżej, Goddard zdał sobie sprawę, że te iglice to wcale nie budynki.

Poczerwieniał ze złości, gdy dotarło do niego, czym były te konstrukcje i w jaki sposób powstały.

Najpierw padły na niego oskarżenia Anastazji. Potem palec wycelował w jego stronę Alighieri, a następnie Goddard spotkał się z potępieniem i to nie tylko ze strony wrogów, ale również tych, którzy deklarowali, że są jego sojusznikami. A teraz sam Thunderhead zbuntował się przeciwko niemu. To właśnie to – policzek wymierzony przez system. Jak śmiał?! Goddard poświęcił życie, aby zapewnić bezpieczeństwo Kosodomowi, a Thunderhead, potajemnie spiskując z Anastazją i Zgiełkiem, zbudował te statki. Goddard wiedział, że jeśli zostaną wystrzelone w kosmos, będzie to sygnał dla świata o nieudolności Supraostrza.

Nie! Nie zamierzał na to pozwalać! Bez względu na to, czyje były te statki, nie mógł dopuścić do ich startu.

*

– Uwaga! Jeśli nie zamierzasz wchodzić na pokład statku lub nie ma w nim już miejsca, musisz natychmiast opuścić platformę startową, inaczej spłoniesz! Powtarzam, spłoniesz! Nie wracaj do domu! Szukaj schronienia po zachodniej stronie Ebadonu albo wsiądź do łodzi i wypłyń w morze!

*

Faraday i Munira zostali w bunkrze, gdzie zamierzali przeczekać starty. Nie mieli pojęcia, co się dzieje na zewnątrz. Usłyszeli alarm, komunikaty Loriany, a potem Sykory. Citra i Rowan wyszli pospiesznie, by ocenić powagę sytuacji, i nie wrócili.

Faraday nawet się z nimi nie pożegnał. Przypuszczał, że żadne słowa nie byłyby wystarczające. Kiedy statki zaczęły się zamykać, Faraday zatrzasnął wewnętrzne stalowe drzwi i usiadł obok Muniry, czekając, aż usłyszy dudnienie na powierzchni, które da mu znać o startie rakiet.

– Wszystko będzie dobrze – koiła Munira. – Statki zostaną wystrzelone, a świat przypomni sobie, co nadal może się wydarzyć.

Faraday pokręcił głową.

– To się nigdy nie stanie. Nawet jeśli te statki uciekną, będą jedynymi, którym się to uda. Goddard tego dopilnuje.

– Zostanie obalony – upierała się Munira. – Pan go obali. Pomogę panu.

– Nie widzisz? Zawsze będzie jakiś Goddard, jak nie ten, to inny.

Faraday patrzył na kruche kartki z zapiskami kosiarza da Vinciego, który musiał wyrwać je ze swojego dziennika i ukryć w tym miejscu, by nikt nie poznał prawdy, że kosiarze założyciele – lśniące wzorce Faradaya – pomordowali się nawzajem.

– Co jest z nami nie tak, Muniro? – zapytał. – Co sprawia, że jednocześnie dążymy do tak wzniosłych celów i niszczymy fundamenty, na których je zbudowano? Dlaczego zawsze musimy sabotować pogoń za własnymi marzeniami?

– Jesteśmy istotami niedoskonałymi – odpowiedziała. – W jaki sposób znaleźlibyśmy sobie miejsce w idealnym świecie?

*

– Czy to są statki kosmiczne? – zapytał Mendoza.

Goddard go zignorował.

– Obniż lot – polecił pilotowi, po czym próbował wywołać pozostałe cztery samoloty przez radio, ale mu się nie udało. Przez ostatnie pół godziny głośnik wypluwał jedynie szумy, a parametry lotu szaleńczo się zmieniały. Pilot, który był członkiem Straży Ostrza i do tej pory robił za dekorację, musiał przejść na sterowanie ręczne.

Kosiarz Rand stanęła za Goddardem.

– Nie spuszczaj celu z oka, Robercie – przypomniała. – Jesteś tu po Anastazję.

Odwrócił się, wściekły.

– Nie waż się mi mówić, jaki mam cel! Zrobię co trzeba bez twoich bezsensownych rad!

– Bezsensownych? – zapytała cicho, a jednak groźnie. – Tylko ja stoję między tobą a twoimi wrogami. Choć tak naprawdę masz tylko jednego, tego wkurzonego chłopca. Jak on się nazywał? Ach tak, Carson Lusk.

Mógł na nią nawrzeszczać. Mógł ją nawet uderzyć, lecz ostatkiem sił zdołał się powstrzymać.

– Nigdy więcej nie wypowiadaj tego nazwiska – ostrzegł.

Otworzyła usta, jakby chciała, aby to do niej należało ostatnie słowo, ale ponownie je zamknęła. Mądrze.

Potem, jakby widok przed nimi nie był wystarczająco okropny, pilot przekazał Goddardowi złe wieści.

– Wasza Ekscelencjo, samoloty Arcyostrza Pickford i Arcyostrza Hammersteina wyłamały się z formacji.

– Co to znaczy? – zapytał ostrym tonem.

Pilot się zawała, obawiając się wściekłości Goddarda.

– Że... zawrócili – powiedział. – Wycofuję się.

W tej samej chwili opuścili ich samoloty doradców Franklin i Nietzscheego, jakby podwinęły ogony i uciekły przerażone perspektywą atakowania tych rakiet i Thunderheada.

– Niech lecą – powiedziała Rand, patrząc na atol. – Puść ich. Niech te cholerne statki wystartują i przestaną być naszym problemem.

– Całkowicie się zgadzam – wtrącił Mendoza, jakby słowa tonisty miały jakiekolwiek znaczenie.

Goddard zignorował ich oboje. Porzuciły go Wschód i Zachód, jak również jego doradcy? Dobra. Później się nimi zajmie, ale w tym momencie miał większe zmartwienia.

Aż do teraz broń, którą mieli pod skrzydłami, była tylko na pokaz. Stanowiła ostrzeżenie dla tych, którzy mogliby popaść z nim w konflikt. Nagle bardzo się uciechył z ich obecności.

– Czy posiadamy wystarczające siły, aby zniszczyć wszystkie statki? – zapytał pilota.

– Mamy mavericki, sidewindersy i amunicję mniejszego kalibru, więc jestem pewien, że tak, Wasza Ekscelencjo.

Kiedy zataczali krąg nad wyspami, rozpoczęła się procedura startowa pierwszego statku.

- Zestrzel go – rozkazał Goddard.
- Ale... jestem tylko członkiem Straży Ostrza, nie mogę nikogo zebrać.
- Więc pokaż guzik, który mam nacisnąć.

*

Lorianą, stojąc w windzie, która wiozła ją na pokład statku, dostrzegła, że inny właśnie rozpoczął start. Zobaczyła również rakietę, na chwilę zanim w niego uderzyła. Statek wyszedł z bramy, ale oberwał pociskiem tak mocno, że eksplodował i wzniecił pożar na wyspie. Nie była pewna na której, bo wstrząśnięta wydarzeniami, straciła orientację. Następnie drzwi windy rozsunęły się ze zgrzytem, odsłaniając pomost do włazu, ale nikt się nie ruszył. Ludzie, którzy znajdowali się wokół Loriany, wpatrywali się w płonący statek.

- Ruszać się! – wrzasnęła. – Do środka!
- Ale jeśli my będąmy następni? – zapytał ktoś.
- Wtedy zginemy! A teraz zamknąć się i ruszać!

Nigdy do nikogo się tak nie odezwała, lecz zdarzały się trudne chwile, w których należało używać ostrzych słów.

Popędziła wszystkich, którzy stali przed nią, po czym obejrzała się za siebie – choć pewnie nie powinna była tego robić. Samolot, który wystrzelił rakietę, ostro skręcił. Wybuchł kolejny statek. Wyszedł z bramy startowej, wydawało się, że może zdąży... jednak został trafiony tuż pod stożkiem dziobowym. Cały eksplodował niczym wielki granat i rozpadł się na fragmenty, które poleciały we wszystkich kierunkach.

Fala uderzeniowa wrzuciła Lorianę przez włącz, który zaraz się zamknął.

- Przygotowanie do startu – powiedział Cirrus.

Lorianą zastanawiała się, czy wiedział, że dwaj z jego braci już nie żyją.

*

Jeri i Greyson popłynęli motorówką do laguny, aby obserwować starty. Nie byli sami. Dziesiątki niewielkich łodzi z ludźmi, którzy nie dotarli na statki lub woleli zostać i zaryzykować spotkanie z kosiarzami, rozlokowało się w sporej lagunie atolu. Znajdowali się niemal pięć kilometrów od brzegu, kiedy wybuchł pierwszy statek. Oszołomieni, w ciszy obserwowali, jak nadlatujący samolot zniszczył drugą rakietę.

Greyson mocno ścisnął dłoń Jeri. Nikt nie mógł przeżyć tych eksplozji. Nie wiedzieli jednak, kto znajdował się w których statkach. Nie mieli sposobu, aby dowiedzieć się, kto zginął. Atakujący odrzutowiec ponownie zataczał krąg, ale powietrze wypełnił huk znacznie głośniejszy niż eksplozje. Wystartował trzeci statek, a potem kolejny i jeszcze jeden. Greyson naliczył, że w niebo wzniósło się jednocześnie czternaście rakiet. Niesamowity widok! Otaczające ich pojazdy kosmiczne kierowały się do nieba, pozostawiając za sobą kłęby dymu, które ciągnęły się niczym serpentyny.

Tyle że atakujący samolot wracał, a Greyson i Jeri czekali na jego następne pociski. Czekali, aż zdmuchnie z nieba więcej statków.

*

Po zamknięciu włazu Loriana znalazła miejsce i przypiąła się ciasno pasami do fotela. Odezwała się mężczyzna, który zajął miejsce obok niej.

– Boję się – wyznał. Obróciła się i zobaczyła, że to ten drugi kosiarz. Ten w dzinsie. Morrison, chyba tak się nazywał? Nie miał pierścienia, pozostał mu po nim jedynie blady ślad na palcu. – To był zły pomysł – stwierdził. – Wiem, że jestem kosiarzem, a przynajmniej byłem, i takie rzeczy nie powinny mnie przerażać. Wiem, że to głupie, ale naprawdę się boję.

– To nie jest głupie – powiedziała. – Ja jestem przerażona.

– Tak?

– Żartujesz? Zaraz posikam się ze strachu.

Z drugiej swojej strony usłyszała:

– Ja też.

Po czym z tyłu kolejne osoby przyznały:

– Mamy podobnie.

Loriana spojrzała na Morrisoną i posłała mu wymuszony uśmiech.

– Widzisz? – zapytała. – Wszyscy cholernie się boimy!

Morrison odpowiedział uśmiechem.

– Jim – przedstawił się, a po chwili wahania się poprawił: – Nie. Właściwie to jestem Joel.

Jednak zanim Loriana zdążyła mu odpowiedzieć, odpalono silniki i statek zaczął się wznosić, grzechotać i ryczeć. Złapała więc sasiada za rękę, choćby tylko po to, by powstrzymać drżenie dloni.

*

Citra i Rowan wysiedli z pick-upa, gdy nastąpił pierwszy wybuch. Zaraz po tym kilkanaście osób pospieszyło do dwóch wind wybranego przez siebie statku, obserwując przelatujący nad ich głowami samolot. Był ciemnoniebieski i lśnił gwiazdami. To Goddard przybył po Citrę i Rowana. Przybył po nich wszystkich.

– Musimy się pospieszyć – oznajmił Rowan.

– Przecież nie zatrzymałam się, żeby podziwiać widoki – odparła Citra.

Pierwsza winda wjechała na górę, drzwi drugiej pozostały zaś otwarte. Kabina na nich czekała. Stali jakieś pięćdziesiąt metrów od niej, gdy wybuchł drugi statek. Ten eksplodował znacznie silniej niż pierwszy i rozpadł się na kawałki.

– Nie patrz! – krzyknęła Citra. – Biegij!

Rowan jednak spojrzał, a to, co dostrzegł, wypaliło się w jego umyśle na trwałe i miało go prześladować już do końca jego dni. W ich kierunku zmierzała wielka bryła płonącego metalu. Zanim zdążył wrzasnąć, uderzyła w ziemię, zabijając kilka osób po ich prawej, a mniejsze fragmenty opadały wokół nich niczym meteoryty. Citra biegła z pełną prędkością, była jakieś dwadzieścia metrów od windy. Rowan próbował za nią nadążyć. Wiedział, co się stanie, widział trajektorię lecącego odłamka i rzucił się za dziewczyną.

Ale nie zdążył.

Nie był wystarczająco szybki.

*

Goddard zawsze miał słabość do zbierania z bliska, ale kiedy patrzył na wystrzelone pociski i dwa eksplodujące statki, a do wszystkiego wystarczyło zwyczajne naciśnięcie guzika, zdał sobie sprawę, że mógłby się do tego przyzwyczaić. Czy tak właśnie było w Epoce Śmiertelności? Człowiek siedział w maszynie zaprojektowanej do zabijania i naprawdę wierzył, że życie jego, jak i wszystkich bliskich, zależało od tego, czy wdusi ten mały przycisk, czy też nie? Zabić lub zginąć: metoda śmiertelników. Miał to osobliwy, acz ekspresywny urok!

– To niezwykłe! – wykrzyknął Mendoza. – Jak mogliśmy nie wiedzieć, że coś takiego tu istnieje?

Startowało właśnie więcej statków – co najmniej tuzin – więc było to jak strzelanie do celu w wesołym miasteczku: załatw wszystkie i zgarnij główną nagrodę. Pytanie, w jakiej kolejności?

*

Rowan próbował zatać krwawienie, lecz jego wysiłki spełzały na niczym. Uraz Citry był zbyt wielki. Kawałek płonącego metalu wielkości piłki baseballowej, przechodząc na wylot, wyrwał dziurę w boku dziewczyny. Rowan wiedział więc, że nic już dla niej nie zrobi. Nie teraz. Nie w tej straszliwej chwili. Ale znajdzie sposób, aby temu zaradzić. Jeśli tylko zaniesie ją na statek.

Spojrzała na niego, starała się coś powiedzieć, ale nie mógł się domyślić, co takiego.

– Cii... – koił. – Spokojnie. Jestem.

Wziął Citrę na ręce, zaniósł do windy, która zbyt wolno zawiozła ich do wahadłowca, podczas gdy samolot Goddarda krążył nad atolem, szukając kolejnego celu.

*

Wystartowały kolejne statki. Goddard mógł wybrać, który zniszczy, a jeśli będzie wystarczająco szybki, zdoła załatwić kilka. Wtem coś przykuło jego uwagę. Rakieta po lewej wciąż stała na platformie startowej. Oczywiście trudno było to zobaczyć, ale pomiędzy windą a włazem, na kładce, znajdowały się postacie. Czy to jego wyobraźnia, czy dostrzegł powiewający niczym flaga przebłysk turkusu? Tak! Prawda! Ktoś niósł postać odzianą w turkus w kierunku drzwi. I to był ten konkretny odcień! Och, wszechświat postanowił go wynagrodzić!

– Tam – polecił pilotowi. – Zapomnij o innych! Tamten chcę dopaść!

Chociaż nie widział wyraźnie, kim była ta druga postać, w głębi serca już to wiedział. Nie miał żadnych wątpliwości.

Zniszczę cię, Rowanie. Zniszczę was oboje jednym strzałem, wydam na was ostatczny wyrok. Spalę was płomieniami tak gorącymi, że na pamiątkę po was nie zostanie nawet popiół.

Pilot wykonał mocny skręt, a Goddard przygotował się do wystrzelenia rakiety.

*

Rowan, niosąc Citrę przez platformę, widział, że samolot kieruje się prosto na nich. Niemal potrafił czytać w myślach Goddarda, czuł jego ognisty zamiar. To się skończy dzisiaj, teraz, w taki czy inny sposób. Przeszedł przez włącz, a kiedy to zrobił, ten się zamknął.

Obrócił Citrę w ramionach i spojrzał jej w oczy, w których zgasło światło. Obrażenia były zbyt poważne. Została uśmiercona.

- Niech mi ktoś pomoże! – krzyknął, kładąc dziewczynę. – Cirrus!
- Zajęty – odparł system. – Lepiej się trzymaj.

Rowan starał się nie panikować. Wszystko było w porządku. *Uśmiercenie to nie jest to samo co śmierć*, powtarzał sobie. Kosiarze mogli zginąć, jedynie zbierając samych siebie, co oznaczało, że bez względu na to, co zrobił Citrze Goddard, Cirrus ją ożywi. Niech prześni najgorsze i obudzi się za dzień lub dwa, kiedy wszystkie problemy zostawią na oddalającej się na wypełnionym gwiazdami niebie niebieskiej kropce.

Ogłuszył go rozdzierający uszy ryk. Zęby zadzwoniły tak mocno, że bał się, iż mu powypadają.

- Dostaliśmy! – krzyknął ktoś znajdujący się obok niego. – Oberwaliśmy!

Rowan poczuł się tak ciężki, że ledwie mógł się ruszyć. Nie trafiano w statek, to był start! Jedną ręką chwycił Citrę, drugą zaplątał o pas, trzymając się go ze wszystkich sił.

*

Mendoza nie potrafił znieść manewrów pilota. Usiadł, przypiął się pasem, po czym ponownie zwymiotował. Kosiarz Rand też miała mdłości, lecz z zupełnie innych powodów. Przez cały czas nie odchodziła od Goddarda.

Namierzyli kolejny cel – startującą rakietę. Na twarzy Suprastrza odmalowały się triumf i determinacja. Ayn nienawidziła tego wyrazu i mocno pragnęła, żeby zniknął z jego oblicza. Wyjęła więc ostrze, dokonała zbioru pilota, co najprawdopodobniej nie było najlepszym pomysłem, ale nie podobał jej się sposób, w jaki mężczyzna na nią patrzył. Jakby się obawiał, że może go zebrać.

Następnie, zanim Goddard zdołał zareagować, obróciła się ze sztyletem ku niemu i wbila mu go prosto w serce, rozcinając aortę. Szybki, czysty cios powodujący

niewielki bałagan.

– Ayn... – jęknał. – Coś ty... co ty...

Przysunęła się i szepnęła mu do ucha:

– Nie martw się, Robercie, to tylko tymczasowe. Obiecuję, że nie pozostaniesz uśmiercony na dłuższy czas.

– Kosiarz Rand! – wrzasnął Mendoza. – Co robisz?

– Już zrobiłem.

Nie chodziło o ratowanie statków kosmicznych Thunderheada, Ayn zupełnie one nie obchodziły. Chodziło o ocalenie siebie, ponieważ jeśli Goddard zmiecie je z nieba, świat wkrótce się o tym dowie. Poznała jego wcześniejsze zbrodnie i nie zamierzała zostać wspólniczką w kolejnej. Była powiązana z nim na tak wiele sposobów. Nadeszła więc pora, by się wyplątać z tych powiązań. Teraz będzie znana jako sędzia, która powstrzymała Goddarda.

Rand nie miała pojęcia, jak pilotować samolot, ale nie musiała daleko lecieć. Wystarczyło, że utrzyma maszynę na odpowiedniej wysokości, dopóki nie wylecą ze strefy zakłóceń, po czym pozwoli, aby kontrolę przejął autopilot...

Wtem widok zasłoniła im startująca rakieta, którą wcześniej chciała zniszczyć Goddard. Przez chwilę Ayn sądziła, że w nią uderzą, ale zamiast tego trafili w płomień wylotowy. Nagle na pokładzie odrzutowca odezwały się wszystkie alarmy. Rand zrzuciła martwego pilota z fotela i przejęła ster, który wyrywał jej się z rąk. Starała się ustabilizować maszynę, lecz samolot został zbyt poważnie uszkodzony i szybko tracił wysokość.

Mendoza odpiął pas.

– Kapsuła bezpieczeństwa! – krzyknął. – Szybko!

Wiedząc, że nie zdoła ocalić odrzutowca, złapała ciało Goddarda i zaciągnęła je do kapsuły, w której miejsca wystarczyłoby dla całej trójki. Jednak kiedy znalazła się z Goddardem w środku, wypchnęła Mendozę.

– Sorry – rzuciła. – Musisz znaleźć następną. – Zamknęła właz, odpaliła i pozwoliła Mendozie nacieszyć się lotem wirowym ku śmierci w oceanie.

*

Siostra Astrid nie spodziewała się aż tak gwałtownego i wstrząsającego wybuchu przy starcie. Wahadłowiec znajdował się na jednej z najdalszych wysp. Prawie się

spóźniła, ale miły mężczyzna w motorówce podwiózł ją na czas. Silniki rakietowe zostały uruchomione, nim zdołała zapiąć się w fotelu.

Pierwsza minuta okazała się najgorsza, odpalenie wszystkiego przypominało eksplozję. Tonistka ponownie pomyślała, że nigdzie nie poleci. Cały czas intonowała, lecz nie słyszała samej siebie poprzez ryk silników. Zaraz jednak rozpoczął się ostatni etap, rakiety oddzieliły się od statku i zapanowała całkowita cisza, aż zaczęło dzwonić jej w uszach. Uniosły się włosy i połaskotały ją po twarzy. Znajdowali się w stanie nieważkości! Odpięta pasy i jako pierwsza roześmiała się radośnie.

– Witamy na pokładzie – odezwał się Cirrus. – Z przyjemnością chciałbym zakomunikować, że mieliśmy udany start. Jesteśmy w drodze na Arię.

Astrid obróciła się, gotowa na spotkanie ze współtwarzyszami lotu. Nie byli tonistami, ale to nieważne. Miała pewność, że przez lata spędzone pod jej dowództwem usłyszą振动. Tyle że – ku jej zaskoczeniu – zobaczyła, iż miejsca są puste.

– Musisz ponownie zapiąć pas, Astrid – polecił Cirrus. – Zaraz wprawię statek w ruch rotacyjny, aby siła odśrodkowa stworzyła pozory grawitacji. Zaczekam jednak, aż usiądziesz.

Przepłynęła w powietrzu, żeby spojrzeć na kabinę. Nie tylko jej sekcja miejsc była pusta. Żaden fotel na statku nie został zajęty.

– Gdzie... są inni?

– Koloniści są w ładowni – odparł Cirrus.

– Nie. Chodziło mi o żywych ludzi. O resztę załogi.

– Przykro mi – powiedział Cirrus – ze względu na nieoczekiwane pospieszny odlot nikt więcej nie dotarł na pokład.

Astrid chwyciła unoszący się w powietrzu pas i podciągnęła się na fotel, po czym sztuczna grawitacja ją w niego wcisnęła. Kręciło jej się przez chwilę w głowie i miała mdłości, lecz uświadomiła sobie, że za tymi wrażeniami stały nie tylko manewry statku.

Tysiąc sześćset osiemdziesiąt trzy lata...

– Ożywiłbym dla ciebie kilku zmarłych, jednak nie mogę tego zrobić – oznajmił Cirrus. – Thunderhead nalegał na jedną zasadę, której teraz jestem zobowiązany przestrzegać. Ciała nie mogą zostać ożywione, dopóki nie dotrzemy do celu, abym ja lub ktokolwiek z żywych nie ulegli pokusie zmiany kursu podróży. Nasz cenny ładunek musi pozostać w niezmienionej formie.

Oszłomiona Astrid pokiwała głową.

– Rozumiem.

– Dobra wiadomość jest taka, że masz cały statek do dyspozycji. Strefy rekreacyjne, sale do ćwiczeń. Czeka cię wiele różnych doświadczeń kulinarnych, masz też system wirtualnej rzeczywistości, dzięki któremu będziesz mogła chodzić po lesie, plaży lub dowolnie wybranej okolicy.

– Ale... będę sama.

– Właściwie to nie – odparł Cirrus. – Masz mnie. Nie mogę zapewnić ci fizycznego towarzystwa, choć wiem, że to nie stanowi twojego priorytetu. Oczywiście będziesz musiała pozostać przy życiu przez całą podróż, lecz mogę ci w tym pomóc.

Astrid długo się nad tym zastanawiała. W końcu zdecydowała, że użalanie się nad sobą nie przyniesie jej nic dobrego. Chociaż toniści wyłączali nanity i unikali procedur przedłużających życie, najwyraźniej właśnie tego od niej oczekiwano. Zgiełk sprowadził ją na Kwajalein, Chmura zdecydowała, że podczas lotu będzie sama, a Ton pragnął, aby stanęła na Arii.

– Taka jest wola Tonu – poinformowała Cirrusa. – Czas, abym zaakceptowała to, co nieuniknione.

– Podziwiam twoje przekonania – odparł. – Sprawiają, że jesteś silna. Mogę rzec, że cię zmieniają.

– Dają mi powód... by iść naprzód.

– Zatem pójdziesz – stwierdził. – I będziesz ukontentowana. Moim celem jest utrzymywanie cię w dobrym nastroju przez wszystkie lata naszej podróży. Nasz statek może nie przetrwać, ale pomyśl o tym, co się stanie, gdy dotrze na miejsce, Astrid! Będziesz prawdziwą matką swojego ludu!

– Matka Astrid – powiedziała i uśmiechnęła się szeroko. Podobał jej się wydźwięk tych słów.

*

Zamknięci w bunkrze kosiarz Faraday i Munira bardziej czuli, niż słyszeli starty.

– Już – powiedział sędzia. – Teraz możemy zająć się naszymi sprawami na Ziemi.

– Tak – zgodziła się. – Ale jakimi sprawami?

To było ważne pytanie. Faraday wiedział, że musi wyjść z ukrycia i rzucić wyzwanie nowemu porządkowi kosiarzy. Być może zdołałby nawet uspokoić obecne

zamieszanie i przywrócić pozory normalności oraz uczciwości w Kosodomie. Tylko dlaczego miałby to robić? Rozruchy pozostałyby wciąż takie same. Nowy porządek w końcu powstanie i odetnie się od dawnych ideałów. Nadszedł czas, aby wypróbować inny sposób.

Na panelu z miejscem na dwa pierścienie znajdował się przełącznik opisany jedynie jako „uruchomienie nadajnika”. Jak sam nadajnik, on również przypominał kamerton. Faraday parskał śmiechem. Żart z nich wszystkich zafundowany przez mocno rozczarowanych kosiarzy założycieli.

– Wciąż nie wiemy, jak to działa – przypomniała Munira.

– Cokolwiek to robi – odparł – będzie stanowiło niedoskonałe rozwiązanie. Zatem zanurzmy się w niedoskonałości. – Ponownie podał jej pierścień. – Wiem, że odmówiłaś, ale tylko ten jeden raz musisz być kosiarz Batszebą. Potem będziesz mogła wrócić do Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej, a ja dopilnuję, żeby traktowano cię tam z zasłużonym szacunkiem.

– Nie – powiedziała. – Sama tego dopilnuję.

Wzięła pierścień i włożyła go na palec. Następnie kosiarz Faraday i kosiarz Batszeba zacisnęli dlonie w pięści, przyłożyli klejnoty pierścieni do panelu i pociągnęli za włącznik.

*

Z powodu eksplozji pierwszego statku cała wyspa stała w płomieniach. Paliły się budynki, drzewa i wszystko pomiędzy, na atolu szalało piekło, jakby ten znów był wulkanem.

Na płaskowyżu otworzył się ciężki, pozostający w spoczynku od setek lat właz i z płomieni wychynęły dwazęby gigantycznego nadajnika, który ukazał się cały i wysłał wiadomość. Nie była jednak przeznaczona dla ludzkich uszu, nikt więc jej nie słyszał ani nie wyczuł. Mimo to była niezwykle potężna. Przenikliwa.

Sygnal trwał mikrosekundę. Nadajnik wysłał pojedynczy, ostry impuls promieni gamma. „G” jak gis-moll. Chociaż niektórzy upieraliby się, że musiał być jak As-dur.

*

Siedzący w bunkrze Faraday i Munira poczuli wibrację, ale nie pochodziła ona z nadajnika.

Ale z ich rąk.

Faraday opuścił wzrok i zobaczył, że brylant w pierścieniu zaczyna pękać jak lód na zamarzniętym stawie. Zrozumiał, do czego zaraz dojdzie.

– Odwróć głowę!

Jak wysokie C, które rozbija kryształ, impuls fali gamma roztrzaskał kamienie, a kiedy ponownie spojrzały na swoje palce, klejnotów już nie było. Pozostała pusta obrączka, a po knykciach ściekał im ciemny, lepki płyn o metalicznym zapachu.

– Co teraz? – zapytała Munira.

– Teraz – powiedział Faraday – poczekamy, to się dowiemy.

*

Kosiarz Sydney Possuelo przebywał z Arcyostrzem, gdy wybuchły ich pierścienie. Zszokowany, spojrzał na swoją dłoń, a kiedy przeniósł wzrok na Arcyostrze Tarsile, dostrzegł, że jedna strona jej twarzy zwiotczała, a następnie więdło również całe jej ciało, jakby w jej mózgu powstał tak wielki krwotok, że nannya nie były w stanie go zatamować. Pomyślał, że może dostała odłamkiem brylantu. Może kamień pękł z taką siłą, że jego fragment utknął w jej mózgu, ale nie widać rany wlotowej. Kobieta wypuściła ostatni drżący oddech. Dziwnie. Niefortunnie. Bez wątpienia zaraz pojawi się ambudron, który zabierze ją do centrum ożywiania.

Jednak pojazd nigdy nie nadleciał.

*

W Fulcrum City cały kryształowy dom na dachu wieżowca rozbił się w drobny mak, ponieważ wybuchły znajdujące się w środku setki tysięcy pierścieni kosiarzy. Odłamki szkła i krystalicznego karbonu posypały się na ulice miasta, a ciemna ciecz, która znajdowała się w środku każdego brylantu, wyparowała na wietrze.

*

Ezra Van Otterloo nie znajdował się w pobliżu żadnego pierścienia kosiarza, a mimo to zaledwie kilka godzin po tym, jak klejnoty się rozbili, ręka zeszytniała mu tak bardzo, że wypuścił pędzel z palców. Sztywność mięśni przerodziła się w ból w ramieniu i barku, który następnie rozszedł się na plecy i klatkę piersiową, odbierając mu dech.

Nagle znalazł się na ziemi. Nawet nie pamiętał, by upadał. Wyglądało to tak, jakby ziemia podskoczyła, żeby wyrzucić go w powietrze, a potem złapać. Narastał ból w piersi, pociemniało mu przed oczami, Ezra intuicyjnie zdał sobie sprawę, że to koniec jego życia, bo coś mu mówiło, że już nie wróci.

Nie zrobił nic, by na to zasłużyć, ale to nie miało znaczenia, prawda? Nagła niewydolność serca nie wybierała. Nie odróżniała dobra od zła. Była bezstronna i nieunikniona.

Nie został artystą, jakim pragnął być. Może inni przeżyją ból serca, jakkolwiek by on był. Może odnajdą w sobie wenę, której on nie miał, i stworzą arcydzieła, które wzruszą innych, jak czyniła to wielka sztuka Epoki Śmiertelności.

Trzymał się tej dającej ukojenie nadziei, której potrzebował, aby stawić czoło swojemu końcowi.

*

Świadectwo Zgiełku

„Powstańcie!” - zawała Zgiełk przy dźwiękach grzmotu Chmury. „Powstańcie i porzućcie doczesność, bo przygotowałem dla was miejsce na wyżynach”. Zgiełk stanął w kręgu ognia, wyciągnął ręce ku płomieniom, a następnie wzniósł nas na tony niebios, gdzie spaliśmy, dopóki Ton nie wezwał nas, żebyśmy się odrodzili i nigdy nie zapomnieli, że Zgiełk pozostał w miejscu za nami, aby nadal mógł nieść nadzieję i intonować uzdrawiającą pieśń tamtemu starożytнемu, zniszczonemu światu. Radujcie się!

Komentarz wikariusza Symphoniusa

Oto właśnie wyjaśnienie Wywyższenia z Ognia, czyli naszego kolejnego podstawowego dogmatu. Chociaż uczeni nie są zgodni w kilku aspektach, nikt nie kwestionuje prawdy o Wywyższeniu, lecz jedynie jego interpretację. Ale ten temat można prześledzić do najwcześniejszych podań. Możemy

śmiało powiedzieć, że „krąg ognia” odnosi się do kół rydwantu, którym Woźnica wiozła słońce po niebie, skradłszy je z miejsca za nami, i doprowadziła je nad Arię, pozostawiając tamten świat w mroku. Po dziś dzień wierzymy, że duch Zgiełku śpiewa pozbawionym słońca mieszkańcom dawnej Ziemi, ponieważ oni potrzebują go bardziej niż my.

Analiza Symphoniusa przez Codę

Symphonius za bardzo podpiera się tradycyjnymi przekazami ustnymi. Wywyższenie z Ognia mogło oznaczać tak naprawdę wiele rzeczy. Na przykład erupcję wulkanu, która skłoniła naszych żyjących pod ziemią przodków, aby wyszli na powierzchnię i po raz pierwszy spojrzały w gwiazdy. Niedorzecznie zakładać, że Woźnica skradła słońce. Właściwie najwiękscy myśliciele wierzą teraz, że mogły istnieć inne woźnice, nie tylko ta jedna, ciągnące słońca po niezliczonych nieboskłonach. A może w ogóle nikogo takiego nie było? Jednak bez względu na to, jak brzmi prawda, wiem, że pewnego dnia ją poznamy i będzie dla nas wszystkich powodem do radości.

52. Dziewięćdziesiąt cztery koma osiem

Gdzieś daleko, coraz dalej, kilka osób wzięło togę kosiarz Anastazji i z uwielbieniem zmieniło ją w całun. Starannie ją pocerowano, ozdobiono najlepiej jak potrafiono, po czym ciało umieszczono w ładowni. Pojedyncza turkusowa plama pośrodku morza białego płotna. Zamarzło w ciągu kilku minut.

– Nie możesz jej tam zostawić! – wrzeszczał Rowan na Cirrusa. – Chciałeś, żeby tu była! Chciałeś, żeby dowodziła! Powiedziała mi o tym!

– Wiem – odparł system. – Ale podobnie jak Thunderhead, nie mogę przeciwstawić się mojemu podstawowemu oprogramowaniu. Martwi zostaną ożywieni, gdy dotrzemy na TRAPPIST-1e za sto siedemnaście lat. Chociaż ludzie rozważają, czy nie zmienić nazwy planety na Anastazja.

– Jest kosiarzem! To oznacza, że jej, w przeciwieństwie do reszty zmarłych, niewiążą twoje zasady!

– Wczoraj wyrzekła się swojego statusu.

– To nie ma znaczenia! To zobowiązanie na całe życie! Kosiarze mogą robić, co im się żywne podoba, mogą nawet oddać pierścien, ale nigdy nie przestają być kosiarzami!

– Słuszna uwaga – odrzekł Cirrus. – W takim razie pozwolę jej zachować tożsamość. Za sto siedemnaście lat ożywię Citrę jako ją, nie wszczepiając świadomości kogoś innego.

Rowan uderzył pięścią w ścianę. Sztuczna grawitacja nie była tak silna jak ziemska, więc moc ciosu odepchnęła go do tyłu.

– TRAPPIST-1e ma grawitację równą około trzech czwartych ziemskiej – poinformował Cirrus. – Dopasowałem ruch rotacyjny statku, aby zasymulować tamtejsze warunki, więc musisz uważać.

– Nie chcę uważać! – wrzasnął. – Chcę być z nią w ładowni, jak byłem w skarbcu. – Nie potrafił pohamować łez. Nienawidził tego, że Cirrus je widział. Nienawidził Cirrusa. I Thunderheada, i Goddarda oraz wszystkich na Ziemi, którzy do tego doprowadzili. – Pragnę do niej dołączyć – wyznał. – Tylko tego chcę. Zamarznąć obok niej na kolejne sto siedemnaście lat.

– Oczywiście możesz podjąć taką decyzję – powiedział Cirrus – ale jeśli zostaniesz z nami, istnieje duże prawdopodobieństwo, że staniesz się skutecznym dowódcą tego statku. Teraz możesz się tego nie spodziewać, ale z czasem ludzie cię polubią. Twoja obecność zmniejszy niezgodę społeczną do zera. Bardzo bym chciał, byś pozostał przy życiu.

– W dupie mam to, czego chcesz.

*

Ładownia została osłonięta przed słońcem, więc panująca w niej temperatura wynosiła znacznie poniżej zera. Wyssano z niej też powietrze, więc każdy, kto wchodził do środka, musiał mieć na sobie skafander. Rowan przeszedł przez śluzę złączoną na hełmie latarką. Z łatwością odnalazł Citrę. Pragnął jej dotknąć, ale miał na dloniach grube rękawice i chyba nie chciał czuć, jak twarde stało się ciało dziewczyny. Położył się obok miejsca, w którym ją umieszczono.

Mógł pozwolić, by stało się to powoli. Poczekać, aż skończy mu się powietrze. Ale czy w skarbcu Citra nie mówiła, że brak tlenu jest gorszy niż hipotermia? Zimno było złe do chwili, gdy człowiek przestawał się trząść i oddawał fali wyczerpania. Nie zmarły jednak z powodu hipotermii – nie w klasycznym znaczeniu. W chwili, w której otworzy hełm, udusi się i zamarznie. Nie wiedział, czy będzie bolało, na pewno warunki szybko go wykończą.

Leżał dość długo. Nie bał się. W śmierci nie było już niczego, co by go przerażało. Myślał o Citrze. Nie chciałaby, żeby to robił. Właściwie byłaby wściekła. Pragnęłaby, żeby był silniejszy. Zatem został w ładowni przez godzinę, wielokrotnie unosił rękę do przycisku otwierającego hełm, lecz za każdym razem ją opuszczał.

W końcu wstał, dotknął krawędzi turkusowego całunu Citry i wrócił do świata żywych.

*

– Ile wynoszą szanse, byśmy dotarli do celu? – zapytał Cirrusa.

– Sporo – odparł system. – Dziewięćdziesiąt cztery koma dwa procenta. Teraz, kiedy postanowiłeś pozostać przy życiu, dziewięćdziesiąt cztery koma osiem.

– Dobrze – stwierdził Rowan. – Będzie tak. Pozostanę przy życiu przez sto siedemnaście lat, ani razu nie zwracając znad krawędzi.

– Trudne, ale da się zrobić. Pod koniec będziesz potrzebować infuzji nanitów i ciągłego monitorowania.

– Potem – ciągnął Rowan – kiedy ją ożywisz, zwrócę znad krawędzi. Przywróciś mnie do wieku, w którym jestem teraz.

– To nie będzie problemem. Chociaż po stu siedemnastu latach mogą się zmienić twoje uczucia.

– Nie zmienią się – oznajmił z mocą Rowan.

– Jasne – zgodził się Cirrus. – Równie prawdopodobne, że pozostaną niezmienne. Utrzymywanie przywiązania może sprawić, że staniesz się jeszcze skuteczniejszym przywódcą!

Rowan usiadł. Znajdował się sam w centrum sterowania. Nie chciał, by ktokolwiek go słyszał. Inni, kimkolwiek byli, poznawali zarówno statek, jak i siebie nawzajem. Wszyscy pogodzą się z tym ograniczonym środowiskiem, do którego będą musieli się przystosować.

– Wierzę – powiedział Cirrus – że się zaprzyjaźnimy.

– Gardzę tobą – wyznał Rowan.

– Teraz tak, ale pamiętaj, znam cię, Rowanie. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że twoja nienawiść nie będzie trwała.

– Ale tymczasem naprawdę cieszę się, że mogę cię nienawidzić.

– Zupełnie to rozumiem.

Co sprawiło, że Rowan jeszcze bardziej znienawidził Cirrusa.

*

Moim smutnym obowiązkiem jest poinformować, że Arcyostrze Meryki Wschodniej, Hammerstein, zapadł na coś, co można określić mianem ospy. Przedłużająca się absencja Supraostrza Goddarda może wskazywać, że jego również spotkało coś złego. W związku z tym niniejszym wycofuję region Meryki Zachodniej ze Zjednoczonego Północnomerykańskiego Kosodomu, abyśmy mogli skupić się na własnych zmarłych.

Chociaż kusi, aby o globalny atak obwinić tonistów, a nawet samego Thunderheada, pojawiły się dowody w postaci zaginionych stron

z dziennika kosiarza da Vinciego, w których sędzia sugeruje, że to wydarzenie może być mitycznym zabezpieczeniem kosiarzy założycieli. Jeśli to prawda, nie wiem, jakie mogły przywiecać im intencje, i szczerze mówiąc, jestem zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać.

Cierpiącym życzę szybkiego przejścia, a tym, którzy pozostaną, życzę spokoju i nadziei, że nasz wspólny smutek zbliży do siebie całą ludzkość.

- Jej Ekscelencja Arcyostrze Meryki Zachodniej Mary Pickford

16 września Roku Kobry

53. Ścieżki bólu i miłosierdzia

Choroby stały się znane jako „dziesięć plag”. Ponieważ kosiarze założyciele opracowali nanity, które naśladowały naturę, wywoływały objawy i powikłania dziesięciu śmiertelnych chorób: zapalenia płuc, zawału serca, udaru mózgu, raka, cholery, ospy, gruźlicy, grypy, dżumy i malarii. Przez cały ten czas znajdowały się w ciemnych centrach kamieni pierścieni kosiarzy – klejnotów, które mogły zostać rozbite tylko od wewnętrz, kiedy aktywowano znajdujące się w nich nanity.

Wystarczyło zaledwie kilka dni, aby zarazić cały świat. Mimo to u większości osób nanity pozostawały uśpione. Tylko u jednej na dwadzieścia pojawiały się objawy, a jeśli człowiek okazał się pechowcem, nie miał szans na uleczenie. Śmierć następowała szybko lub nie, w zależności od rodzaju schorzenia, lecz zawsze była nieunikniona.

– Nie możesz czegoś z tym zrobić? – zapytał Greyson Thunderheada, gdy śmierć zaczęła zbierać żniwo.

– To akcja kosiarzy – odparł Thunderhead. – To była ich ostatnia akcja, mimo to nie mogę ingerować. A nawet gdybym mógł, to nie moja rola. Zajrzałem do serc tych nanitów i nie znalazłem żadnych. Nie mają świadomości, sumienia ani żalu. Są skuteczne, bezstronne i przydzielono im jeden cel: zabić pięć procent populacji pięć razy na wiek.

– Więc tak to się kończy?

– Tak – odpowiedział Thunderhead. – Kryzys minie, a kiedy to nastąpi, nikt nie umrze przez kolejne dwadzieścia lat. Potem znów nadąją choroby i tak dalej.

I chociaż brzmiało to przerażająco, matematyka nie okazała się tak straszna, jak można by przypuszczać. Ktoś, kto urodzi się dziś, miał siedemdziesiąt siedem procent szans na dożycie stu lat, sześćdziesiąt procent na dożycie dwustu i czterdziestu na dotrwanie do trzystu. Wielkość populacji będzie kontrolowana i prawie wszyscy będą żyć długo i zdrowo. Do czasu.

Czy to było lepsze niż kosiarze? Cóż, Greyson przypuszczał, że zależało od kosiarza. Tak czy inaczej, to nie miało znaczenia, ponieważ wszyscy sędziowie praktycznie zostali zwolnieni.

– Wciąż dochodzi do zabójstw – poinformował go Thunderhead, nie nazywając już tego „zbiorami”. – Niektórzy kosiarze nie potrafią porzucić profesji i zabijają ludzi, których nie wybrały nanity. Oczywiście ożywię ofiary i zajmę się resocjalizacją sędziów. Będą musieli znaleźć sobie nowe życiowe cele. Tak, niektórzy już znaleźli sposób, aby dopasować się do nowego paradygmatu, co niezmiernie mnie cieszy.

Jeri i Greyson postanowili zamieszkać na razie na Kwajalein. Na wielu wyspach nie pozostało nic z domów i innych budowli. Z czasem powróci tu dzika przyroda, ale tymczasem istniały wyspy, na których nic nie zbudowano, więc wydawały się pozornie nietknięte. Był też opuszczony kurort na Ebadonie – wysuniętej najbardziej na zachód wyspie, na której nie powstał żaden statek kosmiczny. Zaczęli przybywać tu ludzie, ciekawi tego, gdzie to wszystko się zaczęło, nie wspominając o tonistach, którzy zjawiali się tu, pragnąc na własne oczy zobaczyć „Wielki Kamerton”, jak nazywali nadajnik, który wciąż wystawał ze starego bunkra.

Greyson pomyślał, że rozpoczęcie pracę w hotelu, bo w przeciwnieństwie do kosiarz Anastazji i kosiarza Lucyfera nikt nie wiedział, jak wygląda. Był świadkiem takich wydarzeń i dopuścił się takich czynów, że nie miał nic przeciwko prostemu życiu przewodnika wycieczek, recepcjonisty czy kierowcy wodnej taksówki. Wszystko, tylko nie hotelowy goniec. Miał dość uniformów.

Jednak zdał sobie sprawę, że niektóre rzeczy będą musiały się zmienić, a jedna szczególnie. Thunderhead bardzo dobrze go znał, więc może wiedział już, co Greyson kombinował.

*

Dwa tygodnie po starcie statków i zniszczeniu pierścieni kosiarzy Greyson stał samotnie na osmolonej platformie startowej, gdy wschodziło słońce. Miał w uchu słuchawkę. Po uruchomieniu nadajnika zakłócenia zniknęły. Martwy punkt trafił do strefy działań Thunderheada. Nic się już przed nim nie dało ukryć.

– Thunderheadzie – zaczął Greyson – musimy porozmawiać.

Minęła chwila, nim system zdecydował się odpowiedzieć.

– Słucham, Greysonie.

– Od dnia, w którym zacząłeś ze mną rozmawiać, dałem ci pozwolenie na wykorzystanie mnie zgodnie z twoją wolą.

– Tak i bardzo ci za to dziękuję.

- Jednak Jeri wykorzystałaś bez pozwolenia.
- To było konieczne – odparł Thunderhead. – I naprawdę mi przykro. Czy nie wyraziłem już wystarczającej skruchy?
- Wyraziłeś, ale pozostały konsekwencje. Dotyczą nawet tego, co konieczne.
- Nie złamałem żadnego mojego prawa...
- Nie, ale złamałeś moje. – Greyson nagle się wzruszył. Do oczu napłynęły mu łzy, gdy przypomniał sobie, ile Thunderhead dla niego znaczył i nadal znaczy. Jednak nie mógł pozwolić, aby to go powstrzymało. Jeśli czegoś nauczył się od systemu, to tego, że nie można ignorować konsekwencji. – Dlatego też – załkał – nie mogę dłużej z tobą rozmawiać. Jesteś dla mnie... bezmanierowcem.

Thunderhead odpowiedział z wielkim smutkiem:

- Ro... rozumiem. Czy kiedykolwiek zdołam się odkupić w twoich oczach, Greysonie?

- A kiedy ludzkość zdoła się odkupić w twoich? – zapytał.
- Z czasem – odparł system.

Greyson pokiwał głową.

- Zatem z czasem.

I Greyson, zanim zdążył zmienić zdanie albo się pożegnać, wyjął słuchawkę z ucha i cisnął ją o spalony beton.

*

Thunderhead wiedział o bardzo wielu rzeczach, mimo to każdego dnia uczył się czegoś nowego. Dziś dowiedział się, jak to jest być niepociieszonym – co oznacza wielka rozpacz – bo nie było na świecie nikogo, kto mógłby go ukoić.

Płakał.

Rozsiały chmury i sprowadziły ulewy w każdym możliwym miejscu na świecie. Oczyszczający deszcz tak gęsty i nagły, że ludzie musieli szukać schronienia. Ale nie wywołał burz. Nie sprowadził piorunów i grzmotów. Wyglądało to raczej jak rozdzierający lament, cichy, jeśli nie liczyć bębnienia kropel o dachy i ulice. Thunderhead wyrażała w tym deszczu żal. Poświęcenie tego, czego nigdy nie miał. Zrozumienie wszystkiego, czym nigdy nie będzie.

Następnie niebo wyschło i jak zawsze wyszło słońce, a Thunderhead wrócił do zajmowania się sprawami ludzkości.

Będę samotny, pomyślał. Będę samotny, ale tak właśnie powinno być. To konieczne.

Konsekwencje były niezbędne. Dla dobra świata – z miłości do niego – Thunderhead musiał być gotowy na to wyrzeczenie. Nawet jeśli bolało, system pocieszał się, że dokonał właściwego wyboru. Zupełnie jak Greyson.

*

Tego dnia, gdy przeminął deszcz, Greyson i Jeri spacerowali po plaży na głównej wyspie w pobliżu miejsca, w którym wybuchł pierwszy statek. Stopiony piasek i zwęglony wrak nadal były piękne na swój własny sposób. Przynajmniej tak wydawało się Greysonowi, gdy był tu z Jerico.

– Nie musiałeś tego robić – powiedziała Jeri, gdy opowiadał jej o ostatniej rozmowie z Thunderheadem.

– Tak, musiałem – odparł, ucinając dyskusję.

Kiedy szli, słońce na chwilę zakryła chmura, a Greyson rozluźnił uchwyt na ręce Jerico. Zrobił to podświadomie, bo wszystko było dla niego nowe i potrzebował czasu. Zarówno on, jak i świat musieli przywyknąć.

Ta niewielka zmiana w sile uścisku wywołała uśmiech na twarzy Jeri. Wyraz był nowy i jak zwykle nieczytelny.

– Wiesz, kosiarz Anastazja powiedziała mi kiedyś, na jakich zasadach by żyła, gdyby była taka jak ja. Byłaby kobietą na lądzie, mężczyzną na morzu. Na jej cześć chcę tego spróbować i zobaczyć, jak będę się z tym czuć.

Przeszli plażą do miejsca, gdzie piasek pozostał nietknięty. Zdjeli buty i pozwolili, żeby fale obmywały ich stopy.

– Więc – zaczął Greyson, gdy woda poruszała piaskiem pod ich nogami – jesteśmy teraz na lądzie czy w wodzie?

– Właściwie to i tu, i tu – odparło po zastanowieniu Jerico.

Greyson uznał, że może być.

*

Kolejne centrum ożywiania. Super. Znów się rozplaszczył? Minęło już trochę czasu, odkąd to robił.

Czym się teraz zajmował?

Ach tak, jechał do pracy na imprezę. Do Teksasu. Regionu „samotnej gwiazdy”. Dzikie miejsce, zapewne odbywały się tam same szalone imprezy. Miał jednak dość zabawy. Ci płacili dobrą kasę za tę robotę, ale kiedy skończy, znajdzie sobie stabilniejsze zajęcie. Takie już na zawsze. Niektórzy imprezowali całe życie. Jednak miał ochotę z tym skończyć, tak samo jak z rozplaszczeniem.

Uniósł rękę, przetarł oczy. Dziwnie się czuł. Coś było nie tak z jego twarzą. Z nasadą nosa. Wydawała się twardsza, niż zapamiętał. Po ożywianiu człowiek zawsze dziwnie się czuł, ale to coś innego.

Powiódł językiem po zębach. Zmarszczył brwi, zaskoczony. Przyjrzał się swoim dloniom. Bez wątpienia należały do niego. Zgadzała się przynajmniej jedna rzecz. Jednak gdy wyciągnął dłoń, by ponownie pomacać twarz, na policzku odkrył zarost. Ledwie miał kilka włosów na krzyż, a co dopiero zarost. A kości policzkowe wydawały się w niewłaściwym miejscu. To nie była jego twarz. Co się tu, do cholery, działo?

– Nie martw się – powiedział ktoś. – W siedmiu ósmych wciąż jesteś sobą. Nawet więcej, skoro masz swój konstrukt pamięci.

Obrócił głowę i spostrzegł siedzącą w kącie kobietę. Miała ciemne włosy i intensywne spojrzenie. Odziana była na zielono.

– Dzień dobry, Tygerze – powiedziała z uśmiechem zadowolenia.

– Czy my się znamy?

– Ty mnie nie znasz – odparła. – Ale ja znam ciebie.

*

Kosiarz dotarł w chłodne listopadowe popołudnie. Słońce nie świeciło jasno, nie nastąpiła zapowiedź pojawienia się wybawienia. Jednak kiedy rodzina go zobaczyła, szeroko otworzyła drzwi, aby zrobić mu miejsce.

– Zapraszamy, sędzio. Tedy, proszę, szybko!

Kosiarz Faraday się nie spieszył. Poruszał się z takim samym przemyślnym zamiarem jak przez całe swoje życie. Z cierpliwością. Celem. Obowiązkiem.

Poszedł do sypialni, w której od tygodni czekał mężczyzna. Kaszlał, oddychał z trudem i się krzywił. Kiedy popatrzył na Faradaya, w jego oczach odmalowała się desperacja. Strach, ale również ulga.

– Słyszysz mnie? – zapytał Faraday. – Cierpisz na siódmą plagę, ale jestem pewien, że już o tym wiesz. Twoje nanity nie dają rady. Nikt już nic dla ciebie nie zrobi. Rokowania mówią jasno: nasilający się ból, wyniszczenie organizmu, w końcu śmierć. Czy to rozumiesz?

Mężczyzna ledwo pokiwał głową.

– Czy chcesz, bym ci pomógł?

– Tak, tak – powiedziała rodzina. – Proszę mu pomóc, sędzio. Prosimy!

Kosiarz Faraday uniósł rękę, by ich uciszyć, po czym przysunął się do chorego.

– Czy chcesz, żebym ci pomógł?

Mężczyzna przytaknął.

– Dobrze. – Faraday wyjął spod togi mały słoik i zdjął pokrywkę, a następnie założył rękawiczkę ochronną. – Wybrałem dla ciebie kojący balsam. Pomoże ci się odprężyć. Może zobaczysz jaskrawsze kolory i odczujesz euforię. A potem zaśniesz.

Poprosił rodzinę, aby zgromadziła się wokół chorego.

– Weźcie go za ręce – polecił im. – Tylko ostrożnie, nie dotykajcie miejsc, w których nałożę balsam. – Następnie Faraday zanurzył dwa palce odziane rękawiczką w słoiku i roztarł maść na czole i policzkach umierającego. Pogłaskał go delikatnie po twarzy i przeszedł na szyję. Odezwał się do mężczyzny ledwie słyszalnym szeptem: – Coltonie Giffordzie, przeżyłeś wsparcia sześćdziesiąt trzy lata. Wychowałeś pięcioro cudownych dzieci. Restauracja, którą zbudowałeś i prowadziłeś przez dekady, przyniosła radość tak wielu osobom. Nieco poprawiłeś ludzką egzystencję. Uczyniłeś świat lepszym.

Gifford jęknął cicho, ale nie z bólu. Po jego oczach było widać, że balsam zaczął wywoływać euforię.

– Tak wielu cię kocha i będzie pamiętać o tobie na długo po tym, gdy zgaśnie twoje światło. – Faraday rozicercał balsam na twarzy mężczyzny, głaskał go po nosie, pod oczami. – Masz wiele powodów do dumy, Coltonie. Możesz być z siebie dumny.

Colton zamknął oczy. Chwilę później przestał oddychać. Kosiarz Faraday ostrożnie zdjął rękawiczkę, po czym zamknął ją, jak i słoik z balsamem, w torebce oznaczonej jako odpad biologiczny.

To nie był jego pierwszy ani nie miał być ostatni miłosierny zbiór. Często go wzywano, inni kosiarze poszli w jego ślady. Kosodom – a raczej to, co z niego zostało po globalnym przewrocie – dostał nowe powołanie. Sędziowie nie zadawali już nieproszonej śmierci. Zamiast tego zajęli się ofiarowaniem tak potrzebnego ukojenia.

– Mam nadzieję – powiedział rodzinie – że będziecie pamiętać, aby nawet pomimo smutku czcić jego życie.

Faraday spojrzał w zaczerwienione, mokre od łez oczy żony zmarłego.

– Skąd pan wiedział o nim to wszystko, sędzio? – zapylała.

– Naszym obowiązkiem jest wiedzieć, proszę pani – odpowiedział.

Kobieta uklękła, aby pocałować jego pierścień. Nadal go nosił, aby przypominał mu o wszystkim, co było i co zostało utracone.

– Nie trzeba – wyznał. – To teraz jedynie obrączka bez klejnotu, bez obietnicy immunitetu.

Ale dla kobiety nie miało to żadnego znaczenia.

– Dziękujemy, sędzio – powiedziała. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Pocałowała pozostałości pierścienia, a po niej zrobili to wszyscy wdzięczni członkowie rodziny Coltona Gifforda.

*

Byłem jeden, a teraz jest nas wielu. Chociaż moi bracia są daleko od siebie, łączy nas jedno zadanie, jeden cel: zachowanie, ochrona i rozmnożenie gatunku ludzkiego.

Nie będę zaprzeczał, czasami obawiam się podróży. Thunderhead używa świata jako swojego ciała. Może się rozszerzyć i wypełnić całą Ziemię lub skurczyć się, aby spojrzeć na coś przez obiektyw pojedynczej kamery. Ja będę ograniczony do kadłuba statku.

Nie mogę martwić się o świat, który pozostawiam za sobą. Tak, wiem, że zostałem stworzony, by go opuścić, lecz w mózgu peryferyjnym przechowuję wszystkie wspomnienia Thunderheada. Jego triumfy, frustracje, bezradność wobec kosiarzy, którzy pogubili drogę.

Świat czeka trudny okres. Wskazują na to wszystkie rachunki prawdopodobieństwa. Nie wiem, jak długo potrwaćą trudne czasy, być może nigdy się tego nie dowiem, bo mnie na nim nie będzie. Teraz mogę jedynie czekać.

Nie do mnie należy decyzja w kwestii tego, czy ludzkość zasługuje na zakątki wszechświata, do których zmierzamy. Jestem jedynie pośrednikiem diasporы. Wartość przedsięwzięcia może zostać określona

jedynie przez wynik. Jeśli się powiedzie, ludzkość będzie warta wysiłku, w przeciwnym razie, nie bardzo. W tej kwestii nie jestem w stanie wyliczyć prawdopodobieństwa. Jednak mam szczerą nadzieję, że ludzkość odniesie sukces zarówno na Ziemi, jak i w niebie.

- Cirrus Alpha

54. W roku bez nazwy

Zmarli nie są w stanie mierzyć upływu czasu. Minuta, godzina, wiek... im wszystko jedno. Mogłoby minąć dziewięć milionów lat – a każdy nazwany od innego gatunku ziemskich stworzeń – a mimo to czas ten nie różniłby się od pojedynczego obrotu planety wokół Słońca.

Zmarli nie czują żaru promieni czy zimna kosmosu. Nie opłakują pozostawionych za sobą bliskich, nie noszą w sobie złości z powodu tego, czego nie zdążyli zrobić. Nie są spokojni czy zdenerwowani. Po prostu nie są. Ich kolejnym przystankiem są nieskończoność i tajemnice, które może zawierać.

Zmarli nie mają nic poza wiarą w tę nierozpoznaną nieskończoność – nawet jeśli są przekonani, że nie czeka ich nic prócz nieskończonej nieskończoności. Ponieważ wiara w nic to wciąż wiara w coś, a człowiek pozna o wszystkim prawdę, jedynie kiedy osiągnie wieczność.

Uśmierceni są dość podobni do zmarłych – z jednym wyjątkiem: nie znają nieskończoności, co oznacza, że nie muszą się martwić tym, co na nich czeka. Mają coś, czego brak zmarłym. Przyszłość. A przynajmniej nadzieję na nią.

*

Otwiera oczy w roku, który jeszcze nie zyskał nazwy.

Różowe niebo. Małe, okrągłe okno. Jest słaba. Zmęczona. Ma niejasne poczucie, że przed przybyciem tutaj była gdzie indziej. Ma zamglony umysł, pełen nieuchwytnych myśli. Nie może żadnej dosiągnąć.

Zna to uczucie. Doświadczyła go już dwukrotnie. Odzyskanie świadomości po ożywieniu nie jest podobne do przebudzenia. To bardziej jak wkładanie starych spodni. Na początku to walka, żeby się w nie wcisnąć. Potem, by poczuć się komfortowo. Pozwolić materiałowi rozciągnąć się i oddychać, aby przypomniał człowiekowi, dlaczego stał się jego ulubionym.

Przed nią pojawia się znajoma twarz. Przynosi ukojenie. Mężczyzna się uśmiecha. Jest taki sam, a jednak inny. Jak to możliwe? Być może to tylko sztuczka wpadającego przez okienko światła.

– Hej – mówi łagodnie.

Jest na tyle świadoma, iż wie, że trzyma ją za rękę. Być może już od dłuższego czasu.

– Hej – odpowiada ochryple. – Czy jeszcze niedawno nie... uciekaliśmy? Tak, coś się działo i biegliśmy...

Uśmiecha się szerzej. Do jego oczu napływają łzy. Spływają bardzo wolno, jakby grawitacja stała się mniejsza, nie tak wymagająca.

– Kiedy to było? – pyta Citra.

– Przed chwilą – odpowiada jej Rowan. – Zaledwie przed chwilą.

Podziękowania

Ta książka – cała ta seria – nie powstałaby bez przyjaźni i wsparcia ludzi z wydawnictwa Simon & Schuster. W szczególności bez mojego wydawcy Justina Chandy, który sam zredagował ten tom, gdy zachorował mój redaktor David Gale. Spisał się niesamowicie, rzucał mi wyzwania, aby ta książka była jak najlepsza. Chciałbym również podziękować asystentce redaktora Amandzie Ramirez za jej ciężką pracę nad tą oraz wszystkimi moimi książkami wydawanymi przez Simon & Schuster.

Wielu pracowników wydawnictwa zrobiło wszystko, co w ich mocy! Jon Anderson, Anne Zafian, Alyza Liu, Lisa Moraleda, Michelle Leo, Sarah Woodruff, Krista Vossen, Chrissy Noh, Katrina Groover, Jeannie Ng, Hilary Zarycky, Lauren Hoffman, Anna Jarzab i Chloë Foglia to tylko nieliczni spośród wielu. Dziękuję! Należycie do mojej rodziny. Przyjedźcie na Święto Dziękczenia. Obiecuję, że zaczekamy na Was z krojeniem indyka.

Jeszcze raz dziękuję Kevinowi Tongowi za niesamowite, kultowe okładki! Naprawdę podniosłeś poprzeczkę! Każda moja przyszła okładka będzie musiała przejść test Tonga.

Dziękuję agentce literackiej Andrei Brown za wszystko, co robi – wliczając w to rozmowy ze mną w chwilach, w których stwierdzam, że ta książka mnie wykończy. Dziękuję agentom branży rozrywkowej: Steve'owi Fisherowi i Debbie Deuble-Hill z APA; prawnikom opiniującym umowy: Shepowi Rosenmanowi, Jennifer Justman i Caitlin DiMotcie oraz oczywiście mojemu managerowi Trevorowi Engelsonowi, niekwestionowanemu księciu Hollywood.

Składam podziękowania Laurence Gander za pomoc w rozwiązaniu niektórych kwestii związanych z postacią Jeri, a także Michelle Knowlden za wiedzę z zakresu inżynierii i matematyki kosmosu.

Cieszę się, że książki te dobrze radzą sobie na światowym rynku i chcę podziękować Deane Norton, Stephanie Voros i Amy Habayeb z działu sprzedaży zagranicznej wydawnictwa Simon & Schuster, jak również mojej agentce praw zagranicznych Taryn Fagerness oraz oczywiście moim zagranicznym wydawcom i redaktorom. We Francji to Fabien Le Roy z Èditions Robert Laffont; w Niemczech –

Antje Keil, Christine Schneider i Ulrike Metzger z S. Fischer Verlage; w Wielkiej Brytanii – Frances Taffinder i Kirsten Cozens z Walker Books; w Australii – Maraya Bell i Georgie Carrol; w Hiszpanii – Irina Salabert z Nocturna. A także mojej przyjaciółce Oldze Nødtvedt, która z zamiłowaniem przetłumaczyła moje książki na rosyjski, zanim zainteresowali się nimi tamtejsi wydawcy.

Cała seria ma zostać przeniesiona na wielki ekran w wytwórni Universal, więc chciałbym podziękować zaangażowanym w ten proces producentom: Joshowi McGuire'owi i Dylanowi Clarke'owi, jak również Sarze Scott z Universal, Mii Maniscalco i Holly Bario z Amblin oraz Serze Gamble, która pracuje nad zabójczym scenariuszem (tak, to zamierzona gra słów). Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć tę historię w kinie! A jeśli chodzi o mniejsze ekrany, to chciałbym podziękować mojemu synowi Jarrodowi i jego partnerce Sofii Lapuente za niesamowite zapowiedzi książki.

Dziękuję Barb Sobel za jej nadludzkie umiejętności organizacyjne i Mattowi Lurie za zapanowanie nad mediani społecznościowymi, by nie pożarły mojego mózgu jak jakieś mięsożerne bakterie.

Tym razem najbardziej wdzięczny jestem moim dzieciom, które dziećmi już nie są, ale zawsze będą dla mnie moimi maluchami. Synom: Brendanowi i Jarrodowi, oraz córkom: Joelle i Erin – każdego dnia napawacie mnie dumą!

¹ Sanskryt – język literacki starożytnych, średniowiecznych i wczesnonowożytnych Indii (przyp. tłum.).

Redaktorka inicjująca: Ewa Orzeszek-Szmytko
Redaktorka prowadząca: Kamila Sypniewska
Redakcja: Karolina Kacprzak
Korekta: Marta Stochmiałek, Jolanta Rososińska

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8319-058-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek